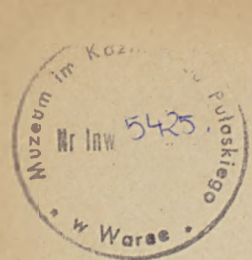




VEN. FR. VINCENT KRAUS O.M.C.
Collegio Serapio
Roma





Kazimierz Wójcicki

KAZIMIERZ WÓYCICKI

ŻYCIE POLSKIE

WYPISY DLA KLASY IV i V SZKOŁY ŚREDNIEJ

Z REPRODUKCJAMI OBRAZÓW A. GROTTGERA, J. KOSSAKA,
J. MATEJKI I ILUSTRACJAMI M. BUKOWSKIEJ

»Młodości, wszystkiego dziedzicu!«
(St. Żeromski)

WYDANIE II.



ST. BONAVENTURE'S NOVITIATE
FRIARS MINOR CONVENTUAL
LAKE FOREST, ILLINOIS

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

KSIĄŻKA.

Książkę trzeba szanować i dać jej to, czego potrzebuje.

Oprawy książka potrzebuje, aby fizycznie móc przetrwać trudy życia swego. By jednak żyć i spełniać radośnie powołanie swoje, potrzebuje miłości.

Bo i jakże? Z miłości do człowieka pisał ją człowiek. Złożył w nią całą swą wiedzę, poczynszy od tajemniczych znaków, które nazywamy alfabetem, a które są pierwszym oknem na cud życia, skończywszy na poznaniu najśmielszym i najgłębszym. Z troski, aby człowiek żył lepiej, niż żyje, aby nie męczył się, nie chorował, aby pracować nie musiał ponad moc, aby nauczył się walczyć z przeciwnościami losu, aby poznał, dlaczego narody inne są szczęśliwsze, i na czym polega szczęście człowieka i narodu, aby rozejrzał się wkoło siebie i ujrzał, ile wokoło rozsianego jest piękna, aby się pięknem weselił, aby się do życia uśmiechał, jakkolwiek nieraz ciężkie jest i srogie — z tej precudnej ludzkiej troski o człowieka powstaje książka. Nieznana podchodzi ku nieznanemu i powiada mu: »Jest człowiek, który cię kocha. Przysyła ci przeze mnie myśl swoją o tobie i pozdrowienie. Dam ci wszystko, co posiadam. Pokażę ci światy nowe. Mówił mi o tobie ów człowiek, który cię kocha; odślonię ci wszystko, co mi powiedział. Kazał mi być przyjacielem twoim, będę ci przyjacielem!«

M. Zabojecka.

SKŁADY GŁÓWNE:

THE POLISH BOOK IMPORTING CO. INC. NEW YORK
»KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.« KATOWICE

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1923

CZEŚĆ I.

W POLU.

Biją dzwony... Huczą dzwony...	Ziemio moja! Pola moje!
Idę polem zamyślony,	Niebo moje! Słońce moje!
A promienna fala zboża,	Lesie mój daleki...
Jak złotego przestwór morza,	Syn Piastowy — czy poję
Szumi u mych stóp...	Urokami waszych kras!

Ziemio moja! Ziemio moja!	Dźwięczą spiże rozdzwonię
Z tobą święty wzięłem ślub!	W południowej chwili spieki...
Biją dzwony... huczą dzwony...	Niechaj będą pochwalone
Błękitnieje w dali las,	Pola moje, niebo moje,
Pieśnią sosen rozmodlony...	Lasy moje, góry, rzeki...

Zdzisław Dębicki.

NIEGDYS.

Niegdyś, w otchłani czasów, w prawiekach, po odejściu na północ skandynawskich lodowców, z obszarów leśnych i przez leśne obszary samowładnie i samowolnie toczyć się poczęły wiślane fale.

Któż wie, jaki człowiek, przychodzień z suchych zachodu stron w krainy, uwolnione od lodów, pierwszy ją ujrzał, lasy dzielącą, — brał w posiadanie oczyma mętne i dzikie jej piany, nazywał swoją w mowie i pieśni, — kto pierwszy brodził po jej wybrzeżu i w czółnie z drzewnej kory przeprowiał się na jej brzeg drugi?

Kości jego potomków śpią dotąd wzdłuż rozległej doliny, po słonecznych pagórkach krakowskiej, sandomierskiej i lubelskiej ziemi, pod piaszczystemi wzgórzami Mazowsza i w nizinach dolnego biegu, złożone w skrzyniach kamiennych, nakrytych płasko lupanym głazem, stopami na wschód słońca zwrócone.

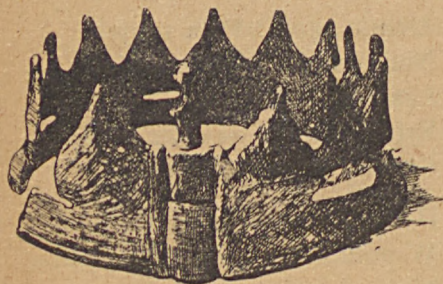
Broń i narzędzie z gładzonego krzemienia, głębokie, kuliste lub wysmukłe naczynie z gliny, w którym żal i trwoga potomnych przy wezglowiu zmarłego stawiała bogu niewiadomemu obiatę, na zawsze zostały w tych ziemiach.

Czarne ślady okrągłych popielisk, przesiąkłe krwią, resztkami

pożywienia, nawozem i okruczem naczyń, pełne kości zwierząt, węgla i popiołu, wielkie i głębokie donice tłustego ichtu, w jasno-żółtej, zwiewnej glinie lubelskiej osadzone, znaczą ślady domostw prawniejszego siola.

Garbata jabłoń i rozłożysta czereśnia dzisiejszego siola obfity wydaje owoc, nie będąc w stanie przez wieków tyle wyssać soków żywota z popieliska naddziadów.

Gliniane zaś naczynie mieszkańca dzisiejszego siola uboższe jest i brzydsze, niż owo, spoczywające w ziemi od siedmiu tysięcy lat.



Tają się w łonie tych ziem wielkie cmentarze, pełne naczyń z brązu, — i późniejsze, — z żelaza, pełne mis i urn, świadczące o kulcie innym i nowym obyczaju.

Stoją wzdłuż szlaku małopolskiej Wisły wyniosłe kopce, mogiły-grodziska, strone podwaliny drewnianych zamków, warstwami szkliva, jak zbroją, z wierzchu nakryte.

Baśń lotna i zwiewna, jak nadrzeczna mgła, a nigdy nie wyczerpana i niezmienna, jako jej wody, jedna jedyna dobrze wie i pamięta o rycerzach, co na te szklane góry wdzierali się z miłości lub nienawiści, walczyli i konali.

W gałęziach Wisły, wśród sieci jej bujnych, górskich ruczajów, odwiecznego traktu, łączącego ciepłe morza południa z chłodnym morzem Bałtyku, ponad brzegami Bugu, łączącego zachód z Wołyniem i Dniepru źródłami, na północnej Tatr i Karpat pochylni, między szerokim wielkiej rzeki łozyskiem i nieprzebytymi Polesia błotami, leżała dziedzina, która była gniazdem słowiańskiego plemienia i słowiańskiej mowy.

Tutaj się wykolysało leśne pradziadowisko Słowian rodu, skąd szczepy jego wyszły na wschód i południe, na zachód i nad morze.



Stefan Żeromski.

Objaśnienia: W *prawniejszych* = w bardzo odległych wiekach. — Po *odejściu na północ* i t. d. W tak zw. epoce lodowcowej obszar od Bałtyku do

Karpat zapelniał olbrzymi lodowiec skandynawski. Ze zmianą klimatu koniec lodowca zatrzymał się, topnienie odbywało się coraz szybciej: lodowiec się cofał, odchodził na północ. Z topniejących lodów powstały potężne rzeki, jak Prawiśła, żłobiące sobie ogromne koryta; trzęsawiska stopniowo przemieniały się w stepy i łąki, porośłe bogatą trawą, na której pasły się stada zwierząt roślinożernych. Wówczas i człowiek, żyjący na krańcach lodowców w klimacie cieplejszym, zasiedlił środkowy pas Europy a stamtąd zaczął się posuwać na północ. Najstarszym u nas mieszkańcem był człowiek, którego ślady znajdujemy w jaskiniach ojcowskich, później wogóle w jaskiniach. Przywędrować on tu musiał prawdopodobnie z jaskiń na Morawie, liczniejszych i wsześniejszych, sięgających czasów lodowcowych; badacze z kośćmi mamuta odnajdują tam dziś i szczątki ludzkie. Przez długie wieki szeregi pokoleń udoskonalały stopniowo sposoby obrabiania kamieni i kości, pierwotnych narzędzi ludzkich. Ta różnorodność sposobów obrabiania skłoniła uczonych do podziału życia człowieka przedhistorycznego na epokę przypuszczalną eolityczną (z greckiego *héos* = jutrzemka i *litos* = kamień), pewną starokamienną (paleolityczną) i kamienną nową (neolityczną), dzieloną na neolit stary i nowy. Narzędzia epoki paleolitycznej są z kamienia łupanego, otłukiwanego, epoki neolitycznej — z kamienia gładzonego, tozonego. Po epokach kamiennych następuje wiek metali, na który złożyły się dwa okresy: epoka brązu i epoka żelaza, z której wstępujemy w okres historyczny. Za osady wieku kamiennego uważamy miejsca, w których znajduje się większa ilość sztucznie rozszczerzonych krzemieni lub wykończonych narzędzi: noży, toporków, strzał i t. p. Nieraz znaleźć tam można ognisko, t. j. dużo popiołu, odpadki kuchenne, skorpury zgruba wypalonych naczyń. Do zabytków epoki neolitycznej i późniejszych należą nasypy ziemne, z których większe w rodzaju wałów nazwano »uroczyskami«, mniejsze o powierzchni spłaszczonej »grodziskami«. Wały w takich grodziskach są z ziemi lub (rzadziej) z kamieni. Ziemia (głina, piasek) skutkiem przekładania warstwami drzewa, które następnie podpalano, wypalała się i twardniała. Części wału, narażone silnie na wpływy klimatyczne (stronę północną) wypalano tak silnie, iż części łatwo topliwe tworzyły zbitą, nierozzerwalną masę, szklivo, skąd wzięło początek podanie o szklanych górach. Nasypy mniejsze o śpiczastym szczycie w kształcie kopców zwykle są mogiłami, rzadziej pamiątkowymi lub granicznymi znakami. Nagromadzenie większej ilości kopców zowie się cmentarzyskiem. W epoce neolitycznej nieboszczyka obstawiano naokół kamieniami, na których wspierano płytę kamienną. Groby tego rodzaju nazwano kamiennymi skrzynkowami. Ciała zwrócone były przeważnie głową na zachód, a więc nogami i twarzą na wschód, by zmarły patrzył we wschodzące słońce. To położenie, związane niegdyś z kultem słońca, i dziś nadaje ciału nieboszczyków nasz lud, wierząc, że w przeciwnym razie nieboszczyk staje się upiorem i straszy żywych.

Objaśnienia do ilustracji: 1) Korona bronzowa o średnicy 12—13 centymetrów, opatrzona zawiąską do otwierania, wykopana w r. 1859 w pobliżu rzeki Zbrucza. Najprawdopodobniej służyła do spinania włosów na głowie kobiety. — 2) Kółka kabłączkowe czyli zausznice brązowe i żelazne, ozdoby głowy, noszone przez kobiety słowiańskie na rzemieniach jeszcze w początkach doby historycznej, nawet w XI i XII w.; jest to wyróżniająca cecha mogił słowiańskich.

SPIEW HARFIARZA POGAŃSKIEGO.

W niebach za stołem »Hej, wojowniku,
Zasiedli społem Nasz obietniku —
Pomarli nasi ojcowie, Bogi doń rzeką wieczyste —
Sławnej czeladzi Okrom te gody
Bogowie radzi, Jakiej nagrody
Gośćmi się cieszą gazdowie. Chce jeszcze serce twe czyste?»

Godyż tam, gody! »Możni bogowie —
Czerwone miody Lech im odpowie —
W srebrzystych pienia się rogach; »Gdy słudze radziście swemu,
Na cześć biesiady »Potęgę w boju,
Śpiewają dziady, »Miłość w spokoju
A Lech najbliższy przy bogach. »Dajcie ludowi mojemu!«

Mieczysław Romanowski (1834—1863).

Objaśnienia: *niebach* = niebiosach. — *Społem* = razem. — *Gazda* w mowie góralskiej znaczy gospodarz. — *Czerwone miody*. Miód do picia ma barwę czerwonawą. — *Obietniku*. Obiata, obiata, ślub, ofiara. Obietnik, ten, który ślubował, składał ofiary. — *Okrom te gody* = oprócz tych godów.

O WANDZIE.

Wyśpiewaj, moja Muzo, jako Wanda śmiała
nad naszą polską ziemią drzewiej panowała.

Młodszy syn króla Kraka po ojcowskim zgonie
zglądził brata zdradziecko i zasiadł na tronie.
Bojąc się gniewu bogów i bratniego cienia,
zginął — nękan wścieklemi wyrzuty sumienia,
zginął po roku rządów, przez furję zabity,
opróżniwszy tron polski, zbrodniczo zdobyty.

Pozostała z Krakowej krwie córa jedyna —
Wanda — z ducha i wdzięków słynąca dziewczyna...
Nie lubiła prząć, ani tkać Minerwy wzorem,
abo tkaniny różnym wyszywać kolorem.
Wolała w puszczy, jako Diana, zbrojna w strzały,
bić dziki zwierz, myślistwem ciesząc się dzień cały.
Stąd do weselnych godów wstręt i uprzedzenie,
stąd nie chciała i słuchać nawet o Hymenie.

Miłość dziewictwa w głębi serca swego kryje...
Zaś cały lud słodkimi nadziejami żyje,

życząc najurodziwszej ze wszystkich Sarmatek,
by mąż jej wielką sławę miał oraz dostatek.

Cała Polska ujrzeć ją pragnie na swym tronie
i berło swe powierza w jej dziewczęce dłonie.
Ona — nieufna, aby trudom panowania
podołać mogła — berła tego wziąć się wzbrania.
Wreszcie, kiedy nalega wojewodów rada —
piękna i mężna na tron ojca swego siada.
A w obowiązkach swoich tako jest gorliwa,
iż każdy ją do wielkich mężów przyrównywa.

Młodych rycerzy z krain północnych huf cały
pragnął posiąść jej rękę... Darenne zapaly...
Najgorętsze pragnienia ich — wiatry rozwiały...

Rytygier, głośny rycerz z teutońskiej krainy,
natarczywiej pożądał Wandy, niż kto inny.
Lecz i jego nadzieje wszystkie były płone...
Miał on dostatki mnogich bogactw niezmierzone.
Wslawiony w twardych bojach przez wiktoryje świetne,
od Renu wyprowadzał plemię swe szlachetne.
Lecz Wanda nie dba ni o pochodzenie męża,
ni o dostatek, ani o sławę oręża.

Złość i ból wzgardzonego nęka ją Teutona.
To wściekły gniew go pali, to żądza szalona.
»Jeśli me prośby — woła — nie skutkują wcale,
zmienię sposób...«

To rzekłszy, pochwyił w zapale
oręż zabójczy... Wanda nie zasypia sprawy.
Z równem męstwem dwie strony idą na bój krwawy.
Wanda od wroga swego poselstwo odbiera.
»Pani, — rzekł poseł — wkrótce ujrzysz Rytygiera.
Masz wolny wybór: chcesz li w nim obaczyć męża,
czy wroga, który zniszczy kraj gniewem oręża.«
— »Nie chcę męża ni wroga w nim mieć...« Wanda mówi
i rozkazuje odejść natychmiast posłowi.

Odpowiedź owa bardzo rozjątrzyła wroga.
Z miłości jego wściekłość zrodziła się sroga,
i przyspiesza wyprawę...

Szyki swoje zbrojne
sprawiwszy, Amazonka wyrusza na wojnę;

przedtem jednak podnosi ku niebiosom ręce,
taki ślub czyniąc: »Rzecz ci najdroższą poświęcę,
boże, jeśli zwyciężę...« Wysłuchał łaskawo
bóg tej prośby i z niebios zagrział w stronę prawą.

Wanda wzywa do walki. Rumaka dosiada
i mknie na czele wojska, z wróżby onej rada.
Za królową rycerstwo szyk tworzy ścieśniony.
Niezłęczonym ich duchem przyjmują Teutony.
Wszczytna się bój zacięty. Krwie strumienie płyną.
Z obu stron wojownicy mordują i giną.
Dziki Mars popłoch sieje i na wszystkie strony
rzeź sprawia... Już pobite waleczne Teutony...
Runął przy własnych siłach ich wódz ugodzony...
Pochowan był bez zbroje... Życiem i swobodą
obdarowano jeńce...

Nad wiślaną wodą,
gdzie wrzał bój — Wanda każe wzniesć pomnik wspaniały,
oreźów, przyłbic wrogich stos gromadząc cały.

Potem rzecze do Wisły: »Strumieni żrenico,
jakie tu pod północną płyną Niedźwiedzicą,
Wisło, bogata w wodę... Ja, com ci w ofierze
znosiła jeno dotąd kwiatów wianki świeże —
dziś zamiast bladych fiołków i hiacyntów płowych
składam tu krwawe łupy zapasów marsowych.
Stawiam pomnik na grobie pokonanych wrogów
i wodza ich, co mieczem chciałem — wbrew woli bogów —
zmusić mnie, abym jego żądanie spełniła.
Mego wroga straszego dziś kryje mogiła.
Od śmiertcionej rany zabity — tutaj leży...
Sława niesie me imię do niebios rubieży...
Bogi, z których pomocą przepędziłam wrogi!
Niechaj nie mówią o mnie, że jeno wśród trwogi
czciłam was, — pogiębiwszy zaś najeźdźce harde,
tym, którym to zawdzięczam, okazałam wzgardę.
Co ślubowała Wanda, troską pogiębiona,
dziś, będąc w szczęśliwości, wszystko to wykona.
Cóż droższe mi nad życie? O bogowie mili,
bierzcie żywot mój, coście drzewiej ocalili...«

To powiedziawszy, skacze do wiślanej toni.
Lud osłupiały z bólu lży rozpaczne roni,
szarpie twarze i jęczy, gorzkie wznosząc żale...

Wisła przyjęła Wandę w swoje modre fale,
jako bóstwo ojczystej rzeki czcąc ją każe...
A lud szuka jej trupa w rzecznych wód obszarze,
mając ją za śmiertelną i pragnąc jej zwłoki
spalić na stosie... Próżno szuka... I wysoki
kopiec nad pustym grobem sypie pod obłoki...
Trzykroć zwie cienia Wandy od fali styksowej...
(a błąd ten bardzo miły był Najadzie nowej).

Zaś jako woneczas wszyscy ten dzień oplakali,
tako do dziś potomność wciąż się nad nim żali.
Do dziś na lewym brzegu kopiec widać zdala,
gdzie Mogiłę omywa kryształowa fala.

Jan Kochanowski (1530—1584).

przekład z łacińskiego Juljana Ejsmonda.

Objaśnienia: *Wysławiaj, moja Muzo*. Muzy, greckie boginie sztuk i nauk. Muza — wogóle bogini, dająca natchnienie, przen.: samo natchnienie. Porównaj początek »Iljady« i »Odysei«. — *Drzewiej, niegdyś*. — *Furje*, łacińska nazwa greckich Erynij albo Eumenid: Tyzfony (mścicielki zabójstw), Alekto (nigdy nie spoczywającej), Megery (wrogiej), córek ziemi. Mścicielki zbrodni, uosabiały one wyrzuty sumienia. Wyobrażano je z gadzinami na głowie miast włosów, z pochodnią płonąca w jednej i nożem w drugiej ręce. — *Krwie*, strop. dopełniacz l. p., tej cerkwie, macierze na wzór: dusze, ziemie i t. p. — *Minerwa* rzymska, grecka Pallada — Atena, córka rzymskiego Jupitera, greckiego Zeusa, bogini mądrości, sztuki, rzemiosł, umiejętności, opiekunka pracy kobiet, nauczyła je szyć, prząść, tkąć. Za czasów pozostającej pod wpływem greckim dynastji Tarkwinjuszów Rzymianie zaczęli upodobniać swoją religję do greckiej i zrównali swych bogów z greckimi: jak Jowisz odpowiadał greckiemu Zeusowi, Minerwa — Atenie, tak staroitalski Mars, uosobienie twórczej siły w przyrodzie, później siły i waleczności, wreszcie bóg wojny, podług podania ojciec Romulusa, został zrównany z greckim Aressem, bogiem szału wojennego, wrzawy wojennej; Diana — z dziewicą Artemidą, opiekunką roślin i zwierząt, boginią łowów i t. d. — *Hymen*, bożek weselny. — *Tako* = strpol. tak. — *Amazonki* według greckich podań wojownicze córki Aresa, mieszkanki Scytji, brzegów morza Czarnego, Afryki. Brały udział w wojnie Trojańskiej po stronie Trojańczyków. Tu w znac. przenośnym = odważna, rycerska dziewczyna, bohaterka. — *Zagrział w stronę prawą*. Rzymianin, zwracając się w czasie modłów, wróżb, twarzą na północ, grzmot na wschodzie, a więc po prawej stronie, uważał za objaw przychylności Jowisza. — *Północna Niedźwiedzica* — gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy. — *Trzykroć zwie cienia Wandy* i t. d. Styks — rzeka, opływająca siedmiokrotnie wokół państwo podziemne, Hades, gdzie przebywały dusze zmarłych, których ciała nie można było znaleźć. Grecy urządzali pogrzeb i nad pustym grobem (cenotafjum) sypali mogiłę. Dusza niepogrzebanego długo błądziła nad Styksem, w czasie pogrzebu wzywano ją trzykrotnie, by uczestniczyła w obrzędzie i może wskazała miejsce, gdzie leży ciało. Wanda zmieniła się w *najadę*, nimfę, boginię rzeki Wisły, więc lud mylił się, oplakując jej

zgon, przyzywając jej cienia i szukając jej ciała. — *Do dziś na lewym brzegu i t. d.* Autor ma na myśli t. zw. Kopiec Wandy w Mogile nad Wisłą. Prawdopodobnie jest to jeden z kopców, wskazujących drogę ze Wschodu na Zachód.

OBLAWA NAD PRĄDNIKIEM.

Cóż to za ryk straszny leci od boru do boru, rozdziera powietrze?

Pod Bugajem słycać wściekle ujadanie psów licznych; wrzawa niezmierna głosów ludzkich grzmi i huczy, ziemia dudni od pogoni. Zapewne jakiś nowy głód, wojna nowa! Może jacyś bardzo mocni z mocniejszymi idą o lepsze jeszcze?

Niedźwiedź olbrzymi wypadł na polanę, sady w podskokach wśród kurzawy pyłu śnieżnego, posoka znaczy ślady. Psiarnia rozżarta rwie za nim, po uszy zapadł się, tarza w zaspach śnieżnych. Wyparty z jednego boru, uchodzi do drugiego. Psy zziązane, z pianą u pysków, wyją z wściekłości głosem ochryplym i trop w trop gonią. Coraz to któryś dopada do tyłów, wpije się paszczą, szarpnie zapamiętałe. Kudłacz ryczy i mruczy, wykonywa obroty szybkie, nagle, wyrzuca w górę jakby piórko śmiałków rozplątanych. Znać z jego postawy, że nie cofnąłby się, choćby mu cały świat rzucił rękawicę.

Ujadanie psów żywych, skomlenie rannych i umierających zlewa się w jedno z rykiem niedźwiedzia rozwścieczonego i okrzykami następujących nań ludzi:

— Huzia, huzia! Bij go! Pilnuj! Zachodź od boru.

Słońce wzniosło się na niebie, zalało bieliznę pola blaskiem ośniewającym, a na tem fle złowrogo połyskiwały purpurowe plamy krwi. Żubry, spłoszone przez okrzyki dzikie, losie, jelenie, odyńce w strachu ogromnym przebiegają się bokami polany. Wilki z rozkoszą zawęszyły padło świeże, kręcą się niespokojne i nasłuchują w ostępach puszczy. Kruki zataczają koła w podniebiu czystem i krótkim, chrapliwem »krr« odpowiadają na każdy jęk konania.

— Wojna — to nasze żniwo!

Ale na polanie tylko niedźwiedź pochłania uwagę psów i ich panów. Ludzie — jedni pieszo, inni na koniach oklep lub w siodle — pędzą z pośpiechem niezmiernym, aby przeciąć drogę kudłaczowi. O, ho, jeśli zwierz ujdzie do Bohboru, to przepadnie tam, zginie w jaskiniach niedostępnych, strzeżonych przez drzewa święte.

Osada bartników, od wieku założona na Bugaju, wyprawia obławę dzisiaj — przed wieczorem szczodrym.

— Boże, daj szczęście.

Kto dziś zabije, przez cały rok będzie zabijał przy pomocy bożej; a mamy wielu wrogów do zabicia. Postanowiono uprzętnąć ze świata tego właśnie olbrzyma, który oddawna sprawia spustoszenie w barciach, napada bydło, nie przepuszcza ludziom.

Starosta zachęcał do boju swoją czeladź, obiecywał sławę księcia Kraka temu, kto pokona potwora krainy nad Prądnikiem. Cóż kiedy patriarcha zwierzęcy uważał się za dziedzica prawowitego borów i gniewnie odmruknął:

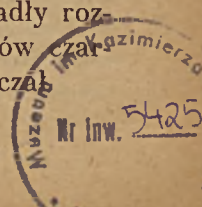
— Moja skóra jest bardzo droga!

Wezwano na łowy mnogą czeladź: psarów, wilkowyjów, narniczników, niewolnych, którzy wyczyniają ziemię z zapustu i spuszcza ją nieciecz na łąkach. Oprócz tego stawili się wolni rodowicie powinowaci starosty miodowego. Można poznać po stroju, kto w tej drużynie czeladnej jest pan, kto sługa. Ów nadział kiereję sutą, podbitą miechem z kuny, nakrył głowę kłobukiem bobrowym, uzbroił się w łuk, w tuleję pełną szypów i w bardysz. Inny przepasał krótki kozuch barani pasem wełnianym krasnym, miał nogi poobwijane w skóry sarnie, na głowie — szлык, okolony kądzielą wilczą, w rękę — włócznię ogromną. Tamten rozkudłany na łbie, rozmamrany na piersiach, okręcony kupą łąchów zgrzebnych, w łapciach dziurawych na nogach, dzierżył gruby kół dębowy, a miał za pasem młot z granitu.

Były tu olbrzymy wąsate i brodate, o włosach wypłowiałych na słotach, o grubych i ćwikowatych rysach twarzy, o oczach siwych, świecących błyskawicą gniewu. Byli i ludzie wynędzniali, obdarci, o spojrzaniach wilków.

Sędziwy niedźwiedź roztył przez lato, strasznie łupieżąc świepota i rogaciznę. Z pierwszym śniegiem poszedł przesypiać zimę w barłogu na Bugaju, gdzie go bartnicy spatrzyli. Nadeszła chwila, wyznaczona przez ludzi do odwetu. Dzisiaj w bitwie walnej o życie położył trudem wszystkie psy najzuchwalsze, pobił na śmierć czterech ludzi. Trzem obdarł skórę z głowy. Zadyszany, okryty ranami, z paszczą skrwawioną siadł pod gruszą na tyłach ciała, rzucając wokół spojrzenia wściekle: zdał się wyzywać do boju otwartego. Czelaź bartnicza otoczyła go kręgiem. Puszczano weń grad poci-sków przeróżnych — strzał, kamieni, kijów, oszczepów. Ryczał, mru-czał, pokazywał kły straszne, a nie dawał się wyprzeć. Chciano go bowiem zmusić do ucieczki, aby utłuc w pogoni, dopadając z tyłu i waląc po łbie, po grzbiecie.

Jeszcze dwa psy podszczute, zachęczone do napaści, padły roz-darte u stóp potwora. Bartnicy zakłękli od wszystkich biesów czar-nych, przyzywali gromy Peruna na pomoc. Kudłacz warczał



Teraz starosta zniecierpliwiony gromko przemówił do swoich:

— Ludzie niewolni, mamy dzień-si święto wielkie, wieczór szczodry! Kto z was powali tego rozbójnika, otrzyma nagrodę szczodłą — wolność!

Niewolnicy — lud srodze zbiedzony smutną dolą — trwożliwie spojrzeli na mocarza boru, który w tej chwili dotknięty szypem wyprostował się, ryknął i poskoczył ku najbliższemu. Zabiegł mu drogę młodzieniec wątlej postawy, zdający się nieść odpowiedź na wezwanie starosty:

— Wolność jest godna, aby za nią oddać życie!



Nastawił włócznię, szedł śmiało do przeciwnika, wsadził mu w pierś żelazo. Ale nie zwyciężył: zwalony z nóg, zalany krwią, wił się w cierpieniach konania. Śmierć wyzwoliła go z niewoli na zawsze.

Niedźwiedź, rycząc straszliwie, wszedł do Bohboru.

Adolf Dygasiński (1839—1902).

Objaśnienia: *Bartnik*, pszczelarz. — *Przed wieczorem szczodrym* = wieczorem dnia szczodrego = wigilji Trzech Króli. — *Patryarcha*, założyciel plemienia, rodu, praojciec; tu przenośnie — stary, głowa rodu (z greck. *patriarchés*). — *Psary*, czeladnicy, opiekujący się psami; *wilkowyje*, naśladowający wycie wilków, zapewne na wabia w obławie; *narocznicy*, ludzie, których powinności i obowiązki leżały w obrębie pewnego »naroku«, t. j. pewnych gruntów wsi, wyznaczonych lub nadanych jakiejś osobie, grupie osób i t. p. — *Wyczyniać ziemię z zapustu*. Wyczyniać = czyścić, oczyszczać. Zapust, zapusta = młody nierabany gaj, lasek. — *Nieciecz*, małe jezioro na łące ze stojącą wodą, wody stojące. — *Starosta miodowy*, bartny, wybrany przez bartników i przez króla zatwierdzony szlacheccie osiadły, dobrej sławy, będący pośredni-

kiem pomiędzy urzędnikami królewskimi a bartnikami, czuwający nad życiem bartników, pobierający daniny, wykonywający władzę sądową i t. d. — *Kiereja*, suknia wierzchnia turecka, podbita futrem. — *Kłobuk*, rodzaj kapełusza albo wysokiej czapki, rozszerzonej u góry, bez skrzydeł, używany niegdyś przez Turków i z ich języka biorący nazwę. — *Tuleja*, kołczan, *sajdak*, w którym noszono strzały — *szypy*. — *Bardysz* = berdysz, kij z siekierą. — *O ćwikowatych rysach*. *Ćwik* = 1) kogut, 2) stary karp. Przen. człowiek przebiegły. — *Świepota* = świepiet, świepiot, staropolsk. barć, drzewo z wypróchniałą dziuplą, w której same osiadły pszczoły. — *Bies*, czart, djabeł. — *Perun*, polski Piorun, litewski Perkunas, jedno z najważniejszych bóstw pogańskich Słowian, Litwinów i pokrewnych im narodów. Władzał gromem, zsyłał na ziemię deszcz urodzajny.

CO MÓWIĄ NAZWY GEOGRAFICZNE.

Nazwy miejscowości, tak zwane toponymika, i wogóle nazwy geograficzne interesują każdego człowieka wykształconego, a dla nauki mają wielorakie i wielkie znaczenie. Człowiek nazywa i musi nazywać ziemię, na której mieszka i z którą go łączą nierozzerwalne węzły, jej części, pola, lasy, wzgórza, rzeki i swoje na niej siedliska. Jest to więc wyrazem i wynikiem jego potrzeb życiowych, jednym z objawów jego życia wogóle. A cały zapas nazw geograficznych każdego narodu jest wielkim rozdziałem wielkiej księgi żywota, jaką naród z woli Bożej układa. Będą w niej rzeczy wspólne wszystkim ludziom jako ludzkim gromadom na mocy zasadniczego podobieństwa duszy człowieczej, ale obok tego będą także rzeczy odrębniejsze, wynikające z różności warunków szczegółowych, stanu kultury, usposobienia i losów.

Żeby zostać przy polskich. Mamy naprzód nazwy, oczywiście z polskich wyrazów brane, ale takie, jakie u wszystkich ludów się spotyka, no bo piaski zowie się *Piaskami*, górę *Górami*, nowe miasto *Nowem Miastem*, gród *Grodem*. Ale już wśród nazw tego rodzaju możemy zauważyć coś, co niekoniecznie wynika z zasadniczej jednakowości natury ludzkiej, tylko z pewnych warunków szczegółowszych, co prawda także jeszcze bardzo pospolitych. Oto możemy zauważyć ogromne bogactwo, wielką różnorodność takich nazw, świadczącą zatem o wielkiem bogactwie języka w tym kierunku, niewątpliwie większem niż obecnie, co znowu wynikało z wielkiego życia się z ziemią i przyrodą. Polak, jak wogóle Słowianin i jak wogóle Aryjczyk, przynajmniej w okresie tak zwanego barbarzyństwa, w prostych warunkach swego dawnego bytu, wśród przyrody często twardej, ale nie zasadniczo wrogiej, wnikał w nią dokładniej i powszechniej, niż to się dzisiaj dzieje, a wskutek tego rozróżniał jej zjawiska i nazywał je daleko szcze-

gólowiej. Podkreślam, że nawet wieśniak dzisiejszy w tym względzie stoi daleko za dawnym człowiekiem, bo i jego stan kulturalny jest już inny, i przyroda cała, jej rola przez długą pracę wieków znacznie się zmieniły. Stąd tedy płynęła obfitość wyrazów, służących w razie potrzeby jako nazwy miejscowe. Mamy zatem nie tylko Góry i Górki, ale także Skąły, Chełmy, Mogiły, Przeginie, Wir(z)chy, Uplązy, Działy, Hale, Debry, Łazy, Brodła, Płazy, Doły i Brzegi, Łyse, Czarne, Białe Góry i t. d., mamy nie tylko Lasy rozmaite, ale także Gaje, Gwozdy i Gwoźdźce, Bory, Puszcze, Zapusty, Krze, Kije, Kostrza, Kujawy i t. d., Czarne Lasy, Czerwone Bory, Zielone puszcze i t. d., Brzeziny i Brzezina, Olszyny, Bukowiny, Dąbia i Dębice, Brzeście i Brzostki, Lipia i Lipska i t. d. Obfitość wód odbija się w nieskończonych wyrazach i nazwach, ogólniejszych i szczegółowszych, jak: Rzeka, Potok, Struga, Woda, Ponik, Ponikiew, Nieciecza, Bagno, Gało, Moczar, Błoto, Białe Błoto, Ruda, Ropa i t. d., Szczeciniec, Rokitno, Mokra (i Sucha, Susznia), Ostrów, Ostrowiec, Łęg, Morawa, Łęka i Łąka, Bielawa, Błonie, Grądy i t. d., Białe, Czarne, Czerwone, Martwe, Ciche, Bystre, Krzywe, Kręte i t. d. wody lub rzeki, najrozmaitsze Brzeźnice, Olchowy, Łęczne, Prądniki, Dłubnie i t. d. bez końca.

Krótko wspomnę o faunie, ileż to miejscowości nazwano od turów, wilków, bobrów, żbików, jarząbków i wielu innych.

Życie, którego wyrazem są te nazwy, tętniło odrazu, kiedy przodkowie nasi zajęli dzisiejsze siedziby narodu, na długie wieki, zanim zaczęli pisać, nim się rozwinęło piśmiennictwo i język kulturalny czyli piśmienny. Te nazwy, to jest te wszystkie wyrazy, stając się w miarę potrzeby i warunków nazwami i przez to nieruchomiejąc, przekazywane z pokolenia w pokolenie jako tak zwane imiona własne, przez to samo właśnie wyodrębniały się do zwykłych wyrazów języka, tak zwanych pospolitych, i podczas gdy te w ciągu wieków giną setkami i setkami, to jest wychodzą z użycia, robiąc miejsce innym, to tamte się utrzymują i w ten sposób podają nam dzisiaj zapas wyrazowy z epok odległych, przedpiśmiennych, uzupełniając znakomicie przekazany zapas wyrazów języka. Już wśród przytoczonych wyżej znajdzie się nie jeden wyraz, oddawna wyszły z użycia, zupełnie dzisiaj niezrozumiałe, i trzeba dopiero sięgnąć do dawnych źródeł i gwar dzisiejszych, często do innych języków słowiańskich, aby wiedzieć, co znaczyły pierwotnie wyrazy: c h e ł m,

przeginia, brodło, jasiel, gwoździec, siewior, lebiędź i t. d.

I to jest pierwsze wielkie znaczenie nazw geograficznych. Uzupełniają słownik i to wyrazami prastaremi, a w ten sposób dla naukowych badań nad dziejami języka stają się wielką pomocą.

Ale nazwy miejscowe mają nie tylko charakter ściśle geograficzny czy topograficzny, to jest nie tylko oddają postać i zjawiska powierzchni ziemskiej. Wiadomo, że jest mnóstwo nazw, zwłaszcza miejscowości, które nam już nie mówią o skorupie ziemskiej, tylko o człowieku, jego pracy i losach. Oto mamy najpierw nazwy typów Kraków, Warszawa; Rzędzin, Straszecin; Kazimierz, Poznań; Raclawice, Maciejowice; Roźniaty. Wszystko to nazwy, pochodzące od imion osobowych, założycieli lub pracowników, stare przymiotniki dzierzawcze, jak Ojcow, Kraków, Warszawa, Bogucin lub Bogucino: to dawne dwory, osady, wsie, i t. d. Ojca, Kraka, Warsza, Boguty; Kazimierz, Poznań, Siepraw, Oświęcim; to miejscowości Kazimira, Poznana, Świeprawa, Oświęcima, odjcowskie: Raclawice, dawniej Raclawicy, to pierwotnie ród Raclawa, Roźniaty to rodzina Roźniata i t. d. Tysiące nazw tego rodzaju, rozsianych po całym obszarze naszej ojczyzny i ojcowizny, znakomicie uzupełniają znajomość starego imiennictwa, czerpaną z dawnych dokumentów i kronik, po pierwsze pod względem fonetycznym, bo mnóstwa imion i nazwisk, zapisanych często nieudolnie w przywilejach i dyplomatach, nie umielibyśmy nawet przeczytać, gdyby nie nazwy miejscowe, dziś jeszcze żyjące, w których w ten sposób żyją utajonem życiem owe stare imiona, od wieków zresztą zapomniane; a powtóre pod względem zapasu, bo chociaż po dokumentach mamy wielką moc osób, z imienia zapisanych, szlachty, ksiąząt i prostych ludzi, przedewszystkiem zaś oraczy i pracowników, to jednak drugie tyle albo więcej znamy tylko z nazw miejscowych.

Nieskończenie obfita jest dziedzina przezwisk, które się z biegiem czasu nazwiskami stawały. Każdy prawie człowiek je nosił, niezawsze dobrowolnie, boć często bywały nieprzyzwoite, a dawano je także sąsiadom, stąd Rakojady, Skrobaczowy, Momoty, Grębałowy i t. d.

Potem idą nazwy od zajęć i zawodów: Łagiewniki, Skotniki, Mydlniki, Świątniki, Korabniki, Sokolniki, Woźniki; Świniary, Piekary, Rzeszotary, Owczary, Psary; Rybitwy, Rataje i t. d.; to jest właściwie Łagiewnicy, Świniarze, i t. d., całe osady i wsie, już to z do-

brej woli tem się zajmujące, jużto do tego przeznaczone. I te, i tamte nazwy w związku z dokumentami pouczają nas o stosunkach społeczno-gospodarczych przeszłości, ustroju, zajęciach, kulturze, osadnictwie społeczeństwa. I to jest drugi moment wielkiego znaczenia nazw geograficznych, w tym wypadku miejscowych, a jest on prawie niewyczerpany, i dlatego wskażę jeszcze na kilka rysów z tego wielkiego rozdziału historii wszelakiej narodu, w nazwach zapisanej.

Oto mamy Tyńce, Grojce lub Grodźce, miejsca obronne, i zarzucone już Grodziska i Osieki, strzegące i broniące dostępu do granic; mamy pokojowe Uścia, t. j. ujścia rzek, ważne dla handlu, i Przewozy, Brody, Mosty, Targowiska i Targi; dalej Ujazdy, nowo zakładane Wole i Lgoty, wypalane i uprawiane Nowiny, Zdzary, Kopanie, Konary i wiele innych. Obok przeważnego wpływu chrześcijaństwa, widnego z setnych Krzyżanowic, Cerkwi, (Cerekwi), Kościołów, Kościelnik, Kantorowic, Biskupic, Dziekanowic i t. d., i mimo tego wpływu, widnieją ślady dawnej wiary, dawnych wyobrażeń i wierzeń pogańskich w Bóźnicach, Modlnicach, Wróżenicach, Wróżyach Górach, Snowidach i Snowidowach. Widna jest potężna fala osadnictwa i kultury Niemców, przybyszów i sprowadzanych, w Tymbarkach, Barwałdach, Szynwałdach, Czorsztynach, Szaflarach i t. d., i t. d. i w starych Tyńcach i młodszych Holendrach, Rumunkach i t. d.

Ważny łup dawnych wojen, które często gęsto bywały wyprawami po ludzi, pozostawił niezatarte ślady w osadzonych przymusem na ziemi Prusach, Pieczeniegach (potem Pieczonogach), Dulebach i Litwie, Czechach i Morawianach), a także bliskich i najbliższych krwią Pomorzianach, Ślążanach, Mazurach. Ci zresztą i bez wojen kraj dobrowolnie kolonizowali.

Rumuńscy rolnicy, a zwłaszcza zawołani pasterze, nietylko później we wsiach wołoskich osiadali, ale dawno już wypierani i prawie zupełnie wyparci z dawnej ojczyzny bałkańskiej, wędrowali wzdłuż Karpat aż daleko na Śląsk i Morawę i nietylko na Huculszczyźnie i Pokuciu w języku i kulturze, nietylko w tatrzańskim i wogóle beskidzkim pasterstwie, ale także w licznych nazwach górskich się uwiecznili: mówią o tem Magury, Czantoryje, Wołoszyny, Cyr(h)le, Sihle i wiele innych.

Nawet dawne, od wieków zapomniane, panowanie Czechów na grodzie krakowskim widnieje w Wawelu, z czeska zamiast Wąw(e)lu zwanym. A tak samo po wiekach, zapomniane, da

Bóg, panowanie Prus i Rosji, będzie widoczne w niejednej nazwie miejscowej, w niejednym Heimie, Aleksandrodarze, Kaukazie czy innym.

Wreszcie zmienne losy narodu, wewnętrzne szczepowe i zewnętrzne polityczne, cofanie się i pomykanie naprzód można wyczytać z nazw miejscowych: można wykreślić dawne granice szczepowe i zamierzchłe narodowe od Niemca, Prusaka, Litwina i Rusina.

Ale jeszcze dalej w tył można sięgnąć na podstawie nazw geograficznych. Spotykamy wśród nich mnóstwo nazw zupełnie ciemnych, których ani dawna polszczyzna, ani żadna gwara, ani żaden język słowiański nie objaśni. Zwłaszcza wśród nazw rzecznych, takich jak Raba, Nida, Poprad, Dunajec, Noteć, Gwda, Luciąża, Troja, Wisła i wielu innych, mamy świadectwa właściwie jedynie pewne, zachowane z czasów przedhistorycznych, z czasów kiedy nas jeszcze w tych stronach nie było. I to trzecie, bardzo wielkie znaczenie nazw geograficznych, które są najpewniejszym dokumentem »historycznym« z czasów »przedhistorycznych«.

Jan Rozwadowski.

Objaśnienia: *Toponymika* z greck. *tópos* = miejsce i *ónyma* = nazwa, miano. — *Aryjczyk*, należący do szczepu indo-europejskiego, zamieszkującego pierwotnie wyżynę na północo-zachód od Pendżabu, północo-wschód od Iranu, leżącą między Oksem, Jaksartem, górami Himalajskimi i morzem Kaspijskim. Do tego szczepu należą ludy słowiańskie, germańskie, greckie, italskie i inne. — *W. barbarzyństwa*. Antropologja czyli nauka o człowieku dzieli życie ludzkości na trzy okresy: 1) dzikości, kiedy człowiek karmi się dzikimi roślinami i zwierzętami, nie uprawia gruntu i nie oswaja zwierząt dla swego pożywienia, 2) barbarzyństwa, kiedy człowiek zajmuje się pasterstwem i przedewszystkiem rolnictwem, które ustala życie, prowadzi do doskonalenia rządu, obyczajów, wiedzy, sztuki, 3) cywilizacji, życia cywilizowanego. Zaczyna się on z umiejętnością pisania, które, przechowując historję, prawo, naukę i religję dla użytku nowych pokoleń, wiąże przeszłość z przyszłością. — *Chelm*, osobna góra, wznosząca się równomiernie. — *Przeżinia*, urwisko, urwista ściana. — *Uplazy* = a) skały podobne do tarasów, b) miejsca porośnięte trawą na szczytach, c) miejsca po bokach gór, bujnie porośnięte trawą, d) góry, mające jeden bok pochyły. — *Hala* = a) wysoka, łysa góra, b) dolina górską; pastwisko w górach. — *Debry*, parowy, jary. — *Łozy*, miejsca niskie i bagniste, zarosłe chróstami i łożyną. — *Brodla*, skalne wzniesienia, wały. — *Plazy* = płaszczyny. — *Gwózd*, *Gwoździec* = lasek, las. — *Kostrza* = miejscowość zarosła kostrzewą, rośliną z rodziny trawiastych. — *Kujawy*, gołe wydmy piaszczyste wśród lasów, nieurodzajne miejsca. — *Brześcia*, *Brzostki* od brzostu, wiązu — *Ponik*, strumyk, dobywający się z pod ziemi. — *Nieciecza*, woda stojąca. — *Galo*, gołe, niezarosłe bagno. — *Grąd*, miejsce wyniosłe i suche, pośród łąk błotnistych. — *Jasiel*, błotna łąka, moczar. — *Siewior*, północ. — *Lebiedź*, labędź. — *Dyplomat*, akt, zawierający nadanie przywileju,

dawny dokument urzędowy. — *Skrobaczowy* od przezwiska »Skrobacz«. — *Momot*, człowiek zająkliwy, jąkała. — *Grębałowy* od »Grębała« = grubas, ordynarny. — *Łagiewniki* od »łagiew«, naczynie podróżne do wody z drzewa, skóry, kruszcu. — *Świątniki* = stróże kościelni. — *Korabniki*, wyrabiający korabie, statki wodne. — *Tyńce*, miejsca ogrodzone. — *Osieki*, zasieki, warownie leśne, utworzone z nagromadzonych i pospajanych pni drzewnych, pierwotny sposób obrony granic, dróg. Przy takich warowniach musiała mieszkać ludność, obowiązana do pilnowania i naprawy. — *Żdżary*, miejsca wypalone pod uprawę. — Nazwy przekształcone z niemieckich: *Barwaldy* z niem. »Baerwalde«; *Czorsztyln* z niem. »Schorstein«, komin.

OCIEC NĘDZA.

Sel se pan Jezus ze świętym Janem wraz. Malučko namieniało na świtanie, kie sie zabrali iść, a na śródwieczerz słońka jesce nie poślakowali nika ani chałupy, ani chłopca. I śli bez takie strasne pustacie, nie jedzący i nie pijący, lemze wlokąc za sobom obolale nogi. Juze prawie się zmirkało, wiater zimny wzion poduchować, i descyk przykrapował, juści umyślili lóc se ka pod wantom, cohy ino jako rania dockać. Ale, kaz w takiej ćmie wanty sukać bedzies?

Naostatek, cosik w tej nocy błysnęło, co jakbyś ognia do fajki skrzesał. Juźci pošli za tem światłem i hnetki przyšli ku małej izbecce. Zburzyli do dźwirzy, — cosik wzięno hań z nuka krzypiec, dźwirze się ozwarły, i wysel ku nim starusecek siwy, taki nicpote, — dziad, ale na gębie miłosierny i takom słodkom miał gware, co aze poweselało w nik serce, kie Boga pokwalil.

No, dobrze — wešli. He raty! Kie ten dziadek wzion ik po recak boćkać, a dziękować, co se o nim zbacyli, co go biedaka staroego nie omineli, co mu telo uświadcyl, to aze sie hańbili słuchający.

Juźci ozduchał dziadek karkoski, cohy w izbecce było widniej, usadził ik na ławie, przyniós kraicek moskalička i gruląt dwoje, i kwaśnicy łyske na misecce i rzece:

— Moście wy kochani, kieście tacy grzeci, coście mie w tej pustce nawiedzili, nie gardźciez mojom strawom. Nie moc ta prawda i mam, ale co mam, to sie tem podzielmy, a cohy zaś chybiało, niekze wam Pan Bóg przycyni.

Nie długo było tego jedzenia. Podzielili sie, napili sie wody z rajtoka, i ułożył ik dziadek spać piknie na swoim łózku. Za główka nie miał, ino taki potargany okłacek pod głowe dał, unakrywał starem cuzcyskiem, a sam se lóg pod proge. Ale od radości ni móg usnąć, abo Panu Bogu dziękował, co mu gości nagodził, abo pozierał na ik głowy, co hań na okłacku aze jaśniały od świętości.

Na raniu wzion dziadek po izbie sukać, cyby ka nie nalazł

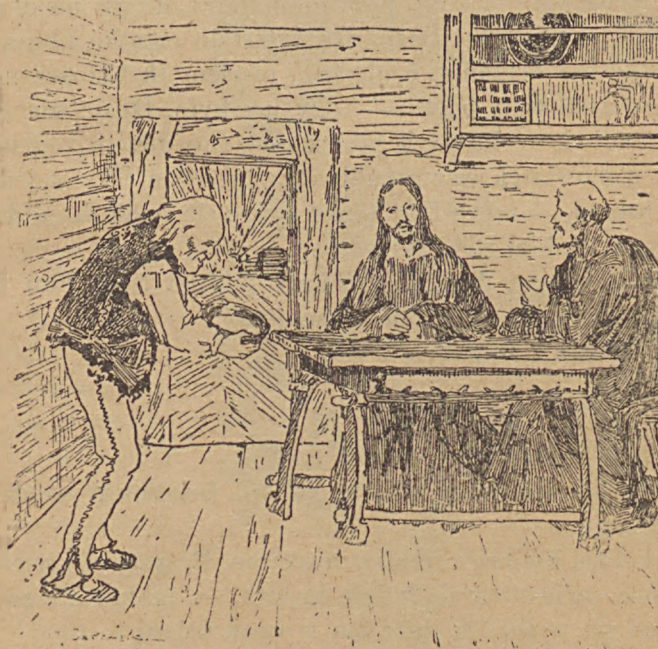
jakiego jadła dla gości. Juźci nalaz scypte owsianej mąki i klusków uwarzył. Skoro postawali, postawił przed nimi miskę i strasnie sie hańbil, co nic innego nie miał... Cóz bedzies robił, kie bieda!

Zjedli, podziękowali i zabrali sie iść. Juze prawie mieli próg przestępować, a święty Jan rzece do Pana Jezusa:

— Panie! trzaby zaś temu grzecnemu cecątku jako pomóc — trza go zratować w tej biedzie.

— Zje ba i prawda, rzece Pan Jezus i pyta:

— Dziadku, powiedźcie, jako sie nazywacie?



— He! jakoz byk miał sie nazywać, kie me wołajom Wawrzek, a pisujom Nędza. Nik do mnie inacej nie przegada, ino Nędza i Nędza. Kie zaś kce mie ududkować, no to zaś mówi: — Ociec Nędza.

Juźci Pan Jezus rzece:

— No, Nędzo, teloście byli dla nas dobrzy i ludzey, radzibyśmy wam jako odwdzięczyć. Powiedźcie, nie macie ta jakiej chęci ku cemu, jakiego zycenia.

— He! — pada Nędza — nie telo ja głupi, cohyk miał zycenia! Kiek był młody, co mie jesce zycie nie wybiło, tok nie raz, nie wy-cytający Panu Bogu, paciorek mówił, a prosił, cohy mie dał to, lebo tamto, abo zratował. Ale jakok był Nędza — tagek i Nędza ostał.

Teraz mie zyceniami nie przewiedzie nik. Dziękujem, nie wycytający Panu Bogu, za syćko, co mam i cego nie mam, ale Mu się nie naprzykrzam o nic.

Zesmucił sie Pan Jezus, zmilcał na kwile... naostatek rzece:

— Moi drodzy, ale przecie, powiedźciez, moze tez Pan Bóg i na was se zbacy i nie ostawi was w tej biedzie.

— O cóz byk sie miał Panu Bogu przypochlebiać? Cheba, wiecie jako: mam ja haw jabłonce, widzicie na oborze, i strażnie pikne jabłka na niej sie rodzom, ale cóz z tego, kie im nie dadzom chłopcyska zeżreć. Lemze się które pocyrwinie do słonka, lnet z całej wsi dzieciska sie zlecom, pierom skalami, lazom na drzewo, gałęzie łamiom, co nie daj Boze, aze całke do ostatka obijom, co mi sie ani jedno nie dostanie. Kiebyście, prosem Ik Miłości, mogli mie w tem jako zratować, no to — toby juz było. Dy ja nie zawidzem nikomu i radbyk syćkim tyk jabłek dać, ino mie to wej mierzi, co kradnom, a naostatek i sam radbyk spróbować choć z jedno.

— Dobrze, — rzece Pan Jezus — kie sie cosik do jabłoni związe, nie ślezie, pokiel nie podzwolis.

— Moiście wy! dziękujem bardz piknie! Niek Pan Bóg prowadzi, a nie zabacciez tez mie wracający!

— Ostańcie z Boge! — i pošli.

II.

Nędza ostał sam i myśli se:

— Pockaj, ino mi ty wliż na jabłoń, bedzies ty wiedział, jako jabłka smakujom.

Jużci ceka, kie tez te jabłka zeżrejom. Przysel wrzesień, słonko piknie zenie, owies zeżrał, ludzie kosom, — jabka, kie malowane, cyrweniom sie w liściak, jaze sie w ocak mieni.

Jednego dnia, na raniu, Nędza wyziera bez okienko z izbecki, a tu ku jabłoni skrada się chłopcysko ze skalom w garzci. Przyznał sie do niego Nędza wraz, — ba jakoz by sie nie miał przyznać, kie to był Gackulin wnęk, Stasek, najgorse chłopcysko w całej wsi.

No, dobrze. Beu! skalom w jabłoń — przeleciała! Nędza jaze dek w sobie zataił, ani pary z gęby nie śmie puścić, ino sie cai za okne, jak kot na mysy... Beu! drugi raz — nic! Hybaj! na gałąź. Mój Nędza wypad na obore. Złękło sie chłopcysko — kce uciekać, a tu przywarło go do pnia, co sie z miejsca nie moze ruszyć... Raty! ludzie na świecie! Sarpie sie w tyk gałęziak, jak kwical w sidlak — a jabłoń nie pusca. Ozdar kufe i w bek!

A Nędza rzece:

— Tak? bedzies ty mi jabka kradł, staremu dziadkowi? Nie

puscem cie z tela do końca świata! Bedzies warował przy tyk jabkak i drugik ucył, coby kraść nie śli. Cóżes tak kufe ozdar! Kciałeś jabłek, dy je mas — sameś wlaz, sprobuj se sam śleźć!

Chłopcysko sie dre... pozlatowały sie baby i dziecka:

— Co tu sie robi?

— A tak i tak! Jabka mi krad, a mie Pan Jezus wydał takie prawo i takom władze, co, kie zekcem, do końca świata hań na gałęzi siedzieć bedzie.

Nie kciał temu nik wiary dać. Jużci przyleci i Gackula:

— Stasek! — woła — psia kość zatracona, słaż mi tu hnet!

Ka ta Stasek! dre się na gałęzi, a śleźć nie moze — ani w te strone, ani w te.

Toz to wzieny baby Nędze prosić, coby sie zlutował, coby juz puścił, wzieny przysięgać za syćkie dzieciska, co zadne jego jabłek nie tknie.

— No, dobrze. Kie tak, sliż-ze, Stasek, i hybaj w dóm. A pamietaj, chłopie, cobyś mi jabłek nie tępil, bo kie mi sie ty, lebo który w gałęziak zapłace, nie puscem, przy sam Bogu, nie puscem, choćbyś hań miał skapieć.

Jużci Stasek słaż i hybaj dó domu, ozesły sie baby i dzieciska.

Nędza ostał sam i zbanował sie. Luto mu było i Staska, i tych dziecisków, ale nie pedział nic. Ceka, kie jabka zeżrejom. Kie juz były godnie żrałe, — ale to były grzeczne jabka, wielgie jak pięść, po jednej stronie takie cyrweniate, po drugiej zólte, a słodkie jak miód, — juzci zebrał je Nędza piknie i do izbecki zniósł. Zapakło od nik po oborze tak, co aze cliwo za jabke było, kieś mimo seł. Baby i dzieciska ino sie obzierały na Nędzową chałupinę.

I dobrze, nabrał Nędza jabłek w kosalku, idzie bez wieś i daje ludziom, babom, dzieciskom, — napirwy Staskowi. Ale! on ta i zy-



dowi dał, a i cyganom, kie go cały kierdel na drodze zastąpił, bo to była strasznie miłosierna chłopina.

Toz to zesło jedno i drugie lato, jabka sie rodzom, co nie tak ale, — a Nędza jako Nędza: był dziad i dziade ostał. Telo ino miał hasnu, co sie z tyk jabłek uradował, a ludziom ozdał.

III.

Jednej jesieni zesłało chłopiątko. Wziena go drzec krzypota, juźci lezy se w izdebce, a bez okienko widzi jabka, co hań kie świecki gorejom z pomiędzy liści. I tak se myśli:

— Zjadbyk z jedno, coby mi sie gościec nie doprociwił, — alek słaby.

Lemze se tak pomyślał, juźci słysy, cosik sie dźwirzy łapiło i otwiera...

...Ino malučko wyjrzało. Nędza hnet wiedział, co to Śmierć.

— Tużeś! — myśli se.

— Niek bedzie pokwalony.

— Niekze bedzie. I cóz ta powiesz?

— Zje ta i powiem niewiele, ale moze przegadamy ze dwa słowa. Wis, chłopie, juz na cie cas. Dosyć-eś na tym świecie pozyl — hybaj na tamten, cobyś pozrał, cy hań co ciekawego nimas.

— He! — rzece Nędza, — nie taki ja ciekawy tamtego świata. Abo mi tu źle? Ludzie mie za co majom, — dudek sie ta, po prawdzie, u mie nie zwysy, ale co mi ta dudek płaci! Kiek rad co zyjem, kie mie świat ciesy, ludzi rad widzom, dobrze mi, śleobodno i wesolo. Nie pilno mi z tela.

— He, bracie! Cy ci ta pilno, cy ni, moje prawo takie, co cie musem Panu Bogu odprowadzić, bo na cie ceka.

— Zje co mi ty sklis! Grześnik Panu Bogu nie cudny, a i dziad ni. Nie bedzie mu za mnom cliwo, choćy mie i sto roków dłuzej nie widział.

Ozezliła sie Śmierć:

— Cóż mi sie ty, dziadu, bedzies prociwił. Królowie mie słuchajom, co im dwa razy jednego nie gadam, a tu mi taki stary grzyb kce przewodzić!

— Cóżeś sie tak ozpajedła! Dy mi naostatek telo płaci tu żyć, jako i tam. Ka bedem, to bedem, nie bedzie mi cliwo, bo nie bedem sam, ba bedzie nas więcej.

— A najwięcej u djabła w sopie! — wrzescy Śmierć ze złości.

— I co sie ja go mam bać! Abo Bóg Przenaświętsy za mnie na krzyzu nie umar? Stras baby djable, nie mnie.

Juźci widzi Śmierć, co go pyske nie przesili, — mówi po dobroci:

— Wiecie, ociec, jaby i sama rada was ostawić, ale cóz robiła bedem, kie je taka wola Boska.

— Ha, kie wola Boska, to co innego. Pański ozkaz — chłopka sluzba, ja sie woli Boskiej nie sprociwim. Hnet ja ci sie tu wybierem, ino wies, jako ci powiem: wis, hań na oborze, jakie jabka pikne, źrale, radbyk z jedno zjeść, bo mi zaś hań takik nie dacie, alek słaby. Kie mas wolom i cas, wliź na jabłoń a przynieś i mnie i sobie.

— Dobrze — pada Śmierć ledwo rada — krztyne casu mam! — i posła ku drzewu. Skoro wlazła, mój Nędza, choć i słaby, hybaj za niom — i woła:

— Wlazłaś? No, to se hań odpocnij, boć sie prawie domęcyła tak światami goniąc, a lud kosąc. Jabka ci paknom? Co? Psia kość zatracona! Bedzies ty tam siedzieć do dnia sądnego. He! Śmier-tecko, nie pozałuje cie nik. Cheba notareus po tobie zbanuje, co mu sie dostamentów pisać nie dostanie. Niekze! Niekze! Ja ta po tobie płakać nie bedem. He! jak to ci tam dobrze na tej gałęzi! Siednij se na kwile, zakiel na sąd ostatecny nie zagrajom. Siednij, niekze i świat przez tobie odpocnie.

A Śmierć tardze sie hań, kie niedźwiedz w oklepcu i dre sie:

— Bój sie Boga, cłeku, nie gub ty mie do ostatka! Dy ja z Boskiego ozkazu musem iść. Nie mieskaj mie, nie despetuj, bo mi juz dawno cas do roboty.

— Kiebyś z dobrimi rze-cami sła, puściłbyk cie hnet — rzece Nędza. — Aleś ty jako ryś, ino patrzys, ka ludziom do gardła skocyc. Ka sie ty powinies, ino płac, lament, a sieroty. Dość tego — nie pódzies z tela!

— Cyś ty sie, dziadu, wściók, co sie Boskiemu prawu prociwis? Cóż ty se twoim głupim rozumie bieres światie rządzić? Cy ty nie wies, co kie je pocątek — musi być i koniec, kies sie rodził — musis umierać!

— No, kie syćkiemu je koniec, to i na cie przysel. Siedz cicho, nie drej sie, bo cie i tak nie puscem.



— Puść! Nie bede ja, przyńdzie inna. Dla jednego Nędze Bóg świata nie odmieni. Wis, słonko sie na odwiecerz chyli, a ty mie tu trzymies! Śmierci nie ujdzies, bo ci pisana, jako i kazdziućkiemu stworzeniu, jako i calućkiemu światu, ino mie do kłopotu, do biedy przywiedzies i Pana Boga na sie ozgniewas. Puść!

— Ha, — rzece Nędza — wola Tego, co świat Jego. Mam umrzeć tak, cy siak, niekze choć na kwile pozyjem. Kiehyk cie puścił, hnet byś mie tu zadzgała, racej pockam, zakiel innym pacholke po mnie odkazom.

Zmilcała Śmierć na kwile, ozmyśluje... Naostatek rzece:

— Wies, ociec, wydajmy se takie prawo: ty mie puścisz, a ja cie na świecie ostawim, pokiel ostatniego cłowiek nie zabierem. Puść!

Nie uwierzył odrazu Nędza.

— Ale! Tybyś mie tu ostawiła! Cłowiekowi nie kazdemu mam wierzyć — a tu dopiero takiej stworze, co cie djasi... Ani nie bedem klon, ale kaz cie z twojem prawem bedem sukał, kie juz bedem tam?

Ozwściekliła sie Śmierć:

— I co mi ty kosalki opalki — kapce, rękawice bedzies pleść!

Jako ci powiem — tak i wyko-
nam. Choć ta śmierć ino Boski pacholek, ale proci ciebie, dziadu — wójt! Ty mi sie nie prociw! Uwazuj, cohyś zakiel słonko siednie, nie lezał w truchle — grzeźniku!

Zląkł sie Nędza.

Myśli se:

— Cóż ja ci tu bedem robił?...
Uchylił sie poza dźwirze i rzece: — No, to se idź!

Ludzie na świecie! Kie sie Śmierć pomkła w świat, to sie ino za niom kurzyło.

L Nędza ostał i do dnia sądneho świata nie popuści.

Stanisław Witkiewicz (1851—1915).

PRZYSŁOWIA.

Kręć się, wierć, przyjdzie śmierć. — Śmierci szukać nie trzeba, sama przyjdzie. — Śmierć jest głucha, nikogo nie słucha.

Objaśnienia: Cale opowiadanie w gwarze podhalańskiej, której jednak tylko pewne cechy uwytatuiono. Tak np. zupełnie pominięto tu *u* = *o*, bezwzględnie obowiązujące na Podhalu, a *é* zastąpiono raz przez *e*, to znów przez *i*. — *Malučko namieniało na świtanie* = ledwie switało. — *Na śródwiecerz słonka* = przed zachodem, pod wieczór. — *Poślakowali* = wpadli na ślad, znaleźli ślad. — *Lemze* = ledwie. — *Zmirkalo* = zmierzchało. — *Wanta* = kamień, skała. — *Wnetki* = wnet. — *Burzyć* = hałasować, tu: zburzyli do dźwirzy, zapukali do drzwi. — *Z nuka* = z wnętrza. — *Krzypicie* = kasłać. — *Boćkać* = całować. — *Zbacyć* = przypomnieć. — *Harbić się* = wstydić się. — *Ozduchać* = rozdmuchać. *Karkoska* = smolny, twardy sęk po przegniełm drzewie, którego używano do oświetlenia izb. — *Kraicek moskalička* = kawał placka owsianego. — *Grulęta, grule* = kartofle. — *Kwaśnica* = sok z kwaśnej kapusty. — *Moc* = wiele. — *Chybiac* = brakować. — *Rajtok* = wiaderko na mleko. — *Zagłówek* = poduszka. — *Cuha, Cuska* = zwierchnie ubranie górali, oponcza, gunia. — *Zje ba* = zje, zjeć, zeć, zedyć często używane w odpowiedziach. Zależnie od sensu ma różne znaczenie. — *Udukkować* = uczyć. — *Wycytować* = wymawiać. — *Przewieś* = oszukać. — *Obora* = podwórze. — *Pierom skalami* = piorą, rzucają kamieniami. — *Zawidzieć* = zazdrościć. — *Mierzi* = niemilo mi. — *Pokiel* = dopóki. — *Słonko piknie zenie* = pięknie grzeje. — *Przyznać się do kogo* = poznać kogo. — *Beu!* = bęc! — *Kufa* = gęba. — *Z tela* = stąd. — *Włada* = władza. — *Zlutować* = zlitować. — *Hybać* = biegnąć. — *Przy sam Bogu* = przysięgam Bogu, klnę się Bogiem, albo może: przy samym Bogu, na samego Boga. — *Banować* = smucić się. — *Luto mu bylo* = żal mu było. — *Kosalka* = koszyk ręczny. — *Kierdel* = stado. — *Co nie tak ale* = obficie. — *Hasen, hasnu* = zysk. — *Gościec* = reumatyzm, choroba, objawiająca się bólami w rozmaitych miejscach w stawach, mięśniach. — *Sie nie doprociwil* = nie sprzeciwiał się, nie przeszkadzał. — *Dudek* = dwa centy, przen. grosz. — *Nie zwysy* = nie oszczędzi. — *Placi* = wart. — *Ślebodno* = swobodnie. — *Sklić* = kłamać. — *Ozpajedzić się* = rozwścieklić się ze złości. — *Notareus* = notariusz, urzędnik, spisujący akty umów darowizny sprzedaży i t. p. — *Dostamenty* = testamenty. — *Przez tobie* = bez ciebie. — *Oklepce* = żelazne sidła. — *Mieskaj* = zatrzymuj. — *Despetować* = dokuczać, szkodzić. — *Na odwiecerz* = ku zachodowi. — *Odkazować* = posyłać. — *Djasi* = straszy, krzywdzi. — *Koszalki-opalki, kapce, rękawice* = głupstwa (kapce = obuwie). — *Proci ciebie* = przeciw tobie, wobec ciebie.

JAK ŚW. FRANCISZEK OTRZYMAŁ RADĘ OD ŚW. KLARY I ŚW. SYLWESTRA,

BY KAŻĄC, NAWRÓCIŁ WIELU LUDZI. I ZAŁOŻYŁ ZAKON TRZECI, I KAZAŁ DO PTAKÓW, I ZALECIŁ SPOKÓJ JASKÓLKOM.

Pokorny sługa Chrystusa, święty Franciszek, już wnet po nawróceniu swoim, zgromadziwszy i przyjąwszy do zakonu wielu towarzyszów, popadł w wielką troskę i wątpliwość, co czynić: czy oddawać się jeno modlitwie, czyli niekiedy też kazać? I pragnął w tym względzie poznać wolę Boga. A jako że święta pokora nie pozwałała mu przypisywać wiele ani sobie, ani modlitwom swoim, umy-

ślił poznać wolę Boga przez modlitwy innych. Przeto wezwał brata Macieja i rzekł: »Idź do siostry Klary i powiedz jej ode mnie, by wraz z kilkoma najbogobojniejszymi towarzyszkami prosiła Boga, aby raczył objawić mi, co lepiej: czy oddawać się kazaniu, czy tylko modlitwie. A potem idź do brata Sylwestra i powiedz mu to samo«. Był to ów Sylwester, który jeszcze jako człowiek świecki widział wychodzący z ust świętego Franciszka krzyż złoty, sięgający wzdłuż aż do nieba, a wszczegółowo po krańce świata. Brat Sylwester był takiej pobożności i takiej świętości, że o co Boga prosił, osiągał i bywał wysłuchany, i często mówił z Bogiem. Przeto święty Franciszek ufał mu wielce. Brat Maciej poszedł i wedle rozkazu świętego Franciszka był z poselstwem naprzód u świętej Klary, potem u brata Sylwestra. Ten usłyszawszy je, natychmiast padł do modlitwy i, modląc się, otrzymał odpowiedź Boską, i wrócił do brata Macieja i rzekł: »To mówi Bóg, abys rzekł świętemu Franciszkowi, że Bóg powołał go do tego stanu nie tylko gwoli niemu, lecz aby hodował owoce dusz, i by wielu przezeń zostało zbawionych«. Taką otrzymawszy odpowiedź, brat Maciej wrócił do świętej Klary, by dowiedzieć się, co zyskała od Boga. A ona odrzekła, że otrzymała wraz z towarzyszkami tę samą od Boga odpowiedź, którą otrzymał brat Sylwester. Brat Maciej wrócił z tem do świętego Franciszka. A święty Franciszek z największą przyjął go miłością, obmył mu nogi i przygotował posiłek. Po jedzeniu wezwał brata Macieja do lasu i, uklękawszy przed nim, ściągnął kaptur, skrzyżował ramiona i spytał: »Co każe mi uczynić Pan mój, Jezus Chrystus?« Odrzekł brat Maciej: »Tak bratu Sylwestrowi, jak i siostrze Klarze wraz z innymi siostrami, odpowiedział Chrystus i objawił, że wolą jego jest, byś chadzał po świecie i kazał, gdyż wybrał ciebie nie tylko gwoli tobie, lecz także dla zbawienia innych«. Usłyszawszy tę odpowiedź i poznawszy z niej wolę Jezusa Chrystusa, święty Franciszek powstał z największym zapalem i rzekł: »Chodźmy w imię Boże«. Wziął za towarzysza brata Macieja i brata Anioła, ludzi świętych. Idąc w ducha rozpedzie, nie dbając o drogę ni ścieżkę, doszli do grodu pewnego, który się zwie Sawurniano. I zaczął święty Franciszek kazać. Najpierw jaskółkom, które świegotwały, rozkazał się uciszyć, póki nie skończy kazania. I usłuchały jaskółki. A kazał z taką żarliwością, że wszyscy mężczyźni i kobiety tego grodu chcieli w pobożności iść za nim i gród ten opuścić. Atoli święty Franciszek nie pozwolił, mówiąc im: »Nie spieszcie się i nie odchodźcie; a ja powiem wam, co dla zbawienia dusz waszych czynić macie«. Wówczas umyślił założyć Zakon Trzeci dla zbawienia powszechnego. I zostawił ich wielce pocieszonych i do pokuty gotowych, i od-

szedł. I przybył w okolicę między Caunaio a Bevagno. Idąc z zapalem tym dalej, podniósł oczy i ujrzał drzew kilka obok drogi, a na nich mnóstwo nieskończone ptaków. Więc dziwił się święty Franciszek i rzekł do towarzyszy: »Czekajcie mnie tu na drodze, pójdę kazać do mojej braci ptaków«. Wszedł na pole i tu zaczął kazać do ptaków, które siedziały na ziemi. I wnet te, które były na drzewach, zleciały ku niemu i wszystkie siedziały nieruchomo, póki święty Franciszek nie skończył kazania. Również i potem odleciały nie prędzej, aż im udzielił błogosławieństwa swego. Wedle tego, co opowiadał później brat Maciej i brat Jakób z Massy, święty Franciszek chodził pośród nich, dotykając ich suknią, lecz żaden się nie ruszył. Treść kazania świętego Franciszka była taka:

— Ptaszki, braciszki moje, bądźcie bardzo wdzięczne Bogu, Stwórcy swemu. Zawsze i na każdym miejscu winniście go chwalić, bowiem pozwolił wam swobodnie latać wszędzie i dał wam odzienie podwójne i potrójne. I przeto jeszcze, że zachował wasz rodzaj w arce Noego, by nie ubyło rodzaju waszego. Bądźcie mu również wdzięczne za żywioł powietrzny, który wam przeznaczył. Nadto, nie siejcie i nie żniecie, a Bóg was żywi i daje wam rzeki i źródła do picia; daje wam góry i doliny dla schrony i drzewa wysokie do budowania gniazd waszych. A chociaż nie umiecie prosić ani szyc, Bóg was odziewa i dziatki wasze, więc kocha was bardzo wasz Stwórca, skoro wam tyle zsyła dobrodziejstw; strzeżcie się, bracia moi, grzechu niewdzięczności i starajcie się zawsze chwalić Pana Boga«. Kiedy święty Franciszek mówił te słowa, wszystkie ptaki zaczęły otwierać dzioby, i wyciągać szyje, i skrzydła rozwijać, i z czcią schylały głowy aż do ziemi, okazując ruchami i ćwierkaniem, że ojciec święty sprawia im rozkosz wielką. A święty Franciszek wraz z nimi cieszył się i radował; dziwił się wielce takiemu ptaków mnóstwu, ich rozmaitej piękności, ich uwadze i oswojeniu. Przeto pobożnie chwalił w nich Stwórcę. Wreszcie, skończywszy kazanie, święty Franciszek uczynił nad nimi znak krzyża i pozwolił im odlecieć. Wówczas wszystkie ptaki wzbiły się w powietrze wśród cudnych śpiewów. Potem wedle znaku krzyża, które uczynił święty Franciszek, rozdzieliły się na cztery części: jedna poleciała na wschód, druga na zachód, trzecia na południe, a czwarta na północ, a każdy rój leciał, śpiewając śpiewy cudne. Wyrażały tem, że jak święty Franciszek, chorąży krzyża Chrystusowego, kazał do nich i uczynił nad nimi znak krzyża, wedle którego rozleciały się na cztery świata strony, tak też kazanie o krzyżu, który Chrystus odnowił dla świętego Franciszka, ma roznieść się przezeń i przez braci po świecie całym. A bracia ci, podobni ptakom,

nie mają nic na tym świecie, co by swoim zwać mogli, i jeno Opatrzności Boskiej powierzyli swe życie.

Przekład Leopolda Staffa.

Objaśnienia: *Św. Franciszek* z Asyżu, właściwie Giovanni Bernardone, ur. w mieście włoskiem Assizi 1182 r., zmarł 1226. Młody, lekkomyślny światowiec, gdy w 25-tym roku życia powrócił do zdrowia po ciężkiej chorobie, której się nabawił w czasie wyprawy przeciwko Perudźji, rozdał całe mienie ubogim i począł służyć bliźnim, opiekując się trędowatymi. Otrzymałszy od przełożonego Benedyktynów na górze Subiaco część gruntów (Porcjunkulę) wraz ze zrujnowanym kościołkiem, osiadł tutaj i założył zakon *św. Franciszka Braci Mniejszych* czyli *Minorytów*. Papież Grzegorz IX (1227—1241) zaliczył go w poczet świętych. Około postaci świętego opłoty się najcudniejsze legendy, które złożyły się na zbiór, zwany *»Kwiatkami św. Franciszka«*. Przerobione z łaciny na włoski w XIV w., stanowią one jeden z najcenniejszych zabytków prozy starowłoskiej. — *Święta Klara* (1194—1253) opuściła potajemnie dom rodzicielski i za namową *św. Franciszka* wstąpiła do klasztoru Benedyktynek, następnie zaś założyła pierwszy zakon *Franciszkanek*, znany we Francji pod nazwą *Klarysek*. — *Do zakonu trzeciego*, *Tercjary* *św. Franciszka*, należeli członkowie *świeccy*, którzy, nie składając ślubów uroczystych, obowiązani byli do pełnienia pewnych przepisów życia religijnego, odmawiania pewnych modlitw, służenia interesom zakonu.

ZE »ZŁOTEJ LEGENDY« BŁOGOSŁAWIONEGO JAKÓBA DE VORAGINE.

Święty Jan, który mieszkał w Efezie aż do późnej starości, stał się tak słaby, że uczniowie jego musieli go nieść do kościoła, i mógł ledwo otwierać usta; lecz co chwila powtarzał jedno i to samo zdanie: »Dzieci moje, miłujcie się wzajem!« Otóż pewnego dnia wierni, którzy byli przy nim, dziwując się, że powtarza zawsze to samo, spytali go o przyczynę. I święty odrzekł im: »Bo jest to wielkie przykazanie Pana; i jeśli się to jedyne stosuje, to wystarczy.«

Przekład Leopolda Staffa.

Objaśnienia: *»Złota legenda* albo dzieje lombardzkie. Legendy o świętych, zebrane przez brata *Jakóba de Voragine*, rodem z Genui, członka zakonu braci *Kaznodziei*. Książkę napisał *Jakób* ur. 1128 r. w miasteczku *Viraggio* pod Genuą, dominikanin, zmarły w 1298 r. na stanowisku arcybiskupa *Genui*. Książka zawiera na wszystkie dni roku rozpamiętywania żywotów odpowiednich świętych, po dziś dzień popularna, czytana i kochana jak *»Kwiatki św. Franciszka«*. — *Błogosławiony*, niższy stopień świętego, *świętobliwie* zmarły. — *Św. Jan* Apostoł, autor czwartej Ewangelji, pochodził z *Betsaidy* nad jeziorem *Genezaret* w *Galilei*, z rodziny rybackiej; był najpierw uczniem *Jana Chrzciciela*, później należał do ukochanych uczniów *Chrystusa*. Przed r. 70 po *Chrystusie* opuścił *Jerozolimę* i przeniósł się do *Efezu* w *Azji Mniejszej*. Zesłany na wygnanie na skalistą wyspę *Patmos* na morzu *Egej-*

skiem, tam spisał swoją *»Apokalipsę«* czyli *»Objawienia«* o przyszłości *Kościoła Chrystusowego*. Po powrocie do *Efezu* prowadził dalej pracę apostołską, tu prawdopodobnie napisał *Ewangelję* i listy. Zmarł około r. 100.

BARWA POLSKA I ORZEŁ POLSKI.

Wiemy wszyscy, że godłem herbowem polskiem jest Orzeł biały z koroną na głowie, lecz, jeżeli chodzi o wyobrażenie tego godła plastycznie, powstają tak nieheraldyczne jego kształty, że niezajomość jest rażąca.

Przystępując do właściwego tematu, trzeba dla lepszego zrozumienia przywieść na pamięć zasadnicze prawidła heraldyki, które obowiązują i zmienianemi ani odmienianemi być nie mogą. Znaki i godła herbowe wyrażano w tak zwanych tynkturach heraldycznych, to jest barwach, któremi są: naprzód dwa metale: złoto i srebro, czyli barwa żółta i biała, i cztery barwy: czerwień, lazur, zieleń i czern. Te tylko zasadnicze tynktury zna heraldyka i temi się posługuje. Nie istniały więc i nie istnieją w heraldyce żadne półtonowe barwy, nie istnieje więc żaden kolor różowy, amarantowy, cytrynowy i t. p. Prawidłowość tynktury heraldycznej musi być przy wyobrażeniu barwnem herbu zachowana i to tylko w tonach pełnych.

Znak i godło herbowe jest wtedy dopiero ściśle herbem, gdy umieszczone jest na tarczy herbowej, czyli, ogólnie mówiąc, w polu herbowem, to jest w ściśle zakreślonym miejscu. To pole herbowe — właściwie tarcza herbowa, ma również swoją barwę. W stosunku barwy godła i tarczy heraldyka przestrzega zasady, żeby nie znajdował się metal na metalu lub barwa na barwie, lecz tylko metal na barwie i odwrotnie, barwa na metalu. Znaczący to, że godło herbowe złote (żółte) nie może być na tarczy srebrnej (białej), lecz tylko na tarczy o barwie jednej z czterech zasadniczych barw, więc na tarczy niebieskiej, czerwonej, zielonej lub czarnej. Również nie może być godło czerwone (to jest farba) umieszczone na tarczy np. czarnej czy zielonej lub niebieskiej, tylko jedynie na metalu, t. j. na żółtej barwie lub białej.

Ta mała ilość barw (w ogólnej ilości), jakimi heraldyka się posługuje, tłumaczy nam, dlaczego herby rodów i państw różnych używają tych samych barw, i dlaczego np. na chorągwiach różnych państw nie jest wszystko jedno, w jakim porządku, w jakim ułożeniu i w jakiej ilości te barwy następują. Zwracać jeszcze trzeba uwagę na to, jak określa heraldyka stronę prawą i lewą każdego herbu, ponieważ w tej sprawie są nieporozumienia. Heraldyka, mówiąc np. o stronie prawej tarczy lub herbu, bierze zawsze tę stronę

czy herb jako podmiot, a nie ze stanowiska patrzącego na tarczę czy herb. Prawa strona tarczy herbowej jest więc po lewej ręce od patrzącego na nią. Jeżeli heraldyka określa, że orzeł w herbie polskim ma głowę, zwróconą w prawo, to od patrzącego głowa ta zwrócona będzie w stronę lewej ręki patrzącego — a w prawą stronę orła jako podmiotu. To nieodróżnianie strony prawej i lewej w pojęciu heraldycznym sprawia, że widzimy często orła polskiego, któremu heraldyka przepisuje zwrot głowy w prawo (jako podmiotu), ze zwróconą głową w prawo, lecz ze stanowiska patrzącego, t. j. po jego prawej ręce. Taki orzeł heraldyczny polski jest mylnie przedstawiony, ponieważ ten zwrot głowy w stronę prawej ręki patrzącego na herb jest heraldycznie zwrotem w lewo.

Na jednej tarczy herbowej może być albo jedno godło herbowe, lub dwa i więcej. Jeżeli jest więcej godeł herbowych, w takim razie tarcza dzieli się na części czyli pola, i w każdym takim polu jest umieszczone godło. Pola tarczy herbowej mają swój szereg, t. j. 1-sze, 2-gie, 3-cie i t. d., i w tym porządku liczbowym pierwsze pole jest szacowniejsze niż drugie, drugie niż trzecie i t. d. Jeżeli więc na tarczy herbowej mają być dwa godła herbowe oddzielne, to tarcza dzieli się na dwa pola albo poziome, albo pionowe. W pierwszym wypadku pole poziome górne jest pierwsze, a pole dolne drugie; w drugim wypadku (jeżeli są dwa pola pionowe) pierwsze miejsce jest po stronie prawej heraldycznie, drugie po stronie lewej. Podobne zasady obowiązują także, jeżeli na tarczy ma być cztery lub więcej godeł umieszczonych.

Heraldyka ma swój sposób graficznego oznaczania barw czyli tynktur heraldycznych, jeżeli tych kolorów dla jakichś względów — np. w druku jednobarwnym, w rzeźbie użyć nie można. Srebro czyli tynktura biała oznacza się tłem białym, złoto czyli barwa żółta ma tło białe z kropkami; tynktura czerwieni oznacza się szrafowaniem kresek równoległych pionowych; tynktura lazuruwa — kreskami równoległymi poziomymi, czerń oznacza się kratkami, a tynktura zielona — szrafowaniem linii równoległych, ukośnie położonych od strony prawej heraldycznie ku lewej.

W zastosowaniu praktycznym graficznego oznaczenia barw herbu polskiego wskażemy na przykład obecnych znaczków pocztowych polskich. Widzimy na niektórych Orła polskiego na tle, szrafowanym równoległymi kreskami poziomymi. Każdy herb na takim tle czyli polu odczytuje heraldyk jako umieszczony na polu niebieskiem. Ponieważ Orzeł polski ma być na polu czerwonym, przeto graficznie powinno to pole być szrafowane równoległymi kreskami pionowymi. Na markach polskich czy wogóle na znacz-

kach tego rodzaju, na których projektujący artyści umieszczają Orła polskiego, powinno być pole Orła znaczone kreskami pionowymi (barwa czerwona), a nie poziomymi, które oznaczają barwę niebieską, jeżeli już to pole herbowe artysta kreskowanym tłem wypełnia. Linje pionowe nie zmieniają efektu plastycznego rysunku, a będą w zgodności z zasadami heraldyki i świadczyć będą o umiejętności i poważnym zajęciu się nawet w takich sprawach, jak znaczki pocztowe polskie.

Godłem herbowym Polski jest orzeł srebrny czyli biały z rozpostartymi w bok skrzydłami; głowa orła zwrócona w prawo, na jego głowie osadzona złota (żółta) korona, orzeł więc jest ukoronowany. Dziób i szpony orła żółte.

W wyobrażeniach Orła polskiego, jakie często spotykamy, znajdują się przedewszystkiem dwa fałsze. Jeden to zwrot głowy zamiast w prawą stronę heraldyczną, w stronę lewą, drugi to ten mylny szczegół, że koronę orła widzimy luźnie umieszczoną nad jego głową, zamiast — jak być powinno — spoczywającą na głowie. Luźnie umieszczona korona nad głową orła stanowiłaby według zasad heraldyki drugie obok postaci orła godło herbowe, a takiego drugiego godła w herbie polskim niema.

Orzeł jako godło herbowe Polski pojawia się po raz pierwszy na pieczęci Leszka Białego, księcia sandomierskiego i krakowskiego. Pieczęć tę znamy z dokumentu z r. 1228, przywieszoną doń przez wdowę — księżnę Grzymisławę. Leszek Biały umarł w r. 1227, księstwo krakowskie odzyskał w r. 1202, więc pieczęć jego z orłem powstała przed r. 1227, a najwcześniej po roku 1202: Orzeł herbowy księstwa krakowskiego za czasów Leszka Białego nie ma na głowie korony. Orła polskiego z koroną na głowie widzimy dopiero na grobowcu Piastowica: Henryka II Pobożnego († 1241), księcia śląskiego i krakowskiego, znajdującym się w kościele św. Krzyża we Wrocławiu, a pochodzącym z pierwszej połowy XIII wieku. Korona na głowie orła w tarczy herbowej Henryka Pobożnego była godłem jedności i udzielności państwa polskiego. Konsolidowanie dzielnic polskich poczęło się od czasów tego księcia a dokonało następnie za Przemysława i Łokietka.

Orzeł z koroną na głowie jest też na pieczęci Przemysława z r. 1290 — więc przed jego koronacją na króla. Na pieczęci tej wyrażony jest książę z mitrą książęcą na głowie, w prawej ręce trzyma proporzec z orłem ukoronowanym, w lewej tarczę również z orłem ukoronowanym, zwróconym głową w prawo. Taki sam proporzec i tarczę z orłem ukoronowanym widzimy także na pie-

części Władysława Łokietka, jako jeszcze księcia krakowskiego. Już więc na pieczęciach książąt krakowskich znajduje się orzeł z koroną na głowie, zatem korona ta nie oznaczała władzy królewskiej, lecz skonsolidowane Państwo Polskie. To godło herbowe Polski zjednoczonej i suwerennej, a pierwotne godło herbowe księstwa krakowskiego, orzeł z koroną na głowie, było od połowy XIII wieku zawsze herbem państwa polskiego. W późniejszych epokach mają pieczęcie królewskie z tem godłem herbowem na znak władzy królewskiej jeszcze koronę królewską na szczycie tarczy. To jest powszechna reguła, i tak przedstawia każde państwo o formie rządu monarchicznej swój herb państwowy.

Skądże wiemy o barwach herbu polskiego? Wyobrażenia herbu na pieczęciach nie wykazują tych barw. Mamy je jednak wyrażone w herbie polskim na sarkofagu Henryka Pobożnego. Sarkofag był polichromowany, i herby na nim były również tynkturami heraldycznymi oznaczone. Wśród nich herb polski ma orła białego na czerwonej tarczy, i w tych kolorach opisał go też Długosz.

W sposobie wyobrażenia herbu polskiego musi być zachowany ten wzgląd, że orzeł ma wypełniać całą tarczę herbową. Niewłaściwe jest więc umieszczanie orła na środku tylko tarczy z dużym wolnym polem naokoło niego.

Tarcza herbowa jest przeznaczona tylko na godło herbowe, nie mogą też być na niej umieszczane napisy ani władz państwowych, ani instytucyj.

Na proporcji czyli chorągwi ułożenie Orła białego tak w stosunku do całej płachty czyli pola, jak i w stosunku do ratyszcz (drzewa chorągwi) podlega przepisom, przyjętym i zachowanym przez heraldykę. Postać Orła białego ma być wyrażona na całej wielkości płachty, dochodząc prawie do skrajów pola (płachty). Druga reguła określa stosunek godła herbowego do drzewca chorągwi. Przepisuje ona, że godło herbowe, o ile jest figuralne i nie ułożone nawprost, musi być zwrócone do drzewca chorągwi. Orzeł więc biały na chorągwi polskiej, który w ułożeniu swoim jest nawprost ze zwróconą głową w prawo, musi mieć ten zwrot głowy ku ratyszczowi czyli drzewcu chorągwi. Jeżeli więc na chorągwi polskiej godło herbowe (Orzeł biały) będzie umieszczone na obu stronach płachty, w takim razie w myśl obowiązującego przepisu heraldyki Orzeł po jednej stronie płachty musi być głową zwrócony do ratyszcz. Będzie więc z jednej strony ten orzeł miał głowę zwróconą w prawo heraldycznie, a z drugiej strony w lewo.

Chorągiew polska o barwach narodowych a zarazem pań-

stwowych, jest biało-czerwona. Barwy te: biała i czerwona są tynkturami herbu polskiego, t. j. białego orła i czerwonej tarczy. Orzeł biały jest godłem herbowem, więc głównym znakiem (tematem) herbu polskiego. Barwa zatem biała jest barwą główną, pierwszą. Czerwona barwa, oznaczająca tynkturę tarczy, jest drugą w porządku barwą herbu polskiego. Dlatego w tworzeniu chorągwi polskiej i tynkturach heraldycznych herbu musi być zachowane najściślej i jedynie następstwo porządkowe farb: barwa biała musi być na pierwszym, czerwona na drugim miejscu wyrażona. Płachta chorągiewna o tych barwach heraldycznych zastępuje tarczę herbową z jej godłem. Na takiej zaś tarczy, na której godło zastąpione jest jego tynkturą heraldyczną, musi nastąpić wyodrębnienie głównego tematu od barwy, na której on się znajduje, czyli tarczy — t. j. płachta chorągiewna podzielona być musi na 2 pola czyli strefy, i w tym podziale pierwsze miejsce zajmie tynktura orła, t. j. barwa biała, a w drugim tynktura tarczy czyli barwa czerwona. Podział na dwie części czyli strefy w chorągwi polskiej został przeprowadzony w kierunku poziomym w stosunku do pionowo ustawionego drzewca chorągwi. Przy takim poziomym podziale tarczy na dwa pola reguła heraldyczna — jak wiemy — przyjmuje pole górne za pole pierwsze, dostojniejsze, a pole dolne za pole drugie w porządku. Na polu górnym chorągwi polskiej, jako na miejscu pierwszym musi więc być barwa biała, a na drugim, dolnym — barwa czerwona.

Ten porządek kolorów musi być zachowany i na innych oznakach barwy narodowej polskiej: na opaskach, szarfach, kokardkach. Kokarda narodowa powinna mieć środek (serce) biały, otoczony drugą dolną tynkturą, t. j. kolorem czerwonym.

Adam Chmiel.

Objaśnienia: *Godło*, znak, herb, znak rycerski, szlachecki, odróżniający pewną rodzinę od innych rodzin, miasto od innych miast, państwo od innych państw. Nauka o herbach nazywa się heraldyką. — *Szrafitować*, szrafować, cieniować kreskami. — *Skonsolidowane*, zespolone, zjednoczone. — *Polichromowany* z gr., wielobarwny, pokryty barwami.

GODŁO POLSKI.

Wszelka wielka idea szuka swego symbolu — jakiegoś widomego znaku, któryby ją zaraz każdemu przypomniał, a przez to ją gruntował, utrwał i szerzył.

Duch narodu żąda takiego symbolu.

Nasz najgłębszy ideał czyż nie ma swego wyraźnego, zupełnie dokładnego symbolu?

Orzeł biały! nie podły drapieżca, lecz rycerz pokoju bez skazy i plamy, bezprawia wróg, bojownik słuszności i prawa.

Orzeł biały — czy zajrzał kiedy innym wolności i ziemi? Skrzydłami, nie szponami, podbijał Litwę, Pomorze, Inflanty, Węgry i Czechy, swą szlachetnością białą ku sobie pociągał.

I orłem ma pozostać białym, nie gołębiem. Albowiem gołąb sępów nie zwalczy, a podłość i drapiestwo są uzbrojone od stóp do głów...

Szczególny to zaiste traf, że przypadkowy herb państwa stać się może tak dokładnym symbolem ducha narodu, jego najgłębszego ideału: szlachetności, sprzężonej z tężyzną!

Więc wlejmy w ten znak nasz wielki ideał. Zróbmy z herbu państwa — herb ducha narodu! I niech ten herb obywatel polski nosi w swem sercu.

Niech młodzież ukocha ten symbol, niech podniesie ku niemu serca swe młode, aby te serca w stal zahartował szlachetną, aby z tych serc zbudował sobie gniazdo rycerskie.

Niech młodzież podniesie ku niemu ramiona swe młode, by je nauczył dźwigać Ojczyznę — wysoko, spodem i karnie, by je zaprawił do pracy wytrwałej — do pługa, młota i miecza, by je zamienił w łuki, napięte do czynu i sprawne!

Według A. Dobrowolskiego.

WŁADYSŁAW ŁOKIETEK.

Już noc swe smutne rozpostarła cienie,
Gwar tylko słycać wojennego ludu,
Tu, owdzie, ognisk rozdęte płomienie,
Przy nich w spoczynku z długich walek trudu
Wsparci na tarczach wojownicy stali
I o przypadkach bitwy rozmawiali.

Niekiedy księżyc, wychodząc z obłoków,
Okropnej bitwy ukazywał ciosy,
W równinach Płowców i w głębi potoków
Krzyżackich trupów niezliczone stosy,
Leżące konie, zabite rycerze
I połamane hełmy i pancerze.

Łokietek szczupły, lecz wytrwały w bojach
W dniu tym prowadził szyki natarczywe,

A chcąc na chwilę wypocząć po znojach,
Zdjął hełm i czoło ukazał sędziwe;
Skrwawione ręce obmył w zdroju czystym
I tuż pod dębem usiadł rozłożystym.

A mierząc okiem smutne bojowisko,
»Patrz, Kazimierzu! — zawołał na syna, —
Patrzaj na wojen srogie widowisko,
Skąd nieludności i pustyń przyczyna:
Ścięte w dniu jednym zaległo tę ziemię
Tysiąca matek nieszczęśliwych plemię.

Przecież wieść boje było mym udziałem,
Zasłaniać wszędy tę krainę biedną!
Potrzykroć z króla tułaczem zostałem,
A choćem ducha państwa złączył w jedno,
Choć siedmdziesiąt lat wiek już domierza,
Nie zdjąłem jeszcze twardego pancerza.

Taki los Polski: tu Krzyżaków szyki,
Tam Litwa niszczy i jeńców zabiera;
Tu Ruś zdradliwa, tam Tatarzyn dziki
Po włościach naszych mordy rozpościera:
Z niechętnym dzisiaj księżciem północy
W powinowactwie szukajmy pomocy.

Litewskim ludem władający ksiązę,
Stary Gedymin ma córkę nadobną;
Z tą ślub twój niechaj dwa narody wiąże.
Ani skarbami, ni szaty ozdobną
Ujrzysz ją synu: przyniesie ci więcej:
Pojmanych więźniów trzydzieści tysięcy«.

Skłania się ksiązę, i wkrótce posłowie
Stawią księżniczkę w domu królewicza
W sobolich szatach, z perłami na głowie,
Hożą, rumianą i gładkiego lica.
Schyleniem głowy męża najprzód wita,
Dziwi się gmachom i o wszystko pyta.

Przy samym ślubie i oddaniu ręki
Wkoło litewscy stali wojownicy:
Na barkach rysie, rozdarte paszczęki
Lwów srogich powierzch zdożyły przyłbicy;

Wąs zawieszony, wzrok ogniem się żarzy,
Obok powagi łagodność na twarzy.

Weselnym godom przydali najwięcej
W śnieżnym ubierze z kwiecistemi splety
Przez Gedymina powróceni jeńcy,
Starcy, mężowie, dzieci i kobiety;
Ci, widząc kraj swój po długich cierpieniach,
Radość swą w tkliwych wyrażali pieniach.

Łokietek tak się do ludu odzywa:
»Złamany wiekiem, trudami i wojny;
Synu mój, tobie ta ręka sędziwa
Zda wkrótce berło i kraj ten spokojny.
Jam musiał walczyć, ty korzystaj z boju
I spraw, by Polska zakwitła w pokoju.

Po tylu walkach krew, co jeszcze płynie,
Niech wsiąknie w ziemię, jeńce, com ci wrócił,
Niech zaludniają bezdomne pustynie,
Niech pług naprawia, co oręż wywrócił,
Wznoś gmachy, utwierdź kraj świętymi prawy
I w szczęściu Polski szukaj tylko sławy«.

Juljan Ursyn-Niemcewicz (1757—1841).

Objaśnienia: *Walek* = walk. — *Zabite rycerze*, biernik staropolski, dziś: zabitych rycerzy. — *Bojowisko* = pobojuwisko. — *Rysie* (domyśl. skóry). — *Paszczęki lwów srogich*, zam. zwierząt srogich. — *Przydał* (dom. ozdoby, świetności, radości). — *Splety* = sploty. — *Juljan Ursyn Niemcewicz*, poseł inflancki na sejm czteroletni, wybitny mówca, towarzysz i powiernik Kościuszki, pisarz, poeta. Utwór, podany tutaj, wyjęty jest ze zbioru »Śpiewów historycznych« (1818).

O DAWNYCH RĘKOPISACH.

Wiadomo, że przed wynalezieniem druku prace naukowe rozpowszechniano jedynie zapomocą przepisywania, i że wielu zakonników, a głównie Benedyktyni od czasu założenia ich reguły w pierwszej połowie VI wieku zajmowali się tą czynnością. Im najbardziej też zawdzięczamy przechowanie wielu ważnych dzieł odległej starożytności. Reguła Benedyktynów wkładała na nich między innymi obowiązek starannego przepisywania bibliji i dzieł liturgicznych, które zczasem zaczęli przyozdabiać minjaturami, jako »pracę miłą Panu Bogu«.

Przy niektórych znaczniejszych klasztorach zakonnicy ci po-

zakładali nawet szkoły i przyjmowali młodzież w celu przysposobienia jej wyłącznie do tego rodzaju pracy, a mianowicie do pięknego pisanego, malowania, wyrabiania pergaminu i wreszcie do oprawiania dzieł. Też same nauki pobierali i nowicjusze zakonnicy, a ciągle zapoznawanie się ich z mistrzami starożytności i późniejszymi mędrkami, oraz doktorami Kościoła, rozwinęło w owych zgromadzeniach zamiłowanie nauk. Powstawały więc w nich coraz nowe szkoły, zakwitła cywilizacja, która wyrosła na przechowanych szczątkach klasycznej literatury. Oświata miała tam niezaprzeczenie główne swe ognisko, z którego, poczynając już od VIII i IX w., zaczęła się rozszerzać po Europie, urządzającej się właśnie po kilkowiekowym chaosie, w jaki ją pograżyły wędrowki ludów i niszczący wszystko ich pochód, a wreszcie i sam upadek zachodniego państwa Rzymskiego.

Od VI w. widzimy Benedyktynów, zwożących do swych klasztorów starożytne rękopisy, rozrzucone po różnych zakątkach Europy i Azji; tworzą z nich liczne biblioteki, budzą z letargu życie umysłowe, wychowują młode pokolenia i tym sposobem rozsiewają promienie światła na wszystkie strony.

Taki jest początek sławy naukowej Benedyktynów, którą się słusznie po dziś dzień szczył. Zawdzięczają ją głównie regule, nakazującej im czytanie prac naukowych, zakładanie bibliotek, przepisywanie ważniejszych dzieł, ozdabianie ich minjaturami i t. p. zajęcia umysłowe. Z rozwojem instytucyj naukowych, z pomnożeniem się z tego powodu zapotrzebowań ksiąg pisanych nastąpić musiał podział różnorodnych czynności. Kiedy starsi i uczeńsi rozpatrywali i wybierali starożytne zabytki piśmiennictwa lub je komentowali, czy też oddawali się studjom, głównie teologicznym, — młodzież zakonna przepisywała starannie manuskrypty, zdolniejsi do malarstwa przyozdabiali je malowidłami, inni zaś oprawiali.

Mozolną pracą przepisywania zajmowały się również i zakonnice w swych klasztorach, a chociaż mała tylko liczba rękopisów, przez nie sporządzonych, się przechowała, jednakże fakt sam przepisywania przez nie, a nawet malowania, nie ulega wątpliwości; niektóre doszły do pewnej doskonałości w tej sztuce. Najwcześniejsze ślady, świadczące o tego rodzaju pracy zakonnicy, znajdujemy w rozporządzeniach biskupa Cezara z Arles (um. 542) dla założonego przezeń klasztoru, w którym ksienią była jego siostra. Czytamy tam mianowicie, co następuje: »W przerwach między pieniem psalmów, postami i czytaniem modlitw niech siostry w Chrystusie przepisyują księgi święte pod przewodnictwem samej ksieni«.

W XII w. częściej napotykamy imiona zakonnicy, trudniących

się przepisywaniem ksiąg. Siostra Herada, ksieni klasztoru Hohenburg w Alzacji, w roku 1195 napisała między wielu innymi dziełami dla swego klasztoru »Hortus deliciarum« czyli »Ogród rozkoszy«. Dzieło to stanowiło rodzaj wielkiej encyklopedji i zawierało wyciągi z Pisma świętego, z wszystkich ewangelij, zdania teologiczne z prac najslawniejszych ojców Kościoła i innych pisarzy religijnych, dalej Herada zamieściła rozprawy astronomiczne, geograficzne, filozoficzne, ustępy z mitologii starożytnej, z historii powszechnej, traktaty z wszystkich niemal wiadomości, a dla objaśnienia lepszego różnych przedmiotów przyozdobiła artystycznie pracę tę rysunkami i minjaturami. W przedmowie Herada, która wybornie władała językiem łacińskim, tak tę swoją pracę określa: »Tę księgę pod tytułem »Ogród rozkoszy« z natchnienia Bożego zebrałam jak pszczołka z różnych kwiatów świętych i filozoficznych pism i złączyłam w jeden jakby plastr miodu na chwałę i cześć Chrystusa i z miłości ku wam«.

Obszerna ta encyklopedja składała się z 324 kart pergaminowych in folio i była ozdobą biblioteki w Strasburgu przez kilka wieków, to jest aż do roku 1870, w którym podczas bombardowania Strashurga przez Niemców spalona została wraz z innymi bogatymi zbiorami naukowymi.

Pilna bardzo i zręczna w przepisywaniu była również w owym czasie siostra Leukardja w Mallerstorf, która, znając dokładnie grecki, łaciński i niemiecki, wzbogaciła bibliotekę klasztoru licznymi dziełami w tych językach. W bibliotece św. Bartłomieja w Frankfurcie nad Menem znajduje się rękopis z XIII w., bardzo artystycznie pisany i malowany na pięknym pergaminie. Na jednej z kart umieszczony jest w złoconej i misternie wykonanej literze O portret kobiety z napisem: »Tę książkę pisała i malowała Guda grzesznica«. W późniejszych wiekach kroniki rzadziej wspominają o podobnych zakonnicach.

Niektórzy utalentowani biskupi i arcybiskupi francuscy i angielscy również zajmowali się kopjowaniem i iluminowaniem dzieł treści religijnej, przepisyując często własną ręką biblije lub mszały dla uprzywilejowanego jakiego kościoła swej diecezji.

Ponieważ rozpowszechnianie ksiąg w ten sposób było nader mozolne i kosztowne, a więc rzadko dla kogo, a szczególnie dla uczącej się młodzieży przystępne, aby temu poczęści zaradzić, zaczęli uczeni i studenci podejmować się także przepisywania, wskutek czego powstała z czasem klasa pisarzy świeckich, piszących za wynagrodzeniem. Oni to przeważnie zaopatrywali biblioteki prywatne w dzieła różnej treści.

Trudniących się przepisywaniem zwano zwykle »scriptor«, »scriba«, albo »notarius«. Pisma ich poprawiali oddzielni korektorowie i rubrykatorowie, kładąc na końcu dzieła jako dowód przejrzania go wyraz »emendavi« (poprawiłem) lub »contuli« (porównałem, domyslnie: z oryginałem). Minjaturzystów nazywano »illuminatores«, »miniatores« lub »ornatores«. Skromne zaś cele klasztorne, gdzie podobna praca się odbywała, nosiły nazwę »scriptorium«. Na rękopisach pisarze prawie zawsze kładli swe nazwiska z oznaczeniem miejsc pobytu, zwykle na końcu księgi, czasem i w środku przy zamknięciu któregośkolwiek rozdziału, rzadziej zaś na początku dzieła, a to w tych słowach: »Explicit hoc opus (hic liber) per me«... »fini (vi) hoc opus«, »finitum est per me«... Na obrazkach przeciwnie, bardzo rzadko napotykamy nazwisko lub monogram iluminatorów. Trudno też odgadnąć, czy rękopis ozdabiał sam przepisujący, bo zdarzało się nieraz, że, ćwicząc się w jednej i drugiej sztuce, »scriptor« był zarazem i »ornatorem« dzieła.

Ozdabianie rękopisów również nie pozostało wyłącznie w ręku księży: powołani do czynności, mających większy związek z posługą Bożą, byli oni zmuszeni z czasem wycofać się z tej mozolnej pracy, która wymagała studjów specjalnych, i okoliczność ta przyczyniła się później do tego, że i świeccy artyści zaczęli się zajmować iluminowaniem rękopisów. W XI stuleciu podobne malowidła już się znacznie rozpowszechniły, szczególnie we Włoszech i Francji, najświetniejszego zaś rozwoju dosięgły z końcem XIV, przez XV i XVI.

Bogato malowane rękopisy były zawsze rzeczą kosztowną i dla ogółu nieprzystępną; mogły one zdobić tylko biblioteki monarchów, zamożnych klasztorów lub magnatów. Bogobojni i hojni panowie ofiarowywali często kościołom rękopisy religijne czy też naukowej treści, kosztownie oprawne albo umieszczone w drogocennych mistrzowskiej roboty relikwiarzach. Poświęcano je wtedy uroczystie przy głównym ołtarzu w czasie nabożeństwa, a potem przechowywano w refektarzu lub w skarbcu.

Według M. Bersohna.

Objaśnienia: *Reguła zakonna*, ustawa zakonna. — *Liturgia* z gr., odprawianie nabożeństwa publicznego, porządek odprawiania mszy świętej. — *Doktorzy Kościoła*. Wszystkich pisarzy kościelnych dzielimy na trzy grupy: 1) ojców Kościoła, których charakteryzuje przynależność do pierwszych wieków Kościoła (mniej więcej do połowy VIII wieku), nauka prawowierna, świętość i uznanie Kościoła; 2) doktorów, których cechuje wybitność nauki i wyraźne uznanie Kościoła; 3) pisarzy. — *Letarg*, stan pozornej śmierci. — *Komentować*, objaśniać. — *Teologja*, nauka o Bogu, nauka wiary chrześcijańskiej, naukowa znajomość religji i wszystkiego, co jej dotyczy. — *Manuskrypt* z lac., rękopis. — *Ksieni* (skrótowe z domniemanego księgini = księżna), prze-

łożona. — *Encyklopedia* z gr., zarys wszystkich umiejętności, zbiór wiadomości z wszystkich dziedzin. — *Minjatura* (z włosk. od farby minja), mało widło bardzo drobnych rozmiarów, w ściślejszym znaczeniu obrazek, malowany wodnymi farbami. Ozdabiano niemi rękopisy w wiekach średnich. Pierwsze minjatury zjawily się w VII wieku w Irlandji na mszałach, ewangeljach, najpiękniejsze w XV w. na bibljach, książkach do nabożeństwa i t. p. Później zastąpiły je drzeworyty i miedzioryty. — *In folio* formatu arkuszo-wego. — *Korektor* (od łac. corrigere), poprawiający. — *Rubrykator*. Rubryka = linja czerwona, od łac. ruber, rubra, rubrum = czerwony. — *Explicit* (*um est*) (od explico, cavi, catum i cui, citum, are) *hoc opus* (*hic liber*) *per me* = to dzieło (ta książka) ukończone jest przeze mnie... *Fini* (*vi*) *hoc opus* = skończyłem to dzieło... *Finitum est per me* = ukończone przeze mnie. — *Illuminatores*, (z łac. illuminare) = oświetlający, ozdabiający rysunkami, farbami. — *Illuminować*, ozdabiać rysunkiem, farbą. — *Ornatores* (łac. ornare) ozdabiający.

ANNO DOMINI.

Benedyktyńska cicha praca
Pergaminowy skrypt wzbogaca...
W klasztornej celi, w słodkiej ciszy
Mnich czas, kroczący wolno, słyszy,
Słyszy, jak puka w drzwi i ściany,
W rękopis patrzy malowany,
Kędy od złota i purpury
Cudowne błyszczą minjatury.

Przez pochylone ramię mnisze
Patrzy, jak ręka starca pisze:
»Pańskiego roku tysiąc dwieście
»Zaraza była w naszym mieście
»Z wyroków Bożych znagła wszczęta,
»Pokotem brała pacholęta,
»Ubogie głód pustoszył wioski
»Nieodwrócony dopust boski.

»Aż księżę, pan mój i wódz męski,
»Ku zażegnaniu wielkiej klęski
»Fundował klasztor nasz w tem mieście
»Pańskiego roku tysiąc dwieście.
»Na pierwszy dźwięk naszego dzwona
»Zaraza była odwrócona,
»A w ziemi tajne drgnęły siły,
»I pola bujnie obrodziły.
»Niebo pogodne miało lice,
»Zazieleniły się winnice,



»Oliwne słodko kwitły gaje,
»A z krajów, kędy słońce wstaje,
»Przebywszy morskich wód odmęty,
»Ładowne zbożem szły okręty,
»I radość wielka była w mieście
»Pańskiego roku tysiąc dwieście.

»A klasztor rósł na chwałę Bożą,
»Murów oplótlszy się obrożą...
»Płynęły lata jako woda,
»W modlitwie była tu osłoda,
»A w zbożnej pracy treść żywota,
»Jako jedyna prawda złota,
»Co ziemię z niebem w jedno sprzęga,
»Niech świadczy o tem ona księga«.

Powoli, w ciszy, w celi białej
Mnich od starości posiwiały,
Nad pergaminem chyląc głowę,
Spisuje dzieje przedwiekowe.
Illuminuje lśniąca skórę,
Tu cudną kładzie minjaturę,
Ówdzie inicjał piękny tworzy
Ku nieśmiertelnej chwale Bożej.

Z. Dębicki.

Objaśnienia: *Anno Domini* = Roku Pańskiego. — *Skrypt*, manu-
skrypt, rękopis. — *Patrzy*. Podmiot domyślny »czas«. — *Pokotem brała pa-
cholęta*, mnóstwo brała pacholąt. — *Dopust*, zrządzenie, przeznaczenie, wola
boska. — *Inicjał*, duża ozdobna litera początkowa. — Obj. do rysunku: Część
minjatury ze zbioru pieśni kościelnych czyli antyfonalu krakowskiego z r. 1397.

KSIENI.

Na marginesach sztywnych psalterzy
Ksieni szlak zdobny okrasza złotem,
Barwi strzelistych lilij oplotem,
Jasnością skrzydeł anielskich śnieży.

Na marginesach sztywnych psalterzy
Dostojnych Magów zgrzybiałe ręce
Pieszczą różane ciało dziecięce,
Rozśmiane oczom, jak owoc świeży.

Na marginesach sztywnych psalterzy
 Uczona ksieni dłoń spiera białą
 I usta wtula w różane ciało,

Rozśmiane oczom, jak owoc świeży...
 I po złożonych kart pergaminie
 Bolesne srebro lez cichych płynie.

K. Zawistowska (1870—1902).

Objaśnienia: *Mag*, kapłan i mędrzec, czarnoksiężnik w dawnej Persji, biegły szczególnie w naukach przyrodniczych; tu *Magowie* = trzej królowie.



EX-LIBRIS.

o starą księgę sięgam ze wzruszeniem.
 Zda mi się, że to nakryty kamie-
 [niem
 Ojców proch. Czas ją poczerzył
 [i kruszy,
 Lecz pełna w sobie nieśmiertelnej
 [duszy.

Ledwiem otworzył zżółkłe karty, slysę:
 Ktoś do mnie mówi poprzez wieków ciszę —
 To Przeszłość głosem czcigodnym pradziada
 Z myśli i czynów swoich się spowiada.

Jak ją odtrącić? jak jej nie dać ucha?!
 Wyrodny, kto swych praojców nie słucha!
 Stara, szanowna, pyłem siwa księga
 Cudownie Przeszłość z Obecnością sprzęga.

Stąd myśl krzepiąca, że w śmierci godzinie
 Człowiek nie cały w cieniach grobu ginie,
 Stąd wiara żywa w wieczność narodową,
 Stąd moc, dzierżąca zamiast miecza — słowo.

Cześć starym księgom; najmniejszy ich szczątek
 Wart miejsca w świętej skarbnicy pamiątek!

Wiktor Gomulicki (1850—1919).

Objaśnienia: *Ex libris* (łac.) = z książek, z księgozbioru. Wyrazy te odbijano na książkach i po nich kładziono nazwisko właściciela: *ex libris* takiego to.

NAZWY STOPNI POKREWIEŃSTWA I POWINOWACTWA W DAWNEJ POLSCE.

Im dalej cofamy się w przeszłość, tem większą postrzegamy spoistość rodziny, tem żywsze poczucie węzłów rodzinnych i rodowych. Tradycje prastarego ustroju rodowego w społeczeństwie trzymają się długo w przeżytkach albo też w instytucjach, które już utraciły dawny charakter społeczny i przybrały inny. W wieku XIV, XV i później dokładnie sobie jeszcze zdawano sprawę z tego, że wspólność herbu jest dowodem pokrewieństwa nawet w wypadkach, w których nikt nie mógł określić choćby w przybliżeniu stopnia tego pokrewieństwa. W procesach o naganę szlachectwa świadkowie osoby naganionej zeznawali: »Świadczymy, że N. jest nasz brat naszego szczyta i zawołania i z naszej krwi wyszedł«. Nazwa więc brat służyła tu dla oznaczenia, że osoba, o którą chodziło, był krewną świadka.

Dziś już członkowie rodzin szlacheckich, nawet konserwatywne wyznający zasady i ceniący swój herb i nazwisko, częstokroć nie zdają sobie sprawy, czy w kwestji, dotyczącej pochodzenia rodowego, opierać się na brzmieniu nazwiska, czy też na wspólności herbu: rodowe tradycje wygasają coraz bardziej, a już o najbliższem poczuciu wspólności rodowej dziś niema mowy. Nietylko jednakże dawno już przeżyte pojęcie rodu, ale nawet zakres pojęcia rodziny ścieśnia się ciągle, co przedewszystkiem wyraża się w zacieraniu różnic, wypływających z różnego stopnia pokrewieństwa między członkami rodziny. Tylko dla najbliższych członków grona rodzinnego używamy nazw pewnych, określających stosunek, zachodzący między nimi a nami; dla nieco dalszych już najczęściej zadowolamy się ogólną nazwą: *kuzyn*, *kuzynka*, lub mówimy o nich, że są naszymi jakimiś krewnymi. Niezawsze też zdajemy sobie sprawę z różnicy między *pokrewieństwem* a *powinowactwem*, zapominając o tem, że *pokrewieństwo* wypływa ze wspólności jakiegoś choćby oddalonego przodka w linii męskiej lub żeńskiej, a *powinowactwo* jest stosunkiem wzajemnym osób, należących do dwu różnych rodzin, które zbliżyło do siebie małżeństwo dwojga ich członków.

Oprócz wyrazu *powinowaty* w języku staropolskim używano w tem samym znaczeniu *powinny*; np. Rej w »Żywocie człowieka poczciwego« zaleca pamiętać o obowiązkach względem krewnych i powinnych swoich. To dawne brzmienie wyrazu jaśniej, niż dzisiejsze, świadczy o tem, że niegdyś rodziny spowinowaczone miały względem siebie pewne powinności, obo-

wiązki, podobne zapewne do tych, które ciążyły także na członkach jednego rodu. Pojęcie pokrewieństwa oznaczano także przez wyraz bliskość; dochodzono nieraz praw majątkowych na zasadzie bliskości, czyli — jak dawniej mówiono — bliskością...

Rodzinę zakładają mąż i żona, od najdawniejszych czasów tak nazywani a jednakże nie mający nazw własnych: mąż jest to samo, co »mężczyzna«, żona od pnia gen — oznacza rodzicielkę; związek, który ich łączy, nazywano swadźbą (według ściśle etymologicznej pisowni swaćba, bo pochodzi od swat, swatąć). Po przyjęciu chrześcijaństwa zaczęto odróżniać żony pogańskie od małżon, z którymi zawierano śluby kościelne, a pierwszą część tego wyrazu złożonego zapożyczono z niemieckiego mah, które znajdujemy w formach: Gemahl, Gemahlin. Z czasem więc starą swadźbę zastąpiono przez nowe małżeństwo, a dla żony przyjęto zdrobniałą nazwę małżonka, która jednak nie wyszła poza granice języka urzędowego, książkowego i nigdy nie rozpowszechniła się wśród szerokich warstw ludowych. Nawet w języku kulturalnym wyrazy: małżonek, małżonka mają charakter etykietalny, i małżeństwo tylko pod wpływem kościelnym stało się wyrazem pospolitym; poza tem jednak posługujemy się, jak i dawniej, wyrazami mąż, żona zarówno w życiu codziennem, jak i w poezji.

Rzecz zrozumiała, dlaczego męża nie nazywano nigdy mężem, lecz utworzono dla niego nazwę pochodnią od małżonki: od najdawniejszych czasów natura stosunku mężczyzny do kobiety nie wpływała w najmniejszym stopniu na zakres jego praw społecznych, gdy tymczasem przy reorganizacji społeczeństwa według norm prawa kościelnego małżonkę musiano wyróżniać od żony. Wyraz więc małżona, małżonka stworzyła istotna potrzeba życia, natomiast małżonek jest wytworem znacznie późniejszym, pochodzącym z czasów, kiedy od wyrazu mąż chciano dorobić taki sam etykietalny synonim, jakim jest małżonka względem żony.

Dziś śród ludu zamiast »mój mąż«, »moja żona« mówią też: mój chłop, moja kobieta lub moja baba, albo jeszcze krócej: mój, moja. W staropolszczyźnie tego nie spotykamy; kobietą przed wiekiem XVI żaden mąż nie nazwałby swej żony, była to bowiem nazwa ubliżająca, obelżywa nawet. W zabytkach wieku XV i wcześniejszych nie spotykamy jej wcale i nie znamy dobrze ani jej pochodzenia, ani właściwego znaczenia.

Po przyjściu na świat dziecka mąż i żona byli dla niego rodzicy (dzisiejsza forma rodzice jest właściwie biernikiem);

w liczbie pojedynczej: rodzic, rodzica lub rodziciel, rodzicielka, używano tylko w razach szczególnych, zwykle zaś mówiono: ociec, matka albo mać. Wyraz ociec brzmiał tak aż do końca wieku XVI, w innych zaś przypadkach miał formy: otca, otcu i t. d., potem oćca, oćcu zmieniono na ojca, ojcu podobnie jak: kociec, koćca, kojca, ale choć od formy kojca utworzono nowy mianownik kojec, to jednak nie powstała forma ojec, lecz tylko ojciec, gdyż wyraz ociec był w ciągłym użyciu, i tak go miano dobrze w pamięci, że wpływ analogji został w części sparaliżowany i wyraził się tylko w częściowej, pod względem akustycznym niebardzo uderzającej zmianie, t. j. przez dodanie w środku wyrazu j, które ukazało się w innych przypadkach pod wpływem czynników fonetycznych.

Wyraz mać brzmiał niewątpliwie w prapolszczyźnie maci, w dopełniaczu l. p. macierze, w bierniku macierz, co dziś uważa się już za mianownik. Od najdawniejszych jednak czasów zazwyczaj używano wyrazu matka, co znajdujemy w pieśni Bogarodzicy, w psalterzu Florjańskim i innych zabytkach.

Z wyrazów zdrobniałych spotykamy tylko matuchnę w dawnych modlitwach; tato, tatko, czy też tata, tatka dopiero w wieku XVI, papa należy, zdaje się, do czasów najnowszych.

Syn jest wyrazem prastarym; znacznie nowsza, ale także bardzo stara jest forma córa, córka; w języku prapolskim nazwa ta brzmiała inaczej i, gdyby nie podlegała pewnym pobocznym wpływom, wymawiano ją w starej polszczyźnie np. w wieku XV cy, w dopełniaczu cerze, w bierniku cerz i t. d. Córkę nazywano też niegdyś dziewczką t. j. panną, dziewczicą. Rodzice ojca lub matki zwali się dziadiba; zdrobniałe dziadek, babka są tworamii późniejszymi. Dzieci syna lub córki były: wnuk lub wnęk; wnuka lub wnęka, wnuczka lub wnęczka albo wnukiew, a wreszcie w tem samym znaczeniu synowica. Dla oznaczenia dalszych stopni pokrewieństwa w prostej linii zstępnej lub wstępnej posługiwano się przystawkami: pra — pre — przed — prawnuk (syn wnuka), przedwnęczka (córka wnuka), pradziad (ojciec dziada), prababa ale także przeddziadka (matka pradziada lub prababy). Dalsze pokolenia nazywano potomkami lub szczątkami (od dawnego cędo = dziecko).

Pokrewieństwo w bocznych stopniach oznaczano niegdyś znacznie więcej szczegółowo, niż to robimy dzisiaj: odróżniano przedewszystkiem braci i siostry przodków w prostej linii aż do pradziada. Brata rodzonego odróżniano od ciotczanego albo

ciotczonego, wujecznego albo wujczonego, strychnego, stryjecznego lub stryjnego, a wreszcie od przyrodniego, który miał inną matkę albo innego ojca; tak samo też odróżniano i siostry. Bracieńcami lub braciankami byli względem siebie synowie braci rodzonych. Brata i siostrę ojca nazywano jak dziś stryjem i ciotką, ale stryja oznaczano też wyrazami: stryk, stryjec, brat matki — wuj lub wujec, ale także synowiec, siostra matki — ciotka lub synowica; gdy chciało odróżnić siostrę ojca od siostry matki, mówiono zazwyczaj: ciotka po ojcu, ciotka po matce.

W zakresie powinowactwa najtrwalszemi pozostały nazwy rodziców męża i rodziców żony. Ojciec męża dotychczas nazywa się *świekr*, w dawniejszych czasach mówiono także *świekier* lub *świokier*, nazwa matki męża w najstarszej formie brzmiała *świekry* (w dopełniaczu l. p. *świekrwie*) potem *świekra* lub *świekrzycą*. Nazwa ojca żony *cieść* uległa czasem zmianie pod wpływem formy innych przypadków: dopełniacz miał formę *tścia*, celownik *tściu*, narzędnik *tściem* i t. d.; do tych form więc urobiono i mianownik nowy *teść*, a następnie zaczęto go odmieniać tak, jak dziś go odmieniamy: *teścia*, *teściowi* i t. d. Nazwę matki żony *tścia* pod wpływem brzmienia *cieść* zmieniono na *cieścia*, a potem na *teścia*; *teściowa* utworzono od nowego *teść*.

Mąż matki dla dzieci z pierwszego małżeństwa był *otczy mem*, co potem pod wpływem *ocieć* zmieniono na *oéczym* i wreszcie *ojczym*.

Wyraz dzisiejszy *macocha* brzmiał w starej polszczyźnie *macecha*. Syn żony dla ojczyma lub syn męża dla macochy był *pasirzbem*, co potem zmieniono na *pasirb*, *pasierb* i odpowiednio do tego córkę z poprzedniego małżeństwa zwano *pasirbicą*, *pasirbica*, *pasierbica*; niekiedy jednakże *pasierb* nazywa się *synowiec*, a *pasierbica* — *synowica*, zbiorowo zaś nazywano je *pasirzbięta* lub *synowięta*.

Inne nazwy osób powinowatych już oddawna zaczęły się mieszać w Polsce.

Jan Łoś.

Objaśnienia: *Większa spoistość*, silniejszy, ściślejszy związek. — *Tradycje*, to co zostało przekazane, co przeszło z przeszłości do nowych czasów. — *Ustrojem ródowym* nazywamy taki ustrój, który opiera się na rodach, t. j. na związkach osób, pochodzących od jednego praojca, na związkach pokrewieństwa. — *Przeżytkiem* w jakimś okresie dziejów nazywamy jakąś pozostałość w prawie, obyczajach i t. d. z poprzedniego okresu. — *Institucja*,

zakład publiczny lub prywatny; ustawa, prawo. — *Herb*, znak rodowy na tarczy. — *Naganą lub przyganą szlachectwa* w wiekach średnich nazywano zarzut nieszlachectwa. Z tego hańbiącego i ściągającego pogardę zarzutu szlachcic spieszył się »oczyścić«, zrobić »wywód szlachectwa«, dowieść, że należy do rodu szlacheckiego. — *Konserwatywny*, zachowawczy. — *Etykietałny*, ceremonjalny, ugrzeczniiony i jednocześnie pozbawiony serdeczności. — *Kojec*, klatka karmna na drób. — *Analogja*, podobieństwo.

PROCH STRZELNICZY I PIERWSZE ARMATY WE LWOWIE.

W pierwszych latach piętnastego wieku wyłączną podstawą obrony były kusze ręczne, na drewnianych kozłach stale osadzone. Wyrabiali je łucznicy, których w tych latach mieszkało we Lwowie sześciu, a wśród nich niejaki Habirman, najrzęczniejszy snadź i największem zaufaniem na ratuszu się cieszący. Miasto posiadało własne kusze i zamawiało je u tego Habirmana, gdy trzeba było komuś dar uczynić honorowy a rycerski. W ten sposób otrzymał od rajców honorową kuszę starosta ziemi lwowskiej, brał je także zapewne z wielkiem ukontentowaniem wojewoda mołdawski w czasie pobytu swego we Lwowie i najznakomitsi jego dworzanie.

Tymczasem jednak od zachodu coraz ważniejsze i częstsze przychodziły wiadomości o zastosowaniu broni palnej. Do Lwowa jednak sprowadził ją dopiero sam Władysław Jagiełło. Wybierając się mianowicie do miasta w r. 1399, wioził ze sobą obok kucharza Jakubowskiego, łuczników i służby, także na osobnym wozie armaty i sześć beczek prochu pod osobistym nadzorem puszkarza, niejakiego Zbrożka. Dla kogo owe armaty były przeznaczone, dla Lwowa czy może dla obrony Kamieńca, nie wiadomo, ale w każdym razie jest to pierwsza wzmianka o broni palnej we Lwowie.

Jakoż musiano na ratuszu lwowskim pomyśleć niebawem o zastosowaniu nowego środka wojennego. Wobec braku zapisek rachunkowych z ostatnich lat czternastego wieku trudno dokładnie skonstatować, kiedy huknął we Lwowie pierwszy strzał armatni, ale już w r. 1404, w którym rozpoczyna się najstarsza księga rachunkowa, znajdujemy wzmiankę o puszkarzu, którego zgodzono na trzy kopy groszy rocznej zapłaty.

Początki jednak były trudne. Nie wiadomo, czy puszkarz nie był dość zręczny, czy też nie znalazł we Lwowie uznania, dość, że już w roku następnym nie było go w mieście, a pozycja jego gaży, jakkolwiek zanotowana, pozostała pustą, tak samo jak i lat następnych. Dopiero w roku 1408 sprowadzono z Krakowa nowego puszkarza, Wawrzyńca Kuawczila, którego potrzebę widocznie bar-

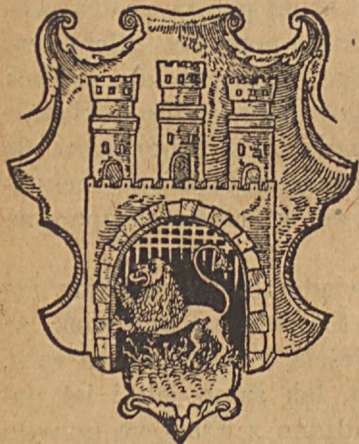
dzo żywo odczuwano, bo wyznaczono mu płacę roczną 5 kóp groszy, a zatem prawie dwa razy tyle, ile pobierał puszkarz przed czterema laty, a nadto poniesiono wszystkie koszty przeprowadzki jego z Krakowa.

Kuawczził zabrał się bardzo żywo do roboty, a dla przyszłej artylerji lwowskiej poczęto już ciosać kule kamienne i zakupiono za dwie kopy groszy saletry celem fabrykacji prochu strzelniczego. Mimo to i ten puszkarz nie utrzymał się zbyt długo, a urząd radziecki snadź mocno się do nowego wynalazku zniechęcił, być może niefortunnymi próbami, bo równocześnie na podstawie uchwały radzieckiej poczęto tworzyć park artylerji niemej, złożonej z starych i wypróbowanych kusz. W roku 1407 i 1408 uchwaliła mianowicie rada miejska, że każdy z cechów lwowskich ma rocznie sprawić jedną kuszę, składając łucznikowi Habirmanowi pół kopy groszy z góry, a resztę należytości po ukończeniu roboty. Pierwszymi, którzy w myśl powyższej uchwały przyszli do posiadania własnej kuszy, byli rymarze, potem garbarze, młynarze, krawcy, szewcy, kowale, kuśnierze, najbardziej zaś opieszalymi okazali się w tym względzie piwowarzy.

Mimo to wynalazek prochu strzelniczego nie był tego rodzaju, żeby można było przejść nad nim do porządku dziennego. To też już w roku 1412 spotykamy we Lwowie nowego puszkarza, który szczęśliwym trafem i z wielką korzyścią dla miasta potrafił skombinować swą wiedzę z zegarmistrzostwem i skutkiem tego połączył w swojej osobie nadzór nad zegarem ratuszowym i armatą. Mężem tym był Piotr Scheffelar, pobierający z kasy miejskiej siedem kóp groszy płacy rocznej.

Scheffelar doprowadził też wreszcie do tego, że miasto posiadało kilka armat, do których pilnie sporządzano drewniane lawety.

W następnych latach puszkarzami miejskimi, a zarazem i zegarmistrzami byli Wawrzyniec Hellenbazem i Walenty. Od tego czasu, zwłaszcza w latach 1416 i 1417, wydatki na cele armat miejskich mnożą się znacznie. Co chwila znajdujemy pozycje takie, jak np. 100 groszy na miedź do dział, 26 groszy na proch do dział, na kule kamienne, na zakupno jednego działu 6 wiar-dunków. Budowano przytem i jakiś



HERB MIASTA LWOWA.

budynek dla puszkarzy i zakupywano co chwila większe ilości saletry dla armaty miejskiej.

W roku 1417 mówić też można o parku artylerji miejskiej, i od tego czasu zionęły z murów miejskich paszcze armat na zgubę wrogów, a za pomyślność i chwałę swoich.

Franciszek Jaworski.

Objaśnienia: *Kusza*, w średnich wiekach udoskonalony łuk z kolbą do naciągania cięciwy i jęczyzkiem do jej spuszczenia. Obłak kuszy zwyczajnie był z żelaza lub stali, cięciwa z kręconego rzemienia lub sznura, cyngiel jak u strzelby, strzala krótsza niż do łuku. Strzala z kuszy nosła dalej, silniej i celniej, niż z łuku, ale zato wypuszczenie jej więcej czasu potrzebowało, stąd kusze skuteczniejsze były na dalszą metę, łuki na bliższą. — *Puszkarz* albo ryszunkowy, ruśnicarz, ten, który broń palną robił, osadzał, naprawiał, kierował strzałami, obsługiwał działa, strzelał. — *Skonstatować*, stwierdzić. — *Grosz*, moneta, wprowadzona u nas w XIV w. Liczono grosze popolicie na kopy czyli sześćdziesiątki. Pojęcie o wartości grosza daje następujące zestawienie: pod koniec XIV w. korzec żyta w Krakowie kosztował 5 groszy, pszenicy 7, para kurcząt 1, para trzewików 2, butów od 4 do 12. — *Gaża*, zapłata. — *Kule kamienne*. Drożyna żelaza wywołała obrabianie większych kul z kamieni polnych granitowych. — *Saletra*. Proch robiono z saletry, siarki i węgla drzewnego. Siła prochu zależała od ilości saletry. — *Urząd radziecki*, rada, zarządzająca miastem. Należał do niej zarząd i straż miasta, ściganie przestępców, podział wydatków według dochodów miasta, czuwanie nad budowlami i t. p. Stosownie do miejscowego zwyczaju i praw, jakie miasto posiadało, bądź wojewoda, bądź starosta grodowy, bądź sami mieszczanie wybierali pewną liczbę dożywotnich rajców (w Krakowie w XIV w. 24-ch), jednego z nich na burmistrza, najwyższego urzędnika, sprawującego rząd i sąd w mieście. Obowiązek burmistrza najczęściej pełnili kolejno rajcowie-prezydenci, wybierani z ogólnej liczby i tworzący właściwą radę, magistrat, który załatwiał sprawy bieżące. Sprawy ważniejsze rozstrzygała rada miejska w pełnym składzie, nazywająca się wówczas senatem. — *Radziecki* przym. od radca, rajca. — *Niefortunny*, nieudolny. — *Park artylerji*, oddział. — *Cech* (z niem. Zeche), stowarzyszenie rękodzielników, zajmujących się tem samym rzemiosłem, połączonych w rodzaj bractwa. Cech obejmował mistrzów czyli braci, czeladź wyzwoloną czyli towarzyszków i nakoniec uczniów. Na czele każdego cechu stali zwykle dwaj cechmistrzowie czyli »panowie starsi«, zwani także przysięgłymi. — *Rymarz* (z niem. Riemer), rzeźmieślnik, wyrabiający przedmioty z rzemienia, siodlarz; *garbarz* (z niem. Gärbler), wyprawiający skóry; *kuśnierz* (z niem. Kürschner), rzeźmieślnik, wyprawiający i szyjący futra i przedmioty z futra. — *Laweta*, oparcie, na którym spoczywa działo. — *Wiardunk*, wiardunek (z niem. Viertung) = 12 groszom szerokim Kazimierza Wielkiego. W XVII wieku oznaczono wartość wiardunku na 18 groszy ówczesnych. — *Herb miasta Lwowa* według drzeworytu z druku drukarza krakowskiego Unglera z r. 1510. Drzeworytem nazywamy obraz, wryty na drzewie zapomocą noża, »rylca« tak, że linje i płaszczyzny, które mają się odbić, pozostają wypukłe, inne zaś rylec usuwa. Wypukłe miejsca smaruje się farbą, i na przyłożonym papierze powstaje czarnobiała odbitka, zwana również drzeworytem.

WŁADYSŁAWA JAGIELŁY DYPLOM REFORMACJI UNIwersytetu.

1400 d. 26 lipca w Krakowie.

W imię Pańskie, amen. Ku wiecznej rzeczy pamięci. Ponieważ wtenczas błędów i wątpliwości niedostatkom zapobiegamy roztropnie, gdy zdarzenia, za naszych czasów zaszły, stwierdzeniem dokumentów i wypisaniem świadków uwieczniamy, przeto My, Władysław, z Bożej łaski król Polski, oraz ziem: krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łęczyckiej, kujawskiej, najwyższe książe litewskie, Pomorza i Rusi Pan, oraz dziedzic, do wiadomości wszystkich obecnych i potomnych niniejszym przywilejem podajemy.

Odkąd nas przedwiecznego Króla rozporządzenie, niewymowną wszystko układające roztropnością, z błędów pogaństwa wyprowadziło i na stopień królewskiej dostojności, chociaż niedostatecznie zasłużonych, powołało, ku temu szczególnie starannie obmyślane zamiary i przedsięwzięcia nasze kierujemy i troskliwie wewnętrzną czynność naszą zwracamy, aby mieszkańców i poddanych ziem naszych litewskich, — tych zwłaszcza, którzy, w zastarzałym pozostając błędzie, byli naszymi towarzyszami ciemności, a których przyjęciem świętej wiary katolickiej do łona świętej matki Kościoła przywiedliśmy z woli Tego, który niebieskimi i ziemskimi rzeczami rozporządza i włada, — przyzwyczajaniem, praktyką i poznaniem uczynków pobożnych, bez których sama wiara jest próżna, na synów światła nawrócić z pomocą i współdziałaniem tych, których umysły mądrości i nauki pełność ozdobiła, to jest ludzi w podstawach i tajnikach pisma biegłych, których radą tron królewski się umacnia, a cnotliwymi czynami rzeczpospolita stale w zdrowie i siłę wzrasta.

Słodkim dźwiękiem brzmiała w uszach naszych pamięć tych często nam przypominanych pobożnych monarchów, którzy w krajach swoich nauk zakładali siedliska i powołaniem uczonych osób wady i błędy ojczyzny swojej usunąć i wytępić usiłowali, przykładem ich krzepiło się serce nasze i do wykonania zamysłów, przez nich w pobożnej myśli urzeczywistnionych, poczęło całą siłą wewnętrzną dążyć. Widzimy bowiem i naocznie spostrzegamy, jak Paryż powołaniem i zgromadzeniem uczonych, biegłych i rozumnych Francję opromienia i szanowną czyni, jak Bolonja i Padwa Włochy wzmacniają i zdobią, jak Praga Czechy oświeca i wynosi, albo jak Oksford całe Niemcy objaśnia i użyźnia. Dlatego zaiste

za zrządzeniem Najwyższej Potęgi rozlicznych ziem dostąpiliśmy panowania i królestwa polskiego otrzymaliśmy koronę, abyśmy je blaskiem uczonych osób oświecili, ich naukami jego niedostatki i cienie usunęli i z innymi krajami je zrównali.

Nie wątpiąc, że to poddanym rzeczonoego królestwa i ziem naszych zbawienny pożytek przyniesie, za zgodą, wolą, wiedzą i zezwoleniem najświętszego w Chrystusie ojca, pana i pana Bonifacego z Bożej Opatrzności Papieża IX, najświętszego rzymskiego i powszechnego kościoła najwyższego biskupa, łaskawie zatwierdzającego ją wydaniem bull swoich, postanowiliśmy w mieście naszym Krakowie miejsce, na któremby szkoła powszechna w każdym dozwolonym wydziale kwitnęła, — mianowicie w teologii, to jest w Piśmie św., w prawie kanonicznym i rzymskim, w fizyce i sztukach wyzwolonych, — wyznaczyć, obrać, ustanowić, określić, urządzić i założyć, a mocą niniejszego przywileju utrwalamy je na wieczne czasy. Niech więc tam będzie nauk przemożnych perła, aby wydawała męże, dojrzałością rady znakomite, ozdobą cnot świetne i w różnych umiejętnościach biegłe. Niechaj otworzy się orzeźwiający źródło nauk, z którego pełności niech czerpią wszyscy, naukami napoić się pragnący.

Przekład z łacińskiego *St. Krzyżanowskiego*.

Objaśnienia: *Dyplom* (z greck. diploma = coś podwójnie złożonego) pismo, dokument, akt, zawierający nadanie pewnego przywileju. — *Reformacji* = przekształcenia. Uniwersytet w Krakowie założył Kazimierz Wielki w r. 1364. Po śmierci opiekuna królewskiego uniwersytet stopniowo upadał; dźwignęli go z upadku Jadwiga i Jagiełło, uzupełniając za zezwoleniem papieża wydziałem teologicznym. Prócz wydziału teologicznego uniwersytet posiadał jeszcze wydział nauk wyzwolonych, czyli filozoficzny, prawny i medyczny. Uniwersytety w Paryżu i w Bolonji powstały w XII w., angielski w Oksfordzie w 1200 r., w Padwie r. 1222, w Pradze założony przez Karola IV w 1348. — *Bulla*, postanowienie papieskie, akt większej wagi, skreślony na pergaminie. — *Dyplom* cały składa się według wzorów średniowiecznych z inwokacji, t. j. wezwania imienia Bożego, formułki »ad perpetuam rei memoriam« (ku wiecznej rzeczy pamięci), przejętej z dyplomów papieskich, z arengi, t. j. myśli ogólnej, tytułu wystawcy dokumentu, obszernego wstępu, wyjaśnia-



HERB UNIwersytetu KRAKOWSKIEGO.

jącego pobudki czynu królewskiego, wreszcie dyspozycji ogólnej, zawierającej właściwe postanowienie. Na tem się nasz wyjątek kończy. W akcie oryginalnym następuje dyspozycja szczegółowa, t. j. postanowienia, dotyczące bezpieczeństwa podróży i pobytu profesorów, uczniów i wogóle pracowników uniwersyteckich, wolności od danin i opłat przewozowych, nabywania żywności, sądownictwa rektora, ułatwienia kredytu, wyznaczenia siedziby, płacy profesorskiej, oddania uniwersytetu pod opiekę biskupa krakowskiego. Zlecenie następcom zachowania fundacji pod grozą kary Bożej i podpisy świadków zamykają dokument, spisany na pergaminie i opatrzony pieczęcią królewską, zawieszoną na sznurku jedwabnym zielonym i różowym. Oryginał przechowuje się w archiwum (miejscu przechowywania ważnych papierów) uniwersytetu krakowskiego. — Herb uniwersytetu krakowskiego według drzeworytu z kalendarza z r. 1532.

DAWNY RATUSZ.

Ratusz był naprawdę sercem każdego miasta. Wyniosły, dumny, strzelisty, w samym rynku rozłożony, był duszą organizmu miejskiego, centralnym punktem jego życia, własnością wszystkich razem i każdego z osobna. Wyjątkowe i symboliczne znaczenie zachował ratusz i dzisiaj jeszcze, ale ongi, za czasów magdeburckiego ustroju, był on naprawdę symbolem całego miasta, świątynią jego rządu i sprawiedliwości, był tym łącznikiem, który skupiał w sobie interesy wszystkich mieszczan, z rozbieżnej gromady ludzkiej tworząc organizm ścisły, w sobie zamknięty, solidarny i tą solidarnością praw i obowiązków silny.

Jak samo prawo miejskie, jak początki miast i mieszczaństwa polskiego wogóle, jest i ratusz miast polskich niemieckiego pochodzenia, niemiecka też jest nazwa jego »Rathaus«, oznaczająca »dom radny«. Budynek ratuszowy, to jest jego cel, przeznaczenie, przeszedł do Polski żywcem tak, jak go wytworzył rozwój stanu mieszczańskiego w Niemczech, a przeszedł w formie już gotowej, razem z prawem magdeburkiem i municypalnością miejską. Nie jest też ratusz wynalazkiem Niemców. Miasta niemieckie przejęły ratuszowe swe budynki od włoskich »palazzo publico«, »palazzo di podesta«, tworząc z nich odrębne, swoje już własne ratusze, tak samo jak miasta polskie, przyjmując je od Niemców, stworzyły w dalszym rozwoju oryginalny, swojski typ ratusza polskiego.

W chwili gdy ratusz pojawił się na rynku miast niemieckich, odpowiadał on tylko najkonieczniejszym potrzebom miejskim. Hala targowa w parterze, sala obrad na pierwszym piętrze, oto wszystkie ubikacje ratuszowe. To też najdawniejsze ratusze miejskie były zwykłymi czworobocznymi gmachami z kamienia, cegły lub drzewa, ze spadzistym dachem pomiędzy dwoma wysokimi szczytami.

Sala obrad na pierwszym piętrze stanowiła zamkniętą całość dla siebie, do której prowadziły osobne schody zewnętrzne z »erkerem« czyli narożnikiem, skąd ogłaszano ludowi postanowienia Rady. — Dopiero później, w miarę rozwoju stosunków miejskich, nowych potrzeb, powstawania nowych instytucyj miejskich, ratusz się rozczłonkował, rozrastał w przybudówki, na których miejscu po pożarze lub z monumentalnego zmysłu mieszczaństwa powstawały budynki bardziej nowożytnie i każdorazem potrzebom odpowiadające. Tak więc z jednej początkowo sali powstawała izba radna i izba ławnicza, skarbiec, przedsionek, kordegarda więzienia, sale dla urzędów miejskich, notariuszów, pisarzy i t. d., bywała także i kaplica, w której rajcy przed posiedzeniem sądowym słuchali mszy świętej.

Nietylko jednak urzędem, siedzibą władzy miejskiej był dawny ratusz. Życie publiczne mieszczańskie tysiącami było związane węzłami z życiem prywatnym. Więc też na ratuszu odbywały się prywatne uroczystości, wesela mieszczańskie, zabawy, tańce, uczy, nietylko w urzędowym interesie urządzone, ale najprywatniejsze schadзки mieszczańskie. Stąd też dawny ratusz stał się ogniskiem życia miejskiego. Z podwoi jego wychodził nietylko rząd miasta i karząca sprawiedliwość wyroków miejskich, ale także myśl, poziom życiowy, światło i radość całego stanu. Wszystkie nici żywota mieszczańskiego biegły w stronę ratusza, tam była duma, potęga, bezpieczeństwo wszystkich, tam osobiste bezpieczeństwo jednostki w społeczności, tam sprawiedliwość, przywilej, interes, wydajność pracy, źródło bogactwa, tam wreszcie duma, ambicja i najwyższy zaszczyt, który mógł spotkać mieszczanina.

Franciszek Jaworski.

Objaśnienia: *Magdeburski ustrój.* W 1088 r. arcybiskup magdeburski, Wichman, wydał najstarszą w Niemczech ustawę miejską. Ustawa ta zmieniana, doskonalona, stała się podstawą niemieckiego prawa miejskiego, zwanego prawem magdeburkiem. Zapewniało ono mieszczańom samorząd, bezpieczeństwo dróg publicznych, ruchu handlowego i określało obowiązki ich względem państwa. Henryk Brodaty (1168—1238) kazał przepisać ustawy magdeburskie i w r. 1211 nadał je bogatej osadzie targowej Złotoryi; Złotoryja jest więc pierwszym w Polsce miastem, osadzonem na »prawie magdeburkiem«. W trudniejszych sprawach miasta polskie, na prawie magdeburkiem osiadłe, zasięgały wyjaśnień z Magdeburga, głównie za pośrednictwem Krakowa; wyjaśnienia takie nosiły miano orytlów (niem. Urteil) magdeburskich. Kazimierz Wielki unicestwił tę zależność sądową miast polskich od zagranicy i ustanowił sądy wyższe prawa magdeburckiego dla każdej dzielnicy oddzielnie, najwyższy zaś sąd w Krakowie. — *Z rozbieżnej gromady* = gromady o różnych interesach, dążeniach. — *Solidarny, jednogodny, dążący z kim*

do jednego celu i poczuwający się do wspólnej odpowiedzialności. — *Municipalność*, zarząd miasta; czytaj: palacco publico = pałac publiczny, powszechny, i palacco di podesta = pałac burmistrza. — *Hala* (niem. Halle), plac, nakryty dachem, wielka sala. — *Ubikacja*, każda odrębna część mieszkania, pomieszczenie, pokój, sala. — Niem. *Erker*, ganek, balkon kryty, zamknięty, dachek wysunięty. — *Instytucja*, zakład publiczny. — *Z monumentalnego zmysłu*, z upodobania do pięknych, poważnych budowli. — *Izba ławnicza*. Ławnik, inaczej zwany przysiężnikiem, członek rady lub sądu miejskiego, urzędnik, zasiadający na ławie urzędu czyli magistratu. — *Kordegarda* (z fr. corps de garde), izba żołnierska.

RAJCA.

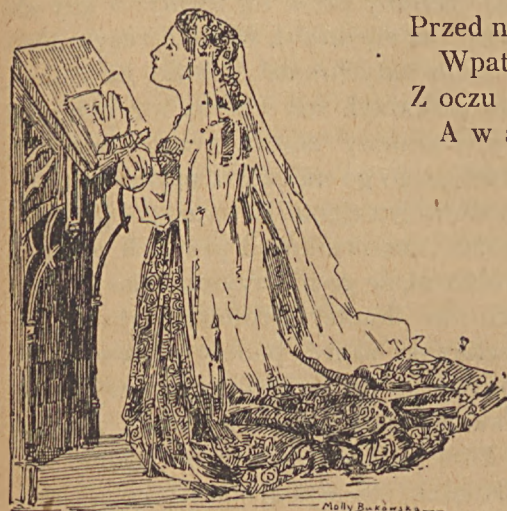
Prawy magnat z gęstej miny, Bledną przy nim karmazyny, Za deliję sobolową Wieś szlachecką masz gotową.	Dziś do Gdańska koronnego Zwozi kupię flota jego, Po burzliwej płynąc fali Z obcej Anglji lub Italji.
W skrzyni krzepkiej i okutej Leży z handlu profit suty, (Miejże o tem waść wiadomość, Że z niej czerpał Król Jegomość).	Miejskiej braci wzór nad wzory, Za pan brat jest z senatory, Zna kanclerza, gadał z królem, Wrychle będzie prokonsulem.
Imć pan rajca w młodych latach Po zamorskich bywał światach... Mile o tem przy węgrzynie Gwarzy z kumem po łacinie.	Rzymska cnota świeci z czoła, O szlachectwo nie dba zgoła, Co mu herbem lśnić jaskrawie, Kiedy pierwszym jest w Warsza- [wiel...

Or-ot (Artur Oppmann).

Objaśnienia: *Prawy*, prawdziwy. — *Magnat*, wielki pan, możnowładca. — *Karmazyn*, starego rodu szlachcic, noszący uprzywilejowany strój barwy karmazynowej, ciemno-czerwonej. — *Profit*, zysk, zarobek — *Kupia*, towar. — *Wrychle*, prędko, wkrótce. — *Prokonsul*, burmistrz. Rajców nazywano z łacińska konsulami.

PATRYCJUSZKA.

Na złotych włosach wianek róż, Dziwictwa znak wiośniany, Liczko: obrazek, oczy z zórz, Uśmieszek zadumany.	Rzekłbys: mistyczny jakiś kwiat W nieziemskim majestacie. W ojcowym domie skarbów [wbród, Za nic mu blask szlachecki: Szczyci się sławą możny ród W stolicy mazowieckiej.
---	---



Wždy patrycjuszce złoto — pył!
W niem pycha a frasunek!
Niestarcie w duszę jej się wrył
Chrystusów wizerunek.

Przed nim dni całe klęcząc trwa,
Wpatrzona w twarz litosną,
Z oczu jej pada cicha łza,
A w sercu skrzydła rosna.

I zalotników barwny
[rój
Odepchnie patrycjusz-
[ka —
I zamknie w celi ży-
[wot swój
Błękitów Pana służ-
[ka...

Or-ot.

Objaśnienia: *Patrycjat*, patrycjusze, znakomici, najzamożniejsi obywatela miejscy, uprawnieni do zasiadania w radzie miejskiej. Drugą warstwę miejską stanowiło pospólstwo, tłum, zorganizowany w cechy. — *Mistyczny*, nieziemski, tajemniczy. — *Wždy*, jednak.

TRAGEDJA KRAKOWSKA.

ROZRUCH MIESZCZAŃSKI.

Było to w Krakowie we czwartek dnia 16 lipca 1461 roku około godziny 22-giej czyli naszej 4-tej po południu. Spokojne zwykle o tym czasie i pracą na chleb powszedni zajęte miasto zawrzało nagle jakimś ruchem pełnym namiętności. Przed bramy kamienic powychodziły mieszczki, rozprawiając żywo, panowie mieszczenie gromadnie ruszyli przed gmach sprawiedliwości miejskiej, przed ratusz na wielkim rynku, a co gorętsza młodzież rzemieślnicza zaczęła się już z warsztatów wymykać na ulicę z groźbą na ustach, z mieczem lub kuszą w rękę. Na wszystkich twarzach wzburzenie, na wszystkich ustach imię gwałtownika, którym był nie kto mniejszy, jeno jeden z pierwszych magnatów królestwa, rodzony brat pana krakowskiego, Andrzej Tęczyński.

Właśnie schodzili panowie rajcy ze szczytów królewskiego zamku, kędy złożyli u stóp tronu żalobę mieszczan. Rzecz oto tak się miała. Pan Andrzej, wybierając się na wojnę pruską, oddał

płatnerzowi Klemensowi zbroję swą do oczyszczenia, a gdy się jej nie mógł doczekać, wstąpił sam gniewny do pracowni majstra. Robota także do smaku mu nie przypadła, ofiarował więc Klemensowi zamiast żądanych 2 złotych tylko 18 groszy, to jest niewiele więcej nad czwartą według ówczesnej rachuby część tej kwoty; a gdy się majster ostro stawił, pan Andrzej tak się uniósł, iż kilka razy mieszczanina pięścią poczęstował, nadto natychmiast pobiegł na ratusz, gdzie go przed władzą miejską zaskarżył. Ale i teraz nie ochłonął jeszcze z gniewu, owszem podrażniony znowu przez Klemensa, który, ufny w asystencję prowadzącego go na ratusz pacholka miejskiego, odezwał się do magnata wyzywająco, iż teraz go już obić nie będzie mógł, — zwołał swoich domowników i przy ich pomocy tak biednego płatnerza kijami obłożył, że go nieprzytomnego i krwią zbroczonego odwieźć musiano do domu. Królowa Jejmość — Elżbieta Rakuszanka — wysłuchawszy skargi panów rajców, odłożyła ostateczne załatwienie sprawy aż do szczęśliwego z wyprawy pruskiej powrotu dostojnego swego małżonka, tymczasem zaś nakazała spokój i milczenie pod karą 80.000 grzywien na stronę, wyrok łamiącą, co pan Mikołaj Pieniążek, starosta grodu krakowskiego, do ksiąg swych urzędowych zapisał.

Z taką tedy rezolucją opuszczający zamek królewski panowie rajcy spostrzegli ze szczytów Wawelu owo groźne zbiegowisko. Natychmiast poznali niebezpieczeństwo chwili i, naradziwszy się, posłali kilku z pośród siebie napowrót do najjaśniejszej pani z prośbą, by Tęczyńskiego dla uniknięcia zaburzeń na zamek swój królewski zawezwać raczyła. Królowa łaskawie przyjęła roztropną radę mieszczan, i natychmiast rozbiegli się gońce, by pana Andrzeja sprowadzić na Wawel. Obecni przy boku pańskim dostojnicy pochmurnie na mieszczan spoglądali, radziby ich zatrzymać na górze jako zakładników spokoju w mieście, atoli królowa, jako ich mile przyjęła, tak też łaskawie odprawiła do swoich.

Aliści wracający na ratusz z powtórnego poselstwa rajcy widzą z przerażeniem, że rozruch coraz większe, coraz groźniejsze przybierać zaczyna rozmiary. Już miecze obnażone, już kusze nałożone strzałami; z wszystkich ulic miasta spływa różnobarwny tłum rozhukany ku rynkowi i gromadzi się przed ratuszem. Na ratuszu panowie rajcy potracili głowy i chyłkiem zemknęli do domu, inni, którzy już uciec nie mogli, wyszli z izby radzieckiej na dwór, aby lud do rozejścia się nakłonić. Ale lud groźnie wołał do nich: »Oto patrzcie, jaki gwałt popełniono — tyleśmy się razy o krzywdy nasze przed wami skarżyli, a nigdy nas bronić nie myślicie!« Darownie odpowiadają panowie rajcy dla uspokojenia tłumu, jako im

na zamku zaraz po powrocie króla zadość uczynić obiecano, jako królowa ciężkie grzywny na łamiących pokój nałożyła, a pana Tęczyńskiego już do siebie na Wawel zawezwała. Tłum jeszcze groźniej hucząc z szyderstwem odpowiada: »Słowami nas zbywać przywykliście, a jednak on na złość i na hańbę nam wszystkim dotychczas po mieście się przechadza. T a k t o nas zwykliście bronić; ale skoro nie chcecie być nam pomocą — my sami się obronimy!« — W istocie Tęczyński z obawy, aby nie okazać się tchórzem, wezwaniu królowej nie był posłuszny, ale owszem obwarował się w domu Mikołaja Kezingera na środku ulicy Brackiej, w którym zwykle mieszkał, kazawszy na górę nanieść kamieni; następnie zaś z domu wyszedł i przechadzał się wyzywająco po ulicach. Wobec tego faktu zbici z toru rajcy zwrócili się od przekonywań do prośb, zaklinając lud na miłosierdzie Boże, aby od swoich zamiarów odstąpił i nie ściągał na całe miasto niechybnych klęsk i nieszczęść. Atoli tylko ponowny okrzyk szydery »Takto nas zawsze bronicie!« był na to odpowiedzią, szcęk broni i dziki hałas przygłuszył mężów rady, aż wreszcie nad ogólnem zamieszaniem zapanował jeden głos, jeden z tysiącznych piersi podniósł się okrzyk złowrogi: »Do broni! do broni!«

Wtem z wieży kościoła Najświętszej Panny Marji uderzono w dzwon, jedną stroną, na gwałt. Było to w zwyczajnych stosunkach znakiem, że władza miejska w powadze swej zagrożona, wzywa wszystkich dobrze myślących obywateli zbrojno przed ratusz. Ale tym razem bezwątpienia ręka któregoś z wichrzycieli porwała za sznury dzwonu, aby dać niejako prawem uświęcone hasło do użycia broni. W istocie na ten znak jakby rozpekły wszelkie hamulce, tłum rozszalały opuszcza rynek i rzuca się ku ulicy Brackiej, aby odszukać ofiary swego gniewu. Przetrzęsają dom Kezingera i inne przyległe, następnie otaczają ze wszech stron klasztor Franciszkanów, dokąd Tęczyński się schronił, i włamują się bez żadnego względu na świętość miejsca w ogród klasztorny i w kościół. Niejaki Jan Doyswon z Warszawy, przepatrując wszystkie kąty kościoła, zaglądnął w drzwiczki zakrystji przeciwległe a prowadzące na chór, gdzie były mniejsze organy. Widzi go w śmiertelnym strachu ukryty pod schodami Tęczyński, który, zostawiwszy na wieży kościelnej swych towarzyszy, poszedł tu szukać pewniejszego schronienia, wzywa go do siebie stłumionym głosem i, ofiarując co miał przy sobie pieniędzy, na miłość boską błaga o ratunek. Wówczas Jan Doyswon odzywa się do ludu: »Pan Andrzej zdaje się na łaskę waszą i prosi o bezpieczny przewód, aby się mógł oddać w ręce panów rajców na ratuszu.«

Ale w odpowiedzi rozległ się po kościele tylko taki okrzyk, jaki wydają myśliwi na widok uszczonego zwierza: »Jest tu, jest tu!« — Tęczyński ujrzał przed sobą tylko twarze, roziskrzzone namiętnością, i miecze, skierowane ku swej piersi,... zwątpiwszy więc o lasce, poskoczył ku zakrystji, którą był właśnie nadchodzący mnich otworzył. Wówczas najbliżej stojący mieszczanin jednym zamachem miecza część ciemienia jakby czapkę ściał mu z głowy, za nim runęli inni i padającemu na schodki, na ołtarzu zakrystji stojące, mnóstwem pchnięć i ciosów śmierć zadali, »nie poszanowawszy nawet — powiadają ze zgrozą oba współczesne opisy — przenajświętszego Sakramentu, na tymże ołtarzu w monstrancji utajonego«. Następnie, wywłókszy trupa z kościoła, osmalili mu włosy i brodę, pokłóli go jeszcze i pocięli do niepoznania, a nareszcie fosami ulic wśród błota i kału pociągnęli na ratusz. Tutaj leżał do trzeciego dnia, potem zaś do kościoła św. Wojciecha odwieziony, a czwartego dnia w Wielkim Książu przez przyjaciół pogrzebany został.

Syn Andrzeja szczęśliwszym był w ucieczce od ojca, dostał się bowiem z wieży Franciszkańskiej do domu jakiejś wdowy, a stamtąd przez kamienicę Długosza na zamek. Schronieni na wieży Mikołaj Sancygniewski i Spytek Melsztyński z towarzyszami oblężeni zostali przez lud, a poddawszy się po dzielnej obronie, z zastrzeżeniem nietykalności dopiero następnego poranku odprowadzeni zostali na ratusz. Skąd po przejednaniu mieszczanstwa — zapewne kwotą pieniężną — trzeciego dnia, to jest w sobotę, zostali wypuszczeni na wolność.

WYKONANIE WYROKU.

Po skończonej wyprawie na św. Michał, stanąwszy z powrotem w Bydgoszczy, złożył król sąd sejmowy na mieszczan do Nowego Miasta Korczyna na dzień 6 grudnia 1461 r. Oskarżeni domagali się na podstawie przywileju Kazimierza Wielkiego rozstrzygnięcia sprawy według prawa miejskiego. Król odmówił. Wyrok, wydany 14 grudnia, uznawał rajców oraz cechy i całe pospólstwo miasta Krakowa winnymi, że, zamknąwszy bramy miasta i włamawszy się gwałtownie do kościoła Franciszkanów, Andrzeja Tęczyńskiego zabiło a następnie trupa jego znieważyło, i skazywał je na karę śmierci przez ścięcie, mające być wykonane na najwinniejszych przedstawicielach obu miejskich stanów.

W piątek dnia 8 stycznia 1462 r. zjawili się w krakowskiej izbie radnej na ratuszu panowie: Mikołaj Skóra z Gaju, kasztelan kaliski, i Mikołaj Pieniążek, podkomorzy i starosta grodu krakow-

skiego — istni posłannicy śmierci, — bo oto przedłożyli zebranej radzie miejskiej rozkaz królewski, aby wydano winnych na ścięcie. Przerażeni rajcy odpowiadają, że nikogo winnego zarzuconej im zbrodni nie znają, albowiem żaden poważny i zamożny mieszczanin w rozruchu udziału nie brał, a tylko tłum osób wolnych i sług rzemieślniczych, z których już największa część na wszystkie strony świata się rozbiegła. I z tem opuścili wysłańcy królewscy salę. Aliści zaledwie w kilka kwadransów potem nowi zjawiają się posłowie i następujący głoszą rozkaz królewski: »Słyszeliśmy odpowiedź waszą, mówicie, jakoście zawsze mówili, że nie znacie winnych, przeto pan kasztelan sam tych oto jako winnych wymienia: Stanisława Leimitera, który, gdy się to działo, był burmistrzem miasta, Konrada Langa, Jarosława Szarleya, Marcina Belzę — tyle z radnych; z gminu zaś: Jana Teschnera, Mikołaja Wolframa, Wojtka malarza, Jana Schillinga, ostrożnika, i Mikołaja, wodza posiepaków miejskich. Przeto wam pod rygorem przysięg i posłuszeństwa winnego rozkazujemy, abyście ich na zamek nam odesłali, co jeśli uczynić nie chcecie, żądamy pod tym samym rygorem, abyście się wszyscy rajcy i cały gmin wraz z owymi obwinionymi dzisiaj sami przed nami stawili«.

Nieme prerażenie ogarnęło na te słowa wszystkich obecnych, bo usłyszeli prócz trzech ostatnich same nazwiska osób, od lat już wielu zasiadających i na ławach sądu i na krzesłach rady, ludzi w pełnej sile wieku męskiego, bezwątpienia ojców rodzin, najpoważniejszych, najbardziej czczonych i szanowanych w całym mieście. I rozegrała się wówczas na ratuszu miasta Krakowa scena, która w każdym szlachetniejszym sercu musiała wyrzucić bolesne iście przygnębiające wrażenie. Wśród ponurej ciszy powstałi z miejsc swoich owi proskrybowani i głosem pełnym wzruszenia przemówili do zgromadzonych w te słowa: »Sławetni panowie! skoro nas pan kasztelan, w sprawie tej przy pomocy Bożej niewinnych, oskarża, z sali radnej ustąpić nie chcemy, aż dopóki się tutaj, gdzie podług praw naszych powinniśmy, i gdzie jest nasza przełożona władza, nie usprawiedlimy; a wierzymy w sprawiedliwość naszą, że ona nas ocali. Odnosimy się do was wszystkich, drodzy panowie, jeżeli który z was wie, że choć jeden z nas choćby najdrobniejszą winą jest splamiony, mówcie, a bez najmniejszego usprawiedliwienia ponieść chcemy, cokolwiek prawo przeznaczy«. Wten czas całe obecne mieszczanstwo jednym głosem zawołało, że sprawiedliwi są i niewinni, i że o żadnym z nich nic obciążającego nie wiadomo... A jednak rozkaz królewski był stanowczy i żadną miarą ominąć się nie dał... chyba otwartym buntem. Ale gdzież stać je

dnemu miastu, opuszczonemu przez wszystkich, na opór przeciw całej potędze państwa! Uproszono więc sobie tylko zwłokę w daniu ostatecznej odpowiedzi do następnego dnia; obwinieni pozostali na miejscu, reszta zaś opuściła ratusz z tem gorzkim poczuciem, że dla pozostałych na miejscu ratunku już niema.

Następnego dnia pojawili się po raz trzeci w ratuszu posłańcy królewscy z krótkim już, ale groźnie brzmiącym pytaniem w imieniu Jego Królewskiej Mości, czyli chcą w stawieniu obwinionych przed Majestatem być Mu posłuszni, czyli nie. Nastąpiła długa narada, której jednogłośnym wynikiem było, że ponieważ przywilej Kazimierza Wielkiego podobne wypadki wyraźnie sądownictwu króla i jego następców zastrzega, że ponieważ dalej chodzi tu o dostawienie obwinionych królowi, a nie stronie, przeto niema nawet najmniejszej prawnej podstawy do sprzeciwienia się najwyższemu rozkazowi.

Wzięli tedy panowie rajcy owych dziewięciu mężów obwinionych na wozy i, zawiózłszy ich na zamek, przedstawili królowi w tych słowach: »Najjaśniejszy królu i panie! żądała Wysokość Twoja w tyłu surowych rozkazach, abyśmy tych ludzi, niesłusznie obwinionych, przed Majestatem Twoim stawili pod rygorem przysięg naszych i posłuszeństwa, Tobie winnego. Przeto, abyśmy nie byli pomawiani o nieposłuszeństwo i bunt, przedstawiamy ich tu według żądania Wysokości Twojej — nie jako winnych i skazanych, ale jako niewinnych i nieprzekonanych. Prosi Cię, Najjaśniejszy Panie, całe obywatelstwo miejskie i my sami, abys ich, w razie gdyby kto przeciwko nim skargę przed Miłością Twoją wytoczył, do prawa naszego odesłać raczył, gdzie każdemu na zarzuty odpowiedzą, i abys w ten sposób prawo miasta jako Pan Nasz Najmiłościwszy w obronę wziąć, a nas i ich przy niem zachować raczył. Tak przemawiali panowie rajcy do króla Jegomości, i długo ciągnęły się owe rozhowory na zamku, albowiem mieszczanie niczego nie pominęli, co by do obrony ich sprawy posłużyć mogło — jednak bez donioślejszych skutków. Już bowiem w ciągu tych rozmów doprowadzono obwinionych do więzienia w wieży; król zaś, oparłszy się na swojej radzie przybocznej, tylko tyle dla nich uczynić zdołał, że nie dopuścił do prostego wykonania wyroku in contumaciam w Korczynie zapadłego, ale zażądał poprzód pozytywnego udowodnienia winy w jeden ze sposobów naówczas uprawnionych, to jest przez przysięgę skarżącego. Pozostawała przeto jeszcze nadzieja, że może przecież nie wszystkich dziewięciu krew przyjmie pan Jan na Rabsztynie Tęczyński na swoje sumienie.

Przez kilka dni siedzieli obwinieni w ciemnicy na dnie wieży,

tymczasem zaś czynili przyjaciele ich i protektorowie usilne starania celem przebłagania gniewu tego, w którego rękę była obecnie decyzja o życiu ich lub śmierci. Nawet sama królowa Jejmość, dumna Habsburka Elżbieta, nie wahała się osobiście pójść do domu paha Tęczyńskiego, aby dla jednego ze skazanych, dla rajcy Jarosława Scharleya wyprosić życie. Ale z pamięci pana Jana na Rabsztynie nie mogła zniknąć ani jedna scena krwawego dnia 16 lipca 1461, bo nawet na takie prośby pozostał twardym i nieubłagany. Zdaje się, że dopiero pod naciskiem samegoż sądu liczbę ofiar do sześciu ograniczył, darząc życiem trzech, zdaniem swoim najmniej obciążonych: Jana Teschnera, Mikołaja Wolframa i Marcina Belżę, za którym cały konwent ojców Bernardynów najgorętsze prośby zanosił. Co do winy zaś sześciu pozostałych złożył w ręce Piotra z Weszmuntowa, sędziego sandomierskiego, żadaną przez króla przysięgę, czem los ich ostatecznie rozstrzygnięty został. Przygotowani poprzednio na śmierć św. Sakramentami w piątek dnia 15 stycznia 1462 oddali Bogu ducha pod mieczem katowskim w okrągłej wieży narożnej zamku krakowskiego, zwróconej ku Wiśle, a zwanej odtąd wieżą Tęczyńskich. Ciała ich odwieziono z zamku do miasta, gdzie wśród wielkiego natłoku i głośnego lamentu w kościele Najświętszej Panny Marji, przed zakrystją, w jednym wspólnym grobie pochowane zostały.

Trzej pozostali przy życiu oddani zostali jako współwinni w ręce Jan Tęczyńskiego, który ich następnego dnia do Rabsztyna odwiózł i tam z początku w twardym, później zaś po ochłonięciu z pierwszego gniewu w przyzwoitem więzieniu trzymał. Jan Doyswon i płatnerz Klemens w ten tylko sposób uniknęli śmierci, iż dawno już byli z miasta umknęli.

Fryderyk Papée.

Objaśnienia: Rachubę czasu rozpoczynano od zachodu słońca, od godziny siódmej. — *Gwałtownik*, ten, co zadaje gwałt, bije, zabija. — *Pan krakowski*, kasztelan krakowski Jan na Tęczyńcu. — *Wojna pruska* Kazimierza Jagiellończyka z Zakonem z powodu przyłączenia Prus i Pomorza do Polski, zakończona szczęśliwie pokojem Toruńskim 1466 r. — *Płatnerz* (z niem. Plattner), wyrabiający pancerze, zbroje. — *Asystencja*, obecność. — *Grzywna* w dobie piastowskiej oznaczała pewną liczbę (prawdopodobnie 40) skórek futrzanych sobolich, wiewiórczych, popielicznych, gronostajowych lub kunich. Wartość grzywny odpowiadała początkowo wartości pół funta srebra, tej wadze nadano więc nazwę grzywny. Od w. XV krąży już tylko moneta kruszcowa. Wacław czeski bije sześćdziesiąt »szerokich« groszy praskich z grzywny, Kazimierz Wielki z grzywny krakowskiej o $\frac{1}{3}$ mniejszej od praskiej 48 groszy. — *Starosta grodu*, namiestnik królewski, obrońca zamku królewskiego, stróż spokoju w granicach starostwa; jego władza rozciągała się na chłopów, miesz-

czan, szlachtę. — *Fosa*, przekop, rów. — *Ostrożnik*, rzemieślnik, robiący ostrogi. — *Posiepak* (siepak, siepacz), łapacz, kat, oprawca, pacholek. — *Pod rygorem*, pod przymusem. — *Gmin*, pospólstwo, niższy stan miejski. — *Proskrybowany*, (z łac. proscribere), wymieniony w piśmie, oskarżony, skazany. — Według przywileju Kazimierzowego z r. 1358 mieszczanin krakowski za zabicie szlachcica miał być sądzony w obecności króla lub jego zastępcy, ale według prawa miejskiego, magdeburskiego i to w mieście. — *In contumaciam* (łac.) = zaoczne skazanie z powodu niestawiennictwa przed sądem na wezwanie. — *Pozytywny*, pewny, stanowczy. — *Protektor* (z łac.) popierający, opiekun. — *Konwent*, zgromadzenie, klasztor.

NIE ODRAZU KRAKÓW...

Nie odrazu Kraków zbudowano — Przyszli wtedy mularze i cieśle —
 Nie odrazu nad falą wiślaną, Każdy w swoim wytrawny rze-
 Lecz po latach dopiero — po wielu [mieśle —
 Zajaśniały te mury Wawelu. I na brzegu tej fali wiślanej
 Bo tu naprzód szumiał bór głę- Jęli zamek wystawiać drewniany.
 [boki, Ale drewna pożarom uległy:
 A w jaskiniach żyły groźne smoki, Więc czerwone jęli znosić cegły —
 A z ich jadu ludzie umierali. Nowe, trwalsze budowali mury —
 I dopiero zawezwano drwali, Dostojniejszej z dnia na dzień
 Którzy rąbać jęli one bory; [struktury —
 Potem takich, co zatrute nory I fortecę z obronnemi flanki,
 Przeniknęli — i cały ród smoczy I dziedziniec z długimi kruz-
 W krwi i ognia zniszczyli roz- [ganki —
 [toczy. I królewskie malowne świetlice —
 Ale jeszcze były węzowiska, I katedry strzeliste wieżycy —
 Mgły, opary, tumany, bagniska — A w ołtarzu posąg marmurowy —
 Więc to wszystko trzeba było A na wieży wielki dzwon spiżowy.
 [zwalić, Stał Kraków w żywej aureoli
 Trzeba było kopać, czyścić, palić Nie odrazu — powoli — powoli —
 I dopiero wyrównać te wzgórza, Nad tą falą — nad falą wiślaną
 Gdzie budować wypadnie pod- Nie odrazu Kraków zbudowano.
 [murza Antoni Lange.

Objaśnienia: *Roztocz*, y, rozciek, rozlew. — *Flank*, u, ramię narożnika warowni. — *Świetlica*, izba główna w domu. — *Dzwon Zygmunt*, odlany w r. 1520 z woli Zygmunta I. — *Aureola*, świetlany krąg, przen. chwała, blask.

Z DZIEJÓW PRZEMYSŁU POLSKIEGO W WIEKU XVI.

1. SZKŁO.

W produkcji przemysłowej Polski XVI stulecia rolę poważną odgrywał przemysł szklarski. Miał on poza sobą dosyć długie dzieje,

huty szklane istniały bowiem w Polsce już w wieku XIV. W wieku XVI na polu hutnictwa szklanego w Wielkiej, a zwłaszcza Małej Polsce ruch był bardzo ożywiony, po puszczech królewskich, duchownych i pańskich powstają coraz to nowe huty, z których niejedna rozwinęła się wkrótce w całą wioskę. Oczywiście, były to wszystko zakłady, prowadzone na małą skalę, tem się też tłumaczy, że czasem na niewielkiej bardzo przestrzeni było po kilka hut szklanych jednocześnie. Pomimo to produkowały te fabryczki nietylko na potrzeby najbliższej okolicy, ale również na wywóz, i to nawet do stron bardzo dalekich. Szkło »krakowskie« jest w powszechnem użyciu w Warszawie obok szkła weneckiego, francuskiego, angielskiego, niemieckiego, czeskiego i morawskiego. Wywozili szkło polskie kupcy w końcu wieku XVI i do Węgier wraz z innym drobnym towarem.

Fabryki polskie wyrabiały różnego rodzaju flaszki i szklanki, a także »błony«, to jest szyby do okien, zwłaszcza małe okrągłe szybki, które szklarze czyli »błoniarze« zaprawiali w ołów, składając w ten sposób szyby potrzebnej wielkości.

Ożywienie produkcji szkła w Polsce było niewątpliwie wywołane wzrostem potrzeb coraz kulturalniejszej ludności, okna szklane były w wieku XVI w powszechnem użyciu, zapotrzebowanie więc szyb doszło do znacznych bardzo rozmiarów. W roku 1490 istnieje też specjalny cech szklarski w Krakowie, w wieku XVI podobne zrzeszenia posiada również Poznań, Warszawa. Ale i po innych miastach, np. w Kaliszu, Płocku, bywali szklarze, zdarzali się »vitreatores« nawet po wsiach.

Zwyczajnie naówczas huty trzyma specjalna kategoria ludzi, tak zwani sularze lub hutnicy, obeznani praktycznie z produkcją szkła i będący niewątpliwie nietylko kierownikami, ale i głównymi robotnikami swoich zakładów, prowadzący ponadto gospodarstwo rolne na wykarczowanych przez siebie gruntach, należących do huty. Ludzie ci sami towar swój rozwożą po jarmarkach i dostawiają na rynek krakowski, największe miejsce zbytu. Miewają oni u siebie czeladników, dopomagających im w pracy. Tak np. w roku 1581 w hucie szklanej Wrzosowa pod Częstochową pracuje trzech czeladników, a w hucie Muszyna koło Sącza dwóch towarzyszy. Posiadacze hut otrzymywali od właścicieli gruntów, na których znajdowała się huta, prawo wycinania drzewa na potrzeby swych zakładów. Wzamian za prawo wřębu i prawo korzystania z gruntów zobowiązani byli hutnicy do dawania czynszów częściowo w gotówce, częściowo w naturze.

Ogromna większość hut szklanych znajdowała się na tery-
 Zycie polskie.

torjach, należących do królewskich, mniej ich było w dobrach biskupich, najmniej znajdowało się w dobrach szlacheckich.

2. PAPIER.

Do gałęzi przemysłu, które w wieku XVI osiągnęły w Polsce niewątpliwie powodzenie należy papiernictwo. Papier, z ówczesnych fabryk polskich pochodzący, doszedł do wysokiego stopnia doskonałości i nietylko wewnątrz kraju współzawodniczył pomyślnie z papierem obcym, ale nawet zdobył sobie rynki zagraniczne. Źródła przechowały nam wiadomości o 24 fabrykach papieru, znajdujących się w pobliżu najważniejszych miast Polski: Krakowa, Poznania, Lublina, Lwowa, Warszawy; znaki wodne, jakie widzieć można na kartach ksiąg miejskich drobniejszych miast, wskazują niezbicie, że oprócz tych większych zakładów, wyrabiających lepsze gatunki papieru, była jeszcze pewna liczba małych młynków papierniczych, wyrabiających gatunki ordynarne, chropowate i brudno-białe. Papier w owych czasach wyrabiano wyłącznie z gałganów lnianych i wełnianych, i może to służyć za dowód rozwoju papiernictwa polskiego w wieku XVI-tym, iż gałgany są wówczas przedmiotem handlu wśród towarów, zwożonych na rynek krakowski; co ważniejsza, znajdowali się już wówczas obrotowi fabrykanci, którzy umieli sobie zdobyć prawo wyłącznego nabywania gałganów dla swych fabryk w określonych okręgach.

Znaczna większość papierni polskich należała w wieku XVI do duchowieństwa, więc przedewszystkiem do klasztorów, a dalej biskupów i kapituł. Są papiernie, należące do królewskich, własne papiernie posiadają niektóre miasta, młyny papiernicze mają wreszcie i ziemianie. Większość ówczesnych papierni, mianowicie 13, znajdowała się w najbliższych okolicach Krakowa, które uchodzą słusznie za najpoważniejszy w owej epoce i jednocześnie najdawniejszy ośrodek polskiego papiernictwa. Najstarszą z papierni krakowskich i wogóle polskich były zakłady księży Duchaków na Prądniku. Godło tego zgromadzenia, podwójny krzyż, pojawia się już w roku 1496 na kartach ksiąg sądu ziemskiego krakowskiego i odtąd znajdujemy go na papierze przez cały wiek XVI. Najstarszą świecką papiernią w okolicach Krakowa była niewątpliwie oficyna Bonerów. Sławni ci patrycjusze krakowscy, którzy odegrali poważną rolę w dziejach gospodarczych wieku XVI, byli istotnie pionierami ruchu papierniczego w Polsce. Filigran Bonerów, ich rodowa lilja podwójna bądź to w tarczy z koroną lub bez niej, należy do znaków wodnych, najczęściej spotykanych w ciągu wieku XVI. Śnieżnej białości, mocny i wytworny papier z oficyn bonerowskich był, jeśli

tak rzecz można, w modzie. Dociera on na Mazowsze i do Wielkopolski, używany jest na dworze królewskim; nawet Barbara Radziwiłłówna listy do brata pisywała na papierze bonerowskim.

3. DRUKARSTWO.

Z rozwojem papiernictwa w wieku XVI szedł w parze rozkwit polskiego drukarstwa. Prawdopodobnie też pierwsza drukarnia i pierwsza papiernia na ziemiach polskich powstały mniej więcej jednocześnie w końcu wieku XV. Kraków, który był najważniejszym ośrodkiem polskiego papiernictwa, będzie przez cały wiek XVI tym punktem, w którym skupia się lwią część polskiego drukarstwa i związanych z niem pośrednio gałęzi drzeworytnictwa i introligatorstwa.

Pierwszą większą drukarnię posiadał w Krakowie Jan Haller. Już w pierwszej ćwierci wieku XVI jest on właścicielem tłoczni, z której wychodzą pięknie odbite druki łacińskie. Bogaty Haller był przedsiębiorcą wielkim, dzierżawił papiernię na Prądniku, tyle zaś książek wypuszczał w świat, iż nietylko swoją, ale inne drukarnie drukowanymi przez siebie książkami zajmował. A drukarni naówczas posiada Kraków już kilka. Od r. 1511 drukuje książki tłocznią Florjana Unglera. Pomiędzy latami 1518 a 1549 czynna jest drukarnia Hieronima Wietora, księgarza i drukarza wiedeńskiego, który w stolicy jagiellońskiej filje swych zakładów otworzył. Wielkie zasługi położyła dla drukarstwa polskiego rodzina Scharffenbergera: poczynając od 1511 roku, przez lat 98 trudniła się ona w Krakowie drukarstwem i księgarstwem, stała się rozsądnikiem sztuki typograficznej po innych miastach polskich, posiadała własne papiernie na usługi swej tłoczni. Z innych drukarni krakowskich w wieku XVI wymienić warto jeszcze zakłady Macieja Wierzbęty między latami 1578 a 1590, Macieła Garwilczyka między 1578 a 1585, Łazarzową, która pod zarządem Jana Łazarydy Januszowskiego stała się najlepszą drukarnią w Polsce, działającą w latach 1550—1650, wreszcie Piotrkowczyków pomiędzy latami 1570 a 1673.

W wieku XVI Kraków jest ośrodkiem przemysłu drukarskiego, promieniującym nietylko na kraj cały, ale nawet i na Węgry. Tutaj mianowicie zaopatrują się czasem drukarze węgierscy zarówno w papier drukarski, jak w czcionki, sławna zaś drukarnia Unglera drukowała nieraz książki na zamówienia Węgrów.

Poza Krakowem poważną rolę w rozwoju naszego drukarstwa owych czasów odegrał Poznań. Później zaczęło się rozwijać drukarstwo w innych miastach: Lublinie, Lwowie i Wilnie.

Świetny rozwój piśmiennictwa w Polsce Zygmunto-
5

wione spory religijne wpłynęły ogromnie na rozwój ruchu drukarskiego. I oto w drugiej połowie wieku XVI drukarnie w wielkich miastach nie czynią już zadość potrzebom kraju. Po małych mia-



stach i miasteczkach powstają dziesiątki drukarni mniej lub więcej krótkotrwałych, stałej tłoczni nie posiada tylko Warszawa, mająca już wtedy znaczenie pierwszorzędne w rozwoju gospodarczym Polski.

Władze państwowe udzielały drukarstwu polskiemu pewnego

rodzaju opieki, współdziałając w zaprowadzeniu ładu w stosunkach drukarskich. Opieka ta wyrażała się w udzielaniu dożywotnich lub kilkoletnich monopolu na druk pewnych książek. Najobszerniejszego tego rodzaju monopolu udzielił Aleksander Jagiellończyk w roku 1505 Janowi Hallerowi. Chcąc mianowicie zabezpieczyć »od cudzoziemskiej konkurencji« (ab externo impedimento) zakłady hallerowskie, rozwijające się ku ozdobie i pożytkowi narodu, postanawiał król, iż te dzieła, które w kraju drukował Haller, nie mogą być z zagranicy sprowadzane, ani w Polsce sprzedawane pod groźbą konfiskaty na rzecz monopolisty i kary pieniężnej na korzyść starosty krakowskiego. Dwie oficyny drukarskie cieszyły się szczególną a najzupełniej zasłużoną protekcją królewską: Szarfenbergów-Ostrogórskich i Łazarzów-Januszowskich. W roku 1577 otrzymał Szarfenberg nawet tytuł drukarza królewskiego i obowiązany był odtąd utrzymywać zawsze na dworze królewskim jednego ze swych współpracowników, który miał być zawsze przy boku królewskim, »przygotowany na każdą naszą i kancelarji naszej królewskiej potrzebę razem z typami czcionek i innymi instrumentami«. Spadały na pana Mikołaja i inne, może mniej zaszczytne, ale w skutkach swych pożyteczne łaski królewskie: dostawał ze szkatuły królewskiej wójtostwa, to znów sumy pieniężne.

Niemniejsze łaski królewskie spadały i na Jana Łazarydę Januszowskiego, arcypografa, uczonego prawnika i świetnego drukarza, jednego z najkulturalniejszych i najświetlejszych przemysłowców, jakich miała Polska XVI wieku. Był on ulubieńcem zarówno Stefana Batorego, jak i hetmana Zamoyskiego. Król obdarzył go przywilejem na druk tak pokupnej książki, jak brewjarz i mszał. Niemniejsze względy okazywał Januszowskiemu i Zygmunt Trzeci, który nawet nobilitował go w r. 1588.



Według Ignacego Baranowskiego.

PRZYŚŁOWIA.

Wodę czerpa przetakiem, kto bez ksiąg chce być żakiem. — Klasztor bez ksiąg, twierdza bez broni. — Z książki mądry, a z głowy głupi. — Lepsza żadna, niż zła książka.

Objaśnienia: 1. *Produkcja*, wytwórczość. — *Huta* (z niem. Hütte) szklana, zakład, gdzie robią szkło. — *Vitreatores*, łacińska nazwa szklarzy od vitrum, i = szkło. — *Sularze*, palacze, utrzymujący ogień w piecu hutniczym (z niem. Schürer). — *Wykarczowanych*. Karczować, dobywać karczce, pnie i korzenie po wyciętym lesie w celu otrzymania pola pod zasiewy albo łąki. — *Czynsz* (z łac. census przez niemieckie Zins), opłata za użytkowanie z rzeczy nieruchomej cudzej, dzierżawa. — *Królewszczyzna*, dobra królewskie. — 2. *Znaki wodne* albo filigrany (z fr. filigrane), znaki, wyciskane na papierze, ujawniające się dokładnie, jeżeli się je rozpatruje w świetle przechodzącym. — *Młynki papiernicze*, potrzebne do szarpania galganów, szmat, z których wyrabia się papier. — *Kapituła*, grono starszych duchownych przy katedrze, klasztorze albo kolegiacie t. j. katedrze bez własnego miejscowego biskupa. — *Księża Duchacy*, księża przy klasztorze Świętego Ducha. — *Sąd ziemski*, sąd pierwszego stopnia dla spraw szlachty województwa albo ziemi. Prócz sądów ziemskich były sądy grodzkie po grodach czyli starościńskie, wreszcie podkomorskie, rozstrzygające spory graniczne. — *Oficyna* (z łac.), pracownia, zakład przemysłowy. — *Pionierowie*, ludzie, torujący innym drogę. — 3. *Tłocznia*, machina do przyciskania lub wyciskania zapomocą drąga, śrub i t. p. tu wogóle zakład drukarski. — *Filja* (z łac. filia = córka), oddział, zakład mniejszy, zależny od głównego. — *Typograficzny*, drukarski. — *Czcionka*, litera drukarska. — *Ilustracja na str. 68*. Portret Zygmunta Augusta, według drzeworytu z książki z r. 1554. Pod spodem napis łaciński: »Zygmunt August z łaski Bożej Król Polski, Wielki Książę Litwy, Rusi, Prus, Pomorza, Żmudzi i Mazowsza i innych, Władca i Dziedzic. Roku Pańskiego 1554. W wieku lat 35«. Drzeworytnik popełnił błąd zasadniczy, rytując na drzewie rysunek w tym kształcie, w jakim powinien był wyjść na odbitce, nie odwrotnie, wskutek czego Zygmunt August jest twarzą zwrócony w lewo, nie w prawo, ręka z pierścieniami na palcach jest prawą, nie lewą, w herbie Orzeł i Pogoń zwrócone w prawo zamiast w lewo, orły znalazły się na tarczy, gdzie powinny być Pogonie i odwrotnie. To, co mamy na odbitce, powinno się było znaleźć na drzeworycie. Właściwy obraz można uzyskać, przykładając rysunek podstawą do podstawy lusterka pod kątem ostrym tak, by odbicie ujrzeć w lustrze. Pogoń, herb W. Księstwa Litewskiego, wyobrażająca w polu czerwonym pod czapką książęcą (tu jej brak) jeźdźca zbrojnego w hełmie, z mieczem w prawej ręce, do cięcia podniesionym, a w lewej z tarczą, na której krzyż podwójny złoty. Koń pod nim biały, rozpedzony w czerwonym okryciu z potrójną złotą frendzlą. Najdawniejszy rysunek tego herbu pochodzi z r. 1366. Jagiełło, zostawszy królem polskim, stworzył wspólny herb państwowy z Orła i Pogoni. Władysław Warneńczyk podzielił tarczę pieczęci królewskiej na cztery pola, pomieszczając w nich sposobem szachownicy dwa Orły i dwie Pogonie. — *Monopol*, prawo, służące wyłącznie jednej osobie. — *Konkurencja*, współzawodnictwo. — *Konfiskata* (z łac.), zebranie. — *Arcytypograf*, doskonały, pierwszy drukarz. — *Brewjarz*, zbiór codziennych modlitw księży katolickich. — *Mszał*, księga kościelna, z której i według której odprawia się msza św. w kościele katolickim. — *Nobilitować*, nadawać szlachectwo. — *Czerpa* strp. = czerpie. — *Przetak*, rodzaj sita z łyka, drutów, blachy, z większemi dziurkami czworograniastemi. — *Ilustracja*: Znak drukarni Łazarzów Januszowskich. U spodu napis łaciński: »Ingenio et arte« = Zdolnością i umiejętnością; naokoło zaś »Domini mea spes fidesque verbi praelucente face ad polum fe-

atura« = Nadzieja moja w Bogu i wiara w Słowo niech przy świetle pochodni (wiedzy) rozchodzą się (do bieguna) na krańce świata.

LIST KOPERNIKA

DO KRÓLA ZYGMUNTA I-GO, PISANY W IMIENIU KAPITUŁY
WARMIŃSKIEJ.

Najjaśniejszy i najmiłościwszy Władco,
Królu i Panie najłaskawszy!

Po zapewnieniu o naszym przywiązaniu i gotowości do kornych usług.

Często już chcieliśmy uzalić się przed Tobą, najmiłościwszy Panie, na krzywdy nasze, lecz wstrzymywała nas jakaś nieśmiałość nasza i Majestat dostojnego imienia Twojego, do któregośmy powinni zawsze zwracać się raczej z uczczeniem, aniżeli ze sprawami. Teraz jednak i trudne położenie nasze, i niegodziwość zaszłych wydarzeń, a także i sam honor Waszej Królewskiej Mości zmuszają nas naprzykrzać się naszymi żalami i błaganiami Waszej Miłości, zajętej już skądinąd bardzo ważnemi sprawami. Nie jest to bowiem tajne, jakich obelg doznajemy już przez pełnych lat siedem ze strony zbrodniczych i bezczelnych ludzi przez to, że zarówno my, jak i nasi poddani nękanymi jesteśmy ogniem i mieczem, napadami i rozbojami od coraz to wzrastającej liczby wrogów; że dalej sami jesteśmy jakby uprowadzeni w niewolę tak, iż nawet godziny bezpiecznie nie mieszkamy w domach naszych, które, leżąc wśród otwartego pola, wystawione są na łaskę i na niełaskę zbrodniarzy, a nawet przybytek Boży i świętości ledwo od zbezczeszczenia chronimy, że wreszcie prawie niewolno nam bezkarnie wymierzyć samym sobie sprawiedliwości, której od innych rzadko tylko doświadczamy. Z czyjej zaś pobudki te przykrości nasze tak się wzmogły, to już skądinąd, jak sądzimy, jest znane Waszej Królewskiej Mości. Jest bowiem powszechnie wiadome, gdzie się owi rozbójnicy dotychczas wylęgali, gdzie się na nas zbroją, dokąd się ze zdobyczą chronią. Myśmy to dotychczas znosili w cierpliwości, ponieważ, poświęciwszy się stanowi duchownemu, mniej mamy doświadczenia w rzemiośle wojennem. Jednak ponieważ na walnym sejmie w Elblągu świeżo zapadła była uchwała, że wszyscy mają chwycić za oręż przeciwko tej pladze, ażeby ją wyplenić, i ponieważ rozumieliśmy, że jest to także postanowione edyktem Waszej Królewskiej Mości, nie uchyliliśmy się od obowiązku, lecz owszem pierwsi staliśmy się mścicielami tak wielkich zbrodni. Albowiem gdy na początku tego miesiąca na naszej ziemi ośmiu rozbójników napadło na publicznej drodze pewnego poddanego Waszej Królew-

skiej Mości, obywatela miasta Elbląga, i, odciawszy mu obiedwie ręce, obrabowali go ze wszelkiej majętności, burgrabia nasz, zebrawszy wkrótce małą garstkę naszych poddanych, wkroczył bezustannym marszem prawie sześć mil w głąb terytorjów Zakonu za śladem owych okrutnych rozbójników, napadł na nich wpierw, niżby się po domach swoich rozproszyli, zajętych podziałem łupu w pewnym bagnistym lesie: schwytawszy zaś jednego z nich, szlachcica rodem z Marchji (inni ucieczką się ratowali), odwiózł go z powro-



tem do domu wraz z całą zdobyczą, oraz z końmi i uzbrojeniem samych rozbójników, wpierw uprosiwszy i uzyskawszy pozwolenie rycerza, któremu podlega owa okolica, jakkolwiek pozwolenie w tym razie nie było potrzebne.

Lecz teraz już nietylko ów rycerz użala się, że doznał krzywdy (bo widzi może, że ta sprawa także i jemu niebezpieczeństwem zagraża), lecz i komtur w Baldze, a nawet sam dostojny w. mistrz niedość, że żąda, lecz także usilnie się stara, ażeby owego schwytanego rozbójnika z całą uprowadzoną zdobyczą powrócić do Balgi, którą to sprawę Najprzewielebniejszy nasz biskup Waszej Królewskiej

Mości szerzej przedstawił. Z tego powodu rabusie już zuchwalej niż przedtem podnoszą przeciwko nam głowy, i, jak zagrażali miastom, teraz wszyscy przeciwko nam się zwróciwszy, wszelaką prowokacją, różnemi obelgami i częstemi pogrozkami nas napastują; następnie widzimy także, iż ze strony w. mistrza grozi nam już prawie niebezpieczeństwo i przemoc, której nie mamy sposobu odeprzeć, ponieważ naszym zajęciem jest modlić się a nie walczyć, chyba, że przyjdzie nam z pomocą Wasza Królewska Mość z wrodzoną swą łaskawością, do której z tem większą ufnością zwrócić się nakłania nas z jednej strony niewinność naszej sprawy, a z drugiej niebezpieczeństwo naszego Kościoła, który w Waszej Królewskiej Mości ma i zawsze miał najszlachetniejszego opiekuna. To też uniżenie Wasz Majestat zaklinamy i błagamy: racz Królewską Swą mądrością i stanowczością zapobiec tym zbrodniczym usiłowaniom, Kościół nasz i nas samych, w oczywistem niebezpieczeństwie pograżonych, otoczyć opieką Swą i obroną, abyśmy mogli i służbę Bożą, i nas samych, którzy nie ustajemy w modlitwach o pomyślny stan dostojnego Królestwa Twojego, lepiej zachować w cieniu wzniosłych cnót Twoich, ofiarując wierne usługi nasze i samo życie nasze Waszej Królewskiej Mości, którego czcimy jako najłaskawszego Pana naszego, kornie Mu się polecając.

Waszego najmiłościwszego Majestatu Królewskiego
uniżeni i oddani kapelani

Kapituła Warmińska.

Z Warmji dn. 22, miesiąca lipca, 1516 r.
Przekład L. Birkenmajera.

Objaśnienia: List ten łaciński, świadczący dobitnie o polskości Kopernika, odnaleziony został w 1908 r. przez uczonego polskiego L. Birkenmajera w archiwum państwowem w Sztokholmie. Archiwa i biblioteki warmińskie złupione zostały głównie w r. 1626 przez wojska Gustawa Adolfa i wywiezione do Szwecji. — Po śmierci (r. 1512) biskupa warmińskiego, Łukasza Watzelrodego, wuja Kopernika (1473—1543), bandy rozbójnicze, zorganizowane i popierane przez Zakon, zaczęły łupić Warmję, odzyskaną dla Polski na mocy pokoju w Toruniu 1466 r. Knowania krzyżackie zakończyła pomyślna dla oręża polskiego wojna Zygmunta I z Zakonem, na którego czele stał naówczas Albert (Albrecht), książę brandenburski z linii Hohenzollern-Anspach, rodzony siostrzeniec Zygmunta. Był to ten sam Albert, który w 1525 r. złożył hołd królowi polskiemu na rynku krakowskim. — Przed samą wojną wielki astronom był kanclerzem i administratorem dóbr biskupstwa, rezydował w obwarowanym Olsztynku, nad rzeką Łyną (Alle), którego też dzielnie bronił, gdy w 1520 r. krzyżactwo załaziło Warmję. — *Majestat*, wielkość, wspaniałość, godność. — *Elbląg*, miasto województwa Malborskiego nad rzeką Elbląg, przyznane Polsce na wieczne czasy mocą pokoju Toruńskiego. — *Wyplenić*, zniszczyć to, co się pleni, rozrasta, wytepić. — *Edykt*, rozkaz. — *Burgrabia*, naczelnik straży zamkowej, dowódca załogi. — *Marchji* brandenburskiej. — *Kom-*

tur, u Krzyżaków przełożony nad okręgiem, w czasie wojny nad oddziałem wojska. — *Balga*, zamek krzyżacki i gród, zbudowany 1239 r. na półwyspie zatoki Fryskiej, na południe od Królewca. — *Wielki komtur* od r. 1510 wspomniany Albert. — *Prowokacja*, wyzwanie, zaczepka. — *Ilustracja*: Portret Kopernika według drzeworytu z XVI w. Znakomity astronom był wybitnym przyrodzowcem i lekarzem, dlatego portrecista dał mu do rąk konwalję (*convallaria majalis*), znak lekarski. Już w wiekach średnich konwalję uważano za wyborny środek lekarski, na co miał wskazywać sam kształt jej niby kropli. Zalecano zbieranie jej kwiatów o wschodzie słońca, nim je pokryje rosa, i zalewanie malwazją (malwazją, fr. *malvoisie*), słodkiem i moczem winem z winnic pod Napoli di Malvasia w Morei (greckim Peloponezie). Krople takiej nalewki miały leczyć sparaliżowanych (pozbawionych władzy w członkach). Dziś kropli konwaljowych, przyrządzanych już oczywiście w inny sposób, na spirytusie lub eterze, używa się dla uspokojenia nerwów, na bicie serca, bezsenność.

POCHWAŁA WSI.

Wsi spokojna, wsi wesoła,	On łąki, on pola kosi,
Który głos twej chwale zdoła?	A do gumna wszystko nosi;
Kto twe wczasy, kto pożytki	Skoro też siew odprawimy,
Może wspomnieć zaraz wszystkie?	Komin wkoło obsiedziemy.
Człowiek w twej pieczy uczci-	Tam już pieśni rozmaite,
[wie	Tam będą gadki pokryte,
Bez wszelakiej lichwy żywie;	Tam trefne pęsy z ukłony,
Pobożne jego staranie	Tam cenar, tam i goniony.
I bezpieczne nabywanie.	A gospodarz, wzięwszy siatkę,
Inszy się ciągną przy dworze	Idzie mrokiem na usadkę
Albo żeglują przez morze,	Albo sidła stawia w lesie,
Gdzie człowieka wicher pędzi,	Jednak zawždy co przyniesie.
A śmierć bliżej niż na piędzi.	W rzece ma gęste węcierze,
Najdziesz, kto w płat język	Czasem wędą ryby bierze,
[dawa,	A rozliczni ptacy wkoło
A radę na funt przedawa,	Ozywają się wesoło.
Krwia drudzy zysk oblewają,	Stada igrają przy wodzie,
Gardła na to odważają.	A sam pasterz, siedząc w chłodzie,
Oracz plugiem zarżnie w zie-	Gra w piszczałkę proste pieśni,
[mię,	A faunowie skaczą leśni.
Stąd i siebie, i swe plemię,	Za tem sprzędna gospodyni
Stąd roczną czeladź i wszytek	O wiczerzej pilność czyni,
Opatruje swój dobytek.	Mając doma ten dostatek,
Jemu sady obradzają,	Ze się obejdzie bez jatek.
Jemu pszczoły miód dawają,	Ona sama bydło liczy,
Nań przychodzi z owiec wełna	Kiedy, z pola idąc, ryczy,
I zagroda jagniąt pełna.	Ona i spuszczać pomoże,

Męża wzmaga, jako może.

A niedorośli wnukowie,
Chyląc się ku starszej głowie,

Wykną przestawać na male,

Wstyd i cnotę chować w cale.

Jan Kochanowski
(1530—1584).

Objaśnienia: *Który głos twej chwale zdoła* = czyj głos zdoła cię dość chwalić. — *Wczasy*, spokój, przyjemne chwile. — *Zaraz*, odrazu. — *Pieczka*, opieka, staranie. — *Lichwa*, a) dawanie pieniędzy na procent, b) pobieranie wysokich procentów od sum wypożyczonych. — *Ciągną się*, wysilają się, zabiegają, wysługują. — *Na piędzi*, o piędź. Piędź, miara równa najdłuższej odległości między końcami palców wielkiego i średniego rozpostartej dłoni średniej ręki męskiej, a więc wynosząca około 20, 22 centymetrów. — *W płat dawać język*, oddawać język na procent, sprzedawać swą wymowę. — *Na funt*, na wagę, za pieniądze. Oba te zwroty mówią o obrońcach sądowych. — *Odważać czego, gardła* = narażać życie. Mowa o stanie żołnierskim. — *Dobytek*, bydło. — *Gadki pokryte* = zagadki trudne do rozwiązania. — *Trefny*, uczesny, żartobliwy. — *Pęsy* = pęsy. — *Cenar*, taniec powszechnie w Polsce znany i lubiony w XVI i XVII wieku. — *Goniony*, gra i taniec zarazem o charakterze bardzo żywym. — *Na usadkę* = na zasadzkę. — *Węcierz*, stożkowaty lub walcowaty kosz z wikliny lub sieci do połowu ryb w jeziorach i rzekach. — *Dmie w piszczałkę*, gra na piszczałce. — *Faunowie*, bóstwa pól i lasów u Rzymian. — *Sprzędna*, skrzędna. — *Wiczerzej*, dopełniacz staropol. obok wiczerze = dziś. wiczerzy. — *Bez jatek*, bez kupowania na targu. — *Spuszczać*, domyślne: z łańcucha. — *Męża wzmaga* = mężowi pomaga. — *Chyląc się ku starszej głowie* = ulegając powadze starszych. — *Wykną przestawać na male* = przywykają do poprzestawiania na małym. — *W cale*, w całości, nienaruszoną.

TREFNA POWIEŚĆ.

Chłopi, idąc ze wsi na jarmark, który był w kilku milach, opóźnili się, że w boru zostać przez noc musieli. Więc iż było o Gromnicach, kiedy wilcy stadem chodzą, radzili między sobą, jakoby noc tę przespać, a wilcy żeby którego z nich nie zjedli. Jeden powiedział:

— Nieśmy ogień, a nie śpijmy.

Odpowiedziano mu, iż tak źle, bo rychlej wilcy do ognia przydą.

Wyrwał swoje drugi, powiedając:

— Składźmy się, prawi, kołem, iżby jeden drugiego głową dotykał, a tak jeśliby którego z nas wilk za nogę popadł, uczuje podle niego drugi.

Zganili drudzy i tę radę, mówiąc:

— Kiedy się, prawi, roześpim, wnet głowy daleko od siebie będą, wtem mogą wilcy przypaść i wyjąć z koła dwu i trzech, że drudzy nie uczują.

Owa po długim rokowaniu naostatek poradził tak jakiś sta-

rzec: wleźć na które wysokie drzewo, a tam nie śpiąc dnia czekać. I uczynili tak, porąbili hnet dwie sośni, a uczyniwszy na nich karby jakoby stopnie, na jedną wysoką sośnię po nich wleźli i tam przez noc byli, obaliwszy sośnię na ziemię. Nazajutrz, gdy nie wszyscy mogli być tak czerstwemi (zwłaszcza iż było między nimi nieco starych mężów), żeby na dół bez pomocy zeszli, obrali między sobą kilku co czerstwiejszych a dłuższych, aby najpirwszy mocnej się gałęzi ujął i trzymał, a drugi jego nóg, aż tak do ziemi, a po tych dopiero owi leniwi jako po drabinie aby na dół schodzili. A gdy przyszło do tego, że drudzy po onych już z góry leźli, począł ten najwyższy wołać:

— Śpieszcie się, daj was zabito, bo mi tak barzo ciężko, iż ledwie się gałęzi trzymam.

A jeden z tych, którzy leźli, rzekł:

— Bracie, nie łaj, wszak jeślić ciężko, a słabo trzymasz, popluj rąk sobie.

A ten, gdy chciał usłuchnąć rady, ze wszystkimi zaraz gruchnął o ziemię; kto szyję, kto rękę, kto nogę złamał, ledwo podobno jeden abo dwa wrócili się do domu.

Łukasz Górnicki (1527—1603).

Objaśnienia: *Był w kilku milach* = o kilka mil. — *Opóźnili się* tak, że... — *O Gromnicach* staropol. na Gromnice, na Matkę Boską Gromniczną, drugiego lutego. Przysłowie: Gromnica zimy połowica. — *Przyjdą* staropol. = przyjdą. — *Powiedając* strp. = powiadając. — *Skladźmy się, układźmy się, połóżmy się.* — *Owa, oto, słowem.* — *Porąbili* od strp. rąbić = rąbać. — *Hnet, wnet, natychmiast*. — *Sośni*, biernik l. podw. od strp. »sośnia«. — *Wszytcy* od strp. mianownika »wszytek« = dziś. wszystek. — *Czerstwiy*, silny. — *Dłuższy* strpol. stop. wyższy od »duży« = a) wielki, b) mocny, tęg. — *Najpirwszy* = najpierwszy; stop. najwyższy od staropol. »pirwy, pirzwy«, do którego stopniem wyższym był »pirwszy«. — *Do ziemi* staropol. dopeł. l. p. — *Daj was zabito* = bodaj zabito. — *Barzo* starop. = bardzo. — *Usluchnąć* starop. postać jednolita czasownika dokonanej »usłuchać«.

O DOKTORZE HISZPANIE.

Nasz dobry doktór spać się od nas bierze,

Ani chce z nami doczekać wieczerze.

»Dajcie mu pokój! najdziem go w pościeli,

»A sami przedsię bywajmy weseli!« —

Już po wieczerzy: »Późdzmy do Hiszpana!«

»Ba, wierę, późdzmy, ale nie bez dzbana!« —

»Puszczaj, doktorze, towarzyszu miły!«

Doktór nie puścił, ale drzwi puściły.

»Jedna nie wadzi, daj ci Boże zdrowie!«

»By jeno jedna!« doktór na to powie.

Od jednej przyszło aż więc do dziewięci,

A doktorowi mózg się we łbie maści.

»Trudny — powiada — mój rząd z tymi pany:

Szedłem spać trzeźwio, a wstanę pijany.«

Jan Kochanowski (1530—1584).

Objaśnienia: *Bierze się spać* = idzie spać. — *Wieczerze*, dopełniacz liczby pojedynczej. — *Przedsię*, staropol. przecie, jednak, mimo to. — *Wierę*, zaiste, prawdziwie. — *Jedna czasa*. — *Wadzić* = a) waśnić, kłócić, b) szkodzić, przeszkadzać. — *Dziewięci*. W dawnej polszczyźnie liczebniki od czterech do dziewięćdziesiąt miały odmianę właściwą rzeczownikom żeńskim, zakończonym w mianowniku liczby poj. na spółgłoskę miękką, odmieniały się więc jak np. broń. W nowszej polszczyźnie pod wpływem liczby podwójnej liczebnika »dwa« wyrobiła się inna odmiana. »Dziewięci« staropol. obok »dziewięci«, jak »piąci« obok »pięci«.

Z »APOFTEGMATÓW«.

Pan Dębieński, kanclerz koronny, mając poruczenie od króla, aby pewną sprawę, która się natenczas toczyła przed królem, na inny dzień odłożył, temi słowy powiedział: »W tej a w tej rzeczy tak Król Jego Miłość dekret czyni etc., a tę drugą odkłada do sądnego dnia« miasto tego, co miał rzec: »do sądowego dnia«; ale tak podobno chciał tknąć kunktaczej, która zhytnia była.

Jan Kochanowski (1530—1584).

Objaśnienia: *Apoftegmata*, liczba mnoga od greckiego apóftegma = wyrzeczenie, przypowieść. — *Kanclerz koronny*, naczelnik kancelarji królewskiej; jemu doręczano pisma obcych państw dla wręczenia królowi, on układał na nie odpowiedzi, przyjmował posłów obcych, odbierał prośby, wnoszone do króla, przemawiał w imieniu króla na sejmie i t. p. — *W tej a w tej i t. d.* Autor nie wymienia sprawy, którą król poprzednio rozstrzygnął. — *Rzeczy*, tutaj sprawie. — *Król*, Zygmunt August. — *Dekret czyni*, orzeka, postanawia. Dekret (z łac. decretum), wyrok, uchwała, postanowienie, orzeczenie sądu. — *Miasto*, zamiast. — *Tknąć*, delikatnie wytknąć, zwrócić uwagę, zrobić przytyk. — *Kunktacja* (z łac. cunctatio), ociąganie się, odkładanie, przeciąganie.

NA MOST WARSZAWSKI.

Nieubłagana Wisło, próżno wstrząsasz rogi,

Próżno brzegom gwałt czynisz i hamujesz drogi;

Nalazł fortel król August, jako cię miał pożyć,

A ty musisz tę swoją dobrą myśl położyć,

Bo krom wiosel, krom promów już dziś suchą nogą

Twój grzbiet nieujeżdżony wszyscy deptać mogą.

Jan Kochanowski (1530—1584).

Objaśnienia: Pierwszy stały most, łączący ulicę Mostową z przeciwnym brzegiem Wisły, zaczął stawiać Zygmunt August 1568 r.; ukończyła budowę po jego śmierci siostra jego Anna w r. 1573. Most zniszczyła powódź 1603 r. — *Rogi* — rogami. — *Fortel* (z niem. Vortheil), sztuka, sposób, środek. — *Pożyć*, opanować, okiełznać. — *Dobłą myśl polożyć* = porzucić butę, hardość. — *Krom*, oprócz.

DOWCIP RZYMSKI.

Scypjo Nazyka przyszedł do Enjusza i zawołał, u drzwi stojąc:

— Jest pan doma?

Dziewka mu powiedziała:

— Niemasz.

Λ Scypjo słyszał, iż Enjusz tak powiedzieć kazał.

Owa gdy tak odszedł, rychło potem przyszedł też Enjusz do Scypjona, a gdy także, nie wchodząc w dom, pytał na pana, Nazyka sam silnym głosem zawołał:

— Niemasz go doma!

Zatem Enjusz:

— Cóż mię błażnisz, azaż ja nie znam twego głosu?

Tu Scypjo powiedział:

— Wielkiś niedyskret! Jam ongi twojej dziewce uwierzył, kiedy powiedziała, iż ciebie doma nie było, a ty mnie samemu teraz wierzyć nie chcesz.

Łukasz Górnicki (1527—1603).

Objaśnienia: *Scypjo Nazyka*. Publius Cornelius Scipio Nasica Optimus, konsul roku 191. — *Enjusz*. Quintus Ennius (239—169), jeden z pierwszych poetów rzymskich; wywarł duży wpływ na późniejszych twórców i pisarzy rzymskich. Uprawiał dramat, epopeję, wzorując się na poezji greckiej. — *Dziewka*, służąca. — *Owa*, otóż. — *Takież*, także, również. — *Pytał na pana* staropol., pytał o pana. — *Doma* (starop. przysłówek od staropol. dopełniacza »doma«), w domu. — *Błażnić*, oszukiwać, wystrychnąć na błażna, na dudka. — *Azaż* staropol., czy, czyż, alboż. — *Niedyskret* staropol., niedelikatny. — *Powiedała* starop. = powiadała. — Opowiadanie to umieszczone jest w »Dworzaninie polskim« Górnickiego, przeróbce książki włoskiej Castiglione (czyt. Castiljoniego), do której zaczerpnął je autor z dzieła »O mówcy« słynnego polityka, mówcy, pisarza łacińskiego Marka Tulliusa Cyncerona (106—43).

O RZYMIE.

Jako wszystkie narody Rzymowi służyły,
Póki mu dostawało i szczęścia i siły,
Także też, skoro mu się powinęła noga,
Ze wszystkiego nań świata uderzyła trwoga.

Fortunniejszy był język, bo ten i dziś miły —
Tak zawždy trwalszy owoc dowcipu, niż siły.

Jan Kochanowski (1530—1584).

Objaśnienia: Wszystkie mianownik l. mnogiej od staropol. zaimka nieokreślonego twierdzącego »wszytek, tka, tko«, z osnową »wszytk.« Z »wszytki«, powstała forma »wszytcy«, ta zaś pod wpływem form przymiotnikowych takich, jak: »polscy, czescy, bosey i t. p.«, upodobniła się do nich i zmieniła na »wszyscy«, skąd s przeszło do innych form tego zaimka, odczuwane jako należące do osnowy. Już w w. XV obok form »wszytek« i t. d. spotykamy »wszystek, wszystka« i t. d. — *Fortunniejszy* od fortunny = szczęśliwy, pomyślny. — *Zawždy*, zawsze. — *Dowcip*, w dawnym znaczeniu »bystrość umysłu, rozum«.

PIEŚŃ.

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym niemasz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo nad Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tys Pan wszystkiego świata, Tys niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował.
Tys fundament założył nieobeszłej ziemi
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi.

Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
Λ zamierzonych granic przeskoczyć się boi.
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Białą dzień, a noc ciemna swoje czasy znają.

Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi;
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.

Z Twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
Λ zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie.
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności,
A Ty każdego żywisz z Twej szczodroblewości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie,
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi,
Jedno zawždy niech będziem pod skrzydłami Twemi.

Jan Kochanowski (1530—1584).

Objaśnienia: *Mienić*, mianować, nazywać. *Mieni swoje*, dziś mieni swoim. — *Wdzięcznem sercem wyznawać*, chwalić. — *Przystojniejszy*, właściwszy, odpowiedniejszy. — *Bo nad Ciebie i t. d.*, nad wychwalanie Ciebie. — *Nieobeszłej*, której nie można obejść. — *Zamierzony*, zakreślony. — *Swoje czasy znają*, wiedzą, kiedy mają nastąpić. — *Tobie kwoli*, według Twojej woli. — *Jablka*, owoce. — *Mdle*, osłabione, wątłe. — *Zagorzale*, spalone. — *Patrza od strp.* patrzeć; dziś — patrzy. — *Jedno przysl. strp.*, tylko.

LIST SENEKI.

Seneka śle pozdrowienie Lucyljuszowi.

Dobłą i zbawienną obrałeś drogę, jeśli, jak piszesz, wytrwale dążysz do pozyskania zdrowej myśli. Byłoby rzeczą nierozsądną modlić się o nią, skoro możesz ją w sobie znaleźć. Nie trzeba wznosić rąk do nieba, ani błagać sługę świątyni o dopuszczenie przed oblicze posągu, jako iżbyśny snadniej wysłuchani być mogli: blisko jest bóg twój, on jest przy tobie, w tobie. Tak, Lucyljusz, święty duch mieszka w nas, spogląda na nasze złe i dobre sprawy i nad nimi czuwa. Jak z nim postępujemy, tak on z nami. A już dobrego człowieka niemasz bez boga. Czyżby bowiem mógł ktoś bez boskiej pomocy wznieść się ponad zespół warunków zewnętrznych i przypadkowych? Ten bóg daje człowiekowi rady wspaniałe i zdrowe. Tak, w »w każdym z mężów prawych mieszka jakiś bóg«.

Kiedy wejdziesz w gaj gęsty o niezwykle wysokich i starych drzewach, w którym gałęzie nie pozwalają ci ujrzeć błękitu niebios, czy wysokość takiego lasu, ustronność miejsca, przedziwny cień, gęsty i nieprzerwany pomimo braku sklepienia, nie wzbudzą w tobie wiary w jakąś wyższą istotę? A jeśli gdzie na zboczu góry zawisnie pieczara, nie człeka ręką zrobiona, lecz przez przyrodę wyłobiona, czy nie przeniknie umysłu twego pewne poczucie świętości? Czcimy źródła wielkich rzek i, gdzie z wnętrza ziemi wytrysnie woda, tam ołtarz stawiamy, oddajemy cześć ciepłym krynicom, niektóre jeziora dla cienistej ciemności czy głębi bezdennej uważamy za święte. A gdy spotkasz człowieka nieustraszonego w niebezpieczeństwie, do którego żądze dostępu nie mają, szczęsnego w nieszczęściu, spokojnego, gdy burza szaleje, spoglądającego na ludzi z wyższego stanowiska, a na bogów — jak równych, czy wówczas nie poczujesz czci, czy nie rzekniesz: »Istota ta jest zbyt wielka

i wzniosła, żeby można było uwierzyć, że jest ona czemś podobnem do tego biednego ciała, w którym przebywa«. Boska moc w nią wstąpiła. Niebiańska siła ożywia tak jasnego ducha, pełnego miary, w poczuciu swej wyższości przechodzącego obojętnie obok wszystkiego, śmiejącego się z tego, co nas lęku nabawia lub żądze w sercu nieci. Możliwe to jest tylko dzięki oparciu się o bóstwo. To też duch taki większą częścią swego jestestwa przebywa tam, skąd zstąpił. Jak słońca promienie wprawdzie ziemię złocą, atoli jeno tam są w domu, skąd drogę znaczą, tak wielki i święty człowiek, zesłany do nas, byśmy bliżej boskość pojęli, przebywa wprawdzie wśród nas, jednak jest zawsze synem pierwotnej swej ojczyzny, do niej należy, tam patrzy i dąży, a w naszych ludzkich sprawach uczestniczy, nie tracąc poczucia swej wyższości.

Któż do owych duchów się liczy?

Ten, kto jaśniej własnem tylko dobrem.

Cóż jest nierozsądniejszego, jak wielbić u kogoś to, co do niego nie należy? Czy może być coś głupszego, niż podziwiać u jednego człowieka to, co w jednej chwili przejść może do innego? Złota uprzęż nie czyni konia dzielniejszym. Lew nie poskromiony, nie pozbawiony pierwotnej dzikości inaczej kroczy, jak ten o zdobnej w złoto grzywie, którego ułożono i zmuszono do cierpliwego znoszenia ozdób: ognisty i porywczy zgodnie ze swem przyrodzeniem, piękny dzikością (bo na tem właśnie polega jego urok, że postrach budzi samym swoim widokiem), — oczywiście w wyższej jest cenie, niż ten powolny, ozdobiony złotem.

Każdy ma prawo chlubić się tylko tem, co jest jego własnością. Chwalimy winną latorośl, kiedy obciążona bujnym owocem swoim własnym ciężarem wtłacza do ziemi podpórki, które jej przydano. Któżby oddał pierwszeństwo winnej latorośli o złotych gronach i liściach; urodzajność jest odrębną pięknnością winnej latorośli. To też i człowieka chlubę stanowi to, co należy do niego samego. Może on mieć dwór wspaniały, piękny pałac, rozległe włości, może ciągnąć wielkie zyski ze swych kapitałów, a jednak to wszystko nie w nim jest, lecz poza nim. Chwal u niego to, czego ani mu dać, ani odebrać nie można, co jego własnością. Pytasz, jakie miano tej rzeczy. Duch i rozum doskonały. Człowiek jest stworzeniem rozumnem. Szczęście więc jego osiąga swą całkowitość, jeżeli wypełni on to przeznaczenie, dla którego się urodził. A czego żąda od niego rozum? Zaiste niewiele: żyć, jak mu wskazuje jego natura. Ale powszechne szaleństwo czyni zadanie to trudnem: jeden strąca drugiego w otchłań błędu. Jakżeż zawrócić można ludzi na drogę

ich dobra, skoro nikt nie powstrzymuje ich szalu, skoro świat cały głębiej ich węń zanurza?!

Bywaj zdrów.

Przekład A. Sz.

Objaśnienia: Lucius Annaeus Seneca (4 przed N. Chr. — 65 po N. Chr.), wybitny pisarz, poeta, filozof czasów Kaliguli (37—41), Klaudjusza (41—54), Nerona (54—60). Ur. w Kordubie hiszpańskiej, kształcił się w Rzymie, za Tyberjusza (14—37) wszedł do senatu, za Klaudjusza w 41 r. wygnany, spędził lat siedem na dzikiej Korsyce, po powrocie został wychowawcą Nerona, a po jego wstąpieniu na tron doradcą. W r. 62 usunął się ze dworu i w 65 oskarżony o spisek przeciw Neronowi sam pozbawił się życia. Pisał wiele wierszem i prozą, z zainteresowaniem badał zagadnienia życia i śmierci, szczęścia ludzkiego, postępowania, stałości wśród nieszczęść. Jego pisma, czytowane z zapalem przez ogół, wywierały wpływ dobroczynny i długotrwały. Niemalęm uznaniem cieszył się w średniowieczu i później wśród pisarzy europejskich, a więc i polskich. Do najlepszych jego pism należą *Listy do Lucyljusza* (124 w 20 księgach *Epistolarum moralium libri XX*). Lucilius, pisarz i poeta, był przyjacielem Seneki. Listy mają tylko formę listów, ale w rzeczy samej są rozprawami o głębszych zagadnieniach życia, o doskonaleniu się, spowiedzią myśli i uczuć autora. Podany tu list 12 ks. IV.

Z LISTÓW PLINJUSZA MŁODSZEGO DO TACYTA.

1. OPISUJE ŚMIERĆ PLINJUSZA STARSZEGO.

Plinjusz pozdrawia swego Tacyta.

Prosisz mnie, ażebym ci opisał wuja mego skon, a to iżbyś ty nawzajem upamiętnić go mógł w »Rocznikach« swych zgodnie z istotą rzeczy. Dzięki ci za to składam: jasna rzecz bowiem, że jeśli ty przyłożysz się do uczczenia jego śmierci, to nieśmiertelna czeka ją chwała. Chociaż bowiem przez samą śmierć, poniesioną wskutek pamiętnej katastrofy, zginął wśród klęski najpiękniejszej krainy, wiecznie przez to niejako żyć mając, jak żyć będą w pamięci pokoleń miasta zniszczone i ich ludność, chociaż sam wiele i trwałych dokonał dzieł, wielce się jednak do jego nieśmiertelności i twoich pism wiekuistość przyczyni.

Co do mnie za szczęśliwych uważam tych ludzi, którym z woli bogów przypadło albo dokonywać dzieł opisu godnych, albo pisać rzeczy, godne czytania; najszczęśliwsi zaś są ci, co się odznaczają na obu polach. W tych liczbie będzie i mój wuj, dzięki własnym jego dziełom i tobie.

Tem chętniej tedy, a nawet z upragnieniem spełniam zlecenie twoje.

Znajdował się on w Misenum, osobiście stojąc na czele floty. Dnia 24 sierpnia około siódmej godziny dziennej matka moja oznajmiła mu, iż ukazała się chmura niezwykłej wielkości i kształtu. On

pod ten czas, wygrzawszy się na słońcu a następnie wychłodziwszy w kąpeli, leżąc, posilił się i zajmował pracą umysłową. Kazał więc podać sobie obuwie i udał się na miejsce, z którego zjawisku owemu można się było najlepiej przypatrzeć.

Rzeczywiście wznosiła się chmura. Patrzący zdala nie mogli rozpoznać, z której wznosi się góry, potem dopiero dowiedziano się, iż z Wezuwjusza. Kształtem najbardziej podobna było do sosny, gdyż wznosząc się jak gdyby na olbrzymim pniu, rozszczepiała się nihy w konary, zapewne dlatego, że silnem zrazu w górę wyrzucona parciem, potem z jego stopniowem ustawianiem lub też własnym ciężarem zwalczona rozchodziła się wszecz: raz biała, to znów brudna i plamista w miarę, jak unosila ziemię lub popiół.

Jako uczony mąż, uważał on to zjawisko za rzecz niepospolitą i godną bliższego rozpoznania.

Kazał tedy przygotować lekki statek i pozwolił mi z sobą popłynąć, gdybym chciał. Lecz ja odpowiedziałem, że wolę się uczyć, a właśnie on sam coś mi zadał do pisania. Wtem, gdy wychodził z domu, otrzymuje list od Rektyny. Przerazona grożącym niebezpieczeństwem (gdyż willa jej leżała tuż u podnóża góry, i nie było innego sposobu schronienia się tylko na okrętach), błagała go, by ją wyratował.

Wuj zmienia postanowienie i, co w zamiarze tylko naukowym począł, teraz pod wpływem wielkodusznego uniesienia wykonywa. Spuszcza czterorzędowe okręty, a sam udaje się, nietylko by Rektynie pomoc nieść, ale i wielu innym, wybrzeże bowiem dla przyjemnego położenia nader było ludne. Spieszy tam, skąd inni uciekają, i dąży prostą drogą, ster ku niebezpieczeństwu skierowawszy, tak pozbawiony obawy, że wszelkie ruchy tego niebezpiecznego zjawiska, wszelkie kształty, ile okiem zasięgnął, notował lub spisywać kazał. Już popiół padał na okręty, w miarę zbliżania się coraz gorętszy i gęstszy; już żuźle, a z niemi czarne, spalone i potrzaskane w ogniu sypnęły się kamienie; już ukazała się mielizna i brzeg, do którego dostęp utrudniały złomy skalne.

Zatrzymawszy się chwilę dla namysłu, czy nie lepiej byłoby wrócić, gdy mu sternik ten krok odradzał.

— Mężnym los sprzyja — rzekł, — kieruj do Pomponjana.

Ten mieszkał w Stabjach, oddzielony zatoką, gdyż tam morze łamie się zwolna lekko krętami brzegami. Na widok niebezpieczeństwa, które nie było jeszcze bliskie, ale rosnąc, mogło się zbliżyć, przeniósł on sprzęty na statki, licząc na pewną ucieczkę, gdyby wiatr przeciwny ustał.

Wuj mój, mając ten wiatr za sobą, przybił szczęśliwie do

brzegu; uściskał drżącego Pomponjana, cieszył go, dodawał mu ducha. Ażeby własnym spokojem jego przestraszyć, kazał się zanieść do łaźni, po kąpeli położył się, wieczerał wesoło albo, co równie jest wielkie, wesołego udając.

Z góry Wezuwjusza tymczasem w wielu miejscach wybuchały szerokie płomienie i ogromne ciągnęły luny, których blask ciemność nocna jeszcze bardziej przerażającym czyniła. Wuj dla złagodzenia niepokoju przekładał, że to wille, ze strachu przez mieszkańców miejskich opuszczone, w osamotnieniu goreją. Potem udał się na spoczynek i mocno zasnął, przechodzący bowiem obok słyszeli jego oddech z powodu otyłości ciężki i głośny.

Lecz dziedziniec, prowadzący do mieszkania, tak się już wysoko napełnił popiołem i pomieszaniem z nim żużlami, że gdyby dłużej kto pozostał w sypialni, jużby z niej wyjść nie mógł. Przebudzony więc wyszedł i udał się do Pomponjana, tudzież do tych, którzy jeszcze nie spali. Naradzają się wspólnie, czy pozostać pod dachem, czy chodźć po otwartym miejscu, wskutek częstego bowiem i gwałtownego trzęsienia ziemi budynki trzęsły się ustawicznie i jakby ruszone z posad to na tę, to na ową stronę zdawały się chylić i wracać do pierwotnego położenia; pod gołem znów niebem obawiano się spadku żużli, choć lekkich i wypalonych; — to jednak niebezpieczeństwo wybrano. U wuja mego jeden wyrozumowany plan ustępował przed innym, u pozostałych trwoga ustępowała trwodzi. Poduszkami głowy osłoniwszy, chustkami je poprzywiązywali: była to ochrona przeciw spadającym przedmiotom.

Gdzie indziej był już dzień, tu noc, od wszystkich nocy czarniejsza i gęstsza, którą jednak przerywało wiele pochodni i świateł.

Wujowi mojemu przyszło na myśl iść na brzeg i zbliska zobaczyć, czy można już płynąć dalej; morze wciąż jednak było wzburzone i niedostępne. Tam, na rozłożonym spoczywając płótnie, raz i drugi kazał sobie podać wody i napił się. A wtem płomień i zapach siarki, poprzednik płomieni, innych do ucieczki znagła, jego pobudza.

Wsparty na dwóch niewolnikach powstał i znowu upadł z powodu, jak wnoszę, że mu dym zbyt gęsty stłumił oddech i skurczył żołądek, słaby i do częstych zaburzeń skłonny.

Gdy wrócił dzień — trzeci po owym, który on widział po raz ostatni, — znaleziono ciało jego całe, nietknięte, w tem samym ubraniu; wyglądał więcej jak śpiący, niż umarły.

Ja przez ten czas z matką byłem w Misenum. Lecz to już nie ma związku z dziejami, i ty nic więcej nie chciałeś się dowiedzieć prócz tego, co jego śmierci dotyczy. Kończę więc. To jedno tylko

dodam, że wszystko, przy czem byłem obecny, i wszystko, co usłyszałem w chwili, gdy się jeszcze zazwyczaj prawdziwe rzeczy opowiadają, powtórzyłem wiernie. Ty wybierz szczegóły najwłaściwsze. Co innego bowiem jest list, co innego historia: inna rzecz pisać dla przyjaciela, inna dla wszystkich. Bądź zdrow.

Objaśnienia: *Plinusz Młodszy*, Plinius Caecilius Secundus (ur. r. 62, zm. około 113), mówca i literat rzymski. Zawarty w dziesięciu księgach jego zbiór 247 listów, już w czasie pisania przeznaczonych do ogłoszenia, daje bardzo ciekawy obraz życia społeczeństwa rzymskiego czasów Trajana (98—117). Pierwszy przytoczony tutaj list wyjęty jest z księgi VI, oznaczony cyfrą 16, drugi — z tejże księgi dwudziesty. — *Tacyt*, Cornelius Tacitus (ur. ok. 55 zm. po 117), mówca, urzędnik, piastujący najwyższe urzędy państwowe, wybitny pisarz, przedewszystkiem wielki historyk rzymski. Z dzieł jego historycznych najslawniejsze »Historje«, obejmujące w 14 prawdopodobnie księgach dzieje rzymskie od śmierci Nerona (69) do śmierci Domicjana (96) — ocalały tylko cztery księgi, oraz część piątej — i »Annales« — roczniki, od śmierci Augusta (14) do śmierci Nerona. — *Plinusz Starszy*, Plinius Caius Secundus Major (23—79), jeden z najuczestniejszych Rzymian swego czasu; z jego pism zachowało się tylko ogromne dzieło przyrodnicze »*Historia naturalis*«. — *Misenum*, rzymski port wojenny na północno-zachodnim krańcu zatoki neapolitańskiej, przyłądku Misenum. — *Okolo siódmej godziny dziennej*, Rzymianie rozpoczynali rachunek godzin od szóstej rano, siódma dzienna była to więc nasza pierwsza po poł. — *Z której wznosi się góry*, wobec górzystości miejsca. — *Sosna włoska* czyli pinja. Pinja śródziemnomorska, malownicza ozdoba will i ogrodów, 15—30 metrów wysokości o koronie parasolowatej. — *Reklyna*, bliska znajoma Plinjusza. — *Czterorzędowe okręty*, okręty o czterech rzędach wiosł, umieszczonych jedne nad drugimi. — *Prostą drogą z Misenum na wschód ku Wezuwuszowi*. — *Stabje* na południe od Wezuwjusza.

2. OPISUJE WŁASNE PRZYGODY PO ZGONIE WUJA.

C. Plinusz pozdrawia swego Tacyta.

Powiadasz, iż powodowany listem, który ci na żądanie o śmierci wuja napisałem, pragniesz dowiedzieć się, jakiej ja, w Misenum zostawszy (bo na tem przerwałem opowiadanie), doznałem trwogi i przygód.

»Zacznę, chociaż się umysł na wspomnienie wzdryga«.

Po odjeździe wuja resztę czasu poświęciłem pracy naukowej, dla której właśnie pozostałem; później nastąpiła kąpiel, wieczera i sen krótki a niespokojny. Już i przedtem panowało przez wiele dni trzęsienie ziemi, mniej straszne, bo w Kampanji dość zwyczajne; tej jednak nocy tak się wzmogło, że wszystko zdawało się nie już chwiać, lecz wywracać. Nagle wbiega do sypialni mojej matka; wstaje, by z kolei budzić ją, gdyby zasnęła.

Usiedliśmy na dziedzińcu, który niewielką przestrzenią morze od budynków przedzielał. Nie wiem, czy to nazwać odwagą, czy nie-

roztropnością, — miałem bowiem podówczas osiemnaście lat, — ale kazałem sobie podać księgę Tytusa Liwjusza i czytam ją jakby w czasie najspokojniejszym, a nawet, jak już byłem zaczął, robię z niej wyciągi.

Wtem przyjaciel wuja mojego, świeżo doń z Hiszpanji przybyły, spostrzegłszy mnie siedzącego z matką i czytającego, zganil jej cierpliwość, a moją niefrasobliwość; ja niemniej jednak pozostałem zatopiony w książce. Nadeszła już pierwsza godzina dzienna, a światło dnia było jeszcze niepewne i jakieś mdłe; już przy chwianiu się otaczających budynków, choć to na otwartem, ale wąskim miejscu, była silna i uzasadniona obawa o ich rozwalenie się. Wtedy dopiero zamierzaliśmy wyjść z miasteczka.

Za nami uchodzi przerażone pospólstwo i, co w chwilach trwogi sprawie wrażenie rozwagi, cudzy przykład nad własną radę przenosząc, niezmiernym tłumem tłoczy się na nas uchodzących i ściska. Wyszedszy z miejsc zamieszkałych, zatrzymaliśmy się.

Wiele tam napotykamy dziwów, wielu doznajemy lęków, gdyż wozy, którym kazaliśmy zajechać, chociaż na najrówniejszym gruncie, miały się w przeciwne strony, a nawet kamieniami przyparte, na miejscu ustać nie mogły. Prócz tego zdawało się, że morze chce samo siebie pochłonać, i że je trzęsienie ziemi niejako od lądu odpycha. Rzeczywiście, brzeg posunął się w kierunku morza, i na suchym piasku pozostało mnóstwo zwierząt morskich.

Z drugiej strony straszliwa czarna chmura, wijąc się łamanymi zakrętami, ziejącemi ogniem, opisywała wielkie, płomienne figury, nakształt niby piorunów, ale większe od nich.

Wtedy ów przyjaciel z Hiszpanji z mocniejszym rzekł do matki i do mnie naleganiem:

— Jeżeli twój brat, jeżeli twój wujaszek żyje, to pragnie, ażebyście ocaleli; jeżeli zginął, to pragnął, abyście przy życiu pozostali: czemuż więc wahacie się z ucieczką?

Odpowiedzieliśmy, że nie przeniesiemy tego na sobie, ażeby w niepewności o jego życie, myśleć o zachowaniu własnego.

Nie czekając tedy dłużej, porwał się i, biegnąc co tchu, uszedł niebezpieczeństwa; wkrótce też potem chmura owa zaczęła spuszczać się na ziemię i okrywać morze. Już otoczyła Kapreę i zasłoniła ją, już zakryła przed nami przylądek Misenum.

Wtedy matka zaczęła prosić, przekładać, nakazywać, ażebym w jakibądź sposób uchodził, że jako młodzieniec ująć jeszcze zdołam, a ona, obciążona laty i ciałem, umrze spokojnie, byleby nie stała się śmierci mej przyczyną. Ja zaś oświadczyłem, że nie ocaleję, chyba razem z nią. Potem, wzięwszy ją za rękę, nagle do przy-

spieszenia kroku; ona opiera się i obwinia, że mnie tylko zatrzymuje.

Już pokazuje się popiół, jeszcze jednak rzadki; oglądam się, a tu gęsta mgła nadciąga z tyłu i, nakształt potoku płynąc po ziemi, krok w krok postępuje za nami.

— Zboczmy ze ścieżki — rzekłem, — dopóki nam wzroku jeszcze starczy, ażeby nas tłum nie powalił na drodze i w ciemności nie zdeptał.

Zaledwieśmy usiedli, aliści powstaje noc, nie na podobieństwo bezksiężycowej i chmurnej, ale taka, jaka bywa w miejscach zamkniętych, gdy nagle zagaśnie światło.

Dały się wtedy słyszeć szlochania niewiast, krzyki dziecięce, wrzaski mężczyzn: jedni rodziców, drudzy dzieci, inni żon wołaniem szukali i poznawali po głosie; jedni swoje, drudzy swoich oplakiwali nieszczęście, byli i tacy, co z samego strachu przed śmiercią prędzej już chcieli umrzeć. Wielu wznosiło ręce do bogów, więcej było takich, którzy oświadczali, że niema żadnych nigdzie bogów, i że ta ostatnia noc wieczną będzie dla świata. Byli i tacy, co zmyślonemi i urojonemi strachami istotne niebezpieczeństwa zwiększali. Nie brakło i takich, co rozpowiadali, że w Misenum niektóre budynki zapadły się, inne płoną: był to fałsz, ale słuchali go łatwowierni.

Rozjaśniło się nieco. Lecz nam to nie zdało się dniem, tylko wskazówką nadciągającego ognia. Jakoż był to ogień, ale zatrzymał się zdala; niebawem potem nastąpiła ciemność, a z nią zaraz sypnął popiół gęsty i ciężki. Powstając, musieliśmy się zeń raz po raz otrząpywać, inaczej byłby nas zasypał a nawet i zdusił ciężarem.

Mógłbym się pochłubić, że w całym tem niebezpieczeństwie nie wydałem ani jęku, ani żadnego niemęskiego westchnienia; ale czulem tę smutną, wielką jednak przy oczekiwanej śmierci pociechę, iż wraz ze mną giną wszyscy i wszystko.

Chmura owa wreszcie przerzedzona zamieniła się niby w dym lub mgłę; niebawem dzień prawdziwy i słońce nawet zajaśniało, mdłe jednak, tak jak bywa przy zaćmieniu. Wszystko drżącym jeszcze oczom wydawało się zmienione, wysoko popiołem, jakby śniegiem pokryte. Wróciwszy do Misenum i jakkolwiek posiliwszy się, przepędziliśmy noc niespokojnie, wahając się między nadzieją i obawą: obawa jednak przemagała. Bo i trzęsienie ziemi nie ustawało, i niektórzy ludzie pozbawieni rozumu straszliwemi przepowiedniami igrali ze swoją i cudzą niedolą. Nam jednakże, chociażśmy przeżyli takie niebezpieczeństwo i nowego oczekiwali, ani w myśli nie powstało odejść stamtąd, dopóki nie przybędzie wiadomość od wuja.

Co ci piszę, nie jest do zamieszczenia w dziejach; czytaj to nie dlatego, ażebyś miał opisywać w »Rocznikach«. Sam sobie raczej przypisz winę, jeśli to za niegodne nawet listu osądzisz, ponieważż mnie wyzwalesz. Bądź zdrow.

Według przekładu K. Kaszewskiego.

Objaśnienia: *Zacznę* t. d. Wyjątek z pieśni II Eneidy, poematu, opiewającego dzieje Trojańczyka Eneasza, mitycznego założyciela państwa rzymskiego. Autorem Eneidy jest Publius Vergilius Maro (70 przed Chr. — 19 po Chr.), najznakomitszy rzymski poeta epiczny. — *Kampanja*, prowincja, leżąca na zachodniej stronie południowej Italji, obejmująca Wezuwjust i jego okolice. — *Liwjust*, Titus Livius (59 przed Chr. — 17 po Chr.), wybitny historyk, autor »Historji rzymskiej«, z której doszło do nas tylko pierwszych dzieśięć ksiąg i księgi od 21 do 45, razem 35 ksiąg, obejmujących dzieje Rzymu od założenia miasta w r. 750 do 168 r. przed Chr. — *Pierwsza godzina dzienna* t. j. szósta rano, a było to w sierpniu. — *Kaprea*, dzisiejsza wyspa Kapri (Capri) na południe od Misenum na przeciwległym krańcu zatoki Neapolitańskiej.



WYBUCH WEZUWJUSZA W 1794 R.

Z pomiędzy wielu wybuchów Wezuwjusta dwa tylko przewyższają swymi straszliwymi rozmiarami wybuch w r. 1794. Pierwszy jest ten, który zniszczył bogate Herkulanum, nadmorskie Pompeje i wytknął morzu nowe granice. Drugi w r. 1631 rzucił prawie niezliczone potoki ogniowe na liczne miejscowości, rozłożone u stóp wulkanu. Wszystkie urodzajne plantacje zostały wtedy zniszczone doszczętnie, i prawie połowa mieszkańców straciła życie w płomieniach.

Obadwa te wybuchy zdarzyły się wtedy, gdy w pamięci ludno-

ści okolicznej czas prawie zupełnie zatępniał wspomnienia o źródle zniszczenia, kryjącem się we wnętrzu góry. W czasach późniejszych jednak wulkan niemal rok rocznie był widownią nowych i wielkich zjawisk, a w całej okolicy prawie nie było człowieka, któryby nie doznał na sobie lub nie był świadkiem naocznych spustoszeń, spowodowanych kilkoma z rzędu wybuchami. A przecież dwuletni spokój wulkanu, kiedy wierzchołek jego nawet nie dymił, zdołał już uczynić mieszkańców tak nieopatrzniemi, że Wezuwjust nie przychodził im wcale na myśl nawet wtedy, gdy 12 czerwca o godzinie jedenastej i pół w nocy gwałtowne trzęsienie ziemi wyrwało ich nagle ze snu. Na całej powierzchni Kampanji ziemia kołysała się jak fale wodne od wschodu na zachód. Neapolitanie tłumnie opuszczali domy, udając się na wielkie place: Palazzo Reale, del Mercato, delle Pigne. Każdej chwili oczekiwali zawalenia się swych domów i ze strachem przetrwali pod gołym niebem do ranka, obawiając się, aby ich nie spotkał los Kalabrii. Kiedy jednakże słońce weszło jasno i pogodnie i ukazało ich oczom wulkan w zwykłym spokoju, zaczęli się obawiać ruiny południowych prowincji państwa, przypuszczali bowiem, że tam właśnie była przyczyna zjawisk nocy ubiegłej. Niedługo jednak trwali w błędzie. W trzy dni później, 15 czerwca o godzinie 11 w nocy, ziemia znów się zatrzęsała; nie było to już wszakże jak przedtem kołysanie, do ruchów fali podobne, lecz nieprawidłowe szturchnięcia, które rozrywały budynki, wstrząsały z brzękiem oknami i obalały w nieładzie sprzęty w mieszkaniach. Niebawem też czerwone płomienie i świecące dymy rozjaśniły niebo.

Wezuwjust okazał się pękniętym u stóp stożka, i z dachów domów widać było lawę, wytryskującą w postaci łuków parabolicznych. Ustawicznie rozlegał się głuchy, lecz gwałtowny hałas, podobny do szumu rzeki, spadającej kataraktą do głębokiej jamy. Góra kołysała się bezustannie, a w kwadrans później wstrząśnienia i w mieście dawały się czuć bez przerwy. Nigdy jeszcze nie widziano lawy, wybuchającej z taką wściekłością. Wrażliwy lud neapolitański, nie czując pod stopami gruntu stałego, widząc powietrze w płomieniach, słysząc straszne, nieznanne dotąd dźwięki, pełen grozy rzucił się tłumnie do stóp ołtarzy w kościołach i kaplicach, chwycił krzyże i obrazy i, zawodząc głośno, ciągnął przez miasto w dzikim zamieszaniu. Góra nie zważała na okrzyki przerażenia, wciąż pojawiały się coraz to nowe otwory, z których rzucała się lawa z jednokowym hałasem i jednakową gwałtownością. Dym, płomienie i para wzbijały się do niezmiernej wysokości poza chmury i rozpostarły się na wszystkie strony w postaci olbrzymiej pinji, jak za czasów Plinjusza.

Po północy ucichł trwający dotąd bez przerwy straszliwy, głuchy huk, a wraz z nim ustały ciągle wstrząśnienia i kołysania się góry. Lawa chlustała teraz z otworów z przestankami, a tym szybko po sobie następującym wytryskom towarzyszył podobny do grzmotu łoskot. Siły sprężyste, wypychające lawę z taką gwałtownością i hałasem, wyrzucały w powietrze na zdumiewającą wysokość niezliczoną ilość dużych kawałków skał, za którymi następowały nowe płomienie i czarne chmury dymu.

Stopniowo uderzenia stawały się coraz rzadsze, ale siła ich się wzmagala. Wkońcu cała góra zdawała się być tylko jedną baterją dział, strzelających razem, salwami. W czasie tego gwałtownego grzmienia już po północy zauważono, że i atmosfera za wulkanem zaczyna się rozjaśniać. Lawa, nie poprzestając na spustoszeniach, zrządzonych na tej stronie góry, rozsadziła także stok jej na stronie przeciwnej, w miejscu jeszcze bardziej od wierzchołka oddalonem, rzuciła się gwałtownie z powstałego otworu do szerokiego wąwozu, spustoszonego już przez dawniejsze lawy, i staczała się na dół ku Mauro. Szalała ona w lasach u wylotu doliny, rozlała się po mniej pochyłej płaszczyźnie, zaczęła ciec nieco wolniej i po trzech dniach zastygła zupełnie, nie zdolawszy dotrzeć do mieszkań ludzkich.

Nie tak było z lawą, walącą w kierunku Neapolu. Toczyła się ona szybko po zboczu góry. Każda eksplozja wypychała z krateru coraz to nowe masy lawy, które, rzucając się do potoku, zdawały się dodawać mu nowej mocy. Połowa mieszkańców Resiny, Portici, Torre del Greco wpatrywała się w pełnem strasznej obawy oczekiwaniu w każdy najmniejszy ruch potoku ogniowego, który kierunkiem swoim groził to tej, to owej miejscowości, druga połowa leżała krzyżem przed ołtarzami, błagając o ratunek, o odwrócenie od nich tej strasznej plagi. Naraz cała masa lawy skierowała swój bieg w stronę Resiny i Portici. Wszystko co żyło w Torre del Greco rzuciło się do kościołów, aby podziękować Bogu za ratunek upragniony, zapominając w bezmiernej radości o nieuniknionej zgubie sąsiadów. Lecz lawa napotyka na swej drodze głęboki parów i płynię jego korytem, a parów ten otwiera się ponad nieszczęśliwem Torre del Greco, którego mieszkańcy uważali się już za uratowanych. Z nową wściekłością stacza się potok ogniowy po bardziej spadzistem zboczu, nie dzieli się już na odnogi i lawą na 2000 stóp szeroką dosięga kwitnącego miasta. W tejże chwili osiemnaście tysięcy ludzi szuka ratunku na morzu; odbijając od brzegu, widzą oni wznoszące się z pośród lawy nad zapadniętymi dachami domów grube słupy czarnego dymu i błyskanie wielkich płomieni. Pałace i kościoły walą się z trzaskiem, a góra wciąż grzmi przeraźliwie.

O godzinie 11 w nocy lawa wydostała się z krateru, a o godzinie 5 rano Torre del Greco przestało istnieć. W przeciągu sześciu godzin gorąca masa przebiegła cztery mile włoskie. Jest to prędkość nieznaną jeszcze dotąd w historii góry. Nawet wielkie morze z ledwością zdołało położyć kres biegowi lawy. Gdy dolna część potoku krzepła w wodzie, część górna toczyła się dalej gwałtownie po masach już zastygłych. W szerokim pasie dookoła woda wrzała, a ugotowane ryby w niezliczonej ilości pokryły powierzchnię morza.

Wśród tego spustoszenia rozpoczął się nowy dzień. Nie widziano już unoszących się z kraterów płomieni, ale nie widziano też i góry; dokoła niej rozłożyła się czarna, gęsta chmura i, jak ciemna zasłona, zaczęła się stopniowo rozpościerać nad zatoką i nad morzem. W Neapolu i jego okolicy padał ustawicznie drobny deszcz popiołowy i pokrywał wszystkie zioła, krzewy i drzewa, wszystkie domy i ulice. Słońce weszło bez promieni i blasku. Światło dnia zaledwie można było porównać ze słabym brzaskiem jutrzeńki. Niezakryty rąbek nieba na zachodnich krańcach widnokregu podwajał groźę mroków otaczających. Neapolitańczycy nie mogli znieść okropności tego zjawiska; stawszy się ofiarą posępnej melancholji, ustawicznymi procesjami starali się ułagodzić zagniewane niebo. Teraz już nie sam tylko lud, z łatwością poddający się wrażeniom, przebiegał wrzeszcząc z krzyżami w ręku ulice. Członkowie najznakomitszych rodzin Neapolu przyłączali się do uroczystego pochodu procesji i, cicho wzdychając, szli wśród ciemności długim szeregiem za krzyżem. Ludziom wydawało się, że wszystko, na co padnie popiół, dotknięte jest technieniem śmierci; urojona strata bogatych plantacyj okolicznych wprawiała pospólstwo w nieme zwątpienie. Z trudnością tylko udało się rządowi rozproszyć nieco te obawy przez ogłoszenia, że popiół nie zawiera żadnych szkodliwych części składowych.

Im bliżej góry, tem silniej i gęściej padał popiół. Gdy ulice Neapolu okrywała warstwa jego na grubość jednej linji, w Portici było już 5 linij, dziewięć w Resinie, a piętnaście w bliskości lawy. W Neapolu padał czarny, subtelny pył, bliżej wulkanu drobny piasek z dającemi się rozpoznać cząstkami składowemi, a na samym Wezuwju sypały się rapilli i drobne okruchy kamieni.

Lawa poruszała się jeszcze, ale ruch jej stał się bardzo powolny i dawał się zauważyć tylko na samym końcu potoku, który pokrył się twardą, stężalą skorupą. Powierzchnia tej rozpalonej masy stygła tak prędko, że w dwanaście godzin po zburzeniu miasta wielu nieszczęśliwych jego mieszkańców pośpieszyło z powrotem do swych zniszczonych domów, aby wydrzeć lawie choć tę

cząstkę swego mienia, którą ona mogła oszczędzić. Śmiałkom tym udało się nawet tą drogą uratować kilka osób, zamkniętych w jednym klasztorze, które napróżno dotąd błagały o ratunek. W wielu miejscach skorupa na lawie popękała; z głębi wydobywała się gwałtownie para z przykrym zapachem chlorowodoru, a brzegi szczelin świeciły jasnymi płomieniami. Ustawicznie rozlegało się oddalone grzmienie, a ciemność nocy rozjaśniało migotanie błyskawic, towarzyszących czarnemu, sypiącemu się z góry deszczowi. Zauważono, że potężna masa, z której padał ów deszcz, wytoczyła się z wielkiego krateru na szczycie góry. Widziano, jak z wnętrza jego wydobywała się ogromna, gęsta, kulista chmura, która zdawała się tem bardziej rozdymać, im wyżej się wznosiła. Wielkie, zbyt ciężkie kawały skał ustawicznym deszczem spadały z jej brzegów pionowo napowrót w otchłań. Za pierwszą chmurą szybko nastąpiła nowa w towarzystwie takich samych zjawisk, a za tą z kolei niezliczone inne, wznoszące się do niedojrzanej wysokości. Wielki, wspaniały widok! Częstość zdawało się, że góra była okryta prawdziwą koroną takich chmur, ułożonych swoiście. Stopniowo rozchodziły się one, kamienie większe spadały pionowo, staczając się po zboczach stożka, popiół drobniejszy porywał wiatr i roznosił go po całym kraju. W kilka godzin później popiół znów okrył całe niebo i znów, jak przedtem, zatarała się granica między dniem i nocą.

W ciągu dnia zauważono kilka słabych wstrząśnień. W nocy, o godzinie 2 dnia 18-go nowe gwałtowne uderzenie przeraziło ludzi, których straszne wypadki dni ostatnich uczyniły niewrażliwymi na zjawiska drobniejsze. Uderzenie to dało się odczuć głównie w Portici, Resinie i innych miejscowościach, leżących w bliskości góry. Z nadejściem zaś dnia, mniej od poprzednich zaćmionego przez popiół, zauważono ze zdumieniem, że wierzchołek wulkanu zawalił się; dawny ostrokrag został skośnie ścięty od strony morza. Nieustanne wybuchy popiołu tak wyczerpały wnętrze góry, że wierzchołek jej stracił oparcie i całą swą masą runął do krateru. Wszelako imponujące to zjawisko nie zakończyło ponurego deszczu popiołów. Jakkolwiek w Neapolu, Portici i w okolicy pobliskiej mniej niż dni poprzednich padało popiołu, a nawet w ciągu kilku godzin przez rozproszony pył przezierała bladoczerwona tarcza słoneczna, to zato miejscowości, na wschód od góry leżące, cierpiały podwójnie. Gwałtowny wiatr uprowadził od strony morza masy, wydobywające się z krateru, i ze zdwojoną wściekłością rzucił na Sommę, Ottajano, Nolę, Casertę. Aż do samych Apenin panowała ciemna noc. Zdawało się, że cały Wezuwjusts chce rozpaść się w pył. Ulewne nawałnice, mieszając się w powietrzu z popiołem, tworzyły masę, która

w kształcie lepkiego ciasta padała na okolicę. Oblepiało ono ściśle najdrobniejsze gałązki krzewów i drzew, a wszystkie plantacje tego urodzajnego zakątka uginały się pod nieznośnym jego ciężarem. Dachy wielu domów zapadały się, a mieszkańcy, uchodząc z życiem, ratowali się ucieczką w góry. W taki sam sposób zginęły ongi Pompeje i Herkulanum.

I w rzeczy samej były powody obawy jeszcze sroższego losu. Albowiem w czasie, kiedy błoto i popiół w dniu 18 i 19 padały w ilości, gaszącej niemal światło dzienne, ze spadzistych stoków góry rzuciły się rwące potoki wodne. Z bezgraniczną gwałtownością porzywały one z sobą całe góry kamieni i drzew i pokrywały masami skalnymi równinę. Przez jedną tylko noc 20 czerwca toczyło się z góry pięć takich potoków, i trzy razy w ciągu dnia wznawiało się to niszczące zjawisko, ostatnim zaś razem ze zdwojoną siłą. Cała kraina, otaczająca Wezuwjusts, spustoszona została temi deszczami i potokami. Zdawało się, że każda najmniejsza nawet chmurka była przyciągana przemocą ku wulkanowi, a zaledwie zdążyła otoczyć jego szczyt, zrywały się z niej masy wody, obalające w biegu swoim lasy, niszczące drogi, mosty, domy i pola. W całej okolicy nieszczęśliwi mieszkańcy żyli w ustawicznej obawie śmierci i każdej chwili musieli być w pogotowiu do ucieczki. W ten sposób Bosco, Somma, Ottajano, Torre dell'Annunziata straciły owoce swej pracy w części na nieobliczone lata, a spustoszenia, zrządzone przez lawę w Torre del Greco, nie były chyba zgubniejsze i większe od tych, jakie poczyniły straszliwe ilości wód, spadłych na kraj z wulkanu. W tym czasie zmniejszyła się powoli ilość wyrzucanego popiołu. Teraz wraz z nim wydobywały się z krateru wielkie chmury pary i rozchodziły w powietrzu. Ale noce neapolitańskie wciąż jeszcze rozjaśniały się niezliczonymi błyskawicami, ciskaniami przez chmurę popiołową. Towarzyszyły im silne, ale nie roztoczyste grzmoty, a stąd też góra jeszcze przez kilka dni była źródłem nieustannego huku.

W dniu 24, a głównie 26 spadło znów więcej popiołów na stronę, zwróconą do Neapolu. Ten popiół wszakże ludność przyjęła okrzykami radości; nie był on już bowiem ciemnoszary lub czarny, jak dotychczas, ale jasnopopielaty, a w końcu prawie zupełnie biały. Doświadczenie wybuchów dawniejszych uczyło, że są to ostatnie zasoby wulkanu, i że na tym popiele zwykle wybuch się kończy. Nie zawiodło to i tym razem. Odtąd Wezuwjusts prawie wyłącznie tylko dymił. Popiół padał jeszcze tylko w niektóre dni, a od 8 lipca szczęśliwy klimat Neapolu odzyskał dawną pogodę. Usilną pracą mieszkańców Torre del Greco zaczęło się znów dźwigać z ruiny. Chłopi tysiącami rozproszyli się po polach i oczyszczali liście i ga-

łęzie drzew i szczepów winnych z popiołu. W Neapolu teatry znów się otworzyły na przyjęcie napływających do nich widzów, a figle Poliszynela po dawnemu gromadziły beczynne tłumy na rogach ulic.

M. Neumayr. Przekład K. Kozirowskiego.

Objaśnienia: *Wytknął morzu nowe granice.* Przed wybuchem z r. 79 płytka zatoka morska sięgała tuż do samych Pompei, które wówczas były miastem nadmorskiem i prowadziły znaczny handel wywozowy. Obecnie brzeg tworzy wygiętą jednostajnie linię; zmiana linii brzegowej nastąpiła w związku z zasypaniem tego obszaru potężną masą popiołów. — Czyt. *Palacco, Merkato, Pinje.* — *Los Kalabrii.* Kalabria była od najdawniejszych czasów widownią straszliwych trzęsień ziemi; jedno z najstraszliwszych od 1783 r. trwało cztery lata, zginęło wówczas około 40 tysięcy ludzi wskutek trzęsienia ziemi, 20 tysięcy od epidemii. — *Parabolicznych.* Parabola jest linią krzywą, którą otrzymujemy przez przecięcie powierzchni stożkowej płaszczyzną, równoległą do tworzącej; ciało, wyrzucone nie pionowo, biegnie po linii, zbliżonej do paraboli. — *Katarakta, próg.* W tym miejscu raczej zamiast wodospad. — *Portici, Resina, Torre del Greco* miejscowości, leżące na brzegu zatoki Neapolitańskiej u stóp Wezuwjusza; Portici leży najbardziej na północ, Resina pośrodku, Torre del Greco najbardziej na południe. — *Mila włoska (miglio)* w różnych prowincjach włoskich różnej długości; neapolitańska = 1855 metrów. — *Rapilli* czyli lapilli, drobne bryłki z wulkanu, będące bądź to cząstkami zastygłej lawy, bądź okruchami samego krateru; drobniejsze luźne produkty wulkanów nazywamy piaskiem wulkanicznym, najdrobniejsze popiołem. — *Chlorowodór,* związek gazowy chloru z wodorem, którego roztwór w wodzie nazywa się kwasem solnym. — *Somma* u północnego podnóża Wezuwjusza, *Ottajano* północno-wschodniego, dalej na północo-wschód znajduje się *Nola,* najbardziej oddalona od krateru na północ leży *Caserta.* — *Bosco Reale* u południowo-wschodniego zbocza Wezuwjusza. — *Torre Annunziata* u południowego zbocza Wezuwjusza nad samym brzegiem morskim. — *Poliszynel* (włosk. pulzino), nazwa wielce lubionej na włoskiej scenie ludowej postaci komicznej w niezwyklej masce i o dwóch garbach: z przodu i z tyłu. — Mehlhior Neumayr (1845—1890), uczony geolog niemiecki.

ATENY PO SALAMINIE.

Dziwnie wyglądały Ateny w r. 478.

Wiosna już była w pełni, i słońce z każdym dniem dłużej przygrzewało, lecz nie wysuszyło jeszcze wezbranych wód Ilissu i Kefissu, które z wesołym pomrukiem wartko toczyły się w kamiennych łożyskach. Łąki nadrzeczne złociły się jaskrem, czerwieniły i różowiły kwieciami krasnych anemonów, jaśniały bielą dzikich narcyzów. Lecz w ogrodach, winnicach i sadach podmiejskich wszędzie znać było rękę perskich najeźdźców: macice winne powyrywane z korzeniami lub stratowane końskimi kopyty, figowe i oliwne gaje w pień wycięte na paliwo, owocowe drzewa strzaskane bezlitośnie, nawet platany w Akadema ogroju, który jeszcze

Solon obwiódł był dokoła murem, nie uszły siekiery. Na każdym kroku widne były ślady spustoszeń i okrutnej swawoli.

Miasto samo przed dwoma laty przez barbarzyńców doszczętnie złupione i zburzone, nie zdążyło się jeszcze odbudować. Obywatele jednak z polecenia rządzącej Rady czempredzej żony z dziećmi i dobytkiem sprowadzili z Trojzenu i Salaminy, dokąd je schronili byli przed perską nawałą.

Przed ruinami swych domów, poczerniałemi od pożogi, białogłowy zawodziły przeciągłym płaczem, i mężowie stawali z krwawiącym sercem i załamanemi rękami. Lecz ocknęli się niebawem z rozpacy. Dragami popodpierali zarysowane ściany, połatali je naprędce surowym kamieniem i gliną, odgarnęli rumowiska, tymczasowe dachy sklecieli z chróstu i sitowia i tak z rodzinami gnieździli się od biedy w zwaliskach.

Świątynie i gmachy publiczne ciągle jeszcze leżały w gruzach — narazie nie można jeszcze było myśleć o ich odbudowie. Temistokles nawoływał ustawicznie i naglił o niezwłoczne podźwignięcie obronnych murów miasta i grojca, dowodząc, iż to najpilniejsze. Wymownym i gwałtownym wywodom zwycięzcy z pod Salaminy wtórowali zgodnie mężowie co wyborniejsi; popierał je żarliwie mężny Ksantippos, który w zeszłorocznej morskiej bitwie pod Mykale okrył się jako wódz Ateńczyków niemałą sławą, i młody Kimon Miltjadów, co dawniejsze pustoty i wybryki zmazał cudami waleczności w salamińskiej potrzebie, a zwłaszcza temistoklowemu zdaniu przywtarzał usilnie sam wielki, prawy Aristejdes, aczkolwiek znany Temistoklesa przeciwnik.

Jęli się tedy najskwapliwiej mężowie ateńscy pracy onej ku obronie ojczyzny. Codzień od wczesnego rana do wieczora tłumno bywało i gwarno przy odbudowie murów, co wkrąg miasta wznosiły się już na kilka piędzi od ziemi. Równocześnie ze stromych zboczów Akropolu wyrastały potężne podmurowania i skarpy kamienne, przeznaczone do dźwigania znacznie rozszerzonej korony murów zamkowych. Niestrudzony Temistokles był wszędzie naraz, wszystkiego dozierał i kierował wszystkim; płomiennem słowem i własnym przykładem zagrzewał rodaków do pracy, znużonych rozochocał żartobliwą gawędą, zawstydział leniwych łagodną przyganą, chętnym i pracowitym sypał zręczne pochwały. Samo jego pojawienie się dodawało wszystkim otuchy.

Maż to był wyniosłego wzrostu i pięknej postawy, smukły i prosty, pomimo że dobiegał już pięćdziesiątki. Drobnią głowę, siwiejącą nieco na skroniach, nosił hardo na długiej, żylastej szyi. Długa, pełna broda w bujnych kędziorach spływała mu na piersi i czar-

nym wieńcem okalała podłużne, smagłe oblicze, na którym wryły swe piętno i wola niezłomna, i duma nieokiełznana. Cały jednak potężny wyraz tej nadzwyczajnej twarzy skupiał się w spojrzeniu wielkich, niespokojnych oczu: jarzyła się w nich latami nieprzytłumiona, kipiąca namiętność, lyskała chwilami w ich nagłym spojrzeniu przenikliwa bystrość umysłu; te oczy umiały wszystko: rozkazywać, nagradzać, gardzić, pieścić, urągać, zdawało się, że mogą i zabić jednym spojrzeniem. Przez ruiny Akropolu szedł żwawym krokiem, odziany powłóczystym jońskim chitonem i fałdzystym himatjonem, które w sutych fałdach spływało mu z ramion; głowę okrywał mu płytki ateński hełm z małym kabłąkiem i krótką kitą z końskiego włosia. Przystawał co chwila i wzrokiem rzucił na zwaliska budowli, na złomy posągów, potrzaskane i walające się wpośród gruzów, to na mężów, zajętych odbudową twierdzy.

Roilo się od ludzi całe wzgórze: jedni, siedząc na ziemi, obrabiali kamienie dłutem i młotem; drudzy już obrobione ciosy z trudem dźwigali, by je podać budownikom, co na gotowych warstwach podmurowania starannie układali nową. Ze wszech stron dolatywały szybkie, dźwięczne krzesania żelaznymi narzędziami o głązy, nawoływania, urywki rozmów i śmiechy...

Przesławny syn Neoklesów podszedł ku zburzonemu chramowi Ateny.

Prastare, okopcone pożarem zręby ścian, sięgające początkiem swoim w czasy Kodrosa czy może i dawniej, sterczały teraz chwiejne i spękane. Dach, przez Pejsistrata kryty niegdyś marmurowymi płytami, runął do wnętrza, ciężarem swym obalając także i kolumnadę. Po jednej stronie zostało się z niej kilka jeszcze kolumn, które na szerokich głowicach dzierżyły w powietrzu kawał belkowania. Wszystkie inne kolumny padły, jak podcięte drzewa i rozsypały się w dzwona, podobne do kamieni młyńskich. Wokoło leżały szczątki rzeźb, co trójkątny szczyt świątyni zdobiły i razem z nim zwały się na ziemię. Ich wspaniałości tak niedawnej ledwie można się było domyślać w poobijanych odłamach. Oto potłuczone nie do poznania dwie postaci gigantów, co z narożników trójkątna zwierzęcemi ruchy wypełzały ku środkowi do walki z bogami; oto Pallas Atena, co powaliwszy wielkoluda, przebijała go włócznią, lecz prawica bogini z podniesionym oszczepem rozprysła się w drzazgi, a głowa utracona ajgidowładnej córki Zeusowej poniewiera się między rumowiskiem. Temistokles pamiętał dzieckiem, jak w przyczole świątynicy te wielkie rzeźby stawiano z podziwem i radością całego pokolenia. Tak, to było niebawem przed zabiciem Hipparcha przez Harmodjosa i Aristogejtona. Ich posągi, ustawione pod Akropolem

na Arejopagu, cudne dzieło Antenora rzeźbiarza, zniknęły także. Pono Kserkses uwiózł je do Azji. Ile szkód, ile klęsk przyniósł ojczyźnie ów najazd okropny! A jednak te wojny dały Atenom wiekopomną sławę. Póki słońce wstawać będzie nad Salaminą, póty ludzie wspominać muszą ów dzień ogromny.

— Cóżby się dzisiaj z ojczyzny tej ostało, gdyby nie ja? — myślał, i duma pierś mu rozpieła. I nagle ujrzał sam siebie, jak wtedy, w owym dniu salamińskim, stoi na przedzie korabia, słonecznym złotem oblany, chmurą strzał perskich nieustraszony, i wielkim głosem wydaje rozkazy. Widział u stóp swoich nurty morskie, zarumienione krwią, kołyszące na spienionym odmęcie setki a setki trupów. A potem zdało mu się, że na hełmie dźwiga ciężki wian laurowy. Pochylił pod nim czoło zadumane i spostrzegł o kilka kroków przed sobą walającą się w rumowisku marmurową głowę Ateny. Oburącz podniósł ją i długo przypatrywał się jej dziewiczemu obliczu.

— Witajże mi, zbawco Hellady, synu Neoklesa! — odezwał się za nim głos przygasły i starością drżący.

Temistokles obejrzał się szybko: tuż poza nim stał człowiek siwobrody i zgarbiony późnym wiekiem.

— Pozdrowion bądź, Nearchu! — odpowiedział i marmurową głowę ostrożnie położył na kamiennych złomach.

— Jakże nam spustoszyli miasto, sponiewierali świątynię, poniszczyli posągi ci barbarzyńce, psom podobni z wejrzenia! — mówił stary, wyciągając pięści zaciśnięte.

— Odbudujemy większe Ateny, wyższe mury, wspanialsze świątynię, piękniejsze posągi.

— Ja tego nie doczekam, Temistoklesie. Starym jest i w dom Hadu zstąpię z onych rozwalin. Ale niczego bym nie żałował: ni winnicy mojej, z korzeniami wydartej, ni moich sadów, do cna wyrąbanych, ani nawet pięknego domu i garncarskiego pieca na Keramejku, acz mi go z ziemią zrównali, gdyby się jeno w całości ostał był mój dar, przed laty z pracy rąk moich złożon Palladzie. Pójdź a zobacz, co z nim uczynili!

Temistokles poszedł za starcem. Nieopodal świątyni leżał wielki, strącony z podstawy posąg niewieści. Z trefionej głowy spadało jej na ramiona ośm cienkich warkoczów, szata zwierzęchnia, w drobny fałd układana misternie, zwisała z ramion; spodnią, wiotką i obcisłą podtrzymywała swobodnie ręką, do łokcia obnażoną.

— Co z tem począć? — biadał starzec. — Twarzy ani rozeznąć, tak poobijana, prawica utracona, u lewej obłamane palce, które szatę unosiły, a nogi od kolan — sam widzisz — jak pogruchothane!

I to, co w niej było najcudniejsze, te oczy z błyszczącego szkliwa, osadzone w pozłocistej oprawie, co pozierały jak żywe — i te jej wylupili! Drugiej takiej nie mam już za co sprawić po wojnie — a choćbych i miał, któż mi taką drugą zrobi?! Antenor nie żyje, a ci terażniejsi rzeźbiarze! Zali o nich mówić warto?!

— Kritjos i Nesjotos mają pono rzeźbić nowe posągi morderców Hipparcha zamiast owych Antenorowych, które uwieźli Medowie. Możeby który z nich dwóch udzielał ci taki posąg miasto tego?... — próbował pocieszać Temistokles.

— Kritjos i Nesjotos?! — wołał stary garncarz. — A gdzież im do Antenora! Takiego rzeźbiarza nigdy już nie będzie! Ach, jakżeż się radowało serce moje, gdy w panatenajskie świątki zachodził na grójec i widywał przed świątnicą tę dziewczkę moją marmurową z patrzącymi oczyma, taką piękną a dumną. Na tyle, tyle innych posągów ludzie stawali wszyscy przed nią i czytali głośno pod jej stopami na tej wysokiej podstawie napis: »Nearchos, garncarz, ten posąg czestnym darem z pracy swej Atenie poświęcił — zdziałał Antenor, syn Eumaresów«. Patrz, patrz, Temistoklesie, oto podstawę i napis także potłukli w kawały!

— Nie narzekaj, Nearchu. Nie jedyny twój dar zniszczyli barbarzyńcy. Małoż tu leży obalonych posągów, a jedno piękniejsze od drugich. Wszystko nic, póki ojczyzna żywie!

To mówiąc, Temistokles poszedł dalej, a po drodze mijali dziesiątki całe posągów, na ziemię strąconych i pokaleczonych okrutnie. Były to przeważnie dziewczęce postaci, urocze młodą krasą, wykwentne przedziwną wytwornością staroświeckich ozdób i strojów. Nawet w tej poniewierce, obalone i zgruchotane, miały w sobie te biedne dziewczęta kamienne czar jakiś tajemniczy.

Minął je Temistokles i niebawem zatrzymał się w pośrodku pracującej rzeszy.

— Roście, roście nowy grojec Pallady! Chwałaż jej za to i wam chwała, wierne syny Aten! — zawołał donośnie.

Umilkły nagle uderzenia żelaza o kamień, podniosły się ku niemu setki śniadych, uznojonych twarzy, i zmieszany gwar głosów odkrzyknął mu na powitanie:

— Zdrów nam bądź, Temistoklesie, Neokłów synu! Zdrów nam bądź!

On zasie stał nad nimi wspaniały, opromieniony słońcem i radością serca, spiżowym hełmem i ognistym wzrokiem lyskający dumnie.

Wśród spojrzeń tyłu, które się nań zwracały w tej chwili, poczuł na sobie jedno tylko — silne, pałacę. Odwrócił głowę: obok

niego z młotem i dłutem w garściach, zgarbiony nad wielkim głazem, siedział na ziemi człowiek w ubogiej odzieży z siwiejącą rzadką brodą. Oblicze ściągłe, kościste, o rysach przedziwnie szlachetnych, jakby z marmuru kutych, podniósł na Temistoklesa i nie zdejmował z jego twarzy oczu głębokich jak morze, spokojnych jak wieczność, przenikających duszę do dna jak sumienie. Ów, poznavszy go, drgnął mimowoli; chciał się z nim na spojrzenia zmierzyć, ale potęgi tych źrenic nie mógł wytrzymać: spuścił wzrok. Zaraz jednak, by pomieszać swe pokryć, przystąpił do siedzącego męża i wyciągnął ku niemu rękę.

— Witaj, Aristejdesie! Przecz tak pozierasz na mnie?

— Chcę w oczach twoich znaleźć odpowiedź na jedno pytanie...

— Jakież to pytanie?

— Zali ty miłujesz w sobie jedynie zbawcę Aten, siebie li tylko samego w Atenach zbawionych? — odrzekł Aristejdes półgłosem.

Nie znalazł na to ni słowa zwycięzca z pod Salaminy. Szerokim ruchem odgarnął na ramię spadającą chłajnę i dalej poszedł. Okrążył rozwaloną świątynię i stanął, kędy było święte oliwne drzewo Pallady. Z pnia, świętokradzką ręką ściętego i osmalonego pożarem, strzelał wysoko nad ziemię gruby, rozgałęziony już pęd, liściem srebrzystym gęsto pokryty. W cieniu świętej oliwy leżał barczysty, krzepki starzec. Dychał ciężko i wodę chwilami popijał z malowanego dzbanka. Włosy siwe na modłę staroświecką zwinięte miał w gładkie zaploty, które mu na kark spadały; przytrzymała je lniana przepaska, dokoła głowy obwiązana.

— Snadź bardzoś upracowany, Frynichu — rzekł, przystępując doń, Temistokles — Kronosowe masz lata.

— Jeszcze mi ramiona służą i nogi, — odparł stary — tchu jeno w piersiach nie staję czasem.

— Młodszych tu dość. Wolejbyś piękny chór ułożył na cześć Pallady, niżli tu zdzierał się w twardym znoju, leciwy pieśniarzu.

— Widzisz li, synu Neokla — zawołał Frynichos, ukazując ręką — jako tam dźwiga do budowy kamienie Ajschylos Euforjonów? Pijemy wodę z jednego dzbanka i pracujemy razem. Mam li gorszy być odeń? Zawždy ja mu kroku dotrzymywał i we wszystkim, dziś też nie ustąpię!

Temistokles pozierał tymczasem na męża, którego wskazał mu był Frynichos. Tamten zasie, głaz doniówszy budownikom, zbliżał się zwolna, czoło znojne ocierając dłonią. Pięćdziesięcioletni, rosły jak dąb, nieco pochyło się nosił, zwieszając lysiejącą głowę, jakby mu ciążyło brzemie ogromnych myśli. Twarz miał surową

i smutną, lecz na ustach jakoby kobiecych łagodność była rozlana. Z pod czoła, zoranego przedwczesnymi zmarszczkami, pozierały na świat oczy mądre i spokojne, jakowaś mgłą wilgotną przesłonięte. Od całej postaci jego szła cicha, głęboka zaduma i lwia moc, i królewskie dostojęństwo ducha.

Pograżony w siebie, nie widząc Temistoklesa, przystąpił do leżącego Frynichu i po dzban rękę wyciągnął w milczeniu, lecz gdy go do warg podnosił, wzrok jego spotkał się z wodza spojrzeniem. Zatrzymał dzban w powietrzu...

— Pij zdrowo, pij, Euforjonów synu. Widno pragniesz bardzo. Ajschylos rękę wyciągnął do uścisku.

— Nie tak, iżbych ciebie nie miał witać wprzód. — Pił potem długo i chciwie, a resztę wody wylał pod pień świętej oliwy. — Niechajże nam buja wysoko, szeroko drzewo Ateny, cudem odrodzone!...

Temistokles. — Jak ta ojczyzna ocalona cudem.

Ajschylos. — Za wolą bogów i za twoją sprawą, synu Neokla.

Frynichos. — Gdybyż to miasto samo chciało z gruzów odrastać, jak z pnia to drzewo Pallady!

Temistokles. — Minęły czasy Orfeja, co tebańskie mury mocą pieśni spiętrzył z głazów. Dziś w Atenach pieśniarze nasi do budowy nosić muszą ciosy, krwawym potem oblane. Pieśni twoje najśłodsze, Frynichu, nie ruszą ni kamyka.

Frynichos. — Niech jeno serca ludu ruszą...

Temistokles. — Byle nie do łez gorzkich, Frynichu, jak wonczas: płaczem teatr cały buchnął, gdyś w tragedji ukazał dobyte Miletu przez barbarzyńców.

Frynichos. — Po zwycięstwach, po takich zwycięstwach miałbych w tony żalosne uderzać? Nie nam dzisiaj płakać i zawodzić. Triumf Aten ukaże na scenie: dziełu miano dałem Fojnicjanek.

Oczy Ajschylosa nagłym blaskiem zagrały; chwilę milczał, brodę gładząc dłonią.

Ajschylos. — Triumf Aten ukażesz, Frynichu? Ale jakaż tragedia wyrazi boleść Persów oplakaną, całej Azji lamenty a wyca po salamińskim, platajskim pogromie?!

Temistokles. — Ty ją napisz — dzieło godne ciebie...

Ajschylos. — Może napiszę kiedyś. Niech pierwiej mury z gruzów powstaną i domy, niech spustoszony teatr się podźwignie.

Frynichos. — Tak ci tam wszystko teraz, jak przed laty, gdy — pomnisz? — grali Pratinasa sztukę, i załamały się widzów siedziska, podówczas jeszcze drewniane.

Temistokles. — Na przyszłoroczne wielkie Dionisja z pomocą bogów może już teatr zdążymy przywieść do ładu.

Frynichos. — Ajschylos może w Syrakuzach będzie na przyszłe wielkie Dionisja...

Temistokles. — Cóż on powiada, synu Euforjonów? I skądże tobie jechać do Syrakuz? Tam po Gelonie, iż właśnie umarł, brat jego pono stolicę osiadł sykulijską, Hieron, co rządził dotąd Gelą miastem.

Ajschylos. — Żył jeszcze Gelo, kiedy mnie Hieron od dawien dawna zapraszał do siebie. Ninie, Sykulnej całej panem będąc, swoje ponawia zaproszenia. Mówią, że rozmiłowan w pieśni a w pieśniarzach, na swoim dworze już ma Simonida z Keos, Pindara, tebańskiego piewcę, i siła innych mężów znamienitych.

Temistokles. — I ty chcesz jechać?

Ajschylos. — Nie pojechałem przed medyjską wojną, bo chciałem służyć Atenom, jako naówczas w maratońskim boju. I nie pojedę teraz, póki miastu rąk do budowy grojca i murów potrzeba. Lecz później, kiedyś...

Tak oni rozmawiali, gdy oto mąż jakowys przystąpił ku nim rażno. Młody był jeszcze, bo nie dobiegał lat ani trzydziestu; średni wzrostem, lecz i postawą znaczny, i włosów płowych bujną gęstwą, która na czoło spływała w kędziorach, na kark opadała i kryła uszy, łącząc się na licach z młodzieńczą brodą.

— Lakedajmońscy posłowie — rzekł szybko — przed godziną do miasta przybyli. Wszyscy ciebie szukają, synu Neoklesów, i na Arejopagu już gromadzi się rada...

— Idę, Kimonie — odpowiedział Temistokles, a zwracając się do Frynichu i Ajschylosa, dorzucił: — I wy pewnie pójdziecie przyśłuchać się odprawie spartańskiego poselstwa.

Jakoż obaj tragiczni poeci ruszyli w ślad za nim. Tymczasem wieść o przybyciu Spartan rozeszła się widno wśród obywateli, pracujących na grojcu: wszyscy, porzuciwszy narzędzie, podążali na dół ku pagórkowi Aresa.

Lucjan Rydel (1870—1918).

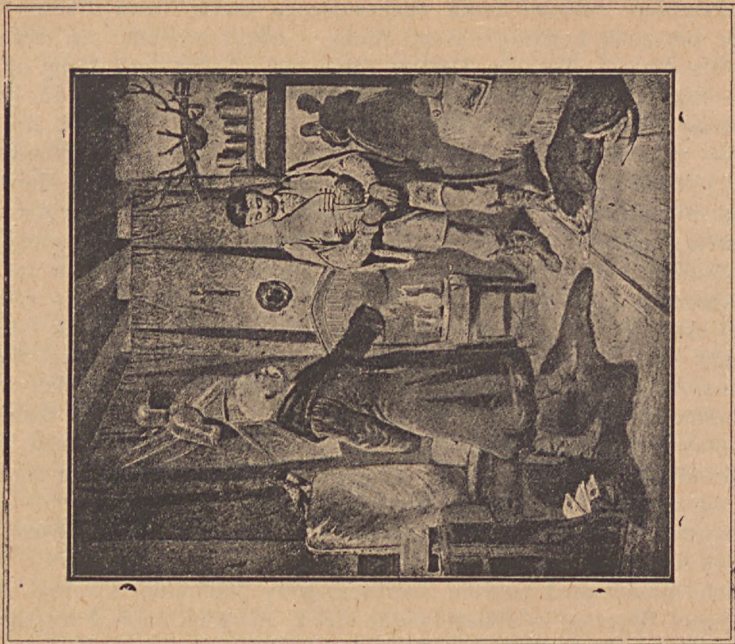
Objaśnienia: *Kefisos*, największa rzeka Attyki. Obie rzeki, *Kefisos* i *Ilisos*, płynąc z gór od północo-wschodu na południo-zachód od zatoki Falejskiej, obejmują Ateny jakby w ramiona, *Kefisos* z północo-zachodu, *Ilisos*, płynący w obrębie budynków miasta, z północo-wschodu. Gorąca (średnia temperatura w lipcu 26,99°), brak opadów powodowały wysychanie wód obu rzek latem. — *Anemon*, wietrznica albo zawilec, roślina z rodziny jaskrowatych, rosnąca w pasie umiarkowanym. — *Macica*, krzew. — *Platan* (wschodni), piękne drzewo z niezbyt wysokim, ale mocnym pniem, szeroko rozłożystemi konarami, liśćmi płatowatemi. — *Akademios*, legendowy bohater ateński, który

pomógł Kastorowi i Polluksowi, braciom Heleny, porwanej przez Tezeusza, trafić na jej ślady i uwolnić porwaną. Grecy czcili jego gaj, ogród, ogrodzic, *ogrójec*, zwany Akademią. — *Solon*, sławny prawodawca ateński (639—559). — *Trojen*, miasto w Argolidzie na Peloponezie. — *Požoga*, pożar. — *Temistokles* (514—461), syn Neoklesa, wielki wódz i polityk grecki, twórca potęgi morskiej Aten. Jemu zawdzięczają Grecy zwycięstwo nad Persami przy Salaminie (480), ocalające Grecję od jarzma najeźdźców. Za jego sprawą Ateńczycy szybko odbudowali zniszczone miasto i opasali je murem. — *Grojca*, grodzca, zamku. — *Mykale*, góra w Azji Mniejszej, naprzeciwko wyspy Samos, przy której wódz grecki Ksantyppos zniszczył flotę perską w 479 r. — *Kimon*, Cymon (507—449), syn Milejadesa, znakomity wódz ateński, wslawiony w walce z Persami. — *Arystydzes Sprawiedliwy*, wybitny wódz ateński w czasie wojen perskich, skutkiem zawiści Temistoklesa wygnany z Aten 483 r.; powróciwszy z wygnania, przez długie lata kierował sprawami Aten. Umarł 467 r. — *Akropol*, grodzic, grójec, twierdza ateńska, wznosząca się na skale wapiennej w kształcie wydłużonego sześcioboku, prastara siedziba pierwotnych mieszkańców ziemi Pelasgów i późniejszych przybyszów Jończyków. Tu były najpiękniejsze świątynie ateńskie. — *Chilon*, ubranie spodnie, składające się z podłużnego kawałka materji lnianej, przerzuconego przez lewe ramię i spiętego na prawem ramieniu i pod prawą i lewą rękę. — *Himaljon*, ubranie zwierzchnie, składające się z podłużnego kawałka materji, którego jeden koniec przerzucano przez lewe ramię naprzód, drugi koniec trzymany w prawej ręce umieszczano dowolnie wedle potrzeby i gustu. — *Chram*, świątynia. — *Kodrus*, ostatni król ateński, miał ocalić ojczyznę w ten sposób, że, gdy wyrocznia orzekła, iż wygra ta strona, której król polegnie, udał się do obozu Doryczyków i drażnił ich dopóty, dopóki go nie zabili (około 1068 r. przed Chr.). — *Pizystrat*, tyran ateński, panował od 560 do 527, rządził łagodnie, podniósł dobrobyt i oświatę kraju, ozdobił Ateny wspaniałemi budowlami. Potomkowie jego Pizystratydzi postradali panowanie w r. 514, kiedy to Hipparch został zamordowany przez Harmodjosa i Aristogejtona, a brat jego Hipjasz po 510 r. uciekł z Attyki do Sigeum na północno-zachodnim brzegu Azji Mniejszej, gdzie spodziewał się znaleźć pomoc u Persów. — *Arejopag*, pogórek Aresa na północno-zachód od Akropolu. — *Gigantów*. Z Zeusem i bogami olimpijskimi wystąpił do walki straszny ród Gigantów, półludzi, pół potwornych węzów. W zawziętej walce na polach flegrejskich w Macedonji Giganci zostali pokonani z pomocą Heraklesa. — *Ajgidowladna*, władająca ajgidą, egidą. Egida pierwotnie oznaczała skórę kozią, którą zawieszano na lewej ręce dla osłony ciała w walce, później tarczę. Stąd wyrażenie »pod czyjąś egidą« znaczy: pod czyjąś opieką. — *Had*, Hades, bóg podziemnego państwa, później państwo podziemne cieniów zmarłych, według Iliady znajdujące się pod powierzchnią ziemi, którą starożytni wyobrażali sobie jako ciało płaskie; według Odyssei leżało ono we wnętrzu ziemi na dalekim zachodzie. — *Antenor* żył w końcu VI wieku. — *Korab*, okręt. — *Oczy z błyszczącego szkliwa* i t. d. Posągi z marmuru Grecy częściowo malowali. Pokrywali farbą przeważnie niebieską i czerwoną włosy, oczy, usta, fałdy szat. Kritios i Nesiotos, wybitni rzeźbiarze ówczesni. — *Spony*, przybory do spinania szat: szpilki, guzy, haftki i t. p. — *Roście*, strp. forma, dziś rośnie. Pierwsza os. l. p. roste. — *Chlajna*, wełniane zwierzchnie odzienie w kształcie płaszcza, biegnącego pod lewym ramieniem, spinanego na prawem. — *Święte oliwne drzewo Pallady*. Podanie głosi, że Atena o posiadanie Attyki wiodła spór z Po-

sejdonem. Kto da mieszkańcom pożyteczniejszy dar, do tego miała należeć ziemia. Posejdon stworzył konia, oznaczającego okręt; Atena drzewo oliwne. Wyższość przyznali bogowie darowi Ateny, i odtąd wywodzi się cześć Ateńczyków dla drzewa oliwnego. Drzewo takie rosło w świątyni Ateny na Akropolu. — *Frynichos* z Aten, jeden z pierwszych twórców tragedji greckiej, zmarł około 470 r. Tragedje jego się nie dochowały. — *Wolejbyś*, strp. = raczejbyś. — *Ajschylos*, jeden z największych tragików greckich, zwany ojcem tragedji. Urodził się w 525 r. w Attyce, walczył bohatersko pod Maratonem, Salaminą, Platejami. Zmarł na Sycylii w r. 456. — *Widno* strp. widocznie. — *Iżbych* strp. = ażeby. — *Orfeusz*, syn króla trackiego Ojagrosa i muzy pieśni bojowej Kaliopy; od matki nauczył się gry i śpiewu, od Apollona zaś otrzymał w darze lutnię; był mistrzem muzyki takim, że czarował nią zwierzęta, drzewa i skały. Po śmierci ukochanej Eurydyki zszedł do Hadesu; tak wzruszył bogów swą grą i śpiewem, iż pozwolili mu zabrać małżonkę. Nie spełnił jednak nałożonego warunku i w drodze spojrzął na Eurydykę, wskutek czego znikła mu niepowrotnie z oczu. Zrozpaczonego spotkały szalone bachtantki, towarzyski Dionisosa, boga szału, i gdy nie chciał wziąć udziału w ich pieśniach i tańcach, rozszarpały go. Głowę i lutnię Orfeusza morze wyrzuciło na brzeg wyspy Lesbos, ojczyzny wielu poetek i poetów. — Około 495 r. wystawił Frynichos tragedję »Wzięcie Miletu«, które wzruszyło lud ateński do lez i wskutek tego wywołało gniew na poetę. Około 476 r. w »Fenicjankach« przedstawił pogrom Kserksesa przy Salaminie. Tworzył również piękne pieśni liryczne. — *Dzieło godne ciebie*. Ajschlos napisał tragdję »Persowie«, gdzie przedstawił rozpacz Persów po przegranej. — *Pratinas*, który miał przynieść z Peloponezu do Aten odmienny niż ateński rodzaj tragedji i walczył o lepsze z Ajschilosem około r. 500. Utwory jego się nie dochowały. — *Wielkie Dionisja w Syrakuzach*. najważniejszym mieście Sycylii. Bogate miasto opanował 484 r. *Gelon* i założył tu jedno z najbogatszych państw sycylijskich; po Gelonie nastąpił *Hieron I* (477—467), którego następcą został zamordowany. Czasy Gelona i Hierona były okresem rozkwitu Syrakuz. — *Dionisje* w marcu — kwietniu uroczystości na cześć boga Dionisosa, uosabiającego bujne życie przyrody, boga winnej latorośli. — *Simonides* z wyspy Keos (ur. około 555 r.), przebywał długo w Atenach, zmarł w Syrakuzach; tworzył wiele. W Atenach pisał utwory liryczne na cześć bohaterów wojen perskich. Zachowało się około stu fragmentów jego utworów. — *Pindar* (ur. około 521 r., zm. około 441), twórca wzniosłych pieśni lirycznych, jeden z największych poetów Grecji. — *Sykuljej* strp. dopełniacz = Sycylii. — *Keramejk*, przedmieście Aten, zamieszkałe przez rzemieślników.

POBUDKA BOJOWA.

Chwała temu, co walcząc za ojczyste łąny,
 Bohaterem na czele legnie pokonany,
 A hańba wieczna temu, co matce ojczyźnie
 Poda tyły i chleba żebrze na obczyźnie,
 Co z starą matką, ojcem, — z dziatkami na grzbiecie
 I ze ślubną małżonką włóczy się po świecie.
 Niemiły gość zaprawdę, kędykolwiek przyjdzie,
 Kto się poddał ubóstwu i sromotnej biedzie,



Plami ród, własną piękność taki tułacz kala,
 I wszelkie zło i hańba wszelka nań się zwala.
 Więc gdy nigdzie wygnańca życzliwość nie spotka,
 Ni cześć, ni litość ludzka, ni pociecha słodka,
 Walczmy mężnie za drogą ojczyznę i dziatki
 I krwǳ naszej, gdy trzeba, wylejmy ostatki.
 Walczcie dzielnie, młodzieńcy! ramię do ramienia!
 A bójcie się uciezki, bójcie pohańbienia!
 Nabierzcie ducha! Śmiało się stawcie w potrzebie,
 Myślcie, jak gromić wroga, nie ratować siebie.
 A starych towarzyszków, co im w członkach stawy
 Wiek zwątlili, nie odbieźcie wśród krwawej rozprawy.
 Hańbawy była, gdyby pośród dzielnej wiary
 Przed młodszymi druhami legł wojownik stary,
 Co mu brodę i włosy srebrzy szron siwizny,
 Leżał w kurzu konając, wierny syn ojczyzny,
 Wstyd, krwǳ obłany, ręką zasłaniając oku —
 O jakże pali hańba takiego widoku! —
 Gdyby tak nagi leżał! Młodym zaś przystoi
 Wszystko, póki uroczy kwiecie młodość stroi:
 Bohater — dziw dla mężów, ulubieniec dziewic,
 Póki żyw, — gdy polegnie, piękny jak królewic.
 Więc stójcie jak mur, w ziemię niech wryje się noga,
 We wargę zatopi ząb! — Tak czekajcie wroga!

Tyrtajos. Przekład J. Czubka.

Objaśnienia: *Podać tyły* zwrot staropol. = uciekać. — *Tyrtajos* (około 630 r.), ulubiony poeta narodowy Sparty, jego pieśni, pełne wojennego zapalu, śpiewali Spartańcy przed bitwą. Według podania, w czasie wojny z Mesenją, gdy Spartańcy z porady wyroczni delfickiej prosili Ateńczyków o wodza, jakby na wzgardę przysłany kulawy bakalarz-poeta taką natchnął wojowników spartańskich odwagą, że zwyciężyli wroga.

Objaśnienia do ilustracji »Szkola szlacheica polskiego« Grottera. Artur Grottger (1837—1867) wielki rysownik i malarz polski, twórca znanych cyklów (całości z kilku obrazów): »Warszawa« (1861) z siedmiu rysunków, »Polonia« z ośmiu, »Litwania« z sześciu, »Wojna« z dziesięciu. »Szkola szlacheica polskiego«, pierwszy jego cykl, złożona z czterech akwarel (obrazów, malowanych farbami wodnymi) powstała w Wiedniu (1857), dokąd udał się Grottger z Krakowa na naukę. Tytuły obrazów cyklu są następujące: I — Strzelanie z łuku, II — Reprimenda (zgrozienie, ostra nauka), III — Przed bitwą, IV — Błogosławieństwo ojcowskie. Cykl reprodukowal Z. Humnicki i M. Arct w Warszawie 1899 r.

DWA LISTY HETMANA STANISŁAWA ŻÓŁKIEWSKIEGO.

1. LIST DO KRÓLA Z OBOZU NA CECORZE.

Najjaśniejszy Miłościwy Królu!

Oznajmiłem Waszej Królewskiej Mości Panu memu Miłosciwemu o przyjsciu sultana Gałgi i Skinderbasze, zechmy ich co godzina wyglądali, o czym, jeżeli ten list mój doszedł, raczyłeś Wasza Królewska Mość wyrozumieć. Przyszedł tedy dziś tydzień sultan Gałga i Skinderbasza tu, pod obozem stanęli; nazajutrz w piątek mieliśmy z nim potrzebę w wieczór z łaski bożej fortuną, zraziłiśmy ich z pola; trwała ta burda między nami, aż zmrokiem wróciłiśmy się, i oni, i my do obozu swego. Zaś w sobotę za zdaniem zgodnem wszystkiego rycerstwa wyszliłiśmy w pole aperto Marte z wojskiem uszykowanem, zwiedliłiśmy potrzebę z nimi odkrytą; i trwała bitwa sześć godzin od południa aż do samej nocy, aequo Marte stanęło, zesli oni do swych stanowisk, poszli i my do swego taboru. Były rzeczy dobrej nadziei, że potężnie i dalej mogliłiśmy czynić przeciwko temu nieprzyjacielowi; lecz nazajutrz, to jest w niedzielę, niemala część ludzi naszych, którzy z wojska uciekli, pomieśzali nam rzeczy. Nie mianuję na ten czas nikogo, wszak sami tam się ukażą, którzy nas tak nieprzystojnie odbieźeli, acz wątpię, żeby ich wiele miało ujść; bo, pławiąc się w nocy przez Prut, siła potonęło, i wielka część od nieprzyjaciela, który im tam lasem za rzeką zaszedł, pobici, pojmani. I ci źli, niebaczni ludzie wszystko wojsko zatrwożyli, że blisko tego było, iż już wszystko wojsko do takowego sromotnego uciekania miało się udać. Z jegomością panem hetmanem polnym i niektórymi panami rotmistrzami, co przy nas zostali, constantia nostra zatrzymaliłiśmy wojsko i stoimy tu od siebie bliżej, niż z Warszawy do Ujazdowa. Wojska sultan Gałga i Skinderbasza mają wielkie, dobrze więcej nad 60.000. Więźniowie, którzycheśmy dostali, powiadają, żeby ich miało być do 100.000. Zapuścili się prosto byli ku państwu Rzeczypospolitej, atómy ich tu zabawili, odważywszy na to zdrowie swoje. I dalej, co się godzi wiernym Waszej Królewskiej Mości sługom i dobrym synom Ojczyzny, czynić będziemy według największego spomożenia naszego. Jeszcze przeglądając to wszystko niebezpieczeństwo, pisałem po kilkakroć do Waszej Królewskiej Mości, żebyś raczył obmyślać de subsidiis et supplementis, teraz sam czas ukazuje, że tego pilna potrzeba; zaczem pewienem, że Wasza Królewska Mość nie raczysz nas zapoinieć. My tymczasem ad extremum halitum zatrzymamy przeciwko Waszej Królewskiej Mości całą wiarę i miłość przeciwko Ojczyźnie! Gospodar wołoski z tymiż naszymi uciekańcami poszedł,

nie wiem, przebył li czy nie? To teraz in isto statu rzeczy nasze; co się ponowi, ile sposobów dostanie, nie zaniecham dawać znać Waszej Królewskiej Mości Panu memu Miłościwemu, którego się miłościwej łasce oddaję. Dan w obozie okopanym na Cecorze dnia 24 września 1620 roku.

Objaśnienia: *Stanisław Żółkiewski*, ur. we wsi Turynce pod Żółkwią 1547 r., zginął bohaterską śmiercią pod Cecorą w nocy z 6 na 7 paźdz. 1620 r. — *Na Cecorze*. Cecora nazwa miasteczka i rozległej równiny nad Prutem w Mołdawji. — *Galga*, sułtan Kałga, namiestnik chanów krymskich. — *Skinderbasze* starop. dopełniacz. Iskander-basza był naczelnym dowódcą wojsk tureckich w czasie tej wyprawy. — *Basza*, wielkorządca turecki. — *Żechmy wyglądali*, zamiast: że wyglądaliśmy, a to znów zamiast: że wyglądaliśmy. Ch zamiast ś zjawia się tu w XVI i XVII wieku pod wpływem nie istniejącego dzisiaj czasu przeszłego chwilowego (aorystu), formowanego od bezokolicznika. Czas przeszły chwilowy np. czasownika być brzmiał: bych, by, by, w liczbie podwójnej: bychwa, byśta, byśta; mnogiej: bychom, byście, bychą. — *Potrzeba*, starcie, walka. — *Fortuną, szczęśliwą*. — *Zrazić z pola*, spędzić, zwyciężyć. — *Burda*, zwada, kłótnia. — *Aperto Marte*. Mars bóg wojny u Rzymian; zwrot, użyty przenośnie, znaczy: do jawnego spotkania. — *Zwłędliśmy potrzebę odkrytą*, rozpoczęliśmy jawną walkę, bitwę. — *Aequo Marte*, Mars jednak sprzyjał obu stronom, a więc przenośnie: z jednakiem dla obu stron szczęściem, bez rozstrzygnięcia. — *Acz, aczkolwiek, chociaż*. — *Sila*, wielu. — *Hetmanem polnym* Stanisławem Koniecpolskim. — *Constantia nostra*, stałością naszą. — *Dobrze więcej*, znacznie więcej. — *Do 100,000*. Nowsi historycy siły tureckie obliczają na 50 do 60 tysięcy żołnierza, polskie na 8,400. — *Atośmy, a otośmy*. — *Odwążyć zdrowie, poświęcić, narazić*, wystawić na niebezpieczeństwo. — *De subsidiis et supplementis* — o rezerwach (wojskach zapasowych) i uzupełnieniach. — *Ad extremum halitum*, do ostatniego tchu. — *In isto statu*, w tym stanie. — *Dan a, o*, wyszły z użycia imiesł. przeszły bierny, formowany od osnowy bezokolicznika, zastąpiony dziś przez odmianę przymiotnikową dany, a, e. — Jeśli mowa o piśmie, liście, dokumencie znaczy tyle, co napisany, wydany, wystosowany i t. p.

2. LIST DO ŻONY,

PISANY Z OBOZU POD CECORĄ W WIGILJĘ ŚMIERCI.

Miłościwa Jejmość Pani a Pani Małżonko ma, sercem ukochana i wieczyście miła!

Tak było i tak będzie, aby prawość i sława narodu naszego nie zaginęła, Pan Bóg Wszechmogący dopuszcza utrapienia, by ciało w wojniech hartować i umysł zaprawiać do dzieł rycerskich. Tegoż utrapienia nie koniec i nie koniec łaski Pana Boga świętej, która nas wszędy utrzymywała i nieprzyjaciółom tamę w bitwiech stawiać rada była. Jakoż kiedychmy się zabierać radzi do utarczki z pohanem tego świtania, odebrałem pisanie Waszej Miłości, mojej sercem ukochanej i wieczyście miłej Małżonki, toż pociechę słówek kilku, a kto wie, może być, że i ostatnie pożegnanie. Jam pewien,

że Wasza Miłość, ukochana i miła Małżonka, czytając to moje pisanie, nie będzie żalić starca i sił mych, a chociaby i życia dla obrony Rzeczypospolitej i chrześcijan. Toż ta pociecha będzie sercu memu. Tu w obozie mym, jakby jakowy rokosz powstał, tak się rycerstwo spiknęło, by na własną zgubę, i chcą koniecznie odchodzić od sprawy, że onych ledwo uhamować mogłem. Skinderbasza i Galga nie chcą już wiedzieć o układach i gotują się dać stanowczą bitwę. Przetoż nie turbuj się Wasza Miłość, najukochańsza Małżonko, Bóg czuwać będzie nad nami; a chociabym i poległ, toż ja stary i na usługi Rzeczypospolitej już niezdatny, a Pan Bóg Wszechmocny da, że i syn nasz, miecz po ojcu wzięwszy, na karkach po-han zaprawi, i chociaby tak było, jak rzekłem, pomści się krwi ojca swego. Na wypadek jakibądź zalecam Waszej Miłości, najukochańszej Małżonce, miłość dla dzieci, pamięć na me zwłoki, bo je styrałem ku usłudze Rzeczypospolitej. Co Pan Bóg chce z Swej łaski dać, niech się stanie, a wola Jego święta będzie nam miłościwa do ostatka życia naszego; z tem mnie modlitwom i łasce Waszej Miłości, najukochańszej Jejmości polecam i dziatki nasze na Pana Boga pamięć upominam. W obozie pod Cecorą die 6 Octobris 1620. Jejmość do zgonu kochający małżonek i ojciec Stanisław Żółkiewski, hetman wielki koronny.

Objaśnienia: *Żona* St. Żółkiewskiego była z domu Herburtówna, kobieta niezwyklej szlachetności i mocy ducha; zmarła 1626 r. — *Pani a Pani*. powtórzenie, często spotykane w dawnych listach, dla wyrażenia szacunku. — *Wojniech* starop. (XV, XVI w.) miejscownik, l. mn. rzecz. żeńsk., utworzony pod wpływem staropol. form rzeczowników męskich, jak: w domiech, w sejmiech, w zamcech, po lesiech i t. p. — *Utrzymowała*, od starop. i gwarowego utrzymować = utrzymywać. — *Pohanem* str. poganinem. — *Żalić* strp. żałować. — *Rokosz*, zbrojne, zbiorowe wystąpienie przeciw władzy najwyższej w dawnej Polsce. — *Spiknęło*, zmówiło. — *Onych*, strpl. biernik r. męsk. l. mn. zaimka wskazującego on, ona, ono, zastąpiony dzisiaj przez ich, nich, biernik nieużywany dziś w mianowniku zaimka wskazującego ji, ja, je. — *Bitew* strp. bitwę. — *Syn*, Jan, ranny pod Cecorą, dostał się do niewoli, wykupiony zmarł 1623 r. w wieku lat 28. — *Me zwłoki*. Odciętą głowę wielkiego wodza na spisie obnoszono po obozie nieprzyjacielskim, a sułtan kazał ją zatknąć na bramie swego pałacu. Za drogim okupem wydane ciało i głowa pochowane zostały w Żółkwi, miejsce bohaterskiego zgonu uczciła małżonka pomnikiem, postawionym w odległości pięciu wiorst od Mohylowa, miasta, leżącego przy ujściu Derły do Dniestru.

ŚMIERĆ ŻÓŁKIEWSKIEGO.

Stał tabor bezsilny w czwartym miejscu wytchnienia.

Nie chciał, gdyż nie mógł iść.

Lecz, mało wiele mieszkając, rzuci się ciżba do niesprawy.

Natychmiast, w temże miejscu, ledwie wythnąwszy, chcieli panowie odzyskać wszystko dobro, ze skarbników przez ciury skradzione.

Tu na tymże placu chcieli karać drapieżność rabusiów.

Atoli większość rycerzy uszła już była z obozu albo od ciosów nieprzyjaciela poległa.

I stało się, że ciurów więcej już było, niżeli rycerstwa.

Z głodu, z pragnienia i z zemsty, oddawna narosłej, zaczęli znowu ciurowie żakować, rznąć skóry wozów i wywłóczyć dobytek, pętlą imać na arkan z zasadzki walczących na szanću rycerzy, konie chwycić, objuczać je mienia ostatkiem i w noc czarną uchodzić.

Czując nad sobą sąd za Dniestrem i śmierć prędką, poczęła tłuszcza wrzeć szaleństwem i bezrozumnie pędzić w rozsypkę.

A skoro hetman polny sprawił tabor i sił ostatek wyteżył, żeby dalej uchodzić, swar szalony panów z ciurami nie dał rządu dokonać.

Rycerze w kupę się zbili w przednim kącie taboru, — ciurowie w poślednim.

Uszedł spodkołasia i chyłkiem z obozu zdrajca do wroga i sprzedał za pieniądź wieść o tem, co się dzieje w taborze, Kantymirowi.

Więc, jako skrzydła obłoków gradowych, poczną się rozciągać, rozwłóczyć, wyteżać nieprzyjaciela zagony.

Czekał wróg nieomylnie, że ludzie w obozie jedni drugich czekanami wyrąbią, strykami wyduszą, jedni drugich szablami z ramienia rozsieką, jedni drugich porzną znienacka nożami, jedni drugich włócznią przebijają.

Aż o godzinie sobie wiadomej zacznie wróg bić ze strzelby, z janczarek, z samopałów w tył taboru, w spieszony lisowski ostatek i w polnego hetmana wytrwałą ochotnika chorągiew.

Im bardziej się wzmagała natarczywość napaści, tem okrutniej bestwiła się wewnętrzna wrzawa walki w tłuszczy oszalałej.

Ten i ów z rycerzy, spracowany niespaniem, chodem, bitwą i dziełem, ogarnięty paniczną rozpaczą i pozbawiony rozumu, wypadł w noc z rzędu wozów, gnał ku Dniestru, między staborzone, czyhające na zdobycz tłumy Wołochów.

Najwyższy wszczął się tumult.

Huk strzelby i samopałów.

Tętent koni, ze stepu na obóz przypadających.

Ocknął się kanclerz ze snu twardego.

Siadł na posłaniu i rozważa — sen li to jeszcze?

Usłyszał za namiotem krzyk, żeby zmniejszyć tabor wozów i małą kupą uchodzić.

Poznał Marcina Kazanowskiego głos.

Usłyszał inny krzyk, żeby wszystko porzucić i komunikiem, co siły w koniach, gnać do rzeki.

Usłyszał trzeci krzyk, żeby wozy zostawić, zsiąść z koni, konie sprząc czyli zbatożyć, i poza koźmi, jakoby za taborem, ostrzeżliwując się, iść do kraju na los.

I posłyszał hetman w krzykach tych, zrozumiał trzeźwo, że to już złamane jest wszystko, i że nadchodzi śmierć.

Zdrętwiało jego serce, wzniosło się do modlitwy i wzmogło.

Wstał z łoża — szablę przypasał.

Wdział kołpak.

Wyszedł.

A był już obóz rozerwany.

Tatarzyn łańcuchy wozów tam i sam rozłączał, w tabor się włamał i w wyrwach siekł się w pałasze z obroną.

Ze wszech stron tworzyły się dziury w zaszczycie.

Ci, co jeszcze kolas bronili, padali od miecza, inni w stryki wołochów.

Najśmielszych rąbało ostrze na śmierć; upadłych tratowały kopyta pędzących bachmatów.

Kantymir uderzył teraz tysiącami i zbierał rozbitych wojakiem, jak ptaki siecią.

Znalazł się kanclerz z hetmanem polnym w przedzie taboru.

A koni przy nich jeszcze trzysta.

Bokami końskimi się zwarli i tamę postawili nawale tatarskiej.

Przeciw nim wszystka siła Kantymira.

Powtórnie ozwie się rada: — wszyscy z koni!

Konie batować!

I posłuchali wszyscy, jako rozkazu.

Kanclerz, zsiadłszy ze swego, ręką mu kark przez chwilę gładził...

A wraz rozparł się w nogach starych, szabli dobył, przebił nią bok i serce konia drogiego z mocą dawną — na znak, że nie będzie uchodził.

Padł wierny koń.

Na przednich wsparł się nogach i zarżał ostatni raz waletę panu.

Lecz już nie spojrział pan.

Już go nie słyszał.

Szedł w swoją daleką drogę.

A szedł w gronie coraz mniej licznem na kilkoro strzelania łuku.

Syn przy nim i towarzysze wybrani, dusze polskie.

Kto jeszcze konia mógł dopaść, w noc uchodził.

Aż zostało towarzystwa dziesięciu mężów: Kazanowski Michał, Bałaban, Żółkiewski Łukasz, Potocki wojewodzie, Farensbach, Silnicki i Strzyżowski rotmistrz, Maliński, Kurzawski i Złotopolski Abraham.

Syn hetmański jedenasty, hetman polny dwunasty, kanclerz trzynasty.

Tak we trzynastu, niedobrej liczbie, w odważną puszcza się drogę.

Prosil go towarzysze, żeby na koń siadł i uchodził.

Konia pojmanego z taboru syn mu przywiódł.

W milczeniu odrzącił strzemie, — przydając, że miło mu będzie razem z takimi umierać.

Spojrzał po hufcu i nie dostrzegł nikogo z tych, co odeń odebrali przysięgę, że z obozu nie ujdzie.

Gorzkim się śmiechem zachłysnął.

Z nocy na idących runęła wielka wojsk fala.

Zawyją w szaleństwie radości Tatarzy.

Ujrzy hetman przed sobą daleko, w blasku kagańców, w łykach syna jedyne, jak go na uźdźienicy konie wleką po ziemi.

Więc pocznie się z zastępy wrogów siec sam, na śmierć za imię polskie.

Ciosy w boju padają na głowę, na piersi i na ręce.

Jeden i drugi napastnik od jego szabli na placu pozostał.

Odrąbał dziki z Azjej barbarzyńca w ramieniu rękę z szabłą, wrośniętą w dłoń.

Odsiekł ją, jakoby gałąź od pnia.

Padło walczące ramię, co sławy polskiej nie puściło z dłoni.

A ściał inny wysoką głowę.

Zleciała, jako dla wilków przynęta, żeby się nad nią zabawili, — załoga bezpieczeństwa Rzeczypospolitej, z granic jej wyniesiona, — iżby dalej spać mógł naród — ostatni dar dla ojczyzny, i harde skwitowanie panom Potockim ze zniewag odbioru.

Porwał ją trzeci żołdak, wbił na spisek ku wiecznemu postrachowi i czi polskich pokoleń.

Krew poplątanemi strugami drzewce wysokie oplotła.

Zasnęły oczy zniechęcone.

Przed namiotem głowę wroga Iskender basza wystawi.

Padyszachowi w darze ją pośle.

U bramy drewnianej seraju, którą sułtan do meczetu chadza, na włóczni zawisnie przez lata.

Aż jej ptacy, gnieźdzący się w wieżach Aji Sofji, o której marzył wydarciu, żrenice wydziobią.

Stefan Żeromski.

Objaśnienia: *Tabor*, obóz, otoczony dokoła wozami. — *Małowiele*, nieco, niewiele. — *Mieszkając*, odkładając. — *Ciżba*, tłum, pospólstwo, tuszcza. — *Przez ciury strp. przez ciurów*, czeladź obozową. — *Skarbniki*, staroświeckie pakowne wozy podróżne na żywność, paszę i przybory, potrzebne w podróży. — *Żakować*, swawolić, gwałty czynić, plondrować. — *Spodkolasia*, pod wozami, między wozami. — *Czekanami*. Czekan rodzaj dawnej broni, kij z nasadą stalową w kształcie młota z jednej, siekiery z drugiej strony. — *Janczarka*. Pewien gatunek strzelb, używany przez janczarów, gwardję przyboczną sułtana. — *Samopały*, gatunek dawnej ręcznej broni palnej, używanej zwłaszcza przez Kozaków i Turków. — *Spieszony* od spieszać, nakazywać żołnierzowi konnemu zeskoczyć z konia i walczyć pieszo; spieszać się. — *Lisowski ostatek*, ostatek żołnierzy Lisowczyków, jazdy, zwanej tak od pierwszego jej wodza, słynnego w całej Europie z męstwa, odwagi i awanturniczego usposobienia Aleksandra Józefa Lisowskiego (zm. w 1618 r.). Czyny Lisowczyków budziły powszechne zdumienie, szybko jednak potężne szczyrby w szeregach zaczęły zapełniać gromady spragnionych łatwej zdobyczy i łupiestwa; rozboje tego żołnierza doprowadziły do zniesienia Lisowczyków 1623 r. — *Paniczny*, niepohamowany, szalony. — *Tumult*, zgielk, wrzawa, zbiegowisko. — *Marcin Kazanowski* (1553—1636) pod Cecorą dostał się do niewoli. — *Komunikiem*, konno, lekko, bez wozów. — *Bachmaty*, konie tatarskie grubo-płaskie na niskich nogach. — *Bałować*, sprzęgać, łączyć, wiązać. — *Waleta*, pożegnanie. — *Załoga*, rękojmia, zapewnienie. — *Skwitowanie panom Potockim* i t. d., którzy, zazdrośni o wpływy, stale intrygowali przeciw Żółkiewskiemu i zwalczali jego plany. — *Aja Sofja*, główny meczet, świątynia turecka w Konstantynopolu, przerobiona z dawnej świątyni chrześcijańskiej. Świątynię tę zbudował w ciągu lat pięciu na miejscu spalonej bazyliki (kościół w kształcie prostokąta) Konstantyna Wielkiego (306—332), poświęconej »Boskiej Mądrości« (po grecku Hagija Sofija, w wymowie nowogreckiej Aja Sofja) Justynjan (527—565). Ukończony w 537 r. olbrzymi, wspaniały, olśniewający przepychem gmach jest typowym okazem architektury bizantyjskiej, potężny wpływ wywarł na rozwój późniejszy tej sztuki.

NA KASZTELU.

Na kasztelu kasztelanki	»Kłęska! kłęska na rycerzy!
Oblewają łzami krosna...	Stu poległo od brzeszczota
	I w kurhannej ziemi leży...«
Od rubieży goniec bieży,	Wieść żałobna się rozszerzy
I gdy w zamku wjeżdża wrota,	Od komnaty do komnaty —
W swój hawoli róg uderzy...	Pani wdziewa wdowie szaty...

Taka cudna była wiosna,	»Stu rycerzy na rubieży
Tak rozkosznie kwitły kwiaty —	W purpurowej krwi swej leży«.—
Nagle — jękiem brzmia kruz-	Wieżć złowróżbna, wieść skrzy-
[ganki...]	[dlata
Na kasztelu kasztelanki	Do kasztelu bram przylata...]
Oblewają łzami krosna...	Zdzisław Dębicki.

Objaśnienia: *Kasztel* (z łac. castellum) = gród, zamek, mała twierdza. — *Rubież*, granica, kres. — *Brzeszczot*, głównia noża, szabli. — *Kurhan*, pagórek, usypyany z ziemi, kopiec, mogiła. — *Kurhanny*, kurhanowy. — *Kruz-ganek*, korytarz kryty naokoło dziedzińca wewnętrznego, ganek, galerja.

PRZYSŁOWIA.

Droższa sława niż żywot. — Bronić sławy ojczystej, mężnie, gdzie potrzeba, stawać, animuszu niestrwożonego być — to szlachecka (rzecz). — Mężnymi, nie murami królestwa stoja. — Piers mężnego za puklerz stoi. — Kto się śmierci nie boi, ten każdemu dostoi.

RODZINA POLSKA.

Najsurowszy nawet sędzia przeszłości przyznać musi, że rodzina polska spełniała wielki obowiązek, że była najsilniejszym fundamentem obywatelskim i narodowym i że w najgorszych nawet czasach być nim nie przestała. Kiedy wszystko poszło w gruzy, na niej budowało się nowe życie, przechowała w sobie wiernie wszystko, co było warunkiem i rękojmiał odrodzenia.

Rodzina była bodźcem i hamulcem zarazem: bodźcem swoją tradycją i ambicją, hamulcem — swoją poczciwością i karnością. Była też najwyższą, a może nawet jedyną rozstrzygającą instancją opinii w społeczeństwie, którego klątwą była bezkarność i pobłażliwość publiczna. Bardziej niż na wyroku trybunalskim, bardziej niż na sejmikach i na sejmie, na zjazdach i na wyborach, gruntowało się zdanie o ludziach na opinii rodzinnej; nawet banita i infamis długo mógł wyzywać bezbronne społeczeństwo i żartować z wyroków publicznych, ale próg poczciwego domu wytykał kres jego zuchwalstwu, a związek z szanowną rodziną stawał się dlań niemożliwym. Człowiek wåtpliwego charakteru łatwiej mógł odgrywać rolę w publicznym życiu, aniżeli znaleźć poczesne miejsce u czyjegoś rodzinnego ogniska, łatwiej mu było zostać urzędnikiem powiatowym, posłem lub deputatem na trybunał, aniżeli spowinowacić się z zacną rodziną, otrzymać rękę córki dobrego domu, ożenić w nim syna.

Wpływ i znaczenie rodziny były tem potężniejsze, im szerzej

pojmowano jej granice, a nigdzie nie pojmowano ich tak szeroko, jak w Polsce. Świadomość łączności rodzinnej sięgała w najdalsze filjacje: rodzina stawiała się wielką rzeszą, znano i sledzono najdalsze powinowactwa i pokrewieństwa, przyznawano się do najodleglejszych koligacyj i filjacyj i uznawano je chętnie nawzajem; w kraju, w których nigdy nie było heroldji, jaka istniała np. w Anglii i Francji, wiadoma była przecież dobrze historia rodów, a mimo skłonności do bajecznych wywodów prozapji, którym w gruncie rzeczy nikt nie wierzył — nawet ci, dla których splendoru je zmysłano — mimo całej śmieszności tak niegodnej, bo jakby z pogardy rodowicie polskiego pochodzenia wypływającej manji wywodzenia się od cudzoziemskich, często nawet klasycznych rzymskich protoplastów, wkońcu mimo wstrętnie pochlebnych panegiryków — mimo wszystko szlachta umiała trzeźwo i trafnie ocenić starożytność i dostojność każdej familji. Nigdzie może tylu co w Polsce nie było urodzonych genealogów, którzy z pamięci umieli wyliczyć wszystkie parentele i koligacje szlacheckich domów, sięgając w daleką przeszłość i w dalekie stopnie, nigdzie też może nie starczyło tak mało do tytułu krewieństwa i powinowactwa. »Krewny, jak żerdź po płocie, jak woda po kisielu, jak ścieżka po zagumniu« — żartowano sobie z tych wywodów, które, dochodząc do przesady, przybierały często cechy śmieszności, ale wpływały zawsze z szanownego i szerokiego poczucia łączności rodzinnej.

Gdyby jedyną i rozstrzygającą cechą obyczajowej kultury było stanowisko kobiety, to szlacheckiej Polsce należałoby się może z tego tytułu prym między narodami. Stanowisko żony i matki było w całym znaczeniu tego słowa dostojne, wpływ kobiety wielki. Żona »klejnot drogi«, żona »miły i wdzięczny a tobie równy towarzysz«, żona »ozdoba mężowi«, żona »głowy korona« — wszystkie te nazwy, spotykane ustawicznie u naszych starych poetów i pisarzy, począwszy od Reja i Kochanowskiego, a skończywszy na najpóźniejszych, to nie były czcze słowa, to była cała prawda; stwierdzają to wszystkie inne, najmniej podejrzane źródła obyczajowe przeszłości: akta sądowe, interczy, testamenty, listy poufne, nie mówiąc już o pamiętnikach. Jest to rys naprawdę charakterystyczny, że żonie dawano zazwyczaj nazwę »przyjaciela«. Nietylko szlachta, ale i wielcy panowie, którzy łatwiej i wcześniej odbiegali od staropolskiego słownika i obyczaju, przyjacielem mianują żonę. Janusz Radziwiłł, prosząc króla Władysława IV o pomoc do ręki panny Potockiej, zaklina go, aby nie odmówił, bo tu »nie o urząd, nie o wakancję idzie, ale o wiecznego przyjaciela«; Jerzy Ossoliński, starając się o Daniłowiczównę, według słów własnych »szuka przyjaciela, jako naj-

droższy skarb i największe po łasce Boga błogosławieństwo»; Franciszek Sapieha, koniuszy wielki litewski, w testamencie swoim z r. 1683 żegna »najmilszego po Panu Bogu przyjaciela, małżonkę Annę z Lubomirskich«; wojewoda miński Krzysztof Zawisza mówi w swoim pamiętniku, że »cokolwiek ma reputacji u świata i błogosławieństwa od Pana Boga, ma to z osobliwej łaski Opatrzności, że mu dał przyjaciela« Teresę Tyszkiewiczównę. Pod tą nazwą przyjaciela kryje się wyraz emancypacji kobiety w najpiękniejszym znaczeniu tego słowa. Widząc w żonie przyjaciela, dawano jej niejako niezawisłość od znikomych warunków upodobania, od młodości i piękności; wymagano od niej nietylko sentymentu, ale i męstwa, nietylko serca, ale rozumu i czyny.

Według Władysława Łozińskiego.

Objaśnienia: *Rękojmia*, zapewnienie, zabezpieczenie. — *Bodziec*, podnieta. — *Tradycja*, przekazywanie z pokolenia na pokolenie poglądu, dążenia, sposobu postępowania. — *Ambicja*, pragnienie wzniesienia się, wyniesienia. — *Instancja*, urząd. — *Trybunałski* od trybunał. Trybunał koronny, ustanowiony na sejmie warszawskim w r. 1578 sąd najwyższy, złożony z marszałka i deputatów, sędziów, wybieranych przez województwa i duchowieństwo. — *Banłta*, wygnaniec. — *Infamis*, człowiek, pozbawiony czci, godności. — *Filjacje*, związki rodzinne krwi, wykaz związków, pochodzenia. — *Koligacje*, związki rodzin, rodów przez małżeństwa, powinowactwo. — *Heroldja*, instytucja rządowa do sprawdzania dowodów szlachectwa, wydawania należnych świadectw. — *Prozapja* (z łac. prosapia), ród, przodkowie. — *Splendor* (z łac. splendor), blask, świetność. — *Protoplasta* (ze średniow. łac. protoplastus), najstarszy przodek, od którego ród początek swój wywodzi. — *Panegiryk* (z gr. panegyrikos), pochwała często nieuzasadniona. — *Genealog* (z gr. genealogos), mówca, badacz genealogji, rodowodów. — *Parentela* (ze średniowiecz. łac. parentela), związek rodowy, rodzina. — *Prym*, pierwszeństwo. — *Intercyza*, umowa urzędowa szczególnie co do posagu wychodzącej zamaż. — *Wakancja*, wakans, miejsce wolne, urząd wolny. — *Reputacja*, dobra sława. — *Emancypacja*, wyzwolenie. — *Sentyment*, uczucie.

LIST KRÓLA JANA DO KRÓLOWEJ MARJI KAZIMIERY.

W namiotach wezyrskich 13 septembra w nocy.

Jedyna duszy i serca pociecho, najśliczniejsza i najukochańsza Marysienku! Bóg i Pan nasz, na wieki błogosławiony, dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystek, dostatki nieoszacowane dostały się w ręce nasze. Nieprzyjaciela, zasławszy trupem aprosze, pola i obóz, ucieka w konfuzji. Wielbłądy, muły, bydła, owce, które to miał po bokach, dopiero dziś wojska nasze brać pochynają, przy których Turków trzodami tu przed sobą pędzą; dru-

dzy zaś, osobliwie des renegats, na dobrych koniach i pięknie ubrani od nich tu do nas uciekają. Taka się to rzecz niepodobna stała, że dziś już między pospólstwem tu w mieście i u nas w obozie była trwoga, rozumiejąc i nie mogąc sobie inaczej perswadować, jeno że nieprzyjaciela nazad się wróci. Prochów samych i amunicji porzucił więcej, niżeli na miljon. Widziałem tu nocy przeszłej rzecz tę, którejm sobie zawsze widzieć pragnął. Kanalja nasza w kilku miejscach zapaliła tu prochy, które całe sądny dzień reprezentowały bez szkody całe ludzkiej, pokazały na niebie, jako się obłoki rodzą. Ale to nie-szczęście wielkie, bo pewnie na miljon w nich uczyniło szkody. Wezyr tak uciekł od wszystkiego, że ledwo na jednym koniu i w jednej sukni. Jam został jego sukcesorem, bo po wielkiej części wszystkie mi się po nim dostały splendory, a to tym trafunkiem, że będąc w obozie w samym przedzie i tuż za wezyrem postępując, sprzedał się jeden pokojowy jego i pokazał namioty jego, tak obszerne, jako Warszawa albo Lwów w murach. Mam wszystkie znaki jego wezyrskie, które nad nim noszą: chorągiew mahometańską, którą mu dał cesarz jego na wojnę, i którą dziś jeszcze posłałem do Rzymu Ojcu świętemu przez Talentego pocztą. Namioty, wozy wszystkie dostały mi się et mille d'autres galanteries fort jolies et fort riches, mais fort riches, lubo się jeszcze siła nie widziało. N'y a point de comparaison avec ces de Chocim. Kilka samych sajdaków, rubinami i szafirami sadzonych, stoją się kilku tysięcy czerwonych złotych. Nie rzekniesz mnie tak, moja duszo, jako więc tatarskie żony mawiać zwykły mężom, bez zdobywcy wracającym, żeś »ty nie junak, kiedyś się bez zdobywcy powrócił«, bo ten co zdobywa, w przedzie być musi. Mam i konia wezyrskiego ze wszystkiem siedzeniem, i samego mocno dojeżdżano, ale się przecie salwował. Kihają jego, to jest pierwszego człowieka po nim, zabito i paszów niemało. Złotych szabel pełno po wojsku i innych wojennych rynsztunków. Noc nam ostatka przeszkodziła i to, że uchodząc okrutnie się bronią et font la plus belle retirade du monde. Janczarów swoich odbiegli w aproszach, których w nocy wyściano, bo to była taka hardość i pycha tych ludzi, że kiedy się jedni z nami bili w polu, drudzy szturmowali do miasta. Jakoż mieli czem co począć. Ja ich rachuję prócz Tatarów na trzykroć sto tysięcy, drudzy tu rachują namiotów samych na trzykroć sto tysięcy i biorą proporcję trzech do jednego namiotu, coby to wynosiło niesłychane liczbę. Ja jednak rachuję namiotów sto tysięcy najmniej, bo kilką obozów stali. Dwie nocy i dzień rozbierają ich, kto chce już; i z miasta wyszli ludzie, ale wiem, że i za tydzień tego nie rozbiorą. Ludzi niewinnych tutecznych Austrjaków, osobliwie białychgłów i ludzi siła porzucili. Ale

zabijali, kogo tylko mogli. Siła barzo zabitych leży białychgłów, ale i siła rannych, które żyć mogą. Wczora widziałem dzieciątko jedno we trzech leciech chłopczyka, barzo najmilejszego, któremu zdrajca przeciął gębę szkaradnie i głowę. Ale to trefna, że wezyr wziął tu był gdzieś w którymś cesarskim pałacu strusia żywego dziwnie ślicznego; tedy i tego, aby się nam żywcem nie dostał, kazał ściąć. Co zaś za delicje miał przy swych namiotach, wypisać niepodobna. Miał łaźnie, miał ogródek i fontanny, króliki, koty, i nawet papuga była, ale że latała, nie mogliśmy jej pojmać.

Dziś byłem w mieście, któreby już było nie mogło trzymać dłużej nad pięć dni. Oko ludzkie nie widziało nigdy takich rzeczy, co to tam miny porobiły. Z beluardów podmurowanych okrutnie wielkich i wysokich porobiły skały straszliwie, i tak je zrujnowali, że więcej trzymać nie mogły. Pałac cesarski wniwecz od kul zepsowany. Wojska wszystkie, które dobrze barzo swoją czyniły powinność, przyznały Panu Bogu a nam tę wygraną potrzebę. Kiedy już nieprzyjaciel począł uchodzić i dał się przelamać (bo mnie się przyszło z wezyrem łamać, który wszystkie a wszystkie wojska na moje skrzydło prawe sprowadził, tak że już nasz środek albo korpus, jako i lewe skrzydło nie miały nic do czynienia i dlatego wszystkie swoje niemieckie posiłki do mnie obracały), przybiegały tedy do mnie książęta, jako to Elektor bawarski, Waldek, ściskając mię za szyję, a całując w gębę, generałowie zaś w ręce, w nogi. Cóż dopiero żołnierze, oficerowie i regimenty wszystkie kawalerji i infanterji wołały: »Ach, unser brave Koenig!« Słuchały mię tak, że nigdy tak nasi. Cóż dopiero, i tu dziś rano, książę Lotaryński, Saski! Bo mi się z nimi wczora widzieć nie przyszło, bo byli na samym końcu lewego skrzydła, którym do pana marszałka nadwornego przydałem był kilka usarskich chorągwi. Cóż komendant Staremburg tutaj! Wszystko to całowało, obłapiało, swym salwatorem zwało. Byłem potem we dwóch kościołach. Sam lud wszystek pospolity całował mi ręce i nogi, suknie, drudzy się tylko dotykali, wołając: »Ach, niech tę rękę tak waleczną całujemy!« Chcieli byli wołać wszyscy vivat, ale to było znać po nich, że się bali oficerów i starszych swoich. Kupa jedna nie wytrwała i zawołała vivat pod strachem, na co widziałem, że krzywo patrzano i dlaczego, zjadłszy tylko obiad u komendanta, wyjechałem z miasta tu do obozu, a pospółstwo, ręce wznosząc, prowadziło mię aż do bramy. Widzę, że i komendant krzywo tu patrzy na się z magistratem miejskim, bo kiedy mię witali, to ich nawet mi i nie prezentował. Książęta się zjechali, i cesarz daje znać o sobie, że jest za milę, a ten list nie

kończy się aż terażniejszym rankiem. Nie dają mi tedy dopisywać i dłużej się cieszyć z Wcią sercem mojem.

Naszych niemało zginęło w tej potrzebie: osobliwie tych dwóch żal się, Boże, o których już tam opowiedział Dupont. Z wojsk cudzoziemskich książę de Croi zabity, brat postrzelony i kilku innych znacznych zabitych. Padre d'Aviano, który mię się nacałować nie mógł, powiada, że widział gołębicę białą, nad wojskami się naszymi przelatującą. My dziś za nieprzyjacielem się ruszamy w Węgry. Elektorowie odstąpić mię nie chcą. To takie nad nami błogosławieństwo Boże, za co Mu niech będzie na wieki cześć, sława i chwała. Kiedy już postrzegł wezyr, że wytrzymać nie może, zawołałszy synów do siebie, płakał jako dziecię. Potem rzekł do chana: »Ty mię ratuj, jeśli możesz!« Odpowiedział mu chan: »My znamy króla. Nie damy mu rady i sami o sobie myśleć musimy, abyśmy się salwować mogli«. — Gorąca tu mamy tak srogie, że prawie nie żyjemy, tylko picciem. Teraz dopiero znaleziono okrutną jeszcze moc wozów z prochami i ołowiem. Ja nie wiem, czem już oni będą strzelali. W ten moment dają nam znać, że ostatnie kilkanaście działek małych lekkich porzucił nieprzyjaciel. Już tedy wsiadamy na koń ku węgierskiej stronie prosto za nieprzyjacielem, i jakom dawno wspominał, że się, da Pan Bóg, w Stryju aż z sobą przywitamy, gdzie pan Wyszyński niech każe kończyć kominy i stare poprawiać budynki. List ten — najlepsza gazeta, z którego na cały świat zrobić gazetę, napisawszy, que c'est la lettre du roi à la reine. Książęta Saski i Bawarski dali mi słowo i na kraj świata iść ze mną. Musimy iść dwie mile wielkim pośpiechem dla wielkich smrodów od trupów, koni, bydeł, wielbłądów. Do króla francuskiego napisałem kilka słów, że jako au Roi très chrétien oznajmuję de la bataille gagnée et du salut de la chrétienté. Cesarz tu tylko o mil półtorej, płynie Dunajem. Ale widzę, że się nieszczerze chce widzieć ze mną dla swej podobno pompy. Życzyłby zaś być sobie jako najprędzej w mieście pour chanter le Te Deum, i dlatego ja mu stąd ustępuję, mając sobie za największe szczęście ujść tych ceremonij, nad które niceśmy tu jeszcze nie doznali.

Fanfanik brave au dernier point, na piędz mię jeszcze nie odstąpił. Il se porte à merveille w takich fatygach, jakie większe być nie mogą, et se fait fort joli. Z księciem Bawarskim (który lezie wszędzie do nas i wczora przyjechał do nas, do komendanta, dowiedziawszy się o mnie) jako brat z bratem. Zdobyczy mu swoje Fanfanik rozdaje ostatnie. Książę de Hesse von Kassel, którego tylko nie dostawało, przybył tu do nas. C'est une armée véritablement ressemblante, que le grand Godfred menait à la Terre Saintel

Jużże tedy kończyć muszę, całując i ściskając ze wszystkiego serca i duszy najśliczniejszą moją Marysienkę. A mr. le Marquis et à ma soeur baisemains. Niech się wszyscy cieszą a Panu Bogu dziękują, że pogaństwu nie pozwolił pytać się: »A gdzie wasz Bóg?« Dzieci całują i oblapiam. Minjonek ma się z czego cieszyć, bo jego chorągiew wezyra złamała i sławę największą u wszystkiego utrzymała wojska. Mr. le Comte zdrów dobrze, nie odstąpił mię i na piędz. Do Litwy piszę, t. j. do dwóch Hetmanów, aby już nie tu, ale prosto szli do Węgier. Kozacy zdrajcy niechaj za mną idą. Te listy do Hetmanów Litewskich odsyłać jako najpilniej. Którędy będą mieli iść Litwa, oznajmi się drugą okazją.

Objaśnienia: Marja Kazimiera Sobieska (około 1635—1716), córka Henryka, margrabiego de la Grange d'Arquien, dama dworu królowej Marji Ludwiki. — *Wezyrskich*, wielkiego wezyra Kara Mustafy, dowódcy wojsk tureckich. — *13 septembra*, 13-go września 1683 r., 12 września stoczył Sobieski bitwę pod Wiedniem. — *Marysienku* = Marysienko. — *Aprosze* (z fr. aproche), rowy, kopane dla dojścia do wałów forticy, przykopy, podchody. — *W konfuzji*, zmieszaniu, wstydzie. — *Des renegats*, renegacy, odstępcy wiary, poturczeni. — *Kanalja* (z fr. canaille), pospólstwo, molloch. — *Cale*, całkiem, zupełnie. — *Sukcesor*, spadkobierca. — *Talent*, sekretarz Jana III do korespondencji włoskiej. — *Et mille d'autres i t. d.* = i wiele innych rzeczy (cacek), bardzo pięknych, bardzo cennych, ale to bardzo cennych. — *N'y a point i t. d.* = niema porównania ze zdobytymi pod Chocimem. — *Ces de*, prawidłowo *ceux de*. — *Safdaków*, sajdak, futerał, pokrowiec, pudło, torba, w której się mieścił luk i strzały. — *Stoją się*. Stać w znaczeniu przedstawiać wartość, kosztować, wynosić, równać się czemu. Tu użyte z zaimkiem się. — *Czerwonych złotych*. Czerwonym złotym nazywano od czasów Jana Kazimierza złoty dukat wartości złotych srebrem sześciu; złotówka zawierała 30 groszy. — *Junak*, dzielny, bohater. — *Kłhaja* (z tureck.), zastępca, namiestnik. — *Paszów* = baszów. — *Rynsztunków*, całych uzbrojeń. — *Et font la plus i t. d.* = i wykonywają najpiękniejszy odwrót w świecie. — *Janczarów*. Janczar, żołnierz z piechoty tureckiej, przysposobiony z dziecka chrześcijańskiego. — *Na trzykroć i t. d.* Historycy obliczają siły tureckie na 200,000. — *Kilką* starop. narząd. podobnie jak pięcią. — *Tutecznych*, tutejszych. — *Białychgłów* dopeł. l. mn. od białogłowa, białogłowa, niewiasta, kobieta. — *Barzo* strp. bardzo. — *Najmilejszego* strp. stop. najwyższy od miły = najmilszego. — *Wziął był*, zrzadka dziś używany czas zaprzeszy. — *Delicje*, rozkosze, doskonale rzeczy. — *Miny*, podkopy, prochy, wprowadzone w podkop dla wysadzenia jakiegoś miejsca. — *Beluardów*. Beluarda, baszta, wieża. — *Wniwecz*, w ni w co, w nic. Cz końcowe jest tu w bierniku samym pierwiastkiem zaimka pytającego, złożonego z pierwiastka *cz* i przyrostka *so*, pierwotnej końcówki dopełniacza l. p., czso, później *co*. — *Skrzydło prawe*. Szyk bojowy wojska dzieli się ogólnie na trzy części: środek czyli korpus, centrum, prawe i lewe skrzydło. Objawszy naczelne dowództwo nad całą, złożoną z mniej więcej 80,000 ludzi, armją, Sobieski na prawem skrzydle umieścił wojska polskie, na lewem Sasów i ochotników, w centrum wojska austriackie i bawarskie. — *Elektor bawarski* Maks Emanuel. Elektorami, kurfürstami nazywano książąt dawnego cesarstwa niemieckiego,

którzy posiadali wyłączne prawo wybierania cesarza lub króla. — *Regimenty*, pułki. — *Infanterja* (z fr. infanterie), piechota. — *Ach, unser brave Koenig!* = Ach, nasz dzielny królu! — *Marszałka nadwornego*, Hieronima Lubomirskiego, stojącego na lewem skrzydle. — *Oblapiało*, obejmowało, ściskało. — *Salvator* (z łac.), zbawca. — *Cesarz Leopold*. — *Tych dwóch*. Mowa zapewne o Stanisławie Potockim, staroście halickim, i o Modrzejewskim, podskarbnim koronnym. — *Dupont* oficer inżynierów, dworzanin królowej Marji Kazimiery. — *Padre Marco d'Aviano*, pobożny zakonnik. — *Chana* krymskiego Murad Gieraja, który przyprowadził 24 tysiące Tatarów. — *Salwować* (z łac.), ratować. — *W Stryju*. Miasto nad rzeką Stryjem, dopływem Dniestru, zostawało czas jakiś w posiadaniu Jana Sobieskiego, ofiarowane mu przez Rzeczpospolitą za zasługi w walce z Turkami. — *Que c'est la lettre i t. d.* = że to list króla do królowej. — *Saski Jan Jerzy III*. — *Króla francuskiego* Ludwika XIV. — *Au roi i t. d.* = do króla arcychrześcijańskiego. — *De la bataille i t. d.* = o wygranej bitwie i ocaleniu chrześcijaństwa. — *Pompy* (z łac.), okazałości, wspaniałości. — *Pour chanter i t. d.* = żeby odśpiewać »Ciebie Boga chwalimy«. — *Fanfanik*, królewicz Jakób, starszy syn Jana III, towarzyszył ojcu na wyprawie wiedeńskiej, zmarł 1737. — *Brave i t. d.* = dzielny do najwyższego stopnia. — *Piędz*. Miara, równa najdłuższej odległości między końcami palców wielkiego i średniego rozpostartej dłoni średniej ręki męskiej, wynosząca około ośmiu cali. Tu przenośnie = na krok. *Il se porte i t. d.* = ma się doskonale. — *Fatygach*, trudzie. — *Et se fait i t. d.* = i robi się bardzo ładnym. — *Książę de Hesse* i t. d., elektor heski Karol. — *C'est une armée i t. d.* = jest to armja naprawdę podobna do tej, którą wiódł wielki Godfryd do ziemi świętej. Godfryd de Bouillon (1061—1110) obrany został wodzem pierwszej wyprawy krzyżowej 1095 r., przedsięwziętej przez rycerstwo Europy w celu odebrania grobu Chrystusa z rąk Turków. W 1099 r. zdobył Jerozolimę. — *A monsieur le Marquis i t. d.* = Panu Markizowi (d'Arquien, ojcu królowej Marji Kazimiery) i siostrze mojej (Katarzynie Sobieskiej) ucałowania rąk. — *Minjonek*, syn króla Aleksander. — *Monsieur le Comte de Maligny*, brat królowej żony Jana III, był generałem wojsk polskich i pułkownikiem dragonów królowej. — *Do dwóch hetmanów*. Hetmanem W. litewskim był Kazimierz Sapieha, hetmanem polnym Jan Ogiński. — *Kozacy zdrajcy*. Król nazywa zapewne zdrajcami zwerbowanych na własny żołd kozaków, którzy się spóźnili. — *Którędy będą mieli iść Litwa*. Liczba mnoga orzeczenia przystosowana do myślanego podmiotu: wojska litewskie i hetmani.

Objaśnienia do obrazów: Juljusza Kossaka »Jan III pod Wiedniem«. Kossak Fortunat Juljusz (1824—1899), nieporównany malarz bitew, czynów dzielności rycerskiej człowieka i konia, malarz dawnego życia polskiego. Na obrazie tu reprodukowanym król przedstawiony jest w chwili, kiedy, siedząc na płowym koniu, zwanym »Pałaszem«, żegna krzyżem dwustu husarzy (ciężkiej jazdy), przedzierających się na jego rozkaz przez dwukroćtysięczny obóz turecki do namiotu wielkiego wezyra. Z dołu podjeżdża do króla rotmistrz husarski, na pierwszym planie na koniu pancerny, t. j. należący do jazdy lekkiej. — Obraz Matejki (1838—1893) »Jan III pod Wiedniem po odniesionem zwycięstwie«. Tło: po lewej stronie od patrzacego namioty tureckie, w głębi góry Kahlenberga, po prawej część miasta Wiednia z kościołem św. Szczepana i innymi. Na polu bitwy pośrodku obrazu Sobieski na arabskim koniu wielkiego wezyra oddaje kanonikowi krakowskiemu Denhoffowi list do Rzymu z wieścią o zwycięstwie, obok na siwym rumaku syn

króla, towarzyszy bojów, królewicz Jakób, za królewiczem na koniu młody chorąży husarji, trzymający wielką chorągiew z orłem. Po prawej stronie od patrzącego książe Karol Lotaryński, dowódca wojsk cesarskich, z podniesionym w górę kapeluszem. Za nim chorąży na koniu w kapeluszu pochylili żółtą austriacką chorągiew. Jeszcze bardziej na prawo hr. Ernest Starhemberg, komendant załogi Wiednia, za nim ze wzniesionymi rękami kardynał Wilczek. Tuż przy ramie marszałek nadworny Hieronim Lubomirski. Niżej



dwaj szeregowcy żołnierze ze strzelbami, ku środkowi obrazu siedzący Turk z siwą brodą i Arab z wzniesionymi rękami. Ciała Turka i kobiety - Niemki. Przed królem husarz zwią wielką chorągiew Mahometa, która ma być wysłana do Rzymu. Po lewej stronie na dole koniuszy koronny Marek Matczyński. Nad nim na koniu towarzysz buńczuczny z buńczukiem z orlich skrzydeł i turbanem ze strusimi piórami. Na lewo od widza hetman polny Mikołaj Sieniawski, dzielny dowódca polskiego lewego skrzydła, obok niego w szyszaku wielki hetman koronny, Stanisław Jabłonowski, dowódca pra-



wego skrzydła, przy nim w futrzanej czapce Atanazy Miączyński, wojewoda wołyński, rotmistrz lekkiej chorągwi, dowodzący wojskami, ścigającymi Turków. Ręka buńczucznej przysłania postać Jerzego III, elektora saskiego, w kapeluszu z piórami. Obok niego Emanuel, elektor bawarski, przypatrujący się znalezionemu przy kopaniu rowów obrazowi Matki Boskiej, który mu pokazuje siedzący na osiołku kapucyn, znany ze świątobliwości, Marco d'Aviano, przy nim dominikanin. Na dole z lewej strony w rogu obrazu paż w peruce z zegarem i pachol przy karocy pakują dary dla Rzymu. — Obraz, wykończony w 1883 r. (długości 900 centym., wysok. 460) wydało w dużej (79 × 40 centym.) pięknej reprodukcji Krakowskie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych. Objaśnienia wydrukował 1883 r. w Krakowie sekretarz Matejki, Marjan Gorzkowski p. t. »Wskazówki do nowego obrazu Jana Matejki »Sobieski pod Wiedniem«.

GRZECZNOŚĆ POLSKA.

Grzeczność polska miała swoje całkiem rodzime formułki, swój styl nawskróś odrębny, i rzec można, że ze wszystkich stron obyczajowych ta głównie wyrobiła się oryginalnie, z szczerego smaku polskiego, i nie wzięła nic albo bardzo mało z cudzoziemskiego obyczaju. Uderza ona odrazu cudzoziemców, podróżujących po Polsce, którzy oddają szczerę pochwałę jej powadze i godności i podnoszą jej całkiem odrębną »sarmacką grację«. Formułki tej grzeczności odtworzyć sobie można po części przynajmniej z pamiętników, z przygodnych oracyj i listów, ale gest, ruch, jaki towarzyszył polskiej »polityce«, bo tak nazywano maniery grzeczności, cała ta malownicza mimika »czystego, gładkiego pacholka«, która przedewszystkiem w całej swojej harmonji i okrągłości rozwijała się w tańcu polskim, w »chwytanem kole«, w »gonionym«, zginęła nam bezpowrotnie. Jeszcze w ostatnich latach XVIII wieku uderzał cudzoziemców malowniczy i poważny ukłon polski. Niektórym wprawdzie wydawał się on zbyt niski i czołobitny, ale spostrzeżenie to polega na nieznanomości obyczaju, który nakazywał młodzieży najgłębszą cześć dla rodziców i dla sędziwego wieku. Syn zginał przed matką jedno kolano, córka oboje. Ukłon polski rzeczywiście był niski, a towarzyszył mu gest prawej ręki — lewa ręka na sercu, prawa ku dołowi — niejako maskujący pochylenie się ku kolanom, ale w kodeksie dobrego wychowania, była to tylko figura grzeczności, dalekiej od tego, co dziś nazywamy służalczością. To samo da się powiedzieć o formułkach powitania, używanych między szlachtą, jak np.: »Czołem!« albo »Służba!«

Niedość było posiadać polor umysłowy, trzeba było posiadać także koniecznie maniery polskiej grzeczności, inaczej było się, jak mawiano: »po łacinie mądrym, a po polsku błaznem«. Czuli to także wielcy panowie i to nawet jeszcze w połowie XVII wieku. Młodzi

Sobiescy dla europejskiego poloru wyjeżdżają zagranicę, ale jak się mają zachować z starszymi i znaczniejszymi, jak się mają kłaniać i tańcować, tego się ucza w Krakowie. Ojciec ich, wojewoda bełski, Jakób, szczególną do tego przywiązuje wagę, aby »po polsku byli grzecznymi«. Mają się strzec pychy, ale trzeba także, aby miejsce swoje wiedzieli i »posiadać się nie dawali nigdzie«. W gospodzie swojej niech każdemu, czy to panięciu, czy szlachcicowi, który ich nawiedzać będzie, »prawą rękę i pierwsze miejsce dadzą, przeciwko każdemu aż do drzwi niechaj wychodzą i każdego więc aż do drzwi niechaj wyprowadzą«. Nie dać się »posiadać« znaczyło nie dać się traktować z góry i z lekceważeniem w towarzyskich stosunkach, nie uchybiać nikomu, ale nie dać też uchybić sobie. Strzec poczucia własnej osobistej godności, strzec swego »uczciwego« było kardynalnym obowiązkiem. Nie znano albo raczej nie używano jeszcze słowa »honor« w dzisiejszem naszym znaczeniu — to, co dziś obejmujemy tem słowem, mieściło się w »uczciwem«, a było to uczucie bardzo tkliwe, i pięknie się o tem wyraża jeden z magnatów polskich z połowy XVII wieku, podnosząc z naciskiem »jako p i e s z c z o n a r z e c z jest uczciwe«. Szlachta polska, a zwłaszcza jej wyższa i dostojniejsza warstwa, przywiązywała zawsze wielką wagę do swoich tradycyjnych form grzeczności i gorszyła się bardzo ich brakiem zagranicą. Jerzy Ossoliński w diarjuszu swojej podróży do Ratysbony w r. 1636 powiada, że w Czechach tylko hrabiego Wierbna, tylko jego »samęgo jednego między wszystkimi Czechami znalazł człowieka ludzkiego«, to znaczy, że między wszystką szlachtą czeską, z którą się zetknął w czasie swojej podróży, ten jeden tylko odpowiadał polskim wyobrażeniom o towarzyskiej grzeczności i łatwości. Ten sam Ossoliński zapisuje w dzienniku swoim z satysfakcją, że w Ratysbonie »z podziwieniem dworu tutecznego grube et inhospitales animos Niemców coraz do lepszej przywiódł ludzkości«. Wszystkie bowiem zalety towarzyskie: uprzejmość, wesołość, nieusuwanie się od ochoty sąsiedzkiej i przyjacielskiej, a przedewszystkiem gościnność, obejmowano w dawnej Polsce słowem »ludzkość«.

Jednego wszakże brakło w życiu towarzyskiem, choć go zapewne nie brakło w kodeksie grzeczności, a to panowania nad sobą. Cnoty tej mało było w życiu starszszlacheckim. Obok tej całej »ludzkości«, obok hojnie rozwiniętych ceremonjalnych form w obyczaju i języku towarzyskim spotykamy niepohamowaną porywczność, nagle folgowanie pierwszemu uniesieniu, grubą rubasność słowa. Krótka droga od komplementu do przymówki, jeszcze krótsza od

przymówki do szabli. Wadą to nietylko średniej i małej szlachty, nie wolna od niej wyższa i najwyższa.

Władysław Łoziński.

Objaśnienia: *Gracja*, wdzięk. — *Oracja*, przemówienie. — *Maniery*, obejście. — *Markujący*, oznaczający. — *Sobiescy*. Starszy Marek, ranny pod Batołem dostał się do niewoli tureckiej (1652) i zamordowany z rozkazu Bohdana Chmielnickiego, młodszy Jan, późniejszy zwycięzca z pod Wiednia. — *Jakób* w »Instrukcji (przepisach) synom moim do Paryża r. 1645«, danej ich opiekunowi Orchowskiemu. — *Kardynałny*, główny. — *Ossoliński* (1595—1650) wysoko wykształcony, wybitny mąż stanu, od 1643 r. kanclerz wielki koronny. — *Diarjusz*, dziennik. — *Ratysbona*, na prawym brzegu Dunaju. — *Satysfakcja*, zadowolenie. — *Inhospitales animos* = dzikie w obcowaniu usposobienie. — *Folgowanie*, dawanie ujęcia. — *Rubaszność*, prostactwo. — *Kompliment*, grzeczne słowo, grzeczność.

PRZYSŁOWIA.

— Lepiej miernie być grzecznym a długo, niż oraz i nazbyt, a krótko. — Można wykroczyć przeciw grzeczności nietylko przez jej niedostatek, ale też i przez jej zbytek. — Bardziej drugi zda się grzecznym, niż jest; drugi bardziej jest prawdziwie, niż się zda. — Insza stołowa grzeczność, insza gruntowna. — Co kraj, to obyczaj. — Co wiek, to insze obyczaje.

WIZYTA KASZTELANICA.

Jużeśmy mieli do stołu siadać, gdy dano znać, iż goście jadą. Wpadł na dziedziniec z wielkim pędem i trzaskaniem powtórzonem huzar, za nim równie pędząca, przewyższająca wysokość sztachetów dworu mojego kolasa, i gdy z za powozu posuwistym lotem wyskoczył młody chłopiec, tak go bystrość skoku uniosła, iż nie mogąc się utrzymać na nogach, padł na ganek i ledwo mnie nie wywrócił. Huzar natychmiast spuścił stopień nakształt drabinki, z której gdy szedł imci pan Kasztelanica, zaczął komplement, przepraszając za eturderją żokiejśa swego. Zaprowadziłem gościa natychmiast do izby stołowej, i zasiadł wraz z nami miejsce, dla siebie przygotowane.

Pierwszy dyskurs pana Kasztelanica stosowany był do jego podróży, i zastanawiając się nad złemi drogami, a chwając francuskie proste, brukowane, osadzone drzewami, ubite, pełne zawsze przejeżdżających, na tem skończył, iż nasze na to są sporządzone, iżby każdy w domu siedział.

— Jeżeli ten był zamiar przodków naszych, — rzekł pan Podstoli — chwalisz ich waćpan, mości panie Kasztelanicu.

— Ganię ich, chociaż szacuję, bo z nich pochodzę — odpowiedział Kasztelanica.

— Więc nie szacowałbyś ich, waćpan, — rzekł pan Podstoli — żebyś od nich nie pochodził? Możeby nagana mniej była sprawiedliwa, ale względ na poprzedników szacowny, bo rzadki.

Opowiedział zatem przypadki podróży swojej, a między innemi ten ledwie nie największy, iż choć sam się powoził, wiski roboty najprzedniejszego rzemieślnika w Londynie, tak w lesie o korzeń zawadził, iż tylko co się nie wywrócił.

— Byłbyś waćpan spadł zwysoka, — rzekł pan Podstoli — a takie spadki bardzo niebezpieczne. Żeby zabezpieczyć takowym przypadkiem, — bo jak ja miarkuję, angielskie drzewa korzeni nie mają, albo bardzo cienkie, — nie możnaby więc trochę zniżyć tych kolasek?

— Wisków — przerwał pan Kasztelanica.

— Tak jest, wisków — rzekł pan Podstoli. — Z przeproszeniem waćpana mnie się zdaje, iż one są trochę nadto wysokie.

— Ale lekko noszą — rzekł Kasztelanica.

— Czy nie dlatego, że latają? — rzekł pan Podstoli. — Bo to prawda, że bardzo się wzbijają w górę; pomiarkował ja to, kiedyś waćpan przyjechał: wyżej siedziałeś niż ganek jegomości, a waćpana chłopiec...

— Żokiejs — przerwał Kasztelanica.

— Tak jest, żokiejs — rzekł pan Podstoli. — Ten tedy waćpana żokiejs, wiesz to waćpan, iżby się był bardzo potłukł, gdyby był padł na kamienie. Ale musiał się on podobno w Anglii uczyć, jak to spadać należy, bo, kiedy oni tak wysokie powozy robią, to muszą razem dawać sposoby, a zatem uczyć, jak to do nich wchodzić, jak to na nich siedzieć i jak to przeszkadzać, żeby się nie wywróciły, a gdy się wywracają, jak się zachować, żeby się nie potłuc. A szkoda byłaby tego żokiejsa waćpana, bo to młode dziecię i ładnie ubrane, ale podobno trochę kuso, a u nas czasem chłodno. Może gorąco we Francji albo w Anglii, bo ja tam nie byłem, ale tu pewnieby nasze żokiejsy przeziębły, gdybyśmy im nie dali kożuszków na zimę, a przynajmniej sukienek trochę dłuższych, co nie wątpię, że i waćpan temu Angielczykowi albo Francuzowi uczynisz, jak zima przyjdzie.

— On z mojej wsi — rzekł pan Kasztelanica.

— Pojętny chłopiec, — rzekł pan Podstoli — kiedy tak dobrze z powozu, jak Francuz i Angielczyk, skakać umie. Prawda, że się potknął, ale się to trafia i tym, co na szurze tańczą.

W dalszym ciągu dyskursu zaczął opowiadać pan Kasztela-

nie przypadki podróży swojej w cudzych krajach tak wielkie, iż wielokrotnie w największym niebezpieczeństwie życia zostawał, osobliwie, gdy dla nasycenia ciekawości swojej, aby widział potykające się wojska, wmieszał się wśród bijących.

— Zapewne, — rzekł pan Podstoli — iż niebezpieczno mieszać się w bitwę, zwłaszcza, gdy żadna potrzeba do tego nie będzie. Można i zdaleka ciekawość nasycić. Gdyby albowiem jaka kula, nie ostrzeżona, iż waćpan tylko tam byłeś dla zabawy, niegrzecznie zawadziła o waćpana, nie mielibyśmy byli sposobności słyszeć o tak wielkiej batalji, jak nam się teraz zdarza. Trafia się niekiedy, iż bijący się opowiadają bitwy swoje, ale te zawsze podległe wątpliwości: jeżeli albowiem byli w liczbie pobitych, zmniejszają klęskę, jeżeli zwyciężyli, unoszą się w pochwałach. Cóżkolwiek bądź, jeśli się waćpanu przytrafi jeszcze być w podobnych okolicznościach, racz usłuchać mojej rady, a patrzeć się na bijących zdaleka, ale tak zdaleka, aby armatnia kula waćpana nie doszła. Najlepiej byłoby stanąć wówczas na górze wysokiej, a gdyby jej nie było, wnijść na dzwonnice; ale jeżeliby tej brakło, naówczas dać pokój tym, co się biją, a powieść zostawić gazetom. Kiedy to jeszcze dwóch za łby pójdą, może trzeci między nich się wmieszać, żeby ich pogodził; ale się i to nie udaje, bo czasem i guza złapie, i bijących się nie rozwodzi. Wracając się teraz do batalji, ja tak sądzę, iż można i zdaleka jej się przypatrzeć albo i nie widziawszy wiedzieć, co na niej zaszło.

Nie pomogły zbawienne rady opowiadaczowi. Z batalji przyszło do szturm, nakoniec rzecz wytoczyła się na morze, a gdy coraz się imćpan Kasztelanic zwłaszcza starem winem, które przy końcu obiadu postawiono, zasilął, uważając, że się już miał ku czwartemu kieliszkowi, rzekł pan Podstoli:

— To wino stare, mocne, boję się, iżby inflamacji nie powiększyło. — Gdy upewnił pan Kasztelanic, iż go gardło nie boli, — przepraszam za moją troskliwość, — rzekł — ale, widząc pod chustką ręcznikiem obwiązaną szyję, rozumiałem, iż byłeś chory.

— Tak teraz noszą we Francji — rzekł pan Kasztelanic.

— Nie mam ja na to co powiedzieć — odpowiedział pan Podstoli, — jednakże, jeżeli się godzi co mówić przeciw modzie, mnieby się zdało, iż chociaż ma ona skądinąd wielkie swoje zaszczyty, inaczeybys albowiem waćpan nie chciał z siebie czynić dziwowiska, z tem wszystkiem nie jest wygodna, zwłaszcza w lecie. Podczas zimy i ja, kiedy jadę na koniu albo sankami, zawijam kark po francusku, alebym się w lecie udusił.

Odjechał pan Kasztelanic, a gdybyśmy ku wieczorowi prze-

chadzali się po ogrodzie, dziękowałem panu Podstolemu za jego z nim rozmowę, w której przy żarcie była nauka.

Ignacy Krasicki (1735—1801).

Objaśnienia: *Wizyta*, y, odwiedziny. — *Kasztelanic*, syn kasztelana. Kasztelan pierwotnie był zwierzchnikiem grodu, twierdzy, naczelnikiem siły zbrojnej w okręgu grodu (kasztelanji), poborcą danin, sędzią i t. p. Z biegiem czasu znaczenie jego zmalało. — *Huzar*, (z węgierskiego) żołnierz lekkiej jazdy, ubrany z węgierska. — *Kolasa*, y, powóz. — *Eturderja* (z fr. étourderie), roztrzępanie, płochość. — *Zokejsa*, właściwie żokeja od mianownika żokej (z angielskiego dżoki), służący, który jedzie na jednym z koni, ciągnących powóz, lub siedzi z tyłu za panem; jeździec zawodowy, jeżdzący na wyścigach na koniach, należących do kogoś innego. Kasztelanic myli się: używa liczby mnogiej wyrazu angielskiego zamiast pojedynczej. — *Dyskurs*, u, (z łac. discursus) rozmowa, rozprawa. — *Podstoli*, zastępca stolnika, który był pierwotnie nadzorcą kuchni królewskiej. Później nadawano te tytuły bez żadnych obowiązków. — *Sam się powoził*, sam powoził. — *Wiski* (z angielskiego), rodzaj lekkiego, bardzo wysokiego powoziku na dwóch kołach na jednego konia. — *Zabieżeć*, zapobiec. — *Batalja*, ji, (z włos. battaglia), bitwa. — *Inflamacja* (z łac. inflammatio), zapalenie. — Wyjątek niniejszy z powieści Krasickiego p. t. »Pan Podstoli«.

PODCZASZYC.

Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecko,
Kiedy do ojca mego w osznińskim powiecie
Przyjechał pan Podczaszyc na francuskim wózku,
Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku.
Biegali wszyscy za nim jakby za rarogiem,
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
Stała Podczaszyca dwukolna dryndulka,
Która się po francusku zwała karyjulka.
Zamiast lokajów w kielni siedziały dwa pieski,
A na kozłach Niemcysko chude nakształt deski;
Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,
W pończochach, ze srebrnymi klanrami trzewiki,
Peruka z harbajtelem, zawiązanym w miechu.
Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu,
A chłopci żegnali się, mówiąc, że po świecie
Jeździ wenecki djabeł w niemieckiej karecie.
Sam Podczaszyc jaki był, opisywać długo;
Dosyć, że się nam zdawał małpą lub papugą
W wielkiej peruce, którą do złotego runa
On lubił porównywać, a my do kołtuna.
Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie
Piękniejsze jest, niż obcej mody małpowanie,

Milczał, boby krzyczała młodzież, że przeszkadza
Kulturze, że tamuje progresy, że zdradza!
Taka była przesądów owoczesnych władza!

Adam Mickiewicz (1798—1855).

Objaśnienia: *Podczaszyc*, syn podczaszego. Podczaszy pierwotnie zastępca cześnika, mającego nadzór nad piwnicą królewską. Z biegiem czasu dla wyróżnienia tej lub owej osobistości nadawano jedynie tytuł bez obowiązków. — *Oszmiański powiat* w okręgu wileńskim. — *Rarogiem*. Sokół ragóg, ptak drapieżny o dziobie hakowatym, miernych, mocnych nogach z chwytanymi palcami, uzbrojonymi w ostre, zakrzywione pazury; karmi się po większej części żywą zdobyczą. Używano go powszechnie w Polsce do łowów. Z powodu swej niepospolitej rzadkości bywał zwykle przedmiotem ciekawości i podziwu, stąd zwrot przysłowiowy »biegać jak za rarogiem«. — *Dryndulka*, powozik. — *Karyjulka* (z franc. cariole), mały powozik na dwóch wysokich kołach na jednego konia. — *Kielnia*, tu tylna część wózka, przeznaczona dla służącego. — *Harbajtel* (z niem. Haarbeutel), pęk włosów z tyłu peruki, warkocz. — *Miech*, worek, woreczek. — *Ekwipaż* (z franc. équipage), pojazd, powóz. — *Złote runo*. Runo, skóra, pokryta wełną. Złote runo w mitologii greckiej — runo barana, na którym Fryksus i Hella uciekli przed prześladowaniem ojca Atamasa, króla Tesalji, poddawianego przez ich macochę Ino, do Kolchidy, żyznej krainy Azji, położonej na wschodnim pobrzeżu morza Czarnego. Po runo, ofiarowane bogu Marsowi, wyprawił się później Jazon na okręcie Argos i przy pomocy Medeji, córki króla Kolchidy, przywiózł je do Grecji. — *Koltun*, włosy na głowie, wskutek niechlujstwa poskręcane, powiklane i zlepione w odrażające, bezkształtne masy. — *Progresy* (z łac.) postęp.

ORZEŁ I ŻÓRAW.

»Witaj, — rzekł orzeł — żórawiu, z podróży!
Twój powrót cieszy i wiosnę nam wróży.
Usiądź, żórawiu, na bliższych zagonach,
Powiedz, coś widział w cudzoziemskich stronach.
Ci, co daleko lecą,
Zwykle korzystają nieco;
I z twojej pewnie będziemy mieli łaski
Nowe poprawy, nowe wynalazki:
Jak żywność chować,
Gniazda budować,
Wroga unikać,
Jak się czubić.. jak i zmykać...«
»Stój, — przerwie żóraw — stój, stary gaduło!
Cóż ci się we łbie usnuło!
Że się każdy trudzi lotem,
By was uczyć za powrotem?!«

Przeleciałem cudze kraje,
Bo tak nasze chcą zwyczaję,
A nie poto, by się męczyć,
Wszystko śledzić, siebie dręczyć.
Lecz mądrze chodzę, rezolutniej krzyczę,
To umiem, tego uczyć ci się życzę,
A poznasz wkrótce, że te wasze baśnie...«
»Nie kończ! — orzeł wrzaśnie. —
Niech cię sępy porwą w sztuki
Za te myśli i nauki!
Niech na nieszczęście do swych gniazd nie wraca,
Kto pamięć o nich na chwilę utracą,
Kto, niebacznym na przykłady,
Przynosząc z sobą pozbierane wady,
Zbiór tylko cudzych śmieszności nam stawi!« —
O, jakże wiele jest u nas żórawi!

Aleksander Fredro (1793—1876).

Objaśnienia: *Orzeł*. Orły stanowią wielką podrodzinę w rodzinie sokołów. Odznaczają się silną budową ciała, bardzo rozwiniętymi skrzydłami, pozwalającymi długo unosić się w powietrzu; ogon średniej długości, równo ścięty. Nogi orłów są niezwykle silne i upierzone po palce, pazury bardzo długie, mocno zakrzywione i niezwykle ostre, dziób mało co krótszy od głowy, silny, w końcu ostro w hak zagięty. Z pomiędzy 14 czy 16 znanych gatunków nasz kraj zamieszkuje sześć: orzeł przedni, orzeł ryś, orzeł cesarski, i mniejsze: bardzo pospolity u nas orlik zwyczajny, orlik grubodzioby i orzeł karzełek lub włochaty. Orzeł przedni (łac. *Aquila fulva* = orzeł żółty, czerwono-żółty, brunatny) należy do najpotężniejszych ptaków naszego kraju, ma bowiem siąg t. j. odległość od końca do końca rozłożonych skrzydeł 2,07 m., ubarwienie najczęściej ciemno-brunatne. Orzeł ten zamieszkuje całą Europę, prawie całą Azję i Amerykę północną po Meksyk. — *Żóraw* pospolity, ptak brodzący, większy od bociana z długą, wysmukłą szyją i bardzo długimi nogami, całkowicie popielaty z czerwonym, łysym wierzchem głowy, zamieszkuje Europę, Azję zachodnią i Afrykę północną, u nas dość pospolity na przelotach jesiennych i wiosennych, na zimę odlatuje na południe. Trzyma się błot w części wodą zalanych, jest czujny, głos ma donośny. Górą ptaki te ciągną »kluczem«, to znaczy, że są uszykowane w dwu linjach w formie litery V, przyczem szeregi są zwrócone szpicem naprzód. — *Rezolutniej*, z większą pewnością siebie, śmiałością. — Bajka wyjęta jest z komedji Fredry p. t. »Cudzoziemczyzna«.

PAŁAC KAZIMIEROWSKI.

Tak nazywa się dotąd tradycyjnie jeden z gmachów uniwersytetu warszawskiego, pochodzący od Jana Kazimierza, tak też nazywany jest na planie sytuacyjnym, wiszącym zaraz u wejścia z Kra-

kowskiego Przedmieścia w obręb zabudowań. Obok tego jednak, nawet z ust wykształconych warszawiaków słyzy się »Kazimierzowski«, a różni pedanci twierdzą, że skoro nie mówi się »Kazimierz« lecz »Kazimierz«, to musi też być »Kazimierzowski!« Zapewne, tak byłoby, gdyby nazwa powstawała dziś; skoro jednak z dawnych pochodzi czasów, więc »rozumowanie« to upada. Bo jeśli mamy dawne nazwy przerabiać według dzisiejszego brzmienia wyrazów, od których pochodzą, to konsekwentnie powinniśmy wymagać zmiany nazw miejscowości, jak Włocławek, Sandomierz, Cerekwica, Długoleka, także i nazwisk w rodzaju Frąckiewicz, Kondratowicz, Średnicki na Frankiewicz, Konradowicz, Średnicki i t. d. bez końca.

Dawna forma obchodzącego nas tu imienia brzmiała bowiem Kazimir, z tem samem — mir, co w Sędzimir, Ludomir, Sławomir., gdy Kazimirz lub Kazimierz (bo każde ir przechodziło w polszczyźnie w ier), był nazwą osady, od tego Kazimira pochodzącej; i stąd dwa Kazimierze nad Wisłą, nie mówiąc już o pomniejszych. Stosunek to zupełnie prawidłowy i znany: nazwa miejscowości urobiona od nazwy człowieka przez pierwotne zmiekczenie końcowej spółgłoski. Tak np. od Poznana pochodzi Poznań, od Ludzimira Ludźmierz, od Jarosława Jarosław (dziś pozornie jak on: Jarosław, różnie jednak w dalszych przypadkach: Jarosława — Jarosławia), od Włodzisława (późniejszego Władysława) Wodzisław. Dlaczego właśnie najczęstsze w Polsce imię na -mir zatraciło swoją odrębność i upodobniło się do nazwy pochodnej od niego miejscowości, trudno orzec napewno; prawdopodobnie działał tu wzór typu na -sław, gdzie zrównanie nastąpiło w mianowniku wskutek zatury podniebności (»miękkosci«) końcowego w, ale to sprawy nie rozstrzyga. Rzecz to jednak dla nas obojętna, nam wystarczy tu stwierdzenie faktu, że skoro obchodzący nas pałac nazwano w drugiej połowie XVII wieku Kazimierzowskim, to widocznie w owej epoce nie była jeszcze zupełnie zaginęła pierwotna forma imienia. Fakt to tem ciekawszy, że już w połowie XV wieku obok Kazimira istniał i Kazimirz. Mianowicie w tłumaczeniu statutów przez Świętosława z Wocieszyna, pochodzącym z r. 1499, a wiążącym się z miejscowościami mazowieckimi, jak Czersk i Warka, mamy na str. 3: »najaśniejszym księdzem, panem Kazimirem polskim«, na str. 5: »ku prawom świeckim krola Kazimierowym« i »s krolew Kazimirem«, ale na tejże str. 5 też: »krol Kazimirz«, a na str. 6: »ku księgom praw krola Kazimirza« obok »Karymyrowym«. A więc na Mazowszu już w XV wieku znany był Kazimirz. Jan Kochanowski też pisał (Pieśni I, 10):

»Widzę Iagella y dwu Kazimierzu,
Dobrych tak w boiu, iako y w przymiérzu.«

ale jeszcze w w. XVII niezupełnie był wyrugowany Kazimierz. Godna uwagi powolność biegu rzeczy.

Widzimy więc, że »pałac Kazimierzowski« nietylko ma swoje historyczne uzasadnienie, ale nawet jest szanownym historycznym zabytkiem. Zresztą jest n a z w i s k i e m gmachu, podobnie jak Długoleka nazwiskiem wsi, a Kondratowicz nazwiskiem człowieka; nazwisko rodzinne ma prawo zmienić rodzina, nazwisko miejscowości — jej mieszkańcy lub właściciel, kto jednak ma prawo zmieniać nazwisko starego gmachu publicznego? W każdym razie nie jednostka. Bo prawda, mimo przywiązania do tradycji ulegają zmianom nawet nazwiska rodzinne: to mimowoli przekreśli je zapisujący w metryce czy w jakim innym dokumencie, to znów, choćby napół bezwiednie, przystosuje ktoś do nowej wymowy; tak np. dzieje się z nazwiskiem Średnicki, pisanem jeszcze po staremu, ale wymawianem nowocześnie. To wszystko są drogi naturalne, te same, które wogóle zmienia się i odświeża język. Nie można się też dziwić, że ten i ów powie a nawet napisze: »Pałac Kazimierzowski«; bardzo być może, że na tej zmodernizowanej formie kiedyś się nawet skończy. Nie można jednak żadną miarą uznawać konieczności »rozumowania«, wedle którego ma być »Kazimierzowski«, ponieważ się mówi »Kazimierz«, bo to rozumowanie polega na nieznamomości faktów z przeszłości języka.

Kazimierz Nitsch.

Objaśnienia: *Tradycyjnie*, z pokolenia na pokolenie, według dawnej nazwy. — *Plan sytuacyjny*, plan, wykazujący położenie miejscowości lub budynku względem otoczenia lub wzajemne położenie względem siebie kilku budynków lub różnych części jakiej miejscowości. — *Pedanci*, ludzie, trzymający się prawideł z drobiazgową ścisłością, drobnostkowicze, uczeni nudziarze bez wyższego polotu. — *é* oznacza dźwięk pośredni między *e* i *i*. — *Wodzisław*. Zanik *ł* pospolity w Małopolsce i na Śląsku zwłaszcza między spółgłoską i *a*, *o*, *u*. — *Statut wiślicki* Kazimierza Wielkiego, zbiór praw, ogłoszonych w jęz. łac. — *Księdzem* strp. = księciem. — *Dwu Kazimierz*u dopel. i miejsc. liczby podwójnej, której mianownik, biernik, wołacz brzmiał dwa Kazimierza, celownik i narzędnik: dwoma Kazimierzoma. — *Zmodernizowany*, przerobiony po dzisiejszemu, zastosowany do dzisiejszego rozumowania.

GAWĘDA O BOCIANIE.

Wiatr chłodno westchnął i mgłami kręci...

Zima już blisko, ej, blisko!

Bocian poważny, stróż sianożęci,

Rozpuszcza skrzydła, tumany męci

I zwolna plynie na rżysko. —

Siadł, zaklekotał, zwiesił dziób duży
 I zamknął poważnie oko.
 Snać syn litewski marzy głęboko
 O swej zamorskiej podróży.
 Miłoś to lecieć w auzońską stronę,
 Miło coś widzieć i wiedzieć,
 A rozważając trudy minione,
 Plondrować Nilu brzegi zielone,
 Na piramidzie posiedzieć.
 Lecz, ach! wiadomo jednemu Bogu,
 Czy ujdę śmierci lub klęski,
 Czy wrócę jeszcze w kraj nadniemeński,
 Siądeż na kupie murogu...

O, błonie Litwy! cudneż to błonie!
 Tu wszystko szczęściem rozmarzy.
 Słonko miluchne, sianożęć wionie,
 Dziatwa klekocze, a tam na stronie
 Słychać brząkanie kosarzy.
 Słodkoż tu było! Bóg wie, co dalej?
 Czy wracać będzie już po co?
 Może dąb z gniazdem zamieć obali,
 Lub kry wiosenne zgruchocą!
 Lepiejby swemi czuwać oczyma
 W miejscu, gdzie szczęścia tak wiele,
 Lecz piersi czują, że idzie zima,
 Na żółtej łące już żeru niema,
 Za chwilę śnieg ją zaściele!
 I ptak-opiekun błoni ojczystej,
 Wyprężył dziób swój czerwony,
 Podbiegł — rozwinął lot zamaszysty...
 Uleciał w auzońskie strony.

Ludwik Kondratowicz (1822—1862).

Objaśnienia: *Sianożęć*, i, a) łąka zdatna do koszenia trawy na siano, b) trawa skoszona. — *Męci*, mąci. — *Auzońska strona*, ziemia Auzonów, pierwotnego plemienia, zamieszkującego Kampanję. Nazwę tę poeci nadają całym Włochom. — *Murog*, u, siano z suchej łąki, siano najlepsze z łąk, między gruntami uprawianymi położonych. — *Kondratowicz* podpisywał się Władysław Syrokomla.

PRZYSŁOWIA.

Styczeń pogodny wróży rok płodny. — Nadciąga luty, wdziewaj tęgie buty. — Na styczeń i lute miej konie ostro kute. — Gdy mróz w lutym ostro trzyma, tedy jest niedługa zima.

PIEŚŃ KONFEDERATÓW BARSKICH.

Nigdy z królami nie będziem w aljansach,
 Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi,
 Bo u Chrystusa my na ordynansach,
 Słudzy Maryi!
 Więc choć się spęka świat i zadrzy słońce,
 Chociaż się chmury i morza nasrożą,
 Choćby na smokach wojska latające
 Nas nie zatrwożą.
 Bóg naszych ojców i dziś jest nad nami!
 Więc nie dopuści upaść żadnej klęsce.
 Wszak póki On był z naszymi ojcami,
 Byli zwycięzce!
 Więc nie wpadniemy w żadną wilczą jamę,
 Nie ukłękniemy przed mocarzy władzą,
 Wiedząc, że nawet grobowce nas same
 Bogu oddadzą.
 Ze skowronkami wstaliśmy do pracy
 I spać pójdziemy o wieczornej zorzy,
 Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy
 I hufiec Boży.
 Bo kto zaufał Chrystusowi Panu
 I szedł na święte kraju werbowanie,
 Ten de profundis z ciemnego kurhanu
 Na trąbę wstanie.
 Bóg jest ucieczką i obroną naszą!
 Póki on z nami, całe piekła pękna!
 Ani ogniste smoki nas ustraszą,
 Ani ulękną.
 Nie złamie nas głód ni żaden frasunek,
 Ani zhołdują żadne świata hołdy,
 Bo na Chrystusa my poszli werbunek,
 Na Jego żołdy.

Juljusz Słowacki (1809—1849).

Objaśnienia: *Konfederatów*. Konfederacja Barska (1768—1772), związek przeważnie drobnej szlachty pod wodzą biskupa Adama Krasieńskiego, jego brata Michała, którego obrano marszałkiem konfederacji, Józefa Pułaskiego z trzema synami, księdza Marka Jandołowicza, zawiązany w obronie wiary, wolności i dawnych praw przeciw Rosji. — *Aljans*, u, (z franc. alliance), przymierze. — *Ordynans*, a, (z fr. ordonnance), rozkaz, zlecenie. Na ordynansach, pod rozkazami. — *Upaść* domyślnie: na nas. — *Wilcza jama*, wilczy dół, służący do łowienia wilków. Średnicy ma zwykle około 2,5 metra i około 5 me-

trów głębokości; ściany powinny być pionowe, gdzie grunt sypki, gładko wyłożone deskami. W środku dołu ustawia się słup, wystający nieco nad brzeg dołu, na słupie na niewielkiej, poziomej, przybitej desce przywiązuje się gęś lub kaczkę dla przynęty, a otwór wokoło przykrywa się cienkimi gałęziami i zakłada trawą. Doły takie robić należy w miejscach, którędy przechodzą wilki, mało uczęszczanych przez ludzi, aby się w nie człowiek nie zlapał. — *Werbowanie*, werbunek, zaciąganie, zaciąg do wojska. — *De profundis*, pierwsze słowa psalmu pokutnego 29, śpiewanego zwykle podczas nabożeństwa za umarłych »Z głębokości wołałem do Ciebie, Panie«. — *Kurhan* (z tureck.) mogiła. — *Na trąbę sądu ostatecznego*. — *Frasunek*, troska, kłopot, niedola. — *Żold*, płaca za służbę wojskową. — *Pieśń* jest wyjęta z utworu dramatycznego Słowackiego p. t. »Ksiądz Marek«. Konfederaci stworzyli szereg pieśni, których autorowie są nam nieznanymi. Oto jedna z nich:

PIEŚŃ KONFEDERACKA.

Stawam na placu z Boga ordynansu, Rangę porzucam dla nieba wakansu, Dla wolności ginę, Wiary swej nie minę... Ten jest mój azard.	Nie obawiam się przeciwników zdrady: Wiem, że mi dodasz swej zbawiennej W zamysłach obrotu [rady, Do praw swych powrotu, Jak rekrutowi.
Krzyż mi jest tarczą, a zbawienie lu- [pem, W marszu zostaje, — choć i padnę [trupem, Nie zważam, bo w boju Dla duszy pokoju Szukam w Ojczyźnie.	Matka łaskawą, tuszę, że się stawi, Dzielnością swoich rąk pobłogosławi, A że gdy przybraną Będzie miał wygraną, Wiary obrońca.
Krew, z ran wylana dla mego zbawie- [nia, Utwierdza żądze, ukaja pragnienia, Jako katolika Wskroś serce przenika Prawego w wierze.	Boć nie nowina Maryi puklerzem Zastawiać Polskę. Wojować z rycerzem Przybywa w osobie Sukurs dawać tobie, Miła Ojczyzno.
Śmierć Zbawcy stoi za pobudki hasło, Aby wzniesienie złych czynności zgasto, Wolności przywary, Gwałty świętej Wiary Zniesione były.	W polskich patronach nieplonne na- [dzieje; Zelantów serce niechaj się nie chwieje, Gdy ci przy swej pieczy Miecze do odsieczy Dadzą Polakom.
Wyroku Twego, wiem, że nie zapłacę, Niech, choć przed czasem, życie moje Aby nie w upadku, [tracę, Tylko w swoim statku Wiara słyneła.	Niech nas nie ślepią światowe ponęty; Dla Boga brońmy wiary Jego świętej, A za naszą pracą Będzie wszystką płacą: Żyć z Bogiem w niebie.

Rangę porzucam dla nieba *wakansu*, porzucam stopień wojskowy *ziemski*, stanowisko na ziemi dla miejsca wolnego w niebie. — *Azard* (z franc. hazard), wystawienie się śmiało na niebezpieczeństwo, odwaga z narażeniem się. — *Statek*, *Iku*, stałość, moc, niewzruszoność. — *Rekrut*, *a*, nowozaciężny,

świeżo wzięty do wojska, uczący się służby wojskowej. — *A że gdy przybraną* i t. d. zamiast że zdobędę wygraną, wygram. — *Puklerz*, *a*, tarcza okrągła, środkiem wypukła, używana przez jazdę. — *Sukurs*, *u*, (z łac. succursus), pomoc, wsparcie. — *Patron*, *a* (z łac. patronus), święty, opiekujący się jaką osobą, ludem, rzemiosłem, ziemią; święty, którego imię nosimy. Św. Stanisław, patron Polski, św. Kazimierz — Litwy, św. Jerzy — patron rycerstwa. — *Zelant*, *a* (z łac. zelus, gr. dzélos = gorliwość, żarliwość, zapał), gorliwiec, zapalony wyznawca wiary. — *Piecza*, *y*, opieka. — *Odsiecz*, *y*, obrona.

WIGILJA W DWORKU SZLACHECKIM.

Nadeszły święta. Zjechał mój wuj z bawiacem przy nim siostrami, i nasze kółko familijne zwiększyło się. Prócz rodziny ojciec imieniem swej pani zaprosił miejscowego plebana, rachmistrza i kluczowego ekonoma, nieżonatych, a tem samem domu swego nie utrzymujących. Starodawnym zwyczajem mniej dwunastu potraw na wieczerzę wigilijną u szlachty być nie mogło, ubodzy nawet na sześć się zdobywali. Gdy już podano wieczerzę, ojciec, wzięwszy talerzyk z opłatkiem, podszedł z nim do swej matki. Powstała starszka, przeżegnawszy się, wzięła opłatek i postąpiła z nim do plebana, a potem, błogosławiąc syna, synową i wnuki, łamała z nimi ten chleb uroczysty, potem z przybraną rodziną, mojemu ciotkami i wujem, dla których macierzyńskie miała uczucia, szła dalej do zaproszonych oficjalistów, nakoniec do sług naszych. Rodzice moi też samą koleją za matką postępowali. Uroczysty to obchód! Przy łamaniu się opłatkiem wynurzają się najżyźliwsze uczucia, jedną się poróżnieni, i równają się wszelkie stany; dzieci u nóg rodziców składają serdeczne życzenia i odbierają serdeczne błogosławieństwa. Tak było i u nas: oboje rodzice i nas troje dzieci pokłoniliśmy się do nóg sędziwej naszej babuni i z opłatkiem błogosławieństwo jej odbierali. Było nas osób dwanaście: na pierwszym miejscu siedziała nasza babka i ksiądz pleban, my dzieci na szarym końcu. Stół szczęściem jarzącymi świecami był oświecony. Długo ciągnęła się wesoła wieczerza, i podawano już kucję, kiedy pod oknami odezwały się skrzypce i gęśle, i kilka głosów zgodnie zakolełowało:

»Anioł pasterzom mówił:
— Chrystus się nam narodził
W Betlejem, niebardzo podłem mieście,
Narodził się w ubóstwie
Pan wszego stworzenia«.

Noc była śliczna, zimowa. Czysty i jasny księżyc lał swe srebrzyste światło po ubielonych grubą warstwą śniegu słuczy nadbrzeżach, droga sanna była wyborna, mróz niewielki, powietrze ci-

che. Owóż łaskawi sąsiedzi, uwinąwszy się wcześniej u siebie z wierzczą, najechali nas pocichu i tą koleďą pozdrowili. Wyszedł ojciec na spotkanie miłych gości i z całą naszą narodową uprzejmością do pokoju zaprosił. Goście nasi była to zacna rodzina Lubienieckich, trzech braci i trzy siostry, i dwóch Trzebuchowskich, których siostra była za średnim Lubienieckim. Nastąpiły przy oplatku życzenia i przyjacielskie uściski. Wszedł kielich ze starym malinnikiem, a za nim i buteleczka niedzisiejszego węgryzna postąpiła. Damy matka kawą i gruszkami zimowemi przyjmowała, a panny Lubienieckie nas dzieci wybornemi pierniczkami i domowemi suchemi konfiturami zasypywały. Podochoceni muzykanci uderzyli w skrzypce i gęśle: wdzięcznie brzmiały pod palcami Kamińskiego żelazne struny, w ręku ociemniałego Lewandowskiego miło śpiewały skrzypce, czterastoletni syn mu wtórował. Obaj ci muzykanci była to szlachta z zaścianka, znajomi w okolicy i od wszystkich lubiani. Koleďa szła za koleďą, nakoniec wesoły ozwał się mazurek. Panien było cztery; młodzi Lubienieccy i Trzebuchowski, mój wuj i rachmistrz Wojakowski ochoczo stanęli do koła.

— Za pozwoleniem! przepraszam waszmość państwa! — ozwie się, powstawszy ze swego krzesła, babka nasza. — Nie tak bywało za moich czasów na Litwie u świętej pamięci ciotki mojej, pani pułkownikowej Kościowej, Panie, świeć nad jej duszą. Mości Wojski, proszę z sobą! — mówiła do starszego Lubienieckiego. — Nie dlatego, żebyś nas laty przewyższał, ale żeś najdystyngowańsza między nami osoba, służę waszmość panu dobrodziejowi. Panie Lewandowski, »W żłobie leży!«

Zabrzmiały struny tę poważną koleďę, — wszyscy patrzą, co to będzie. Staruszka, zacząwszy śpiew drżącym głosem, posuwa kilka kroków, wszyscy podziwiają, że koleďa w taniec się zamienia, poglądają po sobie, ale babka posuwa się dalej i, stanąwszy przed obrazem Narodzenia, który wpośród innych główną ścianę przystrajał, zatrzymała się i z wzniesionemi do obrazu dłońmi prześpiewawszy parę strof, w czem już i cała kompanja dopomagała, rzeknie:

— Teraz, panie Lewandowski, narodowego! — a obracając się do matki mojej, mówiła dalej: — Kasiu kochana, pani synowo, wyrećz mię do tańca, a waszmość pana dobrodzieja przepraszam za moją śmiałość, ale przypomnijcie sobie, że żłobek nowonarodzonego Zbawiciela i króle, i pasterze zarówno śpiewem i pokłonem witali. Nie od tegoż i nam szlachcie zacząć należało?

Ucałował Wojski ręce staruszki.

— Panie Łukaszul — zawołał, zwracając się do ojca — szafuj wina, wypijemy zdrowie mamy dobrodziejki, a my tymczasem z na-

miestnikową dobrodziejką jaki raz i drugi wywiniemy się narodowego. Panie Lewandowski, Kościuszkowskiego!

Musnął wása, poprawił wyloty i posunął w pierwszą parę z moją matką, za nimi ruszyli i drudzy.

Po skończonym polskim młodzi stanęli mazura w cztery pary, starsi pociągali węgryzna to za zdrowie naszej dobrej babuni, to za gospodarstwa, to za reszty kompanji, i miła przyjacielska toczyła się pogadanka to o tem, to o owem.

Nagle w kościółku ozwały się dzwony, i muzyka umilkła.

— Na pasterkę, kto łaskaw! — rzekł mój ojciec, i całe towarzystwo udało się do kościoła.

Po mszy, na której wszyscy jednogłośnie śpiewem koleďą Boga chwalili, goście, wymógłszy przyrzeczenie, że babka moja, rodzice i cała nasza rodzina jutro do pana wojskiego na obiadek przyjacielski zjadą, odjechali; nasi udali się na spoczynek do domu.

Z pamiętników Antoniego Andrzejowskiego (1785—1868).

Objaśnienia: *Wigilja, wilja*, przeddzień Bożego Narodzenia. *Wigilja* (z łacińskiego *vigilo, are*) znaczy czuwanie. Tym wyrazem nazywano niegdyś dzień, poprzedzający jakąś uroczystość, bo w nim znaczną część nocy przepędzano na modlitwie, rozmyślanju, śpiewach i czytaniach duchownych, gotując się tak do obchodu nastąpić mającej uroczystości. Przy tych pobożnych ćwiczeniach pierwsi wyznawcy wiary cały dzień pościli i hojne dla ubogich dawali jałmużny. W wigilję Bożego Narodzenia (24-go grudnia) dusz pasterze rozsyłają oplatki, gwiazdki albo koleďę, chcąc wiernym przypomnieć, że wszyscy są dziećmi jednego Ojca i zasilani jednym duchowym pokarmem: ciałem Chrystusa, którego na oplatkach wyrażony obraz. Zwyczaj ten pochodzi od pierwszych chrześcijan: zgromadzając się na Mszę św., przynosili oni z sobą chleb do ofiary służący, z tego chleba kapłan brał cząstkę, resztę zaś pobłogosławiwszy, rozdawał tym, którzy przystępowali do komunji. Nadto chleby poświęcone rozsyłali biskupi i kapłani wiernym do domów na znak jedności i miłości braterskiej, przyczem nieraz i listy z życzeniami duchownymi zwykli byli pisywać. Wieczorem po całodziennym poście chrześcijanie odprawiają ucztę, zwaną »wilją«, na znak radości ze szczęśliwego doczekania uroczystości. Zwyczaj ten bierze początek z pierwszych wieków chrześcijaństwa, pierwsi bowiem chrześcijanie wspólną sobie po nabożeństwie sprawiali ucztę, zwaną z greckiego *agápe* (dowód miłości, miłość), w której bogaty i ubogi miał udział. Jej celem było zaszczerpienie między ludźmi u stóp ołtarza zgody, jedności i miłości braterskiej, a wykorzenie dumy i pogardy, jako niezgodnych z duchem religji chrześcijańskiej. Z kościołów ucztę tę przeniesiono następnie do domów prywatnych. — Wieczereż wigilijną rozpoczyna łamanie się oplatkiem. — *W imieniu pani*. Ojciec piszącego był rządcą. — *Rachmistrz*, urzędnik, prowadzący księgi rachunkowe. — *Ekonom kluczowy*, oficjalista znajdujący się w służbie prywatnej, dozorujący robotników klucza, t. j. dóbr prywatnych. — *Pleban*, proboszcz wiejski, przełożony nad parafją. — *Kucja*. Potrawa ta składa się z grubej kaszy jęczmiennej, zwanej pęcakiem, pęcakiem, pomieszanej z makiem i miodem. — *Gęśle*, instrument muzyczny

o trzech metalowych strunach. — *Kolędować*, śpiewać pieśni na Boże Narodzenie, kolędy (z łac. *Calendae, arum* = pierwszy dzień miesiąca). — *Aniol i t. d.* Jedna z najstarszych kolęd, znana już na początku XVI wieku, może przekład z łaciny. — *Słucz*, rzeka na Wołyniu, wpada do Horynia. — *Sanny*, przymiotnik starop. od sanie. Droga sanna, droga, usłana śniegiem. — *Malinnik*, starop. maliniak, trunek z malin. — *Węgrzyn*, wino węgierskie. — *Wojski*, urzędnik, czuwający nad bezpieczeństwem w województwie albo ziemi i zastępujący kasztelana, gdy szlachta wyruszyła na wojnę, opiekujący się jej pozostałymi w domu rodzinami. — *W żłobie leży* jest również jedną z dawniejszych kolęd, śpiewaną na nutę poloneza z XVII wieku. — *Narodowego*, poloneza. O polonezie patrz dalej. — *Szafować co lub czego* starop., dziś czem, dawać, wydawać, dawać hojnie. — *Namiestnik*, oficer, zastępujący rotmistrza. W końcu XVIII stulecia szwadron, złożony ze 126 ludzi, miał 4 rotmistrzów i 8 oficerów. Sześć szwadronów składało się na brygadę. — *Kościuszkowski* (poloneza). Jeden to z najpopularniejszych polonezów w końcu XVIII i na pocz. XIX w., napisany przez Bracickiego czy Barcickiego. Pierwsze wydanie ukazało się w Poznaniu w dziele »Pieśni i piosnki narodowe« r. 1828. — *Pasterska* (msza), pasterka. Jest to pierwsza z trzech mszy, odprawianych w dzień Bożego Narodzenia. Najczęściej odprawiana o godz. 12 w nocy.

KOLĘDA MAZURSKA GOSPODARSKA.

A wyjdźcie do nos,
Panie gospodarzu,
Co my ci powiewa,
Tym cię uciesywa.

Bo na twoi roli
Złoty płuzik stoi,
A przy tym płuziku
Śtyry konie bronne.

Śtyry konie bronne,
Siodółko cerwone,
Na siodłowym koniu
Som Ponjżesus siedziół.

A za tym płuzikiem
Święty Paweł chodziuł.
Nojświętszo Panienska
Śniodonko mu niesie.

»Siądźcie, Pawle, siądźcie,
Siądźcie, pośniodojcie«.

»Śniodać nie będziewa,
Skibki doorzewa«.

Skibki doorali,
Siedli, pośniodali;
Po śniodaniu byli,
Tak sobie radzili:

»Cóż będziewa sioli
Na ty złoty roli?
Zytko i psenicę,
Proso, kukurydzkę.

»Na tym stajonecku
Trzysta kopek stanie,
Panie gospodarzu,
Wyżryżse na nie.

»Będzies gospodarzem
Między kopeckami,
Jak miesiąc na niebie
Między gwiozdeckami«.

Hej, nom, hej! Panie gospodarzu,
raccie się przebudzić,

Hej, nom, hej! raccie się przebudzić,
piosenki posłuchać;

Hej, nom, hej! boć nasa piosnecka,
a wom kolędecka,

Hej, nom, hej! boć my se ją zasłużyli,

Hej, nom, hej! i Panem Jezusem przytwierdzili.

Hej, nom, hej! Odżałuj ochoty,
buchnij srebrny złoty!

Objaśnienia: *Kolędą gospodarską* nazywa się u ludu mazurskiego kolęda, śpiewana przez parobków i uboższych gospodarzy gospodarzom zamożniejszym w noc drugiego dnia Bożego Narodzenia. — *Powiewa, uciesywa*, forma liczby podwójnej. — *Konie bronne*, brone, brunne, gniade, zbliżone maścią do koloru brunatnego, a może konie, zaprzęgane do brony. — *Siodłowy koń*, z pary koni u wozu koń po lewej ręce, na którym jeździec siedzi. — *Skiba* podłużny pas ziemi wzdłuż całego pola między dwiema brózdami. — *Stajanecko*, stajanie, kawalek pola uprawnego, przestrzeń pola, po której zaoraniu oracz zawraca, by nowe stajanie, t. j. taką samą przestrzeń orać. — *Kopieczka* zdrobniałe od kopa. Kopa, sześćdziesiąt sztuk czegokolwiek, tu sześćdziesiąt snopków, wiązek zboża, złożonych razem. — *Wom kolędecka*. Kolęda oznacza także dary, dawane na Boże Narodzenie, tu więc = a twoim obowiązkiem dać kolędę. — *Odżałować ochoty*, nie żałować, nie szczerzyć gościnności, zabawy. — *Buchnij, rzuć*.

KULIG.

O tem, jak urządzać kulig, umawiano się zawczasu, nim jeszcze śniegi okryły ziemię, a do narad nad koleją kuligową przyczyniały się dziewczęta, czasem i matki, lubiące jeszcze potańczyć. Nietrudny był wybór domów, do których zjechać miano, bo cały powiat, całe nieraz województwo żyło z sobą jako jedna rodzina szlachecka, wiedząc o sobie, biorąc udział w szczęściu i niedoli każdego. Otwartością i miłością sąsiedzką stało dawne nasze życie, uprzejmością i gościnnością wszelka zabawa, więc przy takich warunkach usuwały się łatwo zawody, nie narażono się nikomu, podobano wszędzie. Młodzież w kształtnych zaprzęgach zjeżdżała się do swego przywódcy, tam zwolywano muzykę, i gdy już wszystko było gotowe, obsyłano po domach laskę z kulą u wierzchu, która zwolywała kulig (albo kulik) i wyprawiano arlekina, a ten z trzepaczką w rękę wpadał do domu, gdzie się najprzód zjechać miano, i śpiewał, skacząc: »Ej, kulig! kulig! kulig!« — poczem znikał. Zjawiała się przeto czem prędzej gospodyni, biegł do piwnicy gospodarz, krzątała się służba, a przy zwykłej zamożności, przy obyczajaju życia otwartego — znajdowało się wkrótce wszystko, czego było potrzeba do przyjęcia swawolnej szarańczw. Wreszcie, jeśli sąsiedzi

przeniknęli, że gdzie czegoś brakować może, to nasyłali po sąsiedzkiej znajomości ten trunków, ów zwierzyny, często też razem z kuligiem zajeżdżały sanie z zapasami, które nieznacznie przechodziły do kuchni, i tak gospodyni, co była w kłopotcie, jak tylu gości uraczyć, później czuła, że jej serce rosło, kiedy się wszystkiego dostatkami znalazło.

Niewszędzie jednak, zwłaszcza do bogatszych, zapasy takie zwożono, licząc na gościnność gospodarza, niezawsze gościnnego. Jeden jegomość, zamożny skąpiec, chcąc się od najazdu uchronić, schował się do gołębnika i drabinę odstawić kazał lokajowi. Kuligowi, przybiegłszy, poczęli po całym domu szukać dziedzica, a nie mogąc go znaleźć, umyślili wrócić. Aż tu ktoś szepnął im, że pan siedzi w gołębniku. Natychmiast też jeden z orszaku każe podać sobie siekierę i zaczyna gołębnik podcinać. Widząc to, pan domu wychylił głowę, kapitulował, gości ucześtować musiał, i zabrany przez towarzystwo, wyruszył z nim na dalszy objazd po sąsiadach.

Jeżeli był kłopot o nocleg, to, pomieściwszy kobiety we dworze i na folwarku, mężczyźni szli spać do proboszcza, do karczmy — i każde przyjęcie zdawało się doskonałem, bo z jednej i drugiej strony była dobra wola, a dobry humor przyprawiał zabawę.

Przyjeżdżano ze zmrokiem w towarzystwie hucznej muzyki, głozonej przecież śmiechem, przy świetle kagańców i pochodni, od których lśniły się drzewa i lasy, nastrzępione śniegiem lub srebrem szronu oblane. Zdała słyhać było orszak po tętencie koni, po brzęku kólek u pasów krakowskich, po jednorazowym w takt trzaskaniu biczów. Wjeżdżano galopem na podwórze: podwoiło się trzaskanie, głośniejsz zahuczała muzyka, wybuchły naraz śmiechy i wiwaty, a z jaśniejszego rzęsienie dworu wychodził gospodarz i gospodyni, witając uprzejmie kuligowe towarzystwo, pan klucz od piwnicy, pani klucze od spiżarni przewodnikowi kuligu oddając. We dworze znajdowano już dziewczęta, które z kuligiem nie zjechały, więc mężczyźni, wychyliwszy pierwsze zdrowie na cześć gospodarstwa, puszczały się rażno w taniec krakowiaka.

Ileż to miłych scen, ile spotkań radosnych, ile okazji przy wesoleści i zabawie do zawiązania stosunków, do skojarzenia się par, do załatwienia interesów, pogodzenia niechęci i złania ich w bratnim kielichu. Często, kiedy młodzież weseliła się, starsi, odtanńczywszy p o l s k i e g o, odchodzili do komnaty osobnej, wywiadując się, porozumiewając, naradzając lub decydując to o prywatnych interesach, to o przygodzie, która spotkała sąsiada, to wreszcie o sprawach ziemskich lub ogólnie krajowych. A kiedy częstsza kolej ożywiła rozmowę, odchodziły na bok sprawy poważne, ustępując miejsca

anegdotom i dowcipnym dykteryjkom. Tymczasem matki, siedząc rzędem w sali tanecznej, czyniły przegląd młodych, porównyując ich od ostatniego niewidzenia i śledząc, jak się wśród zabawy serca ku sobie skłaniają.

Zastawiono wieczerzę. Kilkugodzinna na mrozie przejażdżka obok tańca i wesoleści zaostrzyła apetyt: znikaly ze stołu z szybkością niepodobną do wiary ogromne misy zwierzyny, kiełbas, zrazów, szynki, kapusty i delikatniejszych potraw, ciast i cukrów dla kobiet. Krążyły częste kolejki, coraz to nowe proponowano zdrowia, które przyjmowano z aplauzem i duszkiem wychylano, lecz nim się czupryny kurzyć zaczęły, odgłos muzyki zwabiał do tańca rozweselone towarzystwo. Od tych zabaw nie usunął się nikt; dzielił je kapłan, bo on z sąsiadami zawsze dzielił życie obywatelskie, nie omijał ich dygnitarz i choćby najpoważniejszy karmazyn. W poczek tak dostojnym nie znikala zabawa, strzeżono się wszelkiego rodzaju swarów, które, kiedy wybuchły, umiano wnet usmierzać. Przez zamknięte okiennice nie wdzierało się światło dzienne, i zmęczenie dopiero ostrzegało tańczących, iż prze hulano noc aż do dnia białego. Rozchodzono się na krótki spoczynek; tymczasem gospodyni gotowała śniadanie lub obiad, po którym zaraz wybierano się do domu następnego. Czasem przejażdżka po gospodarskich budynkach, czasem łowy na grubszą zwierzynę urozmaicały zabawę. Pobyt miarkowano wedle zamożności gospodarstwa.

Sama droga była jedną z najprzedniejszych uciech kuligowych; po twardym śniegu sunęły żywo sanice, a choć się zdarzył przypadek, nie był niebezpieczny; lekki wywrót nabawiał śmiechu, podwajał wesoleść i dostarczał materji do niewinnych żartów.

Tym samym trybem, jak pierwszym razem, przyjeżdżano do drugiego domu, na każdym wstąpieniu zabierając ze sobą rodzinę gospodarstwa. Tak od domu do domu jeżdżąc, kulig rósł, jak alpejska lawina, a gdzie spadał, to tylko poto, aby wspólnie się ucieszyć, serca obywatelskie do siebie zbliżyć, stary obyczaj zachować. Bywało, iż przez cały karnawał trwała ta hulanka; ci, na których kolej późno przychodziła, zawiadomiwszy zawczasu, iż są gotowi z przyjęciem, łączyli się odrazu z towarzystwem, które uwijało się po okolicy, jakoby grono ślizgających się na lodzie. W ten sposób cały powiat, wsiadłszy na sanie, czynił pospolite ruszenie — zabawy. Im bliżej postu, tem huczniejsza była wesoleść, aż ze wstępną środą roztopniała gromada, i każdy gospodarz z rodziną w swoje odjeżdżał strony, poświęcając dni wielkiego postu spokojności, pracy i modlitwie.

Objaśnienia: *Kulig*, także *kulik*. Zabawa zapustna, połączona z objeżdżaniem gromadnem na sankach domów sąsiedzkich, pochodzi od »kuli«, laski z kulą, którą posyłało od domu do domu jako hasło kuligu. — *Koleją kuligową*, następstwem, w jakim miano objeżdżać sąsiadów. — *Arlekin*, przebrany za arlekina. Arlekin, jedna z komicznych postaci komedji ludowej włoskiej, nosił obcisły strój z różnobarwnych kawałków, na głowie miał mały trójgraniasty kapelusik, na twarzy czarną maskę, przepasany był czarnym pasem. Grywał role służących, zwykle głupi, czasem złośliwy, zawsze wesół i ruchliwy. — *Polskiego*, poloneza, o którym patrz dalej. — *Dykteryjka*, opowiadanie. — *Z aplauzem*, z oznakami zadowolenia, oklaskami. — *Nim się czupryny kurzyć zaczęły*, nim sobie podpito. — *Dygnitarz*, wysoki urzędnik, dostojnik. — *Karmazyn*, starego rodu szlachcic, noszący żupan (noszona pod kontuszem suknia męska w pasie ku tyłowi fałdowana, zapinana na gęste haftki) karmazynowy, t. j. jedwabny szkarłatny, krwisto-czerwony, purpurowy. — *W poczcie*. Poczta, orszak, zgromadzenie. — *Ze wstępną środą*, środą popielcową, popielcem, pierwszym dniem wielkiego postu, zachowywanego na pamiątkę postu Jezusa na puszczy.

KULIG W SANDOMIERSKIEM.

Z Opatowskiego w kierunku Koprzywnicy i złotopszenicznej niziny Powiśla, wskroś jedyne w świecie Sandomierskiego płaskowzgórza, gnał kulig. Łańcuch kilkudziesięciu sań budził całą okolicę radosnym głosem dzwonek, brzmiącym loskotem janczarów, trzaskaniem batów na cztery konie, wrzawą okrzyków, bębnow, fujarek, melodją śpiewów i muzyki. Kilkunastu pajuków rwało na folwarcznych szkapach, trzymając w garściach pochodnie, w ślad za saneczkami arlekina w czarnej masce, zakopanego w wielkie niedźwiedzie, który na czele orszaku pomykał. Blask złotych ogni, w dymie płatami rozdzierających noc, o kilka wiorst na płaszczyźnie widoczny, kładł przed oczy zasy, parowy, urwiska i wskazywał wśród nich przetartą drogę.

Noc była widna, księżycowa, mroźna.

Wielkie śniegi, przemarzłe w tęgich mrozach, leżały pierzastymi zaspami. Tu i owdzie wypełniły po brzegi wawóz, których tyle w tamtej okolicy, gdzie indziej zadęły opłotki, a nawet wioszczyzny, przytulone do urwisk. Mglistemi kępy i drgającemi żywo światelkami znaczyły się dwory na przyczółkach parowów. Konie po brzuchy zapadały w wywary, roznosiły w puch największe zadmy, które ledwie przeorał arlekin. Kulig nie znał przeszkód. Tworząc ogromny korowód, leciały sanie najrozmaitsze. Jedne były sycerskiej roboty, połączone lub posrebrzane, z czasów jeszcze saskich i stanisławowskich, w kształcie łabędzi z długimi szyjami, w kształcie gryfów i orłów, pozaprężane czwórkami w piórach i czubach; inne — zgoła prostackie, ledwie przez domowego cieślę

pomalowane lubryką lub na zielono, a ciągnione przez fornalki rozmaitej maści i wzrostu. Zarówno pyszne cugi, jak chety, z jedną brawurą i życiem rzucały się w zasy, niby czółna w fale jeziora.

Radość kipiała w sercach.

Kapela, złożona z klimontowskich żydków, różnęła od ucha mazury, oberki, krakowiaki, drabanty. Chwilami porywająca melodja przygasiała, jak od zachwyty, co dech zapiera, i tylko z jakiejś głębi, jakby z pod śniegu, dolatywała do uszu i serc. Wtedy odzywały się pieśni. Więc z jednej strony słycać było tkiwe dyszkanty damskie:

»Ścieni dębek, ścieni, już się nie zieleni...

Dałam chłopcu słowo, już się nie odmieni!«

A z innej naigrawały się potężne basy męskie:

»A ja sama nie wiem, co to za przyczyna:

Gustuję w brunecie, wdycham do blondyna«.

Zaraz odcinał się chór paniński:

»Granatowy fraczek, woskowane buty...

Teraźniejsza młodzież same hałamuty«.

I znowu z góry donośnie, siarczyście, zanosiły się skrzypce, basy i flety, głośząc wszystko.

Stefan Żeromski.

Objaśnienia: *Pajuk*, pokojowiec możnego pana, towarzyszący pojazdowi konno, czasem siedząc za powozem albo na koniu z przodu. — *Parowy*, wawozy, głębokie, wąskie, strome doliny. — *Opłotki*, wąskie przejścia pomiędzy dwoma równoległymi płotami, drogi między płotami, płoty przydrożne. — *Na przyczółkach*, przodzie. — *Wywary*, doły, zrobione przez wodę. — *Sycerskiej roboty*, robione przez sycerza, rzeźbiarza. — *Gryfy*, ptaki bajeczne, lwy z głową orła i skrzydłami. — *Lubryka*, czerwona kreda. — *Brawura*, zamaszystość, zuchowatość. — *Klimontowskich*, z Klimontowa. — *Drabant*, dawny taniec, polonez, połączony z mazurem; towarzyszyły mu śpiewy. — *Dyszkanty*, najwyższe, najcieńsze głosy.

PRZYSŁOWIA.

Gość w dom, Bóg w dom. — Sam nie jedz, a gościowi daj. — Jak gościowi radzi, to i jego czeladzi.

O POLONEZIE.

Na opróżniony tron Jagiellonów, otrzymał wezwanie Henryk Walezy. W Krakowie zgotowano przybyszowi z Francji wspaniałe przyjęcie, a że wiedziano, iż młody władca lubuje się w tańcach

i jest w nich mistrzem nielada, postanowiono na jego cześć stworzyć taniec, godny królewskiego majestatu. W czasie uroczystości koronacyjnych dnia 15 lutego 1574 roku, gdy Henryk zasiadł w sali zabaw, ozwały się dźwięki nieznanego tańca, i przed królem przesuwać się zaczął wąż długi, wijący się w niezliczone skręty, w którym tancerze wiedli tancerki za ręce, a każda para, przechodząc przed tronem, składała majestatowi ukłon głęboki. Był to polonez.

Król patrzył zachwycony. Zaledwie taniec się skończył, musiano go rozpocząć na nowo. I odtąd nie było zabawy na zamku królewskim bez danse polonaise. To też, gdy po śmierci Karola IX, króla francuskiego, Walezy wyjechał potajemnie do ojczyzny, aby nie powrócić już do Krakowa, miał zabrać z sobą nuty poloneza, a po wstąpieniu na tron Francji taniec na dworze francuskim zaprowadzić.

Polonez był najpierw tańcem dworskim, później wszedł w użycie u szlachty, a w XIX wieku znalazł przyjęcie, naturalnie w nieco odmiennej formie, i u ludu. W XVIII stuleciu znany wszędzie: we Francji, Anglii, Włoszech, Niemczech, w całej niemal Europie.

Tańczono go zwykle na uroczystościach publicznych i domowych, na kuligach, redutach (szczególniej za Stanisława Augusta), balach, weselach i t. p. Dziś tańczą poloneza tylko przy rozpoczęciu zabawy.

Dawniej bywało inaczej: polonez był tańcem ulubionym, dlatego tańczono go nie raz tylko, jak dziś odniechcienia, ale po kilka razy w czasie jednej zabawy.

Nader wiernie i pięknie opisał ten taniec Liszt.

»Pierwotny układ poloneza dość jest trudny do odgadnięcia, tak się ten taniec podobno z postępem czasu odmienił. Dziś wygląda zupełnie bezbarwnie. Z natury swojej pozbawiony ruchów szybkich, więcej zdaje się być obmyślanym na uwydatnienie raczej okazałości, niż zalotności; stąd raz utraciwszy właściwą sobie powagę, zmienił się w przechadzkę po salonie, najmniejszego nie mającą znaczenia. Nieodłączną jego częścią był strój, dawniej noszony, a z nim właściwa temu strojowi tak zwana fantazja. Już sam krój tego stroju nadawał wdzięk dziś nieznanemu: pochylenia miarowe, nagłe prostowanie się, odrzucanie wylotów, ujmowanie się w pasie, pokręcanie wąsa. Dodajmy do tego zbytek w tkaninach, w żywości barw, w kosztownościach, które błyszczały nawet na kołpakach. Kołpak też w tańcu tym niepoślednią odgrywał rolę: umieć go zdjąć, włożyć znacząco, skłonić się nim swobodnie stanowiło sztukę całą, szczególnie ważną u tego, kto, w pierwszej parze idąc, przewodził całemu ciągnącemu za nim pochodowi.

Bywał to zwykle sam pan domu, towarzyszyła zaś mu nie najpiękniejsza albo najmłodsza, ale przeciwnie, najszanowniejsza z kobiet obecnych, całe bowiem towarzystwo zebrane uczestniczyło w rozpoczęciu zabawy; będącej niejako wspólnym dla wszystkich popisem. Po gospodarzu szły co znakomitsze osoby z towarzyszkami tegoż co one znaczenia. Przewodniczący tymczasem nielada zadanie miał do spełnienia: pochód w tysiącnych skrętach prowadzony być musiał przez każdą najodleglejszą nawet domu komnatę — a tam wszędzie po drodze napotykało się tłumy gości, niecierpliwie czekających na swoją kolej, dopóki co do jednego wszyscy się do orszaku nie przyłączą. Kiedy już komnat nie stało, krążgankami w ogrodowe szło się szpalery, wreszcie w gaje cieniste, kędy muzyka odległością przyciszona, z powrotem coraz znów głośniejsza, triumfalnym wreszcie wybuchem zdawała się w sali głównej witać pierwszą parę. Tak, co krok innych mając widzów, przewodnik tańca w każdej chwili pamiętać był zmuszony, że jest przedmiotem surowej krytyki, naglącej baczenie, czy spełnia i w jaki sposób przyjęte dobrowolnie obowiązki, które dla drugich mają być przykładem.

Przeciągający orszak natrafiał często na urządzone umyślnie niespodzianki: malownicze widoki, obrazy z żywych osób, sztuczne ogniami oświetlone napisy, z okolicznością w związku będące. Im więcej ich było, im rzeczy bardziej nieoczekiwane i nowsze w pomysle, tem żywsza uciecha, tem bardziej wrażenie całe wychodziło na chwałę gospodarza. Jeżeli to był człek już niemłody, zdarzało się, że mu najpiękniejsze panny w imieniu całego towarzystwa, upoważnione od matek, podziękowania za to składały. Przykład jego stawał się zachętą do następnych zabaw, do zjazdów tłumnych, obudzał współzawodnictwo.

Gościnność jednak, jak we wszystkich wtedy czynnościach, tak się i w tańcu tym uwydatniała. Kiedy gospodarz, poprowadziwszy orszak zaproszonych, ze wszech miar zadosyć już uczczeniu ich uczynił, każdy z kolei miał prawo odbić mu jego damę. On wtedy szedł na sam koniec, inni zaś porządkiem poprzednim posuwali się ku przodowi i tak stopniowo, dopóki wszystkie damy nie przetańczyły ze wszystkimi mężczyznami, należącymi do orszaku.

Tymczasem każdy z tych, którzy się naprzód wydostali, starał się poprzedników swoich umiejętnością prowadzenia przewyższyć. Szły tedy coraz niezwyklejsze esy, floresy, czasami nawet całych wyrazów i zdań napisy.

W tych niepoliczonych skrętach, z niezrównaną sztuką dokonywanych nieraz w jednej i tej samej sali, nie było wypadku, żeby

się pochód kiedy przerwał lub poplątał, tak dalece umiano tam wniknąć w zamiary przewodniczących. Jednocześnie nie wolno też było przesuwac się sobie machinalnie, byle zbyć, byle iść za drugimi. Szło się w sposób rytmiczny, zgodnie z muzyką, kołysząc się harmonijnie. Przy zmianach nie wrywano się obcesowo, wszystko szło zgodnie, wspólnem niby porozumieniem. Orszak sunął na podobieństwo łabędzi, płynących z biegiem strugi: zdawało się, że jedno i to samo tchnienie pochyła lub wznosi wszystkie te w przeciągającym wężowemi skrętami szeregu postaci. Mężczyzna podawał damie to prawą rękę, to lewą, niekiedy wiódł ją za ledwie końcami palców, to znów całą dłonią, to na tę, to na tamtą przeprowadzał ją stronę — a każdy taki ruch natychmiast przez wszystkich naśladowany na podobieństwo dreszczu w okamgnieniu przebiegał całą tę ruchomą wstęgę. Pozornie niby całkiem powołaniem swoim zaprzętnięty, tancerz upatrzeć musiał chwilę, w której, pochyliwszy się ku swojej damie, z przyjaznych korzystając okoliczności, niejedno słodkie słówko jej podszeptnął, jeśli była młoda, jeśli zaś nie, to jakie zwierzenie, nowinę ciekawą, uwagę trafną. Następnie zmagła dumnie się prostując, w towarzyszcze odpowiedni okolicznościom nastrojów obudzał.

Jak widzimy, nie była to sobie żadna powszednia, pozbawiona głębszego znaczenia przechadzka, ale raczej pochód ceremonjalny, w którym się niemal uosabiało społeczeństwo całe, podobające sobie we własnym blasku, szlachetności i wspaniałości dworskiej. Tam najsędziwsi i najzasłużeni dziwnie poszukiwani byli przez najślynniejsze swego czasu piękności, które za zaszczyt sobie miały choć jedną życia chwilę i choćby na żart wobec licznych świadków za towarzyszki takich ludzi uchodzić. Wszystkim tam wrodzone upodobanie do okazałości łągodził wdzięk obejścia, ozdabiały odbłaski uczuć szlachetnych.

Pierwotna muzyka polonezów ma wogóle mało wartości dla sztuki. Nikt też nie zna ich autorów, najczęściej noszą one tylko pewne daty lub nazwy osób, których upamiętniają wspomnienie. Dzisiejsza forma muzyczna poloneza wyrobiła się przy końcu XVII i na początku XVIII stulecia. Najdawniejsze polonezy były bez śpiewu, dopiero za czasów Sobieskiego i jego następców pisano polonezy z tekstem do śpiewu lub podkładano słowa pod znane melodie polonezowe.

Największe upodobanie w polonezach miano nietylko w Polsce, lecz i poza jej granicami w XVIII i na początku XIX wieku.

Każdy ze zdolniejszych muzyków, uważał sobie za powinność i największą przyjemność uprawiać ten rodzaj muzyki. Szeroko zasłynęły wówczas u nas polonezy księcia Michała Kleofasa Ogińskiego (1765—1833), twórcy »Mazurka Dąbrowskiego« (1797). Ogół narodu pokochał te melodie, w których znajdował wyraz swych smutków, żalów i tęsknoty. Na okładce jednego z polonezów fantastyczna rycina wyobrażała autora, odbierającego sobie życie wystrzałem z pistoletu. Nie odpowiadając zupełnie prawdzie, ilustracja dobrze charakteryzowała nastrój kompozycji. Z późniejszych upodobał sobie tę formę muzyczną i doprowadził do wysokiego stopnia artyzmu twórca opery polskiej, Stanisław Moniuszko (1819—1872). Potoczyste i zadzierzyste, to znów smętne i zadumane polonezy są najpiękniejszą ozdobą jego oper: »Halki«, »Strasznego dworu«, »Hrabiny« i innych. Pierwsze jednak miejsce pomiędzy kompozytorami polonezów należy się niezaprzeczenie Fryderykowi Szopenowi (1809—1849). Do polonezów Szopena zastosować można to, co Paderewski powiedział wogóle o jego muzyce:

»Zabroniono nam wszystkiego! mowy ojców, wiary przodków, czci dla świętych przeszłości pamiątek, strojów, obyczajów, pieśni narodowych... Zabroniono nam Słowackiego, Krasińskiego, Mickiewicza. Nie zabroniono nam tylko Szopena.

A jednak w Szopenie tkwi wszystko, czego nam wzbroniono: barwne kontusze, pasy złotem lite, posępne czamarki, krakowskie rogatywki, szlacheckich brzęk szabel, naszych kos chłopskich polyski, jęk piersi zranionej, bunt spętanego ducha, krzyże cementarne, przydrożne wiejskie kościołki, modlitwy serc stroskanych, niewoli ból, wolności żal! Przez długie lata udręczeń, męki i prześladowań, przez długie lata — znękanych myśli naszych najtajniejsze nici z nim się wiązały, ku niemu się tuliły zbolełe serca nasze. Ileż on ich ukoił, pokrzepił... a może i nawrócił. Wszak on był i tym przemytnikiem, co w zwitkach nut niewinnych rodakom, po kresach rozszianym, roznosił zakazaną polskość; wszak on był i tym kapłanem, co nas rozproszonych w święty Ojczyzny zaopatrywał sakramentem.

Według O. M. Żukowskiego.

Objaśnienia: *Reduta*, maskarada, bal maskowy, kostjumowy. — *Liszt* Franciszek (1811—1886), wybitny kompozytor i fortepianista węgierski w książce o Szopenie (wydanej w 1852 r.), którego był przyjacielem. — *Fantazja*, żywość, ogień, ochota, wesołość, zamaszystość. — *Wyloty*, rękawy u zwierchniego ubrania, kontusza, które rozcięte od pachy do dołu zarzucono na plecy. — *Kolpak*, czapka, obłożona futrem, dość wysoka, nieco szersza u góry, niż u dołu, lub cylindryczna. — *Krużganki*, ganki, okalające dom,

galerje. — *Szpalerzy*, ściany w ogrodzie z drzew lub krzewów strzyżonych. — *Esy*, *floresy*, *gzygzaki*, linje nieregularne. — *Obcesowo*, gwałtownie, nagle, niespodzianie, natrętnie. — *Ceremonjalny*, uroczysty. — *Podobające sobie w i t. d.*, mające upodobanie, kochające się w czym. — *Paderewski* Ignacy (ur. w 1860 r.), wybitny pianista i kompozytor polski, jeden z najgorętszych, najofiarniejszych patriotów ostatniej doby; przez czas krótki był prezesem ministrów Rzeczypospolitej. — *Złotem lite*, dzierzgane, przetykane niemi złotemi. — *Posępne czamarki*. Czamara, czamarka: a) pierwotnie gatunek długiej sukni męskiej, z rękawami, do ziemi; b) rodzaj sukni męskiej krótszej, z krótszemi rękawami, zapinanej pod szyję, podobnej do żupana, ozdobionej licznymi potrzebami czyli obszyciami na piersiach. Modna za czasów sejmku czteroletniego, noszona była z upodobaniem i po rozbiorach, stąd może zwrot »posępne«. — *Rogatywki*, czapki z dnem kwadratowem.

POLONEZ.

Poloneza czas zacząć. — Podkomorzy rusza,
I zlekka zarzuciwszy wyloty kontusza
I wása podkręcając, podał rękę Zosi,
I skłoniwszy się grzecznie, w pierwszą parę prosi
Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi;
Dano hasło, zaczęto taniec, — on prowadzi.

Nad murawą czerwone połyskują buty,
Bije blask z karabeli, świeci się pas suty,
A on stąpa powoli, niby odniechcenia;
Ale z każdego kroku, z każdego ruszenia
Można tancerza czucia i myśli wyczytać.
Oto stanął, jak gdyby chciał swą damę pytać,
Pochyla ku niej głowę, chce szepnąć do ucha;
Dama głowę odwraca, wstydzi się, nie słucha;
On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,
Dama raczyła spojrzeć, lecz milczy upornie;
On krok zwalnia, oczyma jej spojrzenia śledzi
I zaśmiał się nakoniec, — rad z jej odpowiedzi
Stąpa prędzej, pogląda na rywalów z góry
I swą konfederatkę z czaplinemi pióry
To na czole zawiesza, to nad czołem wstrząsa,
Aż włożył ją na bakier i pokręcił wása
Idzie, — wszyscy zazdroszczą, biegną w jego ślady,
Onby rad ze swą damą wymknąć się z gromady:
Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi
I, żeby mimo przeszli, pokornie ich prosi;
Czasem zamyśla zręcznie na bok się uchylić,
Odmienia drogę, radby towarzyszów zmylić,

Lecz go szybkimi kroki ścigają natręty
I zewsząd obwijają tanecznemi skręty;
Więc gniewa się, prawicę na rękojeść składa,
Jakby rzekł: »Nie dbam o was, zazdrośnikom biada!
Zwraca się z dumą w czole i z wyzwaniem w oku
Prosto w tłum; tłum taneczny nie śmie dostać w kroku,
Ustępują mu z drogi i, zmieniwszy szyki,
Puszczają się znów za nim —

Brzmią zewsząd okrzyki:

»Ach, to może ostatni! Patrzenie, patrzenie, młodzi,
Może ostatni, co tak poloneza wodzi« —
I szły pary po parach hucznie i wesoło;
Rozkręcało się, znowu skręcało się koło,
Jak wąż olbrzymi, w tysiąc łamiący się zwojów;
Mieni się centkowna, różna barwa strojów
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca,
Wyzłocona promieniami zachodniego słońca
I odbita o ciemne murawy wezgłowia.
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

A. Mickiewicz (1798—1855).

Objaśnienia: *Karabela*, szabla krzywa, wąska, cienka i lekka, bogato oprawna, jakiej Polacy używali do stroju uroczystego od czasów Zygmunta I, który chodził z karabelą i pochowany z nią został. Rękojeść karabeli była z pięknego kamienia, spajana nieraz złotemi gwoździemi. Nazwa pochodzić ma od miasta Karbala (niedaleko Bagdadu), w którego okolicy wyrabiano ten rodzaj broni i prowadzono nią rozległy handel. — *Rywal*, współzawodnik. — *Konfederatkę*. Konfederatka, czapka o czterech rogach, wysoka, karmazynowa lub granatowa, czarnym, siwym lub kasztanowatym barankiem obszyta, zawsze na prawe ucho zwieszana. Dodawano do niej dla ozdoby pióro czaple w osadzie srebrnej, a nawet złotej i kamieniami sadzonej. Kształt takich czapek był znany oddawna, ale przyjęty powszechnie przez konfederatów barskich w latach 1768—1771 wziął od nich nazwę. Z czapki takiej przez dodanie do niej daszka nad oczy wytworzył się kaszkiet ułański. — *Na bakier*, na bok. — *Stać w kroku*, nie ustępować.

TRZECI ROZBIÓR.

Z trzech stron wicher srogi,	już Prusak z wież Poznania
z trzech stron idą wrogi,	ostatnie orły zganja.
ach, któż cię już ocali,	
o Kraju ty nasz drogi.	Z trzech stron dmie wichura,
	z trzech chmur jedna chmura,
Już Ostra Brama wzięta,	już gromem piorun bije
już Praga w pień wycięta,	w skrwawione orle pióra!

Już kraj w troje dziela,
już łupem się wesela —
już Polskę rozebrali,
już grób jej kopać dali.

Już kamień ją przywała
Prusaka i Moskala...

Lecz Polska żyje w grobie
i wstanie w wiosny dobie!

Choć oczy jej zamknięte,
choć usta niemo ścięte,
choć ostrzem pierś przebita —
powstanie — gdy zaświta!

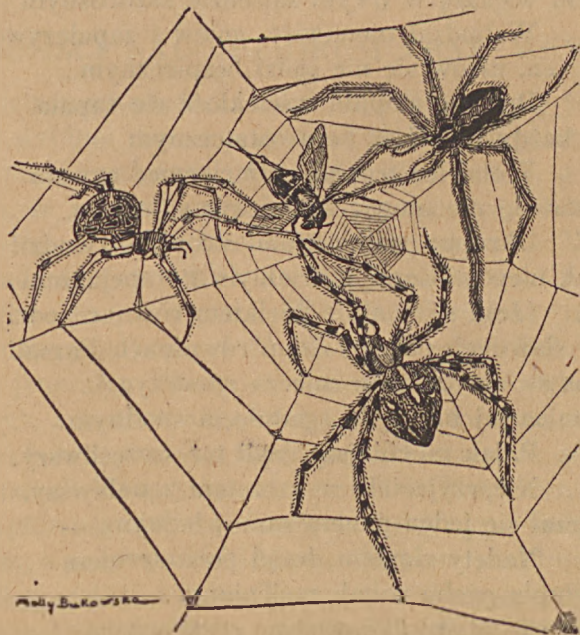
Marja Konopnicka (1846—1910).

Objaśnienia: *Ostra Brama*. Do końca XV w. Wilno było tylko częściowo opasane parkanem drewnianym, wałem ziemnym lub rowem i w razie najścia nieprzyjaciela stało otworem. Gdy pod koniec panowania Aleksandra Jagiellończyka hordy tatarskie pustoszyły Ruś i Litwę i zagroziły Wilnu, król wydał rozkaz opasania miasta murem. W 1503 r. mury, bramy okolne i fosy czyli rowy, napełnione wodą, były skończone i poświęcone. Na bramach obyczajem, przyjętym w miastach średniowiecznych, umieszczono obrazy święte. Bramę Krewską albo Miednicką w tak zwanym Ostrym końcu miasta, później Ostrą bramą przezwaną, ozdobił obraz Najświętszej Panny. Gdy wskutek wpływów atmosferycznych obraz uległ zniszczeniu, miasto obstało w drugiej połowie XVI w. u nieznanego nam dzisiaj malarza nowy, wzorowany na dawnym. W drugiej połowie XVII w. pogłębiono bramę od strony miasta i na tej posadzce wystawiono drewnianą, otworem zwróconą ku miastu kaplicę, w której umieszczono obraz. Po pożarze na początku XVIII wieku wybudowano murowaną kaplicę, która przetrwała wraz z jedyną bramą Ostrą po dziś dzień. Przez trzy wieki Matka Boska Ostrobramska była opiekunką Wilna i Litwy, pokolenia za pokoleniami składały u jej stóp swe prośby, skargi i dziękczynienia. Jak w Koronie czczono Częstochowską tak na Litwie Najświętszą Pannę Ostrobramską. W roku 1773 papież Klemens XIV nadał kaplicy Ostrobramskiej tytuł publicznej i ustanowił bractwo opieki Najświętszej Panny Marji, a następca jego Pius VI ołtarz tej kaplicy uprzywilejowanym uczynił. — Upadek Wilna nastąpił 12 sierpnia 1794 roku. Przed bramą usypane były wówczas okopy. — *Praga*. Okrutna rzeź mieszkańców Pragi 4 listopada 1794 r., dokonana przez wojsko rosyjskie pod wodzą Suworowa. — *Prusak i t. d.* Wielkopolska należała do Prus od czasów drugiego rozbioru Polski 1793 r. Autorka ma na myśli niszczenie przez Prusaków wszelkich pamiątek polskich i germanizację kraju po upadku powstania Kościuszkowskiego i ostatnim rozbiorze 1795 r.

CZEŚĆ II.

TRZY PAJĄKI I MUCHA.

Niebaczna mucha na własne swe życie
Samopas sobie po izbie latała,
Niebaczna, bo nic na to nie zważała,
Ze ze trzech kątów, a nawet nie skrycie,
Trzy jej pająki żarłoczne i chciwe
Stawiły sidła zdradliwe.
Wkrótce stworzenie skrzydlate
Ślepotę swą niesłychaną
Przez ciężką oplaca stratę:
W gęstych sieciach uwikłaną
Duszą pająki niebogę.



Jeden skrzydło, ten lewą, ów rwie prawą nogę,
Nareszcie kiedy w ostatniej już toni
Nieszczęsna mucha jak może się broni,
Zdraycy pomiędzy siebie ją rozdarli

I w mgnieniu oka pożarli.

Zginęła mucha... lecz żarłoczność chciawą

Łupem jej zbójcy bardziej rozdrażnili...

Cóż się więc stało? — Po niejakej chwili

Naprzód zaczęli patrzeć na się krzywo,

Potem nie wiedzieć z pozoru jakiego

Dwóch się łączy na trzeciego,

Ten i ów z siły całemi nań wpada,

Zwycięża, zwala i zjada.

Każdyby przysiągł, że pająki srogie,

Nietylko muchę niebogę,

Ale własnego zjadłszy nawet brata,

Nie będą klócić zakątnego świata,

Lecz syte pastwy i krwawego boju

Życ zacząną w zgodzie i długim pokoju.

O, jak się myli, kto podobnie wnosi!

Nie wie, że pyszny równego nie znosi.

Jakoż im każdy po zwycięstwie głośnem

Wzniósł się w powagę, siły i szczęśliwość,

Tem większą w owym sąsiedzie zazdrosnym

Wzbudzał nienawiść, gniew i zapalczywość.

Ni ten, ni ów się nie sądzi bezpiecznym...

Do tego stopnia wściekłość się zapala,

Iż każdy raczej w boju ostatecznym

Wolał lec trupem, niż cierpieć rywala.

Spór się nie mogąc zakończyć sojuszem,

Okropna walka z obu stron się zwodzi!

Tak niegdyś Cezar z dzielnym Pompejuszem

(Jeśli się małe z wielkiem równać godzi)

W sławnych po dziś dzień równinach Farsali

Los świata ostrzem miecza rozstrzygali.

Koniec tej bitwy do zgadnięcia snadnym:

Pająk mocniejszy czyli też szczęśliwszy,

Nieprzyjaciela ze szczętem zgębiwszy,

Ujrzał się jeden panem samowładnym. —

Nadęty ciąglem dotąd powodzeniem

I głupią pychą robak zaślepiony,

Tak się jął chlubić, siedząc rozkraczony:

»Świat się uciszył pod mojem ramieniem.

Kędy się izba kończy i zaczyna,

Gdzie spojrzę, wszystko moja pajęczyna.

I cóż położy potędze mej tamę?!
Niczem przede mną nawet bogi same!

Jam jeden tylko i mądry, i dzielny,

Niczwyciężony, nawet... nieśmiertelny!...«

Kiedy tak bluźni, dziewczyna służąca,

Przypadkiem pokój ów zamiatająca,

Widzi ścianę, okrytą pajęczem rozpięciem,

Natychmiast jednym miotły pociągnięciem

Pogromcę świata bez litości gniecie

I wraz z państwem przez okno wyrzuca na śmiecie.

Juljan Ursyn Niemcewicz (1757—1841).

Objaśnienia: *Samopas*, swobodnie, wałęsając się. — *Pastwa*, jadło, pożywienie. — *Sojusz*, zgodny związek, zgodne współzycie. — *Spór się nie mogąc i t. d.*, galicyzm (La querelle ne pouvant être terminée par l'alliance un combat cruel s'engage de part et d'autre) zamiast: ponieważ spór nie mógł się zakończyć sojuszem, z obu stron zwodzi się okropna walka. — *Farsala*, miasto w Grecji w Tesalji; na równinach farsalskich Cezar, dążący do osiągnięcia władzy w Rzymie, rozbił doszczętnie wojska swego przeciwnika, wodza stronnictwa arystokratycznego Pompejusza w r. 48 przed Chrystusem. Pompejusz uciekł do Egiptu, lecz tu został zamordowany. — *Los świata* = los Rzymu, a jednocześnie świata, któremu Rzym panował. — *Snadny*, łatwy.

LEGJONIŚCI NAD JEZIOREM TRAZYMEŃSKIM.

Po wielu pochodach zaszli na północny brzeg jeziora Trazymeńskiego. Kapitan Amira przywołał Marka i zapytał, czy wie, jakie wspomnienie związane jest z tą miejscowością, a po odpowiedzi chłopca, że tak jest, polecił mu, by opowiedział żołnierzom ze swej kompanji o bitwie Hannibala z Rzymianami. Marek wywiązał się z zadania, jak umiał, a chłopcy słuchały go z ciekawością, dziwiąc się, że to już i przed Wielkim Bartkiem (tak nazywano w legji Bonapartego), przed Kościuszką i przed Dąbrowskim »bywały tegie jenerały«. Następnie jednak, chociaż rybacy naznosili mnóstwo ryb, żołnierze nie chcieli ich jeść, mówiąc, że »w tej wodzie za dużo luda namokło«, i próżno im tłumaczono, że od tej bitwy upłynęło przeszło dwa tysiące dwieście lat. Wieczorem odkomenderowano do głównej kwatery dziesięciu żołnierzom z podporucznikiem Krukowskim, a między nimi i Marka. Kwatera znajdowała się w pożątej willi wiejskiej między Torontolą a brzegiem. Jenerał Wielhorski odjechał był do Mantui, ale znajdowali się Dąbrowski, Knia-

ziewicz, szefowie bataljonów, adjutanci, a oprócz nich francuski pułkownik Gautier i Claudio, adjutant generała Rusca, jednego z przywódców wojsk cyzalspińskich. Ponieważ wymarsz w kierunku Orvietto miał nastąpić nazajutrz skoro świt, przeto generałowie chcieli zwiedzić słynne pole bitwy bodaj nocą, eskorta zaś okazała się potrzebną dlatego, że okolica nie była zbyt pewna.

Gdy żołnierze nadeszli, sztab siedział jeszcze na tarasie przy świetle lamp, popijając wino z oplecionych słomą flaszek i paląc fajki. Na stole między flaszkami leżała książka, którą Dąbrowski przykrywał w czasie rozmowy co chwila swoją ogromną dłonią. Pięciu szeregowców stało z każdej strony na schodach, wiodących na taras, oczekując, aż generałom spodoba się wstać, i wówczas Marek usłyszał następującą rozmowę:

— W bitwie nad Trazymenem — mówił Dąbrowski — o mało nie rozstrzygnęły się losy Rzymu, a zatem losy świata. Gdyby Rzym był upadł w walce z Kartagimą, my może bylibyśmy tem, czem jesteśmy, to jest Polakami, ale (tu zwrócił się do Gautiera), ty, obywatelu pułkownika, nie byłbyś Francuzem.

— A to dlaczego? — zapytał żywo Gautier.

Jenerał począł mu tłumaczyć, jaką drogą powstał język i naród francuski, a zarazem wykazywać, że, gdyby Galję zajęli zamiast Rzymian Kartagińczycy albo tylko Germanowie, to wytworzyłaby się z tego jakaś mieszanina zgoła odmienna. Naukowe te wywody nie na wiele się jednak przydały, gdyż Gautier, wysłuchawszy ich, odrzekł z niezachwianem przekonaniem:

— Jenerale, choćby djabli pomieszali się z Gallami, to ja byłbym tak samo Francuzem.

Dąbrowski kiwnął dłonią, poczem, wzięwszy książkę, rzekł:

— Zanim pójdziemy na pole bitwy, możeby dobrze było przeczytać jej opis. Wożę zawsze w swoim żołnierskim mantelzaku kilka książek, a między niemi Liwjusza.

To rzekłszy, podał książkę Drzewieckiemu.

Drzewiecki wziął ją, lecz zanim ją rozłożył i znalazł odpowiedni ustęp, Gautier zapytał go z widoczną obawą:

— Po jakiemu to będzie?

— Po łacinie.

— Powiedz mi tedy, obywatelu, czy wyście byli księżmi w swojej ojczyźnie, czy co?

— Nie, ale w szkołach księża bili nas w skórę, ile wlazło, żeby nas łaciny nauczyć — odpowiedział wesoło Drzewiecki. Poczem popatrzył przymrużonemi oczyma na Marka, stojącego z karabinem u nogi tuż przy wejściu na taras, uśmiechnął się i rzekł:

— Ba, między nami i prości żołnierze umieją po łacinie.

— Obywatel drwisz sobie ze mnie? — oburzył się Gautier.

Na to Drzewiecki skinął na Marka, a gdy ów zbliżył się i wyciągnął po żołniersku, wyjął mu z rąk karabin, a natomiast podał książkę i rzekł:

— Czytaj.

A Dąbrowski, który rad był zawsze pochwalić się swym żołnierzem, dodał:

— Siadaj i czytaj.

Gautier ścisnął zębami cybuch fajki i począł pykać mocno.

Na tarasie uciszyło się, bo jednak wszyscy ciekawi byli usłyszeć nad Trazymenem opis trazymeńskiej bitwy. Zdala dochodziły tylko głosy wartowników. Niebo nad tarasem nabite było gwiazdami; w powietrzu wielki spokój.

Marek spojrział naprzód na rozświetloną toń jeziora, którą widać było doskonale, następnie na lampy, koło których kręciły się śmy nocne, i począł czytać wzruszonym młodym głosem, co następuje:

»Przybywszy do jeziora poprzedniego dnia o zachodzie słońca, Flaminjusz ruszył nazajutrz naprzód, zanim pierwszy brzask rozwidnił okolicę, i nie wysławszy dla jej rozeznania żadnych podjazdów. Gdy po przejściu wawozów kohorty na szerszej nieco równinie poczęły się rozwijać, spostrzegł tylko tych nieprzyjaciół, których miał przed sobą. Zasadzki z tyłu i nad głową uszły całkiem jego bacności. A wtem Kartagińczyk, ujrzawszy, że stało się, czego sobie życzył, i widząc Rzymian, zamkniętych między górami i jeziorem, a zarazem otoczonych przez swe wojska, daje znak wszystkim naraz do ataku. Ci pędzą wprost, jak komu najbliżej. Mgła, gęstsza w dolinie niż na wzgórzach, czyni ów atak bardziej nagłym i niespodziewanym. Kartagińczycy, rozstawieni na wyniosłościach, widzą się lepiej i pędzą w dół jednocześnie. Rzymianin tylko z krzyków, rozlegających się ze wszystkich stron, poznaje, że jest otoczony. Bitwa, nim legjonista zwarł się w szyki, nim za broń chwycił, nim wyciągnął miecze, rozpoczyna się z przodu, z boków, z tyłu.

Wśród ogólnego przerażenia sam tylko konsul serca nie traci, a gdy w zmieszanych szeregach każdy zwraca się w tę stronę, z której dochodzą wrzaski najsrozsze, on, o ile może, zbiera żołnierzy, ustawia szeregi, napomina, rozkazuje stać twardo i walczyć mężnie. »Nie czas — woła — ślubować, nie czas błagać bogów: siła tylko i odwaga może was zbawić. Drogę przez nieprzyjaciół toruje jeno żelazo, a im mniej bojaźni, tem ratunek pewniejszy«. Niestety, wśród wrzasku i skrzętu nie słyszano ni rad, ni rozkazów. Żołnierz nie

mógł odnaleźć swego znaku, swego szeregu, swego miejsca. Przytomności starczyło ledwie do chwycenia za broń. Niektórym zbroja raczej brzemieniem była, niż obroną. W głębokim mroku słuch płużył lepiej od oczu. Więc zwracali wzrok i oblicza w stronę, skąd szły jęki rannych, dźwięk zderzających się zbroi, okrzyki triumfu i trwogi... Tym, co uciekali, zagradzał drogę zbity tłum żołnierzy, tych, co wracali do bitwy, porywał prąd uciekających. Więc, gdy na nic był wszelki wysiłek, gdy z jednej strony góry, z drugiej jezioro, a z tyłu i z przodu nieprzyjaciel — rozumiał Rzymianin, że zbawienie jeno w prawicy i w żelazie. Zaczem nowa rozszalała bitwa: nie taka w ordynku, którą rozpoczyna prymak, a toczą dalej włócznicy i groźne trzeciaki, i nie taka, w której przedchorągiewni biją się w przodku znaków, a za nimi uderza szyk główny, ale bezładna, gdzie żołnierz, walcząc nie w swoim legionie, nie w swej kohorcie i rocie, sam sobie przewodnikiem i wodzem. Tak wielka zaś była zaciekłość wojsk obu, że nikt nie odczuł strasznego trzęsienia ziemi, które zburzyło mnóstwo miast w Italji, góry zrównało z ziemią, odwróciło biegi rzek i wepchnęło w ich koryta fale morskie...«

Marek odetchnął i przerwał, nie wiedząc, czy ma czytać dalej. Słuchali w skupieniu oficerowie; mniej biegły w łacinie Kniaziewicz pochylił głowę i otoczył dłonią ucho, by żadnego słowa nie stracić; pułkownika Gautiera, który był w czasie czytania zasnął, zbudziła cisza, więc począł pykać ze zgasłej fajki, a wreszcie zabrał głos Dąbrowski.

Po francusku już, lubo niezbyt poprawnym językiem, jał opowiadać o śmierci konsula z ręki isumbryjskiego jeźdźca i o ostatniej klęsce Rzymian. Wywołana opowiadaniem złowroga, ale olbrzymia postać Hannibala stanęła jakby żywa przed oczyma słuchaczy, okrutna, nieubłagana, zwycięska. Dąbrowski mówił dalej:

— Nie był to jenjusz, jak Aleksander lub Cezar, albowiem brakło mu wzniosłych pomysłów, które zmieniają życie człowieczeństwa; ale i Aleksander, i Cezar, gdyby im przyszło z nim walczyć, mogliby byli bitwy przegrywać. Nie umiał może myśleć i czynić planów na dłuższe lata, ale natomiast na placu, wobec nieprzyjaciela nikt nie zdołał mu wyrównać. Wspomnijcie, że po bitwie trazymeńskiej przyszły Kanny.

— Tak, jenerale — przerwał Tremo — a jednak na Rzym po Kannach nie uderzył i Rzymu nie zburzył.

— «Umiesz zwyciężać, Hannibalu, korzystać ze zwycięstwa nie umiesz» — zacytował słowa Maharbala Drzewiecki. Poczem dodał:

— Hannibala mogę podziwiać, ale nie mogę się do niego przekonać.

— Przekonać się trudno, — odpowiedział Dąbrowski — albowiem brakło mu nietylko wzniosłych pomysłów, lecz i wspaniałości. Nigdy mu serce nie zadrgało miłosierdziem, nigdy dobrocią. To dusza innej rasy. Ale tę swoją Kartaginę kochał jednak do ostatniego tchu życia, i gdy nadeszła chwila, w której zrozumiał, że na nic trud i cel życia, na nic niesłychane zwycięstwa, że Rzym, tylekroć przez niego zdeptany, triumfuje, a ojczyzna ginie i ginąć musi, wówczas był to człek chyba najbardziej nieszczęsny na ziemi. Widzę go oto jako tułacza na obcej ziemi — po Zamie — i schyłam przed nim głowę, chociaż na Kapitolu nie był i Rzymu nie zburzył.

To powiedziawszy, umilkł i dopiero po chwili rzekł:

— Ale już późno, więc może pójdziemy rzucić okiem na dawne pole bitwy.

Ruszyli wszyscy z wyjątkiem pułkownika Gautiera, który odezwał się z żołnierskim humorem:

— Mój jenerale, Hannibal mógł być wielkim wodzem, ale w Rzymie nie był, a ja byłem, więc idę spać.

I, przyłożywszy palce do skroni, zawrócił na miejscu i poszedł do swej kwatery.

A oni udali się nad jezioro i szli wolnym krokiem, mając przed sobą i za sobą po pięciu żołnierzy. Księżyc wysunął się już z poza Apenin, rozświetlił kortońskie wzgórza i położył się szerokim srebrnym mostem na cichej toni. Noc była jasna jak dzień, żadnego powiewu, i mgły, zwykle nad Trazymenem, nie przesłaniały widoku. Na tle skąpanych w białym niemal blasku zoczy rysowały się czarne wpadliny i wąwozy, w których czaili się swego czasu Kartagińczycy. Oficerowie to zatrzymywali się chwilami dla rozmowy, to szli dalej, rozglądając się dookoła. Niejeden mówił też sobie w duszy: «Hej! gdzieśmy to doszli! Śladami Hannibala aż nad trazymeńskie wody!» I tak myśląc, spoglądali na migające w oddaleniu ogniska polskich biwaków.

Dąbrowski znów zabrał głos, ale mówił cicho, jak się mówi w kościołach albo na cmentarzach:

— Musiało się tu dużo zmienić. Zwietrzało dużo skał, porozsypywały się wzgórza, ale to było tu. Tu piętnaście tysięcy legjonów, cała siła Rzymu, leżało pokotem we krwi.

— A Rzym czekały jeszcze Kanny, — zauważył Kniaziewicz. Tremo zaś rzekł:

— Jednakże się ostał i zwyciężył.

Na to Dąbrowski odkrył głowę, przyłożył dłoń do czoła i trwał tak przez chwilę, a potem począł zwolna mówić:

— Bo nigdzie miłość ojczyzny nie gorzała tak wielkim płomieniem... Nigdzie obywatel nie był tak gotów na śmierć pro aris et focis... Ach, w Rzymie nie mogło być Targowicy, Rzym mógł być zgładzony, ale nie mógł być rozdarty między sąsiadów... Rzym to nie... Polska...

I dalsze słowa uwięzły mu w ustach, a tym, którzy go słuchali, przyniół dusze jakoby niezmierny ciężar. Zapadła cisza — i pochylili się wszystkie głowy. Ściśnięte serca zalała wielka gorycz...

Wtem zdala wśród głuchej nocy doszedł ich na tem trazymeńskim pobojowisku od strony ognisk i biwaków polskich żołnierski głos śpiewający:

»Jeszcze Polska nie umarła,

Póki my żyjemy...«

— Słyszysz, jenerale? — zapytał Tremo.

A Dąbrowski podniósł załzawione oczy ku księżycowi.

— Daj to Bóg! — rzekł.

Henryk Sienkiewicz (1846—1916).

Objaśnienia: *Jeziro Trazymeńskie* (po łac. Lacus Trasimenus, zwane teraz Lago di Perugia) w Toskanji, największe na półwyspie Włoskim, pamiętne zwycięstwem Hannibala nad Rzymianami w 217 r. przed Chr. (Liwjusz ks. XXII, rozdz. 4—6). Hannibal (247—183), syn Hamilkara Barkasa, słynnego wodza Kartagińczyków w pierwszej wojnie punickiej (o Sycylię 264—241). Zaprzyśnięty nienawiści Rzymowi, obwołany naczelnym wodzem, świetnie wykonał plan zmarłego ojca: ujarzmił Hiszpanję i w drugiej wojnie punickiej (218—201) przeszedł Pireneje, południową Galję, w ciągu 15 dni dokonał wywołującej podziw przeprawy przez Alpy, pobił w 218 r. dwie armje rzymskie nad Ticzino i Trebją, w 217 r. trzecią między jeziorem Trazymeńskim i górami Cortona, w 216 r. zadał Rzymianom klęskę w Apulji pod Kannami. W latach następnych szczęście mu już mniej sprzyjało, w 203 opuścił Italję i w Afryce przegrał stanowczą bitwę pod Zamą (202 r.). Po zawarciu upokarzającego pokoju oddał się pracy wewnątrz państwa. Kiedy Rzymianie, obawiając się go, zażądali jego wydania, uciekł w 195 r. do Antjocha, króla syryjskiego, przez Kartagińczyków ogłoszony za banitę; później szukał schronienia u Prusjasza, króla Bitynji, i tu jednak nie czując się bezpiecznym, przeniósł śmierć nad niewolę i zażył trucizny w r. 183. — Na zasadzie pokoju, zawartego przez Napoleona z Austriją w Campo Formio (1797) północne Włochy zostały przetrzymane w Rzeczpospolitą Cisalpińską. Dąbrowski, twórca legjonów polskich we Włoszech, zawarł z rządem, Dyrektorjatem Republiki Cisalpińskiej w listopadzie 1797 układ, którego mocą legjony przechodziły na służbę tej Republiki, przybierając nazwę »Legjonów polskich, posiłkujących Rzeczpospolitą Cisalpińską«. Naczelne dowództwo należało do Jana Henryka Dąbrowskiego (1755—1818); korpus dzielił się na dwa legjony, dowódcą pierwszego był ge-

nerał Karol Kniaziewicz (1762—1842), olbrzym, o nadludzkiej odwadze, uczestnik kampanji 1792 r., powstania Kościuszkowskiego; dowódcą drugiej generał Ksawery Rymkiewicz. W 1798 r. pierwszy legjon został wysłany do Rzymu, miał tam zastąpić zdemoralizowane oddziały francuskie. Bataljon, o którym mówi opowieść, w tej drodze znalazł się nad jeziorem Trazymeńskim. — *Torontola* na północ od jeziora. — *Wielhorski Józef*, generał-major, pierwotnie dowódca pierwszego legjonu, później członek głównego sztabu. — *Mantua*, miasto i twierdza na wyspie rzeki Minczo w północnych Włoszech. — *Szefowie* (z fr.), zwierzchnicy, dowódcy. — *Bataljon*, oddział, składający się z 3 do 10 kompanij. Kompanja = 125 ludzi. — *Adjutanci*, oficerowie, towarzyszący wojskowym wyższego stopnia dla spełniania ich poleceń, rozpowszechniania rozkazów. — *Orvietto*, miasto w Umbrji nad Tybrem na południe od Trazymenu. — *Eskorta* (z fr.), straż ochronna dla bezpieczeństwa w drodze, konwoj. — *Okolica nie była zbyt pewna* wskutek wybuchów nienawiści Włochów za łupiestwa urzędników i generałów francuskich, których wskutek tego musiały zastąpić wojska polskie. — *Z Kartaginą*. Kartagina była założona przez Fenicjan, lud, należący do szczepu semickiego. — *Zgola odmienna*. Naród francuski powstał ze zmieszania się podbitych i opanowanych kulturalnie przez Rzymian Celtów (Gallów) z Germanami (Frankami). — Język francuski powstał z mowy ludu (wojska) rzymskiego, która wyparła mowę Celtów, uległa tylko nieznacznym wpływom mowy zwycięskich Germanów (Franków), ale przechodząc przez usta innego ludu, Celtów, ulegała stopniowo coraz większym zmianom. Z dwóch głównych narzeczy gallo-romańskich (lingua romana = język rzymski) północne wskutek różnych przyczyn rozpowszechniło się (XI—XV w.) i stało językiem warstw wykształconych i literatury. — *Gaius Flaminus*, konsul, wódz Rzymian. W 223 r. pokonał Gallów insubryjskich, zamieszkałych nad rzeką Ticzino, dopływem Po. — *Kohorty*. Legjon miał 10 kohort, oddziałów piechoty, odpowiadających dzisiejszym bataljonom. — *Kartagińczyk*, Hannibal. — *Znaku*. Znakiem legjonu był złoty lub srebrny orzeł z rozpostartymi skrzydłami na drzewcu, manipuły (60—120 ludzi) miały jako znak drzewce z tabliczką metalową i wyobrażeniem rozpostartej dłoni, oddziały weteranów i jazdy miały sztandary. Prócz tych znaków była jeszcze wielka purpurowa chorągiew wodza, którą dawano znak do rozpoczęcia walki. — *Skrzętu*, zamieszania, uwijania się. — *Plużył*, był przydatny, służył. — *Ordynku*, szyku bojowego. — *Prymak*, szyk rzymski manipularny, składał się z trzech linii bojowych: pierwszą tworzyli najmłodsi żołnierze, »kopińnicy« (hastati), drugą oddziały starszych i doświadczonych wojowników, »celniejszych« (principes). Trzecia linja składała się z mniejszych o połowę oddziałów weteranów, »trzeciorzędowych« (triarii), zbrojnych we włócznicie (pilum). Hastati i principes nazywali się antesignani, przedchorągiewni, jako poprzedzający znaki (signa), oddane pod opiekę triarjów. — *Insubryjskiego*, właściwie insubryjskiego. Liwjusz opowiada (XXII, r. VI), że Insubryjczyk Ducarius rzucił się na konsula z okrzykiem: »Oto ten, co wymordował nasze pułki i spustoszył pola i miasta. Czas, abym dał tę ofiarę ceniom ziomek, haniebnie zgładzonych!« Poczem przeszył konsula dzidą. — *Tremo Eljasz*, adjutant Dąbrowskiego. — *Maharbal*, dzielny podkomendny Hannibala. Słowa z ks. XXII rozdz. 51 Historji: »Vincere scis, Hannibal, victoria uti nescis«. — *Biwak* (z fr. bivouac), miejsce obozowania, obozowisko: — *Pro aris et focis* = w obronie ołtarzy i ognisk domowych.

PIEŚŃ LEGJONÓW POLSKICH WE WŁOSZECH.

Jeszcze Polska nie umarła,
 Kiedy my żyjemy,
 Co nam obca moc wydarła,
 Szablą odbijemy.
 Marsz, marsz, Dąbrowski,
 Do Polski z ziemi włoskiej,
 Za Twoim przewodem
 Złączym się z narodem.

Jak Czarniecki do Poznania
 Wracał się przez morze
 Dla ojczyzny ratowania
 Po szwedzkim rozbiore,
 Marsz, marsz i t. d.

Przejdziem Wisłę, przejdziem
 Będziem Polakami, [Wartę,



Dał nam przykład Bonaparte,
 Jak zwyciężać mamy.
 Marsz, marsz i t. d.

Hasłem wszystkich zgoda będzie
 I Ojczyzna nasza.
 Marsz, marsz i t. d.

Niemiec, Moskal nie osiedzie,
 Gdy jąwszy pałasza,

Już tam ociec do swej Basi
 Mówi zapłakany:

»Słuchaj jeno, pono nasi
 Biją w tarabany!«
 Marsz, marsz i t. d.

Mamy raclawickie kosa,
 Kościuszkę Bóg pozwoli!«
 Marsz, marsz i t. d.

Na to wszystkich jedne głosy:
 »Dosyć tej niewoli —

Józef Wybicki (1747—1822).

Objaśnienia: *Pieśń legjonów i t. d.*, taki tytuł nosi »Mazurek Dąbrowskiego« w najdawniejszym tekście, który ma być autografem (pismem własnym) Józefa Wybickiego, dzielnego patrioty, poety, niegdyś konfederata barskiego, później posła na sejm czteroletni, uczestnika powstania Kościuszkow-



skiego i w pięćdziesiątym roku życia nieustrudzonego pomocnika Dąbrowskiego w organizowaniu legjonów. — Co do daty powstania pieśni doniedawna toczyły się spory: jedni przenosili czas powstania na 1799 r., inni cofali go o dwa lata wstecz do roku 1797; ten pogląd zwyciężył. Muzykę skomponował prawdopodobnie Michał Kleofas Ogiński, twórca znanych polonezów. Nie rozstrzygnięto dotychczas zagadnienia, co powstało wcześniej: słowo czy melodia. — *Przez morze.* z Danji 1659. — *Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę.* Według planu

Dąbrowskiego legjony miały przez Chorwację i Węgry iść do Galicji, a stamtąd do Wielkopolski. — *Ociec* starop. i ludowe = ojciec. — *Basi*. Prawdopodobnie autor miał na myśli Barbarę Chłapowską, zaślubioną przez Dąbrowskiego w 1807 r. — *Tarabany*, wielkie bębny. — Ilustracje z rysunków J. Koszaka do »Pieśni«. Książę Józef od 1795 do 1798 bawił w Wiedniu, od 1798 do 1806 częściowo w Warszawie jako człowiek prywatny.

ROK 1812.

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy
O tobie bając, dotąd pieśń o tobie marzy.
Zdawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem.



Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem
Jakieś dziwne przecucie, jak przed świata końcem,
Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne.

Kiedy pierwszy raz bydło wygnano na wiosnę,
Uważano, że, chociaż zgłodniałe i chude,
Nie biegło na ruń, co już umiała grudę,
Lecz kładło się na rolę i schyliwszy głowy
Ryczało albo żuło swój pokarm zimowy.

I wieśniacy, ciągnący na jarzynę plugi,
Nie cieszą się jak zwykle z końca zimy długiej,
Nie śpiewają piosenek, pracują leniwo,
Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo.

Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie
I poglądają z trwogą ku zachodniej stronie,
Jakby z tej strony miał się objawić cud jaki,
I uważają z trwogą wracające ptaki.
Bo już bęcian przyleciał do rodzinnej sosny
I rozpiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;
A za nim, krzykliwemi nadciągnawszy pulki,
Gromadziły się ponad wodami jaskółki
I z ziemi zmarzłej brały błoto na swe domki.
W wieczór słyhać w zaroślach szept ciągnącej słomki,
I stada dzikich gęsi szumią ponad lasem
I znużone na popas spadają z hałasem,
A w głębi ciemnej nieba wciąż jęczą zórawie.
Słyszac to, nocni stróże pytają w obawie,
Skąd w królestwie skrzydlatem tyle zamieszania,
Jaka burza te ptaki tak wcześnie wygania.
Aż oto nowe stada, jakby gilów, siewek
I szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek
Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie:
Konnica! Dziwne stroje, niewidziane bronie!
Pulk za pulkiem, a środkiem, jak stopione śniegi,
Płyną drogami kute żelazem szeregi;
Z lasów czernią się czapki, rząd bagnetów błyska
Roją się niezliczone piechoty mrowiska.

Wszyscy na północ! Rzekłbyś, że w on czas z wyraju
Za ptactwem i lud ruszył do naszego kraju,
Pędzony niepojętą, instynktową mocą.

Konie, ludzie, armaty, orły dniem i nocą
Płyną; na niebie gorą tu i owdzie luno,
Ziemia drży, słyhać, biją stronami pioruny.

Wojna! wojna! Nie było w Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jej huk nie doszedł. Pomiędzy ciemnymi
Puszczami chłop, którego dziady i rodzice
Pomarli, nie wyjrzawszy za lasu granice,
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
Gości innych nie widział oprócz spółleśników,
Teraz widzi: na niebie dziwna luna pała,
W puszczy łoskot — to kula od jakiegoś działa,
Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr, brodacz sędziwy,
Zadrzał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,

Wstaje nawpół, na przednich nogach się opiera,
I potrząsając brodą, zdziwiony spoziera
Na błyskające nagle między łodem zgliszcze:
Był to zbłąkany granat; kręci się, wre, świszczce,
Pękl z hukiem jakby piorun; żubr pierwszy raz w życiu
Zląkł się i uciekł w głębszem schować się ukryciu.

Bitwa! Gdzie? w której stronie? pytają młodzieńce,
Chwytają broń; kobiety wznoszą w niebo ręce;
Wszyscy pewni zwycięstwa wołają ze łzami:
»Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!«

Adam Mickiewicz (1798—1855).

Objaśnienia: Rok 1812. 22 czerwca 1812 Napoleon wypowiedział od kwietnia 1811 przygotowywaną wojnę Rosji. Księstwo Warszawskie, utworzone na podstawie traktatu w Tylży (1807) z małej części ziem dawnej Polski (2,400.000 ludności, po 1809 r. trzy i pół miliona), stanęło po stronie cesarza Francuzów: zwołano sejm nadzwyczajny, zawiązano wśród powszechnego zapachu konfederacji generalną, orzekającą przywrócenie Królestwa Polskiego, i wezwano wszystkie części dawnej Polski do przystąpienia do konfederacji. W zajętem przez Francuzów Wilnie odnowiono unję Litwy z Polską. Napoleon prowadził olbrzymią na owe czasy armję, około 650.000 ludzi, w tem 85.700 Polaków pod wodzą ks. Józefa Poniatowskiego, Dąbrowskiego, Kniaziewicza i innych. Wojna miała być wojną o Polskę, jak głosiła Odezwa Napoleona. — *Zdawna byleś niebieskim oznajmiony cudem.* Mowa o świetnej komecie z r. 1811, odkrytej już w marcu tegoż roku przez astronoma francuskiego Flaugergue'a, obserwowanej i badanej w r. 1811 i 1812 przez Wincentego Wiszniewskiego, Warszawianina, członka Akademii Nauk Petersburskiej; ścisły pod względem naukowym opis tej komety przeczytaj w Panu Tadeuszu ks. VIII, w. 108—119. Ilustracja daje wierne odwzorowanie komety. Komety — są to ciała niebieskie, będące zbiorowiskami, rojami cząstek różnej wielkości, które, zbliżając się do słońca, zróżnicowują często postać na 1) głowę, złożoną z jaśniejszego jądra, oraz mgławiej opony i 2) warkocz, będący zapewne smugą gazów i par, wypływających z jądra, prażonego przez słońce. Komety, obiegające dokoła słońca po torach eliptycznych, zbliżają się do słońca periodycznie; okres obiegu komety z 1811 ma — według obliczeń astronomów — trwać przeszło 3000 lat, zatem powrotu komety z 1811 r. oczekiwać należy w końcu 52 wieku po N. Chr. — *Ruń*, zieleniejące już, ale nie wyrosłe jeszcze zboże. — *Umaid*, pokryć zielonością, ubrać zielenią. — *Gruda*, y, tu ziemia. — *Jarzyna*, y, tu zboże, siane na wiosnę i tegoż roku dojrzewające. — *Na jarzynę*, na uprawę roli pod siew wiosenny. — *Podjezdek*, dka, mały, młody konik, koń włosciański. — *Bocian* zamieszkuje Europę z wyjątkiem Rosji wschodniej; na zimę odlatuje do Afryki północnej aż po Sudan. Przylatuje do nas na św. Józefa (19 marca), czasami nieco później, a około 20 sierpnia stada odlatują. Każda para wraca do swego gniazda, »rodzinnej sosny«. — *Jaskółki*. Do Polski przylatują trzy gatunki: dymówka, olkówka, budujące gniazda z ziemi, brzegówka (grzebówka), budująca gniazdo-norkę ze słomy, piórek w ziemi. Ku końcowi sierpnia zbierają się w niezliczone gromady i w połowie września odlatują do Afryki, aby powrotem swoim w połowie

lub ku końcowi kwietnia zwiastować nam wiosnę. — *Szept ciągnącej słomki*. Słomka, słonka, słała — różnorodność pisowni, wynikająca stąd, że jedni wyprowadzają nazwę od wyrazu »słoma«, ponieważ ptak ma długi i cienki jak słomka dziób, inni od »słońce«, ponieważ ptak o wschodzie i zachodzie słońca wylatuje na t. zw. ciągi; inni wreszcie od »z łak«, że to ptak z łak. Ptak brodzący z rodziny bekasowatych, o długim, cienkim dziobie od 6 do 7 cm.; wierzch ciała ciemno-kasztanowaty, upstrzony plamkami czarnymi lub popielato-szaremi. Długość ptaka od końca dzioba do końca ogona od 34 do 37 cm. Karmi się słonka owadami, drobnymi ślimakami, robakami i t. p. Słonka zamieszkuje całą Europę i Azję, robiąc dwa razy wędrówki z południa na północ wiosną i w odwrotnym kierunku — jesienią. Do nas przylatuje zwykle ze zniknięciem śniegów, w końcu marca, a odlatuje w październiku, a nawet w listopadzie. Słonka trzyma się lasów błotnistych. Charakterystyczną cechą obyczajową tych ptaków są tak zwane »ciągi«, odbywające się wiosną od chwili przylotu słońek. Polegają ciągi na tem, że rano, a szczególnie wieczorem, o zmierzchu, ptaki wylatują nad las i ciągną pewnemi, zwykle stale określonymi smugami, wydając przytem charakterystyczne chrapanie, »szępt«, urozmaicone od czasu do czasu przenikliwym gwizdnięciem. Ciąg wieczorny jest daleko silniejszy od rannego. W początkach kwietnia np. ptaki zaczynają ciągnąć od godz. 7 wieczorem i ciągną do kompletnego zmierzchu. Ciągi odbywają się w ciche, pogodne wieczory. — *Dzikie gęsi*. Najczęściej u nas spotykane: gęś gegawa i gęś posiewnica. Gęś gegawa ma ubarwienie całkowicie szare z jaśniejszymi obwódkami piór, większa od posiewnicy, również szarej. Zamieszkują północ naszego ładu, u nas goszczą przelotnie wiosną i jesienią. — *Gil*. Z rodziny wróblowatych, długości od 15 do 18 cm., głowę ma czarną, wierzch ciała popielaty, czerwono podbity; uciekając przed zimą północy, przylatuje do nas w październiku. — *Siewka*, ptak brodzący, długości mniej więcej 30 cm. z dziobem krótkim, nogami trójpalczastymi. Stary samiec ma wierzch głowy i ciała czarniawy, gęsto usiany żółtymi kropkami. Czolo, brew, boki szyi oraz boki ciała białe; gardziel i spód ciała — czarne. Na zimę przybiera ubarwienie samicy. Samica ma wierzch głowy i ciała czarniawe, upstrzone żółtawymi centkami i kreskami. Spód żółtawy z szarą pstrocizną; podbrzusze czysto białe. Zamieszkuje Europę, Azję i Afrykę północną. U nas pojawia się głównie na przelotach. Wiosną przelatuje przez cały kwiecień i część maja w swej wędrówce ku północy. W powrotnej drodze nalatują już częściowo w czerwcu, a następnie w lipcu i trzymają się nieraz do samych śniegów. — *Szpak*, długości 22 cm., upierzenie czarne z metalicznym połyskiem. Przylot w lutym, marcu, odlot w październiku, listopadzie, niekiedy aż w grudniu. Zdarza się również, iż ptak u nas przezimowuje. — *Dziwne stroje, niewidziane bronie*. Armja Napoleona składała się z wojsk francuskich, polskich, austriackich, pruskich, tworząc pstrą mieszaninę mundurów, uzbrojenia. — *Wszyscy na północ*, właściwie północo-wschód, Mińsk, Smoleńsk. — *Wyraj* w mowie gminnej znaczy właściwie czas jesienny, kiedy ptaki wędrowne odlatują; lecieć na wyraj jest to lecieć w kraje ciepłe. Stąd przenośnie nazywa lud wyrajem kraje ciepłe i w ogólności jakies kraje bajeczne, szczęśliwe, za morzami leżące. (Objaśnienie poety). — *Instyktową mocą*, wewnętrznym, niezrozumiałym popędem. — *Orły*. Od 1804 sztandary wojsk napoleońskich wieńczył orzeł złoty z rozpastartymi skrzydłami; podobnie w wojsku polskiem Księstwa Warszawskiego i dziś orzeł srebrny. — *Żubr* (Bison europaeus), największe zwierzę, zamieszkujące Europę, należy do pařysto-kopytnych przeżuwaczy.

Z kształtu podobny do wolu domowego, tylko nieco większy, wysokość jego bowiem dochodzi do 2 metrów, a długość do 3. Prząd ma nadzwyczaj silnie rozwinięty, a zad stosunkowo słaby, głowa wielka, czoło szerokie, pysk gruby, po bokach czoła osadzone niezbyt duże, półksiężycowate rogi. Oczy duże, czarne, wzrok groźny i ponury. Całe ciało pokryte jest rodzajem miękkiej, krótkiej wełny koloru brązowego w lecie, niemal czarnego w zimie, tylko grzbiet, łukowato do góry wzniesiony, szyja i głowa pokryte są włosiem dłuższym i nieco jaśniejszym, który tworzy pewien rodzaj grzywy, zwanej kądziela, u dolnej zaś szczęki przerasta w brodę dłuższą lub krótszą, stosownie do wieku zwierzęcia i pory roku. Ogon posiada na końcu obfity pendzel, podobnie jak nasze bydło rogate. Z wiosną żubr traci w znacznej części długi włos, pod zimę znowu dłuższym włosiem porasta. Żubry trzymają się stadami po kilkanaście, 30, nawet 40 sztuk, stare samce pędzą zwykle żywot samotny. Uderzają zwykle na wroga (wilk, niedźwiedź) rogami i zabijają. Żubr zamieszkiwał ongi całą środkową i część północnej Europy, są bowiem ślady jego przebywania w Szwecji, na południe sięgał w czasach starożytnych aż po półwysep Bałkański. Stopniowo w miarę tępienia lasów ustępował coraz bardziej na wschód, wiek XIX zostaje już okręg jego zamieszkania zmniejszonym do puszczy Białowieskiej w ziemi grodzieńskiej. Liczba żubrów przechodziła tu różne wahania od 300 sztuk (początek XIX w.) do półtora tysiąca (1851). Wojna ostatnia była dla nich klęską — ocalało zaledwie kilkanaście sztuk. Prawdopodobnie wytępiono doszczętnie żubry w jeszcze jednym ich przytułku — na Kaukazie. Na żubry polowano od niepamiętnych czasów. Juliusz Cezar mówi, że zabicie żubra jest jednym z najchwalebniejszych czynów. Uprawiali też polowanie na tego szlachetnego zwierza królowie polscy, zwłaszcza August III. — Łom, odłamki, ułamki drzewa, gałęzie. — Zgliszcze, tlejące szczątki spalonych drzew, resztki ogniska; tu żarzący się granat. — Granat, pocisk żelazny, wewnątrz wydrażony, przeznaczony do pękania wśród szeregów nieprzyjacielskich. Granaty dzielą się na ręczne i armatnie różnej wielkości. — *Bóg jest z Napoleonem i t. d.* Napoleon I, syn Karola Bonaparte, poważanego korsykańskiego adwokata, przez pewien czas członek królewskiego sądu nadwornego, urodził się 1769 w Ajaccio na Korsyce, skończył szkołę wojskową, w 1785 wstąpił do wojska francuskiego jako podporucznik, talentami wojskowymi w 1794 zdobył stopień generała, w 1796 został mianowany wodzem armii włoskiej, pokonał armję austriacką i sardyńską, utrwalił wpływ Francji w górnych i środkowych Włoszech przez zwycięstwo nad republiką Wenecką, w 1798 wyprawia się do Egiptu, odnosi zwycięstwo nad wojskami Turcji pod piramidami, zdobywa część Syrii, w 1799 staje na czele Francji jako pierwszy konsul, usuwając inne władze, w 1800 zwycięża Austriaków pod Marengo we Włoszech, w 1804 zostaje cesarzem Francuzów, w 1805 bije Austriaków pod Ulm w Wirtembergji, Austriaków i Rosjan pod Austerlitz na Morawach; Prusaków w 1806 pod Jeną w wiel. księstwie Sasko-Wejmarskiem. W 1807 po zwycięstwie nad Rosjanami i Prusakami pod Friedlandem niedaleko Królewca, na mocy traktatu w Tylży (przy ujściu rzeki Tylży do Niemna) tworzy Księstwo Warszawskie. Na wiosnę 1812 podejmuje wielką wyprawę na Rosję, zakończoną strasznym odwrotem, przegrywa wielką trzydniową (16—19 października 1813) bitwę pod Lipskiem z wojskami Austrii, Prus, Anglii i Szwecji, w 1814 zrzeka się tronu, wyjeżdża na wyspę Elbę (na morzu Śródziemnym), którą otrzymał na własność, lecz już w końcu lutego 1815 roku opuszcza ją, by raz jeszcze porwać Francuzów przeciw Austriakom,

Anglikom, Prusakom. Krwawa bitwa pod Waterloo w Belgji 1815 r. kończy się przegraną i wywiezieniem Napoleona na wyspę św. Heleny (na oceanie Atlantyckim), należąca do Anglii. Tu wśród nieustannych przykrości i przesładowań ze strony gubernatora wyspy cesarz Francuzów zakończył życie 5 maja 1821 r.

POGRZEB KSIĘCIA JÓZEFA PONIATOWSKIEGO.

Z pomiędzy bojów i gradów ognistych
Wierna swej sprawie, nieodstępna znaków,
Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych
Garstka Polaków.

Skoro lud spostrzegł, jak wzdęte wiatrami
Białe z czerwonym proporce migają,
Wstrzęsło się miasto radości głosami:

»Nasi wracają!«

Niedługa radość! Każdy pyta chciwie,
Kędyż jest wódz nasz dzielny, okazały,
Co nam tak długo przywodził szczęśliwie
Na polu chwały?

Już go nie widać na czele tych szyków,
Których był kiedyś duszą i ozdobą;
Okryte orły, zbroje wojowników
Czarną żałobą.

Już go nie widać wpośród hufców dzielnych...
Gdzie jest? Czy słyszysz żal wszystkich głęboki?
Patrzaj: złożone na marach śmiertelnych
Rycerza zwłoki.

Te mary, ten wóz, spoczynek po znoju,
Lud wdzięczny łzami oblewa rzewnemi,
Ciągną go wierni towarzysze boju
Piersi własnemi.

Idzie za trumną koń jego waleczny
Z schyloną głową, czarną niosąc zbroję.
Idź, koniu, smutnie! Już pan twój bezpieczny
Zamknął dni swoje.

Żalosne trąby, wy, flety płacziwe,
Wy, srebrne orłów chwiejących się dźwięki,
Umilczcie!... ranią piersi moje tkliwe
Te smętne jęki.

Patrz! Przed świątynią przy światłach gasnących
Porywa młodzież z wozu ciężar drogi
I wnosi wpośród grzmotu dział bijących
W wieczności progi.

Modły kapłanów, braci twoich łkania
Wznoszą się tam, gdzie mieszka Bóg przedwieczny...
Ach, przyjm ostatnie te ich pożegnania,

Wodzu waleczny!

Dzieliłeś z nami ciężkie utrapienia,
Wielkie ofiary, prace bez nagrody
I zamiast słodkich nadziei ziszczenia
Gorzkie zawody.

Tulmy łzy nasze: już jesteś szczęśliwy,
Kto za ojczyznę walczył, poległ śmiały,
Już temu wieniec dał Bóg sprawiedliwy
Wieczystej chwały.

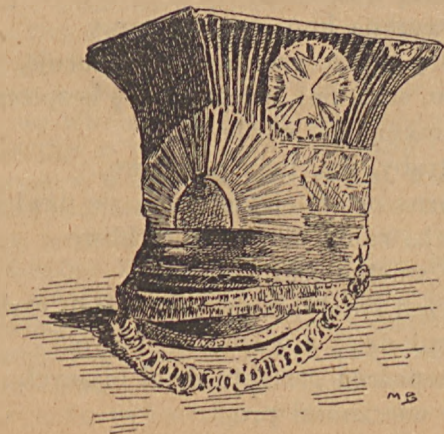
Wdzięczni ziomkowie, ceniąc zgon i życie,
Nie dadzą wiekom zatrzeć twoich czynów.
Wzniosą grób pyszny, zawieszą na szczycie
Wieniec wawrzynów.

Wyryją na nim, jak, w ostatniej toni
Śmierć nad nadzieje przenosząc zgubione,
Runąłeś z koniem i orężem w dłoni
W nurty spienione.

Posąg twój będzie lud otaczał mnogi;
Ten napis twarde zachowają głazy:
»Tu leży rycerz, co walczył bez trwogi
I żył bez skazy«.

Tam żołnierz, pełen rycerskiej ochoty,
Zaostrzy oręż o krawędź tej tarczy,
Pewien, że przez to, nabywszy twej cnoty,
Tysiącom starczy.

Juljan Ursyn Niemcewicz (1757—1841).



Objaśnienia: *Pogrzeb i t. d.* Juljana Ursyna Niemcewicza drukowano po raz pierwszy w gazetach warszawskich z 24 września 1814, później przedrukowano w »Śpiewach historycznych«. — *Z pomiędzy bojów i gradów ognistych.* Wojsko polskie walczyło do ostatka w obronie Francji i cesarza; jeszcze 30 marca 1814 bronilo Paryża i ginęło po bohatersku, gdy już 4 kwietnia Napoleon zrzekł się tronu. — *Nieodstępna znaków*, nie odstupująca sztandarów. — *Wolnym krokiem*, idąc za zwłokami. — *Garstka Polaków.* Podczas wojny 1813 r. ogółem było wojska polskiego czterdzieści kilka tysięcy. Po bitwie pod Lipskiem armja ta zmalała do połowy, przed zajęciem stolicy Francji przez sprzymierzonych bronilo odwrotu Cesarza w ostatnich chwilach około 6.000, z tego ocalała »garstka«. Artykuł 19 traktatu paryskiego, na mocy którego Napoleon zrzekł się tronu, głosił: »Wojska polskie wszelkiej broni, zostające na służbie Francji, będą mieć wolność powrotu do domów, zachowując broń i bagaże, a to w dowód ich zaszczytnej służby. Oficerowie, podoficerowie i żołnierze zachowują udzielone im dekoracje, ordery i pensje, do nich przywiązane«. — *Proporzec*, rca, chorągiewka, chorągiew, sztandar. — *Rycerza zwłoki.* Ks. Józef zginął w nurtach Elstery pod Lipskiem w Saksonji 19 października 1813 roku. Zwycięzca, cesarz Rosji Aleksander I, narazie odmówił pozwolenia na sprowadzenie zwłok księcia do Warszawy, jednakże 24 maja 1814 r. wyraził swą zgodę. Zwłoki nabalsamowane (zabezpieczone od zepsucia), zamknięte w dwóch trumnach: miedzianej i cynowej, i złożone w dębowej skrzyni ustawiono na obszernym karawanie, który wyruszył z Lipska 7 lipca 1814. Wojsko rosyjskie oddało ciału honory wojskowe. Przez Poznań, Kutno, Łowicz zwłoki w otoczeniu wojska polskiego wieziono do Warszawy, do której orszak żałobny przybył 9 września 1814 r. Z Woli orszak posuwał się przez Leszno, Długą, Miodową, Senatorską. — *Ciągną go wierni i t. d.* Na Krakowskim Przedmieściu wyprężono konie, i karawan pociągnęli towarzysze broni zmarłego, generał Krasieński z oficerami. — *Porywa młodzież i t. d.* W istocie trumnę wnieśli do górnego kościoła św. Krzyża ministrowie i generałowie. — *Modły kapłanów i t. d.* 10 września odbyło się wielkie nabożeństwo żałobne, po którym wyżsi oficerowie i pułkownicy przenieśli trumnę do kościoła dolnego na wieczny spoczynek. Stąd w 1817 r. uroczyście przewieziono zwłoki do Krakowa i 23 lipca złożono w grobach królewskich na Wawelu. — *Wawrzyn*, drzewo albo krzew o liściach lancetowatych, skórzastych, w starożytności poświęcony Apollonowi, bogu światła, opiekunowi sztuk, był nagrodą poetów, zwycięzców. — *Ilustracja.* Czapka ulańska ks. Józefa.

NA SPROWADZENIE PROCHÓW NAPOLEONA.

I wydarto go z ziemi — popiołem,
I wydarto go wierzbie płaczącej,
Gdzie sam leżał ze sławy aniołem,
Gdzie sam leżał, nie w purpurze błyszczącej,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu jak na krzyżu rozbity.

Powiedz, jakim znalazłeś go w grobie,
Królewiczu, dowódco korabli?

Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie,
Czy z rąk jedną miał przez sen na szabli?
A gdyś kamień z mogiły podźwignął,
Powiedz, czy trup zadrżał, czy się wzdrygnął?

On przeczuwał, że przyjdzie godzina,
Co mu kamień grobowy rozkruszy,
Ale myślał, że ręka go syna
W tym grobowcu podźwignie i ruszy,
I łańcuchy zeń zdejmie zabojcze
I na ojca proch zawoła: — Ojczel!

Ale przyszli go z grobu wyciągać,
Obce twarze zajrzały do lochu;
I zaczęli prochowi urągać,
I zaczęli nań wołać: — Wstań, prochu!
Potem wzięli tę trochę zgnilizny
I spytali — czy chce do ojczyzny.

Szumcie, szumcie więc morza lazury,
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!
Piramidy! wstępujcie na góry
I patrzajcie nań wieków oczyma.
Tam! — na morzach! — mew gromadka szara
To jest flota z popiołmi Cezara.

Z tronów patrzą szatany przestępne,
Car wygląda błady z poza lodów,
Orły siedzą na trumnie posępne,
I ze skrzydeł krew trzęsą narodów.
Orły, niegdyś zdobywcze i dumne,
Już nie patrzą na słońce — lecz w trumnę.

Prochu! prochu, o leż ty spokojny,
Gdy usłyszysz trąby wśród odmětu,
Bo nie będzie to hasło do wojny,
Ale hasło pacierzy — lamentu...
Raz ostatni hetmanisz ty roty!
I zwyciężysz — zwycięstwem Golgoty.

Ale nigdy, o nigdy, choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę naga,
Nigdy, nigdy nie szedłeś wśród jęku
Z tak ogromną bezśmiertnych powaga

I mocą — i z tak dumnym obliczem,
Jak dziś, wielki! gdy wracasz tu niczem.

Juljusz Słowacki (1809—1849).

Objaśnienia: *Na sprowadzenie prochów Napoleona*. Od r. 1830 różne osoby składały w parlamencie francuskim pisma, domagające się przewiezienia zwłok cesarza do Francji, wreszcie w r. 1840 rząd francuski zwrócił się do angielskiego o zezwolenie na przewiezienie ciała Napoleona z wyspy św. Heleny, na której cesarz jako wygnaniec spędził ostatnie lata życia od 15 października 1815 r. do 1821. Po natychmiastowym uzyskaniu przychylniej odpowiedzi rządu angielskiego, który zgodnie z uczuciami Francji zrozumiał, że przyczynia się tem do załagodzenia stosunków między obu narodami, 12 maja 1840 r. minister spraw wewnętrznych przedstawił w Izbie deputowanych (posłów) projekt przewiezienia zwłok Napoleona i na miejsce wiecznego spoczynku przeznaczył mu kościół Inwalidów przy pałacu Inwalidów (weteranów), wybudowanym w r. 1640. 6 lipca z Tulonu, obszernego portu wojennego nad morzem Śródziemnym, pod wodzą księcia de Joinville, syna króla Ludwika-Filipa (1830—1848), wyruszyły ku brzegom wyspy: zasłużona fregata (wielki okręt żaglowy o 3 masztach) bojowa »La Belle-Poule« i mniejszy okręt dwuzaglowy korweta »La Favorite«; 8 października oba statki przybiły do wyspy. Po zabranii zwłok, okręty przybyły d. 30 października do Cherbourga, portu wojennego francuskiego w kanale La Manche, stąd na pokładzie parowca »La Normandie« trumna wpłynęła na Sekwanę, gdzie o trzy mile od miasta Rouen przeniesiono ją na statek floty wyższej Sekwany »La Dorade«, który też przywiózł ją do Paryża 15 grudnia 1840 r. Tłumy ludności towarzyszyły tej ostatniej wędrowce prochów Napoleona na ziemi francuskiej, wyrażając swoją czesć, miłość, smutek i radość z powodu odzyskania drogich szczątków. Uroczystości pogrzebowe odpowiadały wielkości uczuć narodu. — *Wierzbie placzącej*. Grób Napoleona na wyspie św. Heleny znajdował się w dolinie, zwanej »Doliną bodziszków« (geranium), później »Doliną Napoleona«, lub »Doliną mogiły«. Grobowiec, przykryty balami drewnianymi, okolony rzędem białych kamieni i wąskim rąbkiem kwiatów, ocieniały pierwotnie umyślnie zasadzone dwie wierzby; później, gdy jedna z nich uschła, posadzono jeszcze osiemnaście. Wierzby i grobowiec otaczało żelazne ogrodzenie, nazewnątrz którego posadzono drzewa cyprysowe i naokoło nich ustawiono niski płot drewniany. — *Plaszczem żołnierskim spowity*. Zwłoki cesarza złożono do trumny w pełnym ubraniu pułkownika strzelców gwardji. Gwardja — wyborowe oddziały wojska rozmaitej broni. — *Królewiczu*. Ks. de Joinville, syn Ludwika-Filipa. — *Korabl strp. okręt*. — *Syna*. Napoleon Franciszek Józef Karol, książę Reichstadtzki, (Reichstadt od 1818 księstwo w Czechach), jedyny syn Napoleona I i Marji Ludwiki, arcyksiężniczki austriackiej. Urodził się 1811 w Paryżu, otrzymał tytuł króla Rzymu. Po abdykacji cesarza Napoleona sprowadzony z matką do Schönbrunnu pod Wiedniem, wychowywał się tu pod okiem dziadka, cesarza Franciszka, zmarł na suchoty r. 1832. — *Obce twarze zajrzały do lochu*. Trumna, a raczej cztery trumny: mahoniowa, ołowiana, mahoniowa i blaszana, zawierająca zwłoki, spoczywała w kamiennym grobowcu pod ziemią, nakrytym płytą kamienną i ceglami, mocno spojonymi cementem. Rozkopywania ziemi i rozbijania przykrycia lochu dokonali żołnierze angielscy. Wśród osób, obecnych przy wydobywaniu trumny, znajdowali się przedstawiciele rządu angielskiego, francuskiego i nieliczna garstka ludzi, dawniej

zbliżona do cesarza. — *Piramidy i t. d.* Pod Piramidami na lewym brzegu Nilu, naprzeciw stolicy Egiptu Kairu po prawej stronie Nilu, stoczył Napoleon zwycięską bitwę z manelukami, rodzajem konnej milicji turecko-egipskiej. W przemówieniu, zwróconem do wojska przed walką, powiedział: »Z wierzchołków tych piramid spogląda na was 40 wieków«. Piramidy są to budowle, wznoszone nad podziemnymi grobowcami dawnych królów egipskich i ich rodzin w kształcie olbrzymich ostrosłupów o kwadratowej lub prostokątnej podstawie. Największa z nich, piramida Chufu, po grecku Cheopsa, wzniesiona została mniej więcej na 3100 lat przed Chrystusem. Za czasów Napoleona znajomość tych faktów była znacznie mniej ścisła. — *Mewa*, ptak z rzędu pływających, długości od 28 do 75 cm., o dziobie miernym ze szczytem w końcu hakowato zakrzywionym, nogach miernych, których przednie palce spięte błoną, skrzydłach długich, wąskich. Żyje na pobrzeżach mórz całego świata, na czas lęgowy udają się na słodkie śródlądowe jeziora. — *Flota*, pewna liczba okrętów, złączona pod jednym dowództwem. Wspomnianym dwóm okrętom towarzyszył bryg, statek żaglowy o dwóch masztach »L'Orestes«. — *Popiołmi* narzęd. strp. — *Cezara*. Cezar (Cajus Juljus Caesar) (100 przed N. Chr.), jeden z najwybitniejszych mężów starożytności, najwybitniejszy Rzymianin, mówca, pisarz, wojownik i polityk, szybko zdobywa konsul, pierwsze w Rzymie stanowisko, w r. 59 przed Chr.; otrzymawszy potem rządy w Galji, podbił ją, zwyciężył swoich współzawodników i przeciwników, arystokratów i republikanów z Pompejuszem na czele, zagarnął władzę najwyższą, obdarzony tytułem imperatora. Zamordowany został przez stronników rzeczypospolitej 44 r. przed Chr. — *Szatany przestępne*, panujący ówczesni. W Anglii panowała naówczas królowa Wiktorja I (1837—1901), w Austrii Ferdynand I (1835—1848), w Prusach Fryderyk Wilhelm IV (1840—1861). *Przestępne*, występne. — *Car* Mikolaj I (1825—1855). — *Lament*, żal, skarga, płacz. — *Helmanic rotly*, dowodzić rotami. — *Swiat*, jabłko, kula złocista z krzyżem na wierzchu, wyobrażająca świat, godło władzy królewskiej i cesarskiej.

TRĘBACZ MIEJSKI.

Uczęszczając do szkół lubelskich w pierwszej połowie ubiegłego stulecia, pamiętam typy, znane podówczas w całym mieście, a takie oryginalne, że próżnoby się ich w dzisiejszem pokoleniu szukało.

Na ich czele był tak zwany trębacz miejski. Mały, krępy, poczciwy, a tem śmieszniejszy, im większą nadawał sobie powagę, nosił on jakiś półurzędowy długi ciemno-zielony surdut, spięty na kilka mosiężnych guzików z herbem miasta, i czapę wysoką w formie konfederatki, obwieszoną zielonym lampasem i opatrzoną w olbrzymi daszek, który mu bezkarnie patrzeć nawet na słońce pozwalał.

Z nieodstępną trąbką w ręku i zwojem papierów pod pachą, obwieszczał on ludowi wszelkie rozporządzenia sławetnego magistratu miasta Lublina, policji i innych władz miejscowych, wszelkie licytacje ruchomości, sprzedawanych za zaległe należności skar-

bowe, wszelkie dostawy, przedsiębiorstwa rządowe i inne tego rodzaju wiadomości.

Na znany w całym mieście sygnał, płynący z mocno już przędętej trąbki, zbiegały się wkoło niego rzesze ciekawej gawiedzi, waleśających się próżniaków, kucharek, powracających z targu, drwali, wyrobników, uliczników i przechodniów przez placyki, na których się on kolejno zatrzymywał.

Kiedy już gromadka urosła do kilkudziesięciu ludzi, trębacz nakładał okulary na koniec mocno zaczerwienionego nosa i, odalając dokument urzędowy na długość obydwóch rąk swoich, głosem chrapliwym odczytywał komunikat bieżącej doby.

Za przechodzącym na inną ulicę snuł się ogon miejscowych gawroszów i żydków, żądnych ponownego odczytania tej ciekawej publikacji, z której żaden słowa jednego nie rozumiał.

Ów znany trębacz był zarazem stróżem bezpieczeństwa publicznego w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu.

Zamieszkiwał on jak puszczyk wierzchołek starej wieży Krakowskiej, obwiedzionej dokoła ganeczkami, z którego całe miasto wraz z przedmieściami widzieć mógł zawsze jak na dłoni. Stamtąd, poczynając od godziny 10-tej wieczorem, otrębywał on każdą dalszą godzinę aż do rana, a hejnał ten był uspokojeniem mieszkańców, dowodził bowiem, że dobry duch trębacza czuwa ustawicznie nad nimi.

Ilekróć słup czarnego dymu wzbil się z komina, zwiastując początek pożaru, trębacz spuszczał zegar wieżowy, t. j. nastawiał dzwon zegarowy na alarm w sposób taki, że bił on prawie bez końca, a przynajmniej tak długo, póki się czerń ludu i stróżów domostw u podnóża wieży nie zebrała.

Wtedy trębacz raz jeszcze na ostatni sygnał otrębywał, wśląd za czem, ująwszy w obiedwie ręce ogromną tubę blaszaną, ogłaszał z niej urbi et orbi, gdzie, na której ulicy i w którym domu ogień się ukazał.

— Na Czwartku się! pali się!! — wołał gromko.

— Gdzie?! — pytali z dołu ulicznicy, radzi głos tubalny ponownie usłyszeć.

— Na Czwartku się! pali się! — wołał po raz drugi, a gdy go dalej sprzeciwiający mu się ulicznicy interpelowali, zniecierpliwiony huknął czasem przez tubę frazes dosadny ku prawdziwej ich uciezce.

Ponieważ owemi czasy o strażach ogniowych nie słyszano na prowincji, więc po danym przez trębacza sygnale stróże domów okolicznych mieli obowiązek stawienia się natychmiast do pożaru

z narzędziem, które nad bramą każdego domu na blasze odmalowane było. Jeden z drabiną, drugi z toporem, trzeci z kubłami, czwarty z bosakiem, inni z linami, a byli i tacy, którzy z beczką na wozie, siedząc jak Bachusy, stawić się mieli obowiązek. Do nich przyłączała się gromada kominiarzy, stanowiąca wraz ze stróżami jedyną pożarną komendę, oraz kilka sikawek miejskich, funkcjonujących tak skutecznie i z takim ferworem, że najczęściej cała połać przyległych domów szła z dymem.

Wizerunek trębacza, a raczej jego posążek z cukru wszystkie zakłady cukiernicze jako postać najpopularniejszą w Lublinie dla przynęty gości w oknach wystawowych umieszczały.

Jordan. Juljan Wieniawski (1834—1912).

Objaśnienia: *Magistrat*, władza, zarządzająca miastem. — *Licytacja*, sprzedaż publiczna najwięcej ofiarującemu. — *Komunikat*, ogłoszenie. — *Gawrosz* (z fr.) ulicznik. — *Publikacja*, ogłoszenie, uwiadomienie. — *Tuba*, rodzaj trąby o postaci ostrokągu wydłużonego, służącego do wzmacniania głosu, przesyłania go na większą odległość. — *Urbi et orbi* = miastu i światu. — *Czwartku*, jednym z przedmieść Lublina. — *Bosak*, drąg z ostrzem żelaznym i hakiem na końcu. — *Pożarna komenda*, oddział straży ogniowej. — *Ferwor*, zapal. — *Połać*, rząd, szereg.

LIST Z NOSKOWA.

Nosków, 1 kwietnia 1837 r.

Kochany Władziu!

W ostatnim liście doniosłem ci, że Jaśnie Wielmożna prezesowa z Kozery na imieninach u hrabiego w Dymnicach publiczny z majorem Ostrołęskim uczyniła zakład, że każdego człowieka bez wyjątku pozna z postaci i z rysów twarzy, jakiego jest stanu, urodzenia i pochodzenia. Wielu z obecnych, i ja z nimi, natychmiasteśmy wygranej majorowi wieszowali; ale znaleźli się i stronicy prezesowej. Ostatnim przodkował filozof od ciemnej gwiazdy, sławny odszczepieniec XIX stulecia, baron Barłóguski, ten sam, który pracuje nad dziełem »O użyciu wywarów na karm dla ludzi roboczych«; a nawet pan baron oświadczył, że do połowy zakładu należy. Po skończonej stypie major i kilku z młodzieży na noc do mnie pojechali. Długośmy radzili, kogoby obrać z plebejuszów, którzyby, naszym przeciwnikom nieznany, rolę patrycjusza trafnie odegrał. Aliści szczęśliwie przypomniał mi się niezaprzeczony plebejusz, niemniej wytworny światowiec Szczepan X., syn trębacza od fary poznańskiej, a po kądzieli wnuk rybaka z Kruszwicy, Szczepanek, z którym do gimnazjum i na uniwersytet chodziłem. Gdym go majorowi i szanownym sprzymierzonym wiernie opisał, wszyscy

zgodzili się na to, ażeby pana Szczepana jak najrychlej sprowadzić. Też samej nocy odesłałem list na pocztę do Wielkopolski. Przyrzekliśmy sobie milczenie, i nazajutrz każdy do swojej wyruszył zagrody, zobowiązując się stanowczo, że na pierwsze wezwanie stawić się nie omieszka. Ułynęło dni dziesięć, a ani Szczepanka, ani odpowiedzi nie było. Już zacząłem wątpić o pomyślnym skutku mej prośby, gdy wieczorem zaturkotało na dziedzińcu, i w tejsze chwili wtoczył się do pokoju szopami okryty, zaśnieżony, atletycznej postawy, wąsaty i brodaty Szczepan, a za nim żydek z pocztowego miasteczka z małym tłumoczkim. Uściśnienia szkolnych przyjaciół były szczere. W godzinę rozpisałem listy. Około południa sprzymierzeni przybyli; nie czekając na obiad, rozpoczęliśmy posiedzenie. Szczepan przede wszystkim oświadczył, że chętnie każdą odegra rolę, aby niecy przesąd upokorzyć. O szczegółach naszej wielkiej ostatecznej rady dowiesz się z czynów, które skreszę poniżej; tutaj przytoczę część mojej dodatkowej z Szczepanem rozmowy, iżbyś się o jego zdolność nie obawiał.

— Pamiętaj tylko, Szczepanku, gdy przyjdziemy pomiędzy te wrony egipskie, że winieneś, mówiąc po polsku, używać często składni francuskiej i wyrazy polskie przeplataj o ile można najwięcej cudzoziemskimi; takie papuzie mającenie różnymi językami za najwyborniejszą posłuży ci maskę. I nie szczędź tym razem drogiej mowy naszej: kalecz, morduj każdy okres, każde słowo, skalaj każde ust roztwarcie.

— To się samo przez się rozumie. Czy mnie masz za nowicjusza w salonach?!

— Nie, nie, ale widzisz, ja wiem, o ile ty lubisz mowę rodzinną, o ile nią czarująco władasz.

— Jako syn ludu zaprawdę nie wmieszam obcego do polskiej rozmowy wyrazu, ale gdy będę hrabią Ademarem oh, oh, je vous assure que je ne saurai exprimer moich uczuć inaczey jak po salonowemu. Alboż ty myślisz, że i u nas w Wielkopolsce tego rodzaju paplotanie do dziś dnia w tak nazwanej wyższej koterji najmłodniejszym być przestało?... Niestety, francuszczyzna, jak dawniej tak i obecnie jest u nich jedyną świątynią umysłowości, a dzieła i pisma czasowe w języku polskim dla średniejszej szlachty, dla mieszczan, ale nie dla nich drukują.

Z tych kilku ustępów przekonałeś się zapewne, że szczęśliwie wybrał Szczepanka. I istotnie serce jego dobrze uczuło i pojęło, o co nam idzie.

W kilka dni potem chyża wieść z wioski do wioski, z dworca do dworca zziąjanym telegrafem biegła, że do mnie wprost z Ma-

drytu przyjechał Ademar, hrabia Firlej, że ojciec Ademara przed 20 laty zginął pod puginałami włoskich bandytów, że matka Ademara jest księżniczką hiszpańską de los Manos Espinada, że Ademar dlatego Madryt opuścił, ponieważ się w nim zakochała królowa, a na związek takowy Kortezy na teraz zezwolić nie chcieli i t. d. i t. d.

Pani Papplecka, dziedziczka Milczącej Wólki, mając sobie przez Stasia te wszystkie szczegóły w wielkim sekrecie powierzone i lekając się, aby się ktokolwiek z ust innych o tem nie dowiedział, z pościelą na objazd powiatowy wyjechała i podobno, że najlepszą ochwaciła fornalkę, ale też zato przed ostatnim wtorkiem stanęła u prezesowej, do której na wielki bal całe sąsiedztwo i ja z mym gościem przez siostrzeńca pani prezesowej zaproszony byłem.

O godzinie 4-tej z południa w największej paradzie zajechaliśmy przed pałac w Kozerach. Wszystkie dolne szyby a nawet niektóre z górnych mozaikowane były różnorodnemi twarzyczkami damskimi, wpośród których tu i owdzie najeżone mężczyzn wąsy komiczną stanowiły sprzeczność. Pod kolumnadą przyjął nas rodzony brat prezesowej, hrabia Szumiłło, niegdyś szambelan Stanisława Augusta, dzisiaj rezydent w Kozerach i niezmordowany angielskiej gitary zwolennik, a francuskich arjetek zapalony miłośnik.

— Grzeczność łaskawego sąsiada miłą zawsze dla nas będzie powinnością — wyrzekł do mnie szambelan, a memu towarzyszowi tak się bardzo nisko uklonił, że o mało równowagi nie stracił.

Prezesowa, spostrzegając nas wchodzących, jak z procy wyleciała z fotelu i przyspieszonym kołysaniem starała się pierwej od nas do środka salonu dobieżeć. Jakoż w samym środku miałem zaszczyt wygłosić:

— Madame! j'ai l'honneur de vous présenter Monsieur le comte Firlej. — Wyrazy le comte Firlej wymówiłem tak dobitnie, że całe towarzystwo, nie wyjmując, o zgrozo! i dam, zlekka powstało. Pani prezesowa, usunawszy się pół kroczka wstecz, zrobiła wielce wspaniały dyg; towarzyszył mu uśmiech szczęścia. Pan hrabia Firlej, nie ruszając się z miejsca, pchnął swoją postać naprzód, przybrał wyraz twarzy nader poważny, uprzejmem uszanowaniem okolił usta i pięknem narzeczem salonów paryskich wyrzekł w języku francuskim głosem umiarkowanym i słodkim:

— Pani! zaszczyt być przedstawionym pani prezesowej zwiększa się dla mnie familijnem uczuciem, bo nazwisko rodziców pani ozdabia genealogiczne przodków moich drzewo.

Prezesowa, słysząc te wyrazy, wymówione wobec całego sąsiedztwa, ogłaszające, że jest z Firlejami spokrewniona, łzami ra-

dości maleńkie zwilżyła oczy, a przymrużając je rozkosznie, drżące zaimprovizowała westchnienie:

— Ach! ileż to razy moi rodzice wspominali... Co do mnie, ubogą jestem w wyrazy, aby moją radość wysłowić, że tak godnego poznaję kuzynka.

— Pani, zaprawdę, ten dzień szczęścia mojego do najtkliwszych pamiątek policzę.

— Jak się miewa mama hrabiego, o której wysokich przymiotach tak wiele słyszałam, którą mieć szczęście poznania dawno jest mojem najgorętszem życzeniem.

— Merci, mon maman jest zdrowa, zostawiłem ją w Madrit.

Odtąd Ademar mówił językiem plecionym, do którego czasem i włoskie i angielskie mieszał wyrazy.

— Pan hrabia dawno wyjechałeś z Madrytu?

— Quelques jours après rok nowy.

Całem towarzystwem otoczeni w maleńkiej procesji zbliżyliśmy się do kanapy. Ademara usadzono na wielkim fotelu, panie cisnęły się o zajęcie najbliższego miejsca przy panu hrabim Firleju. Niewdzięczna prezesowa zapomniała do mnie wyrzec i słówka. Natomiast Papplecka z Milczącej Wólki, chwytając mnie grzecznie za rękę, odwiodła na stronę i spytała skwapliwie, jak długo hrabia Firlej w Polsce zabawi.

— Zależć to będzie od listów z Madrytu.

— Czy matka hrabiego istotnie księżniczka?

— Związkami pokrewieństwa z Burbonami złączona.

— I pan znasz hrabiego?

— Od lat 26, maleńkiem jeszcze dziecięciem.

— I pan hrabia znajomi się z panem?

— Zaszczycą mnie swoją przyjaźnią, i podróżowałem z nim przez lat kilkanaście.

— W których krajach?

— We wszystkich częściach świata. Od Chin do Lizbony zwiedziliśmy wszystkie miasta i miasteczka, niemal każdy zakątek, na którym historia świata swą czarującą położyła pieczęć.

— Ja nie wiedziałam, że pan tyle podróżowałeś. Bardzo przepraszam.

— Zawsze panią uwielbiam.

Gdym się na Ademara obrócił, spostrzegłem, że wszyscy, jak w cudowną tęczę, weń oczy wlepione mieli. Nawiasowo a najgrzeczniej właśnie go egzaminowała prezesowa co do jego stosunków majątkowych. Hrabia odpowiedział, że podróż jego do Polski ten

tylko ma cel, aby o spadek ojczysty rozpocząć proces; co zaś do macierzystego majątku, dodał niedbale, »należy do les plus brillants en Espagne«.

Półgłos pierwszy. — Il est czarujący!

Półgłos drugi. — Jakie ułożenie!

Półgłos trzeci. — Co za edukacja!

Półgłos czwarty. — Żałuję, że nie przyjechał Ostrołęski; przekonaliśmy go, jak wyraźnie piętnuje się wysokie urodzenie.

— Vous avez raison, ma petite — nieco głośniej odpowiedziała prezesowa. — Mój ojciec jest bardzo blisko spokrewniony z Firlejem.

Półgłos szósty. — Ale on przez matkę daleko wyżej stanął.

Paplecka. — Tak, krew Burbonów w nim płynie. Czy on się też ożeni?

Półgłos ósmy. — O z pewnością! Ale z kim?

Paplecka. — Rozumiem, że nie w Polsce.

Półgłos czwarty. — Naturellement, si riche! Może sobie i zagranicą poszukać księżniczki.

Półgłos piąty. — Kto wie, może jego matka nie bez przyczyny hawi w Madrycie.

Półgłos szósty. — O, jakby to było chlubnie dla naszego narodu, gdyby Firlej zasiadł na tronie Hiszpanji.

Paplecka. — Żeby mu to napomknąć... Co też on na to powie?

Półgłos pierwszy. — Mon ange, nie wypada. Należy szanować tajemnice polityczne.

Następnie Paplecka, zapominając, że już roczek czterdziesty jej życia przeminął, ze spuszczeniem nadół oczyma nieśmiało hrabiemu uczyniła zapytanie, jak znalazł swoje rodaczki; czyli się zgadza z głosem całej Europy, że Polki przodkują płci pięknej całego świata.

— Mając szczęście konwersować do pani, je ne blesserai la verité, kiedy oświadczę, że tych uczuciów z całą Europą zawsze podzielę.

Półgłos pierwszy. — Co za grzeczność!...

Półgłos drugi. — Jakie słodkie wyrażenie!...

Półgłos trzeci. — Jaka odpowiedź à propos!

Półgłos czwarty. — Co za usta!

Półgłos piąty. — Jakie zęby!

Półgłos szósty. — Co za nos!

Półgłos siódmy. — Co za oczy!

Półgłos ósmy. — Co za włosy!

Barłoguski. — Cała postać zachwyca i zniewala razem. On jest

istnym Apollina polskiego obrazem. Ale bo też to wszystko pochodzi z wysokiego urodzenia.

Zrazu na ucho wyrzeczone pochwały zamieniły się w głośnie uwielbiana, których hrabia Firlej słuchał bez zrozumienia; niekiedy tylko lekki ukłon świadczył, że był łaskaw przyjmować należną mu cześć.

Nie będę cię nudził opisywaniem całego mnóstwa szczegółów tych wszystkich hołdów, jakimi z ubliżeniem własnej godności wszyscy obsypali mniemanego Firleja. Barłoguski odzywał się do naszego Szczepana z taką uniżonością, że zdawało się, jak gdyby pan baron u hrabiego o posadę podleśnego się starał. Prezesowa o mało że całego słownika dla wyrazu »mon cher kuzynku« nie zapomniała, a syn trębacza, widząc, ile ją swoim kuzynostwem uszczęśliwił, co chwila także »ma respectable cousine« powtarzał. Wystaw sobie, do jakiego stopnia pomieszało się w głowie Barłoguskiemu, że ile razy Firlej do niego przemówił, on zawsze z krzesła się zrywał i, mimo grzecznych próśb siedzącego, dopóty usiąść nie chciał, dopóki Firlej wszczętej z nim rozmowy nie ukończył. Podczas wieczery przyjechał Ostrołęski. Prezesowa przy przyjęciu pocałowania swej rączki, szepnęła mu zcicha:

— Majorze, connaissez vous le comte Firlej? Otóż to z pierwszego wejrzenia poznasz wysokie urodzenie. Savez vous, on jest moim kuzynem, rodzi go hiszpańska księżniczka de los Manos Espinada.

Major odpowiedział głośno:

— Pomówimy o tem potem.

Prezesowa się zmieszała, i zwykłą kobiecie przenikliwością z tych kilku wyrazów majora domyślając się reszty, pełnym rozpaczy wzrokiem na mnie rzuciła. Mimo wszelkiej usilności śmiechu wstrzymać nie mogłem. Prezesowa bladła, siniała i nagle z zadziwieniem całego towarzystwa, udając wielką słabość, do przyległego oddaliła się pokoju. Roznoszono pasztet z dzikich gołębi z truflami, gdy się ten drugi akt rozpoczął.

Paplecka, bezwzględnie wracając od prezesowej, prosiła mnie, abym za nią pospieszył. Wyznaję ci, mój Władziu, że mnie trochę zimno przeszło. Wypiłem więc dla lepszej odwagi całą szklanekę czerwonego wina, utarłem serwetą usta i udałem się do prezesowej. Prezesowa, siedząc na kozetce i mając przed sobą trzy wielkie flakony z trzeźwiącemi kordjałami, głosem drżącym i słabym prosiła, abym się do niej przybliżył, i pocichu do ucha spytała:

— Panie Auguste, powiedz mi pod słowem honoru, co to jest za Firlej? Czyli mnie tylko za bardzo nie skompromitowałeś?

— To jest — również cicho do ucha odpowiedziałem — Szczepan, syn trębacza od fary poznańskiej.

Prezesowa wrzała i na doprawdy zemdlała. Ile tylko było białogłów, wszystkie wbiegły na krzyk Papeleckiej, mężczyźni powstałi od obiadu, zrobiło się wielkie zamieszanie. Korzystając ze szczęśliwej chwili, już się z Firlejem na dziedziniec wymykam, ale mnie w sieni Papelecka za poły schwyciła, prosząc błagalnie:

— Panie Auguście! przez litość powiedz mi, co ty szepnął prezesowej?

— Zmiłuj się pani, puszczaj mnie, nie mogę: zdradziłbym... tajemnicę stanu.

Ciekawość Papeleckiej nie znała granic. Klęka i woła:

— W imię Boga wyjaw mi ten sekret, bo w twojem ręku zemdleję!

Lękając się nowego wypadku, nachyliłem się do ucha Papeleckiej:

— Pani, możesz mnie zgubić! Gdyby moja matka z grobu powstała, słowa nikomu nie powiem. Mniemany Firlej, którego pani poznałaś, jest Lucjan Bonaparte.

Papelecka skamieniała, ja z Firlejem skoczyliśmy do pojazdu. Wczoraj słyszałem, że Barloguski i szambelan za mniemaną obrazę prezesowej pojedynkiem się odgrażają. Co się dalej stanie, doniosę. Obecnie pisanie moje kończę, bo wyjeżdżamy na proszony kawalerski obiadek do majora, od którego bliższych szczegółów o zakończeniu drugiego aktu dokładnie się dowiemy. Całunki i bratnie uściłki. Szczerze cię kochający

Au. Wi.

August Wilkoński (1805—1852).

Objaśnienia: *Nosków*, wieś około trzech kilometrów od Kalisza, jedno z ulubionych miejsc wycieczek Kaliszan. Pewien czas przemieszkiwał tu Wilkoński. — *Prezes* (z łac. praeses), naczelnik jakiejś instytucji, przewodniczący. — *Major* (z łac. maior), oficer, wyższy od kapitana, a niższy od podpułkownika. — *Filozof*, myśliciel, uczony, poświęcający się badaniu najogólniejszych zagadnień bytu jednostki, ludzkości, wszechświata. — *Odszczepieniec*, ten co się odszczepił od przekonania pewnej grupy, odstępcza. — *Wywar*, odwar, to, co z czegoś wywarzono. — *Karm*, pokarm. — *Stypa*, uczta pogrzebowa, uczta wogóle. — *Plebejusz*, człowiek, pochodzący z warstw, uważanych za niższe. Plebejusze, była to pierwotnie ludność Rzymu, obowiązana do służby wojskowej, ale usunięta od wyższych urzędów, od użytkowania z gruntów publicznych, nie mogąca zawierać małżeństw z patrycjuszami. — *Patrycjusz* w dawnym Rzymie członek rodziny, rodu, który w dawnym Rzymie miał własność ziemską, używał całkowitych praw obywatelskich, był obowiązany do służby wojennej, miał prawo nosić białą, wełnianą togę. Patrycjusze byli początkowo klasą panującą, z nich wybierano senatorów i urzędników. Zrówna-

nie praw plebejuszów z patrycjuszami nastąpiło w IV w. przed Chrystusem. — *Aliści*, ale, ale oto. — *Fara* (z niem. Pfarre), kościół parafjalny. — *Po kądzieli*, po matce. — *Szopami okryty*, w futrze z szopów. Szop, rodzaj zwierząt ssących drapieżnych z rodziny niedźwiedziowatych, mieszka w Ameryce północnej, dostarcza używanych bardzo futer. — *Atletycznej budowy*, silnej budowy ciała. *Atleta* (z gr. atletés), zapaśnik, siłacz. — *Wrona*, z rodziny kruków, dziób prosty, silny, nogi mierne, silne, skrzydła sięgają końca ogona, ogon słabo zaokrąglony, ubarwienie czarne i szare lub jednostajnie czarne. Długość 47—50 cm. Wszędzie pospolite, bardzo towarzyskie. — *Nowicjusz*, człowiek, początkujący w jakimś zawodzie, niedoświadczony. — *Je vous assure i t. d.*, zapewniam pana, że nie będę umiał wyrazić moich uczuć... — *Uzuciów zam. uczuć*. W XVIII stuleciu często w dopełn. l. mn. rzecz. rodz. nijakiego używano form na -ów, upodobniając w tem ich odmianę do rzecz. rodz. męskiego. — *Paplotanie*, paplanie, czcza, głupia gadanina. — *Koterja* (z fr. coterie), pewna grupa osób, związanych wspólnymi przekonaniami albo interesami, stronnictwo, partja. — *Pisma czasowe*, czasopisma, pisma, gazety. — *Dworzec*, dwór. — *Kortezy*, nazwa hiszpańskiego zgromadzenia stanów narodowych, składającego się z senatu i kongresu, zgromadzenia deputowanych. — *Ochwacić*, nabawić ochwatu. Ochwat, zapalenie mięsnych części kopyta u zwierząt jednokopytowych. — *Mozaikowane*, wyłożone mozaiką. — *Mozaika*, desenie i obrazy z różnokolorowych kawałków marmuru, kamyków, drzewa i t. p. — *Szambelan* (z fr. chambellan) wysoki urzędnik dworski, pełniący urząd na pokojach monarszych przy osobie panującego w czasie uroczystości dworskich. — *Rezydent*, przebywający na łaskawym chlebie. — *Gitara*, instrument sześciostunowy, szarpany czyli z którego dźwięki dobywa się zapomocą potrącania strun palcami. — *Arjetka* (z włosk. aria), piosenka oddzielna albo wchodząca w skład większej całości. — *Madame i t. d.* = Pani, mam zaszczyt przedstawić pani hrabiego Firleja. — *Dyg*, ukłon. — *Drzewo genealogiczne*. Genealogja czyli rodowód oznacza następstwo przodków jakiegoś rodu, rodziny. Drzewo gen. uzmysłowienie rodowodu w formie drzewa, na którego pniu i konarach umieszczano albo kółka białe, albo tarcze z nazwiskami osób, do rodziny należących, a pochodzących od jednego przodka, którego nazwisko zawsze się umieszcza na dole pnia. — *Merci, mon maman...* = dziękuję, mama moja. — *Quelques jours après rok nowy* = w kilka dni po nowym roku. — *Bourbonowie*. Starożytna rodzina francuska, nazwę swą wywodząca od zamku i posiadłości w prowincji Bourbonnais w środkowej Francji. Bourbonowie panowali: we Francji od 1589—1830 z wyjątkiem epoki 1798—1814; od 1830 do 1848 panowała inna linja tej rodziny — Orleańska. W Hiszpanji z przerwami od 1701; w Neapolu od 1735—1860; w księstwie Parma we Włoszech z przerwami od 1731 do 1860. — *Należy do les plus brillants en Espagne* = należy do najpiękniejszych w Hiszpanji. — *Il est czarujący* = jest czarujący. — *Edukacja* (z łac. educatio), wykształcenie. — *Vous avez raison ma petite* = masz słusność, moja duszko. — *Naturellement, si riche!* = naturalnie, taki bogaty. — *Mon ange* = mój aniołku. — *Konwersować do pani*, zamiast rozmawiać z panią. — *Je ne blesserai la verité* = nie obrażę prawdy. — *Mon cher kuzynku* = (mój) drogi kuzynku. — *Ma respectable cousine* = (moja) szanowna kuzynko. — *Conaissez vous le comte Firlej?* = czy zna pan hrabiego Firleja? — *Savez vous* = czy pan wie? — *Kozetka*, mała kanapka na dwie osoby (z fr. causeuse = gawędziarka), kanapa do poufnej pogawędki. — *Skompromitować* (z fr. compromettre), ośmieszyć, narazić na wstyd, zhańbić. — *Białogłowa* strp

kobieta. — *Tajemnica stanu*, tajemnica polityczna. — *Książę Lucjan Bonaparte* (1775—1840), brat Napoleona I, po r. 1832 jako człowiek prywatny mieszkał w Anglii, gdzie zgromadzał piękne zbiory artystyczne.

Z MIŁOSIERDZIA.

Do izby felczerskiej na prowincji wszedł w niedzielę zrana braciszek zakonny i zaraz na wstępie odezwał się:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!...

— Na wieki wieków — odpowiedział felczer skwapliwie, lecz pracy nie zaprzestał. I nie dziwna! W izbie pełno było ludzi, oczekujących to na strzyżenie włosów, to na ogolenie brody, to na puszczenie krwi, to na wyrwanie zęba, ot, zwyczajnie, jak w małym mieście, gdzie felczer sprawuje czynność balwierza i chirurga i uwi-
jać się musi żwawo, gdyż do pomocy ma tylko ucznia wyrostka, który zaledwie potrafi mydło rozrobić na pianę i twarz namydlić. A tu każdy się niecierpliwi i pili.

Braciszek stał wciąż przy drzwiach nieporuszony, prawie pokorny. Felczer, nie odwracając głowy, odezwał się po chwili:

— Pewnie po kweście?... A jakże!... Da się jałmużnę, da, ale nie zaraz, bo czasu niema...

— Ha, jałmużną na klasztor nie pogardzę, ale radbym też ostrzygł się i ogolił przy świętej niedzieli...

— Dobrze, dobrze!... Jałmużna będzie... i ostrzyże się pięknie i ogoli braciszka-kwestarza, ale proszę poczekać...

I braciszek usiadł na stołku pod ścianą i czekał kolei. A tu robotą paliła się felczerowi w rękę: jeden ani się spostrzegł, kiedy mu krew z żyły, przeciętej w przegubie łokciowym, trysnęła pod sufit, ten tylko zmrużył oczy, gdy sploty włosów cichutko z głowy spadały na kolana, tamten tylko słuchał, jak mu broda trzeszczy pod brzytwą, a ów nie zdążył nawet krzyknąć, a już zęba nie było w szczęce! Felczer nie mówił nic, jeno się uwi-
jał przy krześle operacyjnym, a pieniążki zgarniał do szuflady. Tymczasem co jeden wyszedł, to drugi wszedł, i izba wciąż pełna była gości, a wszyscy pilili. To też gdy przyszła kolej na braciszka, któremu uczeń namydlił już był twarz zawczasu, felczer zabrał się do operacji odrazu. A dokonywał jej nie żartem. Więc głowa braciszka latała na wszystkie strony, jak gdyby przyklepiona była tylko do karku, więc nożyce szczękały we włosach raz wraz, jak gdyby kto słomę rznął na sieczkę, więc brzytwa suwała się tylko po twarzy z chrzęstem, jak gdyby kto skórę niewyprawioną skrobał tę-
pym nożem, a braciszek siedział cierpliwie i cicho — ani pisał, czy mu felczer dla swej wygody zbyt gwałtownie wtył przechylił głowę, czy przez nieuwagę za-

ciał go nożycami w ucho, czy też z prędkości zdjął mu brzytwą krostę z twarzy, że aż krew ciurkiem spłynęła na habit.

Aliści w sieni, przymykającej do izby felczerskiej, powstał hałas straszny. Słychać było naraz i krzyk, i kwik przeraźliwy, i łoskot, a potem znów krzyk ludzki i kwik nieludzki — i tak wkoło, bez końca: śnać wieprzek niesforny opierał się zajadle komuś, kto chciał wolę swoją narzucić mu gwałtem. Że jednak trwało to zbyt długo, więc felczer zniecierpliwiony huknął na chłopca:

— Skoczno, mały, do sieni i zobacz, co się tam dzieje!

Na to braciszek, aż dotąd cierpliwy i cichy, odezwał się z westchnieniem ciężkiem:

— Zbędna ciekawość — kogoś z miłosierdzia gołą...

Antoni Sygietyński.

Objaśnienia: *Balwierz*, golibroda. — *Chirurg*, lekarz, operator. — *Pilić*, naglić. — *Po kweście*. Kwesta, zbieranie dobrowolnych datków na utrzymanie klasztoru. — *Aliści*, gdy naraz, aż oto, aż tu.

PRZYSŁOWIA.

— Na łaskę niema prawidła. — Łaskawy chleb nie tuczy.
Łaska ta w ohydzie,
Co na żółwiu idzie;
Lecz przyjemna taka,
Co ma skrzydła ptaka.

U FUKIERA.

BALLADA STAROMIEJSKA.

Gdy północ uderzy,
W winiarni Fukiera
Za stołem kamiennym
Rycerstwo się zbiera,
I dzwoniąc w kielichy,
Jak dźwięczne pawęże,
Uczują wesoło
Rycerscy wkrąg męże.

Miód słodkiej biesiady
Upaja im dusze —
Lśnią wkoło atłasy,
Żupany, kontusze —
Pacholik rozlewa
Cny płyn w roztruhany,
Pan Fukier dobywa
Gąsior i dzbany.

I rośnie ochota,
Jak niegdyś w dzień bitwy,
Gdy szli do ataku
Ze słowem modlitwy —
I rośnie ochota —
Sto serc się weseli,
Brzęk słychać kielichów
I szczęk karabeli...

Wtem cisza zalega
Piwnicę Fukiera,
I szlachta radośnie
Ku wnijściu spoziera...
— »A słowo niech Pańskie
Wnet ciałem się stanie!...«
Gość nowy zawitał
W krakowskiej sukmanie.

I nie sam przychodzi:
Pod ręce go wiodą
Pan Rejtan w kontuszu
I świetny uroda
Bohater z pod Lipska
W ułańskim mundurze...
— »Hej, wina, pacholik!
Hej, wina, a nuże!«

Dla gości tak przednich
Jest miejsce za stołem,
Więc wkrótce ze szlachtą
Zasiedli pospołem —
Małmazja się leje,
W kielichach odbłyska,
Pan Fukier dorzuca
Sam drew do ogniska...

Łuczywa się pałą,
Skry sypiąc dokoła...
Hej, szlachta rycerska,
Jak zawsze wesola,
Huknęła wiwatem,
W kielichy uderza
Za sławę i honor
Polskiego żołnierza!

Sklepione drżą łuki,
Bojowa pieśń płynie,
Wesoło uczują
Rycerze przy winie. —
Tak codzien z północy
W winiarni Fukiera
Za stołem kamiennym
Rycerstwo się zbiera...

Aż kiedy świt szary
Niebiosa rozbieli,
Wracają do grobów
Wilgotnej pościeli,
Wracają, jak przyszli,
Rycerze z za świata —
Ułani z pod Lipska,
Husarja skrzydlata...

Nie wstrzyma ich szyldwach,
Co miejskich bram strzeże,
Nikt nie wie, którądy
Przychodzą rycerze,
I tylko wieść niesie,
Że z dziada-pradziada
Ktoś w rodzie Fukierów
Klucz do nich posiada —

Że codzien rycerstwu
Pocichu otwiera
Żelazne wrzeczadze
Praprawnuk Fukiera
I w starych piwnicach
Sklepionych na rynku
Za stół sadza gości
W biesiadnym ordynku...

Gdy północ uderzy,
I uśnie Warszawa,
Tam rojno i gwarno,
Stu głosów brzmi wrzawa,
Hukają wiwaty,
Sto serc się weseli,
Brzęk słyhać kielichów
I szcęk karabeli...

Zdzisław Dębicki.

Objaśnienia: *Fukier*. Spolszczona rodzina warszawskich Fukierów wywodzi się od przybyłego z Niemiec w w. XVI Jerzego Fuggera, według ówczesnej pisowni Fokera. Fuggerowie byli sławnym z bogactw rodem niemieckim (augsburskim), w XVI w. uprawiającym na olbrzymią skalę przemysł i handel z całą niemal Europą, wywierającym wpływ na stosunki polityczne, popierającym naukę i sztukę. Fukierowie warszawscy trudnili się handlem winnym. Kamienica Fukierów (dziś Stare Miasto Nr. 27) stanowi jeden z piękniejszych zabytków budownictwa miejskiego Warszawy. — *Pawężę* strp. tarcze. — *Roztruhany*, wielkie i bogate kielichy; duże, ozdobne kubki do wina. —

Gąsiory, naczynia szklane w kształcie butli lub bani. — *Przedni*, zacny, czczony. — *Małmazja*, słodkie wino południowe. — *Szyldwach*, żołnierz, stojący na warcie, na straży. — *Wrzeczadze*, łańcuchy żelazne albo sztaby do zamykania drzwi. — *Ordynku*, szyku, porządku.

18-GO GRUDNIA 1830 ROKU W KAMIENCU.

I.

Organy grzmiały w katedrze Kamienieckiej, licznie zgromadzeni co najprzedniejsi obywatele pozajmowali swe miejsca, dygnitarze w mundurach z gwiazdami i krzyżami błyszczeli złotem i szychem — szpalery wojska stały wyciągnięte, kamienne, bez ruchu — kiedy siwy pan Wacław Jełowicki stanął na progu.

Przykleknął, zatrzymał się chwilę i szedł krokiem powolnym, obojętnym, zdając się nie dostrzegać nikogo i zmrużywszy oczy. Cała postać jego dziwnie nie licowała z tym szychem, z tą paradą mundurów, futer, strojów licznych dam, z tą niezliczoną ilością świateł, błyszczących wokoło. W ciemnej bekieszy, krojem staropolskim zrobionej, z wyłogami z czarnego baranka człowiek ten zdawał się zabłąkanym w jakieś inne środowisko, nawskróś obce, dalekie i niechętne.

Zwracały się ku niemu oczy — i śledziły krok jego spokojny, trochę wyniosły, stanowczy. Błyszczący orderami generał Kabłukow rzucił mu niechętne spojrzenie, kilku otaczających gubernatora oficerów moskiewskich trąciło się łokciami.

Wejście tego skromnie, prawie ubogo ubranego człowieka, tak oczywiście nic sobie nie robiącego z imienin cara Mikołaja, uczyniło wrażenie. Widać było, że się z nim liczą — że jest tutaj potęgą ten starzec, idący do wielkiego ołtarza z wyrazem przymusu i pewnego aż nadto wyraźnego niezadowolenia.

Ustąpił mu miejsca syn jego Edward, marszałek powiatu, i cofnął się parę kroków wtył. Pan Wacław Jełowicki oparł głowę na rękę i zdawał się nie słyszeć, że się już msza kończy, że dzwiczą na Podniesienie dzwonki, że chór już zaczyna »Agnus Dei qui tollis«...

Otaczały go przeważnie siwe, krótko strzyżone głowy, kilkunastu mężczyzn w sile wieku, trochę młodzieży. Niektóre z tych głów, posrebrzonych siwizną, nosiły głębokie blizny, mówiące o niedawnej jeszcze przeszłości, o wojnach napoleońskich, o Insurekcji, a może nawet o sławnej, wiekopomnej pamięci konfederacji Barskiej. Wszyscy ci ludzie, obywatele szanowni i znaczeni, mieli podobny wyraz niechęci, podobne skrzywienie ust, jak i pan Wacław Jełowicki. Widać było, że przyszli tutaj wbrew woli, że, piastując

krajowe godności i dbając o resztkę władzy polskiej w tych stronach, stawili się na to obowiązkowe nabożeństwo w dniu św. Mikołaja, który to patron sam zapewne krzywem okiem spogląda, że z jego imieniem związana jest ta posepna parada.

Kobiet nie było prawie zupełnie w ławkach, zajętych przez panów polskich. Oficerskie towarzystwo zato, otaczające Kabłukowa, krzykliwością barw, ekscentrycznością sprowadzanej z zagranicy kosztownej tandety mówiło o gustach tych rezydujących razem z wojskiem moskiewskich dam, nieprzyjmowanych nigdzie, uważanych przez domy polskie za coś nieskończenie niższego, godnego li tylko zimnej i obojętnej pogardy.

W bocznych nawach katedry tłoczyła się gawiedź miejska, chłopi okoliczni, grupy prawosławnych popów, zazdrosnym okiem patrzących na tę katolicką uroczystość za prawosławnego cara, żołnierze różnych znaków i broni. Cicho się zrobiło wokoło, bowiem ksiądz kanonik Łomnicki wstępował już na kazalnicę, zaś organista dumny ze swego kunsztu po arcytrudnym pasażu urwał na donośnej wiolinowej nucie.

— Jeszcze to kazanie — myśleli obecni. — Jeszcze wysłuchać to wszystko, co biedny ksiądz kanonik z trudnością wykrztusi o dobrodziejstwach carskich, o szczęśliwym panowaniu, o losie wiernych poddanych!

Tymczasem ksiądz Łomnicki wstępował zwolna na schody krokiem niepewnym, jakby lunatycznym prawie, przynikając chwilami oczy.

Ukląkł przed Ewangelią, ręce nad głową załamał i modlił się długą chwilę.

Powstał jakby natchniony i, nie otwierając księgi, głosem silnym, donośnym, skandując każde słowo, zaczął cytata z Pisma św.:

— I przyjdzie człowiek, zwany Jan, który was z niewoli wybawi...

Pan Waław Jelowicki podniósł głowę zdumiony. Wszystkie oczy wpiły się w twarz księdza. Zdawało się, że coś zawisło w powietrzu, przyczaiło się, zadrżało...

— Z jakiejże otchłani potępienia głos nasz łaski Twej wzywa, o Panie miłosierny — wołać zaczął z ambony ksiądz. — Do jakiegoż upadku, do jakiej sromoty dopuściła nas Twoja ręka? Jakżeż gorzka jest dola, dziedzictwu Piastów i Jagiellonów sądzona? Gdzie jest radość i chwała, i miniona potęga, która wiodła przed laty Żółkiewskich i Batorych? Która niosła daleko sztandar z wizerunkiem Bogarodzicy, Panny Najświętszej, Królowej Polskiej Korony? O narodzie, narodzie, któryś upadł powalony brzemieniem żywota — z ja-

kiejże zmroczonej otchłani wydziera się ku niebu twoja gorzka skarga?...

Ciężka, ołowiana cisza zawisła pod nawami katedry.

— Przywołaj wielkie hasła przeszłości — wspomnij czasy minione, kiedy ludy dalekie ze czcią i uwielbieniem wymawiały twe imię! Kiedy drżała przed tobą moc szwedzka, kiedy bladł sierp pogańskiego miesiąca, kiedy łamały się szyki niewiernych na polach Chocimia, pod murami Wiednia!

— Przeszłość ta żyje jeszcze — tętni w krwi waszej i w sercach waszych. Na to wam życie dał Bóg, byście to życie godnie wypełnili, i by wszechobecna w was była ta wielka pamięć przeszłości, ta miłość niepojęta rzeczy zda się umarłych — a które żyją — żyją — żyć będą — i do których krew nasza i życie należy.

Zerwało się nagle echo rosnącego szmeru, zgrzyt krzesel o kamienie posadzki, szurganie nogami, dzwonięcie ostróg oficerskich. Gubernator stał, szarpiąc nerwowo rękawiczki, nie wiedząc, co począć, zmieszany i zaniepokojony. Zwarły się dwie grupy — wojskowi rosyjscy niepostrzeżenie zbliżyli się do swoich, stali zwartą gromadą. Szlachta polska skupiła się koło prezbiterjum, coraz liczniejsza, coraz bardziej zdecydowana. Z bocznych naw płynęły coraz nowe fale — mieszczaństwo, chłopi, wszystko to garnęło się ku prezbiterjum, gdzie zamyślony, jakby ciągle modlący się jeszcze siedział siwy pan Waław Jelowicki w swojej skromnej barankowej bekieszy, otoczony synami, krewnymi i szlachtą.

Działo się coś niezwykłego. Gubernator co chwila spoglądał ku drzwiom — ale wyjść nie śmiał — ksiądz Łomnicki tymczasem kazał głosem potężnym, słowem silnym i żywym. Mówił o wielkich dziejach — i o ciężkich grzechach przeszłości. Mówił o dopełnieniu się kielicha goryczy, o niechybnej łasce Bożej i przebaczeniu. Mówił o wiekopomnym dziele narodu, dopuszczającego inne stany do życia ogólnego w imię prawa, sumienia, wolności.

— Boże, wspomagaj lud Tobie wierny! — zawołał — Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba, któryś wywiódł naród z ziemi Egipskiej, z domu niewoli — Boże, wspomagaj nas!

Zagrzmiały znowu organy, dymy kadzielnic podniosły się od ołtarzy. Hymn przepiękny »Te Deum laudamus« huczeć zaczął, przepyszny, jędrny, głęboki.

Nie, to nie za cara Mikołaja rozbrzmiewa ta pieśń radosna. Niczem jest dzisiaj gryząca myśl o carskich imieninach, z którą przyszliśmy tutaj — powiadają w duchu ziemianie polscy. Czyżby Warszawa? Nie, przecież nic nie wiadomo. A może ksiądz wie? Wiedzieliby przecież inni. Coś niezwykłego się święci. Ciebie Boże,

chwalimy! Ileż razy ta grzmiąca pieśń rycerska płynęła po ziemiach Podola. Ileż razy grzmiała pod tem samem sklepieniem katedry! Ileż razy śpiewały ją rycerskie skrzydlate chorągwie — lat temu sto kilkadziesiąt za ledwie, kiedy tam pod baldachimem zasiadał o karabelę oparty rycerski król Jan!

Fala tłumna, zwichrzona, niespokojna zalała wnętrze środkowej nawy, złamała szpalery wojska, ogarnęła obecnych. Co znaczy to kazanie? Jak się zachowa władza? A więc rzeczywiście już blisko, już trzeba myśleć o broni?

Wychodzili wszyscy, przeciskając się tłumnie, zatrzymując wzajemnie, szepcząc, wypytujac o wiadomości.

— Nic nie wiemy — odpowiadają Jełowiccy. — Nic nie wiem — mówi Denisko. — O niczem nie slyszalem — powiada pan Herman Potocki. — Samiśmy radzi wiedzieć — szepce ktoś jeszcze.

Tłum zalał plac przed katedrą — wojska nie widać prawie. Policja z trudnością snuje się między gawiedzią. Niema mowy o wsiadaniu do sani — idą wszyscy pieszo, bocznemi ulicami. Gdzie nigdzie widać zaprzęgi, otoczone tłumem, przesuwające się zwolna.

Nikt, jeszcze nic nie wie — śmielsi robią przeróżne przypuszczenia, domysły. Ktoś puścił wiadomość o rzezi w Petersburgu, ktoś inny o wojnie, wypowiedzianej Francji przez cara.

Na Nowym Zjeździe było już znacznie luźniej. Pan Edward Jełowicki siedział w swoich saniach z bratem Aleksandrem, czekając na ojca, kiedy jeździec jakiś na spienionym koniu zwrócił jego uwagę. Poznał swoje barwy i stajennego konia — jeździec dojrzał go również, zeskoczył z siodła, rzucił się ku niemu, obejrzał wokoło, ręce do ust przyłożył i zadyszany nachylił się do jego ucha:

— Panie marszałku! Powstanie!

— Co ty mówisz?!

— Pan Nagórniczewski. Kazał do pana marszałka. Był i pojechał. W Warszawie powstanie. Jutro trzy tygodnie. Pan generał Chłopicki.

— Skąd wiadomość?

— Na Chrystusa Pana przysięgał pan Nagórniczewski.

— Ojcie, ojcie! — zerwał się z sani marszałek, widząc siwego pana Waclawa, mijającego ich w tłumie. — Niechże ojciec slycha! Powstanie już wybuchło w Warszawie!

Jasnym, spokojnym wzrokiem spojrział na synów pan Waclaw Jełowicki.

— Chodźcie — odpowiedział. — Ksiądz kanonik jeszcze nic nie wie.

— Cóż więc to było, to kazanie? Proroctwo?

— Czyż i to niemożliwe? — odparł ojciec, biorąc obu synów pod ręce i uśmiechając się do nich.

W oczach jego błyszczwały dwie łzy.

Grupa ludzi już się koło nich robiła. W mig uchwycono, że są jakieś wieści. Jełowiccy szli pospiesznie, wbrew fali, starając się przebić przez tłum. Ale goniono za nimi. Docisnęli się jakoś do domu biskupiego przez ogród od kanonji. Ksiądz Łomnicki bez czapki stał na schodach otoczony, rozwodząc rękami, jakby Boga na świadka wzywał, że nie wie, nic nie wie. Pan Waclaw Jełowicki dotarł do niego, powiedział słów parę do ucha — ksiądz tylko ręce podniósł do góry — a wiedzieli wszyscy, że Bóg miłościwy doczekać zwolił radosnej nowiny.

II.

Noc była wyiskrzona, mroźna. Jary głębokie zasypaane śniegiem, szeleszczące zeszlęmi liśćmi. Droga wila się zboczami dolin, zbiegała po pochyłościach, wznosiła się na płaskowzgórza. Widać było wówczas przestrzeń szeroką, zalaną srebrem księżycowego światła. Krzyże samotne wyciągały wysoko swoje czarne ramiona — gdzieś, nad drogami siedziały rosochate, koślawe wierzby — ciemne lasy widać było w oddalch. Droga znaczone była wiechciami słomy na tykach, powbijanych w śnieg. Miejscami stały karczmy przydrożne, ogromne, ciemne, o wysokich dachach, opierających się niemal o przyzby. Zasypany śniegu leżały wokoło — nikłe szczekanie psów slychać było chwilami, gdy milkły dzwonki uprzęży.

Wioski były takie ciche, spokojne, białe od śniegów zwalonych. Gdzie nigdzie czerniała plama wyrzuconego popiołu, bądź też rude, kosmate psie cielsko zrywało się skądś z przyzby czy z pod ciepłego chlewu. Długie, przeciągłe ujadanie odprowadzało przejezdnych. Inne psy odzywały się dalej, czekały w opłotkach, rzucały się za końmi, skakały im czasem do piersi pomimo wyciągniętego klusa i złośliwego chrapania pomęczonych koni.

Odprowadzało to szczekanie sanki biegnące o stajanie, o dwa. Wreszcie zmęczone psiska opamiętywały się, wracały do swoich chlewów i swoich opłotków. Migwały zabudowania gospodarcze. Szerokie stodoły, sterty niewymłóconego zboża, długie, wyciągnięte wołownie i stajnie, ciemne gąszcze ogrodów. Kołatanie stróżów nocnych odzywało się u bram — chwila oczekiwania — i spocona, parą buchająca czwórka lekkiego truchta zakręcała półkolem dziedzińca.

Budził się dwór... Światła błyskały za okiennicami... słychać było zgrzyt rygli i senne głosy służby.

— Kogo to Bóg prowadzi? — odzywał się głos gospodarza, w bermycy i kozuszkę stojącego na progu.

— Edward Jełowicki.

— Sąsiada dobrodzieja! Gość w dom...

— Sąsiad pozwoli, że na osobności...

— Ależ prosimy! Zaraz każę jeść podać. Żona już spi...

— Sąsiad daruje...

— Cóż to, mości dobrodzieju? W szlacheckim domu...

— Ależ, sąsiedzie! Powstanie!

Gospodarz przeciera oczy, jakby ponad nim wisiał jeszcze sen.

— Powstanie?... Skądże tak raptem?

Zapominając o gościu, szlacheć biegnie w głąb domu, przewraca stołki po drodze... i krzyczy.

— Marysiu! Zosiu! Antolko! Powstanie! Dalibóg powstanie!

Zbiegają się chłopaki w koszulinach, córeczki w czepeczkach nocnych i narzuconych naprędce salopkach, bose nóżki cicho stąpają po zimnej podłodze.

Pani Marja wpół senna, przerażona i uśmiechnięta niezmierną jakąś radością uchyla drzwi, patrzy na sąsiada, oczom nie wierzy.

— Więc sąsiad powiada? Był goniec od Rządu Narodowego? Więc wielki książe uciekł? Pan Piotr Wysocki, powiada sąsiad? A generałowie? Chłopi dyktatorem? Gdzież jest Kniaziewicz? A coż robi nasz kochany pan generał Dwernicki?

Konie parskać na dziedzińcu, zimny wiatr dmucha przez otwarte naprzestrzał drzwi, które wszyscy zamknąć zapomnieli. Służba w drzwiach wpółotwartych kredensu słucha baczenie, co też państwo mówią.

— Ja pójdę do ułanów! — woła czternastoletni Józio.

— Widzieliście go! Spać, smarkaczu jeden — gromi ojciec, rad z żyłki żołnierskiej synaczka. — Ale, sąsiedzie kochany, może co zjeść, rozgrzać się — na kominku zapalić? Iwan, złodzieju jeden, podsłuchujesz tutaj! Marsz, drzewa dorzucić. Wódeczki! Marysiu, półgaska i wódeczki.

— Czas w drogę — odpowiada Jełowicki. Tam do Uszycy jedzie Nagórniczewski. Ja objeżdżam Kamienieckie. Dajże nam, Boże...

— Choć kieliszeczek, sąsiedzie dobrodzieju! A coż — jakie rozkazy?

— Czekać, rychło już pewno wejdą w nasze ziemie polskie chorągwie...

— Matko Przenajświętsza!

— Ułani, oficerowie — szepcą dziewczęta, skulone za płotem...

— Niech Bóg prowadził!

I znowu dźwięczą dzwonki przy uprzęży, suną się lekkie sanki po ubitych drogach. Mijają tyki wysokie z wiechciami słomy, mijają rzadkie drogowskazy i czarne krzyże, wysoko wyciągające ramiona. Szczekanie psów się ozywa — noc taka jasna, wyiskrzona gwiazdami, świecąca iskrami tęczy i lodu po śniegach.

Coraz dalej, coraz ciszej. Nie słychać już dzwonek ani tętentu złotych kasztanów pana marszałka Jełowickiego. W ciemnym dworze drewnianym, pod gontowym dachem, obciążonym zwałami śniegu, w sypialni pani domu klęczy cała rodzina przed ołtarzykiem, zeszlęmi nieśmiertelnikami ubranym. Drżącymi głosami odmawia litanję do Matki Boskiej. Już dawno skończona litanja i Pod Twoją obronę, i Zdrowaś — a jeszcze klęczy matka i dwoje dziewcząt, przytulonych do siebie...

Gospodarz idzie do kancelarji, świecę nożycami objaśnia, zdejmując ojcowską szablę ze ściany.

Konfederacka szabla. Pamięta Częstochowę. Wyjmuje z pochwy, ostrze ogląda, próbuje plamy rdzy, czy głęboko się wżarły.

Wtem hałas jakiś budzi go z zadumy, trzask przewracanych mebli, szcęk walącego się żelaziwa. Ze świecą w ręku staje w progu przedsionka.

— Józek, łobuzie jeden, a co ty tu robisz?

Józek milczy i patrzy ojcu w oczy nieśmiało. Cała broń myśliwska na ziemi, oberwane rogi jelenie, tynk poobijany, glina...

Józek dostrzega szablę dziadowską w ręku ojca, i jakoś mu się różniej robi na duszy, pomimo że wszystko powywracał, zwałił rogi jeelnie i rozsypał śrut, za co już nieraz brał w skórę.

Bez słowa zaczynają obaj porządkować. Nie klei im się to składanie broni: oglądają zamki, próbują kurków, szczękają cynglami, i nie wiedzą obaj, który z nich tylko co szepnął: »Powstanie!«

Dopaliły się świece. Smuga księżycowego światła kładzie się wielką białawą plamą na prostej sosnowej podłodze starego dworu. Józio gdzieś usnął na kufrze, głowę oparłszy o futro, trzymając rękę na kurkach ojcowskiej dubeltówki. W kancelarji przed wygasłym kominkiem siedzi gospodarz z karabelą ojcowską w ręku. Co za noc, — co za czasy!...

Księżyc tak jasno świeci za oknami... coraz bliżej przypelza. Już dotknął srebrnej klingi, już błysnął jakby echo śniegów i słońca. Lśni ostrze karabeli, polerowana stal.

Późno już — rychło świt. Echem donośnem bije gdzieś staro-

świecki zegar w salonie. Ileż razy jeszcze bić będzie, nim się zarzewie krwawej wojny rozpali, nim się zbliży w te strony, luną wojny objęte, nasz kochany pan generał Dwernicki?...

Edward Ligocki.



Objaśnienia: *Kamieniec Podolski*, dawna warownia polska nad Smotryczem, niedaleko ujścia jego do Dniestru. — *Dygnitarze*, wysocy urzędnicy. — *Szych*, fałszywe złoto, używane do wyrobu ozdób. — *Wacław Jełowicki*. Rodzina Jełowickich brała wybitny udział w powstaniu 1831 (szczególniej w bitwie pod Daszowem na Ukrainie), organizowała z Hermanem Potockim i dwoma jego braćmi, z Wacławem Rzewuskim, Nagórniczewskim, Deniską i innymi powstanie na Podolu pod wodzą Kołyski, żołnierza Kościuszkowskiego. Wacław Jełowicki legł na polu walki, trzej synowie wstąpili do wojska polskiego. Edward uzyskał stopień pułkownika, Aleksander po powstaniu został księdzem, przebywał w Paryżu i zasłynął jako kaznodzieja. — *Nie licowała*, nie zgadzała się, harmonizowała. — *Bekiesza*, ubiór zwierzchni długi, za kolana, futrem podbity, kroju kontuszowego, tak obszerny, aby wejść mógł na żupan i kontusz; na piersiach miał sute oszycie z pętlie do zapinania. Strój ten węgierski wprowadził w Polsce Stefan Batory i mężny magnat węgierski Kasper Bekiesz, dowodzący artylerją i piechotą węgierską przy oblężeniu Gdańska i Połocka. — *Gubernator*, urzędnik rosyjski, naczelnik gubernji. Województwo podolskie przy podziale Polski z r. 1772 podzielone zostało między Austrię i Rosję. W 1796 r. z części rosyjskiej i województwa braclawskiego rząd rosyjski utworzył gubernję podolską. — *Marszałek powiatu*, wybierany przez sejmik; pośredniczył między ludnością a rządem, przedstawiał życzenia i potrzeby ludności. — *Podniesienie*, część Mszy św., kiedy kapłan wznosi w górę Hostję (chleb ofiarny) i kielich z winem ku uczczeniu ich przez wiernych, którzy w tym czasie powinni ukorzyć się ciałem i duchem przed ofiarą,

spełnianą za nas przy ołtarzu, jak niegdyś na krzyżu; chór śpiewa »*Agnus Dei qui tollis peccata mundi, miserere nobis*« = Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami. — *Insurekcja* (z łac.) = powstanie Kościuszkowskie. — *Konfederacja Barska* (1768—1772), zawiązana przez biskupa kamienieckiego Adama Krasieńskiego, jego brata Michała, Józefa Pułaskiego z synami i innych w Barze na Podolu w obronie wiary, wolności, dawnych praw przeciw Rosji. — *Ekscentryczność*, niezwykłość, oryginalność, dziwaczność. — *Tandeta*, rzecz, lichy, niedbale zrobiona, z lichego materiału. — *Gawiedź*, społeczeństwo, tłum miejski. — *Różnych znaków*, z pod rozmaitych chorągwi, różnych oddziałów. — *Kanonik*, wyższy stopień w duchowieństwie świeckim (nie zakonnem) katolickim, radca biskupa. — *Kunszt*, sztuka, umiejętność. — *Pasaż*, szereg tonów, szybko po sobie następujących. — *Wiolinowej*, wysokiej. — *Lunatyk*, człowiek, dotknięty chorobą nerwową, polegającą na tem, że chory, śpiąc, chodzi i wypełnia różne czynności bezwiednie. — *Brzemię*, ciężar. — *Prezbiterjum*, część kościoła, gdzie się mieści wielki ołtarz i chóry dla duchowieństwa, odgradzona od reszty kościoła balustradą. — *Rosochaty*, widłowaty, gałęzisty. — *Bermycza*, wysoka niedźwiedzia czapka wojskowa. — *Salopka*, długa, obszerna, zwykle watowana odzież wierzchnia kobieca, z rękawami i peleryną. — *Dwernicki Józef* (1779—1857) walczył w legionach, brał udział w kampanji wschodnio-galicyjskiej, wyprawie 1812, w 1813—1814 r., wrócił do kraju i w 1815 r. został dowódcą 2 pułku ułanów, w 1831 r. organizował jazdę polską; wybitnie odznaczył się w szeregu zwycięskich bitew z Rosjanami, między innymi pod Stoczkiem (nad rzeką Stoczkiem, powiat łukowski) 14 lutego 1831 r. Od wybuchu powstania marzył o wyprawie na Wołyń i Podole, gdzie posiadał rozległe stosunki, wyprawa ta jednak mu się nie udała; otoczony przez przeważające siły Rosjan, przeszedł granicę 27 kwietnia 1831 r. i na terytorjum Galicji został rozbrojony. — *Kredens*, tutaj izba, w której stoi szafa z przyborami stołowymi. — *Pamięta Częstochowę*, obronę Częstochowy przez Kazimierza Pułaskiego, który w 1771 r. zniszczył prawie zupełnie oblegający ją korpus rosyjski Drewicza. — *Cyngiel*, języczek, wprawiający w ruch zamek ręcznej broni palnej. — *Klinga*, głownia szabli, ostrze,

KULIK.

Oto zapusty, dalej kulikiem,
Każdy wesoły, a każdy zbrojny
Jedzie na wojnę, jak gdyby z wojny,
Z szczękiem pałaszy, z śmiechem i krzykiem.
Dalej! kulika w przyjaciół chaty —
Zbudzimy śpiących, zabierzem z sobą.
Nie trzeba wdziawać balowej szaty
Ani okrywać czoła żałobą.
Tak, jak jesteśmy — dalej i dalej!
A gdzie staniemy? aż nad granicą...
Gwiazdy nam świecą,
Staniemy cali.

Ha! ha! koń parska — rade nam dwory —
Nie trzaskaj z bicza — niechaj śpi licho.
Szybko po drodze tak jak upiory
Smigamy szybko — cicho — i cicho.

Niech sanki świszczą
Jak błyskawica,
Wokrag księżyca
Złote mgły koło,
Kagańce błyszczą...

Cha, cha, cha! jak nam wesoło!

Kto nas zobaczy — ten nie zostanie,
Z nami na nowe poleci tańce;
Mnogie hajduków świecą kagańce,
Szybkie po śniegu śmigają sanie.
A kto chce zostać — więc dobrej nocy,
Niech go nie zbudzi kogutów pianie,
Niech śpi spokojnie. — My bez pomocy,
Tak jak jesteśmy — dalej i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! — oto dwór biały
I światło w oknach — dam znak — wystrzelę.
Odpowiedziały mnogie wystrzały.
Ha, dobra wróżba — wszak tu wesele,
Tu szlachta pije, — wyprawia gody.
Drużby za nami! swaty za nami;
Od młodej panny chodź, panie młody,
Lecz nie patrz na nią — zalana łzami,
A lzy kobiece zmiękczą ci serce —
Wrócisz — nie zwiędną ślubne kobierce.
Teraz za nami tak z bukietami,
Tak jak jesteście — dalej i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu dwór szlalcica,
Dam znak, wystrzelę... nie, ciszej! ciszej!
Znagła wpadniemy, nikt nie usłyszy —
Przebóg! tu pogrzeb — błyszczą gromnica —
Porozwieszane w oknach całuny,
I stoi truna — a koło truny
Syn smutny w dłoniach ukrywa czoło...
Ha, ha! co robić? tu niewesoło,
Lecz poco długie prawić androny:
Mój panie synu, prosimy z sobą.

Daj na pacierze — zostaw na dzwony,
Zabierz przyjaciół. — Z czarną żałobą
Tak jak jesteście — dalej i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu znakomity
Szlachcic zamieszkał, więc drzwi uchylę...
Zielonem sukmem stolik wybity,
A na stoliku świecą pamfile.
Panowie szlachta! do djabła karty!
Dalej do bronii! a karty w kąty!
Niech Dej algierski, Karol dziesiąty
I Delfin grają... może kto czwarty
Do gry zasiądzie i na kozery
Będzie błękitne rzucał papiery,
Które już dawniej spadły na cztery
I jeszcze spadną. Mości panowie!
Niech w karty grają sami królowie!
A my do koni — dalej i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu zamek stary,
Na hasło mnogi strzał odpowiada.
Zamorskie jakieś widzę maskary.
Panowie bracia! to maskarada.
Szaty w dziwaczne lepione wzory —
Słuchajno! słuchaj, mój włoski panie,
Czy sycylijskie znasz ty nieszpory?
Znasz ty Neapol? A ty, Hiszpanie,
Czy byleś kiedy w Minny orszaku?
Nie — mniejsza o to. — Włoch, Korsykanin,
Żyd, Tatar, Turek, Amerykanin,
Chodźcie tu ze mną wszyscy bez braku,
Tak jak jesteście — dalej i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! nowa gościna.
Już w oknach wszelkie światło pogasło,
Dam znak, wystrzelę... nie — poco hasło.
Tu śpią, nie słyszą... nie nasza wina,
Że sen przerwiemy... Stukam we wrota...
Ha! stary sługa wychodzi, świeci.
Twój pan śpi teraz? to mi to cnota!
— O nie — on nie śpi — pan mój i dzieci,
Nim trzecie grudnia błysnęło zorze,
Wyszli na czele zbrojnej czeredy,

A teraz cicho — pusto we dworze;
 Wyszli na wroga — czy wrócą kiedy?
 Widzicie, bracia, mylą pozory,
 Takiemu panu błogosław, Boże.
 Oby tak wszystkie zastać nam dwory!
 Jedźmy więc sami — dalej i dalej!... etc.

Jakże noc pyszna, — jak lecą konie!
 Lecą i lecą — a z pod kopyta
 Pyskają iskry, — polyska błonie,
 Śmigają sanki, — już świta! świta!
 Na niebie błednie czoło księżycy,
 Droga skończona, — oto granica.
 Wstrzymaj rumaka! wstrzymaj rumaka!
 Noc rozwidniała,
 Zagrzmiały działa.
 Oto jest kulik Polaka!

Juljusz Słowacki (1809—1849).

Objaśnienia: *Zapusty*, karnawał, czas zabaw od Nowego Roku do Wielkiego postu. — *Kaganiec*, koszyk żelazny albo garnek z palącym się wewnątrz ogniem, używany do świecenia. — *Družba*, męczyzna, towarzyszący panu młodemu przy ślubie. — *Swat*, ten, co swata, co kojarzy małżeństwo. — *Calun*, zasłona, zszyta z dużych kawałków materji; prześcieradło; nakrycie żalobne trumny. — *Truna*, trumna. — *Androny*, brednie, głupstwa. — *Pamfil*, walet treflowy lub dama w kartach. — *Dej algierski*, przywódca wojska tureckiego w Algierze, pozbawiony władzy przez Francuzów w 1830 r. — *Karol X Filip*, król francuski od 1824 (po bracie Ludwiku XVIII). Przeciwnego wszelkim reformom powstanie lipcowe 1830 r. pozbawiło tronu. — *Delfin*, następca tronu we Francji. — *Może kto czwarty i t. d.* Ma tu poeta na myśli cara Mikołaja, pozbawionego tronu polskiego na posiedzeniu w d. 25 stycznia 1831 r. — *Kozera*, atu, w kartach kolor, bijący inne. — *Błękitne papiery*, papiery wartościowe, ruble. — *Spadły na cztery*, wartość papierów zmniejszyła się, obniżyła w stosunku do pieniądza innego kraju. — *Maszkarą* (z włosk.) maska, przebranie. — *Maskarada*, zabawa, której uczestnicy występują w maskach i przebraniu. — *Nieszpory sycylijskie*, nazwa powstania ludowego w Palermo (w Sycylii) 30 marca 1282 r. przeciwko Francuzom, wykonanego podczas nieszporów (z łac. vesperae, nabożeństwo kościelne zwykle przedwieczorne na uczczenie pogrzebu Chrystusa). Do powstania w Palermo przylączyły się inne miasta Sycylii, wyгнаły Francuzów; dynastję andegaweńską wyłączono od tronu sycylijskiego. — *Neapol*. Ma tu może autor na myśli powstanie Mazaniella (1647) przeciw panowaniu Hiszpanów. — *Minna*, Mina don Franciszek Espozy (1784—1836) bronił niepodległości Hiszpanji w wojnie z Francją 1808—13, a wewnątrz kraju w 1822 walczył z przeciwnikami konstytucji, zwolennikami rządów despotycznych Ferdynanda VII. Podobnie Mina don Ksawery (1788—1817), krewny poprzedniego, walczył z Francją i bronił konstytucji. Poeta ma tu zapewne na myśli wyprawę don Franciszka z Anglii, gdzie

szukał schronienia, do Hiszpanji, dokonaną pod wpływem rewolucji lipcowej we Francji. W październiku 1830 r. Francuzi jednak rozbili jego oddział i zatrzymali. — 3 grudnia powstał Rząd Tymczasowy Królestwa Polskiego. Duch rewolucyjny ogarnął całą Warszawę i armję.

POŻEGNANIE.

Panna młoda jak jagoda, Stojąc we drzwiach, płacze:	»Za wygraną zmów co rano Trzy Zdrowaś i Wierzę: Kto pobożny I ostrożny, Tego i Bóg strzeże.«
»Kiedyż ja cię W naszej chacie Tu znowu zobaczę?«	
Przed dziewczyną, przed maliną Stoi chłopak zbrojny, A koń wrony Kulbaczony Rwie się niespokojny.	Rzekła — płacze — wrona kracze, A to znak złowrogi. Nie pomoże; Święty Boże! Kraj nad wszystko drogi.

Ciężka droga, bo na wroga — Nie rwij się, koniku! W krwawem polu W srogim bolu Legnie was bez liku.	Przyjął krzyżyk i skaplerzyk, Westchnął — dosiadł konia — Skinął głową: »Bądź mi zdrowa! I ruszył wzdłuż błonia.
---	--

»Idź, gdy trzeba! Niech cię nieba, Niech cię Bóg prowadzi! Lecz ten krzyżyk I skaplerzyk W boju nie zawadzi.	Ale prędzej z szarej przedzy Srebrna nić wypłynie, Niż we swaty Do jej chaty Staś kiedy zawinie.
--	--

Wincenty Pol (1807—1872).

Objaśnienia: *Wrony*, czarny, ciemny. — *Szkaplerz*, skaplerz, dwa małe złożone z sobą kawałki jakiejś tkaniny, na których wyszyte inicjały Chrystusa i Matki Boskiej. Poświęcane noszą się na szyi. — *Wrona kracze*. Krakanie wrony lub kruka lud uważa za zapowiedź nieszczęścia. Przesąd, rozpowszechniony w Europie. Dla odwrócenia nieszczęścia należy przeżegnać się, w niektórych okolicach zalecają jednorazowe lub trzykrotne splunięcie.

PIEŚŃ LUDOWA.

W kalinowym lasku płoskowie śpiewają,
 Bo mego Jasieńka na wojnę wołają.
 Już go nie wołają, bo go zawołali:
 »Komu mię oddajes, mój Jasiu kochany?«

»Oddaję cię Bogu, który jest na niebie.
Za trzy rocki, za dwa wrócę się do ciebie«.

Już trzy lata wysło, Jasiénka nie widać!
»Mój mie mocny Boże! będę go wyglądać!«

Wysła na góreckę: ułaniki jadą,
»Jasiénka nie widać, ino konia wiedą«.

»Nie płac, Kasiu, nie płac Jasia zabitego:
Jedzie nos tu tysiąc, wybierz se którego«.

»Choćby wos jechało i trzysta tysięcy,
To już moje ocka nie pożą na więcy!«

Objaśnienia: Pieśń ludu nadrabskiego (Raba, prawy dopływ Wisły, biorący początek w Beskidach). Gwara małopolska.

DZIADUNIO.

Nic po dziaduniu nam nie zostało,
Ot, za puściznę rodzinną całą
Szczerbiałe szlify podporucznika
I głos, co serca wnuków przenika...

Stara melodia piosnki ułańskiej,
Wola Ojczyzny całej, bezpieczeństwa,
Na ostrzu lancy pisana sława:
Iganie, Grochów, Wola, Warszawa...

Białych rabatów wizja daleka,
Przeszłość, co znikła, przyszłość, co czeka,
I wspomnieniami bitew osnuta
Gwizdana codzien mazurka nuta...

Krzyżyk Virtuti na zblakłej wstążce
I nie spisane dla innych w książce
Żołnierskie czyny: pod Dębem rana,
Krew za Ojczyzny wolność przelana.

Zdzisław Dębicki.

Objaśnienia: *Bezpański*, tu = wolny. — *Iganie*, wieś w pow. siedleckim woj. lubelskiego na lewym brzegu Muchawki, pamiętna bitwą 10 kwietnia 1831, w której gen. Prądzyński pobił na głowę wojska rosyjskie pod wodzą Rosena. — *Grochów*, wieś w pow. warszawskim, przylegająca do Pragi, pamiętna krwawą bitwą 24 i 25 lutego 1831 r. między wojskiem rosyjskim, dowodzonym przez Dybicza, a polskim pod dowództwem Chłopickiego. — *Wola*, wieś pod Warszawą, słynna bohaterską obroną d. 6 września, zakoń-

czoną śmiercią generała Sowińskiego i zdobyciem szanów przez Rosjan. — Obrona Warszawy 7-go września. — *Rabaty*, wyłogi odmiennego koloru na ubiorze wojskowym. — *Virtuti militari* (dzielności wojskowej). Order, ustanowiony przez Stanisława Augusta podczas wojny w r. 1792, był powleczony czarną emalją, miał napis »Virtuti militari«, rozdzielony na 4 ramiona, i orła białego na tarczy złotej we środku; na stronie odwrotnej, nicemaljowanej, na tarczy Pogoń litewską i rok 1792, a na czterech ramionach krzyża litery S(tanislaus) A(ugustus) R(ex) P(oloniae). Krzyż noszono na wstążce niebieskiej z czarnym brzegiem. Po upadku Rzeczypospolitej wskrzesił order Napoleon I, w 1807 r. Fryderyk August, król saski i książę warszawski, podzielił go na pięć klas, Aleksander I, nadając konstytucję Królestwu, utrzymał dawne order, a więc i »Virtuti militari«. — *Wielkie Dembe*, wieś w pow. nowomińskim, pamiętna zwycięstwem wojska polskiego nad Rosjanami 30 marca 1831. Wsławił się tam pułk czwarty piechoty pod Bogusławskim i jazda Skarżyńskiego.

PIĘKNOŚĆ MIAST.

Są miasta piękne i brzydkie. To wiadomo powszechnie, lecz może nieszczęsny zdajemy sobie jasno sprawę, na czem ta różnica polega.

Gdy chcemy wskazać miasto wyjątkowo piękne, malownicze, poetyczne, przytaczamy nie Odessę, Petersburg, Berlin lub Nowy-Jork, lecz Wenecję, Florencję, Pragę, Norymbergę, Gdańsk, a z miast polskich nie bogatą, fabryczną Łódź, ale ubogi Kraków, a nawet drugorzędny Tarnów, Przemyśl lub małe Krosno i Biecz. Szereg przykładów możnaby przedłużać, wymieniając liczne jeszcze miejscowości niemieckie, francuskie, włoskie i hiszpańskie.

Co mają wspólnego miasta, które nazywamy pięknymi, jakich warunków potrzeba, żeby nam się podobały? Cechami temi nie są zamożność, wzorowe i postępowe urządzenia, okazałe gmachy, ulice i place; nie wystarcza samo piękne położenie. Wszak Petersburg i Nowy-Jork leżą nad wspaniałymi rzekami i nad pięknymi zatokami morskimi, a monotonnemu i sztywnemu Berlinowi nie brak ani komfortu, czystości, oświetlenia i wygodnych komunikacji, ani pompatycznych ulic i budynków. Zapewne, że malownicza okolica dodaje wiele uroku Florencji i Pradze, a górzysy teren podnosi wdzięk Perugji, Sieny — jednak stary Wrocław z jego ratuszem, rynkiem, kościołami i szczytowemi domami działa na nas silnie, choć miasto leży w jednostajnej, zupełnie płaskiej równinie. Cieszymy się ciasnym śródmieściem Monachjum, a nowsze części miasta, ich długie, proste, przestronne ulice z pinakotekami, gliptoteką i propileami mają w sobie coś dla nas wymuszonego i pretensjonalnego, znajdujemy je zimnymi i martwymi.

Imponują nam wielkie stolice nowożytnie lub środowiska ru-

chu handlowego, podziwiamy ich urządzenia zdrowotne, ułatwienia wygod i rozrywek; lubimy w nich mieszkać i zabawić się; do naszej wyobraźni, uczucia i smaku estetycznego bardziej przemawiają osady dawne, zwłaszcza te, z których murów najsilniej wieje duch średniowiecza. Tam jedziemy choć na krótko, gdy szukamy nastroju artystycznego, gdy chcemy orzeźwić się i podnieść na duchu widokiem prawdziwie pięknej całości, pięknego obrazu miasta. Ta atmosfera średniowieczna działa na nas upajająco, jak dobra muzyka, jak poemat. Urok taki da się wytłumaczyć sposobem powstania i wzrostu miast średniowiecznych.

Dawne osady miejskie w Europie mają kilka typów. Klimatowi ciepłemu i wpływowi wschodu maurytańskiego przypisać należy owe labirynty uliczek wąskich i krętych, często bez wyjścia, które stanowią cechę południa Włoch i Hiszpanji. Miasta Włoch środkowych i północnych — o ile nie budowały się na pierwotnym planie etruskim, zwykle ciasnym i zawilim, brały za wzór Rzym, na którym pojęcia i potrzeby państwa wielkoświatowego, tudzież rozwinięta urzędowa inżynierja i sztuka budownicza wycisnęły swe piętno. Widzimy tam nierzadko długie ulice i wielkie place, otoczone wspaniałymi gmachami publicznymi.

W południowych Niemczech i w południowej Francji wiele miast wyrosło na miejscu starych obozów rzymskich, murowanych, regularnych castrów lub castellów, zakładanych zwykle na równinie lub płaskim wzgórzu, obwiedzionych prostokątnym murem, o ścianach, przerywanych bramami. Wszystko tam miało swoje z góry wyznaczone miejsce, plan był schematyczny, kilka ulic przecinało się pod kątem prostym. Powoli, zewnątrz murów obwodowych osiedlali się tubylcy, głównie przekupnie i rękodzielnicy, domy ich stawały wzdłuż dróg, prowadzących do bram obozu. Potem zaludniało się wewnątrz czworoboku, opuszczonego przez załogę, a zabudowania jego cywilne stosowały się do dawnych fundamentów i dawnego planu ogólnego.

Odmienny znów był typ miast w środkowych i dolnych Niemczech. Nas obchodzą one najwięcej, gdyż nie tylko geograficznie są nam najbliższe, ale postacią i sposobem powstania starym miastom polskim najbardziej pokrewne. Były te miasta wytworem życia wyłącznie mieszczańskiego. Początek dawał im najczęściej kościół, klasztor lub gród książęcy. W czasach, kiedy w tych krajach budowano jeszcze przeważnie z drzewa, gmach taki większy, murowany bywał jedynym punktem stałym i bezpiecznym w miejscowości i jej sąsiedztwie. Do niego w chwilach rozruchów wojennych chroniła się ludność okoliczna z dobytkiem swoim. Na gród obie-

rano ile możliwości miejsce z natury obronne, w pobliżu drogi handlowej, więc skałę, wzgórze, brzeg wysoki nad większą rzeką, przy brodzie lub przewozie (który później zamieniał się na most). W epokach, kiedy rzeki wśród równin jeszcze rozlewały się w szerokie i nieprzebyte moczary, brzeg wyższy i suchy ułatwiał dostęp do przewozu. Takiemu położeniu zawdzięcza nawet swą nazwę jedna ze stolic piastowskich na Śląsku, Brzeg (niem. Brieg) nad Odrą. Wyjątkowo i tylko w całkiem płaskich nizinach wznoszono zamki wśród bagien, w pierścieniu obwarowań ziemnych, które razem z wodą czyniły twierdzę niedostępną.

U stóp zamku lub w cieniu kościoła wyrastała osada, związek przyszęłego miasta. Mieszkańcy, trudnościami komunikacji i niebezpieczeństwami podróży odcięci od świata, zdani przeważnie na siebie, musieli sobie sami radzić w codziennych potrzebach życia. Wyrabiano lub przetwarzano do użytku prawie wszystko, w co trzeba było zaopatrzyć ludność. Rękodzielnicy, kupcy i zawodowcy wszelkiego rodzaju łączyli się w cechy. Członkowie cechów osiedlali się gromadnie w pewnych dzielnicach miasta, mieli nieraz swoje ulice. W Krakowie śladem tego są do dziś dnia ulice: Szewska, Stolarska i inne.

Pierwotnie ulice trzymały się niewątpliwie starych szlaków. Czasem zaczęto je trasować z pewną myślą i programem. Interes wymagał w okolicy środka miasta placu większego, gdzieby się mogły odbywać targi, i gdzieby »pospólstwo miejskie«, t. j. zbiór mieszczan, uprawnionych do zabierania głosu w sprawach publicznych, mogło się zgromadzać dla narad i dla uroczystości. Albo wszystkie główne ulice miały swoje ujście w takim rynku, albo też, szczególnie w miastach mniejszych, główna arterja komunikacyjna, droga handlowa, łącząca miasta i kraje, przechodziła bokiem, co placowi zapewniało większy spokój, a jarmarkom i zebraniom ludu zostawiało większą swobodę. Czasem z góry obmyślano kilka placów.

Na rynku głównym koncentrowało się życie. Tu stawał ratusz, siedziba władz administracyjnych i sądowych. Pod jego ochroną skupiał się ruch kupiecki, dla którego niekiedy w większych miastach handlowych stawiano osobne kramy i składy, rzędami szeregowane w jedną lub kilka ulic; jeżeli takie ulice dla większej wygody nakryto dachem, a budynki doprowadzono do pewnej zgody, powstawały wielkie hale targowe, zamieniane potem w gmach jednolity, monumentalny, jakiego wzorem są nasze Sukiennice. Na boczne mniejsze place przesuвано specjalne gałęzie

handlu. Tak krakowski Mały Rynek przeznaczony był na sprzedaż mięsa i starzyzny.

To odnosiło się do potrzeb codziennych i wymagań wygody.

Drugim warunkiem było bezpieczeństwo, obrona życia i mienia mieszkańców przed napadem z zewnątrz. W miarę jak wzrastała osada, zamek już nie wystarczał do pomieszczenia ludności, uciekającej przed wrogiem. Samo miasto musiało stać się zamkiem. Otrzymywało mury warowne z bramami i basztami. Obwód kolisty był najłatwiejszym do bronięcia, wymagał najmniejszej liczby obrońców. Stąd plany miast dawnych często zbliżone są do koła, ulicami podzielonego w szachownicę. Jeżeli zamek stał w środku, kształt ten mógł być wcale regularny! W innych razach, np. w Krakowie, położenie nie pozwalało zbudować miasta inaczej, jak w bok od zamku, po jednej jego stronie. Zamek, zewnątrz stojący, łączono czasem z murami miejskimi, lecz reszta miasta otrzymywała mimo to obwód, łukiem zakreślony.

Z pracy mierniczej, którą znać w planach miast średniowiecznych, nie wynikała wszakże geometryczna bezwzględność, ani martwa sztywność. Przedewszystkiem liczone się z terenem i danymi warunkami. Czyniono wyłomy w symetrii, by zastosować czasem całą część miasta do wzniesienia naturalnego lub parowu, do biegu rzeki. Rzędy domów zbaczały z linii prostej, by ominąć zamek, kościół lub inny gmach, oddawna istniejący. Ulice, w zasadzie proste, rzadko bywały prostymi w rzeczywistości. Trzymano się w nich obranego kierunku, ale nie sznura. Zaginała się nieraz linja fasad, zmieniała szerokość ulicy w różnych miejscach. Poziom także szedł dość wiernie za nierównościami gruntu.

Malowniczości i życia dodawała sama architektura. Parcele były różnej miary, przeważnie wąskie. Każdy stawiał dom dla siebie według własnego upodobania. Stosownie do tego normował rozkład i hale pięter. Budowano według utartych tradycji miejscowych, bo ludzie mało podróżowali, mało świata widzieli, wprowadzanie obcych pomysłów i nowinek stylowych było utrudnione. W układzie i wysokości domów uwzględniano także kształt parceli, topograficzne położenie. Fantazja i zmysł estetyczny odgrywały również swoją rolę, niemniej ambicja, żeby zewnętrzny wygląd domu był oryginalny i piękny. Dziwić się nieraz trzeba, jak starannie i ze smakiem zdobiono fasadę, której na wąskiej ulicy nawet dobrze przypatrzeć się nie można. Linje regulacyjne nie zakazywały wzniesienia wysokich, zbieżnych i krzywizn. Wszystko to razem nadawało domom cechę oryginalną, indywidualną i rodzimą, a zewnętrznej ich stronie odpowiadało wnętrze, zastosowane do potrzeb

mieszkańców i ich pojęć o wygodzie — swojskie i miłe. Z takich budynków złożone ulice były urozmaicone, ożywione, zajmujące. Wypaczenia pozwalały spocząć na perspektywicznych widokach rzędów fasad, zaciekawiały i nęciły przechodnia coraz zmieniającymi się obrazami, ciągłymi niespodziankami. Perspektywę głównych arterij ruchu zamykały fantastyczne bramy i wieże murów obwodowych. Miasta nie były szablonowo podobne do siebie; każde miało odrębną postać i wygląd, który silnie i sympatycznie wbijał się w pamięć. Powstawało naturalnie, z planem i ładem, który nie krepował swobody i fantazji.

Miasta tego rodzaju nie potrzeba szukać daleko: stary Kraków dostarcza nam takiego przykładu i takich wrażeń, mimo, że klęski wojenne, zubożenie, a przedewszystkiem pożar 1850 r. szatę zewnętrzną domów mocno nadwerężyły, obraz miasta w niejednym szczególe spospolitowały.

Stanisław Tomkowicz.

Objaśnienia: *Tarnów*, starożytne miasto w woj. krakowskim nad Dunajcem. — *Przemysł*, w woj. lwowskim między rzekami Sanem i Warem, występuje w dziejach już w X w. — *Krosno* nad Wisłoką w woj. lwowskim, słynęło za czasów Kazimierza W. z handlu i przemysłu. — *Biecz*, starożytne miasto nad Libuszą, dopływem Wisłoki, w woj. krakowskim. — *Komfort* (z ang.), wytworność, wykwinność. — *Pompacyjny*, okazały, wspaniały. — *Perugia* czyt. Perudżja, u stóp Apeninów w pobliżu Tybra, stolica włoskiej prowincji Umbrii. — *Siena* w dawnej Toskanji, stolica prowincji Sieny, malowniczo położona na wzniesieniu wśród urodzajnych pól, pełna wspaniałych gmachów średniowiecznych i późniejszych. — *Pinakoteka* (z gr.), gmach, przeznaczony na zbiory sztuki. — *Gliptoteka* (z gr.), gmach, przeznaczony na zbiór rzeźb. — *Propileje* (z gr.), portyk, tworzący wejście do świątyni; budynek z kolumnadą. — *Pretensjonalny*, przesadny, pozujący. — *Maurylański*, tu arabski. — *Labirynt*, budowla, o wielu zawile połączonych komnatach, wśród których można zbłądzić; tu zawiły spłot. — *Etruskowie*, dawni mieszkańcy zachodniej części Włoch między Apeninami i Tybrem. — Czytaj *kastrów* lub *kastellów*. *Castra*, orum = obóz, *castellum* = forteczka. — *Schematyczny*, przedstawiający ogólny wzór. — *Tubylec*, *leca*, stały mieszkaniec, człowiek urodzony w kraju, o którym mowa. — *Trasować*, wytykać kierunek drogi. — *Arterja* (z greck.) albo tętnica, naczynie krwionośne, prowadzące krew z serca do wszystkich części ciała; tu użyto przenośnie. — *Koncentrować*, skupiać. — *Kram* (z niem.) sklep do sprzedaży towarów cząstkowej, sklepik, stragan. — *Miernicza praca*, praca miernika, zajmującego się pomiarami i podziałem gruntów. — *Symetria*, tu podział na połowy, części, odpowiadające sobie. — *Fasada*, przednia, frontowa część budowli. — *Architektura*, kształt, sposób budowania. — *Parcela*, część. — *Topograficzne położenie*, szczegółowe położenie jakiegoś miejsca. — *Regulacyjny*, przymiotnik od regulacja, doprowadzenie do pewnej prawidłowości, sprostowanie. — *Perspektywiczny widok*, widok fasad od najbliższych do najdalszych. — *Szablonowy*, przystosowany do szablonu, jednego wzoru, jednej formy, miary; pospolity.

PETERSBURG.

(URYWEK).

Za dawnych greckich i italskich czasów
Lud się budował pod przybytkiem Boga,
Nad źródłem nimfy, pośród świętych lasów,
Albo na górach chronił się od wroga.
Tak zbudowano Ateny, Rzym, Spartę. —
W wieku gotyckim pod wieżą barona,
Gdzie była cała okolic obrona,
Stawały chaty do wałów przyparte
Albo, pilnując spławnej rzeki cieków,
Rosły powoli z postępami wieków.
Wszystkie te miasta jakieś bóstwo wzniosło,
Jakiś obrońca lub jakieś rzemiosło.

Ruskiej stolicy jakież są początki?
Skąd się zachciało sławiańskim tysiącom
Leżeć w te ostatnie swoich dzierżaw kątki,
Wydarte świeżo morzu i Czuchoncom?
Tu grunt nie daje owoców ni chleba,
Wiatry przynoszą tylko śnieg i słoty:
Tu zbyt gorące lub zbyt zimne nieba,
Srogie i zmienne, jak humor despoty!
Nie chcieli ludzie; — błotne okolice
Car upodobał i stawić rozkazał
Nie miasto ludziom, lecz sobie stolicę:
Car tu wszechmocność woli swej pokazał.
Wgłąb ciekłych piasków i błotnych zatopów
Rozkazał wpędzić sto tysięcy palów
I wdeptać ciała stu tysięcy chłopów.
Potem na palach i ciałach Moskałów
Grunt założywszy, inne pokolenia
Zaprzął do taczek, do wozów, okrętów
Sprowadzać drzewo i sztuki kamienia
Z dalekich lądów i z morskich odmętów.

Przypomniał Paryż — wnet paryskie place
Kazał budować. Widział Amsterdamy —
Wnet wpuścił wodę i porobił tamy.
Słyszał, że w Rzymie są wielkie pałace —
Pałace stają. Wenecka stolica,
Co w pół na ziemi, a do pasa w wodzie

Pływa, jak piękna syrena-dziewica,
Uderza cara — i zaraz w swym grodzie
Porzwał błotniste kanałami pole,
Zawiesił mosty i puścił gondole.
Ma Wenecyją, Paryż, Londyn drugi,
Prócz ich piękności, poloru, żeglugi.
U architektów sławne jest przysłowie,
Że ludzi ręką był Rzym budowany,
A Wenecyją stawiali bogowie;
Ale kto widział Petersburg, ten powie,
Że budowały go chyba szatany.

Adam Mickiewicz (1798—1855).

Objaśnienia: *Gotycki*, tu średniowieczny. W sztuce, specjalnie w architekturze nazwa ta oznacza sposób budowania, styl, odznaczający się łukami ostremi i wieżami wysokimi i wysmukłymi. Wyraz pochodzi od nazwy plemienia germańskiego Gotów. — *Baron*, niezawisły, szlacheckiego pochodzenia pan. — *Dzierżawa*, strpol. majątność, posiadłość. — *Wydarte świeżo i t. d.* Petersburg zbudowano przy ujściu do zatoki Fińskiej rzeki Newy, która, rozdzielając się w mieście na trzy koryta, tworzy 15 większych lub mniejszych wysp. Pierwsze fundamenty przyszłej stolicy carów założył w r. 1703 Piotr I, zwany Wielkim (1672—1725). — *Czuchoncy*, lud, należący do plemienia Finów, Finnów rasy mongolskiej, zamieszkujący północne i wschodnie pobrzeże morza Bałtyckiego. Petersburg stanął na miejscu forteczki szwedzkiej Nien-schantz, zdobytej przez Piotra w 1702 r. w wojnie północnej z Karolem XII, w której Piotr występował jako sprzymierzeniec Danji, Saksonji i Polski (Augusta II). Okolice Petersburga obfitują w wody i bagna, grunt jest nieurodzajny, klimat zimny i szkodliwy. — *Despota*, władca, rządzący według swego widzimisię. — *Amsterdam* w Holandji, stare miasto zbudowane nad Zuidersee w kształcie półksiężyca na 90 wyspach, utworzonych przez rzekę Amstel, powiązane 300 mostami, ozdobione wieżycami kościołów, należy do piękniejszych miast Europy, nazwane Wenecją północną. Od zatoki Ej pobudowano liczne tamy, które chronią miasto od zalewów morskich. — *Syreny*, w mitologii greckiej boginki morskie, wyobrażane z głową kobiecą, resztą ciała ptasią. Czaraowały śpiewem i uśmiercały ludzi. Później nadano tę nazwę istotom o postaci pół kobiet, pół ryb. — *Gondola*, łódź wenecka o łagodnie wygiętych, wydłużonych kształtach. — *Polor*, ogłada, cywilizacja.

POMNIK PIOTRA WIELKIEGO.

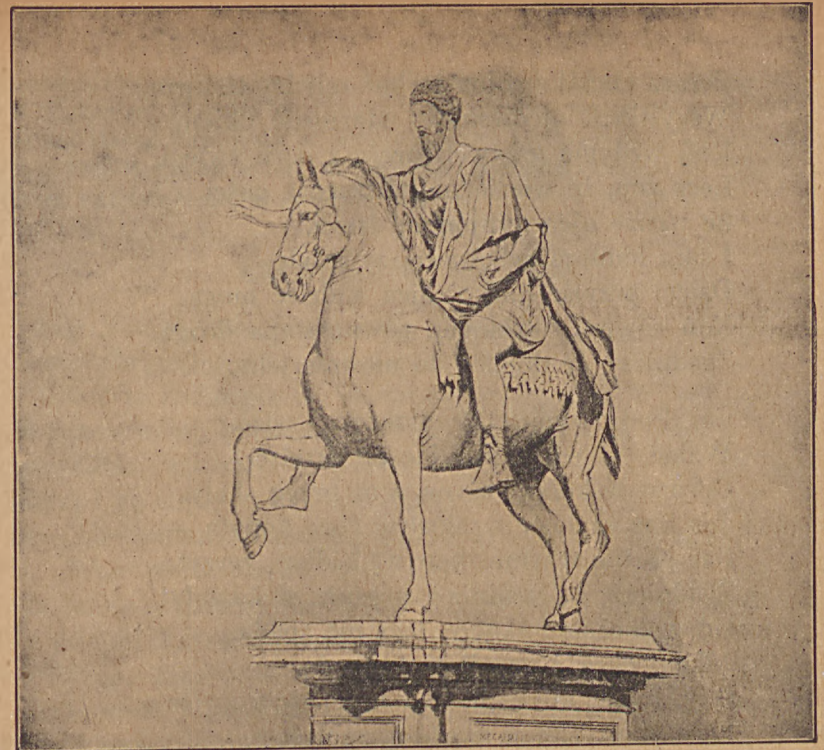
Z wieczora na dżdżu stali dwaj młodzieńce
Pod jednym płaszczem, wzięwszy się za ręce:
Jeden, ów pielgrzym, przybylec z zachodu,
Nieznana carskiej ofiara przemocy;
Drugi był wieszczem ruskiego narodu,
Sławny pieśniami na całej północy.

Znali się z sobą niedługo, lecz wiele —
I od dni kilku już są przyjaciela.
Ich dusze, wyższe nad ziemne przeszkody,
Jako dwie Alpów spokrewnione skały,
Choć je na wieki rozerwał nurt wody,
Ledwo szum słyszą swej nieprzyjaciółki,
Chyląc ku sobie podniebne wierzchołki.
Pielgrzym coś dumął nad Piotra kolosem,
A wieszcz rosyjski tak rzekł cichym głosem:

»Pierwszemu z carów, co te zrobił cuda,
Druga carowa pamiętnik stawiała.
Już car, odlany w kształcie wielkoluda,
Siadł na brązowym grzbiecie bucefała
I miejsca czekał, gdzieby wjechał konno.
Lecz Piotr na własnej ziemi stać nie może,
W ojczyźnie jemu nie dosyć przestronno;
Po grunt dla niego posłano za morze.
Posłano wyrwać z finlandzkich nadbrzeży
Wzgórek granitu; ten na pani słowo
Płynie po morzu i po lądzie bieży,
I w mieście pada nawznak przed carową.
Już wzgórek gotów: leci car miedziany,
Car knutowładny w todze Rzymianina —
Wskakuje rumak na granitu ściany,
Staje na brzegu i w górę się wspina.

Nie w tej postawie świeci w starym Rzymie
Kochanek ludów, ów Marek Aureli;
Który tem naprzód rozślawił swe imię,
Że wygnał szpiegów i donosicieli;
A kiedy zdzierców domowych poskromił,
Gdy nad brzegami Renu i Paktolu
Hordy najeźdźców barbarzyńskich zgromił,
Do spokojnego wraca Kapitolu:

Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło,
Na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa;
Rękę poważnie wznosił, jak gdyby wkoło
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa,
A drugą rękę opuścił na wodze,
Rumaka swego zapędy ukraca.
Zgadniesz, że mnogi lud tam stał na drodze
I krzyczał: »Cesarz, ojciec nasz, powraca!«



Cesarz chciał zwolna jechać między tłokiem,
 Wszystkich ojcowskiem udarować okiem.
 Koń wzdyma grzywę, żarem z oczu świeci,
 Lecz zna, że wiezie najmilszego z gości,
 Że wiezie ojca milionom dzieci,
 I sam hamuje ogień swej żywości;
 Dzieci przyjsć blisko, ojca widzieć mogą.
 Koń równym krokiem, równą stąpa drogą,
 Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności.

Car Piotr wypuścił rumakowi wodze,
 Widać, że leciał, tratując po drodze,
 Odrazu wskoczył aż na sam brzeg skały.
 Już koń szalony wznosił w górę kopyta —
 Car go nie trzyma, koń wędzidłem zgrzyta,
 Zgadniesz, że spadnie i prysnie w kawały!
 Od wieku stoi, skacze, lecz nie spada,
 Jako lecąca z granitów kaskada,
 Gdy, ścięta mrozem, nad przepaścią zwiśnie...
 Lecz, skoro słońce swobody zablyśnie,
 I wiatr zachodni ogrzeje te państwa,
 I cóż się stanie z kaskadą tyranstwa?»

Adam Mickiewicz (1798—1855).

Objaśnienia: *Pomnik* bronzowy cara w Petersburgu. Na granitowej podstawie napis łaciński: »Petro primo Catharina secunda« (Piotrowi pierwszemu Katarzyna druga). Twórcą pomnika jest rzeźbiarz francuski Etienne Maurice Falconet (1761—1791), który pracował w Rosji od 1766 do 1778 i wówczas w ciągu lat 15 (1765—1770) wykończył to dzieło. Głowę Piotra robila uczennica Falconeta Marja Antonina Collot. — *Przybylec z zachodu*. Skazany za należenie do związku Filomatów i Filaretów na wyjazd do Rosji, Mickiewicz przebywał tu od 1824 do 1829 r. i wówczas poznał »wieszczka ruskiego narodu« — Aleksandra Puszkina (1799—1837). — *Co te zrobił cuda*, zbudował Petersburg. — *Pamiętnik* (ros. pamiatnik) = pomnik. — *Bucefal*, nazwa sławnego konia Aleksandra Wielkiego, tu przenośnia: koń, dziki, wspaniały. — *Knulowladny* (z knut + władać). Knut rosyjski = bat. — *Toga*, szata zwierzchnia rzymska złożona w kształcie półkola o średnicy 6 metrów, zwykle z białej materji z czerwonym szlakiem. Jeden jej koniec przerzucano przez plecy i lewe ramię, drugi pod prawem ramieniem, przez piersi na lewe ramię, bądź zatykano za pas lub wreszcie trzymano w ręce (zwyczaj mówców) dla piękności ruchu. — *Marek Aureli*, Antonin. Marcus Annius Aurelius Verus, cesarz rzymski (161—180) jeden z najlepszych, walczył pomyślnie na Wschodzie z Partami, których państwo obejmowało kraje między Eufratem a Indusem, morzem Kaspijskiem i oceanem Indyjskim, na północy z Germanami (Markomanami i Kwadami), którzy przeszli nawet Alpy i wtargnęli do Włoch północnych (174—8). Filozof łagodny, troskliwy o losy powierzzonego mu pań-

stwa, pozostawił piękną księgę p. t. »Rozmyślenia. Ksiąg dwanaście pamiętnika«. (Polski jej przekład M. Reitera wyszedł we Lwowie 1913 r.). W uznaniu zasług Marka Aureliusza w wojnie z Markomanami senat wznosił mu posąg konny na Kapitolu, w twierdzy Rzymu. — *Paktol*, rzeczka w Lidji w Azji Mniejszej, znajdował się w niej piasek złoty. — *Wodze*, cugle.

ZAĆMIENIE SŁOŃCA.

Tego i tego dnia, o tej i tej godzinie i minucie nastąpić ma zaćmienie słońca.

Więć ta rozbiegła się wśród ludu i aż na dno jego zapuściła ostrze przestrachu. Usłyszeli ją nawet pastuszki najmniejsze i starcy najzgrzybialsi, słyszały żniwiarki z czołami najobfitszym potem oblanemi i gwarzyły o niej wśród żniw i potu, gdyż ta rzecz niesłychana i niesłychanie straszna przyjsć miała właśnie zaraz po żniwach. Więć pocóż żniwa, poco trud, poco nadzieja, skoro i tak wkrótce słońce zgaśnie, ziemia stanie w ciemnościach, i nastąpi skóńczenie świata? Każda zapowiedź zaćmienia słońca jest dla ludu nadniemeńskiego zapowiedzią skóńczenia świata. Kościoły napęlniają się modlitwami i płaczem, robotom polnym grozi ustanie. Potem wpływy i wyjaśnienia różne koją nieco trwogę, która jednak tylko na dno dusz spływa i tam żyć nie przestaje, przyczajona, sycona krążącemi baśniami o zagrażających słońcu pożarciem lub rozbiem niebieskich smokach, kometach.

Miało to nastąpić zrana, niewiele po wschodzie słońca. Niebo zrazu pochmurne wyjaśniło się pod oczyszczającym je biczem wiatru; z za chmur, błakających się po horyzoncie, złota kula słoneczna wytoczyła się na błękit gorący, gdzie niegdzie poplamiony smugami szarych obłoków.

Żadne złe przeczucie nie malowało się na złotej twarzy słońca; była ona owszem jasna, pogodna, spokojna, i szło od niej z łagodnym blaskiem miłe, nieupalne ciepło. Trawy i drzewa, nieczupelnie z porannej rosy oschłe, świeciły rozsypanemi brylantami; wiatr niesilny szemrał w drzewach, i szumiął od niego las. Niemen w głębokiej kotlinie płynął błękitnie, tu i ówdzie odbijając szare smugi obłoków albo na migotliwe iskry rozkruszając w falach promienie słoneczne. Zdaleka, na żółtych ugorach, pasło się rude bydło; u dalekiego również zakrętu Niemna piaszczysty brzeg lśnił wyiskrzonym złotem. Aż powieki mrużyły się, tak wielkie było lśnienie tej wysokiej ściany, stojącej nad wspaniałe zaokrągłajacem się błękitnem ramieniem Niemna.

Wszystko było, jak bywa zwykle w pogodny sierpniowy poranek. Tylko na wybrzeżu tu i ówdzie stały gromadki ludzkie, od

których wiało oczekiwanie skupione i trwożne. Milczały i patrzyły na niebo, na słońce. Rozglądają się po niebie, jakby szukając na niem potwora, który już już miał powietrzem przypłynąć i pożreć promienistą kulę niebieską, źródło światła i ciepła. Za gromadkami ludzkimi przybiegały psy wiejskie, żółte lub łaciaste kundły, kundlate i z ruchami niespokojnymi, węsząc, biegały po wybrzeżu.

Zamiast wyglądaniego potwora przypłynęła powietrzem podłużna smuga chmury mętnej i przysłoniła słońce. Gromadki ludzkie zaruszały się niespokojnie, lecz wnet znieruchomiały znowu i zaświeciły bukietami przybliżonych ku sobie twarzy, tak pobladych, że aż białych. Żrenice ich rozszerzyły się i osłupiały, oddechy stanęły w piersiach. Bo w powietrzu poczęło zmierzchać, i czuć było, że za tą chmurą, która przysłania słońce, staje się coś ciemnego i ciężkiego, że wielki moment przybywa...

Na tle zmierzchu uwypuklały się blade twarze ludzi i z drżeniem wszystkich członków tulące się do kolan ludzkich psy. Drzewa napęliły się spiesznem trzepotaniem skrzydeł i trwożnymi wolaniami matek ptasich, zlatujących na gniazda. Żalosalne ryczenia przychodziły z dalekich ugorów, po których w bezładnym biegu rozpraszała się ruda trzoda...

W miarę, jak zmierzch gęstniał, wody Niemna ciemniały i poczynały toczyć na falach jakieś białawe, trupie połyski. Nie było już na niebie i rzece ani kawałka błękitu, nie było na całym świecie ani kropli zieloności, ani iskry blasku... świat okrywał się ciemnością i nabrzmiewał lękiem. Powietrze kładło się na ziemię nieruchome i chłodne, jak ręce trupie.

Tak upłynęła odrobina czasu, aż z nagłością wielką zmierzch gęsty przemienił się w ciemność zupełną. Była to ciemność czarna, zupełnie i grubiej czarna od najczarniejszej nocy, i jednocześnie z tą czarnością spadła cisza zupełniejsza od wszelkich zwykłych cisz, przypominająca z natarczywością nieodpartą grób, nic, tylko grób. Świat stanął w ciemności, chłodzie i ciszy grobu.

Raz, i jeszcze raz, jak przeciągłe hasło żałoby, ciemność i ciszę przerznęło zawycie psa. Odpowiedziało mu szlochliwe, ostro zakończone zalamowanie kobiece, i potem przez kilka mgnień oka znowu nic...

Wtem w oddaleniu dość znacznem zabrzmiał i potężnie rozpłynął się po grobowej ciemności i ciszy wielki chór głosów silnych, męskich, śpiewających psalm ufności i nadziei:

»Kto się w opiekę poda Panu swemu,
A całym sercem szczerze ufa Jemu...«

Zdawać się mogło, że od tej nuty chóralnej, uroczystej i od tych słów, z których każde rozbrzmiewało wyraźnie i odrębnie, ciemność drgnęła, i zrzęda jej gruba, ponura tkanina. Stało się tak, jak bywa o świtanu: mętnie, biało i błękitnawo.

Chór oddalony śpiewał:

»On twoją tarczą, On twój puklerz mocny,
Za którym stojąc, na żaden strach nocny,
Na żadną trwogę ani dbaj na strzały...«

Jednocześnie w mętnie białem i błękitnawem świetle, z za wysokiej, ciemnej teraz ściany wybrzeża wychylać się i na zaokrąglone ramię Niemna jeden po drugim wypływać poczęły długie, płaskie płyty z pozapalanemi ognikami, które drgały i migotały, nakształt nieśmiałych gwiazdek poczynającego się wschodu...

U ogników coraz wyraźniej zarysowywały się stojące postaci ludzi, wciąż wzbijających w powietrze, które się rozwidniało, chóralną, potężną pieśń:

»Iżes rzekł Panu: Tyś ucieczka moja,
Sam Bóg najwyższy jest obrona twoja...«

Flisacy to, Lidzianie czy Nowogrodzianie, lub Mińszczanie, gdy w drodze dalekiej zaskoczył ich na kryształowym gościńcu grobowy moment ziemi, hymn ufności i nadziei wzbili za nią ku niebu.

Ogromna malowniczość i uroczystość biła od tych wypływających z ciemności i po ciemnych jeszcze wodach posuwających się statków, światełek, ludzi i tonów.

Lecz niebo i woda stawały się coraz więcej jasne i błękitne, drzewa wyraźnie oderżnęły się od zmroku, i jak o wschodzie dnia zaświegotało w nich ptactwo, aż z okrywających ją zasłon rozebrana zajaśniała twarz słońca nienaruszona, cała, jak przedtem złota, łagodna i spokojna.

Wówczas z drzew nadbrzeżnych i z lasu wybuchnął ogłuszający krzyk i śpiew ptaków, gamy wesółych śmiechów ludzkich potoczyły się blisko i daleko, zieloność zabłyszczała brylantami, Niemien popłynął błękitem i ogniem, a po falach jego, jaskółkom czy strzałom podobne, mknęły czółenka rybackie i sunęły poważnie płyty pozłoczone, wiozące znowu od Kalifa Bagdadu dla królowej ulubionej szaty złote w podarunku ślubnym.

W świat odrodzony z pozłoczonych płytów wzbila się chóralna nuta ostatniego wiersza hymnu:

»Dam życie, całość, szczęście i zbawienie!«

Eliza Orzeszkowa (1834—1910).

Objaśnienia: *Ugór*, pole po zebraniem zboża odlegiem leżące, próżnujące. — *Kundel*, pies podwórzowy albo owczarski, pospolity pies wiejski. — *Psalm*, pieśń religijna, wyrażająca smutek, żal, dziękczynienie, prośbę i t. d. Zbiór 150 psalmów, zawartych w Piśmie św., nosi nazwę psalmów Dawidowych. Psalm przytoczony 91. — *Puklerz*, tarcza okrągła, wypukła w środku. — *Płyt*, u, staropol. część tratwy, zbita z kilku lub kilkunastu kłoców; tu widocznie całe tratwy. — *Flisak*, majtek rzeczny, spławiający wodą zboże i drzewo. — *Lida*, miasto w okręgu wileńskim nad rzeką Lidzieją. — *Nowogródek* w Wilnošczyźnie. — *Mińsk* nad Świsłoczą, dopływem Berezyny, miasto starożytne główne Mińszczyzny. — *KaliŃ*, *chaliŃ*, następca Mahometa, władca Arabów. — *Bagdad*, silnie obwarowane miasto w Azji, na obu brzegach rzeki Tygrys, zbudowane w 762—766 i przeznaczone na stolicę, do najwyższej świętości podniesione przez kalifa Harun-Al-Raszyda (766—800). Życie jego i rządy stały się przedmiotem licznych opowieści, zabarwionych fantastycznie (w zbiorze z XV w. p. t. »Tysiąc nocy i jedna«). Do tych opowieści nawiązuje autorka.

O MODLITWIE.

Dzicy i prymitywni ludzie modlą się tylko o materialne dobra dla siebie; wyższy już jest stopień tych, którzy korzyść społeczeństwa wciągają do swej prośby. Stary Kato uczy rolnika rzymskiego błagać boga, aby tenże był życzliwym »mihi, domo familiaeque nostrae«. Ponad ten najniższy szczebel egoizmu religijnego wznosi się nieco stara modlitwa ateńska, w której proszono Zeusa o rosę niebiańską w następnych wyrazach: »Puść deszcz, puść deszcz, drogi Zeusie, na mieszkańców Aten i (sąsiednich) Pediajów«. Tu altruizm sięgnął do sąsiada. Szersze on otrzymał granice, gdy się modlono za lud cały, jak to u Persów było starym zwyczajem i prawem. Ale poza prośbę o materialne dobra myśl ani uczucie jeszcze prawie się nie wznosi, i ludzie nie wiedzą jeszcze, że modlitwa może się obywać bez prośby, a może być świadectwem miłości i świadectwem przywiązania, rozmową z Tym, którego się ukochało nadewszystko, homilia pros ton theon, jak się wyraził Clemens Alexandrinus. I ludzie nie wiedzą najczęściej jeszcze, że człowiek może Bogu pozostawić zupełną dowolność w szafowaniu dobrami, jak już napomknął Sokrates, ten sam Sokrates, który w przeddzień grożącej mu śmierci wypowiedział pamiętne słowa: »Jeżeli tak bogom się podoba, niechaj się tak stanie«. Ta modlitwa znalazła jednak już wielkie uznanie w tej szkole filozoficznej, w której myśl ludzka i dusza ludzka przed Chrystusem najwyższe etyczne osiągnęła wyżyny. Stoicy, który od III wieku przed Chrystusem zaczęli działać, a w Rzymie niebawem dochodzą do wszechwładnego wpływu, głosili co do stosunku człowieka do bogów rozmaite nauki. Raz twierdzili, że wszyskciem tu na świecie rządzi konieczność i przeznaczenie, i że dlatego wszelka prośba jest bezcelowa

i bezskuteczna; innym razem chcieli ratować modlitwę, ale zarazem ją uszlachetnić. A więc głosili, że zewnętrzne dobra podlegają prawu niezłomnemu przyrody i przeznaczenia, że jednak we wnętrzu duszy ludzkiej panuje prawo wolności, w tym więc zakresie można bogów prosić o łaski i pozyskać sobie ich błogosławieństwo. Hasłem tedy ich było, aby człowiek zanosił modły o dobrą i sprawiedliwą myśl, *b o n a m e n s i m e n s s a n a*, a nie o bogactwa, zdrowie i dobra materialne. Filozof na tronie Cezarów, Marek Aureli, radził ludziom, by nie błagali o zsyłanie szczęścia lub odwrócenie moru, lecz o to, aby Bóg im dał łaskę niepożądania niczego, wyzwolił ich od obaw i strachu przed klęską, dał im myśl zdrową i spokojną, *m e n s s a n a*. Te nauki natchnęły satyryków i moralistów rzymskich I-go wieku cesarstwa do wysmagania modlitw, kałających świątynie. Persius w drugiej swej satyrze, napiętnował tajne pospólstwa prośby, wyszeptywane do bogów, które domagają się prywatnych zysków, a nawet śmierci bliźniego, jeżeli im na drodze szczęścia zawadzi; wystąpił przeciw kupczeniu i targowaniu się z bogami zapomocą ofiar kosztownych. Dusza czysta jest według niego najlepszą dla bogów ofiarą. Po nim Juvenalis w dziesiątej satyrze wyszydzał pożałdliwe prośby ludzkości, przedkładane w świątyniach. *Ut sit mens sana in corpore sano* — to według niego powinno być jedyną modlitwą szlachetnej duszy. I podobne zdania rozbrzmiewały wtedy w Rzymie przez usta Seneki, który mówił, że człowiek to, coby ukrył przed bliźnim, śmie wyjawiać przed bogiem, następnie zaś przez usta Greka Epikteta i cesarza Marka Aurelego. Słowa Sokratesa o zdaniu się na wolę bożą uznawali oni za hasło i ideał, a modlitwą więzienną Sokratesa: »Jeżeli tak bogom się podoba, niechaj się tak stanie«, kończy się sławny podręcznik Epikteta, który odgrywał rolę naszej *Imitatio* w pogańskim świecie.

Był więc niewątpliwy postęp w pojęciach i duszach: od dawnych oschłych formulek i zabobonu do nauki stoickiej odstęp jest ogromny. Przełom stanowczy przyszedł jednak skądinąd. W progu cesarskiej epoki, kiedy odświeżano pamięć Sokratesa, zdającego się na bogów wolę, pokrewna i potężniejsza modlitwa zażbrniała gdzieś na dalekim Wschodzie, pod wioską judajską Gethsemani; w przededniu śmierci wypowiedział Chrystus modlący się po trzykroć pamiętne słowa: »Ojcze mój, jeżeli nie może ten kielich odejść, jedno abym go pił: niech się dzieje wola Twoja, fiat voluntas Tua«. Słowa te odbiły się i odbijają się po dziś dzień tysięcznym echem na całej ziemi. Prośba smutnych i nieszczęśliwych miała więc być zdaniem się na wolę Bożą. Nie do tego jednak ograna-

niczyć się miało zadanie i posłannictwo modlitwy. Ważność jej stała się jednym z węglów Ewangelji; odczuwano jej potrzebę gwałtownie i miano przeświadczenie, że duch ludzki nowych wyrazów i form potrzebuje do obcowania z Bogiem. Dlatego też, gdy Chrystus był na »niektórem miejscu, modląc się, gdy powstał, rzekł do Niego jeden z uczniów Jego: »Panie, naucz nas modlić się!« A Chrystus w odpowiedzi na tę prośbę zwrócił przedewszystkiem uwagę na to, co słyszał naokół w pogańskich świątyniach, aby słowem wyzwalającym zerwać z tem, co panowało na ziemi. »A modląc się, nie mówcie wiele, jako poganie, albowiem mniemają, że w wielomówności swojej będą wysłuchani«. Przypomniał więc Chrystus owe drobnostkowe wymianki nazw i przymiotników, owe zakłęcia, pełne powszednich szczegółów i pragnień. A potem dał uczniom tę modlitwę, zaczynającą się od słów: »Ojczy nasz, któryś jest w niebiesiach«, która jest najwznioślejszą pieśnią na wzrost chwały Bożej na ziemi, najszlachetniejszą prośbą, bo wykluczającą ludzkie »ja« i jego pożądania, modlitwą nawskróś społeczną, zaprzeczeniem tego wszystkiego, o co dusze poziome, pełzające po szarych powszedniości nizinach, dotąd bóstwo błagały, a wreszcie słowem, wyznającym przekupniów, tych wszystkich, co po świątyniach frymarczyli i targowali się z bogami. Ostały się i ostać się mogą w cieniu obok tej prośby modlitwy indywidualne; o nich przecie myślał Chrystus Pan w kazaniu na górze, kiedy mówił: »Ale ty, gdy się modlić będziesz, wnijdź do komory, a zawarłszy drzwi, módl się Ojcu twemu w skrytości«. Wymierzone to przeciwko chępiącym się nabożnością Faryzeuszom, lecz godzi także w pogan, u których prośba publiczna i głośna za właściwą modlitwę po wszystkie czasy uchodziła.

Według miary duszy miewają te ciche rozmowy z Bogiem i dziś jeszcze wznioślejsze poloty lub niższe poziomy, bo człowiek błąka się wśród nędz swoich i nie wie często, jak do Boga przemówić: »O coabyśmy prosić mieli, jako potrzeba nie wiemy«, pisał św. Paweł do Rzymian. Ale tenże sam Apostoł pogan wspominał przytem o gemitus inenarrabiles, t. j. o »wzdychaniach niewymownych« jako innej jeszcze formie modlitwy, poddanej nam przez Ducha św., który w nas żyje. Owe »wzdychania niewymowne« to prośby bez słów, które jak dzwony zakłęte drgają na dnie każdej duszy szlachetnej, rwącej się do tego, aby lepiej się działo na ziemi, wstępują i towarzyszą każdej pracy, podjętej dla chwały Boga i na pożytek narodu.

Kazimierz Morawski.

Objaśnienia: *Prymitywny*, pierwotny, prosty. — *Cato Marcus Porcius, Censorius*, także *Sapiens* (mądry), *Priscus* (stary), *Major* (starszy, 234—149) mąż stanu i mówca rzymski, wielbiciel starorzymskiej prostoty, surowości obyczajów, wróg Kartaginy. Pozostały po nim fragmenty mów, ułamki dzieła historycznego i dzieło o rolnictwie. — *Mihi, domo i t. d.* = mnie, domowi i rodzinie. — *Egoizm*, samolubstwo. — *Pediajowie*, mieszkańcy nie Aten, lecz Attyki w przeciwstawieniu do ludności miejskiej i mieszkańców po-brzeży. — *Homilia pros ton theon* (greck.) = rozmowa z Bogiem, obcowanie z Bogiem. — *Clemens Alexandrinus*, Klemens Aleksandryjski, Tytus Flawjusz (zmarł około 220 r.), jeden z najznakomitszych nauczycieli kościoła chrześcijańskiego, był najpierw filozofem pogańskim. Zostawił »Napomnienie do pogan« — obronę chrześcijaństwa, »Pedagoga« — nauki dla nawróconego poganina i wreszcie »Dywany« — rozważanie różnych zagadnień filozoficznych. — *Sokrates* (ur. około 470, zmarł 399), wielki myśliciel starożytności. Oskarżony o nieuznawanie bogów i psucie młodzieży w poczuciu słuszności swej sprawy spokojnie przyjął wyrok śmierci i wypił truciznę. — *Szkola filozoficzna*, zespół ludzi, połączonych jednakowemi poglądami na wszechświat, człowieka, życie. — *Etyczny*, dotyczący cnót i obowiązków. — *Marek Aureli*, patrz objaśnienie na str. 210. — *Persius Flaccus* (34—62), jeden z najcelniejszych satyryków rzymskich. Zostało po nim 6 satyr. — *Juvenalis Decimus Junius* żył w drugiej połowie I w. po Chrystusie; jeden z najdzielniejszych satyryków, bezwzględnie odsłaniający zepsucie ówczesnego Rzymu. Zostało po nim kilkanaście satyr. — *Ut sit mens sana i t. d.* (wyjątek z X satyry Juvenalisa) = dobra i sprawiedliwa myśl w zdrowem ciele. — *Seneka*, patrz objaśnienia na str. 82 i list (str. 80). — *Epiktet* żył w I w. po Chrystusie, filozof stoicki grecki. Zostawił »Podręcznik« moralności stoickiej. — *Imitatio* = naśladowanie. »O naśladowaniu Chrystusa«, książka łacińska świątobliwego Agustjanina, Tomaszka a Kempisa (z Kempen, 1380—1471). Wydana po raz pierwszy w 1486 r., rozpowszechniła się w niezliczonej liczbie wydań i przekładów na wszystkie języki. — *Gethsemani*, mała zagroda, złożona z ogrodu oliwnego i zabudowań u stóp góry Oliwnej, o kilkaset kroków od Jerozolimy, miejsce ostatniej modlitwy i pojmania Chrystusa. — *Kielich* boleści, męki i śmierci. — »Na niektórem miejscu« i t. d. Ewangelja Łukasza rozdz. 10 i Mateusza 6. — *Frymarczyć*, wystawiać na handel, kupeczyć. — *Modlitwy indywidualne*; prośby osobiste. — *Faryzeusze*, trzymający się ściśle zakonu Mojżeszowego, tradycji i starych zwyczajów, często tylko obłudnicy i świętoszki. — *Święty Paweł*, pierwotnie Faryzeusz, prześladowca chrześcijan, później nawrócił się i został najgorliwszym obrońcą i krzewicielem chrześcijaństwa. Zmarł około 65 r. po Chrystusie.

MODLITWA PIELGRZYMA.

Panie Boże wszechmogący! Dzieci Narodu wojennego wznoszą ku Tobie ręce bezbronne z różnych końców świata. Wołają do Ciebie z głębi kopalni syberyjskich i ze śniegów Kamczackich, i ze stepów Algieru, i z Francji, ziemi cudzej. A w Ojczyźnie naszej, w Polsce, wiernej Tobie, nie wolno jest wołać do Ciebie; i starcy nasi, kobiety i dzieci modlą się do Ciebie w skrytości, myślą i łzami. Boże Jagiellonów! Boże Sobieskich! Boże Kościuszków! zlituj się nad Ojczyzną naszą i nad nami. Pozwól nam modlić się znowu do

Ciebie obyczajem przodków na polu bitwy z bronią w rękę, przed ołtarzem, zrobionym z bębnow i dział, pod baldachimem, zrobionym z orłów i chorągwi naszych; a rodzinie naszej pozwól modlić się w kościołach miast naszych i wiosek naszych, a dzieciom na grobach naszych. A wszakże niech się stanie nie nasza wola, ale Twoja. Amen.

Adam Mickiewicz (1798—1855).

Objaśnienia: *Modlitwa pielgrzyma* jest wyjątkiem z »Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa«, wydanych bezimiennie w Paryżu 1832 r., a napisanych przez Mickiewicza po upadku powstania 1831 r. dla całego narodu, szczególnie zaś dla emigrantów żołnierzy i wodzów powstania, przebywających we Francji. — *Syberja*, rozległa płaszczyna między górami Altaj na południu, Uralskimi na zachodzie, morzem Ochockiem i Kamczackiem na wschodzie i oceanem Północnym. Miejsce zesłania za czasów rządów rosyjskich w Polsce. — *Kamczatka*, wielki półwysep na krańcu północno-wschodniej Azji, otoczony morzem Beryngskim i częścią zatoki Beryngskiej, za rządów rosyjskich w Polsce miejsce zesłania skazańców politycznych. — *Algerja*, do r. 1830 holdownicze państwo tureckie, później kolonia francuska na północnym brzegu Afryki; graniczy na północ z morzem Śródziemnym, na wschód z Tunisiem, na południe z pustynią Sahary, na zachód z Marokiem. Po roku 1830 rząd francuski utworzył *legjon zagraniczny*, którego przeznaczeniem było walczyć w Algerji z miejscową ludnością. Do legjonów należeli Włosi, Hiszpanie, Niemcy i pewna liczba Polaków, prześladowanych przez rząd francuski.

NIM SŁOŃCE WEJDZIE, ROSA WYŻRE OCZY.

O, wiem, że Polska bój zwycięski toczy,
O, nie zginęła i nigdy nie zginie —
Lecz my, czy ujrzym ją w chwały godzinie?

Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy.
I będzie wielka, i będzie wspaniała,
Lecz robak trumien wprzód może nas stoczy,
Niejedna w świecie tkwi rozłbicia skala —

Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy.
Ach, płyną lata, ach, płyną i wieki,
Nim się myśl Boża w ciało przeistoczy;
Zguba wciąż bliska, a triumf daleki —

Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy.
My tak kochali — a pili truciznę,
My tak żyć chcieli — a żyli w zamroczu;
Inni, ach, będą oglądać ojczyznę —

Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy.

Zygmunt Krasiński (1812—1859).

Objaśnienia: *Nim słońce wejdzie i t. d.* Przysłowie, oparte na wierzeniu ludowym w szkodliwość rosy. — *Zamrocz*, mrok, ciemność.

PROŚBA.

Błogosław, Boże, rolnika dłoni,
Nie dopuść nigdy nań głodu!
Gdy sieje, niech mu skowronek dzwoni,
Gdy zbiera, użyż mu chłodu.

Błogosław ludziom, którzy Twą wolę
Spełniają w bratniej miłości!
Jasną im ciszą opromień dole,
Twój anioł niech u nich gości!

Nam, budzicieli wielkich, o Panie,
Harfiarzy daj miłujących —
A kiedy naród zbudzon powstanie,
Daj wodzów, w naród wierzących!

Mieczysław Romanowski (1834—1863).

Objaśnienia do obrazów: Dwa reprodukowane obrazy wyjęte są z cyklu Artura Grottgera (1836—1867) p. n. »Wojna«. Cykl ten z 10-ciu obrazów opracowywał artysta przez czas dłuższy i wykończył w roku zgonu, jest więc »Wojna« ostatniem wielkiem dziełem Grottgera. Tytuły obrazów cyklu są następujące: I — »Pójdź ze mną przez padół placzu« (pierwszy podany tutaj); II — »Losowanie rekrutów«; III — »Pożegnanie«; IV — »Pożoga« (drugi podany tutaj); V — »Głód«; VI — »Zdrada i kara«; VII — »Ludzie czy szakale«; VIII — »Już tylko nędza«; IX — »Świętokradztwo«; X — »Ludzkości, ty rodzie Kaina«. — Często z tym cyklem łączą jeszcze dwa obrazy Grottgera: »Upostaciowanie wojny« i »Kometa«. — *Padół*, dolina głęboka, nizina. — *Przez padół placzu*. Zwrot z pięknej pieśni »Salve Regina«, »Witaj królowo«, ze zdania: »Ad te suspiramus gementes et flentes in hac lacrimarum valle« = »Do Ciebie wzdychamy, jęcząc i płacząc na tym padole placzu« (dosł. łez). Pieśń powstała między VI-ym i XI-ym wiekiem, śpiewali ją rycerze pierwszej wyprawy krzyżowej, żeglarze wybrzeży hiszpańskich.

JAK ELIZA ORZESZKOWA OCALIŁA ROMUALDA TRAUGUTTA.

Było to w lipcu 1863 r., kiedy po kilkakrotnych zwycięskich walkach z wojskiem rosyjskiem oddział powstańczy Romualda Traugutta odniósł porażkę pod Kołodnem, nagromadzone zaś w znacznej ilości wojska rosyjskie zagrażały poważnie oddziałowi. Traugutt rozkazał swoim różnemi drogami przebijać się ku Kobryń-



szczyźnie, sam zaś postanowił dostać się do Królestwa i zbliżyć do ogniska działania.

Podróż wszakże najezona była niebezpieczeństwami. Władze rosyjskie gorączkowo poszukiwały Traugutta: w każdym miasteczku, w każdej osadzie, na drogach i w zasadzkach wszędzie strażę, czyhający żandarmi, kozactwo. Traugutt krył się coraz to w innym domu obywatelskim, pragnąc nie życie, którem gardził, ale działalność swą wyzwolenczą zachować. Pod skrzydła domu swojego przyjęła też wodza powstańczego Eliza Orzeszkowa, narażając bez wahania majątek swój i życie. Taki był wtedy w Kobryńskim sposób, że zaufani ludzie po dworach dniami i nocami wystawiali na dachach najwyższych budowli wiejskich, by w każdej chwili sygnalizować zbliżanie się Rosjan. Zjechała też wkrótce w pościgu za Trauguttem i do Ludwinowa żandarmerja z kozactwem, i tylko dzięki zręcznemu ukryciu powstańca w ogrodzie — pomimo przeszukiwań dworu, oficyn, folwarku, nawet ogrodu, nie zdołała polskiego wodza znaleźć. Najazd ten śledczy powtórzył się wkrótce, na szczęście również bezowocnie.

Traugutt postanowił jak najrychlej dostać się do Warszawy. Podróż jego w owej chwili była wysoce niebezpieczna wobec wzmożonej czujności władz, które wiedziały, iż wódz gdzieś krąży po powiecie Kobryńskim. Orzeszkowa tedy zaproponowała Trauguttowi, iż powiezie go ku granicy Królestwa we własnej karecie, jako chorego krewnego do lekarza. Myśl zamieniła się w czyn. W wytworzonej zaprzężonej karecie, w wykwintej, jak na młodą obywatelkę ziemską przystało, podróżnej odzieży wyjechała w drogę Orzeszkowa z gościem swoim, aby nadać podróży pozory zwykłości. Po pewnym czasie służący, wtajemniczony, więc bacznie patrzący z wysokości kozła, zwrócił uwagę jadących, iż w pewnej odległości rozoznaje wyraźnie na drodze stojący patrol żołnierski.

Uczuli podróżni całe niebezpieczeństwo, które obojgu im grozi — ale każde z nich poruszone było niebezpieczeństwem nie własnym. Należało bezwzględnie rozwiązać pytanie: zawrócić czy jechać dalej? Jedno i drugie postanowienie niemal równie niebezpieczne. Traugutt po rycersku pozostawił decyzję Orzeszkowej. Orzeszkowa czuła, iż zawracając — a była jeszcze pora — zyska możliwość ocalenia siebie, ale narazi tem bardziej Traugutta, dla którego przebicie się przez zachodni skraj Litwy w każdej innej formie równałoby się niewątpliwemu oddaniu się na pastwę wrogowi; postanowiła przeto nie cofać się, jechać dalej, biorąc wszystko na siebie i prosząc jedynie Traugutta, aby zachował się biernie, jak człowiek cierpiący.

Po kilku minutach odzywa się głos złowrogi: »Stoj!« — głos, grożący szubienicą zarówno Orzeszkowej, jak Trauguttowi.

Orzeszkowa, nie tracąc panowania nad sobą, otwiera drzwiczki karety, wychyla się i objaśnia spokojnie z grzecznym uśmiechem, iż wiezie do lekarza chorego kuzyna — kuzyn naturalnie odpowiednie dokumenty osobiste posiadał. Swoboda zachowania się, spokój, pewność siebie niepospolitej kobiety zmyliły podejrzliwość straży, i Orzeszkowa szczęśliwie z ocalonym Trauguttem pojechała dalej.

Według Henryka Nusbauma.

Objaśnienia: Eliza z Pawłowskich Orzeszkowa urodziła się w r. 1842 w Grodzieńszczyźnie, kształciła w Warszawie, wyszła za mąż za obywatela pow. Kobryńskiego (Kobryn nad Muchawcem, dopływem Bugu) i w Ludwinowie, wsi pow. Kobryńskiego, spędziła lata od 1858 do 1863; w 1864 wróciła do rodzinnej Milkowszczyzny w Grodzieńskim, wreszcie osiadła w Grodnie. Zmarła w r. 1910. — Romuald Traugutt (1826—1864) ur. we wsi Szostakowie województwa Brzeskiego, kształcił się w Akademji Inżynierów w Petersburgu, został następnie oficerem saperów (wojska, zajmującego się sypaniem szanców, zakładaniem min, kopaniem rowów i t. d.). Brał udział w wojnie Krymskiej (1853—56) między Rosją, domagającą się protektoratu nad kościołem greckim w Turcji, a odmawiającą Turcją, Anglią, Francją i Sardynją z drugiej strony. Ze stopniem podpułkownika porzucił służbę wojskową i osiadł na Litwie w Kobryńszczyźnie. Po wybuchu powstania w maju 1863 r. rozpoczął z oddziałem ze 160 ludzi walkę od szczęśliwej potyczki z Rosjanami pod Horokami na Polesiu pińskim. Pozbawiony żywności, staczając bitwy i utarczki z nieprzyjacielem posuwał się przez bagna w głąb Pińszczyzny ku dolnemu brzegowi Horynia (dopływ Prypeci). W bitwie pod Kołodnem (pow. Piński) 13 lipca oddział jego został rozproszony, a choć skupił się na nowo, wódz, chory z głodu i osłabienia wskutek nieustannego czuwania, nakazał przekradanie się dziesiątkami do Kobryńszczyzny, sam zaś ukrywał się, by wrócić do sił, poczem przez Kobryńskie i Podlasie przedostał się do Warszawy. Tu w ciągu sześciu miesięcy od 10 października 1863 do 10 kwietnia 1864 r. stał na czele Rządu Narodowego jako tajemny dyktator, kierując wszystkimi sprawami powstania. Aresztowany 10 kwietnia, został powieszony na stokach cytadeli 5 sierpnia 1864 r. — *Sygnalizować, oznajmiać.*

SAMOTNA SOSNA.

Droga pod lasem, złocona piaskiem,
Przy niej samotna sosna z obrazkiem
I zawieszony na dzień Zaduszek
Z nieśmiertelników mały wianuszek...

Na korze sosny, jak znaki święte,
Niezgrabną ręką w drzewie wycięte



Napół czytelne, krzywe litery
I rok pod niemi: sześćdziesiąt
[cztery...

Pod sosną leży — mówi poda-
[nie —
Leśnik, zabity tutaj w powsta-
[nie.
Zawsze procesja Bożego Ciała
Na miejscu tem się zatrzymy-
[wała...

A gdy ksiądz drzewo wodą po-
[kropi,
Przyklękowali w modlitwie
[chłopi,
I szmer szedł cichych w niebo
[pacierzy
Za ostatniego z polskich żoł-
[nierzy...
Z. Dębicki.

Objaśnienia: *Zaduszki*, dzień *Zaduszny* 2-go listopada, poświęcony pamięci zmarłych w Kościele katolickim, obchodzony mszą, procesją po cmentarzu lub kościele ze śpiewami i modłami za dusze zmarłych. — *Boże Ciało*, uroczystość uczczenia Sakramentu Ciała i Krwi Pańskiej, obchodzona w pierwszy czwartek po oktawie (ósmym dniu) po Zielonych Świątkach mszą, nieszporami — (z łac. *vesperae*, śpiewami przedwieczornemi i modlitwami) — wystawieniem Sakramentu, procesjami, podczas których u wystawionych na ten cel czterech ołtarzy śpiewane bywają początki Ewangelij.

CZEŚĆ III.

SKOWRONEK.

Z tych wszystkich, którzy za granicę uciekają, on pierwszy powrócił.

Toż zima trwała jeszcze, dopiero się luty skończył, i nie wiadomo było, co święty Maciej przyniesie, a ty, śpiewaku, już przybyłeś!

Przyleciał do nas wędrowiec, bliski krewniak czubatej dzierlatki, co to z nami zimuje, latuje i za pan brat z wróblami w śmieciach około chat grzebie. Ha, na roli się urodził, a rolnik punktualny być musi.

Cóż z tego, że on tylko śpiewa? Rola także piosnki potrzebuje.

Nie wabią go ogrody, gaje, zarośla, ale przestronne łąny z oziminami, łąki, pastwiska, ugory — step bodaj, byle miał dużo przestrzeni, gdy w górę wzleci i stamtąd na padole spojrzy.

Do bryłki ziemi zupełnie podobny. »Niech oraczowi nie będzie smutno, gdy rolę uprawia!« — rzekł Stwórca świata i w przestwory rzucił grudkę ziemi, a ta ożyła i zaczęła śpiewać.

On z ziemi lubi patrzeć w odkryte niebo, z pod nieba — na odkrytą ziemię.

Przycupnął też odrazu na ziemi, cichy, skromny, zapewne swe piosnki układa.

Jednego ranka słońce prześlicznie wzeszło, więc zaraz z pod skibki ziemi wychylił głowę, podskoczył żwawo parę razy i nucąc począł się w górę wznosić. Ach, jak ciepło, jak dobrze, jak pięknie! — Wiosna!

I jak tu nie śpiewać?! To też od wczesnego świtu do późnego zmierzchu pieśniom skowronczym końca niema.

Musi być pełen natchnienia, skoro tak śpiewa a śpiewa. Czyżby zawodził pieśń, gdyby nie miał nic do powiedzenia, gdyby serce jego było puste? O nie, skowronka tak jak człowieka uczucie zniewala, zmusza, aby się wypowiedzieć! Śpiewa, więc kocha.

Zywe uczucie jest proste; ale kiedy je wygłosić przychodzi, pieśń płynie bez końca, gdyż uczucie jest niewysłowione.

Dziwny twój zawód, pieśniarzu — opiewać światu swe szczęście, nadzieję, a może niedolę. Uczucie, niby błyskawica, przebiegło przez całą istność, jego echa rozlegają się po duszy, jego dreszcze przejmują cię całego, i musisz, koniecznie musisz się wypowiedzieć w pieśni...

Przecież on tylko śpiewa, a jednak najpierwszy z pracowników dziennych do pracy spieszy, ostatni na spoczynek idzie. Kocha widać tę sztukę i z całą namiętnością jej się oddaje.

Wzbija się oto po linii, skreślonej jak muszla, zatrzymuje się w powietrzu, trzepocze skrzydełkami, coś w rodzaju powietrznych płasów — rozpoczyna swe hymny. Zapala się, wzlatuje wyżej, wisi w błękitnie »jako plamka szara«, nareszcie zupełnie znika ze wzroku, i tylko dźwięki pieśni jego słycać.

W tych podobłocznych krainach istny gwar skowrończych pieśni — turniej bardów śpiewaków roli.

Ale wyczerpał się oto, czuje, że mu wkrótce zabraknie sił do pieśni i do górnego lotu.

Opada, zniża się powoli, to lekko spływa, rozpostarłszy skrzydła, to znów przystaje, wydobywa z siebie ostatnie dźwięki. Skończył, wyśpiewał już wszystko, tchu nie czuje w sobie... Zwinął skrzydła i jak kamień martwy całym pędem spadł na niwę swoją. Bo ten poeta-rolnik gospodaruje na swoim: całe pola dzielą się na posiadłości skowrończe, a właściciele pilnie strzegą praw dziedzictwa.

Naturalnie, że na przepisy takie bynajmniej nie zwraca uwagi krogulec, ów straszliwy, przed którym trwoga skowronka nie zna granic.

Ileż to razy zaśpiewany w górnych sferach pieśniarz pada ofiarą swego zachwyty, gdy go niespodzianie zaskoczy chytry drapieżnik!

O, i człowiek, niestety, nie ustępuje w okrucieństwie krogulcowi, gdy pragnie zaopatrzyć swą kuchnię i klatkę!...

Adolf Dygasiński (1839—1902).

Objaśnienia: *Święty Maciej* 24 lutego. Przysłowia: »Gdy Maciej święty cokolwiek lodu nie stopi, będą długo chuchali w zimne ręce chłopca.« »Jeśli mróz w święto Macieja, czterdzieści dni tegoż nadzieja.« »Na święty Maciej lody wróżą długie chłody, a gdy płyną już strugą, to i zimy niedługo.« — *Dzierlatka*, dłuższa od skowronka rolnego ze śpiczastym dzióbkiem, rzadko śpiewa w powietrzu. — *Punktualny*, stawiający się, przybywający, spełniający jakąś czynność ściśle na czas oznaczony. — *Ozimina*, zboże, siane na jesieni. — *Ugór*, pole, po zebraniem zbożu odłogiem leżące, próżnujące. —

»*Jako plamka szara*«. Wyrazy położono w cudzysłowie, są bowiem wyjęte z innego utworu, mianowicie z »*Farysa*« Mickiewicza. — *Turnieje*, igrzyska, zapasy, gonitwy rycerskie średniowieczne. — *Bard* (ze średniowiecz. łac.), pieśniarz, śpiewak.

KRAKOWIAK.

Jaśmont wpadł do gumna i zakręcił się na toku, wołając:

— Niechaj do tańca grają, już się nogi zwijają! Krakowiaka, Zaniewscy!

Zaniewscy po półgodzinnym odpoczynku na całe gumno zahuczeli różnym krakowiakiem, ale tańczyć go nie zaraz zaczęto, bo nie wszyscy taniec ten umieli, więc pary dobierały się z niejaką trudnością. Nakoniec dobrało się ich dwanaście z pierwszym družbantem na czele, który wołałby z Domuntówną, ale przez uszanowanie dla zwyczaju i osoby z pierwszą družką przodem pomknął, a wszyscy za nimi w podskokach biegli, głośne hołupce wybijając i zgrabnie, gibko wyginając się w strony obie.

Justyna niczem szczególnem nie wyróżniała się z grona tancererek. Mniej piękna od kruczowłosej Osipowiczówny, od Antolki, od Siemaszczanek zgrabniejszą nie była, ale miała w tańcu większą niż one powagę i grację. Więc lekko na ramieniu tancerza zwieszona, z półuśmiechem na ponsowych ustach, jak łabędź płynęła przodem korowodu, a widzowie, dokoła stojący i siedzący, patrząc na nią, głowami kiwali i szeptali, że z tak piękną panną miłoby było tańczyć do końca świata. Ale najuporczywiej i coraz ogniściej z nad rzędu kornetów i czepców ścigał ją wzrokiem Janek, coraz rozkoszniej uśmiechać się zaczynał, niecierpliwą stopą parę razy o tok uderzył, aż do kieszeni siermiężki sięgnął, bawełniane rękawiczki pospiesznie na ręce włożył i przez obsiadujące ławę niewiasty przeskoczył. Na ławie powstał krzyk i pisk; łokciami jego, a uchowaj Boże! i nogą może zaczepiony czepiek Giecołdowej na ucho jej się zsunął, co dzierzawczynię bardzo rozgniewało, a u jej sąsiadek wywołało głośne współbolewanie i tajemne śmiechy. Ale on, na zostawione za sobą miny i gniewy wcale się nie oglądając, parze, tańcowi przodującej, drogę zabiegł, rozgłośnie w dłonie uderzył i na całe gumno zawołał:

— Klaskanego!

Wszyscy wiedzieli, co to oznacza, więc tancerze natychmiast w tył się cofać zaczęli i obejmować panny, za nimi się znajdujące, a tancerka z pierwszej pary, jak ptak lekki i szczęśliwy, ze wznieścionymi ku niemu oczyma na ramię Jana spłynęła. On, po raz pierwszy kibić jej obejmując, ukropem na twarzy się oblał i wzro-

kiem w górę rzucił, lecz potem, jakby radością i dumą szalony, z głośnym holupcem nad ziemię się porwał i z ramieniem nieco podniesionem w górę, a twarzą ku twarzy tancerki schyloną szumnie i dumnie dokoła toku taneczny korowód prowadził.

— No! choć raz pięty do tańca poruszył! — zawołano w tłumie.

On zaś w tem miejscu, gdzie muzykanci siedzieli, stanął, inne pary zatrzymał i pięknym głosem nietylko na całe gumno, ale na ogród, drogę i szerokie pole zaśpiewał:

Świeci księżyc, świeci
Okolo północy;
Ciebie przestać kochać
Nie jest w mojej mocy!

Ten przyśpiewek poprostu zachwycił wszystkich, szczególnie kobietę. Aż w dłonie uderzyły i chichotały z uwielbienia. Póki dał się, to dał się, ale jak przestał, to już go nikt nie prześcignie, nawet pan Jaśmont, który ślicznie tańczy i jeszcze śliczniej mówi, ale do śpiewania to już bynajmniej nie zdalny. Jednak pierwszy družbant, czy to ambicją powodowany, czy dla rozweselenia Jadwigi, która nadęta i jak nieżywa poruszała się przy nim, na tem polu także popisać się próbował. Po kilku zwrotach tańca z kolei jak wryty stanął i bardzo cienkim dyszkantem niezupełnie na nutę krakowiaka zaśpiewał:

Powierzchność często myli,
Szczególniej kobiety;
Chociaż oczko łza umili,
Lecz serce... niestety!

I niepotrzebnie z Jankiem w zapasy wchodził, bo pokazało się, że wcale z czem popisywać się nie miał; i przyśpiewek niestosowny wynalazł, i w słuchaczach obudził zdziwienie: jakim sposobem taki duży mężczyzna mógł taki cienki głos z siebie dobywać.

Wzamian kruczowłosy Osipowicz z błękitnooką Cecylką Staniowską, jakby umyślnie przed matką jej stanąwszy, prawie tak pięknie jak Janek zaśpiewał:

Koło domu steczka,
Chowaj, matko, pieska:
Masz córeczkę ładną,
To ci ją ukradną!

I ogromny Domunt znowu z malutką Siemaszczanką raczej gromko, niż melodyjnie, krzyknął:

Za rzeką, za Niemnem, kukaweczka kuka,
Mam tego za dudka, kto posażnej szuka!

Ale krakowiak już się kończył, i inni, choćby chcieli, do śpiewania nie mieli czasu. A tylko Janek jeszcze, jak do przyśpiewków dał hasło, tak je i zakończył, nie w porę nawet, bo przed samym końcem tańca, krótko, lecz dobitnie wyśpiewując:

Najpierwsze kochanie kiedy serce chwyci,
Radością i smętkiem dosyć je nasyci!

Poczem zaraz tancerkę swoją jak piórko dokoła siebie okręcił i, na jedno kolano przed nią przypadając, rękę jej do ust przycisnął.

Eliza Orzeszkowa (1843—1910).

Objaśnienia: *Gumno*, budowla do składania i młócenia zboża, stodoła na zboże. — *Tok*, klepisko, ziemia uklepana w stodole, gdzie młóca. — *Družbant* (gwar.) = družba, mężczyzna, towarzyszący panu młodemu przy ślubie, należący do orszaku weselnego. Starszy družbant, swat, który przybywa z młodzianem prosić o rękę panny młodej, jest jakby gospodarzem w domu weselnym i kierownikiem uroczystości. — *Korowód*, pochód, orszak, koło. — *Kornet*, wysoki czepiec kobiecy muślinowy, gazowy, koronkowy lub siatkowy z szeroką wstążką. — *Siermięga*, grube wierzchnie odzienie ludowe, sukmana. — *Holupiec*, uderzenie do taktu obcasami. — *Dać się*, pysznić się; krzywić się, dąsać. — *Dyszkan*, najcieńszy głos w śpiewie.

DO ŁANÓW.

Łany i łany — jak zasięże oko!
I miło sercu i duszy szeroko,
Gdy wplaw się puści po tej kłósów fali
I żyznym światem płynie coraz dalej.

Więc witaj w Bogu ziemio urodzaju!
Błogosławieństwa! witaj chlebny kraju!

Jak czysta rozkosz cieszyć się bławatkami
I ludzkich dzieci szczęśliwym dostatkiem!
Jak wielka siła, co tworzy spokojnie,
Jak wielka łaska, co tak darzy hojnie!

Ileż miłości po tych miedzach siadło!
Z czyjej to ręki tyle ziarna padło?
Ileż nadziei zdano w dobrej wierze,
A nikt tych skarbów na polu nie strzeże!

Wielkie to znaki Opatrzności Bożej,
Że nad tem ziarnem sam Pan tylko czuwa,
I niebem swoim ponad rolę suwa,
Gdy kmieć na roli ziarno już położy.

Krzyżowa droga w łańcach się przewija,
I na rozstajnej drodze stoją krzyże,
I polny konik swoją piosnkę strzyże,
I płyną kłosa — lecz nie wiedzieć, czyja

Miedza i rola, i rozstajna droga,
Kto tutaj ziarno rzucił w dobrej wierze,
Kto krzyż postawił i poczcził tu Boga,
I czyja ręka ten plon jeszcze zbierze.

Wincenty Pol (1807—1872).

Objaśnienia: *Zasięże* = zasięgnie. — *Miedza*, pasek graniczny ziemi nieozoranej między dwiema rolami. — *Rozstajna droga*, rozdzielająca się, rozchodząca w różne strony; droga na skrzyżowaniu. — *Polny konik piosnkę strzyże* = śpiewa piosnkę, wydaje właściwy sobie głos.

WSPOMNIENIE Z MARYMONTU.

»Ej, ramię do ramienia! marsz, dzielne chłopaki! Uczyć będziemy naszych braci, jak sadzić ziemniaki!«

Tak śpiewano sobie ongi, — wychodząc na ekskursję botaniczną z ukochanym przewodnikiem naszym Wojciechem Jastrzębowskiem.

Na czele szedł krokiem dzielnym, posuwistym a miarowym nasz pocziwy Jastrząb. Tak zwaliśmy wszyscy nieocenionego profesora, — i wiedział on o tem, choć się z tem nigdy nie wydawał. Jastrzębiem zwaliśmy go nie tyle dla podobieństwa z nazwiskiem, ile dlatego, że chodził, kołysząc się lekko na nogach, jak on ptak, szybujący w powietrzu. Z pod srebrnych, długich rzęs wzrok jego chmurny gniewnie niby dokoła spoglądał; białe, sute brwi, zsuwając się ze sobą, zdawały się na pierwszy rzut oka znamieniem niezadowolenia lub gniewu; język, wydymający naprzemian to prawy, to lewy policzek, mocno ściągnięte usta nadawały mu pewien wyraz srogości. A jednak ta dusza dziwnej pogody, to serce matczynej prawie czułości rozplywały się na widok młodych orlików, garnących się pod skrzydła swego Jastrzębia. Zgarbiony pod ciężarem lat i trosk powszednich, wyprostowywał się drogi nasz przewodnik na widok dwustu młodzieńców, chciwych wiedzy, choć bardziej jeszcze figlów i zabawy spragnionych. Takich pokoleń wypiastował on już sporo; co rok przybywała mu setka, i co rok ojcowską ręką błogosławił on setce wychodzących w świat wychowańców, z których każdy najmilsze po sędziwym profesorze unosił wspomnienie. O... bo kochaliśmy go wszyscy, choć szorstko nieraz się z nami obchodził. Młodzieńcze serca nasze znajdowały od-

dźwięk w jego sercu — instynktem przeczuwaliśmy wszyscy, ile on nas kochał i jak rad był poświęcać się dla nas. Jeśli rzadki uśmiech przebiegł po ściągniętych zwykle ustach profesora, to echem zawtórowaliśmy mu wszyscy; gdy się nad jaką ciekawą rośliną zatrzymał, każdy miał sobie za obowiązek skoczyć po nią w rów lub wodę, byle zyskać do zielnika to, co jego uwagę zwróciło. Gdy na którym z nas wzrok dłużej zatrzymał, podbiegał każdy czem prędzej, by odgadnąć myśl staruszka, z którego słowo wydobyć było trudno.

Tajemna nić jakaś łączyła nas wszystkich ze starcem, — czuliśmy mimowoli zbawienny wpływ jego rad i nauk, a choć eleganckim paniczykom z domowej edukacji nieraz się dawał we znaki, gdy ich za glansowane rękawiczki i lakierowane buciki z ekskursji do gmachów wyprawiał; choć zrzędził czasem na rozpieszczonych jedynaczków, którzy mu w sporym marszu podolać nie mogli; choć zburczał nieraz dokumentnie nałogowych palaczy za *émidło* — cygaro i *kopcidło* — fajkę; choć wytrącił nieraz z rąk parasol, gdy go delikatniś który w deszczyk rozpostarł, — wiedzieliśmy jednak wszyscy, że to robił dla naszego dobra i dla dobra kraju, któremu tym sposobem przygotowywał obywateli jędrnych, krzepkich, zahartowanych, zdrowych na ciele i duszy. »Mens sana in corpore sano«.

Szliśmy tedy bez ładu i składu, jak stado owiec za swoim pasterzem, i jak ze stada uskoczy czasem owieczka, by skubnąć trawy na burcie, tak i z gromady naszej co chwila wyskakiwał na bok któryś z zagorzalszych botaników, by uszczknąć ciekawy jaki egzemplarz trawki lub ziela do blaszanej puszeki, którą się na plecach dźwigało. Za profesorem podążali botanicy z profesji, dyskutujący o genezie roślin, ich nazwach, cechach i odmianach; za tymi mniej świadomi, ale ciekawi nauki kandydaci na botaników; nieco dalej koledzy mniej ciekawi, jeszcze mniej świadomi, ale poczuwający się do obowiązku podążania razem; potem gromadka obojętnych, rozprawiająca o wszystkim, co tylko związku z ekskursją i botaniką nie miało; wreszcie na ostatku maruderzy, alias szary koniec.

Szary koniec składała Apostolka, to jest mieszkańcy numeru 12-go, mieszczącego w sobie dwanaście łóżek, dwanaście szafek, tyleż stołków i stolików, takąż ilość pieprzowych cybuchów, wreszcie dwunastu dziarskich chłopaków. Od apostołskiej tej cyfry numer zwał się Apostolką, a jego mieszkańcy apostołami. Nie byli to uczniowie celujący, bo w tak hałaśliwym towarzystwie uczyć się było trudniej; nie byli to młodzieńcy, dbali o zewnętrzną elegancję,

bo w tak licznej gromadzie odbywała się ustawiczna zmiana odzieży — ale natomiast byli to koledzy najszerszych poglądów na obowiązki koleżeńskie, najskłonniejsi do psich figlów, ale i do poświęceń zarazem — serca czyste i na usługi bliźnich wylane.

Ponieważ usposobienia żywe, śmiałe i wesołe, ale serdeczne i koleżeńskie zdobywają sobie między młodzieżą przewagę, mieszkający więc Apostołki stanowili pewnego rodzaju areopag, a numer, przez nich zamieszkały, był niejako trybunałem opinii publicznej. Z pomiędzy apostołów rekrutował się Wójt, wybierany większością głosów młodzieży, a w tejsze Apostołce, najobszerniejszej rozmiarami, odprawiano sądy, ilekroć który z kolegów, zawniwszy, przed takowe powołany bywał.

Szli więc na szarym końcu apostołowie, radząc o ważniejszych sprawach Instytutu, o zbliżających się egzaminach, o mającej się zebrać skłádce na rzecz biedniejszych współtowarzyszów, którzy po ukończeniu kursów i zrzuconiu dobrze już zniszczonych mundurów nie będą mieli środków na sprawienie sobie jakiej takiej odzieży cywilnej.

Narada miała się już ku końcowi, gdy oczom naszym ukazała się Czerwonka — owa karczma pamiętna uwieszeniem ostatniego króla.

— Czerwonka! — zagrzmiało na szarym końcu.

— Czerwonka! — powtórzyły nieco ciszej szeregi, naprzód wysunięte.

— Czerwonka! — szeptano wreszcie koło profesora i spoglądano nań, czy tam swych kroków nie skieruje.

Ale Jastrząb, jak gdyby tego nie słyszał, nie obejrzał się wcale: zmrużył oczy i, ścisnąwszy usta, po których byłyby może wtedy poczciwy uśmiech rad przeleciał — kroczył w stronę przeciwną.

Obudzone na chwilę nadzieje ustąpiły miejsca rozczarowaniu; bliżsi profesora, zwiesiwszy głowy, stłumione wydawali westchnienia, a środek tej małej armji głośniejsze nieco wzdychał. Zato westchnienia szarego końca przypominały ryk niedźwiadków, których nozdrza, w pierścień skute, targnął mongolski impresario.

Jastrząb kroczył naprzód, pozornie oddalał się coraz bardziej, aż nareszcie, gdyśmy już równolegle z traktem, do Czerwonki wiodącym, stanęli, zwrócił się do nas, jak wódz do swego plutonu i zakomenderowawszy: »Prawe ramię naprzód! marsz! — ruszył wprost do karczmy.

— Hura!... — wrzasnął szary koniec, wysuwając się naprzód, a odgłos zadowolenia, przebiegłszy po wszystkich szeregach, ozwał się echem w karczmie, na której progu ukazała się oberżystka, pani

Domagalska, otoczona sztabem płci żeńskiej, mając za sobą podwiązanego wiecznie małżonka i kilkoro odrośli zacnego rodu Domagalskich.

Przyjęcie było serdeczne, bo młodzież o krokodylich żołądkach cenną zawsze dla oberżystów stanowiła klientelę. Pani Domagalska z pomocą niewieściego sztabu w jednej chwili zniosła do obszernej izby wszystko, czem chała bogata: więc kilkanaście donic śmietany i zsiadłego mleka, parę kóp gomólek, kilkanaście sznurów dobrze już wyschłych serdelków, — setkę jaj na twardo, od tygodnia zapewne ugotowanych, — dwa kosze bułeczek, któreby niejedną mniej komunikacyjną ulicę zabrukować można, wreszcie baterję butelek piwa.

Szturm przypuszczono nie na żarty! Wbrew wszelkiej wojennej taktyce arjergarda szła pierwsza do ataku — więc apostołowie, rozsypani w tyraljerkę, zdobywali pierwsze łupy, za nimi środek kolumny, a najpilniejszym botanikom same się już resztki dostały.

Poczciwy Jastrząb, siadłszy na ławie, z radością przypatrywał się temu nieklammanemu życiu i byłby o sobie zapomniął, żeby nie pamięć wszystkich uczniów, którzy, z najlepszych łupów co najlepszego wybrałszy, składali przed nim na stole. Profesor na miseczkę nabrał zsiadłego mleka, posolił obficie, wkruszył w nie parę bułek, a zrobiwszy znak krzyża świętego, zaczął spożywać skromny posiłek, dając nam wszystkim hasło do rozpoczęcia uczy.

Nagle wśród ciszy, przerywanej tylko klaskaniem zgłodniałych podniebień i szumem płynącego w gardła nektaru, z ościenego alkierza ozwała się katarynka, ale katarynka, dobywająca tonów, na jakie się żadna orkiestra zdobyć nie zdoła.

Prąd elektryczny przebiegł po żyłach młodzieży. Oczy zabłysły nietajonym płomieniem, zadrgały nogi w takt oberka, którego dźwięki już się do izby przeniosły; nikt jednak ruszyć się nie śmiał, tylko wzrok wszystkich zwrócony był na kończącego swą strawę profesora. Ten usta otarł, zrobił znak krzyża, wstał, wyprostował się przez chwilę, a ujawszy w pas grubą oberżystkę, »Hu, ha!« wykrzyknął i puścił się z nią wkoło izby.

Tego tylko było nam potrzeba! Jak armja za chorążym, ruszyła młodź za ukochanym Jastrzębiem, ten chwytając pierwszą z brzoza dziewczuchę do tańca, ów pana Domagalskiego, inni wreszcie zawijając sami z sobą. Oberek szedł prawdziwie po kujawsku, na odbijanego, na odtupanego, na zawijanego... byle z życiem i szumem, z łoskotem i hałasem. Kurz podniósł się w izbie, jak po stardzie owiec na wygonie — opadł na chwilę, gdy młode pokolenie Domagalskich na rozkaz oberżystki lało wodę na podłogę, nie ba-

cząc, że się i tanecznikom obrywało, ale z pod złanej podłogi przybywał zaraz świeży tuman kurzu, nagromadzonego obficie między tarcicami i dobywanego hołupcami naszych podkuwanych butów. W tym chaosie, pyle i wrzawie nie obyło się bez wypadków. Pani Domagalskiej któryś z tancerzy oberwał krynolinę, naprędcę na przybycie gości nadzianą, panu Domagalskiemu jedna poła płócienego kubraka wpięła się do blaszanej puszki, zawieszanej przez plecy tancerza, i pociągnięty ruchem wirowym, padł na środek izby zacny restaurator, szczęściem nieszkodliwie. Pisk dzieci, przerażonych widokiem przewróconego papy, przerwał dopiero szalony taniec... Zaczem, odetchnąwszy przez chwilę i zapłaciwszy potrzykroć wartość nabiału, twardych jaj, zeschłych serdelków i skamieniałych bułek, na dany znak przez profesora wyszliśmy z Czerwonki, podążając łąkami napowrót do Instytutu z pękiem traw różnych w dłoni i pełną puszką na plecach.

Jordan. Julian Wieniawski (1834—1912).

Objaśnienia: *Marymont*, wieś pod Warszawą od strony północnej, otrzymała swą nazwę od pałacyku Mariemont (Mont de Marie = wzgórze Marji), który Sobieski wybudował dla ukochanej Marysienki na lesistem wzgórzu blisko Bielan. Po śmierci króla Jana i wyjeździe Marji Kazimiery pałacyk zaniedbano, nabył go od Sobieskich w r. 1720 król August II, odnowił, przyozdobił i często tu przebywał w czasie polowań. Po jego śmierci Marymont stał się własnością skarbu; w r. 1822 dzięki staraniom najwybitniejszych obywateli otwarto tu Instytut Agronomiczny (szkołę gospodarstwa wiejskiego). Powiększony w 1848 i 1858 r., Instytut przynosił wielki pożytek krajowi, pod kierunkiem bowiem światłych nauczycieli przysposobił wiele młodzieży polskiej na zdolnych rolników i ukształconych urzędników leśnych. W powstaniu wziął udział liczny zastęp wychowauców szkoły, to też r. 1863 Instytut przyłączony został przez rząd rosyjski do szkoły politechnicznej w Puławach, gmachy oddano na koszary żołnierskie, przepiękny ogród botaniczny wycięto, kaplicę zrujnowano. — Młyny, stojące przy drodze do Marymontu, wyrabiały sławną na cały kraj mąkę marymoncką. — *Ramię do ramienia*, słowa wyjęte z »Ody do młodości« A. Mickiewicza. — *Ekskursja* (z łac.) = wycieczka. *Wojciech Jastrzębowski* (1799—1882), od 1836 profesor zoologii, botaniki, mineralogii i fizyki w Marymoncie; po zamknięciu Instytutu został nadzorcą szkoły powiatowej w Warszawie, później komisarzem lasów rządowych. Chorym, ubogim starcem zajęli się kochający uczniowie i otoczyli opieką i miłością jego lata ostatnie. Był Jastrzębowski członkiem towarzystw naukowych, położył duże zasługi dla poznania roślinności Polski, ogłaszał prace naukowe. Jego ręką zrobiony zegar słoneczny na ogromnym głazie w Łazienkach. — *Edukacja*, wychowanie. — *Burta*, pobocze nasypu. — *Profesja*, zawód. — *Dyskutować* (z łac.), roztrząsać, rozprawiać. — *Geneza*, pochodzenie. — *Alias* (łac.) = inaczej. — *Pieprzowy cybuch* (z tur.) rurka, przez którą ciągnie się dym z fajki, zrobiona z trzciny pieprzowej, bambusu, rosnącego w Indjach Wschodnich. — *Areopag*, najwyższy sąd kryminalny w Atenach, urząd, mający pieczę nad skarbem publicznym i najwyższą władzę podczas

wojny. — *Czerwonka*. W czasie konfederacji barskiej (1768—1772) niejaki Michał Strawiński z kilkudziesięciu konfederatami postanowił porwać króla Stanisława Augusta i wywieźć z Warszawy. Królowi udało się skłonić na swoją stronę prowadzącego go konfederata i wrócić do stolicy z młyna czy też karczmy pod Marymontem 4 listopada 1771 r. — *Impresario* (z włos.), przedsiębiorca przedstawień cyrkowych, teatralnych i t. p. — *Trakt*, droga bita, gościniec, szosa. — *Pluton*, od 30 do 40 żołnierzy. — *Oberżyska*, karczmarka. — *Donica*, duże naczynie gliniane. — *Gomółka*, bryłka z twarogu, z którego po oddzieleniu serwatki robią ser. — *Serdelek*, króciutka kielbaska z samej wieprzowiny, drobno siekanej. — *Taktyka*, sposób działania, sztuka toczenia bitew. — *Tyralljerka*, prowadzenie bitwy szeregami rozproszonemi, szykiem rozrzuconym. — *Kolumna*, oddział. — *Nektar*, napój bogów olimpijskich, który miał podtrzymywać ich nieśmiertelność. — *Alkierz*, pokoik boczny. — *Katarzynka*, instrument muzyczny w kształcie dużej skrzynki, wprawiany w ruch zapomocą korby. — *Tarcica*, deska, wyrżnięta z kłoca piły. — *Krynolina*, rodzaj spódnicy z obrączkami trzciniowymi albo stalowymi lub też tylko z włosa końskiego tkanej, kładzionej pod suknie, aby szeroko i sztywno leżały. — *Kubrak*, surdut, kapota z prostego sukna, prosta odzież wierzchnia męska dawniejsza.

CIENIE.

Kiedy na niebie dogasają blaski słońca, z ziemi wynurza się zmierzch. Zmierzch — wielka armja nocy, o tysiącach niewidzialnych kolumn i miliardach żołnierzy. Potężna armja, która od niepamiętnych czasów pasuje się ze światłem, pierzcha każdego poranku, zwycięża każdego wieczoru, panuje od zachodu do wschodu słońca, a w dzień, rozbita, chowa się po kryjówkach i czeka.

Czeka w górskich przepaściach i miejskich piwnicach, w gąszczu lasów i w głębi ciemnych jezior. Czeka, kryjąc się w przedwiecznych jaskiniach ziemi, w kopalniach, po rowach, w kątach domów, w załawkach murów. Rozproszona i napozór nieobecna, wypełnia jednak wszystkie skrytki. Jest w każdej szczelinie kory drzew, w fałdach ludzkiego odzienia, leży pod najmniejszym ziarnem piasku, czepia się najcieńszej nici pajęczej i czeka. Wypłoszona z jednego miejsca, w okamgnieniu przenosi się na inne, korzystając z lada sposobności, aby powrócić tam, skąd ją wygnano, wdrzeć się na niezajęte stanowiska i zalać ziemię.

Kiedy gaśnie słońce, armja zmroków gęstemi szeregami wysuwa się ze swych ucieczek, cicha i ostrożna. Zapełnia korytarze domów, sienie i źle oświetlone schody; z pod szaf i stołów wypełza na środek pokojów i obsiada firanki; przez lufty piwnic i szyby okien wysuwa się na ulice, w głuchem milczeniu szturmując ściany i dachy, i zaczajona w szczytach, cierpliwie czeka, aż na zachodzie zbledną różowe obłoki.

Jeszcze chwilka, i nagle zerwie się olbrzymi wybuch ciemno-

ści, sięgającej od ziemi do nieba. Zwierzęta skryją się po legowiskach, człowiek ucieknie do domu; życie, jak roślina bez wody, skurczy się i pocznie usychać. Barwy i kształty rozplyną się w nicestwie; trwoga, błąd i występki obejmą panowanie nad światem.

W takiej chwili na pustoszejących ulicach Warszawy ukazuje się dziwna postać ludzka z drobnym płomykiem nad głową. Szybko biegnie przez chodnik, jakby ją ścigały ciemności, przy każdej latarni zatrzymuje się na mgnienie, i roznieciwszy wesołe światło, znika jak cień.

I tak każdego dnia w roku. Czy na polach wiosna dyszy zapachem kwiatów, czy sroży się lipcowa burza, czy rozhukane na ulicach jesienne wichry miotają tumanami kurzu, czy w powietrzu kłębią się zimowe śniegi, — on zawsze, skoro tylko nadejdzie wieczór, ze swym płomykiem przebiega miejskie chodniki, roznieca światło, a potem znika jak cień.

Skąd się ty bierzesz, człowieku, i gdzie kryjesz się, że nie znamy twoich rysów, ani słyszymy głosu? Czy masz ty żonę albo matkę, która czeka twego powrotu? Albo dzieci, które, postawiwszy w kącie twoją latarkę, wdzierają się na kolana i obejmują cię za szyję? Czy ty masz przyjaciół, którym opowiadasz swoje pociechy i zgryzoty, albo choć znajomych, z którymi mógłbyś porozmawiać bodaj o codziennych zdarzeniach?

Czy ty wogóle posiadasz jaki dom, w którymby cię znaleźć można? imię, którym możnaby ciebie zawołać? potrzeby i uczucia, któreby cię robiły takim, jak inni człowiekiem? Czyli też jesteś naprawdę istotą bezkształtną, milczącą i nieujętą, co ukazuje się tylko o zmierzchu, roznieca światło, a potem znika jak cień.

Odpowiedziano mi, że jest to naprawdę człowiek, a nawet dano jego adres. Poszedłem do wskazanego domu i zapytałem stróża:

— Czy u was mieszka ten, co zapala latarnie po ulicach?

— U nas.

— A gdzie?

— W tamtej komórce.

Komórka była zamknięta. Spojrzałem przez okno, alem tylko zobaczył tapczan przy ścianie, a obok niego na wysokim kiju latarkę. Latarnika nie było.

— Powiedz mi przynajmniej, jak on wygląda.

— Kto go tam wie! — odparł stróż, wzruszając ramionami. — Sam go nawet dobrze nie znam, — dodał — bo po dniu nigdy w izbie nie siedzi.

W pół roku przyszedłem drugi raz.

— A dziś niema w domu latarnika?

— Oho! — rzekł stróż — niema i nie będzie. Wczoraj go pochowali. Umarł.

Stróż zamyślił się.

Zapytawszy o kilka szczegółów, pojechałem na cmentarz.

— Pokażcie mi, grabarzu, gdzie tu wczoraj pochowano latarnika.

— Latarnika? — powtórzył. — Kto go tam wie! Trzydziestu pasażerów było wczoraj.

— Ależ on pochowany w oddziale najuboższych.

— Takich zważyło się dwudziestu pięciu.

— Ale on leżał w niemalowanej trumnie.

— Takich zważyło szesnaście.

Tym sposobem nie poznałem ani twarzy, ani nazwiska, ani nawet nie widziałem jego grobu. I został tem po śmierci, czem był za życia: istotą, widzialną tylko o zmroku, niemą i niepochwytną jak cień.

W pomroce życia, gdzie poomacku błądzi nieszczęsny rodzaj ludzki, gdzie jedni rozbijają się o zawady, inni spadają w otchłań, a pewnej drogi nikt nie zna; gdzie na skępowanego przesadami człowieka poluje zły przypadek, nędza i nienawiść, — po ciemnych manowcach życia również uwijają się latarnicy. Każdy niesie drobną płomyk nad głową, każdy na swojej ścieżce roznieca światło, żyje niepoznany, trzusi się nieoceniony, a potem znika jak cień...

Bolesław Prus (1847—1912).

Objaśnienia: *Luft* (z niem.), otwór do przewiewu powietrza. — *Pasażer*, 1) podróżny; 2) żartobl. jegomość, osobnik.

BŁOGOSŁAWIENI.

Błogosławieni, którzy w czasie gromów

Nie utracili równowagi ducha,

Którym na widok spustoszeń i złomów

Nie płynie z serca pieśń rozpaczy głucha;

Którzy wśród nocy nieprzebytej cieni

Nie tracą wiary w blask rannych promieni:

Błogosławieni!

Błogosławieni, albowiem ich męstwo

Wielkiego gmachu wrota im otworzy,

Gdzie razem z chwałą króluje zwycięstwo

Bez twardych kajdan i bez tych obroży,

Które na ziemi noszą upodleni...
 Ten raj się tylko dla silnych zieleni —
 Błogosławieni!

Błogosławieni; albowiem ich syny
 Będą sprząтали z ich ziaren owoce;
 I wśród zmartwychwstań porannej godziny,
 Gdy złote słońce blaskiem rozmięgoce,
 Będą wołali, duchem podniesieni:
 Za ojców sprawą świt się nam rumieni —
 Błogosławieni!...

Jan Kasprowicz.

PIEŚŃ LITEWSKICH BORÓW.

Wyszedł raz srogi ukaz do litewskich borów,
 Aby nie śmiały szumieć ni modlić się, ani
 Mruczeć inaczej swoich wieczornych niesporów,
 Jak na suzdalską nutę »Boże, caria chrani!«

Trwoga padła na puszcze. Stoją ciche drzewa,
 Jak wynurzony z wód łona bór zakamieniały,
 Ani zwierzę się nie ozwie, ni ptak nie zaśpiewa,
 Dzieciotł boi się nawet pukać w pień spróchniały.

Diejatielę zaś krzyczą, potrząsając knuty:
 »Bór się boi, więc zagra wedle carskiej nuty.«

Wtem wstaje wiatr — i leci od zachodniej strony,
 Już spadł na gonnych sosen wyniosłe korony,
 Mruknięty dęby, trzęsienie liśćmi brzezina:
 Słuchajmy! pieśń się jakaś wśród puszczy poczyna

I brzmi coraz potężniej między konarami:
 »Święty Boże, a Mocny, zmiłuj się nad nami!«

Henryk Sienkiewicz (1846—1916).

Objaśnienia: *Ukaz*, rozkaz, rozporządzenie. — *Suzdalska nuta*, nuta rosyjska. Suzdał miasto powiatowe w gubernii włodzimierskiej nad rzeką Kłazmą, niegdyś stolica wielkich książąt Rusi. — *Boże, caria chrani.* = Boże, cesarza chroń. Pierwsze słowa państwowego hymnu rosyjskiego Rosji carskiej. — *Diejatiel*, wyraz ros. = działacz. Diejatielami nazywano działaczy, którzy chcieli zruszyć Polskę i Litwę. — *Gonny*, bujny, wybujały, wysmukły. — *Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny*, zmiłuj się nad nami! Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas, Panie! Od nagłej i niespodziewanej śmierci wybaw nas, Panie! i t. d. Suplikacje czyli błagalne modlitwy, śpie-

wane przed Najświętszym Sakramentem zwykle w niedzielę przed sumą (mszą główną) lub po niej. Nazwa (supplicationes) pochodzi z pogańskiego Rzymu, gdzie odprawiano takie błagalne nabożeństwa do bogów w czasie grożącego niebezpieczeństwa. Suplikacje bywają pełne i skrócone.

POD PIORUNAMI.

Szła burza piorunowa. Z odnawianych co chwila błyskawic czynił się dzień siny, i w tej zorzy trwożnej widać było daleko w kraj, bo dom stał na wzgórzu wyższym jeszcze niż kościelne, nad urwiskiem wąwozu. Wąwóz rozszerzał się w ulicę wiejską, osypaną po obu stokach ciemnymi chatami, niby stadem skulonych zwierząt, które, splezając z gór do dna wąwozu, przywarowały na różnych wysokościach. Okolica była górzysta, pograniczna z Galicją...

Deszcz, głaszczący dotąd pluskiem ostrzegawczym zakroplone szyby, zaczął się wzmacniać i siec, napełniał coraz głośniejszymi przerwami między porykami gromu i przesłaniał błyskawiczne zjawy szkłem płynnym, mętno-sinym, zapłakanym rozpacznie. Aż sam, jak grzmot, deszcz lunął na dachy i na odpryskującą igłami kałuż ziemię. Piorunowe łono chmur przypęzło do zenitu, biło jednocześnie hukami i błyskami, wisiało nad samym domem.

Ksiądz ukląkł przed łóżkiem w sypialnym pokoju i zaczął głośno odmawiać modlitwę, której prawie nie łowił uchem poprzez huk burzy.

Długo tak klęczał, miarkując, czy burza się oddala...

Oddalała się istotnie. Grzmot gospodarował jeszcze hucznie po niebie, ale już dalej — ulewa tylko nie sfolgowała.

Ale od kilku chwil słychać było hałas inny, ludzki i bliski — łomotanie do drzwi wchodowych.

Ksiądz zerwał się na nogi.

— Naturalnie! dom się pali...

Podążył do sieni i zastał tam Marcinową, parlamentującą z kimś przez drzwi zamknięte.

— Co się dzieje?

— A to jakieś desperaty, proszę jegomości, na taką pogodę...

— Nie pali się?

— Co się ma palić? Ludzie jakieś podróżne...

Ksiądz Wikliński sam przemówił przez drzwi groźnie:

— Czego tu chcecie?

Głosy z za drzwi, męski i kobiecy, zmieszane:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — krześcijany-katoliki, dopraszamy się łaski — niech nas piorun spali, jeżeli idziemy ze złą myślą.

Ksiądz porozumiał się jeszcze oczyma z Marcinową. Niema rady — otworzyć trzeba.

I otworzył.

Nie weszli zaraz, kłaniali się jeszcze za progiem pod ulewą młody chłop i dziewczyna uśmiechnięta, oboje tak przemokli, że woda ociekała z nich, jak z posągów, stojących wśród fontanny.

— Ruszcie się przecie, wejdźcie! — zawołał szorstko proboszcz i zamknął starannie drzwi, gdy ta para topielców weszła do sieni, zalewając podłogę.

— Czego wam trzeba? do chorego?

— Ej nie, proszę księdza proboszcza — odpowiedział chłop — nasza sprawa osobliwa.

— Jakeście tu weszli, kiedy brama od obejścia zamknięta?

— Od wąwozu wleźli my pod górę, a potem bez plot...

— No, idźcie się trochę osuszyć do kuchni.

Marcinowa nabrała sympatji do młodych, widząc ich dobre twarze i rosłe postaci.

— Jeżeli ksiądz proboszcz pozwoli, to ja dam chłopu do przebrania się trochę tego przyodziewku, co to po drwału zostało. A już z dziewczyną sobie poradzę.

— Dajcie, Marcinowo.

Podróźni suszyli się i przebierali w kuchni, a ksiądz chodził po salonie, stwierdzając z radością stopniowe oddalanie się burzy, która nie wyrządziła żadnych widocznych spustoszeń. Błyskawice, teraz już weselsze, ukazywały za oknami wieś na swoim miejscu i kościół między lipami, i nawet nigdzie łuny nie było na widnokręgu.

— Dobroczyzna ulewa — myślał proboszcz, głęboko wzdychając od ulgi...

Zapomniał prawie o swych nocnych gościach, gdy się zjawili, pięknie przebrani w sukmanę drwała i w kieckę Marcinowej. Młodzi byli, dorodni i uroczyści, jakby szli na gody. Trzymali się za ręce.

— Tęgi z was parobek — uśmiechnął się ksiądz. — Jak się nazywacie?

— Hryć Lewczuk, dopraszam się łaski.

— A dziewczucha?

— Paraska Kuncewiczówna.

— To wy może... zaczął ksiądz i odstąpił krok w tył, jak od zapowietrzonych, rozwarł usta i oglądał bacznie podróżnych, choć już po odmianach ubioru nie mógł zmiarkować, skąd pochodzą, bo suknie nosili nie swoje.

Lewczuk zrozumiał, pokłonił się w pas, zarówno jak i towarzyszka. Stał potem prosto, odetchnął i dobitnie poważnym głosem uczynił wyznanie:

— A tak już katolicy jesteście unjackiego obrządku.

— I przychodzicie do mnie, łacińskiego proboszcza? poco?

— My, w postanowieniu będący Lewczuk z Kuncewiczówną, szli do Galicji ślub brać od swojego księdza. Tylko, że przewodnika, za którym my szli, żandarmy przy granicy ułapili, to my uciekli tu do wsi, do znajomych. Ci nam powiedali, jako ksiądz tu dobry, według zakonu Bożego. To my na noc się niby do domu wybrali, a swoje postanowienie przed znajomymi zataili. I kiedy Pan Bóg zesłał burzę, wszystko kryjącą, my tu przyszli do nóg się pokłonić ojcu duchownemu, żeby nas ślubem świętym połączył, jako polska wiara jedna jest.

Ksiądz zbładł jak chusta i odezwał się cicho, jakby się bał podsłuchania czyjś w tej samotni i podczas burzy:

— Wiecie wy, coby mnie za to spotkało, gdybym wam dał ślub? Sybir, ni mniej, ni więcej.

— Wiemy, proszę łaski księdza proboszcza. I nam także. A jako noc jest, że psa na dwór nie wypędzi, to nikt o tem wiedzieć nie potrafi.

Ksiądz Wikliński wypraszał się:

— Bójcie się Boga, ludzie. Szukajcie unickiego kapłana. Ja tu przecie swoim owieczkom potrzebny.

— Do Galicji teraz już trudno, tutaj po cerkwiach nie nasze. A my owce Boże też jesteśmy — i nam pilno.

Ksiądz krzywił się, cmokał, chodził po pokoju. Młoda zaś para stała, jak posąg podwójny mocnej i niewzruszonej woli.

— Jakżeż chcecie? tutaj?... nawet świadka niema.

— To i przez świadka. Żeby tylko duchowna ręka nas związała.

Ksiądz stanął, popatrzył długo w twarze młodych, po żołniersku przed nim wyprostowanych. Potem oczy zasłonił ręką, poszedł wolno do swej sypialni i drzwi zamknął za sobą.

Hryć i Paraska pozostali sami, spojrzeli po sobie i rozmówili się taką tylko wymianą słów:

— A szczo, da on?

— Każe, da.

Stali na swych miejscach, milcząc i nie patrząc już nawet na siebie. Spotykali się tylko w marzeniu wspólnem. Stała im przed oczyma cerkiew ich stara, dzisiaj »przemieniona«, i odnaleźli w pa-mięci głos dawnego unickiego księdza, dzisiaj Bóg wie gdzie wy-

wiezionego, i śpiewy djaków niegdyś słyszane, buchające chórem weselnych dyszkantów, ogarniętych zadumą basów. I widzieli się w swych strojach ruskich, ojcowskich, jak przystało dzieciom gospodarstwu.

A tutaj pokój cudzy, i nieskończona burza zagląda w okna widmowemi ślepiami błyskawic.

Tylko nie zdawali sobie sprawy, że więksi są dzisiaj, niż mogliby być za szczęśliwych czasów swobody, że serca mają zahartowane w prześladowaniu i w stateczności, godniejsze niż kiedykolwiek sakramentu.

Otworzyły się drzwi do sypialni. Tam na stole, nakrytym białym obrusem, stał krucyfiks między dwiema świecami. Ksiądz Wikliński w komży i w stule wzywał ręką nowożeńców, aby przeszli do przystrojonego na obrządek pokoju.

Hryć i Paraska ucieszyli się, że choć tyle zachodu i ozdoby było przy ich biednym ślubie, otoczonym grozą zakazów i żywiołów...

W miesiąc po opisanym ślubie znowu burza w nocy przeciągała nad plebanją, ale razy piorunowe były jakies słabsze, a przynajmniej tak się zdawało księdzu Wiklińskiemu... Tak samo burza wysłała naprzód swe grzmiące forpoczty, rozhukane po pagórkach, i swe jaskrawe race, rozświecające kraj, nad którym zawisnąć miała piorunową grozą. Tak samo wkrótce kapela jej triumfalna urosła w zgiełk i płacz ulewny, i główna siła z gromową artylerją przeciągnęła tuż nad drżącym dachem plebanji.

I znowu pośród największej trwogi rozległo się natarczywe pukanie do drzwi wchodowych.

Ksiądz odrazu poszedł spieszenie do sieni.

— Kto tam?

— Niech będzie pochwalony... krześcijany-katoliki...

— A! tego już za wiele! — zawołał proboszcz.

I otworzył.

Także para młodych, inna: Harasim Lewczuk i Natałka Koniczna. Ci wybrali się już praktyczniej; nieśli bowiem zamczystą skrzynkę z paradnemi sukniemi, przeznaczonemi do przebrania się na uroczystość ślubu, na którą liczyli pewnikiem.

— Co to?! co wam strześliło do głowy przychodzić z tem do mnie po nocy?

— A bo po dniu wolno? — rozdziawił się Harasim.

— Ani w dzień, ani w nocy. Kto wam powiedział, że ja tu śluby daję na plebanji.

— Tak mnie... tak nas poniesło tutaj... niby z tego przeczu-

cia... dopraszamy się łaski księdza proboszcza — jakaś się chłop, zezując na boki.

— A nie kłamać mi przed samym sakramentem! — gromił ksiądz dalej — kto wam powiedział?

Harasim i Natałka upadli do nóg proboszcza, zlewając podłogę strumieniem wody, niby potokiem łez.

— Rodzony, Hryćko, pod przysięgą na zbawienie duszy wydał nam księdza, proboszcza...

— No, tak i gadać odrazu... ruszajcie się przebrać...

Aż do późnej jesieni tego roku ksiądz Wikliński połączył ślubami małżeńskimi osiemnaście par. Wszystkie przychodziły nocą burzliwą lub najciemniejszą, przed nowiem.

Według *Józefa Weysenhoffa*.

Objaśnienia: *Kraj*, tu strony bardzo odległe. — *Parlamentować*, wchodzić w układy z nieprzyjacielem, układać się. — *Desperat* (z łac.), człowiek zrozpaczony, doprowadzony do ostateczności; gwar. 1) niegodziwiec, 2) awanturnik, 3) żartowniś, figlarz. Forma rzeczowa desperaty wyraża stosunek uczuciowy. — *Drwał*, ten, co rąbie drzewo. — *Kiecka*, gwar. spódnica. — *Unjackiego obrządku*. Unja, zjednoczenie kościołów wschodniego z zachodnim, dokonana we Florencji 1439 r., odnowiona w Brześciu litewskim w 1595, polegała na połączeniu obrządków Kościoła wschodniego z dogmatami (zasadami wiary) Kościoła zachodniego. Carat rosyjski zwalczał nieubłaganie Unję, wypieniał na Litwie i Białej Rusi. Opornym zadawano okrutne męczarnie, jak bazyliankom w Mińsku, które mordowano powolnie w ciągu lat dwóch. Najzaciętszy opór stawiał lud. Unja ocalała w obrębie byłego Królestwa Polskiego na Podlasiu i w Lubelskiem. Po upadku powstania 63 r. rząd rosyjski i tu rozpoczął walkę z unitami. Natrafił jednak i tutaj na opór bezwzględny wśród ludu. Nie pomogło znęcanie się żołdactwa nad bezbronnemi, masowe mordy, jak we wsi Pratulinie, gdzie zastrzelono 13, raniono 30 chłopów, broniących cerkwi unickiej przed wtargnięciem popa. Unicy brali śluby, chrzcili dzieci, grzebali zmarłych potajemnie; gdy wywieziono księży unickich, przekradali się do Galicji albo udawali po sakramenty do księży katolickich, którym groziło ciężkie więzienie lub zesłanie. Być może przypadkiem, może umyślnie autor nazwał młodego unitę Lewczukiem. Rodzina Lewczuków odznaczała się na Podlasiu wielką pobożnością i wytrwałą odwagą w obronie wiary. Stefan Lewczuk ze wsi Gęsi otrzymał trzysta różeg za to, że nie chciał wyrzec się Unji. — Rząd rosyjski, zmuszony klęskami na Dalekim Wschodzie i zamieszkami wewnątrz, ogłosił w 1905 r. ukaz o tolerancji religijnej, który pociągnął za sobą masowe przechodzenie na katolicyzm byłych unitów. Planów swych dawniejszych rząd rosyjski się nie zrzekł, w r. 1906 oderwał Chełmszczyznę od Królestwa, przyłączył do Cesarstwa i poprowadził gwałtowną walkę z katolicyzmem i polskością. Walkę i mękę ziemi chełmsko-podlaskiej zakończyło wejście legjonów polskich 1915 roku. — *W postanowieniu będący*, zamierzający wstąpić w związki małżeńskie. — *A szczo, da on. — Kaze, da* (gwara północno-małoruska) = A co, czy da? — *Zdaje się, da. — Djak*, śpiewak cerkiewny. — *Krucyfiks*, krzyż. — *Komża*, biała, szeroka, sięgająca do kolan, fałdowana z szerokimi rękawami suknia, wkładana na

ubranie przez księży i usługujących im przy sprawowaniu obrzędów religijnych. — *Stuła*, część ubioru kapłańskiego, składająca się z długiego, dość szerokiego pasa, rozszerzonego na końcach, na których, równie jak pośrodku, wyszyty jest krzyż. Stułę kapłan przewiesza przez szyję tak, że końce jej przez piersi zwieszają się do kolan. Stuła jest zawsze tego koloru, co ornat. Bez stuły kapłan nie odprawia żadnej czynności religijnej. — *Forpoczta*, przednie czaty.

W DZIEŃ ZŁOŻENIA ZWŁOK MICKIEWICZA NA WAWELU.

Gdy na ziemię padł sztandar zdeptany,
Znak królewski z orłem i pogonią,
Gdy go wodze i dumne hetmany
Już przed wrogów zniewagą nie bronią,
Gdy go w strzępki stargała niewola
I pokryła noc milczenia głucha....
On go pierwszy uniósł z walki pola
I zamienił w jasny sztandar ducha,
I nad Polską rozwinął w błękicie,
Dając w pieśni nieśmiertelne życie.

Adam Asnyk (1838—1897).

Objaśnienia: *W dzień złożenia i t. d.* Poeta zmarł w Konstantynopolu 26 listopada 1855, zwłoki zgodnie z życzeniem zmarłego pochowano obok żony na cmentarzu Montmorency, miasteczku o cztery mile drogi na północ od Paryża 21 stycznia 1856 r. W 1890 zwłoki poety uroczyście przewieziono do Krakowa i złożono w grobach królewskich na Wawelu d. 4 lipca.

LIST MATEJKI DO CZECHÓW.

Szanowny i łaskawy Mecenasiu!

Po całomiesięcznej walce wewnętrznej piszę do Pana jako referenta komitetu, który zaważać mię raczył na posadę dyrektora Akademii Sztuk Pięknych w Pradze. Treść niniejszego listu, będącego niejako rachunkiem moim z Czechami, proszę zakomunikować, komu należy.

Z waszej jednomysłności a gorącego wystąpienia widzę, jak gorączkowo radzibyście mnie mieć między sobą, i przekonywa mię to o bezwarunkowym przychyleniu się Waszem do wszelkich żądań, jakie prawdopodobnie postawiłbym musiał.

Wiem, że wyjście z rodzinnego kraju mego hojnie nagrodzić byście się starali, a stałoby się ono podwaliną, a może i zapewnieniem przyszłości mojej i dzieci moich, niczem jak dotąd nie zagwarantowanej w ojczyźnie.

Wiem nadto, że pojawienie się moje pomiędzy wami zespoliłoby poniekąd rozprężone siły słowiańskie na polu sztuki.

Wiem nareszcie, jak nie obcą dla was osobista moja pochylność ku czeskiemu narodowi; tłumacząca się nawet jednością tętna krwi wspólnej, jakiej w sobie zapierać lub nie czuć nie mogę. Ta wspólność krwi właśnie, nie żadne inne względy materialne, wyglądające na pokusę, stałoby się mogła pobudką najniebezpieczniejszą do wyrzeczenia się własnej a prawej ziemi rodzinnej z chwilą opuszczenia tejże, zapowiadającego w następstwach ekspatryjowanie całej rodziny mojej.

Przyjaźń dla Czech mieć mogę, tak jak ją mam dziś, serdeczną, ale ziemi mojej, Polsce miłość ma należy: od tej więc wybór bezwzględny zależy. W bezwzględności takiej jest może odrobina tej fatalności historycznej, dzielącej interesa wspólne dwóch najbliższych sobie narodów na rozłam nigdy nie skojarzonej jedności, a może trochę zaściankowości, którą zwykliśmy grzeszyć Polacy.

Nie przeczę, nie dowodzi to zmysłu politycznego, ale zato jest znakiem nieograniczonego przywiązania do własnej, choć mizernej strzechy, przenoszącego tę ponad wszelkie dostatki, nawet tak zbliżone i pokrewne, jak wasze.

Otwartością moją możecie się oburzyć, ale nie uszanować jej nie możecie nawet po takiej zwłoce odpowiedzi, która tylko dowodem być winna długiego boju uczuć, zanim słowo me wypowiedzianem być mogło.

Szczęście Boże waszym zamiarom i ofiarom, kładzionym dla sztuki narodowej; nie będą one bezowocne, głęboko w nie wierzę. Znajdziecie między sobą ludzi, którzy podolają wielkiemu zadaniu, co, znając lepiej stosunki i potrzeby rodzinne, może nawet z większem nade mnie szczęściem sztuką pokierują. Współczucie dla niej choć zdala mieć będą; ilekroć żądać tego będziecie, radą lub czynem posiłkować mogę. Po wypowiedzeniu tego, co piszę, radbym, abyście, wnikając w prawdziwe powody, nie stracili dla mnie serca, tak jak ja nigdy go dla was nie stracę.

Przyjm, Szanowny Mecenasiu, zapewnienie mojego prawdziwego poważania, z jakim mam zaszczyt dlań zostawać sługą najżyczliwszym.

Kraków, d. 17 maja 1873 r. P.

Jan Matejko.

Objaśnienia: *Matejko* Jan Alojzy ur. w Krakowie 1838 r. Ojciec jego, Franciszek, pochodził z Kralowego Hradca w Czechach i był z zawodu nauczycielem muzyki, matka Joanna Karolina była córką obywatela i kupca krę-

kowskiego Rossberga. Do 1858 r. Jan Matejko kształcił się w szkole średniej, później w Szkole Sztuk Pięknych w Krakowie. Obraz »Karol Gustaw przy grobie Łokietka« zdobył mu stypendjum na wyjazd zagranicę. Rok 1858—1860 spędził Matejko na studiach malarskich w Monachjum, Wiedniu, w 1861 osiadł w Krakowie. Tu powstają kolejno obrazy: »Staćzyk« (1862), »Kazanie Skargi« (1863), »Rejtan« (1866), »Unja Lubelska« (1869), »Batory pod Pskowem« (1872) i inne. W r. 1873 Akademia Sztuk Pięknych w Pradze Czeskiej zaproponowała mu posadę dyrektora, odmówił; zajął natomiast stanowisko dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, do której podniesienia niemało się przyczył. Teraz maluje: »Bitwę pod Grunwaldem«, »Hołd pruski« (1882); »Jana Sobieskiego pod Wiedniem« (1883), »Kościuszkę pod Raclawicami« (1888), rysuje »Królów polskich« i tworzy wiele innych dzieł. Otoczony czcią, uznaniem w ojczyźnie i za jej granicami, zgasł 1 listopada 1893 r. w tym samym domu rodzinnym, w którym się urodził, który nabył na własność, a w którym obecnie mieści się muzeum pamiątek po zmarłym mistrzu pod nazwą »Domu Matejki«. — *Mecenas* (z łac. Maecenas, imię własne bogatego opiekuna artystów, uczonych, poetów w Rzymie w drugiej połowie I-go w. przed Chr.), 1) możliwy opiekun sztuk i nauk; 2) tytuł, dawany przez grzeczność adwokatom. W imieniu Czechów zwrócił się do Matejki adwokat Schaefer. — *Referent* (z łac.), ten, który opracowuje sprawy piśmiennie, przedstawia je pewnym władzom. — *Zakomunikować coś*, zawiadomić o czymś. — *Pochyłość* (czechizm od pochyllost'), tu skłonność, przychylność. — *Ekspatrywowanie*, wysiedlenie się, wynarodowienie. — *Fatalność historyczna*, zrzędzenie, los, objawiający się w historii. — *Zaściankowość*, zamykanie się w swoim małym kółku, odgradzanie od świata, niewiedza o świecie.

Objaśnienia do obrazu p. t. »Wernyhora«. Wernyhora, kozak, urodzony we wsi Dymytrykówce za Dnieprem, świętobliwością życia taki zyskał rozgłos między ludem, że z dalekich stron zbiegano się do niego po radę. W r. 1766 przenosi się w granice Rzeczypospolitej i osiada we wsi Makiedonówce w starostwie Kaniowskiem. Tu wygłasza swe wieszczby o Koliszczyźnie (powstaniu hajdamaków, t. j. kozaków zbuntowanych i czerni 1768 r.) i inne. Zagrożony za przywiązanie do Polski i potępienie ruchu wydaniem oburzonego na niego hajdamakom uciekł z ulubionej siedziby i osiadł na wyspie rzeki Rosi poniżej młynów Korsuńskich. Grób jego załaza wezbrana rzeka i uniosła wraz ze szczątkami wieszczbiarza. Wszystkie przepowiednie Wernyhory spisał starannie w narzeczcu ruskiem starosta korsuński Suchodolski, zachowały się one jednak tylko w odpisach. Jedna z przepowiedni Wernyhory, dotycząca Polski, brzmi: »Polsko, Ojczyzno moja! biedna twoja dola na teraz. Hojnie się przeleje krew synów twoich, wysokie mogiły wzniosą się z ich kości: spustoszenie, rozpacz i bujny smutek pociągną się po twej ziemi. Trzy postronne sępy trzy razy ciebie rozszarpią, i upadniesz! Na niczem spełzną usiłowania polskich synów: król twój dzisiejszy, jak zaczął, tak skończy, płaszcząc się na dworze moskiewskiej carycy. Ojczyzno! długo jęczeć będziesz pod jarzmem obcych: część twoich dzieci wywiozą w niewolę na bezludne obszary, druga pójdzie w dalekie kraje żebrac pomocy krwią i słowem dla nieszczęśliwej matki. Po długich latach zjawi się olbrzym z zachodu, i nadzieja zabłyśnie dla Polski. Polacy na polskiej ziemi walczyć będą ze swymi wrogami, ale ta nadzieja zajaśnieje i zniknie, jak spadająca z nieba gwiazda. Jednak ci, co ją rozszarpali, powiedzą: jest orzeł biały, jest królestwo polskie, i ludzie słabi ludzię się tem będą, a nawet błogosławić mordercom ojczyzny.



Ale zły car, chciwy przelewu krwi swoich poddanych, zasiądzie na tronie Jagiellonów i pokaże, iż blichtr nie jest prawdą. Naród polski powstanie we wszystkich częściach polskiej ziemi, ale zabraknie mu ładu, zgody i człowieka; jak dawniej, tak i tym razem upadnie. Polacy, jedni, jak orły po spustoszeniu gniazda, polecą na wędrówkę daleką, drudzy na wygnaniach i w niewolach smutne dni liczyć będą. Polska, nasiąkła krwią swoich dzieci, użyzniona ich trupami, długo znosić będzie ucisk ciemniców; ale nareszcie nadejdzie czas kiedy Anglik sygnie złodem, Francuz wesprze, Muzulmanin konie napoi w Horyniu (dopływ Prypeci). Polacy liczni, jak drzewa litewskich borów, jak burzany stepu powstaną i walczyć będą z wrogami. Pierwsze zwycięstwo odniosą w jarze Hańczarychy, drugie koło mogił Piata i Pierepiatychy, trzecie przy siedmiu mogiłach, czwarte między Rzeszczowem a Janiczą. Dniepr całym krwią się sfarbuje, poniesie roztrącać o porohy trupy wrogów; a od Czarnego morza do Bałtyckiego, od Karpat po Niżowe stepy nie będzie Moskala na polskiej ziemi. I Polska będzie wielka, potężna po wieki wieków. — *Hańczarychy* albo *Janczarychy* jar pod Konstantynowem na Wołyniu. — *Mogily Piata i Pierepiatychy*, głośne na Ukrainie w powiecie wasilkowskim. — *Siedem mogił* również na Ukrainie. — *Rzyszczów*, miasteczko nad zatoką Dniepru (pow. kijowski) z zamczyskiem na górze Iwana, Iwanhorze. — *Stepy Niżowe*, poniżej porohów dniewprowych. — Obraz, mający wysokości 290 centymetr., długości 204, planowany od 1875 r., (istnieje pierwsze opracowanie z tego roku) powstał w 1883 r. Pośrodku postać Wernyhory, siedzącego na mogile; podtrzymuje go młody kozak. U kolan Wernyhory, oparta o nie, młoda Ukrainka, za nią młody parobczak i dziewczyna wiejska. W prawym od widza rogu obrazu mnich prawosławny, u jego stóp noże. Z lewej w górze w futrzanej czapce z rusznicą hajdamaka, niżej szlachcic Suchodolski, wreszcie w rogu obrazu pachole polskie z ryngrafem z Matką Boską. Ryngraf była to blacha mosiężna, pozłacana lub malowana, owalna, czworokątna lub w kształcie tarczy, pierwotnie ku ochronie, z biegiem czasu malała i stawała się rycerskim godłem religijnem. U nóg Wernyhory lira, instrument muzyczny na Rusi, mający kształt pudła w formie skrzypiec z kilku strunami, korbą i klawiszami. — Piękną reprodukcję obrazu wydało Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Król. Pol. r. 1907.

NA ŚMIERĆ JANA MATEJKI.

Trzy miecze skrzyżujcie, niech zbłysną się w grom,
I nieście przed trumną w wieczysty mu dom.
W trzy tarcze uderzcie, niech spadnie z nich pleśń,
I Bogarodzicy zawiedźcie mu pieśń.

Przyłbicę na marach połóżcie na znak,
Z sztandaru niech biały powiewa mu ptak,
Na kopjach znizonych spuszczaście go w grób,
Bo sławie ślubował i strzymał swój ślub!

Nie czciciel potęgi, nie żebrak jej łask,
To rycerz odchodzi za czynów swych blask,

To rycerz odchodzi, to mężny syn twój,
Co wskrzesił, o Polsko, twych sławnych dni bój!

Na duchów strażnicy wódz wielki dziś legł,
Co hartu zbroicy i serc hartu strzegł,
Stu bitew w świat poniósł huk, wrzawę i pył,
Dał moc ci twą uczuć, krwi dolał do żył.

Raz jeszcze z twej piersi odrzucił on precz
Grunwaldzkim pogromem krzyżacki ów miecz,
I pruski hołd wznowił u skutych twych nóg,
I z klęczek przed tobą nie wstanie już wróg.

On ostrzył twe szable, rumaki twe bódl
I cary wpół zgięte przed ciebie on wiódl;
I wieki przeminą, i hańby tej żar
Po Szujskich dziedziczyć jak rab będzie car.

Nad prochy i dymy, i martwych stos ciał
Zwycięstwo pod Wiedniem on znowu ci dał
I złotym łańcuchem na wieki on skuł
Dla gości nielubych piastowy twój stół.

Z troistej ciemnicy, gdzie kaźń i gdzie zgrzyt,
On wiódl cię, o Polsko, na dzień i na świt
I kamień odwalił, stoczony na grób,
I ducha tchnął w piersi, mdlejące wśród prób.

Dziejowych twych dzierżaw, dziejowych twych praw
Prastare pieczęcie wydobyl na jaw,
Jak Rejtan na krzywdy położył się próg
Z wieczystym protestem: Niech sądzi nas Bóg!

Trzy miecze skrzyżujcie, niech zbłysną się w grom,
I nieście przed trumną w wieczysty mu dom;
Na tarczach znizonych spuszczaście go w grób,
Bo sławie ślubował — i strzymał swój ślub.

Marja Konopnicka (1846—1910).

Objaśnienia: Szczegóły obrzędu pogrzebowego czerpie poetka z dawnych rycerskich obyczajów pogrzebowych. — *Pieśń Bogarodzicy*, najstarsza pieśń polska z końca XIII lub połowy XIV wieku. Najdawniejszy jej tekst brzmi:

»Bogu Rodzica, Dziewica, Bogiem sławiena (błogosławiona) Maryja«
Twego Syna Gospodzina Matko zwolena (wybrana) Maryja,
Żyści nam (zyskaj nam, zjednaj dla nas), spuści nam (ześlij nam). Kyrie
(elejson.

Twego dzieła Krzyciela (dla, przez Twego Chrzciciela), Bożycze (dziecię
[Boga])

Usłysz głosy, napelnij myśli człowiecze (spełnij pragnienia),

Słysz modlitwę, jaż (którą) nosimy (zanosimy),

A dać raczy, jegoż (o co) prosimy:

A na świecie zbożny (pobożny) pobyt,

Po żywocie rajski przebyt (życie wieczne). Kyrje elejson.

Gospodin = Pan. — *Zyści*, spuści, strp. rozkaznik, dziś: zyskaj, spuść. —

Kyrje eleson (greck.) = Panie, zmiłuj się! — *Bożycze*, starop. wołacz od Bożycze, syn Boży. — *Jaż, jegoż*, biernik, dopełniacz od mian. ize, jaże, jeże. Strp. zaimek względny: który, która, które. — *Hold pruski*, 1525 r. złożony na rynku krakowskim Zygmuntovi Staremu przez protestanckiego księcia Prus, poprzednio wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego, Albrechta Brandenburskiego. — *Po Szujskich i t. d.* W 1892 Matejko namalował obraz »Żółkiewski stawiający cara Wasyla Szujskiego z braćmi na sejm w Warszawie« (1611 r. w czasie wojny moskiewskiej 1609—1618). *I złotym łańcuchem i t. d.* Być może, ma tu autorka na myśli obraz z 1877 r. »Uczta Wierzyńka« (1362), na której był król czeski i cesarz Karol IV, dawniejszy wróg Kazimierza, poślubiający jego wnuczkę. — *Prastare pieczęcie i t. d.* Matejko skrzętnie zbierał i odrysowywał pieczęcie polskie, później według pieczęci odtwarzał postaci historyczne. — Pamiętny protest Tadeusza *Rejtana* na sejmie rozbiorowym 21 kwietnia 1773 r.

BRAT ALBERT.

Brat Albert!

Wysoka, o głowę tłum przerastająca postać starca. Okrywa go szary, gruby habit, wobec którego najpodlejsze płótno chłopskie zdaje się być wykwintnym materjałem. Biodra przepasane prostym powrozem. Na głowie mała, okrągła czapka z nieprawdopodobnie nędznego sukna, która problematycznie chroni od zimna. Wygląda z pod niej ciemna, surowa, jakby z brązu ulana twarz średnio-wiecznego mnicha-ascety, ożywiona parą oczu, które z wyrazem litości i zgrozy zdają się patrzeć w oblicze szumiącemu dokoła życiu. Grube ręce noszą ślady fizycznej pracy. Cała postać ciężka i szorstka mówi o ciąglem przebywaniu wśród nizin ludzkich, na samem dnie społeczeństwa.

Ten człowiek był niegdyś wytwornym światowcem. Śmiały się do niego wszystkie ponęty życia. Był artystą. Jeżeli młodość, powodzenie, swoboda od trosk i talent zapewniają szczęście, mógł je brać pełnemi garściami.

Brat Albert był wtedy artystą-malarzem, Adamem Chmielowskim. Urodzony w zamożnej ziemiańskiej rodzinie w Królestwie, wybitnie uzdolniony poświęcił się sztuce. Odbył studia w Monachjum, gdzie serdeczne węzły koleżeńskie łączyły go z jednym z mistrzów polskiego malarstwa, Juljuszem Kossakiem. Otworem stało przed nim to, co się w życiu zewnętrznem i zewnątrznie poj-

mowanem nazywa karierą. Droga słała mu się łatwo, równo i po-
nętnie. Lecz młody artysta nie nosił w sobie zadatków epikurejskich. W subtelnej i wrażliwej duszy zbyt żywo odbijały się ota-
czające go zjawiska, a silnie dźwięcząca w niej struna etyczna czy-
niła ją szczególnie wrażliwą na kontrasty społeczne. Myśl, że tuż za
ścianą jego osobistego szczęścia otwiera się otchłań cierpienia dru-
gich, zatrzymała go w pół drogi.

Odwrócił się i patrzył długo i przenikliwie w tragiczny splot
życia. Nędza i rodząca się z niej zbrodnia poczęły boleć go, jakby
ból osobisty. Równocześnie rozwijało się uczucie religijne. Młody
malarz zwrócił się ku tematom, oderwanym od ziemi, i wówczas
stworzył swój największy, w religijnej ekstazie poczęty obraz: »Zba-
wiciel, objawiający się błogosławionej Małgorzacie«. Malował je-
dnak coraz mniej. W r. 1885 w Krakowskiem Towarzystwie sztuk
pięknych wystawił ostatni obraz: »Ulica w Chocimiu«. Dokonało
się w nim tymczasem zupełne wewnętrzne przeistoczenie. Wyso-
kie napięcie etyczne szukało dla siebie czynnego ujścia i znalazło je
w formie, tworzącej doskonałą harmonję ideału z życiem. Ideał
młodego artysty zarysował się jako wskrzeszenie ducha Chrystu-
sowego w stosunkach ludzkich. Był to wielki i prosty sposób uko-
jenia nędz i cierpień człowieczych. Nie znający kompromisu ani
połowiczności, nie rozumiejący prawdy inaczej, jak w zgodzie zu-
pełnej z czynami, Adam Chmielowski wysnuł ze swego założenia
najdalsze konsekwencje praktyczne. Postanowił pójść śladem św.
Franciszka z Asyżu. Odtąd zaczyna się jego natchniona seraficzną
miłością ludzi działalność apostolska. Urzeczywistniła się wizja
średniowieczna! W bogatych ramach chrześcijaństwa znalazły się
łatwo formy działania. Adam Chmielowski zrywa wszystkie więzy
światowe, przywdziewa habit mniszy i pod imieniem brata Alberta,
umierając dla siebie, zaczyna żyć dla drugich. Nie skierowuje swych
kroków ku wydeptanym ścieżkom miłosierdzia, ani ogranicza się
do tuzinkowego ocierania łez nieszczęśliwym. Siega głębiej. Błogo-
sławioną dłoń ratunku wyciąga ku tym, którzy znaleźli się poza
obrębem społeczeństwa. Idzie w ciemne, cuchnące zaułki, gdzie
gnieździ się zdziczenie i występki. Widzi w nich przedewszystkiem
odwieczne zjawisko nędzy i staje wobec nich jak miłujący brat, nie
jako sędzia. Schodzi wciąż niżej po obryzanych błotem i krwią
szczeblach społecznej drabiny, zstępuje aż na dno człowieczego pie-
kła, gdzie czai się wyjęte poza nawias normalnego życia zwierzę
ludzkie, urodzone w spodzeniu i skazane na zbrodnię. Tam styka
się z czemś straszliwym: z człowiekiem bezdomnym!

Ci najnędzniejsi doznają pierwsi działania kojącej dłoni brata

Alberta. Na Kazimierzu w Krakowie powstaje pod nazwą »Ogrzewalni« przytułek dla nędzarzy. Ściągają do niego w mroźne dni i noce zimowe szumowiny z przedmieść krakowskich: włóczęgi, żebracy, przestępcy różnego rodzaju, dzieci bez rodziców. Drzwi Ogrzewalni są dla wszystkich bez wyjątku otwarte i nikt nie jest nagabywany, skąd przybył i dokąd odejdzie. Prócz noclegu pod dachem czeka przelotnych tych mieszkańców także łyżka ciepłej strawy. Brat Albert jest troskliwym ich sługą i nienatrętnym gospodarzem; zostawia bezimiennym gościom swoim najdalej posuniętą swobodę. W fizycznie i moralnie duszną atmosferę przesącza się zwolna działanie jego mistycznej miłości. W ciemnych duszach wyrzutek wykwita pierwszy kwiat ludzkiego uczucia: wdzięczność. Przywykają do swego opiekuna i ani wiedzą o tem, jak nieznacznie zaczynają ulegać jego wpływowi. Pewnego dnia rozlega się w ogrzewalni szmer wspólnie mówionego pacierza. Brat Albert wydobywa skądś skrzypce, i płynie z pod jego palców słodka melodia pobożnego hymnu, a w ślad za nią rodzi się pieśń chóralna — pieśń w nocnym przytułku ludzi bezdomnych.

Ogrzewalnia zaludnia się coraz bardziej, lecz i obok szarego mnicha pojawiają się czasami towarzysze, jak on, w grubych habitach, przepasanych prostym powrozem. Boso wędrują od drzwi do drzwi, zbierają jałmużnę, chleb i starą odzież. Następuje dalsza faza. Wśród nędzarzy zdarzają się dawni rzemieślnicy. Brat Albert dostarcza im narzędzi i pomału zaprawia do pracy. Przykład pierwszych pracujących pociąga resztę. Ci, co nic nie umieją, wyplatają bodaj słomiane rogożki, które znajdują zbyt wśród uboższej ludności, a zarobiony grosz zostaje własnością przytułku. Są to już związki warsztatów!

Wnet Ogrzewalnia okazuje się za ciasną. Dzieło brata Alberta zaczyna się teraz szybko rozrastać.

Powstaje pierwsze »Schronisko« w zabudowaniach Paulinów na Skalce. Potem drugie takie samo schronisko dla kobiet, którego kierownictwo ujmują »siostry«, przyodziane w szare habitę św. Franciszka. Powstaje fabryka giętych mebli w osobnym wynajętym budynku na Kazimierzu, i oto pierwszy legion wyrzutek społeczeństwa zamieniony został w uczciwych pracowników.

Brata Alberta otacza już rozgłos. Rada miasta Lwowa zaprasza go gorąco i ofiaruje wszelką pomoc w urządzeniu przytułków we Lwowie. Owocem tych zabiegów jest wystawiony przez gminę przy ulicy Kleparowskiej za miastem wielki murowany dom na »Przytulisko Brata Alberta« dla mężczyzn, i drugi opodal, w którym mieści się »Schronisko« dla kobiet pod kierunkiem szarych

siostr św. Franciszka. Potem powstają we Lwowie i w Krakowie osobne schroniska dla bezdomnych, z ulicy pozbieranych chłopców. Wraz z dachem nad głową, strawą i odzieżą otrzymują naukę elementarną, uczą się rzemiosł, a zdolniejsi idą nawet do szkoły. We wszystkich zakładach są warsztaty, wre praca.

Z biegiem lat sieć przytułków brata Alberta pokryła znaczną część kraju. Prócz Lwowa i Krakowa są domy dla mężczyzn w Przemyślu, Tarnowie, Stanisławowie, Sokalu i Zakopanem, dla kobiet trzy domy w Krakowie i po jednym we Lwowie, Jarosławiu, Przemyślu, Sokalu i Zakopanem. Żyje i pracuje w nich tysiące dawnych nędzarzy. Pomnożyła się także drużyna brata Alberta, którą tworzy czterdziestu kilku »braci« i pięćdziesiąt kilka »siostr«. W Kuźnicach koło Zakopanego mają dwa nowicjaty i domy dla chorych, w okolicach Krechowy we wschodniej Galicji mają pustelnie, odcięte zupełnie od świata, służące do ascetycznych rozmyślań »ku pokrzepieniu ducha«, wzorem św. Franciszka. Wszyscy bracia i siostry pracują fizycznie: obsługują ubogich, dozoruja chorych, gotują, piorą, szyją, tkają sukno na odzież, uprawiają różne rzemiosła, kierują warsztatami, chodzą po kweście, wychowują dzieci. Nie mają żadnej własności osobistej. Wszystko, cokolwiek stworzą, staje się własnością gmin, w których istnieją poszczególne przytułki i domy.

Kim są ci ludzie?

Odcięci od własnej przeszłości, przeistoczeni, bezimienni, są tylko »braćmi« do służenia drugim. Obok prostaczków są ludzie wykształceni, pociągnięci przykładem brata Alberta. Niezwykły starzec, który tak prosto i cudownie umiał dać czynny wyraz swemu pogładowi na świat i życie, osiągnął wspaniały zespół formy i treści swego życia. Jest arcytypem człowieka, który się w całej pełni wypowiedział. Potężne napięcie woli nietylko patrzy z tej twarzy, jakby z brązu ulanej, ale i żywymi czynami przemawia. Ona to wywiera ów wpływ urzekający, którego doświadczyli na sobie niejednokrotnie ludzie, stojący na świeczniku umysłowym Polski. Pokorny mnich jest czemś więcej, niż dłonią, niosącą ukojenie i światło w czeluście nędzy ludzkiej. Jest on wcieleniem bohaterskiego piękna, które się nie da nigdy zgodzić z połowicznością. Jest dostojnym przykładem prawdy, że trudniej, a zarazem i wznioślej jest »dzień przeżyć, niż napisać księgę«.

Antoni Chołoniewski.

Objaśnienia: *Habit*, suknia zakonna. — *Wykwintny*, wyszukany, delikatny, najlepszy. — *Problematycznie*, zagadkowo, niepewnie. — *Asceta*, ćwi-

czący się w pobożności i cnotach przez rozmyślania religijne, modlitwy i posty. — *Wytworny*, wyszukany, elegancki. — *Światowiec*, człowiek, mający piękne obejście, obracający się w najlepszym wielkoświatowym towarzystwie. — *Adam Chmielowski* (1848—1916) w powstaniu 1863 stracił nogę. — *Monachjum*, stolica Bawarii nad rzeką Izarą. — *Karjera*, zawód, droga życia; szczęście zewnętrzne, dobrobyt materialny. — *Zadatki epikurejskie*, skłonność do używania życia, jego przyjemności. — *Subtelny*, delikatny. — *Struna etyczna* przen., poczucie moralne, sumienie. — *Kontrast*, przeciwieństwo. — *Tragiczny*, polegający na tem, że to, co piękne, silne, wartościowe, psuje się lub ginie przedwcześnie. — *Ekstaza*, wielkie uniesienie, zachwycenie duchowe. — *Małgorzata błogosławiona*. Marja Alacoque, (czyt. Alakok 1647—1690) wstąpiła do zakonu wizytek. Życie jej było ciąglem uniesieniem religijnem, zapełnione modlitwą, widzeniami. — *Chocim*, na prawym brzegu Dniestru, pamiętny dwoma zwycięstwami nad Turkami: Chodkiewicza 1621 i Jana Sobieskiego 1658. — *Harmoja*, zgodność, dostosowanie. — *Kompromis*, ustępstwo. — *Założenie*, myśl główna, zasadnicza, pierwsza. — *Konsekwencja*, wniosek. — *Seraficzny*, anielski. — *Wizja*, widzenie. — *Tuzinkowy*, pospolity. — *Kaźmierz*, przedmieście Krakowa. W samym Krakowie stwierdzono, że dzięki przytuliskom brata Alberta w jednym roku liczba spraw karnych, oddanych przez policję sądom, spadła z 5000 na 4000. — *Mistyczny*, tu nadziemi. — *Faza*, odmiana. — *Rogoża*, mata, plecionka z sitowia albo łyka moczzonego. — *Nowicjat*, mieszkanie dla nowicjuszków zakonnych, nowych, początkujących zakonników. Zakonnicy ci nazywali się Albertynami, braćmi III reguły św. Franciszka. — *Arcytyp*, najdoskonalszy, wzorowy typ.

SONET.

Co złość zniweczy, co występki zburzy,
To miłość z gruzów napowrót postawi.
Upadła ludzkość z krwi i łez kałuży,
Gdzie ją spychają występni i krwawi,

Czyn poświęcenia podniesie i zbawi.
Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,
Jak łańcuch w niebo lecących żorawi.

Cichych poświęceń nieustanna praca
I serc szlachetnych dobroć promienista
Grzesznej spuścizny przekleństwo odwraca,

I coraz głębiej przenikając, czysta
Powszechny skarbiec duchowy wzbogaca,
Z którego każdy czerpie i korzysta.

Adam Asnyk (1838—1897).

ACHILLEIS.

(URYWEK).

W NAMIOCIE ACHILLESA.

Automedon

(leży na ziemi u płócien namiotu).

Władcy... Patroklos nie żyje.

Achilles (dźwigając go).

Spadł? Konie go poniosły?

Automedon.

Nie. — Zabit. — Powleczon.

Achilles.

Kto go powłókl?

Automedon.

Tam leży, we krwi w szczerem polu.
Pędziłem całą siłą, — bo Hektor mnie goni,
Hektor, który go zabił.

Achilles.

Do bronii! do bronii!!!

Kto jest przy nim?

Automedon.

Przy trupie nie było nikogo.

Nikt koło nas nie walczył, patrzano z oddali.
Nikt nie biegał z pomocą.

Achilles.

O nędzni i mali!

Myślano, że to jestem ja w tej mojej zbroi.

Automedon.

Myśleli, że ty giniesz, przyjaciele twoi.

Achilles.

Podli! — Co prędzej zawróć. — Pij tu z tego kruża,
Odzyskasz moc! (nawołuje do innych poza namiot)
Przeprzećcie konie!

(patrzy przez otwór w namiocie)

Jakowyś mrok przesłania nadrzeczne wybrzeże.

Automedon.

To Apollon, niechętny nam, Hektora strzeże
i okrywa go chmurą.

Achilles.

Rozegnam te chmury.

Krwia Hektora opluję ilijoińskie mury.

(ubiera się w zwykłą zbroję niepozorną)
Trzymaj lejce. — Tarcz dajcie. Podajcie dziiryty.
I lecieć za mną pędem, łup będzie obfity.

(Burza. Antilochos zdyszany wbiega).
Czego chcesz?

Antilochos.

Wieść przynoszę.

Achilles.

Już wprzód przed wami
nieszczęścia wieść czarnemi przybiegła skrzydłami.
Precz.

Antilochos.

Ajas odbił ciało i przegnał zwycięzcę.

Achilles.

Niech Ajas weźmie zbroję. — Leć z wieścią o klęsce!
Ja Hektora zabiję! — Ziem Trojeju zaorzę!
Zamorduję!!! Hektorze, Hektorze, Hektorze!!!
(wybiega, dosiada wozu, wóz rusza).

POD MURAMI. U ŹRÓDEŁ.

Pallas (uzbrojona, biegnąc).

Tam, tam, o widzisz go, biegnie woddali!

Achilles (sądzi, że ściga kogoś przed sobą. Uzbrojony, biegnąc,
krzyczy)

Zabiłeś przyjaciela, jedynego druha!!
(przebiega)

Hektor (uzbrojony wbiega, przystaje).

Przystanę, — krew w gardło mi bucha.

Owoż źródło. — Garść chwycę, ha, jak ukrop pali. (pije)
Odetchnąłem. — Gdzież tygrys? Muszę go doścignąć;
niech nie sądzi, że stchórzył.

(Pallas przemyka się koło murów).

Hektor (nie patrząc w tył, a pewny, że jest ktoś za nim).

Pomóż tarcz mą dźwignąć.

I powiedz tam wrotnemu, by wrota odemknął.

(Pallas zapada się).

Przepadł. Wszak był ktoś tutaj? Czy Dejfab? Czy widmo?
Czyli mój to cień własny po murze się przemknął?
Słońce pali. (Biegnie w stronę, gdzie pognął był Achilles).

Apollu, zawleczone niebo mrokiem.

Czyimże to w śmierć jestem skazany wyrokiem? (grom).

Znak mi dajesz. W tym znaku zwycięstwo się waży. —
(z trwogą ciszej)

Jeśliżem kiedy twoich zaniedbał ołtarzy,
o Pallas!... (Achilles wraca od strony, w którą pobiegł)
Czekam na cię. Chcesz się mścić. Dostoję.

Achilles.

Zabójco dzieci, zbrój się, grabarzu, zabiłeś!

Hektor.

Odrzuć włócznię! Na noże walcz, dostoję pola!

Achilles.

Strzeż się, gdy nieopatrnie włócznię wyrzucisz,
Walczę włócznią, bo zabić jeno moja wola!
(rzuca dziiryt. Hektor upadł na kolana, ugodzony w szyję. Achilles
patrzy).

Hektor (gnie się ku ziemi drżący).

Ciało me oddaj ojcu, dzieciom i mej żonie.

Achilles.

Wprzód ogniem cały Iljon zdobyty zaplonie!
(wyrywa dziiryt z rany Hektora. Hektor omdlewa).

NA MURACH ILJONU.

(Priam biegnie z pośpiechem. Gromada starców otacza go, biegnąc
za nim. Wszyscy patrzą kędyś w dół, poza mury).

Priam (sute ubranie starczej swojej głowy zrzuca; pozrywał loki
i tiarę).

Synu! Synu! — Mój synu! Już cię nie zobaczę!
Już cię żywym nie ujrzę!!!

Gromada niewiast (biegnie z pośpiechem, wszystkie patrzą
kędyś w dół, poza mury, wskazują).

O tam, o tam! Już widzę! Wóz pędzi śród pyłu!

Andromaka (wpada, krzycząc).

Okrutniku! — O widzę!!! Tam! Ach! Wlecze trupa!!!

Gromada starców.

Obłok kurzawy przesłania wóz — konie.

(przebiegają pędem).

Gromada niewiast.

Pędzą tam, dalej! tam, — ku tamtej stronie!

(przebiegają pędem).

Andromaka (stoi chwilę, słucha, rozplątuje i rozrywa węzły
bogatego ubioru głowy).

Stójcie!! Ha! Wlecze trupa! Zabił! Okrutny! Straszliwy!

(Stoi nieruchoma z rękoma wzniesionemi. Dzieci wbiegają).

Dzieci, nie patrzcie tam! — Droga krwią ojca!...

(dzieci krzyczą, płaczą).

Ojczel! Ach ojczel!!! — Zabójca, zabójca!!!

Gromada starców i niewiast *(wracają pędem).*

Biegą tutaj. Zawrócił. Wpadł. Przez rzekę gonil

Przebrnął. — Tu pędzi. Ku nam, tu! — Śmierć gonil!

(odwracają się, patrząc. Słychać tętent wozu daleki).

Andromaka *(przechylając się przez mur).*

Zabójca! Zabójca! — Zabójca! — Zabójca!!!

(upada zemdlona. Tętent wozu tuż pod murami. Gromada starców i niewiast, krzycząc, leci w stronę, ku której pędzi wóz).

NA POLU WALKI.

(Achilles uzbrojony, w otoczeniu swoich domowników, nad ciałem Patrokla).

Ajas *(uzbrojony).*

Synu Peleusa. Chciałem w twej obronie...

Zapóźnom przybył...

Achilles *(rękę podaje i ściska dłoń Ajasa).*

Synu Telamona.

Ajas.

Zapóźno, na nic była już obrona.

Achilles,

Ty oszczędziłeś mi hańby po zgonie,
żeś odbił ciało słuzalcem Hektora.

Ajas.

I twoją zbroję. Tak bowiem sądzono,
żeś ty wybieżał wyzywać Hektora,
i że to ciebie jego pocisk zwala.

Achilles.

Mój przyjacielu, weźmij z niego stroje

(Ajas zdejmując część zbroi z Patroklosa, którego podtrzymuje Achilles).

Jak rany straszne i jakie okrutne!

O drogi bracie mój, o mój kochany,
jeden synu, luby przyjacielu. —

Skłamałeś, dziecko szlachetne. —

Ojczel, mój ojczel, drogi rodzicielu,
i cóż mi zbroje twe świetne?

W nich to przyjaciel mój ginie.

I cóż mi, matko nieśmiertelna boża,
że sławę do dom przywiozę z za morza,
gdy w strasznym zyskałem ją czynie.

Kogom ukochał, w krwi przede mną leży,
przyjaciel jedyny miły.

Kogom czcić pragnął i duchem doścignął,
ręce go mściwe zabiły.

Próżnom się myślą ku niebu wydzwignął,
lot prześcignął moje siły. — —

O daj mi ciało, złóż tu na ramiona,
niech go poniosę pod płótna.

Młodości luba! O śmierci okrutna!

O dolo ty moja stracona!

Ajas.

Mogęż pójść z tobą?

Achilles.

O czemuż nie z nami?

Przyjm pocałunek wdzięczności za niego.

(całuje ramię Ajasa)

Zbroję weź dla się. — My pójdziemy sami.

Ajas.

Strój ten mnie dajesz — twój!?

Achilles.

Za czyn szlachetny

Staniesz się godny i daru godniejszy,
niż ja. — Snadż dzieła skończyły się moje.
Żegnaj mi w zdrowiu. — O nic już nie stoję
i jedno w oczy te patrzę przymknione, —
samci jemu powieki przywarłem
i widzę szczęście to moje zginione.
O dziecko! — W tobie umarłem.

(odchodzi, unosząc ciało Patroklosa).

Ajas *(nad porzuconą zbroją).*

Te płaty żyją. — Jakoż wezmę na się?

Mówił, zem równy. — Stanę się godniejszy.

Dzień ten mnie zbliżył ku niemu dzisiejszy,

gdy nic już siła u niego nie waży,

gdy duchem boskich dosięga mocarzy.

Hej, za nim w pościg! *(wiąże zbroję i zabiera).*

W NAMIOCIE ACHILLEŚA.
(Priam u stóp Achillesa).

Achilles.

Gdyby na chwilę przede mną tu ożył,
razbym go drugi tym mieczem położył.

Priam.

Gdybyś na chwilę wskrzesić go był zdolny,
rzekłbym, że światem władasz, jak duch wolny.

Achilles.

O władztwo się nie kuszę, nie głoszę się bogiem.

Priam.

Więc uznaj we mnie ojca, co kląkł przed twym progiem.

Achilles.

Jesteś ojcem człowieka, co zabił mi brata.

Priam.

Przed tobą gnę kolana, jak przed władcą świata.

Achilles.

Chcesz ocalić od hańby syna.

Priam.

A z nim ciebie.

Achilles.

Coś rzekł?

Priam.

Hektora sromem hańbisz siebie.

Wróć mu cześć bohaterską.

Achilles.

Dam mu ją na stosie.

Na stosie Patroklosa pozyszcze dym chwały.

Priam.

Tak-że okrutne chcesz mieć bawisko w tym losie,
który mu zradne bogi zdawna przeznaczały.
Wiedz, że, jeśli zgon jego z ich woli się zdarza,
klątwa dosięgnie tego, kto zmarłych znieważa.
Znieważyles i wlokles.

Achilles.

Jako psa włoczyłem.

Priam.

Na mękę moich oczu sam z wieżyc patrzyłem.
Nasyciles twą zemstę.

Achilles.

Niestety, zbyt łatwo.

Chciałbym cię płaczącego widzieć nad twą dziatwą.
Wszystko, wszystko, co twoje, zaorać i złupić.

Priam.

Przychodzę syna mego łzami memi kupić.
Ty sam przypomnij ojca i ludzkich dni koniec. —
Wiesz, jak jest szybka śmierć, jak lotny goniec,
Nieszczęście nie zabiło mnie, ale mnie chowa
dla jeszcze większych gromów, które padną,
bym widział wszystko gruzem i popiołem
i poznał śmierć jedyną wielką, siłowładną,
i z tą straszliwą panią do uczy siadł społem
wśród trupów, — ...gdy już ciebie nie stanie, mocarzu.

Achilles.

Zabieraj twego trupa i idź precz, nędzarzu!

Priam.

Oddales!!! O ty wielki! O wielki, szlachetny.
Niech tobie bóstwo stokroć czyn ten twój nagrodzi.
Daj ucałować rękę (*ujmuje za rękę Achillesa i całuje*).

Achilles.

Ach... starcze! — Całuje.

To jest ręka mordercy twojego Hektora.

Priam.

Budujesz jego sławę, którąś zabił wczora.

Achilles.

Puść mi rękę, — ze wstydu krew bije do czoła.

Priam.

Pójdiesz drogą, na którą Hektor cię mój woła!

Achilles (*rozchyła szeroko płócienną namiotu, woła do swoich*).
Niechaj mu dadzą ciało! — Królowi Iljonu
pokłońcie się do kolan! — (*do Priama*) Idź precz.

Priam.

Godnyś tronu.

Dzisiaj tyś ponad innych wyrósł — duszą bogów.
(*patrzy chwilę na Achillesa, wychodzi. Lud zebrany przed namiotem bije pokłony Priamowi.*)

Achilles.

Nie mam przyjaciół już i nie mam wrogów.

Stanisław Wyspiański (1869—1907).

Objaśnienia: *Achilleis*, pieśń, opowieść, utwór o Achillesie. Achilles, syn boginki morskiej Tetydy i Peleusa, główny bohater Iljady, poematu greckiego o walkach Greków z Trojańczykami pod Troją — Iljonem. — *Peleus* był królem Myrmidonów we Ftyi w Tessalji. — *Automedon*, woźnica wozu bojowego Achillesa. — *Włady*, władco, panie. — *Patroklos*, przyjaciel Achillesa, wychowywał się razem z nim u Peleusa. Biegając na pomoc zagrożonym Grekom, wyprosił sobie u Achillesa pozwolenie na użycie jego wozu, koni i zbroi. — *Hektor*, syn króla Troi, Priama, bohater największy Trojan. — *Kruż -a*, dzban. — *Apollon*, syn Zeusa, najpotężniejszego z bogów, bóg światła i porządku; sprzyjał Trojanom. — *Dziryt -u*, pocisk w postaci ostrza na krótkim drzewcu, rodzaj krótkiej kopji. — *Antilochos*, syn Nestora, króla Pylos w półn. zach. Messenji na wybrzeżu Peloponezu. — *Ajas*, zwały wielkim, najdzielniejszy i najsilniejszy z Greków po Achillesie, syn Telamona z Salaminy. — *Pallas*, Atena, córka Zeusa, bogini równie wojownicza, jak mądra, sprzyjająca Grekom. — *Wrotny*, pilnujący wrót. — *Dejjob*, syn Priama, brat Hektora. — *Tiara -y*, wysokie nakrycie głowy. — *Andromaka*, żona Hektora. — *Sklama-łes*, Patroklos miał tylko zanieść Hektorowi wyzwanie Achillesa. — *Bawisko*, zabawa. — Przedstawione tu wypadki opowiedział Homer w księgach XVIII—XXIV Iljady.

WZGÓRZE I GÓRY.

O wschodzie słońca wzgórze niewysokie, lecz ładne, obudziło się ze snu i po raz pierwszy zaczęło się przypatrywać samemu sobie. Coprawda oprócz samego siebie nic ono szczególnego w tej chwili widzieć nie mogło, bo z za mgły, ścielącej się dokoła, wychylał się tylko mały rąbek najbliższej równiny. Wzgórze patrzyło na siebie i na równinę, aż zawołało:

— O jakżem wielkie, wyniosłe, bogate!

Wtedy od przejmującej radości i dumy u wierchołka jego jemioly zakółsały się z wielkim szumem, w jemiolach gnieźdzące się szare ptaszyny z przeraźliwym świergotem wleciały wysoko, czerwone boże mrówki jęły tańczyć w trawie, a świecące kamyki toczyły się po żółtym żwirze, podskakując i dzwoniąc serdecznym śmiechem.

Wtem strzały słońca przebiły i rozproszyły mgłę, a kraj widnokregu spiętrzył się górami, na których chmury kładły w przechodzie korony z tęcz i złota. Jedna z gór tych miała pierś granitową, strasznymi brózdami swemi świadcząca, że wszystkie burze świata godziły w nią, skruszyć jej nie mogąc; inna ze szczytu swego rzucała ziemi w darze warkocz wód, toczących srebro i brylanty, inna jeszcze na grzbiecie potężnym dźwigała odwieczne drzewa, olbrzymi roślinnego państwa, nad któremi kołysały się, w słońce patrząc, królowie ptaków — orły.

Takiemi były góry, a ładne, niewielkie wzgórze patrzyło na nie, aż operliło się całe łzami rosy i wetschnęło:

— O jakżem niskie, małe i ubogie!

Eliza Orzeszkowa (1843—1910).

SANTA-ANA-WIND.

Było to jakoś w drugiej połowie października. Około godziny dwunastej w południe taka cisza osiadła na okolicy, że góry, skały i puszcze zdawały się zaklętym snem ujęte. Żaden liść nie poruszał się na drzewie. Pisząc w chacie, słyszałem, jak dojrzałe żółędzie czarnych dębów urywały się z szypulek i, szeleszcząc po liściach, uderzały o ziemię. Upał był nieznośny, powietrze w domku stało się tak duszne, że po małej chwili, nie mogąc pisać, złożyłem pióro.

Serce i tętno w skroniach były mi przyspieszonym ruchem. Nie rozumiałem, co się dzieje: czy ja jestem chory, czy też w naturze ma zdarzyć się coś niezwykłego. Chciałem spytać o to Dżaka, ale przed godziną poszedł się był kąpać do potoku i nie wrócił jeszcze do chaty: więc położyłem się na mchu i począłem ocierać pot, który obficie występował mi na czoło.

Tymczasem stawało się coraz duszniej. Nie mogłem już wątpić, że to na mnie nachodzi jakaś choroba, gdy nagle usłyszałem zdala ciężki chód Harrysona. Po chwili wszedł do chaty: policzki jego były zarumienione, ale oczy jakoby przygasłe, a czoło niemniej zroszone potem od mojego.

— Co to się z nami dzieje, Dżak? — spytałem go.

— Santa-Ana-wind! — odrzekł.

Wiedziałem już, co to znaczy. Czytelnik, spojrzawszy na dokładną kartę Kalifornji, z łatwością dostrzeże dwa równoległe prawie łańcuchy gór: Santa-Ana i San Bernardino. Mniejsze i niższe pasmo Santa-Ana ciągnie się bliżej oceanu, poważne zaś Bernardyny wznoszą się w głębi kraju, stanowiąc jakoby kość pacierzową jego południowej części.

Owóz za temi górami państwo Kalifornja ciągnie się jeszcze daleko na wschód, aż do rzeki Colorado, stanowiącej granicę od Arizony. Cała ta część jest to jedna równa, piaszczysta pustynia, gdzie nigdzie tylko powzdymana w sypkie wzgórze, gdzie nigdzie poprzerrywana bezimiennymi jeziorami, w których przez większą część roku wody brakuje. Największe z tych jezior nosi nawet nazwę Dry-Lake, co znaczy Suche jezioro. Po deszczach zimowych pustynia na krótki czas zmienia się w prerję, umajoną cudną zie-

lonością, ale to jeden tylko krótki uśmiech natury na tem wielkiem cmentarzysku piaszczystych kurhanów. Rzeka Colorado, stanowiąca granicę od Arizony, nie jest wcale granicą pustyni. Wprawdzie brzegi żyzne, urodzajne i zarośnięte ciągną się, jakby zielona wstęga, aż do zatoki Trzech Króli, ale za rzeką pustynia znowu się rozpoczyna i, obejmując większą część Arizony, rozlega się na wschód aż do niezliczonych pasm gór, zawałających środek tego stanu, na południe zaś aż do meksykańskiej Sonory.

Przy rzece Gila, wpadającej do Colorado, pustynia staje się najgłuchszą. Część ta nosi nawet nazwę Gila-Desert. Ruchome jej piaski nigdy nie pokrywają się zielonością; niema tam żadnych osad ani ludzi białych, ani Indjan.

W części pustyni kalifornijskiej (między St.-Bernardino a Colorado) na wiosnę, gdy jeziora pełne są wody, a trawa pokrywa wklęsłości gruntu, głusza ustępuje gwarowi życia. Czasem stado bawołów, zabłąkanych aż do gór Arizońskich, rozbija piersiami trawę, a za niem pędzą skurczeni na koniach jeźdźcy indyjscy, czasem metysowie gnają stada mustangów, czasem kupcy wolarze ciągną do wschodnich osad pasterskich; czasem zabłąka się traper z Prescott lub Tucson; tak się dzieje w zabernardyńskiej części pustyni, ale Gila zawsze jest cicha, głucha, martwa i złowroga.

A taką, jak Gila, staje się po upływie wiosny cała pustynia. Nazwałem ją niepróżno złowroga, wszystko bowiem, co stamtąd przychodzi, jest jakby tchnieniem śmierci. W tych to gorących piaskach szarańcza składa swoje jaja na zimę; stamtąd nareszcie, od Gila i suchych jezior wieje wiatr, zwany w Anahejmskiej dolinie: Santa-Ana-wind.

Powinniby go raczej nazywać: Desert-wind lub Gila-wind. Są to prądy rozpalonego powietrza, z którego pustynia wysssała wszelką świeżość i wilgoć, a przesycała natomiast elektrycznością. Czasem wiatr ten wieje także z południa, od strony »*Lover-California*« czyli od strony meksykańskiej, półwyspowej Kalifornji, będącej również pustynią. Częściej jednak ciągnie ze wschodu od Gila. Jest on tem samem dla Kalifornji, czem Sirocco dla Sycylji, Solano dla Hiszpanji, a Samum dla Arabji. Mniej zapewne od tamtych niebezpieczny i rzadszy, bo wieje tylko jesienią i w zimie, rozstraja jednakże nerwy ludzkie, wysusza mięśnie, skręca liście na drzewach i przejmuje strachem zwierzęta. Gdy Dżak oznajmił mi jego bliskie przybycie, wyszedłem natychmiast z chaty. W całej naturze znac było mimo ciszy jakąś niespokojność, a i sama cisza wydała mi się martwością, nie spoczynkiem. Powietrze straciło swoją przezroczystość. Niby jakiś pył, niby dym unosił się w atmosferze. Światło

słoneczne, przechodząc przez ów tuman, straciło swoją pyszną, jarzącą pozłocistość, a świeciło chorobliwie, rdzawo, smutno. Sam krąg słoneczny, pozbawiony promiennych włosów, przesłoniony a czerwony, pozwalał oku bezkarnie patrzeć na się, jakoby przez zakopcone szkło. Myślałem, że to może dym rozszedł się po powietrzu. Dżak! — spytałem — wszak to Indjanie musieli gdzieś zapalić lasy?

— Nie! — odpowiedział Dżak — ja myślę, że to pył z pustyni.

Ale Dżak mylił się, bo przecież pył nie mógł przyjść przed wiatrem. Na pytanie jednak, czy tak zawsze bywa, odpowiedział mi, że zawsze. Tymczasem dęby zadrżały nagle, zaszeleściły liśćmi i posypały deszczem żołądzi. Następnie Dżak poradził mi, abym rozpuścił węzły laso, na którym uwiązany był mustang, albowiem zwierzę, szarpiąc się w czasie wichru, mogłoby się zadusić. Gdy się do niego zbliżyłem, ujrzałem, iż szerść była na nim poszerzona, głowę miał spuszczone, nozdrza przy ziemi. Rozluźniłem pętlę aż zanadto. Wracając, ujrzałem tłumy rozmaitego ptactwa, dążącego do skłonów gór i z parowów ku puszczy: więc stada różowych synogarlic, kuropatw zwyczajnych, kuropatw górskich, przedrzeźniaczów, czarnych dzięciołów z kanarkową piersią i szkarłatną głową. Szare bażanty smyrgały na piechotę tak niedaleko naszej chaty, że można je było z okien strzelać. Nad lasem krążyły orły i kurki, ale zapadały co chwila w gęstwinę, siadając zapewne na dobrze okrytych liśćmi gałęziach. Wreszcie ucichło wszystko: tuman zgęstniał, światło słoneczne stało się jeszcze bardziej gorączkowe, a potem uderzył pierwszy powiew.

Zdawało mi się, że jakieś potworne płuca chuchnęły nagle na mnie gorącym oddechem.

Obaj z Dżakiem schroniliśmy się natychmiast do chaty i, pozasłaniawszy kocami okna, położyliśmy się na mchu. Ale w chacie zrobiło się gorąco nie do wytrzymania. Dostałem lekkiego zawrotu głowy; krew jakby ołowiem biła mi w żyłach. Próbowałem czytać i nie mogłem. Było mi duszno. Elektryczność, przesycająca powietrze, podziałała tak na moje nerwy, że miałem ochotę pokłócić się z Dżakiem. Próbowałem pić, ale woda, stojąca w blaszance w kącie chaty, wydała mi się obrzydliwą; chciałem nakoniec palić: tytuń po kwadransie wiatru wysechł do tego stopnia, że rozsypywał się w proch w moich palcach.

Dżak, przywykły już do tego wiatru, znosił go daleko lepiej, a mnie tymczasem coraz było trudniej. Pojedyńcze uderzenia powiewów zmieniły się w trwałe huragan. Puszcza gięła się, dęby ło-

potąły gałęziami; w powietrzu zaś unosiło się takie mnóstwo liści i piasku, że niepodobna było nic dojrzeć. Przeklęty ów wiatr zmienił się w końcu poprostu w żar, buchający jakby z rozpalonego pieca i przepełniony czadem. Dżak przyniósł mi świeżej wody ze strumienia, którą piłem łączywie, ale gdy nadeszła pora posiłku jeść nic nie mogłem. Zresztą ani w południe, ani na wieczór nie paliliśmy w parowie ognia, albowiem wiatr mógł przenieść skry na puszcę i spowodować pożar lasu. W nocy nie mogłem zmruczyć oka. Na drugi dzień wiatr, zamiast uciszyć się, wiał jeszcze gwałtowniej. Drzewa trzeszczały, a połamane gałęzie waliły się w potok. Przez cały ten czas nie było ani chmurki na niebie. Wychodziłem z chałupy tylko po to, aby koniowi dać jeść. Cierpiałem nieznośne męki. Ale na trzeci dzień świtanem, a może jeszcze w nocy, ucichło wszystko.

Wyszedłszy z chaty, odetchnąłem głęboko. Powietrze było chłodne, ożywcze, błękit niebieski czysty. Łagodny wietrzyk pociągał od oceanu. Na wschodzie płoniła się jak dziewczyna różana zorza poranna. Uśmiechało się wszystko naokół. Spojrzałem po okolicy i... zakląłem, jak pierwszy lepszy majtek z Landing.

Nie było mojego konia.

Przy drzewie zwieszało się smutne łąso. Koń widocznie wysunął w czasie wiatru głowę ze zbyt obszernej pętlicy i uciekł.

Henryk Sienkiewicz (1846—1916).

Objaśnienia: *Santa-Ana-Wind* (czyt. Sente-Ene-Wind) = Wiatr Świętej Anny. — *Henryk Sienkiewicz* ur. 1846 r. we wsi Wola Okrzejska w powiecie Łukowskim na Podlasiu. Do szkoły średniej i wyższej (Szkoły Głównej) uczęszczał w Warszawie. Po ukończeniu wydziału historycznego rozpoczął zawód pisarski, w 1876 r. wyjechał przez Niemcy, Francję, Anglię do Ameryki, którą przejechał od Nowego-Jorku do San Francisco. Dwa lata spędził tu przeważnie w lasach i pustyniach, prowadząc życie koczownicze i pierwotne, pomiędzy innymi mieszkał czas dłuższy w Kalifornji u kolonisty europejskiego Dżaka Harrysona (czy. Herisona). — *Dąb czarny*. Dęby amerykańskie nazywają raczej białemi od szaro-białawej kory; tworzą one wielkie lasy w Ameryce północnej. — *Szypulka*, na której stoi kwiat. — *San-Bernardino* (czyt. Sen-Bernerdino) pasmo, idące z północy-zachodu na południo-wschód, tak, że północno-zachodnią częścią zbliża się do oceanu Spokojnego, południowym krańcem styka się z rzeką Colorado (czyt. Kolorado) niedaleko jej ujścia. Colorado, wielka rzeka w zachodniej części Ameryki północnej, wypływa z gór Skalistych, od strony wschodniej, łączy się z mnóstwem rzek bocznych, z których najznaczniejsze Grande (czyt. Grendi) i Gila. — *Stan Kalifornja* graniczy na wschodzie ze stanem Arizona (czyt. Erizone). — *Pustynia*, a raczej pustynie Mohave i Colorado. — *Dry-Lake* (czyt. Draj-léik) nieco na zachód od południowo-wschodniego ramienia Bernardynów. — *Prerja* (z franc.) łąki, stepy amerykańskie. Nazwa nadana pierwotnie przez Francuzów bezdrzewnym obszarom Ameryki północnej. — *Sonora*, jeden ze stanów Rzeczypospolitej

Meksykańskiej. — *Gila-Desert*, czyt. Gila-Dézert. — *Metys* (z fr.), człowiek, zrodzony z ojca Europejczyka i matki Indjanki lub odwrotnie, mieszaniec. — *Mustang*, dziedziczy koń amerykański. — *Traper*, łowiec w pustyniach północnej Ameryki. — *Prescot* (czyt. Preskot), miasto Arizony na północ od rzeki Gila, *Tucson* na południe od niej. — *Anahejska* dolina, nieco na północ od gór Santa-Ana i rzeczki tegoż nazwiska, dolina, w której Sienkiewicz przebywał czas dłuższy. — *Lover-California*, czyt. Lóuer-Kéifornia. — *Meksykańska Kalifornja*; część północna Kalifornji należy do Stanów Zjednoczonych, część południowa tworzy jeden ze stanów Rzeczypospolitej Meksykańskiej. — *Sirokko* (czyt. Szirokko) wiatr gorący we Włoszech, Hiszpanji i Francji południowej. Wieje głównie na wiosnę i w jesieni. — *Solano*, gorący wiatr południowy i południowo-wschodni, wiejący podczas miesięcy letnich. — *Lasso* (z hisz.), sznur długi do chwytania koni dziedziczych, arkan. — *Mustang*, Sienkiewicz z trudem ośwoił sobie dzikiego mustanga i troskliwie się nim opiekował. — *Poszerszeniała*, z gładkiej i lśniącej stała się poplątaną i matową. — *Synogarlica*, gatunek gołębia, pochodzący z Afryki. — *Przedrzeźniacz*, ptak z rodzaju drozdów. — *Bażant*, rodzaj ptaków grzebiących wielkości kury, z długim ogonem. Niektóre gatunki odznaczają się b. pięknem upierzeniem. — *Kurka wodna*, ptak kurodzioby podkasały (szczudłowaty) z rodzaju derkaczy (chróścielów), wyróżniający się krótkim dziobem i długimi palcami. — *Zapadać*, o ptakach, spadać i ukrywać się. — *Koc*, kawał sukna grubego kosmatego. — *Landing* (czyt. Lénding), miasteczko kąpielowe nad brzegiem oceanu Spokojnego niedaleko Anaheim.

ZAMARŁA OAZA.

Tu niegdyś było źródło tajne,
 Wśród piasków znacząc srebrny ślad,
 I niosło rosy życiodajne
 W pustyni głuchy, martwy świat.
 A z spalonego ziemi łona
 Wytrysło życie z biegiem wód,
 Wzniosła się w niebo palm korona,
 Dając wędrowcom cień i chłód.
 I jak ludzące puszczy obrazy
 Na suchych piasków nagiem tle,
 Powstał rozkoszny gaj oazy
 W złocistych blasków lśniącej mgle.
 Wrzało tu życie i wesele,
 Karawan tutaj ciągnął szlak,
 Do wody płocze szły gazele,
 Na drzewach gniazdo uwił ptak.
 I ten zakątek puszczy obszaru
 Weselny życia przybrał strój,
 Pełno w nim barwy, ruchu, gwaru...
 Lecz wysechł zdrój!...

Dziś kilka pni uschniętych sterczy,
Inne zwalone kryje żwir;
Nad niemi słońca żar morderczy
I latających piasków wir.

Już wielbłąd tutaj nie przykłęka,
Gazela nie przychodzi pić;
Zniknęła owa zieleń miękka,
Co okalała srebrną nić.

Wachlarze palm się nie kołyszą,
Umilkł owadów, płasząt gwar,
Wszystko jest grozą, smutkiem, ciszą,
Wszędzie słoneczny pali żar.

Pustynia gwałtem znów się wdarła,
Biorąc oazę w uścisk swój,
I wszelka życia gra zamarła,
Gdyż wysechł źródół!...

Adam Asnyk (1838—1897).

Objaśnienia: *Oaza*, miejsce wśród pustyni piaszczystej, obfitujące w roślinność i wodę. — *Puszcza*, tu = pustynia. — *Łudzjące puszczy obrazy*, miraż, fata morgana, mamidło, zjawisko optyczne, obserwowane często na równinach piaszczystych, rozgrzanych przez słońce. Wskutek załamania światła obserwator widzi jakby niezmierną powłokę wodną, w której, jak w zwierciadle, odbijają się chmury, drzewa i inne przedmioty. — *Karawana* (z persk.) gromada podróżnych, szczególnie na Wschodzie, kupców, udających się razem w drogę dla bezpieczeństwa. — *Gazela* (z arab.) rodzaj antylopy, należy do rodziny przeżuwających, pustorogich, stanowiącej przejście od jelenia do kozy, owcy. Gazela jest wysmukła, zgrabna i barwy czerwono-brunatnej, ma wielkie, bystre oczy, rogi okrągłe, ku tyłowi zwrócone. — *Płochy*, płochliwy, pierzchliwy, strachliwy. — *Adam Asnyk* podpisywał się często El-y.

BURZA NA ATLANTYKU.

Wyszedłem na pokład. Dzień był ponury, szary, wietrzny. Mewy rzucały się w powietrzu, fale zaś były rozigrane. Trudno się było utrzymać na nogach. Naokoło statku piętrzyły się takie bałwany, w jakich istnienie trudno uwierzyć. Zawsze uważałem za przesadę, gdy opowiadano mi dawniej, że fale morskie dochodzą wielkości domów; teraz przekonałem się, że istotnie jest to przesada, ale in minus. Otaczały nas poprostu góry wodne. Chwilami zdaje się, że cały statek razem z tobą znajduje się w bardzo głębokiej dolinie, zamkniętej górami, przewyższającymi o wiele, tak np. o dziesięć razy, szczyty masztów. Nagle dolina zaczyna się zmniejszać z przerażającą szybkością, a góry lecą ze wszystkich

stron na statek, rycząc jak wściekle. Przemykasz oczy i mówisz sobie w duchu: »Jak się macie, ryby!« — przysiągłbyś bowiem, że żadna siła ludzka nie wyrwie już statku z tego przeklętego lejka, na którego dnie zostanie, pokryty warstwą wodną, grubą na kilkadziesiąt sążni. Po chwili jednak, cóż się stało? Oto otwierasz znów oczy, i widzisz się teraz na wierzchołku góry, przed tobą zaś przepaść, do której zlatujesz po linii prawie prostopadłej. W ten sposób jechaliśmy cały dzień.

— Czy to jest burza? — pytam jednego z majtków, umiałem bowiem ten frazes po angielsku.

— Nie, to nie burza — odpowiada majtek; — czas jest piękny. Przekleństwo na twoje oczy! Jeżeli to jest czas piękny, cóż wy tedy nazywacie burzą? On to nazywa czasem pięknym! Jeżeli nie utoniemy, to chyba dlatego, że ty i twoja załoga będzie wiśla, co zaś ma wisieć, to nie utonie.

Tymczasem fale zalewają nawet górny pokład, tak że trzeba zejść nadół. Przy samych schodach spotykam doktora z rudemi faworytami, który pochyla się nade mną i krzyczy, żeby przekrzyzczyć szum morski: Comment ça va, monsieur!?

Jestem tak pogiębiony, że nietylko nie odpowiadam doktorowi, ale nie mogę trafić do schodów. Nie choruję, ale czuję zawrót głowy i ogłupienie posunięte do tego stopnia, że gdyby to był stan normalny mego umysłu, mógłbym odznaczyć się nawet w kółkach ultrakonserwatywnych à tout prix. »Trzymałem się za coś — mówi w podobnym położeniu pan Dickens: — może to był komin od pieca, może majtek, ale może i krowa«. Ja wiem, że nie mogłem trafić do schodów.

— Patrz pan! — woła doktor: — ja się niczego nie trzymam, ja mogę teraz przechadzać się po pokładzie.

— Jakto? — jęknąłem — pan nie upadnie? — Je suis trop vieux marin pour cela! — odpowiedział, i w tej chwili zobaczyłem nagle jego nogi w tem miejscu, gdzie była głowa, co mi dowiodło, że nietylko może przechadzać się, ale może nawet przewracać koziółki.

Prawdziwa burza rozszalała jednak dopiero wieczorem, chociaż wiatr wzmagał się przez cały dzień. Kiedy nadeszła chwila lunchu, położono na stołach poręczę, inaczej bowiem wszystkoby z nich pozlatywało na ziemię. Nic zabawniejszego, jak widzieć gości, idących wzdłuż stołów na swoje miejsca i taczających się jak pijani. Wchodzi naprzykład jakiś pastor prezbiterjański, a może kwakier. Ale zaledwie ukazał się we drzwiach i puścił się klamki, rzuca się w największym impecie na komin, jakby tam spostrzegł coś takiego, na co poprzednio czatował; następnie odbija się od

kominka, uderza o krzesło, chybia poręcz, którą chciał uchwycić rękoma, odbija się od krzesła, wpada w objęcia jakiejś panny, porywa ją za głowę, poczem siada na podłodze, wywiesza język i poczyna pisać konającym głosem: »Oj! oj!«

Lunch, mimo przegródek i poręczy na stołach, mamy tańczący, gdy bowiem statek położy się na lewym boku, wszystkie półmiski, talerze, szklanki, karafki, noże, widelce, zsuwają się z brzękiem, szczękiem, hałasem i tartasem na lewą stronę, po chwili znów na prawą, i tak ciągle. Stewardowie posługują nam, chodząc w ten sposób, że tworzą z podłogą kąt ostry; zupa wylewa się z talerzy, woda ze szklanek, wino z kieliszków; panie poczynają krzyżeć, panowie kląć bez względu na obecność dam; słowem, powstaje nieopisane zamieszanie, i połowa osób opuszcza stół przed czasem. Obiad odbywa się tak samo, jak lunch. Co większa, przy obiedzie niema kapitana, co poczytują za zły znak. Jakoż przy czarnej kawie wyraz: »Storm! storm!« (burza! burza!) rozlega się po całym salonie, na korytarzach i w kajutach. Burza istotnie rozpoczyna się. Mimo mego godnego politowania stanu, chcę ją widzieć i, ubrawszy się w gumowy płaszcz z kapturem, wychodzę na pokład, a raczej wylazę na czworakach. Wichur jest tak silny, że, trzymając się obiema rękoma poręczy, zaledwie mogę ustać na nogach. Chwilami woda oblewa mnie od stóp do głowy. Morze zdaje się być pomieszane z chmurami, chmury z morzem. Patrząc na to, nie mogę opędzić się myśli, że Ocean się wściekł.

Ale właśnie ta jego wściekłość ślepa i głupia budzi ku niemu rodzaj pogardy.

Huczy, ryczy, ciska się, opluwa niebo pianą, miesza się z powietrzem, słowem: szaleje. Nie przystoi to ani jego ogromowi, ani majestatowi, tem bardziej, że złość ta wydaje się nie mieć żadnej przyczyny. Wściekł się i kwita, tak, jak wpada czasem bez powodu w szaleństwo słoń. To wyuzdanie się ślepych sił, ta przemoc brutalna, skierowana przeciw statkowi, który w porównaniu jest atomem, budzi w tobie chęć oporu i gniew. Chciałbyś zaciąć zęby, chwycić w rękę topór i z iskrzącym wzrokiem czekać na tę olbrzymią hałastrę wiatrów, piany, fal, wściekłości, zaślepienia, ryczącej orgii przemocy. Postępek Kserksesa, który kazał wychłostać fale, wydaje się wówczas zrozumiałym. Zwierzę potrzebuje bicia. Jeżeli tylko nie jesteś z natury tchórzem ostatniego rzędu, mówisz wówczas Oceanowi: »Rycz, wyj, wściekaj się — drwię z ciebie!« Jest w tem wszystkim nawet pewna rozkosz, bo wobec podobnych uczuć największa nawet wściekłość staje się bezsilną.

O północy burza doszła do swego maximum. Statek prawie

nie odplynął naprzód, ale rzucał się tylko od chmur w przepaść i odwrotnie. Nie było już widać nic prócz chaotycznej i wścieklej mieszaniny nieba, wody, powietrza, wichru i ciemności. Wiatr uderzał czasem jak młotem, czasem zakręcał jak świdrem, słowem: pastwił się nad falami i statkiem. Tumany kropel wodnych uderzały co czas jakiś o moją twarz i kręciły się w powietrzu, jak słupy dymu. Ogromne masy wody wpadały co chwila na pokład lub przelatowały przezeń na drugą stronę. Musiałem się trzymać ze wszystkich sił, aby nie być splókanym. Nagle spostrzegłem, że ktoś stoi koło mnie, również w gumowym płaszczu i kapturze. Był to mój towarzysz. Próbowaliśmy mówić, ale niepodobna było ust otworzyć, wiatr bowiem wbijał nam napowrót aż w gardło słowa. Podróżni wszyscy pochowali się w kajutach, tak że na pokładzie byli tylko majtkowie.

Cała załoga, prócz palaczy, była na górze. Majtkowie to ciągnęli liny, to czepiali się drabin, to związywali nowemi sznurami żagle, biegnąc, krzyżąc, klnąc lub powtarzając swoje żałosne: »Oo ho!« W ciemnościach, wśród wichru i huku fal, rozlegały się ostre głosy świstawek miczmanów, które dla majtków są słowami komendy. Głosy te nie ustawały ani chwili. Walka w takich razach trwa dopóty, dopóki burza nie zmęczy się, nie wydmucha, nie wypluje wszystkiej piany, nie ochrypnie i nie uzna się za zwyciężoną.

Koło godziny pierwszej po północy zesłiśmy wreszcie na dół, zmienili odzież i bieliznę, przemoczoną mimo gumowych płaszców do nitki, następnie rozebraliśmy się i położyli spać. Ale cała noc była niespokojna. Chwilami trzeba się było trzymać, żeby nie wylecieć z szufłady. Statek kołysał się tak, że, leżąc w łózkach, niekiedy znajdowaliśmy się w pozycji stojącej: dobrze gdy na nogach, gorzej gdy na głowie. Futro, wiszące na przeciwległej ścianie od mojego łóżka, nagle spostrzegłem wiszące wprost nade mną. Kufarki nasze i buty latały po całej podłodze i po ścianach, bijąc z łoskotem w przepierzenia. Torby podróżne, zawieszane na hakach, wiły się w powietrzu, jakby je ktoś okręcał.

Około drugiej, w kajutach, leżących bliżej schodów, rozległ się krzyk. Sądziłem, że stał się jakiś wypadek, tem bardziej, że w tej samej chwili usłyszałem wodę, płynącą z szelestem w wewnętrznym korytarzu. Rozbudzili się wszyscy, okrzyk: »Woda! woda!« zabrzmiał w całym wnętrzu statku; kobiety poczęły wrzeszczeć na różne tony lub biegać po korytarzach w kostjumach, których prostoty najprostszymi opis nie byłby w stanie oddać. Wreszcie nadszedł młody miczman, cały mokry, z twarzą zarumienioną walką,

i oświadczył damom, że woda nader zwyczajnym sposobem dostała się przez schody na korytarz, i że niema żadnego niebezpieczeństwa.

Nazajutrz z rana morze było jeszcze wzburzone, ale wiatr ustał, koło południa zaś uciszyło się i morze. Mnóstwo osób przyszło na lunch. Żartowano i śmiano się z wczorajszego przestרחu.

Henryk Sienkiewicz (1846—1916).

Objaśnienia: *Mewa*, rodzaj ptaków z rzędu pływających, z rodziny długoskrzydłych, o upierzeniu białym z czarniawym lub popielatym płaszczem. Bardzo lotne, pływają słabo, całe dnie spędzają w powietrzu, żyją na pobrzeżach mórz całego świata. — *In minus*, na niższe, a więc zmniejszenie. — *Comment ça va, monsieur?* = Jak się pan miewa? — *Ultrakonserwatywny*, gorliwy zachowawca, zacofaniec, przeciwnik postępu. — *A tout prix* fr. = za wszelką cenę. — *Dickens Karol (1812—1872)*, znakomity powieściopisarz angielski, w licznych powieściach przedstawiał życie średnich i ubogich warstw społeczeństwa angielskiego, ze szczególną miłością i współczuciem kreślił postaci dziecięce. — *Je suis trop vieux marin pour cela!* = Jestem na to za starym marynarzem. — *Lunch*, (czyt. lansz), w Anglii śniadanie w porze południowej, złożone z potraw zimnych i gorących. — *Prezbiterianie*, stronnictwo religijne w Anglii, Szkocji i Ameryce protestanckiej, trzymające się wiernie formy kalwińskiej w obrzędach i urzędzeniu religijnem, przeciwne organizacji kościoła anglikańskiego, panującego w Wielkiej Brytanji. Kościół anglikański zostaje pod władzą króla, a mianowani przez niego biskupi są głowami kościoła i pierwszymi baronami (członkami izby wyższej parlamentu, do którego należą rządy krajami państwa). — *Kwakier*, członek sekty religijnej protestanckiej, która nie ma ani stanu duchownego, ani żadnych obrządków kościelnych. Na zgromadzeniach przemawia każdy, kto się czuje do tego powołanym; kwakrowie nie składają przysięg, nie służą wojskowo, unikają zbyteków i zabaw. — *Steward* (czyt. stjuerd), posługujący, kelner. — *Kserkses I*, syn i następca (od 485 r.) Darjusza Histaspesa, pamiętny swą wielką a niepomyślną wyprawą perską, mającą na celu podbicie Grecji (480 r.); mimo zwycięstwa, odniesionego w Termopilach, pobity pod Plateą, oraz na morzu pod Salaminą i Mykale, musiał z wielkimi stratami wracać do Azji, gdzie został zamordowany r. 465 przez Artabana, dowódcę straży przybocznej. W czasie przeprawy licznych wojsk z Azji przez Hellespont (cieśninę Dardaneelską) Kserkses według podań greckich miał wysmagać morze i wrzucić w nie łańcuchy. Prawdopodobnie jednak były to zaręczyny z morzem zapomocą związanych w łańcuch ogniów, obrządek zaręczynowych. — *Maximum*, stopień najwyższy. — *Miczman*, kadet na okręcie wojennym, najniższy stopień oficerski w marynarce.

W KRAJU CZUKCZÓW.

Za sprawą ojca misjonarza puścili się w daleką drogę.

Gdy zgodnie wobec tłumu zebranych mieszkańców krzyknęli na psy, a te wlot pochwyliły ich i poniosły po ubitej drodze, przyjacielom wydało się, że to sen na jawie. Gorączkowem spojrzeniem żegnali miasteczko. Karawana składała się z trzech nart, każda po

piętnaście psów. Przodem jechał Buza z zapasami żywności, następnie ojciec Pantelej ze swemi rzeczami i podarunkami, herbatą, tytuniem i innymi kosztownościami; na końcu jechał Stefan z Józefem. Józef psami kierować nie umiał i w drodze był do niczego jak pakunek. Ojciec Pantelej wciąż się na nich oglądał i przyjaźnie uśmiechał. Był rad, że ich wziął z sobą, gdyż wybrał się w kraje nieznanne, a chociaż Bóg jest wszędzie i ma nas zawsze w swej pieczy, przyjemnie jednak mieć koło siebie odważne, przyjacielskie serca ludzi, z którymi można pogadać, sobie ulżyć i czegoś się nauczyć...

— Nie jeździłem nigdy dalej, niż do granicy. Dalej tundra, i tylko Duch Boży unosi się nad pustynią... Buza bywał. Tęgi kozak dojeżdżał na sam dziób przylądka! Hej, Buza, co tam dalej będzie?! Prędko będziemy pili herbatę?

— Gdzie się zatrzymamy, tam będziemy pili — poważnie odpowiedział kozak.

Był niezmiernie przejęty godnością naczelnika wyprawy. Siedział na beczulce wódki jak na tronie, a strzegł jej jak oka w głowie.

— Skoro tylko przyjedziemy na kresy lasów, skończą się ludzkie oblicza! Stamtąd wciąż jednostajnie pójdzie wódka i wódka. Za wszystko ona odpowie, gołąbka... Samo bezpieczeństwo życia od niej zależy!... I ciągną ją przekłęci Czukcze jak smoki! Chciwi są na nią niepomiernie!... Gdy trochę wypiją, wszystko za nią są oddać gotowi. Tylko proś, tylko bierz!... A my przecież z powrotem pojedziemy bez rzeczy, rybę zjemy, podarunki oddamy. Sanki będą puste, będzie gdzie ładować, psy spaśne, gdyż wypoczną, nadjedzą się u Otowaki reniferowych wnętrzości... Lecieć będziem z powrotem niepowstrzymanie!... Ucha... che!... — marzył i pokrzykiwał głośno, albo głosem cieniutkim śpiewał miejscową piosenkę:

»Oj, Sidorku, Sidoreczku!

Ciepłe tchnienie wiatreczku

Wieje z ziemi na morze,

Więc wyruszaj, nieboże!

Psy zagrzągaj bez zwłoki,

Niech cię wiozą w opoki,

Niech cię wiozą na morze,

Oj, Sidorku, Sidorze!...«

— Buza, Buza! ujarzmij swe chuci! — ostrzegał go zdala ojciec Pantelej, gdyż mimo jazdy głos w czystym, zimnym powietrzu, w niepokalanej ciszy białej pustyni lodowej wyraźnie dobiegał jądących. Marcowe słońce złożyło śniegi tak gładkie i równe, ubite

wiatrami, że na tle ich najmniejszy krzew wydawał się lasem, najmniejsza nierówność górą. Wkrótce jednak na białej linii widnokregu, ostro odrzynającej się na błękitnym niebie, zarysowały się wierzchołki dalekich gór. Zwrócili się ku tym góróm. Przenocowali w pustej szopie rybaczej, ostatniej ludzkiej sadybie u ostatniej z wyspek zanikłego lasu. Odtąd mieli przed sobą tylko śniegi, skały i niebo; drzewa tyle tylko, co go przyniosły fale morskie lub wylewy rzeki, a ludzi tyle tylko, co w dalekim obozowisku Otowaki.

Tłuste, silne psy rażno biegły. Po dniu drogi znaleźli się niespodzianie nad brzegiem przepaścistego urwiska. W dole, jak okiem zajrzeć, słały się śnieżyste bezbrzeża.

— Morze! — zawołał Buza.

Domyślili się wcześniej i zatrzymali psy.

— Widzicie, tam wdali błyszczą grudki, niby kawałki słońca — to »torosy«! A dalej, gdzie wisi chmura na skraju nieba, to już wolne morze, które nigdy nie zamarza. Za temi wodami ciepły, powiadają, kraj leży... Ale tam nikt nie był, bo kto poszedł, to już nie wrócił...

Chwilkę stali zachwyceni bezmiarem widoku, powietrza, słońca, które kładło delikatne, niebieskawe cienie we wgłębienia długich, spokojnych, lodowych fal morza. Wreszcie Buza przypomniał im, że mają spuścić się nadół, a dalej pojadą już brzegiem. Dzień cały jechali w pobliżu posepnych urwisk brzegowych. Ocean zataczał tu półkole, i cały brzeg był taki stromy, warowny.

— Tu fala bije aż pod wierzch. Wysoko bije... To wszystko są »byki« — uczył ich Buza.

Istotnie te ostatnie ziemie strażnicze miały w sobie coś hardego, byczego, gdy wznosiły wysoko ciemne łby skalne i bodły błękity. Na noc zatrzymali się u stosu drzewa, namytego przez prądy.

— Wiesz, z każdą przebytą wiorstą, większe ogarnia mnie wzruszenie, zabobonna trwoga, że coś przeszkodzi... — mówił Józef do Stefana, gdy spać się kładli.

Ten za bardzo był zmęczony, żeby rozbierać subtelne wrażenia.

Pogoda wciąż sprzyjała. Tylko trzeciego dnia począł dąć lekki, suchy wietrzyk z łądu od południa i zwiewać im z urwisk na głowy pyły śniegowe. Zimno jednak niebardzo dokuczało, gdyż ściana brzegów zakrywała ich od przewiewu powietrza. Kozak wszakże głową kręcił i psy poganiał.

— Niedaleko już, ale spieszyć się trzeba. Będą tu niezadługo dwa cyple: Pawal i Peweka; między niemi trzeba przeciąć morze... tam dmie zawsze, czy pogoda, czy niepogoda.

Koło południa stanęli u podnóża Pawalu. Tęga, potworna opoka wysoko podnosiła grzbiet szeroki i daleko wybiegała w morze; ziemia po obu jej stronach gwałtownie uchodziła wtył, jakby w przestrachu... Po drugiej stronie morskiego przesmyku stał równie pokaźny zrab czarny, zmniejszony odległością.

— Stąd widać obozowisko..., stoi na Pewece we wgłębieniu między dwoma garbami... dziwno jednak, że dymu nie spostrzegam. Chyba, że go wiatr zwiewa... No i wieje... Ciężko nam będzie!

— A może przenocujemy?...

— Przenocować?... Drew niema; zresztą ktoby nocował, kiedy widać namioty?... Całkiem stracilibyśmy u dzikich poważanie... Pojedziemy! Jutro może dąć gorzej. Nakarmimy psy i hajda!

Rozwiązał tobołki, i zaczęli psy karmić i sami się posilać. Wiatr dziko wygrywał wśród skał. Gdy chwilami gwałtowniejsze jego podmuchy wpadały do ich zacisza, ręce, trzymające pokarm, grabiały im natychmiast.

— Ależ zmarzniemy w jednej chwili!...

— Nie zmarzniemy, da Bóg! tylko nie stawać po drodze, sani z rąk nie puszczać, wszystko przywiązać, bo co spadło — to przepadło. Trzymać się blisko jeden za drugim, nie krzyżeć, bo to daremnie... a patrzeć, oczu pilnować, żeby nie zaproszyło, nie zakleło. Z wiatrem psom nie dawać zawracać, a trzymać je pod wiatr naukos. A niech ojciec i pan, Boże uchwaj, psów nie wypuści z posłuszeństwa. Peweki nie minąć, bo tam to już zupełnie czyste morze, i na śmierć wicher was porwie. W drodze nie stawać, bo od stawania niema wypoczynku... W imię Ojca i Syna... z Bogiem!...

Wypadli z impetem z za węgla; wicher natychmiast uderzył w nich, sierść na psach skudlił, ogony im zawiął, narty do góry podbił. Ludzie pochylili się, by mu się oprzeć i odwrócili twarze. Ale tchnienie jego czuli coraz boleśniej. Parło ich ono coraz silniej, przesiąkało przez nich, zabierało ciepło ciała, oblepiając igłami śnieżycy. Wkrótce tych igieł suchych i palących mieli pełne usta, pełną odzież, czuli je przenikające przez futra do samego ciała, gdzie topniały, budząc dreszcz przejmujący. Niezliczone strugi tego pyłu unosiły się niziutko nad gładką, lśniącą, powierzchnią śniegów, niby sploty żmij; z sykiem obwijały się im dokoła nóg i tułowia, chwytaly za zwieszony pyski psów, kąsały płozy i nóżki nart, i odbijając się od nich wzdętym, siwym kłębem, przewalały się przez karawanę.

Chroniąc się przed ich zimnemi żądłami, ludzie skulili się poczwarnie, brody nieledwie oparli o kolana i tylko kiedy niekiedy spoglądali przed siebie, gdzie daleko czerniała zbawcza skała. Psy też rozumiały, gdzie jest zhawienie; wyciągały, ile sił stało, lekkie,

kudłate łapki i nurkowały uparcie w szalonym potoku pędzącego powietrza. Co krok padały, pazury im się oślizgiwały po twardej, ubitej powierzchni, oczy nabiegły krwią i z orbit wyszły. wyduszone szlejami uprząży. Narta, strasznie im nagle zaciężyła. Biedne zwierzęta szły w luk zgięte, pysków nawet zziąjanych nie śmiejąc otworzyć, gdyż zimna wichura raniła im gardła i płuca.

Chrobot nart, żalosne skomlenie psów, przekleństwa i okrzyki ludzi, wszystko, jak drobne pyłki, nikło w zaciekłym, głuchym szumie huraganu, rozsiewało się w przestworzu, jak gdyby nikt nie cierpiał, nie wołał, nie walczył. Stefan bezustannie badał wzrokiem odległość. Myślał z rozpaczą, że psy się zmęczą i przestaną słuchać przewodnika, że trzeba będzie wstać, popędzać je i nawracać. Józef tulił się bezsilnie na nartach i drżał jak w febrze. Wreszcie wiatr zwolnił, rozbił się na podmuchy. Byli już prawie pod potwornym garbem Peweki. Stefan z religijnem niemal uczuciem spoglądał na opokę, spokojnie roztrącającą i wichury, i wody. Buza czekał już na nich.

— A co, tośmy forsu dali!... Można się pochwalić. Teraz to samo co w domu. Tylko dziwno mi, że ludzi nie widać. Prawda, niepogoda! Ale powinni byli nas zobaczyć. Chyba, że rena zarzęnęli albo fok nałapali, nazbyt najedli się i śpią. Trzeba drapać się w górę. Hej, kudłaje! Noch! Noch!

Psy podrażnione i głodne zaczęły się gryźć. Nim je uspokoiłi i uprząż na nich poprawili, słońce schowało się za wysokie góry, i czerwony blask wieczoru oblał purpurą czarne głązy, oraz białe śniegi.

Wąską, niedogodną ścieżyną wdzierali się na przełęcz.

Wtem Buza, który szedł na przedzie, stanął na zwrocie jak wryty, psy natychmiast pokładły się, a ludzie rzucili się do kozaka, który nie odpowiadał na ich pytania i oczu nie odrywał od przedmiotów, ukrytych za opoką. Puste namioty z odwiniętymi gościnnie zasłonami stały przed nimi ciche i tajemnicze. Ale co innego przykuło wzrok kozaka.

Czuczka w futrzanej odzieży z dzidą w ręku leżał w poprzek drożyny, twarzą zwrócony do ziemi. Nieco dalej z zasypany śniego-wej wyglądała głowa, świeciła białkami, wicher włosy jej targal; później wysterkała z pod śniegu ręka zaskrzepła, krogulcza.

Plamy krwi mieszały się z czerwienią wieczoru.

— Co takiego? Co to jest?

— Cicho... Na miłość Boga, cicho! Uciekajmy! — krzyknął kozak i z przerażeniem spojrzął na psy, które przysiadły nagle i wyć zaczęły.

— Uciekajmy!... Nieszczęście!... Uciekajmy! — powtarzał i cofał się.

Ale Stefan i zakonnik oparli się temu.

— Trzeba zajrzeć, może kto został przy życiu, może będzie można ocalić.

— Nie, ja nie pójdę... Ja boję się, idźcie sami. Ja psy na dół sprowadzę. Boże, Boże, niech się stanie wola Twoja!

Stefan wyjął z olster rewolwer i wszedł w ciemne wgłębienie namiotu. Spostrzegł zimne ognisko, zasypane śniegiem, nad niem wisiał kocień z zamarzem mięsiwem. Gdy zapalił zapalną, ujrzał Czuczkę obnażonego do pasa, leżącego nawznak z ogromną raną na piersiach.

— Czy jest tam kto? — spytał drżącym głosem, nie odważając się wejść pod niskie kotary wewnętrznego namiotu.

Zamiast odpowiedzi usłyszał tylko szelest skór, szarpanych wiatrem, i słowa modlitwy, szeptanej przez misjonarza. Pochylił się więc i wpelznął pod zasłonę, ale natychmiast się cofnął. Wydało mu się, że cały namiot pełen jest poskręcanych ciał ludzkich. Przemógł się wreszcie i, wzięwszy świecę woskową od zakonnika, wsunął się wgłąb. Tu ujrzał nagie ciała pomordowanych kobiet i dzieci. Musiało się to stać niedawno, bo krew miała jeszcze barwę koralową, ciała blask marmuru, a brzegi ran były szeroko otwarte, lecz wszystko było już zimne i stężałe na kamień; czego nie dobiło żelazo mróz dokonał.

Jedna z młodych kobiet próbowała widocznie uciekać. Rozzerwawszy skóry zewnętrznego namiotu, usiłowała wyskoczyć, ale uwięzła w otworze... Dziecko, nad którym pochyliła się z gestem błagalnym, skrepowało widocznie jej ruchy. Pchnięto ją w plecy i przygwożdżono do ziemi razem z niemowlęciem. Stefan spojrzął jej w twarz i poznał niedawnego swego gościa, Impynenę, żonę Ajmurgina.

— Przerażające! Uciekajmy! — powtórzyli jednogłośnie wszyscy, pełni grozy i trwogi.

— I dzieci, i kobiety! Żywej duszy nie zostało...

— Kto? co?...

— Ach, nie pytajcie! — szeptał Buza i trząsł głową. — Potem opowiem... Teraz ruszajmy...

— Czyż zaraz? W taki wiatr? W nocy?!

— Cóż robić! Tam choć życie może się da zachować.

Spuścili się pośpiesznie na dół. Buza nie oglądał się ani za siebie, ani w bok, a gdy wypadkiem w tę stronę musiał się zwrócić

twarzą, oczy w dół spuszczał. Pod skałą zatrzymali się na krótką chwilkę, aby psy nakarmić.

— Trzymajcie się tylko pod wiatr z lewego boku, zawsze z lewego boku, to gdziekolwiek pojedziecie, do ziemi traficie. Tam za Pawalem brzeg łatwiejszy. Tam znajdziemy się, byle tylko wytrzymać do rana. A nie puszczajcie narty, zabierze i ją, i was purga, zabierze. A nie oglądajcie się, broń Boże, za siebie... »Ci« nie lubią, więc pójdą za wami — dodał znacząco.

Znów wpadli w lodowaty powietrzny wir. Znów ryczące gądziny śnieżycy obwiały im nogi, znów mrowie ognistych igieł kąsać ich zaczęło, a dech zaparła lecąca fala lodowa bezbrzeżna. Nadomiar wszystkiego złego razem z wichurą leciał od ładu zmierzch. Zorza czerwona osiadała coraz niżej na skały, coraz wyżej naprzeciw, z nad »wolnego morza«, gdzie jest kraj, »skąd nikt już nie wraca«, wyrastała ciemna chmura. Zmęczone psy biegły niechętnie, Stefan musiał co chwila zrywać się i popędzać je ciężkim, okutym hamulcem. Gdy zabłyśły gwiazdy, i znikła zorza, wicher, który tylko, zdaje się, czekał sygnału, uderzył z takim impetem, że biedne zwierzęta zapomniały o wszystkim, zawróciły i pobiegły z burzą. Stefan długo orał ostrzem hamulca po śniegu, piersią na niego napierał, zwieszony z narty, kołyszącej się i podskakującej w szybkim biegu. Wreszcie trafił na miększy grunt i nartę wstrzymał. Psy położyły się natychmiast. Nie wypuszczając z rąk rzemienia, podniósł się i spojrzął. Przed nimi stała biała ściana zębatach »torosów«, poza którymi w blasku gwiazd kołysała się chmura »wolnego morza«. Brzegi gdzieś uciekły, dokoła było białe i równo.

— Daleko ulecieliśmy! Józefie, tobie zimno, ty bardzo drżysz. Wstań, może zjesz co?

— Zimno mi. Daleko jeszcze?

— Nie wiem, wiatr nas uniósł... Może wstaniesz?

Józef milczał i nie ruszał się.

Stefan otrzepał go ze śniegu, nartę obrócił, psy przygotował, głosem zachęcał i pobudzał uderzeniami hamulca. Wszystko to robił zgrabialemi rękoma, czołgając się na kolanach, gdyż stojącego wiatr z nóg zwał. Wreszcie psy wstały i powlokły się. Pamiętał, że wiatr należało mieć z lewej strony, lecz brzegów tam, gdzie jechał, widać nie było. Nic prócz białej równiny z gwiazdami na niebie, zięjącem wichurą. Ten wiatr chwilami wydawał się jakimś twardym strychulcem, który ścierał ich gwałtem w morze. Narta, podbijana podmuchami, podnosiła się do góry, jak kartka porzuconej na wiatr książki. Co wiatr z niej zerwał, znikało natychmiast jak mara. Najpierw stracili woreczek z sucharami, potem poduszkę...

wreszcie spadł Józef, a burza uniosła go, jak wałek puchu. Stefan stanął zdumiony, widząc, jak bezradnie machał rękoma i daremnie podnieść się silił. Krzyknął rozpaczliwie i psy zawrócił w pogoń za towarzyszem. Psy rwały wściekle za toczącym się przed nimi przedmiotem. Bał się, że dopadłszy poszarpią go, więc krzyczał Józefowi:

— Głową pod wiatr, płasko przy ziemi...

Wiatr niósł wyrazy, i chłopiec je widać usłyszał, gdyż zaczął się kręcić, aż przyłgął do śniegu. Stefan natychmiast wbił w lód hamulec, aż narta trzasła...

— Czołgaj się... ja psów rzucić nie mogę! — wołał na Józefa.

Ten coś odpowiedział, próbował wstać, ale wiatr go z nóg zwał. Nareszcie głową zwrócił się w stronę wiatru.

— Czołgaj się, czołgaj — szeptał mu głos towarzysza w podmuchach zamieci.

— Rzuć mnie, zostaw... nie mogę — odpowiadał, ale wichura w przeciwną stronę zwiewała wyrazy, nim jeszcze z ust wybiegły. Przemógł się wreszcie i czołgać się zaczął. Długo to trwało, a tymczasem do ryku wiatru mieszać się zaczęły potężniejsze od burzy pomruki. Biegły one od »torosów« z pod chmury, co nad »wolną« wisiała wodą. Stefan słyszał je, ale nie rozumiał, aż potoczyły się po lodach z łoskotem grzmotu.

— Morze! — szepnął.

Józef już był blisko narty.

— Spiesz się — mówił, pomagając mu się na nartach i przywiązując go rzemieniem. — Słyszysz? Morze! Wichura lody łamie za nami.

Powlekli się znowu. Stefan prawie cały czas szedł pieszo; nartę rękoma popychał, dla bezpieczeństwa tylko za pas przywiązał się do niej. Zapomniał, że zimno, że członki pomrozić może. Psy wyteżały siły, czując niebezpieczeństwo. Huk zbliżał się z każdą chwilą, już nad szumem wiatru panował, podobny do strzałów armatnich, do łoskotu walących się gór. Uciekali coraz prędzej, gnani rozpaczą. Wreszcie lody zakolysały się pod nimi, a im się wydało, że coś trzasło w ich mózgach, że woda zabulgotała już pod ich nogami... Tuż była za nimi, pędziła z rykiem stada lwów, ale oni biegli jeszcze po suchem.

— Zrzuć, zrzuć wszystko!... i odzież, i pokarm. Zrzuć z narty! — krzyczał Stefan, ledwie dotrzymując w biegu przerażonym psom. Leciały w ciemności worki, naczynia, skóry... Oswobodzona narta pomknęła chyżo; Stefan ledwie zdążył paść na nią obok Józefa, psy biegły bez wskazówek, bez wodzy...

— Głupiesz przeze mnie, Stefku... Przebacz! — szeptał Józef. —

Gdy myślę o tem, mam ochotę skoczyć z narty i oddać się burzy, ale będziesz mnie gonił, nieprawdaż?

— Poco głupstwa gadać! Zginiemy razem, jak żyliśmy razem. Rok wcześniej, rok później... Wszak grób na nas czeka! Wracamy... Zresztą wiatr wolnieje. Może brzeg?...

Uniósł głowę i krzyknął. Ciemne pasmo skał wznosiło się tuż nad nimi. Wdrapali się pospiesznie na ląd i przysiedli w zaciszu. Głęboko dysząc, przyglądali się, jak wdali z chlupotaniem i hukiem niezmiernym kołysały się białe fale lodowych pól. Stefan poszedł szukać drzewa na ogień. Znalazł niedaleko ogromny pień, odłupał trochę drzazeg i rozpalił mały ogienek, który wiatr wkrótce zamienił w ogromne ognisko. Przy tym ogniu przedrzemali resztę nocy.

O świcie odnalazł ich Buza.

— Życie? Bogu niech będą dzięki! Dobrze się stało, że wam nic stamtąd wziąć nie dał. Nie uszlibyśmy cało. Bo to przecie ich »niepogoda«... Niepogoda grzechu. Nie paliliśmy też ogniska, bo się Czukczów bałem. A wy paliliście? Co? nie? Bo ogień widzieliśmy w waszej stronie?

— Paliliśmy; rzeczy nie mamy, jedzenia. Zmarzlibyśmy.

Opowiedzieli, jak stracili rzeczy, jak gonilo ich morze.

— Oj, nie morze to było, nie morze! — westchnął Buza. — Aby tylko dobrnąć do domu szczęśliwie...

Smutno powlekli się z powrotem wzdłuż skał, a musieli okrążyć, gdyż wiatr zwał ich dużo dalej za Pawal. Ogni starali się nie palić i jechali bez wytechnienia, ile psom sił stało. Buza oczu nie spuszczał z kamieni, wciąż się wdal wpatrywał i po bokach rozglądał.

Nagle psy z ujadaniem rzuciły się ku skałom. Buza ledwie je wstrzymał.

— Tego tylko brakowało! — rzekł pobladłymi wargami: — skalny człowiek!

Ze szczeliny wyglądała głowa śniada i nieruchoma.

— Przeżegnaj go, ojcie misjonarzu! Przeżegnaj go!

Misjonarz drżącymi rękoma zrobił znak krzyża, ale głowa nie zginęła. Stefan wstrzymał rwące się psy i przypatrywał się jej uważnie.

— Otowaka! to ty! — krzyknął wreszcie, gdy z za zrębu wysunął się stary, wychudły i wyblady Czuczka, prowadząc za rękę małego chłopczka.

— Ja, Otowaka... Kituwja... mnie... — rzekł, ale kurcz ust nie dał mu dokończyć, więc tylko ręką machnął na daleką Pewekę. — Wielki Duch nie chciał, żeby ród mój zagał bez mściciela... Pójdę

z wami, ochrzczę się i tego wychowam... wnuka mego a syna siostry tego, który umrze...

Położył rękę na głowie chłopca, którego rysy przybrały nagle kamienny i wzdurliw wyraz. Twarz ta wówczas uderzająco przypomniiała Stefanowi kamienną twarz Kituwji.

Wacław Sieroszewski.

Objaśnienia: W kraju Czukczów. Od rzeki Kolomy, ostatniej z rzek azjatyckich, wpadającej do oceanu Lodowatego, wzdłuż brzegów tegoż oceanu aż do przylądka Wschodniego czyli Deźniewa mieszkają Czukczowie »osiedli«, zajmujący się głównie rybolowstwem. Na cyplu północno-wschodnim pomiędzy przylądkami Wschodniem i Czukoekim Czukczowie osiedli mieszają się z Eskimami azjatyckimi. Od przylądka Czukockiego brzegi oceanu Wschodniego, w tem miejscu noszącego nazwę morza Berynga, aż do przylądka Olu-torskiego zamieszkują Eskimowie azjatyccy. Obszar na południe od Czukczów osiadłych i na zachód od Eskimów po dolinę rzeki Anadyru zajmują Czukczowie »wędrowni« czyli renowi, zajmujący się hodowlą renów, które dostarczają im pożywienia, okrycia i sposobu przenoszenia się z miejsca na miejsce. Około 1885 r. liczba Czukczów razem z Eskimami azjatyckimi wynosiła mniej więcej 10.000. Czukczowie mają typ mongolski, włosy czarne, nos prosty, skórę koloru brązowego, kobiety nieraz białą, jak Europejczycy. Kobiety i mężczyźni ubierają się zwykle w spodnie i długą jakby koszulę z dwóch skór renich: jednej futrem do wewnątrz, drugiej włosem na wierzch. Nawet po przyjęciu chrześcijaństwa pozostają »szamanistami«, wierzącymi w dobre i złe duchy i ludzi-szamanów, wróżbitów i czarodziejów, pośredników między światem duchów i ludzkim, obdarzonych zdolnością zaklinania i czarowania. Rosjanie, na całym obszarze półwyspu Czukockiego oprócz dwóch »miast«, a raczej uboższych miasteczek na zachodnim krańcu półwyspu, na północy Dolnego Kolymy, na południu Giżygi, zajmują jeszcze dwa punkty: osadę Penżynę nad rzeką Penżyną i Anadyrsk nad Anadyrem. Około 1855 r. było ich tutaj mniej więcej 500. Podbój Syberji przez Rosję od końca XVI w., kiedy to kozak Jermak na czele kozaków dońskich poszedł za Ural i zdobył stolicę tatarskiego cesarstwa Isker albo Sybir 1581 r., dokonywał się do XIX w. przeważnie zapomocą oddziałów kozackich, które się następnie osiedlały w miejscach zdobytych. Kozacy też byli pierwszymi odkrywcami i zdobywcami półwyspu Czukockiego. W 1648 r. kozak Semen Deźniew wypłynął po Kolymie na ocean Lodowaty i po czterech miesiącach błądzenia przybił poniżej ujścia Anadyru, czyli pierwszy na 80 lat przed Beryngiem przepłynął cieśninę, oddzielającą Azję od Ameryki, nazwaną później cieśniną Berynga. Syberja już od XVI w. była miejscem zesłania przestępców różnego rodzaju. W 1897—8 liczono zesłańców na Syberji i Sachalinie 298.577 ludzi obu płci, 5% całej ludności. Obok zwykłych zbrodniarzy zsyłano t. zw. »przestępców politycznych«, t. j. tych wszystkich, którzy nie mogli pogodzić się z rządem i ustrojem Rosji i tajnie bądź jawnie walczyli z nim. Znaczny zastęp zesłańców tworzyli naturalnie Polacy. Wielu z nich położyło niemałe zasługi w dziedzinie naukowych badań Syberji, jak np. Aleksander Czekanowski (1830—1876), Wiktor Godlewski, Benedykt Dybowski (ur. 1835), zoolog, badacz Syberji wschodniej, zwierząt, ludzi, mowy różnych ludów, który ludności, zamieszkującej wyspę Berynga sprowadził tam dotąd nieznanego renifera, Wacław Sieroszewski, autor

cennej pracy naukowej p. t. »12 lat w kraju Jakutów« i wielu pięknych opowiadań i powieści z życia zesłańców i mieszkańców Syberji.—*Misjonarz* (z łac. średnio-wiecz. missionarius, posłannik), duchowny chrześcijański, zajmujący się nawracaniem niewiernych. Tu duchowny obrządku greckiego. — *W daleką drogę*, do obozowiska Czukczów nad oceanem. — *Psy* uprężne, mieszańce duże, krępe, mają kark krótki, prosty, grube łapy, sierść gęstą i kudłatą. Podobne do wilków, nie szczekają, lecz wyją i ujadają. Przeciętna długość życia 10 lat. Jeden pies wiezie z łatwością od 2 do 2½ pudów ciężaru. Pełna uprząż składa się zwykle z 12 psów i jednego psa przewodnika; siła pociągowa takiego zaprzęgu równać się ma parze koni. Po drodze równej, ubitej można z ciężarem 20 pudów w 12 psów przejechać 150 do 200 wiorst w ciągu doby; zwykła jazda wynosi 60—70 wiorst, po złej drodze 30—40 na dobę. Karmią psy w drodze surowymi albo suszonymi rybami zmarzniętymi; w domu dają ciepłą strawę. Lękliwe i potulne psy, w uprzęży stają się złe i swarliwe, gryzą się często między sobą. — *Karawana* (z perskiego), gromada podróżnych, złączonych razem dla bezpieczeństwa. — *Narty*, lekkie sanie, spojone bez gwoździ i żelaza rzemiennymi wiązadłami. — *Buza*, kozak miejscowy. — *Stefan i Józef*, dwaj Polacy, zesłańcy. — *Tundry*, bezpłodne, błotne równiny północnej Rosji europejskiej, Syberji, Ameryki północnej, przez większą część roku zamarzone, pokryte nieprzerwanym całunem śniegu. Śnieg ten znika tylko na krótko, ziemia rozmarza nieco na powierzchni, pokrywa się mchem. — *Przylądka Czukoockiego*. — *Otowaka*, nazwisko bogatego Czukczy, do którego wygnańcy wybrali się w odwiedzinę. Pierwszy odwiedził ich Otowaka z całą rodziną. — *Chuci*, pragnienia, żądze. — *U ostatniej z wysepek zanikłego lasu*. Granica lasów ciągnie się tu równolegle do oceanu Lodowatego w odległości 20—30 mil od brzegu. Granicę lasów w dolinie rzeki Kołymy stanowi 69° szerokości północnej. Cały półwysep Czukoocki, który leży na południe koła biegunowego, równoleżnika, oddalonego od bieguna o 23½°, jest bezleśny. Głównym wrogiem wysokopiennych roślin jest tu zimny wiatr morski. Rośliny zaczynają umierać od wierzchołka. Często wierzchołek martwieje bardzo wcześniej, a drzewo schorzałe, nędzne nie przestaje rosnąć i dźwigać w górę swój krzywy, sękaty dziób obumarły. Blisko swych granic las jest bardzo nędzny. Chorzy, krzywy, niski, wierzchołki ma zgięte, sękate. Wszędzie czepiają się drzew porosty i tworzą chorobliwe guzy, drzewa rosną rzadko, wysokość ich nie przynosi 2—3 sążni, a grubość 4—6 cali. Są to przeważnie modrzewie i sosny. — *Torosy*. W zimie olbrzymie obszary oceanu Lodowatego przy brzegach pokrywają się lodem grubości od 3—7 metrów. Wskutek bocznego parcia spotykających się ze sobą lodów nad powierzchnię wypychane zostają złomy lodowe i tworzą iskrzące się pagórki różnego kształtu i wysokości 2—3 metrów, zwane »torosami«. W czerwcu lód zaczyna pękać; w ciągu całego lata lodowe złomy płyną po oceanie, unoszone przez wiatry i prądy morskie. — *Wolne morze i t. d.* Buza wyobraża sobie, że daleko od brzegów ocean jest wolny od lodów, a za nim jakiś ciepły kraj. — *Stosu drzewa, namylego przez prądy*. Prądy morskie osadzają na brzegach stopy drzewa najczęściej ściętego przez krę rzeczną w czasie pęknięcia lodów i wylewów wiosennych. — *Cypel* (niem. Zipfel), koniec śpiczasty jakiejś rzeczy, pas ziemi, wchodzący w wodę. — *Pawal i Peweka*, nazwy czukoockie dwóch skalistych, potężnych, głęboko wchodzących w morze przylądków nad zatoką Czaun na drodze z Niżniekołymska, od ujść rzeki Kołymy do półwyspu Szelagskiego. — *Opoka*, skała. — *Od stawiania niema wypoczynku* = stawianie nie daje wypoczynku. — *Płozy*, pod-

stawy, jakby wielkie łyżwy, na których osadzone są i posuwają się sanie. — *Nózki nart*, nogi, zapomocą których siedzenie wspiera się na płozach. — *Orbita*, oczodół. — *Szleja*, pas, biegnący przez piersi zwierzęcia, związany postronkami, przymocowanymi do nart. — *Chrobot*, skrzyp, trzeszczenie, wogóle głosy, powstające wskutek ruchu i tarcia nart. — *Huragan*, gwałtowny, olbrzymiej siły wicher, burza z wichrem. — *Forsu dali*, Fors, forsa, wysilek. Dać forsu = wysilić się. — *Ren*. Renifer, gatunek jelenia, u ludów północnych zwierzę domowe. Łagodne, cierpliwe, posłuszne, baczne, reny nadają się doskonale do- przeprawy przez rzeczulki, błota; chód mają lekki, pewny, dzięki miękkiej, mięsistej podszewie szeroko rozchodzących się racic, które od głębokiego grzeźnięcia w błocie i śniegu wstrzymują tylne szpile, wyrostki rogowe w tyle nogi, powyżej racic. Reny mają bardzo cieką, wrażliwą skórę i boją się niezmiernie ukąszeń wszelkich owadów. Chcąc je wypłoszyć z gęstego futra, pogrążają się po szyję w wodę. Reny czukoockie są najmniejsze i najsłabsze, ale zato najtłustsze. — *Foka*, rodzaj zwierząt ssących, z rzędu pletwowych, mających nogi krótkie, urządzone pletwowato; pływają jak ryby, chód zaś mają utrudniony, czolgający. Kształt mają podługowaty, do rybiego zbliżony, nogi przednie bardzo krótkie, po 5 palców, błoną spiętych i uzbrojonych ostrymi pazurami, tylne ku tyłowi zwrócone i do ogona bardzo krótko przytwierdzone. Głowa podobna do psiej. Całe ich ciało pokryte jest futrem, składającym się z bardzo gęstego, miękkiego puchu, przerosłego twarzym, szczeciniastym włosem. Foki żyją gromadnie w morzach całej kuli ziemskiej, ale najobficiej w morzach przybiegunowych, zawsze w bliskości brzegów. — *Kudłaje*, kudłacze, — nawołuje psy Buza. — *Noch, noch*, okrzyk, podniecający psy. — *Wysterkać*, wysunąć się i sterczeć. — *Psy przysiadły i wyć zaczęły*. Ludy pierwotne i ludzie prości wierzą, że psy czują dusze nieboszczyków, wyciem przepowiadają śmierć. — *Kotara*, zasłona. — *Wewnętrzny namiot*. Namiot zimowy Czukczów ze skór renów i fok około 10 metrów średnicy i 1½ do 2 wysokości, podzielony jest na dwie części: przednią, wyższą, gdzie pośrodku pali się ognisko i wisi kocioł, oddzieloną zapomocą skórzaną zasłoną, i tylną (tu namiot wewnętrzny), ciepłą, w kształcie niskiego pudełka skórzanego, szerokości 2 sążni, długości 1 sążeń, szczególnie osłoniętego zewsząd skórą i okrytego z wierzchu grubą warstwą wiązek trawy. Tu przy świetle lampy tłuszczowej zgromadzają się mieszkańcy w czasie odpoczynku i dla pracy domowej. — *Ajmurgin*, syn Otowaki. — *Purga*, wicher, burza. — *Gi nie lubią i t. d.* Buza dzieli wierzenia Czukczów, których niepochowane ciała nieboszczyków napelniają trwogą. Według ich mniemania dusze zmarłych nagłą śmiercią nie mogą się uspokoić, błądzą koło miejsc swego zamieszkania, niepokoją, dręczą ludzi, wysysają z nich życie. Cała przyroda pełna jest niepokoju: wieją gwałtowne wichry, zamiecie, słychać gwary, hałasy. Nie należy wówczas oglądać się na miejsce, gdzie leży zmarły, bo to drażni dusze. — *Hamulec*, kij, okuty żelazem, do wbijania w lód, ziemię, dla zahamowania nart. — *Zgrabiały*, zeszywniały z zimna. — *Strychulec*, deseczka, pręt, wałek do urównania rzeczy sypkich równo z wrębami naczynia. — *Mara*, widmo, upiór. — *Wichura lody łamie*, przy silnych mrozach, wichrach mroźnych lód pęka, i tworzą się w nim szczeliny, groźne dla życia jadących. — *Skalny człowiek*, zły duch miejscowy. — *Kituwja*. Znany wygnańcom Czuka, brat Impyneny, którą porwał młody Ajmurgin, syn Otowaki. Kituwja nie zgodził się na małżeństwo, stąd jego straszna, krwawa zemsta, której szczegółów autor nie podaje.

ZWYCIĘSKA WYPRAWA DO BIEGUNA POŁUDNIOWEGO.

Podróż Amundsena była dla wszystkich niespodzianką. Ruszywszy z Norwegji na północ, nagle w drodze zawraca na południe, puszczając w świat lakoniczną wieść, że jedzie zdobyć przeciwny biegun... Niektórzy, jak Nansen, jak towarzysze z Belgiki — ufni w zwycięstwo wielkiego podróżnika, z zapalem przyklasnęli śmiałej decyzji; większość zdumiona wzruszyła ramionami; dzienniki norweskie wprost oburzyły się na to »głupstwo«, będące w ich oczach kpinami z narodu, wołały nawet, by nie pozwolić na taki samowolny wybryk, by zatrzymać awanturnika.

Podróż Amundsena do bieguna południowego, będąca jednym z najpiękniejszych zwycięstw inteligencji i woli człowieka nad ślepym żywiołem, odbyła się naksztalt przedstawienia teatralnego z punktualnem co do dnia wykonaniem programu. Nic tu nie było nieprzewidzianego, nie obliczonego na łaskę losu: przezorność uszykowała z góry najdrobniejsze szczegóły, a każdy krok zwycięski stawiany był świadomie i pewnie.

Oto sekrety powodzenia Amundsena:

Przedewszystkiem i nadewszystko ważny był trafny wybór środków przewozowych, które powinny być proste i pewne. Amundsen zaniechał ponies, a zabrał całą setkę psów eskimoskich. Najtrudniejszą sprawą było przewiezienie w całości i zdrowiu tych zwierząt polarnych poprzez gorące okolice globu, to też głównem zajęciem wszystkich podczas pięciomiesięcznej podróży morskiej była wprost macierzyńska piecza o te żywe motory. Do przedmurza Rossa dojechała w komplecie, zwiększona nawet przez przyplód, gromada tryskających zdrowiem tłuszciochów. »Pierwsza lewa wzięta!« — wołał Amundsen, pewny odtąd zwycięstwa. Resztę kwestji transportu rozstrzygnęła kultura norweska, wskazująca narty jako środek komunikacji, z którym Norwegczyk od dziecka zraść się w jedno, a który zalecał się lekkością i prostotą. Na nartach pędziły długie, wąskie sanki, wyłącznie dla zapasów i woźnicy przeznaczone; na nartach również sunęli, trzymając się sań, wędrowcy. Sanki jechały łańcuchem; w łańcuch także zaprzęgano psy; w ten sposób w przepastne szczeliny wpadały zazwyczaj tylko pierwsze ogniwa, które zawsze udawało się w porę wyciągnąć z otchłani.

Drugiem podstawowem zadaniem było bezwzględne zabezpieczenie żołądka ludzi, zarówno jak psów. Obfite smaczne konserwy, specjalnie dla wyprawy sporządzone, starannie skontrolowane przez

chemików norweskich, zapewniły wędrowcom i zwierzętom zdrowie i siły, uniemożliwiając najście szkorbutu.

Trzecią niesłychanie doniosłą kwestją była odzież, obuwie, namioty i worki podróżne. Tu Amundsen rozwinął całą swą drobiazgową przezorność i pomysłowość, rozważył każdy szczegół, nie przeoczył żadnej ewentualności, a jego jedyną mistrzynią była cywilizacja Eskimosów, od których nauczył się tak wiele podczas zimowania Gjői w lodach północy.

Dodajmy do tego okręt, sławą okryty Fram, niezwykły w lodach i burzach; i dodajmy jeszcze trafny wybór ludzi, zdecydowanych na wszystko przyjaciół, wesołych i karnych kompanów, zręcznych rzemieślników, gimnastów zdrowych i silnych, którym stany przygnębienia, strachu, apatii zupełnie były nieznane, którzy na czterdziestostopniowym mrozie pracowali gołemi rękami, dla których wpaść w przepaść lodowca było wesołą przygodą, fotografowaną na miejscu; dodajmy wreszcie, że wodzem i duszą tej doborowej drużyny był sam Amundsen, sobowtór Nansena, najwytrawniejszy znawca lodów i techniki polarnej, przemyślny wiking, z jednej żelaznej woli wykuty — a zrozumiemy, że zamiar nie tylko udać się musiał, lecz że był wykonany z prawdziwie wytworną precyzją. Żadna wyprawa nie może się równać pod względem sprawności technicznej z podróżą Amundsena. Nietylko trwanie całej wyprawy i jej głównych momentów było z góry obliczone, lecz i program codziennej pracy był naprzód uszykowany. Nie stracono ani jednej chwili, wyzyskano każdą godzinę. Przez całą resztę lata, jesień, zimę i wczesną wiosnę wrzała praca przygotowawcza, istic mrówcza, drobiazgowo dokładna, niemal mikroskopowa.

Po starannym wyborze miejsca na zimowisko na samem Przedmurzu lodowem, po wybudowaniu całej polarnej osady Framheimu, gdzie o komfort dla psów, umieszczonych w osobnych namiotach, dbało się nie mniej, a może i więcej, niż o wygody ludzi, zabrano się w końcu lata do fundamentów wielkiej wycieczki: do przewozu źródeł żywności jak najbliżej bieguna. W pierwszej połowie lutego dowieziono zapasy do 80° szerokości; w drugiej połowie do 81° i 82°. Drogę do Framheimu aż do ostatniego magazynu wyznaczyły czarne flagi, zatknięte co 15 km. na piramidach z cegieł lodowych; dla pewniejszej jeszcze orientacji wtykano po drodze do śniegu ryby suszone, które zdaleka już drażniły nozdrza łakomych psów. Aby zaś odnaleźć żywność w razie zboczenia z drogi, tak łatwego w tych nieskończonych równinach lodu, zwłaszcza podczas zamieci — z prawej i lewej strony składów prowiantu na szerokości 9 kilometrów rozstawiono po dziesięć tyk czar-

nych, numerowanych z odpowiednimi znakami, któreby pozwoliły zbłąkanym odgadnąć, po której stronie odnajdą magazyn: zachodniej czy wschodniej. Później podczas marszu do bieguna z tych magazynów zabierano lwią część żywności, którą znowu składano kolejno w miarę posunięcia się naprzód co każdy stopień geograficzny, wciąż znacząc starannie drogę i składy.

Pod koniec sierpnia wróciło słońce, a z niem gorączka wymarszu: im wcześniej, tem lepiej. Jak wyścigowe rumaki, rwali się ludzie do bieguna; jednakże straszne mrozy trzymały ich na więzi, niezłagodzone nadejściem »wiosny«, bo trzymające się między 50 a 60 stopniem niżej zera. Wreszcie 6 września termometr nagle podskoczył do 29°, a następnego dnia jeszcze o 5 stopni wyżej. Lecz niedaleko uszli. Znów rtęć opadła poniżej 50° i tak się trzymała przez cały wrzesień. Musieli wracać po kilkudniowym marszu: psy odmawiały posłuszeństwa, zwijając się w kłębek, nieczułe na ból. Z powrotem na odległości 75 kilometrów od Framheimu dwóch ludzi odmroziło sobie stopy; trzeba im było w drodze ciągle je rozcierać, a po powrocie — długo leczyć.

Wreszcie 19 października nastąpiło prawdziwe »lato« antarktyczne: temperatura nie przekraczała już —30°, a słońce, wzmożnione odbiciem lodów, paliło skórę upałem, zmuszając w pracy do zrzucania futer, nawet do negliżu. Teraz ruszono na dobre, w sześciu ludzi, w cztery wysmukłe, acz ciężko naładowane sanie z 52 psami.

Aż do 82° szerokości droga była znana, wyznaczona: dalszy ciąg powierzchni Wielkiego Przedmurza, równina lodowa bez końca, urozmaicona jednym tylko zapadnięciem z siecią przepaśtnych spękań. Dopiero pod 85° płaszczyna poczęła falować coraz silniej, aż przeszła w rozhukane morze gruzów lodowych, całe w szczelinach otchłannych, zasypanych śniegiem. Śnieg tu i ówdzie skrzepł o tyle, że lekkie psy i gładkie narty prześlizgiwały się jakoś po nich, wogóle jednak był sypki, przyprószając zdradliwie labirynt zasadzek, w które wpadali od czasu do czasu ludzie, zwierzęta, sanki. Jednocześnie karawanę otoczyły góry w zbroicach lodowców: dopiero tu kończyło się Wielkie Przedmurze Rossa, załamujące się przed lodowcami gór brzegowych; tu była granica pomiędzy ziemią, raczej właściwym pancierzem Antarktydy a jego potwornym wyskokiem północnym; tu był odkryty węzeł w postaci biegnącego w stronę bieguna 850-kilometrowego łańcucha gór królowej Maud — węzeł, łączący w jedno Ziemię Wiktorji i Ziemię Edwarda, oddzielone od siebie na północ głęboką, do 85° sięgającą potwornym Przedmurzem lodu zawaloną, wyrwą zatokową.

Przed wędrowcami stanęła twierdza z gór lodowatych: trzeba było ją zdobyć. Był to szturm hannibalski. Przez całe dziesięć dni niezmordowana drużyna pieła się po urwiskach chaosu lodowców, spękanych, podziurawionych, poziomem słońcem okrwawionych, z hukiem grzmotu otrząsających kłęby zimowej odzieży śnieżnej; to znowu po karkołomnych spadkach ześlizgiwała się wdół; przebrnęła wielki lodowiec Axela Heiberga, by skrętem jego przełęczą pomiędzy majestatycznym pasmem Nansena a podniebnym szczytem Engelstadta wdrzeć się na olbrzymi, lodową śniercią zewsząd ziejący »Czarci lodowiec«. Przez rozhukany zamęt lodów zuchwali śmiałkowie nie wahali się puścić wśród mgieł i huraganu, gdy wiry zamieci, miotane rozjuszonym wichrem, zasypywały im oczy, gdy trzeba się było wspinać i spuszczać po nagim, bezśnieżnym lodzie i kilofem rozwalać piętrzące się gruzy.

Przeszli 86 stopień; fale wyżyny lodowej słabły, by wkrótce znowu nagle się rozbujając coraz potężniej, zdradzając coraz zawilszy labirynt szczelin: były to gońce olbrzymich, do 4500 m. wwyż sięgających gór na zachodzie, rozbłysłych tęczą z bieli, błękitu, krwi i plam czarnych, z lodowcami, zwisającemi zdala naksztalt stalaktytów. Za tem ostatniem pasmem spękań i fal garstka odważnych sunęła górą płaszczyny bezbrzeżnej, gdzie ski to ślizgały się jak po posadzce, to znowu tarły, niby o piach, o śnieg niezmiernie mialki i suchy, to wreszcie trafiały na lód »żywy«, zupełnie nagi, z którego słońce zgarnęło pokrywę śniegową, na zasypy kilkołokciowe, na »zastrugi« — ostre, stężałe zmarszczki śniegu, nawiane wichrem. Chwilami lód tętnił, jak gdyby jakąś otchłanią podkopany. Pod 89° stanęli na szczycie równiny na wysokości 3600 m. nad poziomem morza. Stąd płaskowzgórze lodowe lekko schylało się wdół. Lotem strzały przemknęli przez ten ostatni etap: stanęli na biegunie! A kilkakrotnie sprawdzwszy metę i dla pewności obszedłszy ją w promieniu kilkuwiorstowym, zatknęli dnia 17 grudnia 1911 r. flagę norweską na namiocie, który tu zbudowali i w którym złożyli opis podróży. Wyżynę bieguna nazwali na cześć swego króla płaskowzgórzem Haakona VII.

Na biegunie niedługo bawili: krótkie lato w tych krajach bywa często jeszcze skrócone przez nagłe najście zimowych mrozów i burz, zwlekać z powrotem jest zbyt ryzykowne. Tego samego dnia ruszyli w drogę.

Raźno, wesoło odbył się powrót, niby przejażdżka turystów. Przedtem, gdy szli do bieguna, mieli przed sobą wiatry przeciwne, przerywane martwą ciszą, to znów wybuchające spazmami orkanu, a mroźny wiew, prawie stale spychający rtęć poniżej 20°, ciał po-

droźników prosto w twarz, bolesne wygryzając rany. Teraz te same wiatry, lecz słabsze, cieplejsze, istne »powiewy wiosenne«, pchały naprzód — ku zimowym leżom, a wieczne słońce przy dwudziestostopniowym mrozie rześnistym potem skrapiało oblicza. Dzięki starannie wyznaczonej drodze, nie zblądzili ani razu, nie chybili żadnego składu żywności. Obficie odżywiani, tryskający zdrowiem, siłą i humorem, w 39 dni przemknęli 1500 kilometrów, oddzielające biegun od kwatery zimowej. Tylko raz, na pograniczu gór i Przedmurza zmierzili się z huraganem, przez całe trzy doby szturmującym od północo-zachodu. 25 stycznia 1912 roku stanęli na miejscu po 99-dniowej nieobecności, przebywszy w sumie 3.000 km. Z 52 psów wróciło tylko 12; reszta została skazana w drodze na pokarm dla towarzyszy, a nieraz także na świeży befsztyk dla panów...

Antoni B. Dobrowolski.

Objaśnienia: *Amundsen Roald*, Norwegczyk, podróżnik grenlandzki (Grenlandja, pokryta lodem i śniegiem wyspa między oceanem Atlantyckim, morzem Lodowatym północnym i zatoką Baffina) w r. 1901, oficer wyprawy belgijskiej (1897—1899) Adrijana de Gerlacha de Gomery na okręcie Belgica, w której brali udział wybitni uczeni polscy: Henryk Arctowski i Antoni B. Dobrowolski. *Nansen Fridtjof* (ur. w 1861) słynny podróżnik podbiegunowy. W r. 1888 przebiegł na łyżwach Grenlandję, w r. 1893—1896 odbył podróż do bieguna północnego, a chociaż do bieguna nie dotarł, wyprawa jego należy do najdzielniejszych, najpomyślniejszych i najważniejszych. W r. 1900 odbył podróż dla zbadania morza między Norwegją i Spitsbergenem (na północ od Norwegji). — *Decyzja*, postanowienie. — *Ponies* (czyt. pónis), rasa koni karłowatych, nie przerastających miary 140 cm. wysokości, żyjących na Islandji, w Norwegji, górach hiszpańskich, Sardynji i t. d. Są to zwierzęta żywe i pojętne, nadają się do przewożenia lekkich ciężarów. — *Eskimowie*, nieliczny szczepek, zamieszkujący wybrzeża Ameryki północnej podbiegunowej, Grenlandji i wysp sąsiednich. Pies eskimoski, podobny do wilka z grubą sierścią, jest ich najważniejszym zwierzęciem pociągowym i przebiegać może dwie mile na godzinę, 6—8 psów ciągnie sanie z 6 osobami. — *Piecza* o co albo o czem. — *Motor*, tu maszyna. — *Przedmurze Rossa*. James (czyt. Dżems) Ross (1800—1862), żeglarz angielski, odbył w 1839—43 r. podróż do bieguna południowego, odkrył na południe od Australji pokryty lodem ląd, dwa wulkany Erebus i Terror, nazwane tak od dwóch okrętów Rossa, a dalej na południowschód ku biegunowi wysoką, ciągnącą się wdal ścianę lodową. Tę, jak się okazało, zawałoną lodem, zatokę nazwano Wielkim Przedmurzem Rossa. Ross w swych podróżach dotarł aż poza 78° szerokości. — *Lewa* (z fr.), jedno rzucenie kart przez grających; karty, na jeden raz wzięte, zabite. — *Transport*, przewożenie, przenoszenie. — *Narty* (ski skandynawskie), długie na 2—3 metrów, a szerokie na 12—20 cm. drewniane łyżwy z przodu ku górze wygięte, które pozwalają z łatwością przebiegać duże przestrzenie po śniegu bez zapadania się. Jadący na nartach wspierają się zaostrzonym na końcu drążkiem, który im służy za ster i hamulec. — *Skorbut*, choroba błon śluzowych

i skóry, rozpoczynająca się od osłabienia, chudnięcia; kończy się często śmiercią. Rozwija się nieraz w długich podróżach, gdy wyczerpują się zapasy żywności. — *Ewentualność* (z franc.), możliwość. — *Gjöia*, mały okręciak o motorze naftowym, na którym Amundsen z pięciu towarzyszami pierwszy przepłynął na północy z Atlantyku do oceanu Wielkiego. — *Fram*, najtęższy, niezwykły okręt polarny, obmyślony przez wielkiego podróżnika podbiegunowego, Fridtjofa Nansena, zbudowany przez najwytrawniejszego budowniczego statków Colina Archera tak, iżby ciśnienia lodów, miast miażdżyć go, wyciskały w górę, zaopatrzonego również w specjalną ochronę dla steru, by go nie strzaskały kry. Przed wyprawą Amundsena zniósł dzielnie dwie wyprawy: jedną trzy — drugą czteroletnią. — *Gimnasta*, gimnastyk, biegły w gimnastyce. — *Apatja*, zobojętnienie. — *Technika polarna*, sposoby podróżowania podbiegunowego. — *Wikingowie*, wodzowie wypraw morskich skandynawskich na początkach wieków średnich, zdobywający niekiedy obszerne kraje i zakładający tam państwa oddzielne; tu przenosił dla określenia energii, woli, umiejętności przewyższania niebezpieczeństw. — *Precyzja*, ścisłość, dokładność. — *Antarktyczny*. Arktyczny, położony w tej stronie, gdzie się na niebie znajduje gwiazdozbiór Niedźwiedzicy (niedźwiedzica po grecku árkτος). Antarktyczny (z greck. antarktikós), naprzeciw północy, południowy. — *Negliż* (z fr.), ubranie nocne, ranne; tu zrzucone wogóle wierzchniego ubrania. — *Maud*, czyt. Mod = Magdalena. — *Ziemia Wiktorji* na północo-zachodzie, *Edwarda*, na północy od gór kr. Maud. — *Pancerzem lodowym*. — *Wysokiem północnym*, Przedmurzem Rossa. — *Przełęcz*, siodłowe spłaszczone obniżenie na grzbietowej linii góry albo pasma gór, będące często przejściem z jednej strony gór na drugą. — *Stalakiyty* (z gr.), nacieki, utwory wapienne, zwieszające się w postaci sopla ze stropu jaskiń. — *Meta* (z łac.), granica, cel. — *Turysta*, ten, co odbywa większe wycieczki dla przyjemności. — *Orkan*, wiatr niszczący wskutek wielkiej szybkości. Spazmy orkanu, od czasu do czasu zrywające się wybuchy wichru. — *Wieczne słońce*, słońce, nie zachodzące przez czas dłuższy. W szerokościach wyższych ponad 66° 33' na północ i południe słońce nie zachodzi przez część roku i nie wschodzi przez część inną wskutek pochylecia osi ziemskiej pod kątem 66° 33' względem płaszczyzny drogi ziemskiej (ekliptyki) wokół słońca. Na biegunach noc i dzień trwają po 6 miesięcy.

TRZEBABY.

Dawnemi czasy, jak pewna wieść niesie,
Czterech podróżnych błędziło po lesie.
Mróz był tak mocny, noc była tak ciemną,
Ze chęć podróży stała się daremną.
Ogień więc rozłożyli
i dnia czekać uradzili.
»Trzebaby — rzeczce jeden i poziewa —
przynieść więcej drzewa.«
»Trzebaby rzeczce drugi,
legając jak długi —
rozszerzyć ogniska,
by wszystkich grażył zbliska«.

»Trzebaby — zamruczał trzeci —
czem zasłonić od zamieci«.

»Trzebaby nie spać« — bąknął czwarty,
na łokciu oparty.

Tak każdy powiedział,
co wiedział,

i myśląc jeszcze o lepszym sposobie,
zasnął sobie.

Cóż z tego? — Ogień zgasł, a nieostróżni
pomarli podróżni.

Gdzie bez czynu sama rada,
biada radcom, dziełu biada.

Aleksander Fredro (1793—1876).

PRZYSŁOWIA.

Krzywydy nie ma, kto cierpi, co zasłużył.

W KOPALNI WĘGLA.

Ubrani w grube buty, w skórzane kaftany, zapięte na sprzączki, trzymając w ręku mosiężne lampy, w których płonie knot, umaczany w oleju, stanęli w szali.

W pierwszej sekundzie, kiedy jej deski, stojące narówni z podłogą, drgnęły, Judym doświadczył takiego wrażenia, jakby mu kto ścisnął gardło. Wkrótce przyszło otrzeźwienie, szum w uszach i lekka bojaźń w sercu. Czarne belki, cembrowiny migaly się w oku, niby szeregi jakichś schodów nieskończonych. Gdy szala stanęła, wyszli na korytarz suchy i oświetlony lampkami elektrycznymi. Uwijało się tam mnóstwo ludzi, przychodziły i odchodziły szeregi wozów, ciągnionych przez wyuczone konie. Z tych pierwszych widnych galerij dostali się przez kręte szlaki do maszyn, pompujących wodę. W ich okolicy skończyło się światło. Jedyne jego źródłem stały się kaganki, niesione w ręku. Miejsce było gładkie. Spód korytarza zajmowały szyny. Po nich wędrowały ciągle szeregi wózków z fedrunkiem, ciągnione przez konie.

Drzwi, niewidoczne w ciemności, ustawione tu i owdzie dla skierowania powietrza do tych chodników, gdzie się »nie świeci«, otwierały tajemnicze ręce ludzi zgrzybiałych, którzy na miejscach odzwrotnych dokonywują żywota. Inżynier, mijając takie drzwi, rzucił wyraz:

— Glikauf!

— Glikauf! — odpowiadała ciemność.

Było w tym dźwięku coś ściskającego serce. Przywierał do mózgu obraz figur tych starców, ledwie dających się z mroku wyróżnić, tych czarnych brył, które za życia mieszkają w grobie, sniąc w nim przez resztę dni swoich jak pająki, czekając cierpliwie na chwilę, kiedy już na zawsze wstąpią do ziemi, kiedy wejdą w jej zimne łono na »szychtę« wieczną. Łańcuch ciemnej niedoli przykuwa ich do miejsca. W starczem drzemaniu widzą pewno ciepłe słońce wiosenne i jasne łąki, kwiatami zasiane...

Korytarze mało różniły się między sobą. Jedne z nich były wykute li tylko w węglu, inne posiadały wręby ze ścianami z cegły, wmurowanymi dla zatarnowania ognia i mokrego a sypkiego piasku, który zowią kurzawką. Zwyczajny chodnik o stropie półokrągłym zamieniał się stopniowo na korytarz ze stemplami, na których leżały kapy, podtrzymujące rodzaj sufitu, czyli okorki. Te korytarze doprowadziły do brzegu pochylni, idącej w kierunku upadu warstw węgla. Z boku czarnej czeluści sunęła się w dół drewniana rynna, po której spychano drzewo. Obok szła stalowa czy żelazna lina, wciągająca wózki.

Ciemność, ciemność gęstą od kwaśnego czadu rozświecał tylko czasem daleki ognik niewidzialnej postaci. W pewnych miejscach były tam schody, a właściwie szczeble, do tarcie przybite; gdzie indziej szło się po oslizgłej desce. Na dnie kopalni, w głębokości dwustu kilkudziesięciu metrów pod ziemią zimny i wilgotny przeciąg włókł się korytarzami. Była ich tam sieć cała, w których przechodzić doświadczał bolesnego niepokoju, jaki wstrząsać musi rybą, gdy się spotka z gęstymi okami matni. Szli w jakimś kierunku, który wydawał się stroną prawą, do lochu, dźwigającego się w górę pochyło a stromo i tworzącego ślepą sztolnię. Wkrótce musieli schylić się w pałąk, gdyż piętro było tak niskie, że pod niem ledwo mógł się przesunąć wózek z »urobkiem«. Gdzieś, daleko, jakby u szczytu tej góry widać było chodzące z miejsca na miejsce blade-żółte światelka. W zakłęsłej komorze, która się nagle znalazła, słychać była pracę kilku ludzi.

— Glikauf! — rzekł Korecki.

Odpowiedziano chórem przyjaznymi głosami, które dziwne i głębokie zrobiły na Judymie wrażenie.

— Glikauf, glikauf... — mówił do nich i on w głębi duszy.

Górnicy w czarnych »kapach« i w »berglederach« nabijali prochem grubym, jak ziarnka kukurydzy, długie tuleje papierowe. Otwory w miejscach właściwych już były wyświdrowane długimi »laskami« ze stali o zakońzeniach, podobnych do grotów piki.

Gdy ładunek został nabity, lont weń włożony i przystemplowany z wierzchu szczelnie gruzem zapomocą stempora, jak nabój w lufie, — jeden z pracowników zapalił dwa żygadła, drugi — dwa, trzeci — dwa. W mroku gęstym od pyłu i dymu ukazały się niby jakieś niebieskie strugi cieczy, sączącej się od góry. Płomyczki doszły do muru — i znikły.

Wówczas drabiny szybko odstawiono, i wszyscy z pośpiechem wyszli do sąsiedniego chodnika. Tam czekali z dziesięć sekund, nim się odezwał pierwszy wybuch. Prąd powietrza runął w sąsiednie galerje i komory, dźwigając na sobie ostry zapach prochu. Bryły węgla, hucząc, waliły się za przyległym filarem, a na wszystkie strony w ścianach coś sypało się z prędkim trzaskiem i szelestem, na podobieństwo stada szczurów, biegających za makatami. Potem nastąpił drugi wybuch, za nim trzeci i czwarty. Dym wypełnił galerje i ciągnął leniwie do przejść, w których się »świeci«. Wdali słychać było huk ładunków dynamitowych i czuć słodkawy ich zapach.

W pewnym miejscu Korzecki przywołał kogoś po imieniu i zostawił go z Judymem, a sam odszedł. Musiał obejrzeć robotę w innej całkiem stronie. Doktor został w ciemności z widmem, trzymającym swą lampę. W sąsiedztwie tego miejsca kilkunastu ludzi zajętych było podstemplowywaniem »piętra«. Chwilę obadwaj z górnikami stali, nic nie mówiąc do siebie. Wreszcie Judym podniósł lampę do góry i zobaczył szerniałą twarz starego człowieka, którego siwe włosy wymykały się z pod »kapy«.

— Co robią tutaj, ojcze? — zapytał.

— A caliznę wyrabiamy między chodnikami.

— Caliznę?

— Juści. Filar wybieramy. Bierzemy jedno »pojęcie« za drukiem na długość i na szerokość, podpieramy strop słupem — i dalej. Po boku stawia się »organy«... Proszę łaski... pan może i nieznajomy z kopalnią?

— A nie. Pierwszy raz widzę.

— Tak ci...

— Cóż to za organy?

— To zaś są kłody, na sztorc stawiane, żeby służyły tak jakby za ściankę. Z przodu też od chodnika przy kończeniu »streki« drugą taką ścianę się buduje, a zostawia się zaś miejsce próżne, niby tak jakby drzwi. A wyrobi się całą strekę i z okrucichów się ją wyczyści, to się dopiero te słupy zaczyna wyjmować, a inne się tnie toporem. Gdy pracowity górnik usłyszy w cichości największej pierwszy aby mały trzask piętra, wtedy kilof do garści i umykaj z pojęciem!

Ziemia się urwie w tem miejscu i rumowiem całe to zawali. Na wierzchu, na górze zwałisko w dół wciągnie, tak jakby lej.

Judym podniósł do góry swą lampę i przyglądał się ścianom. Gładkie albo chropawe ich płaszczyzny tu i owdzie miały na sobie rysy ostrego żelaza, jakby pismo jakieś klinowe, pracowicie wyryte. Idąc zwolna obok gładkiej ściany, miał złudzenie, jakby je czytał. Ze znaków koślawych, kierujących się to w tę, to w inną stronę, składała się historia tych czeluści.

Zdawało mu się, że stoi w cudownym lesie, w puszczy odwiecznej, nie sianej, przez którą nie szła jeszcze stopa człowieka. Rosły naokół olbrzymie paprocie z pniami, jakich nie obejmie trzech ludzi, skrzypy, w drzewa wybijały, straszne widłaki i inne niewidzianych form, mistycznej piękności albo potwornej brzydoty, jakieś sigillaria, odontopterydy, lepidodendrony... Te wielkie potwory, splecione między sobą łańcuchami lian, krzewiły się na pulchnem trzęsawisku, gdzie mchy przepyszne i niewysłowione kwiaty pachniały w czarnem gorącu wieczystych cieniów. Słodkie, upalne lata wyciągały z ziemi pod chmury te pnie i gałęzie, dostępne tylko dla wzroku i skrzydeł; wilgotne, deszczowe zimy zasilały glebę na wieki. Swobodne wichry, w dalekich stepach i w śniegach łańcuchów górskich zrodzone, przylatywały bić puszcę, rycząc, jak szczenięta lwie.

Wtedy kołysała w łonie swem pieśń, huczącą na podobieństwo morza. Jakże często trzaskał w nią piorun, a huragan ją deptał, łupił i rwał! Dzikie chmury iskrą czerwoną zapalały jej głębie śpiewające. Wtedy gorzała jak wielki stos. Ale gdy deszcz ustawał, przychodziła wieczyście młoda, liljowo-ramienna wiosna, jak dziewczątka, szukające kochanka, i swawolnemi usty zdmuchiwała pyły roślin w ziemię rozmokłą, marzącą o cieniu konarów. Nowe morze zieleni wylewało się na ten sam grunt, przez który pędziły krzemienne kopyta ognia i szprychy jego wozu, tak samo prędkie, jak wichry.

I znowu na ciszę gęstwin młodej puszczy przypadał niespodziewany krzyk wojenny jaguara, i rozdzierał ją wrzask śmierć głoszący bezlitosnego orla.

Aż oto wielkie jakieś morza, w głębi łądów próżnujące, wyrwały się ze swoich grobel i puściły prądy szalone, które zdjęły z korzeniem olbrzymie lasy, niosły je w pianach swych, niby flotę okrętów zdruzgotaną, i pchały w te zaklesłe niziny. Tu je niezmierną masą wwały jakby do grobu. Przykryły je warstwami gruntu, zdjętymi z gór. W ciągu tysięcy lat w ciałach tych krzewów, na których gałęziach ptaki niezliczone gniazda sobie słały, ustało życie,

i począł się tajemny rozkład. Wielkie ciśnienie zapadniętych warstw, napływy wód i czas, wiekami idący, czynił sprawę podziemną: stwarzanie wody z tlenu i wodoru tych cielsk obumarłych, wydobywanie z nich kwasu węglanego i tlenku węgla. Został tylko węgiel sam, jedyny, w olbrzymim nadmiarze, nie mający się z czem połączyć, jak samotny duch ciemności. Straszliwe jego cielsko martwiało, stygło i umierało w sobie samem tysiące lat. W męczarni zrastało się samo ze sobą, tuliło się do siebie, jak byt przeklęty. Z dawnej budowy nic nie zostawił czas długi. Tylko jakby jedyne echo z ojczyzny, gdzie wszystko kwitło, rosło i kochało się w niebiosach, — został nikły rysunek warstw pnia albo odcisk powiewnego liścia w czarnym, żalobnym kamieniu.

Długie prace przyrody, nie dające się myślą ogarnąć zaczynają i odczynienia człowiek chwyta jako łup swój zapomocą pracy krótkotrwałej, chytrej i ułatwionej. Przychodzi w święte czeluście z bladym płomykiem i krótkim swoim kilofem. Siłą nędznego ramienia wyniesie to, co tu schował ocean. Bierze cały pokład do cna, od wychodni do upadu, zgrzebie okruszyny i na świat wyda. Zostawi tylko hałdę na wierzchu i próżnię w głębinie.

Ziemia nie oddaje swej pracy i swojego dorobku bez walki. Prosta i obojętna jak dziecko, od człowieka uczy się zdrady. Czyha na niego z bryłami, które ruszył, ażeby mu je cisnąć na głowę, gdy się nie obejrzy. Rozsiewa w jego komorach śmiertelne gazy i czeka, jakby w niej biło serce pana puszcz zmarłych — tygrysa. Wylewa zaskórne, niewidzialne wody. Spuszcza ciemne jeziora, od wieków nieprzeliczonych kropla po kropli zebrane, a śniące na zimnych granitach. Otwiera podziemne baseny kurzawki, którą zawaliska ruszyły, i gliniastym jej mułem napęlnia galerje, pracowicie wykute...

— Nie porwał was skarbnik? — zawołał zniecka Korzecki, wynurzając się z mroku.

Poszli długim chodnikiem. Zbliża i zdala szły szeregi wózków, ciągnionych przez konie. Każdy z tych pracowników włókł tak za sobą całemi latami przeklęte wozy. Gdy mijali postępującego w ciemności, odwracał na bok głowę i oczy, które już raz żółty blask światła.

Przyszli wreszcie do szybu, który ich z dna kopalni miał podnieść o sto metrów wyżej. Woda lała się tam strugami, kapła w szalę, ciekła po drzewie cembrowiny. Stanęli w mokrej windzie wśród ludzi wrzeszczących, przemokłych, ze złości twarzami, i w ciągu jednego momentu wyniesieni zostali na powierzchnię górna. Szli stamtąd ciemnym i nieskończenie długim korytarzem.

Było w nim zimno i wilgotno. Strop walił się tu i owdzie, wyginał kapy i miażdżył okładziny. Śmiertelnej czarniawy nie rozświetlały nawet ogniki górnicze. Czasami tylko słyszeć się dawał odległy turkot i krzyk wozaka. I znowu z mroku wynurzał się koń-górnik, odwracał swe smętne, stęsknione, beznadziejne oczy, jakby mu był wstrętny widok człowieka, i ginał w wiecznym grobie.

Stefan Żeromski.

Objaśnienia: *Szala* (z niem.) klatka, spuszczana szybem na łańcuchu albo sznurze. — *Cembrowina*, ściany drewniane studni, dołu. — *Fedrunek* (z niem.), węgiel wydobyty, ładunek węgla. — *Glikauf* (z niem.), Szczęść Boże. — *Szychta* (z niem.), obowiązkowy czas pracy górnika w kopalni. — *Wrąb*, wycięte miejsce w boku szybu, chodnika. — *Stempel* (z niem.), tu słup drewniany, służący do podparcia w rusztowaniu. — *Kapa* (z niem.), bal poziomy w suficie chodnika w kopalniach. — *Pochylnia*, chodnik, pochyło ułożony. — *Upad*, pochylenie warstwy węgla względem poziomu. — *Czeluść*, przepaść, otchłań. — *Czad*, gaz tlenku węgla, wywiązujący się przy niedokładnem paleniu, sprowadzający zatrucie krwi. — *Tarcica*, deska, wyróżniona z kłosa pilą. — *Sztolnia* (z niem.), droga podziemna, wyrobiona w kierunku poziomym lub prawie poziomym od powierzchni ziemi do wnętrza kopalni i przecinająca jej pokłady. — *Urobek*, ilość ciała kopalnego, wydobyta przez górnika. — *Komora*, jama podziemna, powstała po wybraniu pokładu. — *Kapa* (z niem.), kaptur, który noszą górnicy w kopalni. — *Bergleder* (z niem.), pas górniczy. — *Tuleja*, lej, tutka. — *Lont*, sznurek, nasycony materją palną, służący do zapalania naboju. — *Przystemplowany*, przybity. — *Stempor*, tłupek drewniany z okuciem żelaznym u spodu. — *Żygadło*, narzędzie do zapalania. — *Makata*, tkanina wełniana albo jedwabna, przetykana złotem albo srebrem. — *Dynamit*, silny materiał wybuchowy. — *Podstemplowywać*, wspierać podporami drewnianymi. — *Piętro*, strop, wierzch chodnika. — *Calizna*, masa ciała kopalnego do wydobywania w pokładzie. — *Filar*, część calizny między chodnikami. — *Pojęcie*, część calizny, która na raz jeden przeznaczona jest do wybrania. — *Organy*, kłocze drzewa, szereg słupów, na podobieństwo piszczałek organowych ustawionych dla podparcia stropu i zabezpieczenia ścian. — *Streka*, droga, chodnik. — *Kilof*, młot o dwóch końcach w kształcie zagiętych klinów. — *Klinowe pismo*, pismo staro-wschodnie, którego znaki miały kształt klinów. — *Skrzypy*, gromada roślin zarodnikowych, rosnących częścią w gruncie suchym, częścią wilgotnym, rozpowszechnionych po całej ziemi; lodygę zielną mają pustą, stawowatą. — *Widlaki*, gromada roślin zarodnikowych, obejmująca rośliny trwałe, zawsze zielone. Ziola te podobne do mchów, mają lodygę widlasto-gałęzistą, w dolnej części czołgającą się. Rosną głównie w wilgotnych nizinach. Do widlaków zaliczyć można wygasłe grupy *lepidodendronów*, *sigillaryj*. Gatunki lepidodendronów, łuskowców, należą do najbardziej rozpowszechnionych roślin okresu węglowego, i szczątki ich napotykać się w pokładach węgla we wszystkich częściach świata. Pnie, często olbrzymie, przeszło na 10 metrów wysokie, dzieliły się widlasto. Sigillarie miały postać słupów, wysokich na 25 metrów i grubych na 1—2 metrów. — *Odontopterys*, paproć kopalna. — *Liany*, pnącza, rośliny wijące się czyli pnące, t. j. rośliny wyrastające z gruntu i czepiające się z powodu słabej lodygi innych. Stanowią one zwłaszcza cechę roślinności lasów zwrotnikowych ame-

rykańskich, gdzie wiją się tak silnie około drzew, że je często duszą, a przelazując się z jednych drzew na drugie, tworzą gęstwinę nieprzebytą. — *Szprycha*, promień w kole wozu, łączący obwód dzwonu ze środkiem, nasadą, piastą. — *Jaquar* należy do kotów wielkookich, z okrągłą żrenicą, z płamami obrączkowatemi lub różyczkowatemi. Autor mylnie umieszcza ssaki i ptaki w okresie węglowym. Ukazały się one znacznie później. — *Wychodnia*, część pokładu najwyższa, wychodząca aż na powierzchnię gruntu. — *Hałda* (z niem.), kupa kamieni i ziem płonnych, z kopalni wydobytych i w pobliżu szybu leżących. — *Kurzawka*, pokłady piaskowate, sypkie, nieraz wilgotne, łatwo zsypujące się. — *Basen*, zbiornik. — *Skarbnik*, duch zły kopalni, pilnujący bogatych pokładów ciała kopalnego. W kopalni nie należy gwizdać, aby go nie wywołać. — *Okladzina*, deski lub krągłaki, podtrzymujące ściany. — *Czarniawa*, ciemność. — *Wozak*, pomocnik w kopalni, do przewozu ukopanego urobku użyty.

W NOC WIGILIJNĄ.

Powie Chrystus, Pan nasz miłościwy:

»Posłuchajcie, aniołowie moi.

Tak mi dzisiaj na duszy radośnie!

Niechaj każdy swe sprzypki nastroi,

Między ludzi pójdziemy z muzyką,

Chcę im huczne wyprawić wesele:

Jednych wiarą zratuję, a drugich

Białym chlebem miłości obdzielę.

Kto zaś z pośród mieszkańców tej ziemi

Najgodniejszym inych łask się okaże,

Temu rzeknę, słuchajcie: »Zbawionys,

Bo nadzieję przynoszę ci w darze«.

Aniołowie na skrzypkach zagrali,

Idą przodem z muzyką a pieniem

Wielce-ć radzi, że Chrystus z opłatkiem

Między ludzkim zasiędzie stworzeniem.

Przyszli w kraje bogate i plenne...

»Snać nad wami rozwarły się nieba,

Wszystko macie — Król światów zawoła —

Tylko jeszcze miłości wam trzeba«.

Przepłynęli i rzeki, i morza,

Dumni mędrce zabiegli im drogę.

»Nad przepaścią stoicie, — rzekł Chrystus —

Jedną wiarą ocalić was mogę«.

Nie poskąpił miłości i wiary,

Aniołowie zagrali radośnie...

»Plon obfity dla nieba — śpiewają —

Z Twoich darów, o Panie, wyrosnie!«

Zaszli w ziemię, od losów przeklętą.

Podścieliły się szare sukmany

Pod ich stopy: »Ni króla, ni władcę

Widzim w Tobie, nasz Jezu kochany;

Na te oczy, od łez już ośleple,

Tylko Bożą widzimy Dziecinę;

Nie żądamy już więcej niczego,

Zbaw nas grzechu i przebacz nam winę«.

Zmilkły skrzypki i pieśni aniołów,

Z Chrystusowych żrenic łza się leje...

»Czem opłacę wasz ból i pokorę? —

Dam wam świętą i zbawczą — nadzieję...«

Jan Kasprowicz.

BOŻE NARODZENIE W ZAKOPANEM.

Boże Narodzenie! Przez okna, w połowie zakute mrozem, już o 7-ej wpada jasność zorzy porannej i rysuje bladą siatkę ram okiennych na przeciwległej ścianie. Zwolna wstaje wielki dzień — nad Koszystą bije wielka luna, szeroka jasność; zdaje się, że słońce lada chwila rzuci snop promieni, lecz ono się nie spieszy, i mijają kwadrans po kwadransie, a słońca niema, tylko jasność staje się coraz świetniejszą. Nakoniec zapala się najwyższy szczyt Osobitej, potem drugi niższy, potem przełęcz — i cała góra, widziana przez ramiona potężnego modrzewia i różgowate gałęzie jesionów, wydaje się nadzwyczajnym, świetlnym zjawiskiem pośród całego świata, pogrążonego jeszcze w cieniu. Zjawia się różowy odbrzask na gładkiej kopicy Czerwonego Wirchu — i zwolna kilka zębów na Kominach Dudowych słońce zapala wspaniałemi blaski, jak rząd kiniekietów — i złocą się turnice ponad masami skał i płaszczyzn, i lasów, i dolin. Długo, długo później, bo dopiero w pół godziny, padają pierwsze promienie na polanę wyżej Pająkówki na Gubałówce, zrazu blade i rozstrzelone, aż wreszcie, oświecając coraz niższe stoki, w całą godzinę później zjawiają się w dolinie Zakopiańskiej w po-koju.

I wstaje wielki dzień! Mróz trzaskający 21°, gonty na dachu trzaskają z łoskotem.

Przejrzystość powietrza tak wielka, że góry wydają się tuż, jakby się zniżyły, zmały pod olbrzymim stropem niebieskim, czystym, jasnym, nicopisanej przezroczystości. Oczy nie znoszą blasku i bieli śniegu, który skrzypi jakimś metalicznym zgrzytem szkła tłuczonego. Śnieg jest sypki, że i ździebełko nie przywiera do obuwia, garnie się i osypuje pod stopami jak mialki piasek, jak żwir, drobny, suchy, na polach iskrzący się temi niepojętymi blaskami złota, ametystów i szafirów, rzucający ognie brylantów — a w wielkiej płaszczyźnie podobny do ziarnistego marmuru. W powietrzu stoi wielka cisza; ani przeleci wrona, ani zaćwirka wróbel lub sikora, nie zatrzeszczy sroka, nie zaszczecka pies. Nawet potok usnął snem zimowym, i umilkł pomruk jego. Tylko nawiewy ledwie odczuwanego wietrzyka przynoszą głos organów, wtórujących ludzkiej pieśni: to ranne nabożeństwo w wielki dzień chrześcijański.

W kościele mroźno; na ołtarzu płoną żółte świece martwym woskowem światłem gdzieś daleko w głębi, nad polem głów ludzkich, zwartych jak kamienie mozaiki, nad którą unosi się para oddechów, a z każdej śpiewającej piersi bucha słup biały — i pieśń »Opuściłeś, a zstąpiłeś na te niskości ziemskie« płynie potężnym chórem dziwnej prostoty i wielkości. Pieśń ta wydaje się czemś nadzwyczajnym, gdy się pomyśli, że dziś, o tej samej godzinie, śpiewa ją polska krtań od Helu — do Zakopanego, od morskiej fali do granitowej turni — i śpiewa ją dziś, jak kilkaset lat temu. Ci, co do kościoła się nie zmieścili, z obnażoną głową stoją na dworze, przylepiani do ściany szarej ze starości, prawie czarnej, jak Żydzi pod murami Jerozolimy; ci zaś, co słuchem nie mogą zespolić się z wnętrzem przez ścianę, stoją zwartą ciżbą pod drzwiami. Oczy wszystkich wlepione wewnątrz, w ciemną dal, w jarzące świece... I wśród 20 stopni mrozu płynie potężny chorał — równo, spokojnie, jak wielka rzeka, a serce ogarnia wielka otucha i rzewność wielka. »Miłość moja to sprawiła, by człowieka wywyższyła«.

Władysław Matlakowski (1850—1895).

Objaśnienia: *Zakopane*, najbardziej znana i uczęszczana z dolin, otaczających dokoła zbitą masę Tatr. Leży na ich północnej stronie na wysokości 837 m. nad poziomem morza. W połowie XVI w. prawdopodobnie zaległa ją głucha, nieprzebyta puszcza. Osadnictwo stopniowo posuwało się w góry i dotarło wreszcie do Zakopanego. Pierwszym osadnikiem był tu w końcu XVI w. niejaki Gąsienica, który wykarczował, »wyrobił« sobie polanę w lesie, w słonecznej, rozległej dolinie nad Cichą wodą, gdzie dziś jest ulica Kościeliska. Wokół tego gniazda sadowili się jego potomkowie, których już w początkach XVIII w. dokumenty wyliczają trzynastu. Pierwotnie,

w początkach XVII stulecia, miejscowość nosiła słusznie nazwę »Nowej osady«, ale już w 1630 r. występuje inna ludowa nazwa »Zakopane«, pochodząca od wyrazu »Kopane«, oznaczającego miejsce, wykarczowane w lesie na polanę. Gąsienica siedział tedy na gruncie za Kopanem, później zaś, gdy dwa wyrazy poczęto odczuwać jako jeden — »na Zakopanem«, od którego pierwszy przypadek brzmiał »Zakopane«. Osada pasterska Gąsieniców stale rozrasta się, zaludnia coraz bardziej, a od połowy XIX w. zmienia się stopniowo w miejsce odpoczynku i rozrywki przyjeżdżających ze wszystkich stron Polski miłośników górskiej swojskiej przyrody. — *Koszysta*, Kosista, szczyt i grzbiet górski w Tatrach nowotarskich na południo-wschód od Zakopanego. — *Osobita*, samotny (stąd nazwa) szczyt (1687 m.) na południo-zachód od Zakopanego, dobrze z Zakopanego widoczny. Na południe od niego wznosi się granitowa grupa Rohaczy w głównym grzbiecie Tatr liptowsko-orawskich. — *Modrzew, wia*, piękne drzewo z rodziny iglastych, dochodzące od 25—45 m. wysokości, ma delikatne i wiotkie listki iglaste, skupione w pęczki i opadające na zimę, gałęzie rzadkie, odstające, naprzemianległe, nieco nadół pochylone, krótkie w stosunku do pnia niezbyt grube, nadające drzewu postać piramidalną. — *Jesion*, drzewo z rodziny oliwowych, dochodzące do 40 m. wysokości, przy średnicy 20—125 cm., o liściach, składających się z 8—15 listków lancetowatych, śpiczastych, bezogonkowych. — *Czerwony Wierch (wierch, wirch = wierzchołek)*, jeden ze szczytów Czerwonych Wierchów, grupy górskiej, zajmującej znaczną przestrzeń w głównym grzbiecie Tatr nowotarskich na południe od Zakopanego, nazwanej tak od bujnej trawy, zdąła czerwono mieniącej się. — *Kominy Dudowe* na południo-zachód od Zakopanego. Szczyt ten (1408 m. wysok.) wznosi się w północno-wschodnim ramieniu grupy dzikich skał, zwanych Kominami Telkowemi (Tylkowemi). — *Pająkówka*, miejscowość na północo-zachód od Zakopanego. — *Gubałówka*, znaczniejszy grzbiet wzgórzysty, ciągnący się od wschodu na zachód nad Zakopanem i Pająkówką od północnej strony jakby potężny wał. — *Gont, u*, deszczulka do pokrywania dachu. — *Ametyst*, drogi kamień dość pospolity, barwy fioletowej. — *Szafir*, kamień szlachetny, przezroczysty, barwy błękitnej. — *Sikora*, rodzaj ptaków wróblowatych z grupy zębodziobych, o dziobie krótkim, stożkowatym, nogach miernych, silnych i chwytnych, skrzydłach miernych. Są to ptaszki drobne, zwinne, ruchliwe, żywią się owadami, jadają też i ziarna. — *Sroka*, rodzaj ptaków z rodziny kruków, oddzielony od kruków dla skrzydeł krótszych i tępych i przedłużonego, klinowatego ogona. Sroka mniejsza jest od kruka, karmi się myszami, owadami, ziarnem; głos ma chrypliwy. — *Mozaika*, kunsztownie ułożone wzory i obrazy z różnokolorowych kawałków marmuru, drzewa. — *Opuściłeś, a zstąpiłeś i t. d.* Wyjątek z czwartej zwrotki koledy »W żłobie leży«. Zwrotka ta brzmi w całości: »Witaj, Panie, cóż się stanie (co się dzieje?), że rozkosze niebieskie — Opuściłeś, a zstąpiłeś — Na te niskości ziemskie? — Miłość moja to sprawiła, — By człowieka wywyższyła — Pod nieba empirejskie«. *Empirejski*, niebieski, rajski. — *Hel*, półwysep Helski, mierzeja Pucka; odcina część Bałtyku, zwaną zatoką Pucką czyli małym morzem. — *Mierzeja*, wąski pas łądu, zwykle piaszczysty, często z wydmami, odcinający przyładową część morza. — *Turnia, i*, naga skała, wystrelająca nad poziom. — *Żydzi i t. d.*, po zdobyciu i zburzeniu Jerozolimy (70 r. po Chr.) przez wojsko rzymskie pod wodzą Tytusa, syna cesarza Wespazjana (69—79). — *Ciżba*, tłum. — *Chorał* strp. = chórał, psalm, pieśń, śpiewana chórem, zbiorowo przez lud w kościele.

TATRY.

W dali... jakby ciągnący ławą huf kresowy
 Z gwiazdami na szyszakach, z proporcem obłoków
 Zakamieniał, dotarłszy aż do nieba stoków,
 Tak Tatry ciemnym murem zwarły dumne głowy!
 Wielki, jak sny młodości — mroźny kraj śniegowy!
 Gdzie król burz — halny orkan — błądzi w szacie mroków,
 Gdzie wiszą gniazda orłów, gromów i potoków,
 Gdzie Mistrz świata w obłokach ma tron granitowy!
 Tatry!... czemuż, jak siedzib szukające ptaki,
 Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni
 Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?!
 O, pustyni tatrzańska! bo na tym obszarze
 Całej mojej ojczyzny — o skalna świątyni —
 W tobie jednej są jeszcze — swobody ołtarze!

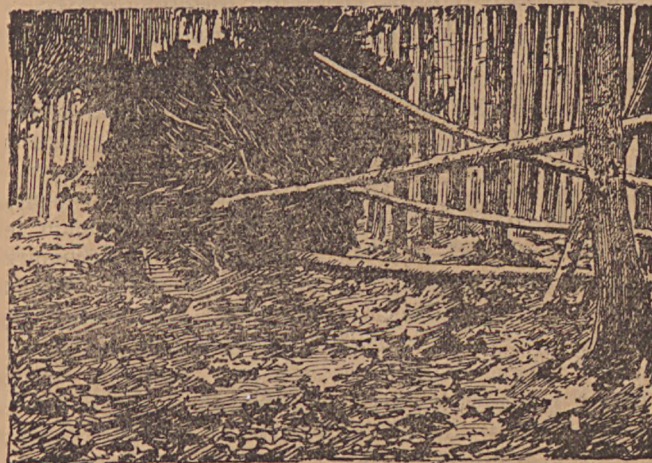
Franciszek Nowicki.

WIATR HALNY STYCZNIOWY W ZAKOPANEM.

Wytoczyło się wspaniałe słońce z za grani, zagrały blaski światła na dachach fioletowych, na płotach, gałęziach a gdzie tylko liznęły promienie, siny szron taje. Na wschodzie widać ostre, wyraźne zęby i szczyby gór szlachetnych, tylko na głównym łańcuchu zaległ wał chmur nie wysoki, lecz ciężki, czarny po bokach, z prześwieczeniem jasnym grzbietem; zdaje się być nieruchomy, lecz ta martwość jest pozorną tylko; cały wał sunie wolno na wschód, gdy napłynie na szczyt wyniosły — obleje go, oblepi, gdy przesuwa się ponad niską przełęczą — zalega ją, napęlnia; miejscami kotłuje się w nim i miesza ołowiana masa z przeświecającymi plamami. Zwolna czochra się i wichrzy cały grzbiet wału, wyciąga w jasne jęzory, jak płonący spirytus, powstają zadziory, urywają się, jak pacze z pęku lnu, i rozwłóczą na boki.

A w dolinie tymczasem słonecznie i jasno; niewidzialne, w mrocznym gąszczu ukryte ćwierkają jakieś ptaszki smutnym, urywanym głosem, chwytającym za serce wśród tej wiszącej w naturze grozy. Powoli targają się kudły grzywy, wichur odrywa jeden kędzior po drugim i micie go w bezdenne niebieskie topiele. Słońce przypraża jeszcze, lecz w górach czuć już szalone podmuchy wykluwającego się, wyrwijającego ze swych pieleszy na Czerwonym Wirchu halnego wiatru. Na południu prześwieczone chmurki srebrne na niebieskim atłasie; na północy — niebywałej czystości niebo nad

zielonemi reglami, słyhać tylko w górze złowrogi głuchy szum, jak huk dalekiego morza. Trwało tak z godzinę. Naraz zabujał się las pobliski, zakolysały ośnieżone smreki, wsiadł na ich czuby górą przelatujący wichur — i zatrząsł. To ten, to ów smrek uwolnił się od swego brzemienia i wyprostował, jakby gotując do czekającej go walki. Wiatr zrywał okiść, rozwłóczył ją w warkocze, w obłoki śnieżnego pyłu i jak ogon komety niósł w powietrze. Co chwila z gwałtownym pędem, jak dym wybuchającej armaty, odrywał się nowy obłoczek, i znowu cisza, tylko zamieć na wirkach coraz gęstsza i szersza, z poza której wielu szczytów rozpoznać już nie można. Szum coraz bliższy i coraz mocniejszy, napady wichru z gór coraz częstsze i gwałtowniejsze, coraz niższe. Już nietylko przela-



tują górą, zawadzając o czuby drzew najwyższych, teraz potracają o kalenice dachów, o kanty strzech, miotając niemi z szaloną wściekłością, pędząc śnieg przez zapory, sypiąc groble i grzędy śniegu, rozpylając go w powietrze. Co chwila wichur zrywa z rozwidlonych gałęzi jesionów bryły śniegu, obrywa gzymsy i fryzy śnieżne z krawędzi dachów i pędzi je po ziemi. Dygocą zręby domów, trzeszczą ściany, jęczą dachy pod naporem, kurniawa zwolna zajmuje całą dolinę, zasłania słońce. Gina drzew sylwety, gaje olszowe, świat ogarnęła zamieć szalona. Pochowały się pod strzechy i jaty stadka wróbli, nie słyhać metalicznych śmigów trznadli, czasami tylko przeleci sroka, lecz wichur, miotając nią, zagina długi ogon, gna i zawraca. Ustał wszelki ruch na gościńcu, słyhać tylko dudnienie dachów, skrzyp, jakby przeciąganie się węglów — wyje, huczy i wścieka się spuszczone z uwięzi wichura, na grzebicie Tatr prze-

wraca się, kotłuje, jak asfalt w wielkim kotle, wylewając na boki strugi czarnej chmury, a w dolinę spadają orkany wichru, od którego trzeszczą domy, uginają się pnie modrzewi, bujają wściekle gałęzie świerków, i tłuką o siebie grube konary jesionów. Na Krupówkach sądny dzień; lecą obłamywane gałęzie, ani sposób utrzymać się na nogach.

Od czasu do czasu rozlega się huk i jęk dachu, z którego z szalonym pośpiechem spada lawina, zsypując pod okapem kupę brudnego śniegu.

Po drogach chodzą wrony, walcząc z wichrem, podrywającym im pióra. Cały dzień i noc całą powtarzały się przerywane złowrogą ciszą napady wichru, od którego dygotały ściany. Nad ramię uciszyło się, brask zapalił ochrowe obłoczki, rozrzucone po niebie, ani śladu wału chmur, ani śladu halnego wiatru.

Władysław Matlakowski (1850—1895).

Objaśnienia: *Wiatr halny*, wiatr z kierunkiem przeważnie południowym lub południowo-zachodnim o szybkości 3—9 (cząstka powietrza przebiega wówczas w sekundę 3—9 metrów). Rozpoczyna się zwykle o kilka godzin wcześniej w górach, niż w Zakopanem. Temperatura zaczyna się podnosić, zanim pierwsze porywy wiatru halnego doleczą do Zakopanego, szybkie jej podniesienie towarzyszy pierwszym podmuchom. Maximum temperatury bywa, jak w listopadzie 1911 r. +14°, w grudniu +11°. Zachmurzenie z początku bywa nieznaczne, powietrze bardzo przezroczyste, charakterystyczne są białe kłębowe chmury. — *Hala*, i, dolina górską w Tatrach, pastwisko górskie, czasem góry same. — *Grań*, grzbiet, krawędź góry. — *Pacześ*, popłatane włókna lnu albo konopi, oddzielające się przy czesaniu szczotką po raz drugi. — *Pielesze*, y, legowisko, kryjówka, gniazdo. — *Regle*, i, lasem pokryte podnóża wielkich gór. — *Smrek*, a, świerk. — *Okiś*, i, śnieg zmarznięty i zwieszający się z gałęzi w kształcie kiści, sopli. — *Kometa*, y, (z gr. *comètes* = włochaty) cało niebieskie, biegnące drogą bardzo wydłużoną i dlatego rzadko widywane, złożone z głowy ze świecącym jądrem i z prostej, krzywej albo wielokrotnej smugi świetlnej czyli t. zw. ogona, warkocza albo miotły. — *Kalenica*, y, trzyczalowa trójkątna żerdź, przybita na wierzchu schodzących się krokwi (cienkich belek, ustawionych w kształcie litery A, na których utrzymuje się przykrycie dachu), przykryta z obu stron stykającą się na wierzchniej linii dachu gontami. — *Gzymś*, u, poziomo biegnący występ muru. — *Fryz*, u, ozdobny pas, idący poziomo pod gzymsem. — *Kurniawa*, y, zamieć śnieżna. — *Sylweta*, y, zarys. — *Olszowy*, olchowy. Olcha, olsza, drzewo z rodziny brzoźowatych. — *Jata*, y, podręczna szopa, naprędcie i byle jak sklecona. — *Śmig*, śmiganie, lot. — *Trznadel*, dla, ptak wróblowaty, stożkodzioby. — *Węgiel*, gla, róg, narożnik. — *Asfalt*, u, mieszanina smoły ziemnej ze żwirem i wapnem używana w stanie płynnym do zalewania chodników i ulic. — *Krupówki*, jedna z głównych ulic w Zakopanem. — *Lawina*, y, masy śniegu z gór spadające; zbiegające nagle bryły lodowe, oderwane od lodników. — *Ochrowy*, żółto-brunatny, podobny barwą do ochry, minerału o różnych odcieniach barwy żółtej, czerwonej i brunatnej.

Ilustracja: Po wietrze halnym.

WYJŚCIE W GÓRY.

Wzmagał on się poza wierchami i runął wdół, gorący, nieodparty, nawałny, męcząc tumanami chmur i gęstą, rzęsiłą siekawicą. Uderzył z taką mocą, aż las pokłonił, — ustał i znowu runął. I tak z przerwami, już potem suchy, bez deszczu, obalając jasionie i lipy przy chałupach, rwąc dranice z dachów, króćąc las, dał przez noc i dzień aż do południa, tłoczył z poza krzesanic kłęby chmur na przewyrt w doliny i krył w pomroce, w mroku chmur Tatry. A gdy deszcze po nim, mocna wiosenna lić, dwie doby przelały, i słońce zaiskrzyło na niebie, gazdowie z pod Świnnicy i Giewontu uznali, że czas już ku Stawom statek wygnać, bo śniegi wyginęły, i Kopa Magóry radośnie zazieleniała.

Było to w początku wielkiego maja.

Wzięto się więc do mycia i czyszczenia sprzętu szalaśnego, kotłów miedzianych, pucier, gielet, oboniek, skopców, czerpaków. Juhasi poczęli smażyć w maśle koszule i strugać strzały, naprawiać kołczany; kto miał, to opatrywał rusznicę lub pistolety na krzemień. Powszechny ruch, powszechna wesołość nastąpiła.

Na wtorek trzy dni przed Zielonemi Świątkami naznaczył baca dzień miesania. Ze wszystkich osiedli w pobliżu Hrubego zegnano owce na polankę przed domem Topora Jasicy, gdzie czekali już na nie baca Sobek i juhasi. Tam każdy gazda oddawał swoje stadko, a potem zmieszano wszystkie owce razem do wielkiego zagrodzenia, koszaru. Jeden juhas wziął koronkę w rękę, drugi z zagrody owce puszczał, licząc, a gdy krzyknął z orawska: *desat!* — juhas paciorek różańcowy przesunął. Owiec było tysiąc dwieście, które bacy gazdowie na lato powierzali.

Osobno stały krowy z pasterkami i młode woły z wolarzami, do szalasu należąciami. Stało i kilkanaście koni, mających lato spędzić na hali.

Z mrocznej szarej mgły wylaniały się wierchy, bystro słońcem złocone, w pełnym obłoków niebie tonące. Liljowosine i fioletowe były te obłoki, które wiatr po szafirowem niebie gnał. Bo wiatr dał silny w to rano wyganiania na halę.

Wierchy jakoby się ścięły z obłokami, to miały je przed sobą, to za sobą, to ginęły w nich; to znowu ponad szczytami skłębił się tuman kolorowy, a czasem rozbił się w strzępy i rozleciał właśnie w chwili, kiedy blask słońca ugadzał, jak gdyby złotawy ryś wpadł między stado barwistych cietrzewi, synogarlic i dzikich gołębi na kępach podkrywańskich.

Mnóstwo bab, chłopów, dzieci zebrało się zegnąć juhasów, pa-

sterki i swój dobytek. Matki całowały córki, ojcowie upominali synów, ażeby trzody warowali przed wilkiem i niedźwiedziem, bacy słuchali, ze zbójnikami, jakby przyszli w odwiedziny, byli grzeczni, co polecali tem więcej, że niejeden z nich sam za młodu »za buczki« chadzał.

Stara Braganta dawała dziewczkom ziela od uroku, od porobiska, tak dla człowieka jedne, jak dla bydłęcia drugie, nieodbyte, gdy się rozdętemu świeżą trawą bydłęciu splestek czyli kawałek drewna w pysk kładzie, a boki gniece. Brali i juhasi ziela, srebrne pieniążki dając, choć klęte naszyjniki na szyjach nosili.

Ten i ów na owce, na statek swój spoglądał, baby krowy po karkach głaskały, osobliwie cielęta, przez zimę podrosłe; smutno się im z niemi było rozstawać.

O pogodzie możliwej radzono, lato przepowiadano mokre zrazu, potem aż do jesieni suche i upalne.

Owiec, zegnanych do kupy, pilnowały już psy wielkie, kudłate, o wilczych mordach, białe, z obrożami kolczatemi na karkach, i obstawili je sobą juhasi, zbrojni w ciupagi z brzęczącemi mosiężnemi kółkami na tyłcu toporzyska, w kiję, opalone na czarno, śpierzulce, oblaki bukowe, sękowce ze smreka, siekańce, nasadzone krzemieniami, buńkosie czyli maczugi, obite mosiężnemi kółkami, wesole brzękiem przy pochodzie, straszące owce, a straszne jako broń.

Na głowach mieli małe kapelusiki czarne, okrągłe, płytkie, z wąskiem skrzelem, wysmarowane tłuszczem, z kostkami z morskich muszelek białych, naszytymi na rzemyk, lub z mosiężnemi łańcuszkami, owitemi dokoła dla oporu na wiatr; ten i ów w kółpaku baranim w kształt perski, kostkami, paciorkami, koralikami oplecionym, włosy wymaszczone; na ramioną od uszu dwie kiecki, huncfuty, we warkoczyki plecione, w paciorki i koraliki zdobne, na szyi brembulce, naszyjniki z kamyków, kulek i kawałków mosiądzu, koszula, spięta blachą mosiężną z łańcuszkami, trzepieniem przekłutą, od pasa do pachy pas z pięciu kłamrami, z ciemnej brązowej skóry, nabijany świeżącemi mosiężnemi i srebrnemi guzami, za pasem noże z trzema bulkami, to jest kulkami z mosiądzu na trzonku, u poniektórego pistolet. Koszula w maśle usmażona, czarna, połyskliwa, z rękawami rozszerzonymi ku pięści, że gdy chłop stanął, do kolan spadły. Portki białe ze zaszczepkami niebieskimi i czerwonymi z włóczki, wąskie, obcisłe, w onycki wpuszczone i rzemieniem okręcone wpół łydki, na stopie kerpiec z jednego kawałka skóry. Przez ramię torhy juhaskie z wełny czarnej i białej plecione, frombijami-frendzlami zdobne, u niektórego ru-

sznica na krzemień, ale rzadka, zresztą luki długie i kołczany, strzał pełne, zręcznie z łyka szmerkowego plecione.

Ten i ów zaś to kobza skórzana, to piszczałka z wierzbowego drzewa, to fujara lub trombita długa niezmiernie, czasem na półtora chłopa zdłuść, rozszerzona u wylotu; tę osobliwie wolarze mięwać lubili. Chłopy same rosłe, smukłe, gdzie niegdzie olbrzym dwie stopy nad sążeń, tu znowu chłop jak pniak, zebrany w sobie, krótki, a z plecami jak ława. Na ramionach serdaki, guńki białe krótkie, nijako nie wyszywane; ten i ów kozuch na plecy odział.

Przy juhasach młode chłopcy, gońcy czyli honielnicy, uczniowie na juhasów.

Zaś pasterki miały koszule białe, cyfrowane czerwoną lub czarną grubą nicią na ramionach, spódnice ciemne, wytłaczane w białe kropki, zapaski różowe; nogi w kierpcach tylko nie rzemieniami, ale czarnemi, grubemi, wełnianemi sznurami, nawłokami owite, na ramionach chustki, stare guńki ojcowe, stare kozuchy macyne. Mało która piechotą, ale okrakiem na koniu na drewnianem siodle, na niem przewieszone obońki, garnki, skopce, dzieżeczki na mleko czyli rajtoki, worki z mąką. Tu znowu koń, objuczony kotłami żelaznemi do gotowania strawy, sprzętem juhaskim, przyodziewą męską, dziewczęką, zapasami we worach. Przytroczona do siodła tu i ówdzie rąbanica krótka z szerokim obuchem, wygodniejsza od ciupagi do domowej roboty. Dziewki, co pieszo szły, na długim lejcu konie trzymały.

Dziewki bujne, urodne. A twarze rozmaite. Jedne podłużne ciemnowłose, czarnookie, inne o włosach jasnych, oczach niebieskich, krótkie i kwadratowe z mocno wystającemi kośćmi policzkowymi, nosy najgęściej orle, wspaniałe, o wąskich nozdrzach. A tak u chłopów, jak u bab twarze śmiałe, przytomne, myślące, pełne energii i ochoty.

Ruch był. Juhasi oganiali owce do kierzela czyli stada, a raz po raz który z radości, że już w hale idzie, pokrzyknął, gwizdnął lub ciupagę, zberzczącą mosiądzem, wysoko ponad głowę rzucił, że zawarczała w powietrzu i w rękę mu z brzękotem spadła.

Stał bacą Sobek jak buk pomiędzy gromadą. Ruszać już trzeba było, bo słońce wychodziło coraz wyżej.

— No, cas! — rzekł, popatrzywszy na stado uporządkowane i na słońce, i na niebo.

I skinąwszy na starego chłopa, który mu kropidło podał i kołlik miedziany ze święconą wodą podstawił, szedł przed nim dookoła owiec, kropiąc je i modląc się o błogosławieństwo i zachowanie od

nieszczęścia, poczem na czoło pochodu wyszedłszy, krzyż ciupaga przed stadem na drodze uczynił i do góry ją ostrzem wzniósł.

Błysnęła stal pod słońce, a to był znak.

— Ostajcie z Bogiem! — krzyknął Sobek do pozostających.

— Boże prowadź! Zegnaj Panbóg!? Z Pane Bogel — odpowiedziały mu setki głosów.

Zadęli juhasi i wolarze we fujery i trombity, zabręczeli na kobzach, gwizdnęli na piszczalkach, zadźwięczeli na gęślach, zazberczały metalowe kółka przy ciupagach i objiane metalowemi obręczkami maczugi; huknęli ci, co nie grali, krzyknęły na krowy pasterki, i klasnęły w bicze wolarze. Szczeknęły psy, i zatętniał tupot racic owczych i bydlęcych i tętent kopyt końskich. Ale cudownie, melodyjnie, uroczyście zagrały tysiące spiżowych dzwonek u szyi trzód. I pochód ruszył. Konno i pieszo otoczone stada, wiedzione przez bacę, naprzód w olbrzymiej wydłużonej gromadzie, potem krowy, potem woły poczęły sunąć się drogą przez Toporową polanę. A wraz rozległo się wyskanie, wysoki krzyk pasterek i młodych gońców, i kilkanaście głosów przy jęczeniu fujar i trombit, rzępoleniu gęśli i piszczalkach, przy basowaniu kobz zawiodło:

Hej, baco nas, baco nas, podź s nami na sałas,
popod białe skole na ślehodnom wole!

Hej, baco nas, baco nas, powiedz ze nas hore,
bo my uzdajali w turnickak obore!

Hej, baco nas, baco nas, kielo baranów mas,
Kielo mas owiecek, kielo mas dziewecek?

Rozłamał się chór — mężczyźni zaśpiewali:

Hej, baco nas, baco nas, nie załuj nam mleka,
my ci przewidzieme z pod Krzywiania byka!

Zaśpiewali mężczyźni, a dziewczki odpowiedziały:

Hej, baco nas, baco nas, nie załuj nam syra,
co jo cie nie bedem do rania budziela!

I znowu chórem wszyscy:

Hej, w polany, w polany — kosiar murowany,
murowany kosiar — baca jako cysar!...

Huuhahahauuu.

Ale cudownie, melodyjnie, uroczyście grały tysiące spiżowych dzwonek u szyi trzód.

Szli juhasi, pasterki, trzody, konie z hukaniem, brzękiem, muzyką, śpiewem i cudowną grą tysięcy dzwonek. Rzucane w powietrze i chwytane w rękę migotały ciupagi. Tonęły w lesie.

Wąż jakoby olbrzymi, łuskami migocąc i brzęmiąc, wsuwał się w nieprzejrzany, prawieczny las.

Idom...

Aż wchłonął ich głęboki mrok drzew.

Z lasu zaś jeszcze biegła juhaska pieśń:

Hej, idom se owiecki, idom se barany,

Hej, idzie se za niemi juhas porubany...

Z coraz dalsza, z coraz dalsza słyhać było jęczenie daleko-
nośnych trombit i zbyrkotanie spiżowych turlików i kłapacy.

Powoli wznosił się pochód lasem.

Przepromienne słońce lało się na trawę, i pachnące młode liście drzew, wycinane w rozmaity śliczny kształt, nabrzmiałe so-
czystą zielonością i tak wesołe, że hnet byś rzók, ize świergotać
zacnom, jako sikory leśne. Nawet ciemne igły smreków, jodeł i ci-
sów świeciły się pogodnie.

Wiodła droga jeszcze lasem kęs pod górę, a potem na prawo,
w perci.

Tam się owce poczęły wydłużać w nieskończony sznur, bo
było wąsko, po boku się ledwie juhas pod smreczki przeciskał albo
też w stadzie pomiędzy owcami z psem szedł. Gęstwa była straszna,
drzewo nigdy nie cięte, chwaścią, smędlakami zarośnione i zatrze-
pane. Tysiąc dwieście owiec wyciągnęło się w biały i czarny sznur,
kozy w nim, a za niemi jedna za drugą szły krowy, woły wielkie
rogi między gęstwiną przedzierały. Od terlika pierwszej owcy do
kłapaca ostatniego wołu dźwięczał i dzwonił spiż na ogromnej śród-
leśnej, błędnej w zakręty przestrzeni.

Bystrzej i bystrzej pod górę między stary, choć coraz niższy
las, gdzie się już wszelkie inne drzewo traciło, a tylko smreki co-
raz wyłączniej zostawały, koło potoku, co z Czarnego Stawu szedł,
podbijać się począł pochód ku wąwozowi poza Kopą Królową, ku
Królowej Hali od Maćka Króla, co tam pierwszy pasać zaczął, na-
zwanej. Aż sięgnięto kosodrzewiny i po kilku godzinach cienia le-
śnego ujrzano słońce i wierchy, i ostry górski powiew przypłynął.

Naówczas taka radość owładła serce Sobka Topora z Hrubego,
że zabręczzał nabijaną ciupagą swoją nad głową i wzniósł głos:

Hej, idom se owiecki tom stawiańskom pyrciom —
drugi wiersz dziesiątki męskich, kobiecych i chłopięcych głosów
rzuciły na las:

Hej, juhasa nie widać, ino zwonki zbyrcom! —
i powtórzyły raz drugi, jak zwykle.

Baca dobył pistoletu z za pasa i strzelił.

Huknęły za nim i inne rusznice i pistolety, zadęto znów we
fujary i kobzy, które już nad lasem były, a kto z lasu z instrumen-

tem wychodził, dąć zaczynał, tak że muzyka rosła i wzmagala się od momentu do momentu.

Wkraczano w dziedzinę szczęścia.

Wtem: »Is! is! icie go!« — ozwały się krzyki.

Czy zasnął w cieple, i zbudziły go dopiero strzały i hałasy, czy telo śmiały a ciekawy był: olbrzymi czarny niedźwiedź z karbu pod Królową patrzył. Stał tak nachylony na uboczu, że mu tylko łeb z karkiem i pierściami i przednie łapy widać było, a cień gruby padał odeń na murawę zieloną.

Przekrzywił łeb, jak gdyby lepiej nastawionemi uszami się przysłuchiwać i lepiej małemi ślepiami się przypatrzeć chciał, i widniał w górze.

— Hej! Jak to se hań hyrnie stoi! — krzyknął któryś z juhasów!

— Erezie! — krzyknął inny, niby na owce, chcąc go zegnać.

— Nie byłbyś ty telo durny, kieby haw Sabała s nami be! — zawołał trzeci.

Już jednak sześć czy siedem srogich psów z okrutnem ujadaniem pod górę się po upłazie puściło. Niedźwiedź nie czekał, tylko zawrócił się i znikł za upłazem.

— He! to obieś! Myślał, co se tu będzie wirhował, jako będzie fcia! — ozwał się Michna, wolarz.

— Wójt halom! Sołtys stawiański! — szydzili juhasi.

Jeszcze raz się niedźwiedź wyżej pokazał na wysiecysku, między kosodrzewiną ku Magórze i znikł.

— Ale ze je hytry — wołano. — Hipce jak jeleń. Stracił się psie drewno w pustkach!...

Psy przywołane wróciły, a pochód cały posuwał się po stokach Magóry, po pochyłej darni, aż znowu na perć między kosodrzewiną i ogromnemi głazami, co ku stawiańskiemu owczemu szałasowi i krowim szopom wiodła, wstąpił. Pomiedzy wyrosłą kosodrzewiną owce poczęły ginąć z widoku. Sobek, po przodku idąc, wybujała od jesieni tu i owdzie gałęz zamachem ciupagi odtrącał i wiódł, aż się szałas i szopy ukazały.

Dolina, dolina, na dolinie sałas,

cemuz mie dziwcyno do niego nie wołas...

śpiewał juhas, tańcząc w pochodzie »drobnego« i wywijając ciupagą nad głową.

Wkroczoło w dziedzinę szczęścia.

Poruniło się pięknie, gdzie okiem spojrzeć zielono, tylko na turniach śniegu platy olbrzymie, w źlebach, gdzie do cienia, hrubo go jeszcze na chłopca zwysć.

Jasne białe mgielki kołysały się nad wierchami.

Zmęczone bydło poczęło się zaraz paść koło szałas i szop.

Wiatry halne, a osobliwie ten wielki, co z końca grudnia wiał, porobiły szkody, postrząsały kamienie z dachów, a śniegi wielkie, co w zimie, w jagwencie przed gody i potem drugi raz w godniku ku końcu miesiąca spadły, zgmiotły szopy dwie krówskie do imentu. Trzeba było naprawiać, ale to się duchem przy telik chłopach i wszelkim spręcicie potrzebnym, z domu zabranym, robiło.

Koszary jęto stare naprawiać, nowe stawiać, strągi, t. j. miejscy do dojenia owiec, w nich grodzić.

Ożyła hala.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

Objaśnienia: *Nawalny*, nawalny, silny, gwałtowny. — *Siekawica*, y, gwałtowny deszcz lub grad z wichrem. — *Jasion* = jesion. — *Dranica*, y, cienka deszczulka, używana na pokrycie dachów. — *Krócić*, gwar. = łamać. — *Krzesanica*, y, stroma, wysoka i gładka skała. — *Na przewyrt*, przewracając. — *Lić*, i, gwałtowna ulewa. — *Gazda*, y, gospodarz, góral, posiadający gospodarstwo. — *Świnica*, Świnica szczyty granitowe, na południo-wschód od Zakopanego, Giewont na południe. — *Statek*, tku, dobytek, trzoda. — *Kopa Magóry*, bardziej na wschód od Zakopanego, niż Świnica. — *Wielki maj*, czerwiec. — *Szalaśny*. Szalas, budynek z okraglaków, mieszkanie bacy i juhasów w halach (dolinach górskich) podczas lata; w szalasach przerabiają mleko na żętycę i ser. Szalas nadawał nazwę tylko pastwisku owiec. — *Puciera*, y, drewniane naczynie do przechowywania serwatki, robienia sera. — *Gieleta*, y, drewniane naczynie z pałakiem do dojenia owiec. — *Obońka*, i, płaśkie, okrągłe naczynie do przewozu mleka. — *Skopiec*, pca = skopek, naczynie drewniane do zbierania mleka przy dojeniu krów lub do wody. — *Czerpak*, a, naczynie do czerpania, wiaderko. — *Rusznica*, y, (z czesk.), ręczna broń palna. — *Zielone Świątki*, w pięćdziesiąt dni po Wielkanocy uroczystość Zesłania Ducha Świętego na apostołów. — *Baca*, y, owczarz, główny i odpowiedzialny zwierzchnik szałas (pasterzy, owczarów) i całego przedsiębiorstwa pasterskiego. — *Miesanie*, mieszanie. — *Osiedle*, a, osada. — *Hrube*, ego, na wschód od Zakopanego. — *Koronka*, i. Koronka jest to część różańca, czy to na paciorkach wedle pewnego porządku ułożonych, czy też w modlitwach. Nazwana koronką dlatego, że Ojciec nasz (na większych paciorkach) i Zdrowaś Marja (na mniejszych) odmawiane składają jakby koronę albo wieniec na cześć Najświętszej Marji Panny. Różaniec jest to modlitwa ustna, szeroko w kościele katolickim rozpowszechniona, zasadzająca się na odmawianiu piętnastu dziesiątków Zdrowaś Marja z poprzedzającym każdy dziesiątek Ojciec nasz, z towarzyszeniem tej modlitwy rozmyślaniem tajemnic Odkupienia, dostosowanych kolejno w pewnym porządku do każdego dziesiątka. Różaniec cały dzieli się na trzy części: radosną, bolesną i chwalebą. Początek różańca — sznura z paciorkami zdaje się być taki: od najdawniejszych czasów istniał zwyczaj odmawiania przez pustelników pewnej liczby paciery; żeby się jednak nie pomylić w liczeniu, które zeszła ujemnie wpływałoby na skupienie, potrzebne do modlitwy, składano zwykle pewną liczbę kamyków, odpowiadającą liczbie paciery, i po każdym paciery odzrucano po kamyku. Potem używano odpowiedniego sznurka z *supelkami*, ma-

jącami podobne znaczenie, później supelki zastąpiono paciorkami. — *Orawski*. Orawa, obwód w północo-zachodnich Węgrzech, zamieszkiwany przeważnie przez Słowaków, na pograniczu mówiących po polsku, w części środkowej po słowacku, z cechami polszczyzny, w dolnej — z cechami ruszczyzny. Orawa posiada ruiny starożytnego zamku. — *Ryś, sia*, szkodliwe zwierzę z rodzaju kotów, odznaczające się pendzelkowatemi kosmykami włosów na uszach, krótkim ogonem, pionową źrenicą i długimi nogami. Ryś pospolity dochodzi do 1,3 metra długości, barwę ma jasno-rudą z plamami czarno-brunatnemi, pod brzuchem i na nogach białawą. — *Cietrzew, wia*, ptak kurowaty. — *Synogarlica, y*, gatunek gołębia. — *Podkrywiańskie*. *Krywań, nia*, także Krzywań, szczyt na południowo-zachodniej stronie głównego grzbietu Tatr w Tatrach liptowskich na południe od Zakopanego, nazwany tak od zakrzywionego kształtu wierzchołka, dochodzi do 2500 m. wysokości; jedenasty w szeregu najwyższych szczytów Tatr. — *Warować, strzec*. — *Zbójnik, a*, żyjący z rozboju. — *Za buczki chadzać, chodzić, być zbójnikiem*. — *Urok, urzeczenie, oczarowanie*. — *Porobisko, a*, urok. — *Nieodbyły*, którego się nie można pozbyć. — *Ciupaga, i*, siekiera na długim i niezbyt grubym toporzystku (osadzie), z którą góral się nigdy nie rozstaje. — *Spierulec, sperulec, oblak, siekaniec, sękowiec*, różne rodzaje kijów juhaskich. — *Skrzele, skrzale*, tu skrzydła u kapelusza. — *Kiecka, i*, długie promienie włosów, zaplecione za uszami. — *Huncfut*, zapewne to samo, co kiecka. — *Brembulce, brembolce*, msiężne ozdoby na szyję w kształcie kulek. — *Trzepień, trzpień, gwóźdź, ostrze gwóźdźnia*. — *Onycka, onuca, onucka, onuczka*, płótno do owijania nogi pod obuwie. — *Kierpec, pca*, obuwie z jednego kawałka skóry, długimi rzemieniami wiązane u mężczyzn, u kobiet sznurkami z czarnej wełny. — *Szmerkowy, smrekowy*. — *Fujera, fujarka*. — *Trombita, y*, trąba; długa drewniana fujarka pasterska. — *Zdłuż, na długość*. — *Serdak, a*, kożuszek bez rękawów. — *Gwiłka, i*, płaszcz góralski. — *Cyfrowany, wyszywany*. — *Zapaska, tartuch*. — *Macjny, matczyny*. — *Przyodziewa dziewecka*, ubranie dziewczęce. — *Rąbanica, y*, siekiera do rąbania drzewa. — *Obuch, a*, odwrotna w stosunku do ostrza strona siekiery, topora, z powierzchnią jak u młota. — *Leje, lejca*, rzemień, którym woźnica kieruje konia. — *Zbercący, zbyrcący, brzęczący*. — *Ostajcie, pozostańcie*. — *Zegnaj Panibóg, Błogosław Bóg*. — *Z Pane Boge, z Panem Bogiem*. — *Kobza, y*, ludowe narzędzie muzyczne, złożone z kilku piszczałek i mieszka, trzymanego pod pachą. — *Toporowa polana*, na wschód od Zakopanego. — *Wyskać, śpiewać*. — *Rzępolenie, granie, muzyka*. — *Skole, kamienie, głazy*. — *Ślebczny, swobodny*. — *Powiedz, ze nas hore*, powiedz że nas góra. — *Uzdajać, wybrać, dobrać, przygotować*. — *Turnicka, turnia, naga skała w górach*. — *Obora, y*, miejsce dla bydła. — *Kielo, jak wiele*. — *Do rana budziła, do rana budziła*. — *Kosiar, u*, zagroda w polu dla owiec. — *Cysar, cesarz*. — *Porubany, porąbany*. — *Turliki, grzechotki*. — *Kłapac, rodzaj owczego dzwonka*. — *Hnel, zaraz*. — *Rzók, rzekł*. — *Perć, i*, ścieżka w górach. — *W perci, na ścieżki*. — *Chraść, smędlaki, krzaki, suche gałęzie*. — *Zatrzepany, zarośnięty, oplątany*. — *Kopa Królowa, szczyt w Tatrach Nowotarskich na południo-wschód od Zakopanego. Jest to trawiasty podłużny od wschodu na zachód podany grzbiecik. widać stąd na północ całe Podhale, w oddali Pieniny, u stóp Tatr Zakopane. Od zachodu wznosi się skalisty Giewont, na południe o jakieś 900 m. szczyt Kopa Magóry (około 1700 m. nad poz. morza)*. — *Królowa Hala* na wschód od Kopy Królowej. — *Kosodrzewina, karłowata, krzaczasta, a nawet rozłaząca się po ziemi soana;*

tworzy niekiedy takie zarośla, przez które trudno się przedrzeć, występuje na najwyższych piętrach lasów górskich. — *Stawiański, leżący między stawami, nad stawami*. — *Is, icie, widzisz, widzicie*. — *Telo, tyle*. — *Karb, u*, wcięcie, wgłębienie. — *Ubocz, a, zobcz*. — *Hyrnie, wspaniale*. — *Erezie, pasterz krzyczy na owce, chcąc im dać inny kierunek*. — *Haw, tu*. — *Uplaz, u*, zobcz trawą poroślc. — *Obieś, ia, nicpoń*. — *Wirhować, broić*. — *Fciał, chciał*. — *Wójt, soltys, urzędnicy wiejszy*. — *Wysiecysko, miejsce, z którego woda zmyła całą warstwę ziemi urodzajnej, zostawiając skalę*. — *Chytry, szybki*. — *Hipkać, skakać*. — *Drobny, taniec góralski*. — *Poruniło się mówią o ukazaniu się pierwszej trawy na wiosnę, zazieleniło się*. — *Zleb, u*, skalisty parów, jar, głęboka, wąska, stroma dolina na zboczu góry albo między dwiema górami, utworzona przez ściekającą wodę. — *Do cienia, w cieniu*. — *Hrubo, grubo*. — *Na chłopa zwysć, na wysokość człowieka*. — *W jagwencie przed gody, w grudniu przed Bożem Narodzeniem*. — *Godnik, a, styczeń*. — *Do imentu, do cna, zupełnie*. — *Duchem, prędko*. — *Telik, tyłu*.

RANEK W GÓRACH.

Wyzłoczone słońcem szczyły
Już różowo w górce płoną,
I pogodne lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole lasy, skryte w cieniu,
Toną jeszcze w mgłę perłowej,
Co w porannem oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza,
I ta rwie się w chmurek stada,
Jak pajęczka, wiotka przędza,
Na krawędziach skał osiada.

A z pod sinej tej zasłony
Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocnych, cichych snów zbudzony,
Taki jasny, wonny, świeży.

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą;
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą.

A blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej oko tonie,
Cudowności świat się piętrzy
W wyzłoconej swej koronie.

Góry wyszły jak z kąpeli
I swem łonem świecą czystem,
W granitowej świecą bieli,
W tem powietrzu przezroczysem.

Każdy zakręt, każdy załom
Wyskakuje żywy, dumny;
Słońce dało życie skałom,
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza;
Gra przelotnych barw i cieni
Coraz szerszy krąg zatacza.

Już zdroj srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy;
Już się żywszy odbłask ślizga
Po jeziorok sinej tarczy.

Już pokraśniał rąbek lasu,
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny, a z szalasu
Dolatuja śpiewne echa.

Przez zielone łąk kobierce,
Dzwoniąc, idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz splywa w serce,
Powiew szczęścia i swobody.

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma
I powietrze chciwie chwyta
Dusza wybiec chce oczyma,
Upojona, a nie syta.

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona jak z zaklęcia,
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

Adam Asnyk (1838—1897).

PROSZTA, A BĘDZE WOM DANY.

Beł to roz jeden stary chłop, bo liczeł lat osemdziesiąt. Ten se roz doczetoł, że chto prosy, tymu będzie dany, chto szuko, ten naleze, a chto kołace, tymu otworzą. Tak on so tak uwożoł.

— Może też to bec prawda? Czebe mie dele królewską córke, ciejbym o nie prosel, — mie biednyemu dzadu?

I postanowieł sprowdzc, cze słowa se spełnią.

Tak on se wżę i szed prosto do królewscigo zomku. A król mioł barzo ładną córke, o chternę se ubiegele królewicze zdaleka i szeroka. A dzod kołatoł na dwierze królewsci, i mu otworzele. Tak on so rzek w duchu:

— To je prawda jednak: chto kołace, tymu otworzą.

Jak oni go wpuscele do króla, tak ten sedzoł na złotym tronie, a kole niego jego córka. Tak dzod se barzo nisko pokłonieł i prosel króla, żebe mu swoją córke doł za żonę. Król se mocko zdzewieł, że ten biedny dzod smie prosec o jego córke, ale se upamiętoł i rzek:

— Mosz miec moje córke za żonę, żeli mie przeniesesz taci kawał bursztynu duży jak głowę!

A bursztyn pierwij beł droższy niże złoto. Tak dzod so meszloł:

— Chto szuko, ten naleze. Bedę szukoł, cze se też te słowa sprowdzą.

Tak on szukoł i szukoł i ku reszce przeszed we wiedzki las. Jak on przechodzeł wedle jednej osene, tej on uczuł głos:

— Wepuszcz mie!

Ale jak on se obezdrzoł, tej on nikogo nie widzoł. Ju on choeł jic dalij, tej on uczuł po roz drudzi ten som głos:

— Wepuszcz mie!

Tak on rozezdrzoł se dobrze i widzoł malinkę butelkę, z chternej głos wechodzeł. A ta butelka wisala na małyj gałazce tyj osene. W butelce sedzala jedna malo i decht czorno osoba, chterno te słowa »wepuszcz mie« werzekla. Ale stary dzod se mocko zdzewieł i se spytoł:

— A jakżeż te tam w tę butelkę wloz?

— To zrobiel pleszok! — odrzeklo z tej butelci. (Pleszociem zwią czarce ksędza). — Jo jem jeden z czartów z piekla i sedzołem w pewnym opętany czlowieku. Pleszok mie wepedzeł i w tej butelce powieseł na to drzewie!

— Ciej tak! — odrzek stary, — to jo ce wepussec ni mogę. Ale czort mu zaczą przeobiecycywać:

— Jak te mie wepuscysz, to jo ce dom, co le twoja dusza zechce!

A dzod se spytoł:

— A przenioshes mie taci kawałk bursztynu duży jak głowa?

— Ten jo ce przeniose, — odrzek czort — żeli mie wepuscysz. Tak stary wżę i weją trobkę z tej butelci, i czort mały, jak on

beł, weskoczeł na zemnię. Chyże ale on ros i w oczach starygo uros na dużego chłopca.

— Moję obietnicę jo dotrzymom! — rzek on tej do starego. — Za chwilę mosz miec kawał bursztynu, taci duży jak twoja głowa! — Z temi słowami czort ucek i ju za chwilkę wróceł z kawałem bursztynu jak głowa.

Stary ale so meszłol:

— Jenci! — Co jo zrobieł, że jo zamkniętygo czarta na swiat wepusceł! Jacimże sposobem jo go dostanę nazod w tę buteleczkę? — I jak on so rozmesleł, tej on rzek do czorta:

— Te choba nie jes ten som czort, chtyrnegu jo z tyj buteleczki wepusceł. Przedtem te beł taci mały, a tero te jes taci duży.

Ale czort odrzek:

— Jo jem po prowdze ten som!

Ale dzod nie chcoł wierzec i rzek:

— Jo prędyj nie wierzę, jaż te mie pokożesz, jacim sposobem te sę mog zmniejszec w tyj butelce.

— To jo ce zaru pokożeł! — odrzek czort. I raptem on sę robieł coraz mniejszy i mniejszy, skoczeł na butelkę i przez szyję zjachoł w nią nadół. Dzod ale wżę i chyże tropkę wsadzeł w butelkę, powieseł czarta na drzewie i rzek:

— Tero te sedz dalij!

A głowę bursztynu wżę i szed prosto do królewscigo zomku. Po drodze ale so powiedzeł w duszy:

— To je równak prawda, i na mnie sę sprawdzelo: chto szuko, ten naleze. Tak jak naprzykład jo tę głowę bursztynu.

Jak dzod przeszed do króla z tą głową bursztynu, tak król sedzeł na złotym tronie, a na mniejszym tronie ze złota sedzała jego córka, a dokoła beło wiele panów bogatych. A król rzek do dzada:

— Przeobiecołem ce córkę, żeli mie przeniesesz kawał bursztynu tak duży, jak twoja głowa. Tes ten warunek wpełnieł, a jo też słowa dotrzymom. Bierz moję córkę:

Ale dzod se ukloniel i odpowiedzeł:

— Dobry królu! Tę głowę bursztynu jo ce dom, ale twoi córki jo nie chcę. Jo jem stary, a ona je młodo, tobe zle do grepe pasowało. Jo le chcoł doznac, cze słowa sę sprawdzą, chterne je w ksążce czetoł: Chto kołace, temu otworzą, chto szuko, ten naleze, chto prosy, tymu będze dany! Jo kołatoł do dwierzy twygo królewscigo zomku, a mnie otworzele, jo szukoł w lese i dostolem głowę bursztynu, jo proseł o twoję córkę, a te mie chcesz dać! Tego jo le doznac chcoł a więcy nick!

Tak król sę barzo uceszeł i doł dzadu wiele pieniędzy, co on mog zec a bez biede.

Tak to beło.

Objaśnienia: Opowiadanie w gwarze kaszubskiej (pomorskiej) czyli Kaszubów, mieszkających na wybrzeżu między Gdańskiem a ujściem rzeki Piaśnicy. Każda gwara, a zwłaszcza kaszubska, ma różne odcienie głosowe, które literacka pisownia oddaje tylko w pewnym przybliżeniu. Akcent wyrazowy w gwarze kaszubskiej jest ruchomy. — *Proszta*, prosta, 2 osoba liczby mnogiej w formie liczby podwójnej. — *Dany*, dane. — *Chto*, kto. — *Naleze*, znajdzie. — *So*, sobie. — *Czebe*, czyby. — *Mie*, mi. — *Dele*, dali. — *Ciejbem*, gdybym. — *Dzod*, dzada, dziad, dziada. — *Królewscigo*, królewskiego. — *Chterny*, który. — *Ubiegele*, ubiegali. — *Dwierze*, drzwi. — *Mocko*, mocno. — *Taci*, taki. — *Kureszcze*, nareszcie. — *Osene*, osiny. — *Uczuc*, usłyszeć. — *Wepuszcz*, wypuść. — *Tej*, tedy, więc. — *Ju*, już. — *Decht*, zupełnie. — *Pleszok* (od plech = tonsura, kółko wygolone na głowie u księży katolickich), ksiądz. — *Jem*, jestem. — *Ciej*, kiedy. — *Le*, tylko. — *Tropka*, korek. — *Chyże*, prędko. — *Jenci*, gwałtu, ojej. — *Zmniejszec*, zmniejszyć. — *Zaru*, zaraz. — *Równak*, jednak. — *Grepa*, y, grupa, kupa. — *Do grepy*, razem, do pary. — *Zec*, żyć.

KASZUBSKO-POMORSKA MOWA.

Legł ce ojc z mieczem w ręku, wojną bity, w grobie,
Brat szed pod białym orzelem zdobywac so swiate
I, dzecko, cebie nie znał, cieję policzeł brate,
A swiat zabeł o krzywdze twojej i o tobie.

I jak gąskas sę pasło przez wejadłym żlobie,
I cezy cę wegnele z progu twoji chate,
i błotem oczapele ce królewscie szate
I żywciem chcelec kopac w niestrojonym grobie.

A te biedno sieroto w tak płacziwyj doli
Niemo szlas miedze pola strzód maku i wrzosu,
I nawet nie umiałas mówic, co cę boli,
Bo wstydzełas sę sama swygo w piersy głosu.

Jaż cę i przytulele szare wiescie strzeche,
Bes dzeleła jich mole smutci i ucieche.

Aleksander Majkowski.

Objaśnienia: Prócz poezji ludowej istnieje niewielka liczba utworów literackich w mowie kaszubskiej. Najslynniejsi jej twórcy to Florjan Cenowa, Woś Budzysz, i Hieronim Jarosz Derdowski, który książkę o »Panu Czorlińscim« rozpoczął w 1880 r. od wiersza dziękczynnego, ofiarowanego powieściopisarzowi polskiemu Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu (1812—1887) za budzenie ducha narodowego niemczonych Kaszubów. Kończył:

»Czujce tu ze serca toni
Skłód nasz apostołsci:
— Niema Kaszub bez Poloni,
A bez Kaszub Polsci.

Ce, ci. — Ojc, ojciec. — So, sobie. — Swiate, świąty. — Ciej, kiedy. — Zabel, zapomnial. — Gaskas, gaskaś. — Wejadly, wyjedzony. — Cezy, cudzy (Niemcy). — Wegnele, wygnali. — Oczapié, okryć. — Czelec, chcielié, chcieli ciebie i t. d. — Te, ty. — Strzód, śród. — Wescie, wiejskie. — Mole, małe.

AKT MIŁOŚCI.

Kocham cię nad życie... Kocham cię w woniach twej ziemi i w śpiewach twych ptaków, w szeleście kłosów, w szumach lasów, w dzwonienu wód, w mgłach nad łąkami.

Kocham cię w kwiatach twych polnych, ziołach dzikich, kamieniach przydrożnych, w białych całunach śniegów, w czerwonych żarach zachodu, w świtach sinych, zmierzchach smutnych i gwiazdzistych nocach; kocham cię w chmurnych sklepieniach, które stoją nad gorejącym szkarłatem twych jesieni, w gwiazdach i falach, we wrzosach i różach, w tajemniczym piśmie, którem wiatry okrywają rozgłogi twych białych piasków i w czarnych brózdach, któremi pługi oraczy wyrzeźbiają oblicze twej roli...

Kocham cię w ludzkich łzach, myślach, czynach, nadziejach, snach złotych i kamiennych dolach, nawet w budzących litość i trwogę błędach, w rozpromienianiach i przygasaniach twej chwały, w twych śpiewnych i bohaterских duchach...

I nadewszystko, najmocniej, najwierniej, najdumniej kocham cię w twem nieszczęściu!

Eliza Orzeszkowa (1843—1910).

Objaśnienia: *Akt*, u, tu objawienie, wypowiedzenie, rodzaj modlitwy. — *Rozłóg*, u, obszar, przestrzeń.

PRZYSIĘGA MŁODEGO WŁOCHA.

Włochy, ojczyzno moja, starodawna i droga ziemi, na której urodził się ojciec mój, i urodziła się matka moja, a zaś oboje w tobie pogrzebani będą; ziemi, na której ja sam żyć i umrzeć się spodziewam, a dzieci moje też wzrosną i poumierają. Italjo piękna, wielka i od wieków sławna, a od niedawna wolna i zjednoczona, ty, któraś tyle promieni światła genjuszów rzuciła na świat cały, za którą tylu mężnych ginęło na polach bitew, a tylu bohaterów w kaźniach i na szubienicach, — matko trzystu grodów i trzydziestomiljonowego potomstwa, — oto ja, dziecko twoje, które cię znam w całej piękności twojej i w całej potędze, czczę cię i kocham z całej

duszy mojej, i dumny jestem, że się z ciebie narodził i że się synem twoim zowie!

Kocham twoje wspaniałe i ogromne morza; kocham góry twoje wyniosłe; kocham pomniki chwały twojej i pamiątki twoje nieśmiertelne; kocham twą sławę i piękność, kocham cię i czczę całą tak, jak tę cząstkę twoją, gdzie po raz pierwszy wzrok podniósł do słońca, gdzie po raz pierwszy imię twe posłyszał! Kocham was jednakowo wdzięcznie i gorąco.

Turynie dzielny, Genu wspaniała, uczona Bolonjo, Wenecjo czarująca, Medjolanie potężny! Kocham was jednakiem uczuciem synowskiem, Florencjo szlachetna, Palermo groźne, Neapolu cudny, i ty, wieczny Rzymie!

Kocham cię, ojczyzno święta!

Ślubuję ci, że synowie twoi braćmi moimi będą. Że wielcy twoi, żywi i umarli uczczeni będą zawsze w sercu mojem! Ślubuję ci, że będę prawym i użytecznym obywatelem twoim, dążącym ciągle do uszlachetniania się, by godnym być ciebie! I to ci ślubuję, że ile sił starczy, pracować będę nad tem, żeby zetrzeć z powierzchni twojej nędzę, ciemnotę, krzywdę i występki, żebyś mogła żyć i rozwijać się spokojnie i w powadze praw twoich, w potędze sił twoich. Ślubuję służyć ci, jakakolwiek wyznaczysz mi służbę: umysłem, ręką, sercem, pokornie a gorąco. A jeśli przyjdzie taki dzień, że krwi i życia zażadasz ode mnie, oddam ci krew i oddam ci życie, i umrę z okrzykiem drogiego imienia twojego, ostatnie spojrzenie, ostatni pocałunek przesyłając świętemu sztandarowi twemu!

Edmund de Amicis. »Serce«.

Objaśnienia: *Od niedawna wolna i zjednoczona*. Włochy, w pierwszej połowie XIX w. rozbite na wiele drobnych państw pod przemożnym wpływem Austrii, po zwycięskiej z nią wojnie (1859) wyzwoliły się i zjednoczyły. — W lutym 1861 r. w Turynie zgromadził się pierwszy parlament włoski. Wiktor Emanuel, dotąd król Sardynji, 14 marca tegoż roku został ogłoszony królem Włoch. — *Turyń* nad Dora Riparia, dopływem rzeki Po, stolica królestwa Sardynji i księstwa Piemontu; tu się ześrodkowywało życie polityczne Włoch, stąd zawarto sojusz z Francją, stąd podjęto bohaterką wojnę z Austrią i wyzwolenie Włoch. — *Genua*, wspaniałe rozrzucona nad zatoką Genuęńską, u stóp Apeninów; posiada wiele pięknych gmachów, pałaców. — *Wenecja*, na 117 wyspach północno-zachodniego brzegu morza Adryatyckiego. Połączona jest wąskimi uliczkami i siecią kanałów (149), ponad którymi rzucano 450 mostów. Z lądem stałym łączy ją most kolejowy. Jej pałace, place, kościoły są przepięknymi dziełami sztuki. Wrażenie, jakie sprawia Wenecja, usprawiedliwia nadaną tu nazwę. — *Medjolan*, rozległe i ludne miasto na północ od rzeki Po, zbudowane tu przed nar. Chrystusa, stolica Lombardji. — *Florencja*, po obu brzegach rzeki Arno, przez wieki całe przodowała wysokiemu życiu umysłowemu Włoch. — *Palermo*, stolica Sycylii, należącej przed

1860 r. do królestwa Neapolitańskiego. Przez długie lata władcy neapolitańscy z linii francuskiej rządili okrutnie, zapelniając więzienie patryotami i skazując ich mnóstwo na śmierć. Po uciążliwym boju Palermo zostało zdobyte 27 maja 1860 r. przez bohaterski legjon włoski, »tysiąc«, przybyły z Genui pod wodzą bohatera narodowego Giuseppe (czyt. Dziuseppo = Józef) Garibaldiego (1807—1882). Nadto patrz str. 198 Nieszpory sycylijskie. — *Neapol*, ludne, bogate, ożywione miasto w pobliżu Wezuwjusza, słynne ze swego pięknego położenia nad zatoką Neapolitańską; już w czasach rzymskich był miejscem wypoczynku bogatych Rzymian (greckie Partenope). — *Edmund de Amicis* (czyt. Amicis, ur. w 1846 r.), służył najpierw w wojsku, potem prowadził pismo wojskowe, pisał wiele, żywo, barwnie i gorąco. Najsłynniejsza jego książka, tłumaczona na wiele języków, »Serce« (1887), kształci do dziś serca i umysły młodzieży europejskiej. — *Bolonja*, w pobliżu prawego brzegu rzeki Arno, u stóp Apeninów od niepamiętnych czasów słynęła jako kolebka sztuk i nauk. W XIII wieku posiadała uniwersytet, na który uczęszczało 10 do 12 tysięcy studentów, zasobną bibliotekę, zbiory.

1812—1912.



Przez rdzę zjedzona stara szpada
I oficerski mundur dziada,
I szlifa na nim wpół obdarta —
W łachmanach, w strzępach dziejów karta...

Przechowywana z czią w rodzinie,
Krwia wspomnień żywych jeszcze płynie
I ogromnego krzyku szuka
W niesytym bólu, w łzach prawnuka...

Za oknem huczy wiatr i burza,
Z przeszłości słońce się wynurza
I nieśmiertelną chwałą świeci
Na krwawem niebie dwóch stuleci...

Na ścianie błyszczy stara szpada,
W łachmanach, w strzępach mundur dziada...
W daleką wizję patrzą oczy,
We mgłę postaci rój się tłoczy...

Grzmi bębnow łoskot... Gwardji starej
Świetne rozwiały się sztandary,
Za pułkiem pułk, od złota lśniące,
Zwycięskim szlakiem idą w słońce...

W litewskich borach trąbka dzwoni,
Jadą ułani lekkokonni,
W tętencie kopyt, w armat skrzypie
Wiosną im drogę kwieciami sypie...

Cerkiewne głucho biją dzwony,
W proch upadł Smoleńsk zwyciężony,
Pożarów luno błyszczą wdali —
To Moskwa dworce swoje pali...

W łachmanach, w strzępach mundur dziada
Stu bitew dzieje opowiada,
Umarłych wspomnień wskrzeszą zgliszcze...
Za oknem huczy wiatr i świszcze,

Kurzawa śnieżne sypie kopce,
A na dalekie drogi obce
Wychodzi smutna dusza wnuka
I śladów sławy w zaspach szuka...

Zdzisław Dębicki.

Objaśnienia: 1812, data wyprawy Napoleona na Rosję. W tej wyprawie, z którą łączyliśmy nadzieję odbudowania ojczyzny, uczestniczyło Polaków około 60,000. — *Gwardji starej*, napoleońskiej. Gwardja (z włosk.), wojsko wyborowe. — *Ułani lekkokonni*. Dekretem z 1807 r. Napoleon utworzył pułk swojej gwardji, mający się składać z Polaków. Nazwa pułku po francusku brzmiała: »I-r Régiment de chevau-légers polonais de la Garde impériale«, po polsku »Pułk lekkokonny polskiej gwardji«. Od r. 1809 pułk ten otrzymał lance i z tego powodu do wyrazu chevau-légers dodany został wyraz »lanciers«, lansjerzy czyli ułani. Pułk ten odznaczał się świetnie we wszystkich wojnach cesarstwa, wielkopomny atak pod Samosierrą w Hiszpanji był jego czynem. — *Zdobycie Smoleńska* 17 sierpnia 1812 r. głównie zapomocą sił polskich. — *Pożar Moskwy* we wrześniu 1812 r. — *Zgliszcze*, spalone rumowisko, resztki zwęglone. — *Ilustracja: Oficer lansjerów 1812 r.*

Z »FRAGMENTÓW WIOSENNYCH«.

Kto policzy, ile siły
Zużył polny kwiat ten lichy,
By się wydrzec z swej mogiły,
Aby przebić grób swój cichy
W zmartwychwstania dzień
I rozplonąć drobną głową
W barwę świtu purpurową
Ponad noc i cień?

Kto wie, jakich pragnień żary
Przepaliły pień ten stary,
Zanim puścił pędy młode
Na wiosennych technię swobodę,
Na poświsty burz?
Kto policzył tętna bicie
W drobnym krzewie, kiedy
Wiąże pęki róż? [skrycie

Kto zaprzeczyć się odważy,
Ze rzucone ziarno marzy
O przyszłości plonu żniwa?
Ze się własnym rzutem zrywa
I podźwiga w kłos?
Kto mi powie, jak łań długi,
Co tu łask, a co zasługi,
Ile łąz, a ros?

O zaprawdę! wiosna puka
Do wrót tylko tych cmentarzy,
Gdzie się ciepłych tchnień do-
[szuka,
Gdzie pod ziemią życie gwarzy,
Gdzie jest puls i ruch...
I tam tylko zmarłe wskrzesza,
Gdzie na ustach się zawiesza
Niewystygły duch!

O zaprawdę! bez pragnienia
Bytu, bez prac dobrej woli
Nie powróci wiosna tchnienia
Jednej trawce z czarnej roli,
Nie w jej mocy cud!
Ona tylko tam zakwita,
Gdzie od dębu do żdźbła żyta
Czuje żywy trud.

DUCH NARODU.

Rzeczy proste i pospolite bywają niekiedy wyrazem głębokiej treści, symbolem olbrzymich zdarzeń i tragicznych losów.

Oto szereg jaskrawo kolorowych kartek atlasu do historii polskiej. Na pierwszej Europa zalana czerwoną plamą państwa Karola Wielkiego, stykającego się na wschodzie z mgławicą ludów słowiańskich. Na drugiej w tej mgłę powstaje małe skupienie, mała określona plamka z imionami Kruszwicy, Gniezna, Poznania. Trzecia karta: czerwone linje zataczają szerokie koło daleko od pierwotnego centru na północ po Bałtyk, na południe po Dunaj, na zachód po Elbę, a na wschód chwilami po Dniepr. To państwo Bolesława Chrobrego. I idzie w ten sposób dalej szereg kartek, przedstawiających rozmaite figury geometryczne, mniejsze i większe, aż dosięga ogromnego kręgu, od morza od morza, — to Polska Kazimierza Jagiel-

A gdzie zbraknie takiej siły,
Co rozżarza proch mogiły,
Co z iskierki jednej ducha
Płomień wskrzesi i rozdmucha
Na ognisko dusz:
Nie przylecą tam komety
Na popiołach wić bukiety
Gorejących róż.

Gdzie zbraknie takiej mocy,
Coby słońce wykrzesala
Z czarnych włosów cichej nocy,
Gdy na gwiazdach stoi biała
Wśród mlecznych dróg:
Tam nie przyjdzie żadna zorza
Ni z za góry, ni z za morza
Przez srebrzysty próg.

Gdzie zamilkło żywe słowo,
Co służyło jako hasło,
Aby w długą noc zimową
Serce w piersiach nie zagasło,
Nie straciło tchu:
Tam nie przyjdzie żadna wiosna!
Pieśń zwycięska, pieśń radosna
Nie rozbudzi z snu!

Marja Konopnicka (1846—1910).

łończyka, stojąca na peryheljum terytorjalnego rozwoju. Odtąd obszar ten, jeszcze równie prawie potężny za Batorego, zaczyna się od wschodu kurczyć, plama, objęta czerwonymi linjami zwęża się, aż nakoniec przychodzą trzy mapki, na których na plamę, przedstawiającą Polskę, zlewają się trzy barwy, dotąd występujące poza czerwoną linią jej granic, — zlewają się i zalewają bez śladu. Niema granic z żadnej strony świata — roztopiły się w trzech obcych barwach. Zielona plama, zalewająca obszar Polski, rozplywa się jak morze, sięgające po Ocean spokojny, pomarańczowa sięga po Ren, żółta zlewa się w jakimś obszarze, sięgającym Adryatyku. Robota łatwa, prosta i lekka. Zniszczyć państwo dla kartografa jest tak łatwo, jak wywabić tłustą plamę benzyną. W tem miejscu istniało coś, co miało imię, co miało pewną swoją treść i pewne własne formy bytowania, co ośmset lat w zmiennych losach trwało, żyło, działało, wpływało rozstrzygająco na losy innych istnień, — i tego niema śladu. Cała długowieczna robota setek pokoleń zniszczona i zartarta, zjawisko znikło bez następstw, wszystko zostało cofnięte do tych czasów, kiedy na wschodnim krańcu państwa Karola Wielkiego wiała się mgła małych ludków słowiańskich... Tak się zdawało tym, którzy rysowali ostatnie karty atlasu historii Polski... Ale tak nie jest w istocie. Żadne zjawisko nie może być odrobione z powrotem, gdyż żadne nie powstaje w próżni, bezprzyczynowo i bezskutecznie. Kartograf zalał obszar dawnej Polski kilku kolorami, na których wypisał nazwy państw, dawniej sąsiednich, państwa te zalewały ten obszar przez szereg lat jedną farbą — czerwoną — zalewały krwią, chcąc zatrzeć ślady dawnych granic, zniszczyć, wdeptać w ziemię i zatratować ślady czynów i zmyć z pamięci ludzkiej nazwę, której się bano jak upiorna. Nic to nie pomogło. W ciągu ośmiowiecznego istnienia Polski na obszarze, objętym zatartymi dziś śladami jej granic, wytworzyła się straszna, nienaruszalna, nieniszczalna siła: **D u c h n a r o d u**.

Historja nie wie dnia jego narodzin, ani dnia krwawej kąpieli, w której go chrzczono, to pewna, że wzrósł on, zmężniał i opanovał Polskę w bohaterskich czasach Bolesława Chrobrego — i dotąd trwa. On był i jest tą siłą, która utrzymuje rzecz i imię Polski, która stanowi istotne jej granice. On to nie dał jej zginąć w strasznej zawierusze, która rozpętała się nad Polską ze śmiercią Bolesława Chrobrego, on imię Polski, zatracone w miązdze małych państw podziałowych, wypisał znowu na sztandarze Przemysława, on krzepił Łokietka i jak huragan szedł przez pola Grunwaldu, a kiedy po dwóch wiekach potęgi szwedzki potop zalał Polskę, duch ten, utajony w piersi Kordeckiego, wybuchnął z siłą, która zdaje

się cudem, i duch ten nie dał dawnej Polsce zginąć w zupełnem spodleniu, — on dał jej Raclawice. Dziwna to siła. Jest ona, jak te nowoodkryte ciała, promieniujące z najmniejszej cząsteczki energii, która zdaje się nie wyczerpywać i być nieproporcjonalną do masy tej cząsteczki. Mówimy: »Duch narodu«, i wyobrażamy sobie całość pewnego obszaru ziemi, zamieszkałą przez ludzi, z których każdy jest tym duchem ogarnięty i daje w sumie z innymi to, co stanowi życie i historję narodu. A tymczasem duch ten niekiedy opuszcza tłumy i pozostaje w jedynej duszy, jak Joanna d'Arc, Kordecki, Kościuszek... Były chwile, kiedy zdawało się, że na obszarze Polski nie było śladu tego ducha, i serce jej biło we Włoszech — w legionach Dąbrowskiego. Odtąd rośnie on i potężnieje niezmożony klęskami, nie dający się zabić przez żadne prześladowania. Jest to znamienne zjawiskiem, że Polska w ciągu tych stu lat, staczając się z klęski w klęskę, z nieszczęścia w nieszczęście, w miarę jak polityczny jej upadek, wyrażający się utratą resztek cieniów jej niepodległości, się zwiększa, że Polska rośnie, jako siła ducha. Dopóki naród miał do stracenia jakąkolwiek resztkę dawnych urządzeń politycznych, dopóki o nie walczył zwykłą bronią, dopóty był zwyciężany i po każdej przegranej tracił coś materialnie. Z chwilą, w której jedynem pozostałem dobrem i jedyną siłą stał się *Duch narodu*, nietylko że się nie dajemy, ale zwyciężamy. Jest pewna granica ucisku, poza którą naród staje się nieściśliwym i nie ma mocy, któraby go mogła zgnieść, zdusić i pozbawić życia. Chyba żeby go wyrznięto do nogi, jak Jaćwież. I to jednak nie zawsze jest pewne. Z grobów wstają mściciele — dowodem Grecja. Taka jest logika ludzkiego życia — logika bezwzględna, nieprzeparta. Zestawmy państwo niemieckie z częścią Polski, zabraną przez Prusaków, zobaczymy, co się dzieje pod zaborem rosyjskim... Siły narodu nie stanowią ani wymowni panujący, ani bagnety, ani miliony, ani ziemia — siłę narodu stanowi jego Duch, on jest istotą jego życia i czynu. Duch ten przejawia się w najrozmaitszych sferach działania. Ci, co ziemię polską trzymają w politycznem posiadaniu, czują pod stopami jakby nieustanne wrzenie wulkanu, — czują ciągłą, trwałą, nieustanną robotę tego ducha, który rozsadza skorupę niewoli i ujawnia się milionami iskier. Iskry można zgasić — ale ognisko jest wiecznotrwałe. Ilu za naszego życia przeszło przez polską ziemię ludzie, uzbrojonych w największą władzę, prawo i siłę zniszczenia, ludzi, opanowanych śmieszłą nadzieją, że za ich marnego życia zginie naród... Ludzi tych prochy wiatr rozwiął, a naród jest, rośnie, pracuje, walczy — żyje.

Stanisław Witkiewicz (1851—1915).

Objaśnienia: *Symbol*, znak, wyobrażenie zmysłowe. — *Karol Wielki*, od r. 768 król szczepu germańskiego Franków, w 800 został cesarzem rzymskim. Zjednoczył plemiona germańskie w jedno państwo. Zmarł w r. 814. — *Peryheljum*, punkt drogi planety najbliższy słońcu, tu: punkt najwyższy, szczyt. — *Kartograf*, rysownik map. — *Joanna d'Arc (1412—1431)*, bohaterka francuska, dziewczyna wiejska, która w czasie wojny Francji z Anglią ocaliła królestwo francuskie od zguby, budząc wygasły zapal patriotyczny wojsk i ludności. Oswobodziła Orlean, obleżony przez Anglików (1429), skąd otrzymała nazwę Dziewicy Orleańskiej, i przeprowadziła koronację Karola VII w Rheims. Oskarżoną o czary i herezję, spaloną na stosie w Rouen (1431) Pius X zaliczył w poczet błogosławionych (r. 1909). — *Jaćwież*, Jadźwingowie, pierwotni mieszkańcy Podlasia, plemię pokrewne Prusom i Litwie, żyjące wśród puszczy i topielisk, trudniące się łowiectwem i napastowaniem sąsiadów. Tępieni zawzięcie przez napastowanych Polaków i Rusinów, opuszczali powoli swe pierwotne siedziby; ku końcowi XIII stulecia usuwają się zupełnie z Podlasia. Nazwa ich zanika. — *Dowodem Grecja*. Autor ma na myśli walki Grecji o wyzwolenie z pod jarzma tureckiego od końca XVIII w. do roku 1830, w którym powstało królestwo Greckie. — *W sferach*, w dziedzinach, na polach.

ROTA.

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
Nie damy pogrześć mowy!
Polski my naród, polski lud,
Królewski szczep piastowy,
Nie damy, by nas zniemczył wróg...
— Tak nam dopomóż Bóg!

Do krwi ostatniej kropli z żył
Bronić będziemy Ducha,
Aż się rozpadnie w proch i w pył
Krzyżacka zawierucha.
Twierdzą nam będzie każdy próg...
— Tak nam dopomóż Bóg!

Nie będzie Niemiec pluć nam w twarz,
Ni dzieci nam germanił.
Oreżny wstanie hufiec nasz,
Duch będzie nam hetmanił,
Pójdziem, gdy zabrzmi złoty róg...
— Tak nam dopomóż Bóg.

Marja Konopnicka (1846—1910).

Objaśnienia: *Rota, y*, forma przysięgi, tu przysięga. — *Plut nam w twarz*, silna przesadnia. — *Germanić*, germanizować, niemczyć. — Po raz pierwszy wydrukowany w r. 1908, utwór powstał pod wpływem takich zdarzeń w zaborze Pruskim, jak protest dzieci we Wrześni (1901) przeciw nauce religji w języku niemieckim, zakończony obiciem dzieci i skazaniem rodziców na więzienie; jak strejk 50.000 dzieci z tegoż powodu w 1906, jak ustawa pruska o wywłaszczeniu z r. 1908, której mocą rząd mógł przymusowo wykupić od właściciela Polaka posiadłość dla wzmocnienia i zaokrąglenia osad niemieckich. — Muzykę do słów Konopnickiej napisał Feliks Nowowiejski.

CZEŚĆ IV.

NASI IDĄ.

Nasi idą... dziad siwiutki Białe orły — czoła dumne —
wyszedł poprzód chaty próg, w oczy stali młgot padł
patrzy... dziwo! — pierzchły smut- i jak piorun splół kolumnę...
piękną chwilę zdarzył Bóg! [ki, Patrzy dziewczę... patrzy dziad...

Tarabany biją... biją... Biją... biją tarabany
takt secinom krzepkich nóg, w grzmot potężny jak wark kul...
to już nie sen — wstali — żyją... Idzie hufiec spracowany
Marsz jak burza — dudni bruk. szlakiem bitew z krwawych pól.

Wyszło dziewczę złotowłose, Nasi idą... Za ran żary,
polskie dziewczę, jasny kwiat, za podjęty trud i ból
przez łez rzewnych patrzy rosę sława... sława — bierzcie dary
w rozjaśniony zagnał świat. serca żywe... chleb i sól.

Rajmund Bergel.

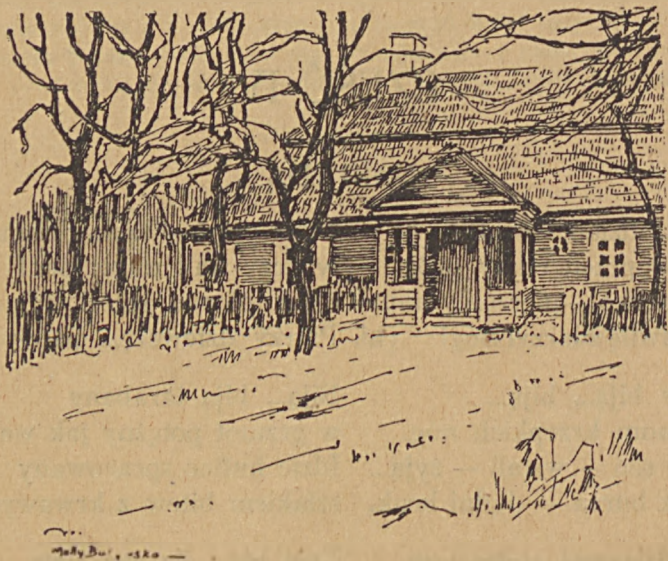
O DWORKU...

O dworku, dworku ty modrzewiowy,
o modrzewiowa arko przymierza!
pomnisz, jak w wieczór listopadowy
polskiegoś jawę ujrzał żołnierza?

Po tylu latach... znowu... o Boże!
dreszcz przebiegł stare lipy i klony...
o modrzewiowy, szlachecki dworze,
pod lat brzemieniem i łez schylony!

Mchy cię porosły, i już się zdało,
że nic cię zbudzić z drzemki nie umie,
że niby starca zgrzybiałe ciało,
zastygniesz cicho w tęsknej zadumie.

Wsluchany jeno w pogwar tych kości,
którym przez wieki byłeś kołyską,
a które dzisiaj w grobu cichości
snią razem z tobą sen twój tuż blisko.



Aż tu zadźwiękły nagle podkowy
i widm spłowiących wskrzesiły cmentarz...
O dworku, dworku ty modrzewiowy,
arko przymierza, zali pamiętasz?

Ułańskie czaka, burki, rabaty,
twarze rumiane, młodzieńcze, hoże...
drgnąłeś, jak wtedy, ongiś przed laty,
o modrzewiowy, szlachecki dworze!

Zsiadają z koni... błysnęły czaka
orły srebrnemi... zda się, portrety
stare z ram wyszły... gdzieś parobczaka
brzmi głos zachwyty: »Ułany! rety!«

W oknie błysnęły ócz niezabudki
i zamigotał bielą fartuszek,
niknąc płochliwie... po chwili krótkiej
na ganek wyszedł dziedzic — staruszek.

Spojrzał, oniemiał — orszak widmowy
zda się, a przecież... Jezus! nareszcie...

o dworku, dworku ty modrzewiowy
w poźółkłych klonów i lip szeleście!

O twoje stare, gościnne progi,
o twoje progi, niskie a pańskie
ułańskie brzękły z mocą ostrogi,
i zadzwoniły szable ułańskie...

Józef Relidziński.

Objaśnienia: *Modrzew*, wia, drzewo iglaste postaci piramidalnej, mające liście skupione w wiązki po 15—40, na pędach rocznych pojedynczo rozpierzchle, miękkie i na jesieni opadające; szyszki niewielkie, jajowate, tępe, do góry wzniesione; gałęzie rzadkie, odstające, naprzemianległe, nieco nadół pochylone. Modrzew zwyczajny dochodzi do 25—95 m. wysokości, rośnie w całej Europie umiarkowanej. Dziś u nas tu i owdzie tworzy małe gaje, zresztą występuje pojedynczo. Drewno dojrzałe, 80-letnie jest czerwono-żółte, nadzwyczaj trwale i żywiczne, zatem do budowlı wyborne. Jeszcze w XVIII stuleciu budowano u nas dwory i dworki z tego materiału. — *Czako*, a, czapka ułańska z filcu czarnego, okrągła u dołu, a u góry czworograniasta 9 cali wysokości; każdy z czterech boków miał po 10 cali, u dołu galon złoty u oficerów, a z białej taśmy u żołnierzy, na dwa cale szeroki; każdy z czterech rogów okuty żółtą blaszką z haczykiem do zawieszania kordonów (z fr.), sznurków przy ubraniu wojskowym; po lewej stronie kokarda narodowa, na której u oficerów był krzyż złoty kawalerski, naokoło kordon złoty u wszystkich oficerów, biały niciany u żołnierzy. Z przodu nad galonem blacha żółta z numerem pułku; daszek z czarnej skóry z żółtą metalową obwódką; pióro lub kita włosiana 15 cali długości, czarna, biała u oficerów; podpinka czarna skórzana. Por. ilustracje na str. 170 i 318. — *Rabaty*, wyłogi odmiennego koloru na ubraniu, szczególnie żołnierskiem. — Ilustracja: Dworek w Mereczowszczyźnie na Litwie, w którym, jak utrzymuje powszechna tradycja, miał się urodzić Kościuszko (1746).

ORDYNANS.

Felek czekał w kuchni, aż kucharka napelni obie sosjerki, by je na srebrnej tacy wniósł »za mięsem« do stołowego. Tymczasem kucharce szło niesporo, bo Walenty już z mięsem na tacy stał przy stole i gadał, i użerał się o to wojsko polskie... Z gniewu, z ruszania wąsów, z potu, co mu na czoło występował, widać było, że Walenty gorączkuje się, złości i sprzeciwia.

Warjaty, oberwańcy, strzelcy, postrzeleńcy!

Felek słuchał Walentego, palcem przejeżdżał zimny kant sosjerki i nic nie rozumiał.

Wiadoma rzecz, że jeśli wojsko, to wojsko. Jest takie i inne, każdy ma swoje, było takie i owakie, z różną mową i cudacką komendą. Czemuż to?...

Jakieś słuchy chodziły o tem po wsi oddawna razem z za-
tłuszczonym kawałkiem gazety. Snuły się wieczorem przy kominie
w czas pogwarki schylone i chwiejne jak dym...

Felek myślał w wieczory czytanek i słuchów owych, że sie-
dzą prawie święte, tak dalekie — za obrazami nad łóżkiem. Pewni-
kiem stamtąd wyszły, pewnikiem tam wróca... Już od kilku dni i te-
raz bał się i wstydził, że słuchy zeszyły między gadanie ludzkie, że
Walenty pyskuje a wydziwia. Przystawił sosjerkę do sosjerki brzeż-
kiem równiutko i wyciągnął się nagle, aż mu oczy na wierzch wy-
szły, a w kościach chrupło.

Walenty splunął, łapę pod tacę podłożył. — Idziesz, Felek! —
huknął i poszedł z mięsem.

Jeden za drugim wchodzili do jadalni, gdy nagle za rozwartą
bramą iść to zaczęło...

Panienci sfrunęły do okien, Walenty stanął z głową rozdzia-
wioną na środku posadzki jak słup, starsza pani zakolysała się od
leż, a pan ręce w łańcuszek zegarka wczepił, jakby go sobie z ki-
szkami wyrwać chciał.

Oni!!!

Szli drogą w szarem, chmurnem południu, cierpliwie, jakby
do spowiedzi, wojsko szare z białymi orłami na czapkach. Co to
było, nie wiedział Felek jeszcze, ino w ruchu i wzięciu się, w przy-
stępowaniu, czy że na hakier się nosili, czy — już zapomniał, bo
tylko dzwonienie słodkie nim trzęsło, że szli, a coś sobie powtarzał
jak najprędzej w żarach i we wstydzie gorącym.

Aż nagle buchło z szeregu kurzawą, impetem po gazonie, przez
plot, że wstrzęsły się stare wierzby przydrożne:

Na bok, wisielcy,
Bo idą strzelcy,
Hej, strzelcy, hej, strzelcy,
Hej, strzelcy wraz!

I znów:

Siwe mundury,
A w butach dziury,
Hej, strzelcy, hej, strzelcy,
Hej, strzelcy wraz!

Komendant jedzie,
Wojenka bedzie,
Hej, strzelcy, hej, strzelcy,
Hej, strzelcy wraz!

Zwały się z tacy dwie sosjerki, Felek wyrzwał się o jedne
drzwi, o drugie i pędził, już pędził tyłami ogrodu na skrzyżowanie
dróg, jęcząc i gryząc wargi do krwi.

Wstydził się, żeby go tam nie ujrzeli, więc się zaczął w krza-
kach i czekał.



Szli mocno, naprzeciw wiatru, krokiem równym i zgodnym,
z przymrużonemi oczyma, z otwartemi od śpiewu ustami.

Na nic i na nikogo jeszcze nie patrzył, jak na nich... Każdy
ruch, każdy guzik, każdy but zapamiętał Felek na zawsze.

Twarze mieli młode, dobre, wesołe. I to, że właśnie szli pod
kamienną figurę, czwórka za czwórka, tacy dopasowani! Patrzył,
jak ten jabłko gryzie, tamten ciężar na plecach podrzuca, ten gar-
ścią okruszy chleba do ust wsypuje.

Szli tuż nad nim, i oczy mu się mrużyły od migania nóg, a od
marszu i ziemi dudniącej, rozśpiewanego powietrza wciąż się w pier-
siach rzewne układały drżenia.

Przeminęli na skręcie razem z wozami. Na drodze został tylko
święty kamienny z pajęczyną między palcami, na wietrze fruwająca.

Felek odczekał, aż ucichło, i znów kopnął się za nimi biegiem
pospiesznym.

Skręcali na lewo w bok, do polnej drogi.

Staął jak wryty... Oto po jednej stronie dążyły czwórki, i jedna za drugą znikala w borze sosnowym, a po drugiej stronie stała chałupa matki Felka, i matka przed oknem między złotymi kręgami słoneczników, jak święta w złotej obwódce.

Nie ruszał się...

Nie ruszy się stąd, niech tylko ciągle idą pod tym lasem...

Ale szli i szli, aż znikli, potem jeszcze tamten i ten łysnął między drzewami: potem jeszcze bronie dźwięknęły, a potem las jakby ich wypił wszystkich, topiąc w suchym szmerze gałęzi.

Felek słyszał, jak skrzyły drzwi, jak się z powrotem za matką zawarły. Słyszał sypki szum płowych mietliczek, dobrotliwy pomruk matczynej chałupy, wszystkich jej ścian i wszystkich ścian obory, i wszystkiego, co tu żyło w biedzie, łatanej troską.

Chmury ciężkie leciały nad lasem, wiatr czesał i pieścił wyschłe mietliczki, droga się po dawnemu u świętej figury rozdierała na dwie części...

Samo się stało, że zaczął iść, krok za krokiem, jakby każdym krokiem komuś coś kradł i komuś coś dawał...

Aż znalazł się na krajuszkę lasu, tam, skąd widać całą chałupę matki zgarbioną, do pustego ugoru przyległą...

Coś go takiego tknęło, coś go takiego owiało, że się już nie obejrzał, tylko biegł przed się, za pobrzękiem gwerów i manierek, aby bliżej...

Dopał ich przed samem miastem.

Noc już była, gwiazdy obsiadły niebo, jak srebrny mak, księżyc płynął wśród nich gładki i biały, a na trawach skry tańczyły mrowiem niezliczonym.

Żołnierze szli, niczem mur, zwarty cień to z boku wlokąc, to pchając przodem, i ciężko robili bokami, widać bardzo zmordowani.

Na rynku wszystko się zatrzymało; dowódcy poszli do jasno oświetlonego domu.

Nie obejrzał się, kiedy szeregi wsiąkły w ziemię. Wojacy się pokładli na bruku, oblepili wszystkie ławki pod apteką i wszystkie schodki przed domami. Ustał się z nich na rynku drugi bruk nierówny, dyszący...

Nazajutrz od samego rana zaczął ich szukać. Gdzieś poszli czy ukryli się, a tylko chłopów nawaliło się do miasta! Pokręciły się te chłopcy tędy i siędy, aż nagle trąba rozległa się wojenna, i wszystko sunąć poczęło w jedną stronę, a Felek ze wszystkimi, głupi na to, jak tabaka w rogu...

Chłopcy pochrzając, podciągając portek, stanęły w zbitej gromadzie — słońce od samego rana świeciło najpiękniejsze — a ku

gromadzie sunie, niby kawał ciemnego nieba, oddział z tym samym oficerem, co wczoraj. Zakręcił nimi, stanęli bardzo srogo. Znowu powiedział, i wytechnęli, jedną nogę naprzód wyciągnawszy.

Widział to Felek, bo stał na boku, przy kupie bab płaczących.

Oficer wyciągnął papier, czytał z niego wszystkie słowa i skończył wołaniem o wojsku polskiem.

Cisza nastała, i aż się niebo wyprężyło od tej cichości.

Tymczasem chłopcy już idą...

Pierwszy, drugi, czwarty powoli se idzie, przed oficerem odmie się, bo mu niesporo, przemówią do niego, zapiszą.

Przekręci się na pięcie, stanie do szeregu.

Felek obleciał plac dokoła, przejechał łokciem pod nosem i też idzie, wielkimi krokami, z kapeluszną dziurawą, aż na oczy wciśniętą, że się tylko na uszach odstających trzyma. Staął przed oficerem, słucha, jak paski i rzemienie chrzęszczą, a czuje, że wszystko się trzęsie i skroniami pot płynie — z tej uwagi...

— Ile masz lat? — spytali.

— Nie wiem.

Oficer wrzusił ramionami: — Chcesz wstąpić do polskiego wojska?

Felek nie odpowiedział, bo mu twarz zakrzepła w przysiężnej gotowości, a oczy jasne, jak czyste niebo tego dnia, znieruchomiały nagle.

Surowa twarz oficera ogrzała się różowem ciepłem.

— Czternastu lat nawet nie masz?! Za młody jesteś.

Felek zrozumiał i, żeby przebłagać czy przekonać, zdjął kapelus, odsłaniając złote jak mietliczki włosy i młodość głowy dziecinnej, za dużej w stosunku do całej postaci.

— Cóż my, chłopcze, z tobą zrobimy?!

Nie odpowiadał, garść całą wsadziwszy w dziurę kapelusza.

— Wracaj do domu, wracaj i nie zabieraj mi czasu.

Wtedy nagle w niebieskich oczach Felka rozpekły wielkie brylantowe gwiazdy, twarz się ściągnęła w zmarszczkach, a wystające z rozchelstanej koszuli małeńkie piersi drzeć jęły szybko.

Felek płakał. Przyszedł z kolei nowy wielki chłop, odsunął płaczącego.

I znów szły chłopcy, odzywały się przed komendantem i stawały do szeregu.

Słońce już doszło południa, gdy Felek, przeczekawszy całą kolej, drugi raz stanął przed komendantem...

Stał prosto, w oczy patrzył prosto, ręce prosto wyciągnięte

trzymał wzdłuż siebie, bez tchu, w kapeluszu, którego dnem jak zdziebla owsa, miękkie się wychylały kosmyki włosów.

— Czegóż ty jeszcze chcesz?

Wtedy zaparł dech w sobie, żeby mu nie przerwała dławiąca lza, i głosem wysokim, silnym, jak kwilenie jastrzębia, rzekł:

— Chcę służyć w wojsku polskim...

— Jużem ci mówił, nie zawracaj mi głowy — a młoda, czarna bródka komendanta drżała ze śmiechu. — Czternastu lat nawet nie masz. No, idź...

Felek tylko naprzód postąpił, jak młody kogut, wyciągając głowę ku górze.

— Silny jestem...

— Za młody jesteś.

— Ja i tak pójdę — odpowiedział, nie patrząc na nikogo.

— Nie wezmę cię, za młody jesteś.

I znów zapisywali się inni, a Felek stał zgrzany, spocony, bez ruchu, z amarantowemi uszami, i powtarzał jakby do siebie czy do białych domków miasteczka, czy do nieba szerokiego — gdy go ludzie słuchać nie chcieli:

— Ja i tak pójdę — ja i tak pójdę!!

Aż skończyło się wszystko.

Żołnierze piasnęli łapami o karabiny, chłopcy się ustawili we dwójki, zapłakane baby odeszły.

Felek stał na tem samym miejscu, dwóch małych żydków kręciło się koło niego — i krzyczał coraz głośniejszym głosem, natarczywiej:

— Ja i tak pójdę! Ja i tak pójdę!!!

Komendant skoczył ku niemu i czerwony z gniewu krzyknął:

— Pójdiesz, ale przy pierwszej sposobności, jeśli się zbłąźnisz... My wszyscy — Legion...

Oni wszyscy... Legion...

Zelżało we Felku, i światłość się w nim rozlała... Teraz się odął, jak tamte stare chłopcy. Wolno przystąpił do szeregu i, stanawszy na końcu, że przez bary poprzednika dojrzeć nie mógł, co się na początku dzieje, po męsku splunął przez zęby ze strasznej wdzięczności dla komendanta...

Zaczęło się od chodzenia, od prawej ręki i lewej, że ta prawa, a nie lewa...

Potem przyszły bluźki i wszyscy dostali, potem portki przyszły, wszystkie dla niego za długie.

Dopiero, zagryzając język, oberznął nogawki kozikiem.

Potem przyszły buty, nabijane gwoździemi, za długie. Potem dostali plecaki i karabiny. Ze swoim karabinem znalazł się Felek

pół dnia, cichutko głaskając kolbę i pakując oko do lufy. Żeby mu go kto nie ukradł, nauczył się na pamięć numeru gweru i wyrznął (jako że pisać nie umiał) chałupę matczyną na drzewcu.

Kiedy pierwszy raz stanął na warcie, nasrożył się tak, że ludzie z miasta całą kupą stali przed nim o dziesięć kroków i odejść nie chcieli.



Kiedy drugi raz stał na warcie, przyszła matka z płaczem i z błogosławieństwem i za rękaw go brała, a on nic, tylko słyszał, jak płacze, ale chodził tam i z powrotem i nie patrzył w tę drugą stronę.

Oni wszyscy!... Legion!...

Potem się napadu nocnego spodziewali, stojący na cmentarzu. Szło się na ochotnika. Poszedł i on ze swoim komendantem, ale się tylko po próżnicy zgonili po lesie, bo »tamtego« nie było.

Potem gdzieś szli i szli bez końca, ze strzelaniną na bokach, lasami i drogami, światami z niebem przepalonym nad głową, z czarną nocą u stóp. Jeść nie było co, ani pić. Sama ziemia pusta

i głodna dokola, ale Felek zawsze dbał, żeby dla swego komendanta coś mieć, bo bardzo się pokochali, jako że on, Felek był obywatelem i komendant.

Obaj...

— A wiesz ty, co znaczy obywatel? — spytał go raz komendant.

— Wiem.

— No, co?

— Obywatel — to ja.

— Masz rację.

Tak się ułożyło w duszy Felka, że ponieważ jest obywatelem, musi więcej potrafić, niż może.

Idą... Inni niosą karabiny na ramieniu, na rzemieniu...

Żeby tak swój karabin Felek niósł, toby mu kolba grzęzła w błocie. On swoją broń niesie w garści, palcami za zamek podtrzymuje. Cały ciężar w mdlejącem ręku dźwiga, ale nie puści, bo jest obywatelem...

Aż doszli nareszcie do świata zakazanego. Wojsk tam widać było coraz mniej, a pustki coraz więcej, i coś leżało na ziemi czy na niebie rozprószone, że aż dreszcz od tego brał. Pustki coraz więcej i ognia...

Minęli wieś i, gdy noc nastąpiła, siedli w okopach, zaś nad ramię zaczęło się...

Nad okopami szła jedna chmura ołowiu, syki armatnie gięły się po niebie; ziemię szarpało, że czarnym słupem leciała pod niebo, to znów pękały w chmurach całe garście kul i żelaza.

Od tego łomotu, trzasku i łamania zatykało Felkowi dech w piersiach. Leżał w okopie i gadał prędko, dużo, — krzycząc od czasu do czasu:

— Jo strzylom, strzylom!

Zaś gdy usłyszał za sobą rozkazy komendanta swego, wyskoczył z rowu, by się pochwalić:

— Jo strzylom, komendancie!

— Osiol jesteś, bracie.

— Podług rozkazu — odpowiedział Felek, prężąc się wśród gradu kul.

— Cóżes ty za ordynans, skoro tu siedzisz, gdy ja cię co chwila potrzebuję.

Teraz dopiero zaczęła się dla Felka prawdziwa rozkosz bitwy. Z nieotartym nosem, gryząc wystawiony język, latał od kompanji do kompanji lub włókł gdzieś za skórzane ucho pakę amunicji, lub przynosił okopem kradzione w taborze konserwy. Potem wracał do

komendanta, z zabobonnym podziwem patrzył, jak ten odgaduje coś z trzeszczących stroniec wielokrotnie złożonej mapy.

Albo z rozkazem wracał na linję, spotykając po drodze rannych, którzy się wlekli, kuśtykając, popielaci od bólu, — w tej chwili, w tym huku szanowni i niepotrzebni.

Minęła bitwa, nastał spoczynek, jedzenie, spanie i słońce.

I znów bitwa. Żyli się z komendantem do tego stopnia, że nie mogli się obejść bez siebie. Komendant myślał i pisał, a Felek pośpiechem i szybkością tej myśli był, niosąc rozkaz i meldunek — do ognia.

Aż pewnego razu, już w zimie, coś go tknęło, gdy się zapatrzył na całą tę wojnę w dolinie, z góry wracając z meldunkiem.

W mgłę sinej wytryskiwały straszliwe jęzory wystrzałów armatnich. Daleko, na horyzoncie, niby krwawiące serca, gasły zapalone chałupy, dym się snuł, a ogień karabinowy cichł zwolna.

Słusznie go tknęło, bo spotkał na drodze swego komendanta. Szedł sobie komendant z głową na bok przechyloną, bez czapki,



palcami jednej ręki rwał i skubał powietrze, drugą rękę niósł mu żołnierz biało-siną, błyszczącemi niemi krwi przez dłoń związaną.

— No, widzisz, Felek, teraz się rozstaniemy — rzekł komendant, a usta mu się rozwarły tak powoli, jakby cały las wstrzymał od tego dech swój.

— Bo mnie przy was nie było, komendancie!!

— Tak, tak — szeptał komendant z uśmiechem — bo ciebie przy mnie nie było.

Poszli razem tą jedyną drogą rannego, wśród strzałów, bólu i żalu, i głębokiego honoru milczenia, ostrożni i odważni. Komendant, kapiący krwią po mchu, i ordynans, siejący po zwiedłych gałęziach lzy obfite...

Juljusz Kaden.

Objaśnienia: *Ordynans*, a, żołnierz, wyznaczony do służby przy oficerze. — *Sosjerka*, i, naczynie stołowe do sosów. — *Strzelcy*. W 1908 roku Józef Piłsudski (ur. w 1867 r.) tworzył w byłej Galicji »Związek walki czynnej«, mający przygotowywać zastępy przyszłego wojska polskiego. Stopniowo powstały w 1910 »Związek strzelecki« w Krakowie, »Towarzystwo strzeleckie« we Lwowie, »Drużyny polowe sokole«, »Drużyny Bartoszonek«; w nich ćwiczyła się młodzież akademicka, robotnicza i włościańska, nie tylko małopolska, ale i z zaboru rosyjskiego. Organizacje te Piłsudski złączył i spoił w jedną całość. W dniu wypowiedzenia wojny Rosji przez Austrię 6 sierpnia o 3 rano wyruszył pierwszy nieliczny oddziałek (pierwsza kadrowa kompanja) do byłego Królestwa, dni następnych dalsze, tworząc siłę około 1500 ludzi. 10 sierpnia Piłsudski zajął Jędrzejów, 12 Kielce. Wieści o bohaterskich wysiłkach Strzelców budzą i pobudzają ogół; na terenie byłej Galicji od 16 sierpnia 1914 r. organizują się Legjony Polskie: pierwsza brygada Legjonów pod Piłsudskim w sile około 4 i pół tysiąca żołnierzy i druga brygada około 10 tysięcy. Zawiazkiem Legjonów były oddziały strzeleckie. — *Na bok, wisielcy i t. d.* Jedną z najwcześniejszych piosenek żołnierskich polskich z czasów wojny 1914 r., dochowało się jej wiele odmian i odmianek. — *Mietlica*, rodzaj rośliny trawiastej. — *Krajuszek*, brzeżek. — *Gwer*, giwer, giewer (z niem.), broń, karabin. — *Manierka*, i, naczynie blaszane, flaszka blaszana na wodę, kawę, herbatę, wódkę i t. p. — *Plecak*, a, torba na plecy do noszenia rzeczy, zapasów. — *Kompanja*, nji, oddział piechoty, artylerji ze stu do dwustu ludzi. — *Konserwy*, mięso, owoce, jarzyny tak przyrządzone, by nie uległy zepsuciu. — *Z zabobonnym podziwem*—podziwem, przypuszczającym działanie nieludzkich, nadludzkich, tajemniczych sił.

STARYM SZLAKIEM.

Starym Ojców naszych szlakiem
przez krew idziem ku wolności!...

Z dawną pieśnią — dawnym znakiem —
my — żołnierze sercem prości,
silni wiarą i nadzieją,
że tam kędyś świty dniają!

Zawołały ku nam zdala
starych hasel złote dzwony! —
Zaszumiała kłósów fala...
wiatr z dalekiej powiał strony

i na złotym grał nam rogu
pieśń o Sławie — i o wrogu!

Zamarzyły się nam czyny
z pod Grochowa — Ostrołęki —
Krwawych Ojców krwawe syny
zapragnęlim świeżej męki,
bowiem w grobach kości stare
wciąż wołały: »Exoriare!«

Starym Ojców naszych szlakiem
przez krew idziem w nowe zorze!
Z dawną pieśnią — dawnym znakiem —
po wyroki idziem Boże
w przełomowej dziejów chwili,
którą w snach my wymodlili!

Niech za nami nikt nie woła!
Niech tam po nas nikt nie płacze!
Górą jasne niesiem czoła —
radość w piersiach nam kołacze,
duma ogniem lica płoni,
że idziemy — jako Oni!

Starym Ojców naszych szlakiem
przez krew idziem w jutra wschody,
z dawną pieśnią — dawnym znakiem —
na śmiertelne idziem gody,
by z krwi naszej życie wzięła
Ta — co jeszcze nie zginęła!

Józef Mączka. — Styczeń 1915 r. (zm. 1918 r.).

Objaśnienia: *Ostrołęka*, miasto powiatowe wojew. białostockiego nad Narwią, słynne z krwawej, pełnej bohaterstwa nierozegranej bitwy Skrzyneckiego z Dybiczem, wodzem rosyjskim 26 maja 1831 r. — *Exoriare* (lac.) = *Exoriaris* = powstań! — *Józef Mączka*, żołnierz drugiej brygady, najwybitniejszy poeta legjonowy, nagrodzony medalem za waleczność, zmarł w 1918 r., przedzierając się z rozkazem gen. Hallera na Murman. Druga brygada pod wodzą gen. Durskiego i Józefa Hallera (ur. 1873 r.) od 1914 do 1915 walczyła w Karpatach, na Węgrzech, w Galicji, stoczyła z Rosjanami 106 bitew. Wiersz, przytoczony tutaj, powstał na Węgrzech.

FANFARY

PIERWSZEGO PUŁKU PIECHOTY LEGJONÓW.

Zaszumiał bór stary i zamilkł jak mowa —
Słuchają wkrąg świerki-brodacze:

Przed chatą — w zagajach leśnego ostrowa
 Stała okolem muzyka pułkowa,
 A czterej pośrodku trębacze...

Wzrok hardy ku chmurom odrzuca zuchwale —
 Wraz surmy na udach oparli...
 I stoją tak świetni w słonecznym upale,
 Jak dawne heroldy we słońcu i chwale —
 W sen dumnych posągów zamarli...

Aż razem do góry uniósłszy puzony,
 Ze spiżów dobyli moc ducha!...
 A w chacie — tam w głębi — myślami schylony,
 Wzrok tęskny w dalekie kierując gdzieś strony,
 Brygadjer, Brygadjer ich słucha...

I.

Hej — surmy wzwyż!
 Niech w lasów głąb
 Mocarny bije krzyk!
 Niech dźwięczy spiż,
 Rozgłosem trąb
 Nasz hardy sławi szyk!
 To my — to my — kadrowy pierwszy huf —
 Z zamarłych snów do życia wstali w krwi!!

II.

Kordonów słup
 Strącilim w loch —
 Wolności przednia straż!
 Przez krew, przez proch
 Po sławy łup,
 Gościniec w słońcu nasz!
 To my — to my — z kieleckich szarych dróg
 Na ziemi proch miotali Czynu skry!!!

III.

Za nami kurz
 Ogniwych burz —
 Bagnetów krwawy tan!
 Gdzie Lasek dni,
 Anielin w krwi
 I złoty Konar łan!

W purpurze ran weselny krok
 W strzeleckiej pieśni takt...
 Zasłałim trakt tysiącem zwłok —
 Tysiącem krwawych zwłok!!!

Tu surmy ku ziemi opuszczą trębacze —
 Oparli je z mocą u kolan...
 A pogłos spiżowy wśród borów kołacze
 I echem zawodzi i echem gdzieś płacze —
 Wracając od lasów — od polan...

I skarży się ziemi, iż zliczył kurhany,
 Rozsiane w dalekiej krainie...
 Zaszumiał bór stary ciemnymi konary,
 I drzewa się wkoło pochyła jak łany —
 Szczytami żałobny szum płynie...

Umilkli trębacze... i myśl ich zmacona
 We mglistej gdzieś ginie oddali...
 Aż razem do góry podniósłszy ramiona,
 Pieśń Mocy i Chwały, wezbraną wśród łona,
 Fanfarę zwycięstwa zagrali.

IV.

Hej — szlakiem pól	W bagnetów tan
Przez krew — przez ból —	Przez zbożny łan,
Za nami — z nami w lot!...	Przez kwieciami strojny las —
Gdzie Złoty Róg	Na siew — na plon —
Z powietrznych dróg	Na wczesny skon,
Zwycięski wiezie miot!...	O Wodzu — prowadź nas!...
W radosny szal	Na słońca blask
Ginących ciał	Wśród Sławy łask
Wśród młodych życia kras —	W purpurze krwawych ran —
Na nowe dni	Na bój — na lot,
Wśród bryzgów krwi,	Na krwawy miot,
O Wodzu — prowadź nas!...	O Wodzu — prowadź nas!...

Zamilkną trębacze — i surmy mosiężne
 Wraz każdy ku udom nakłoni...
 Głos leci — polata — przez echa okrężne —
 I woła — i budzi wkrąg hułce orężne:
 »Do broni — powstańcie do broni!«

A w leśnej stancy — myślami schylony
 Wódz — mocy orężnej — i ducha —
 Wzrok jasny w słoneczne kierując gdzieś strony,
 W głąb tajnych przeznaczeń wsłuchany, wpatrzony,
 Brygadjer — Brygadjer ich słucha...

Więc las się pokłoni — i szumiec poczyna —
 W poszumach przed chatą się chyli...
 Śnać pojął — że oto jest chwila jedyna,
 Że dana jest Mocy i Chwały godzina,
 I Wielkość przydana tej chwili!...

Jan Mączka. *Legjonowo w czerwcu 1916 r. (zm. 1918).*

Objaśnienia: *Zagaj*, zagajnik, młody las. — *Ostrów*, u, wyspa; część lasu. — *Surma*, y, trąba metalowa. — *Herold*, a, poseł, wysyłany niegdyś w jakiejś sprawie do obcego narodu. — *Puzon*, u, trąba. — *Brygadjer*, a, dowódca brygady, tu Józef Piłsudski. — *Mocarny* od mocarz. — *Kordon*, u, pas pograniczny, oznaczony zwykle słupami. — *Lasek*. Wsie Laski i Anielin w woj. kieleckim, pow. radomskim, niedaleko Wisły na zachód od Radomia. Tu strzelcy pod dowództwem Piłsudskiego stoczyli czterodniową uciążliwą, ale zwycięską bitwę (22—26 paźdz. 1914 r.) z Rosjanami. — *Konary* w woj. kieleckim, pow. sandomierskim na południo-wschód od Kielc niedaleko Wisły. Tu I brygada pod dowództwem Piłsudskiego mężnie, ofiarnie walczyła od 18 do 25 maja 1915 r. w celu zdobycia szosy Opatów-Sandomierz, a w następstwie kolei sandomiersko-ostrowieckiej. Krwawa, uciążliwa walka połączona z ruchami armji austriackiej dała wynik pomyślny. — *Miot*, u, rzut; potomstwo. — *Stanica*, y, osada. — *Legjonowo* między Styrem i Stochodem, dopływami Prypeci, na północ od Łucka w okolicach Maniewicz, Leśniówki. We wrześniu 1915 r. legjony przerzucone zostały z pod Kamieńca Litewskiego nad rzeką Lśną, niedaleko Brześcia L. na front wołyńsko-poleski przedewszystkiem dla ochrony linii komunikacyjnej, łączącej Kowel z Chełmem i Brześciem Litewskim. W ciągu roku 1915—1916 nad Stochodem i Styrem, gdzie trzeba było z największym wysiłkiem budować na palach drogi i mosty na bagnach, Legjony staczały niezliczoną ilość bitew, utarczek. Legionowo było miejscem wypoczynku. Wokół spotkanej w listopadzie 1915 r. na drodze od stacji Maniewicz leśniczówki (mieszkania leśniczego) zaczęto budować i kleić domki i szałas; na wiosnę 1916 r. stanęła już pięknie zagospodarowana osada, oświetlona elektrycznością, z kościołkiem, sklepami, gdzie skauci sprzedawali wszelkiego rodzaju towary, poczynawszy od czernidła i kielbasy, kończąc na poważnych książkach naukowych, z kinematografem, polanami, zasianami ziemniakami, grochem, owsem.

NA DALEKIM CMENTARZU.

Nad siną otchłanią oceanu Północnego leży ponury kraj, niegdyś zagarnięty zaborczem berłem „białego cara”. Niezmierny obszar tundry, zasiany drzazgami granitu, porosły karłowatą brzozą, ma nazwę pogrzeża Murmańskiego.

Latem bagna zakisają mokrą pleśnią, a pomimo zieleni wątlej i bladej, jak jesienna ozimina, wieje z obsuszonych trzęsawisk przejmujący ziąb, niby z rozkopanej mogiły. Wszędy unoszą się słupy, całe trąby powietrzne, uwiane z niezwykle zajadłych komarów błotnych. Gdy wiatr z morza rozproszy te słupy, czarne, kosmate owady spadają na wszystko, co żyje, niby samum latającego kopci. Nie uchroni przepojona diegciem siatka, wkładana na głowę i szyję: komary tną przez ubranie. Oszałałe reny w ucieczce przed ich napacją zanurzają się w bagno po szyję; jeno rosochy rogów wznoszą się nąd kałużyskiem, jak uschnięty krzak, poruszający się w chmarze zaciekłych owadów. Letnią porą daleka północ nie zna ciemnej nocy południowej. W ciągu całej doby jest jasno, jak w dzień. A w śródleciu bywa kilkutygodniowy okres, gdy słońce trwa na niebie stale, nie zachodząc, wciąż zakreśla olbrzymią elipsę, pochyłoną ku zachodowi, zaś w czasie, przypadającym na właściwą noc, traci tylko promienie i świeci, jak krwawy księżyc w pełni. Ludzie nie zwyczajeni do tak długiej jasności chorują na oczy i wpadają w zdenerwowanie, graniczące z obłędem.

Zimą krajobraz się zmienia. Zielonawa smętność obszaru przeobraża się w bezkresną żalobność śnieżnej pustyni. Zamiast nieustannego dnia bezdenne noc rozpina nad śniegami kolosalny namiot czarnego jak heban nieba, w którym zaprzepaszcza się konstelacje gwiazd, niby łańcuchy mrugających światła w nocnej dalekości morza. Pociemku przelatują śnieżnymi zaspami zaprzęgi reniferów, kierowanych długim zaostrzonym kijem i rwących z kopyta jak wichler w tumanach śnieżnej kurzawy i w mgle ciepłego oddechu. Od mrozów, które ścinają rtec w termometrze, szczapami łupie się drzewo i z metalowym jękiem tężeje żelazo.

Rozjaśnia mroki tylko zorza borealna. Jej zjaw zwiastuje rodzaj luno na północnym horyzoncie, takiej, jaka bywa na naszym niebie przed wzejściem księżyca. Twórcza fantazja natury, wypromieniowującej tę zorzę, nie da się opisać piórem, ani odmalować pendzlem. Zjawisko każdy raz zmienia postać zewnętrzną i w nowej ukazuje się wspaniałości. Raz objawia się w kształcie słońca; tarczy tych słońca nie widać, są jakhy zupełnie zaćmione, natomiast ich aureole, niby szprychy słoneczne, zajmują pół nieba, układając się pas nad pasem, jak szereg koncentrycznych tęczy o barwie bladobiałej i wyblakło-fioletowej. Innym razem od owej luno na horyzoncie odbywa się w kierunku zenitu nieustanny pochód światła seledynowego w kształcie postrzępionych fal, wygiętych w łuki podniebne, — coś na podobieństwo wspanialszego od przyływu burzliwych bałwanów morskich, gdy potężną tyraljerą szturmują

w brzeg zatoki. Przez seledyn, rozplywający się po niebie, przyświecają gwiazdy blade, jakby widzialne wskroś mgławicę ogonu komety. Albo znów na kirze nieba wyrasta z widnokregu fosforyczne drzewo, sięgające wierzchołem do gwiazdozbioru Wielkiej Niedźwiedzicy. Swietliste drzewo, mieniając się lśnieniem, jak drżąca osika po wiosennym deszczu, przesuwają się wzdłuż horyzontu, a za nim szereg takichże drzew, podobnych do chojarów i brzoź, defiluje od prawej strony nieba ku lewej. Na szklistej skorupie śniegu trzepocze się mdły odbłask, jak od dalekiego pożaru. A psy bure jak wilki, jeżąc sierść na chudym grzbiecie, wyciągają ku zjawisku długie szyje i w jakiejś trwodze zabobonnej wyją przeciągle, jakby zwietryły nieszczęście.

W tej to ziemi, gdzie od mrozów jęczy żelazo, i niebo wyświeca obrazy dantejskiej grozy i wspaniałości, leżą żołnierze polscy, snem zdjęci wiecznym. Dźwigają na martwej piersi bryłę błota lodowatego, a w zamarznętej ich czaszce skamieniał niedośniony sen o Rzeczypospolitej, którą dla żywych wywalczyli, lecz ujrzeć własnymi oczyma nie mieli.

Nad brzegiem oceanu w okolicy portu murmańskiego jest cmentarz. Port należy do tak zwanych naturalnych: tworzy go długa zatoka na podobieństwo rzeki wrzynająca się w ląd. Dokoła wody, cichej jak staw, piętrzą się cyple pagórów z granitu. Porasta ją rzadką szczecią jedlina-niedojda. Gdy śnieg okryje skały, a słońce je zaróżowi, wyglądają dla polskiego oka zupełnie jak zimowe Tatry. Zatoka nie zamarza nigdy; ogrzewa ją płynący oceanem ciepły prąd Golfstream. Woda w okolicy z wysokich cyplów jest zawsze barwy ciemnej, zimą i latem. Okręty wojenne tkwią w jej głębinach, niby czarne rafy, co dźwigają w niebo wymyślną budowę pancernych wież i radjotelegrafów. Kolosy okrętów handlowych, pomalowane na czas wojny dla ochrony od łodzi podwodnych wzorem i barwami fal morskich, wznoszą las kominów, masztów i lin, niby wielce pogmatwane rusztowanie murarskie.

Na wzgórzach dokoła ciemnej wody pobudowano drewniane baraki. Mieszkają w nich ludzie, przyjeżdżający poto, aby letnią porą karmić sobą komary, aby zimą odmrozić twarz, ręce i nogi, stale zaś przymierać od febry i skorbutu. Poza tem łowią oni ryby i wyladują okręty. Na wzgórzach, wzniesionem najwyższym, znajduje się ów cmentarz.

Pośród kilku cherlawych jodeł, których kora wygląda, jak odmrożone ludzkie ciało, odpadające kawałami, sterczą na mogiłnych wysypiskach zgruba wyciosane krzyże. Starych, wyszarzanych przez czas jest niewiele i bezładnie są rozstawione, tam i sam. Wię-

cej jest nowych, błyszczących świeżo odrobionem drzewem. Te stoją w szyku rozwiniętym, jak pluton na mustrze. Napisy na nich w języku francuskim, angielskim i włoskim mówią, że pod każdym — leży żołnierz. Nie brak krzyża z napisem polskim: stoi tam wypisane imię, nazwisko i szarża, a pod tem czterowiersz:

Do Polski drogi nam leżą
Przez równik i poprzez biegun,
Co krok przez mogiłę świeżą,
W której o Polsce śni legun.

I jest jeszcze jeden krzyż, okazalszy od innych, z tablicą drewnianą, na której starannie wydłubano kilka słów o literach, przypominających alfabet starogrecki.

Pewnego dnia zimą walęsali się po cmentarzu ludzie, otuleni w jednokowe futra kanadyjskie. Byli to żołnierze koalicji. Gdy w miejscowości, gdzie kwateruje załoga wojskowa, brak knajpy, w znudzonym żołnierzu budzą się upodobania turysty. W porcie murmańskim był kinematograf, ale się spalił; była buda po kawiarni, ale właściciel jej powiesił się, wskutek rozstroju nerwowego, wywołanego bezsennością, gdyż latem w ciągu miesiąca napróżno wyczekiwał zachodu słońca. Więc żołnierze zabijali czas przechadzką po okolicy. Ów cmentarz, zwyczajny jak każde inne zgromadzenie umarłych, zakopanych w ziemi, był w tamtym kraju rzeczą do zobaczenia najciekawszą. Żywi przechodzili obok szeregu prostych krzyżów, odczytując nazwiska kamratów, poległych od kuli lub zzartych przez choroby. Myśleli o umarłych towarzyszach z niejakim smętkiem, lecz smutek to był obojętny, jak serce żołnierza, którego obca śmierć nie roztkliwia, bo i swoją nie rozczula. Obok owego najokazalszego krzyża przechodzono jeszcze obojętniej, bo nikt nie mógł wyrozumieć niełacińskich liter w napisie.

Lecz przyszli dwaj młodzi żołnierze. Ubiorem nie różnili się od innych. Na głowie mieli uszaste czapki kanadyjskie i także na sobie futra. Jeny spojrzenie ich było błękitne i po słowiańsku w dalekość zapatrzone. Obejrzeni szereg grobów, nad mogiłą polską podumali dłużej. Potem zbliżyli się do krzyża z niezrozumiałym napisem i powoli go odczytali.

Litery, stylizowane na wzór cerkiewnej cyrylicy, opowiedziały im, że w tej mogile leży:



Daniło Miłosz,
 Srbin iz Baczke.
 Pał za Otciznu.
 Sława mu.

Wówczas oblicza dwóch żołnierzy, najzwyczajniejsze fizjonomie współczesnych inteligentów, stężyły w jakąś spiżową, bohaterką posągowość, a oczy zagrały blaskiem, niby źrenice orła, wpatrzonego w słońce.



Odchodząc, salutowali mogile serbskiej. Uczcili syna ziemi, zalanej najazdem niemieckim. Złożyli hołd narodowi, co wszystką nadzieję położył w żelazie rycerskim. Oddali cześć bratniej falandze tragicznej, która za żołąd przyszłej wolności krew wytoczyła w służbie obcej, a ciałem w obcej legła ziemi, aby w łunach zorzy północnej snić o dalekiej i wielkiej Ojczyźnie.

Eugenjusz Korwin-Małaczewski
 (1896—1922).

Objaśnienia: *Biały car*, car rosyjski. — *Tundra*, y, wiecznie zamrażone trzęsawisko, pokrywane się po odmarznięciu z wierzchu mchem. — *Wybrzeże Murmańskie*, północne wybrzeże półwyspu Kola u oceanu Północnego przeszło 420 klm. długie, składa się przeważnie ze skał granitowych, posiada wygodne zatoki i przystanie. Główne miasto Kola. — *Ozimina*, y, zboże, siane na jesieni. — *Obruniony*, zieleniejący. — *Samum*, u, suchy, unoszący piasek gorący wiatr, nawiedzający brzegi zachodnie Azji, zwłaszcza Arabję skalistą. — *Dziegłec*, gciu, smoła, pędzona z kory brzoźowej. — *Ren*, renifer, gatunek jelenia. — *Rosochy*, tu rogi, rozgałęzienia rogów. — *Elipsa*, y, przekrój pochyły powierzchni bocznej walca obrotowego. — *Konstelacja*, cji, grupa, gromada gwiazd, ułożona w pewną figurę. — *Borealny*, północny. — *Seledynowy*, błękitnawo-zielony, pomieszany z szarym. — *Tyraljera*, tyraljerka, prowadzenie bitwy szeregami rozproszonymi, szykiem rozrzuconym. — *Fosforyczny*, tu świecący w ciemnościach. — *Osika*, i, gatunek topoli. — *Chojar*, a, choina. — *Defilować*, maszerować w szeregu uroczyście. — *Luty*, srogi, okrutny, dziki. — *Dantejski*: Dante Alighieri (1263—1321), największy poeta włoski, w utworze, zatytułowanym »Boska komedia«, w części I-ej p. t. »Piekło«, zobrazował męki piekielne grzeszników. Obrazom tym nasz autor przypisuje słuszną grozę i wspaniałość. — *Żołnierze polscy*. Po zjeździe wojskowych Polaków frontu rumuńskiego armji rosyjskiej w Kiszyniowie w grudniu 1917 r. rozpoczęło się wydzielanie Polaków w oddzielną jednostkę wojskową pod nazwą II Korpusu Polskiego. Tymczasem jeszcze w początkach października 1917 r. II »Żelazna« Karpacka Brygada Legjonów pod dowództwem brygadiera-pułkownika Józefa Hallera przybyła z Prze-

myśla do Rarańczy, miejscowości, położonej na Bukowinie na granicy Besarabji. 12 lutego 1918 r. Brygada dowiedziała się o traktacie Brzeskim między bolszewikami, Niemcami i Austrią. Obawiając się rozwiązania siły zbrojnej polskiej przez Austrię i w nadziei stworzenia potężnej armji polskiej, II Brygada w nocy z 15 na 16 lutego stoczyła bój z Austrjakami i przedostała się na stronę rosyjską w liczbie około 100 oficerów i 1500 szeregowców. Teraz, unikając zetknięcia z Austrjakami, Brygada odbywa marsz do Sorok, leżących nad Dniestrem w Besarabji, i tu łączy się z II Korpusem Polskim. Gdy w marcu 1918 r. Rumunja podpisała pokój z Niemcami i Austrią, trzeba było szukać innego punktu skupiania armji polskiej, pomaszzerowano na Wschód. 24 marca dowództwo korpusu objął brygadjer Haller; korpus liczył około 7.000 ludzi. Gdy Niemcy, daremnie żądający rozbrojenia się korpusu, otoczyli go przemagającymi siłami pod Kaniowem i po dzielnej obronie zmusili do kapitulacji, której warunków później nie dotrzymali, część korpusu wywieziono do obozów jeńców, część zdołała zbiec. Haller wyjechał do Kijowa, a stamtąd do Moskwy, gdzie w czerwcu 1918 razem z polską Komisją Wojskową podpisał z mocarstwami, składającymi przyrzeczenie odbudowania Polski: Francją, Anglią, Włochami, Ameryką, umowę, której mocą na Wschodzie miało być formowane wojsko polskie jako część armji polskiej we Francji pod dowództwem generała Hallera. Miejszem formowania wojska polskiego stał się Murman i Archangielsk. Na rozkaz gen. Hallera w czerwcu 1918 rozpoczęły się transporty oficerów i żołnierzy I korpusu (dawniej już rozbrojonego przez Niemców) i II na Murman. Bolszewicy wspólnie z Niemcami przecięli dojazd koleją na Murman, otoczyli go kordonem i chwytanymi żołnierzy rozstrzelali. Mimo to bohaterski oddział rósł, wraz z Anglikami, Francuzami i Włochami zdobył Archangielsk, walczył zwycięsko z bolszewikami na froncie północnym, 20 września 1919 r. wyjechał do Polski, prócz niewyczerpanego zasobu wspomnień zabierając na pamiątkę białą niedźwiedźcę, w grudniu defilował przed Naczelnym Wodzem w Warszawie, a w styczniu 1920 r. wcielony został do dywizji pomorskiej na pamiątkę, że powstał nad morzem. — *Jedlina-niedojda*, jodla karłowata. — *Golfstream*, czyt. Golfstrim. — *Rafa*, y, skały podwodne. — *Radjotelegraf*, telegraf bez drutu. — *Cherlawy*, niewyrośli, zabiedzony. — *Wysypisko*, a, tu mogiłka, usypana nad grobem. — *Szarża*, y, stopień. — *Legun*, a, żargon. żołnier. = legjonista. — *Futra kanadyjskie* z lisów, wilków, bobrów, niedźwiedzi. Kanada dostarcza wielkiej ilości futer na rynek wszechświatowy. — *Knajpa*, y, żargon, = handel win, wódek, restauracja, jadłodajnia. — *Turysta*, y, miłośnik wycieczek. — *Kamrat*, a, żarg. = kolega. — *Stylizowany*, w pewien sposób przerabiany. — *Cerkiewna cyrylica*. Cyrylica, alfabet, ułożony przez św. Cyryla (zm. 827), mający za podstawę piśmienne znaki greckie, z dołączeniem kilkunastu znaków z łaciny i innych języków lub nowo-wynalezionych, przeznaczonych do wyrażania dźwięków słowiańskich, których brak w jęz. greckim. Cyrylica z wprowadzeniem chrześcijaństwa rozpowszechniła się w Serbji, Bułgarji, Rosji, Morawji, Rumunji. Obecnie używane w Rosji abecadło jest nieco zmienioną przez Piotra Wielkiego w XVIII st. cyrylicą. — *Serbja*. Austrija postanowiła zniszczyć Serbję i skorzystała z pozoru, jaki nastąpiło zamordowanie arcyksięcia, Franciszka Ferdynanda z żoną w Sarajewie (głównem mieście Bośni nad dopływem Bosny) przez studenta bośniackiego, Gawryłę Principa, d. 8 czerwca 1914 r. Mimo że stwierdzono, iż rząd serbski nie brał żadnego udziału w zbrodni, Austrija, podniecana przez Niemcy, wypowiedziała wojnę Serbji 28 lipca

i 29 rozpoczęła bombardowanie Belgradu. Po kilku zwycięstwach, w nierównej walce, gdy do Niemiec i Austrii dołączyła się Bułgaria padła bohater-ska Serbia, a niedobitki jej armji, uratowane przez Francję, Anglię, Włochy, nie wyrzekły się myśli o wolnej wielkiej Serbji. Pragnienia ich ziściły się wraz z upadkiem Niemiec i Austrii; z Serbji, Bośni, Hercegowiny, Czarnogórza powstało państwo Jugosłowiańskie. — *Eugenjusz Korwin-Malaczewski* (1896—1922), pracował u adwokata, gdy rozpoczęła się wojna, wstąpił do wojska rosyjskiego, aby bić Niemców za krzywdy polskie, za rządów bolszewickich przyłączył się do I-go Korpusu Polskiego (Dowbora-Muśnickiego), po jego rozbrojeniu przedarł się wśród przygód i trudów na Murman, trzykrotnie chwytywany przez bolszewików i skazywany na śmierć. Po roku walk na Murmanie w 1918 r. pojechał do Paryża, później brał udział w walkach z Ukraińcami o Wschodnią Małopolskę i wysłużył sobie odznaki wojskowe i stopień porucznika. W czasie wojny z bolszewikami był adjutantem generała Hallera. Zmarł na suchoty.

Objaśnienia do ilustracji: Pierwszy rysunek odtwarza w wielkości naturalnej prawą, drugi lewą stronę współczesnej odznaki wojskowej »Krzyża Walecznych«, ustanowionej 11 sierpnia 1920 roku. Krzyż z jasnego brązu po stronie prawej ma w środku wypukłe odbicie godła państwowego, napis również wypukły, na lewej stronie wypukły rysunek i litery. Krzyż nosi się na wstędze amarantowej z białymi wzdłuż jej brzegów prążkami na lewej piersi na drugim miejscu po »Virtuti Militari«. Krzyżem W. może być ozdobiony czterokrotnie każdy oficer, szeregowiec armji czynnej za czyny odwagi, męstwa w boju. Krzyż W. może otrzymać i osoba cywilna, współdziałająca z armją. Okucia, dodawane na wstążce, oznaczają: jedno okucie — powtórne nadanie Krzyża, dwa — trzecie nadanie, trzy — czwarte. Do posiadania Krzyża W. przywiązane jest prawo do honorów ze strony wojskowych równych stopni bez Krzyża, awans, prawo pierwszeństwa przy nadziale ziemi i t. d.

Z DZIEJÓW BAŚKI MURMAŃSKIEJ.

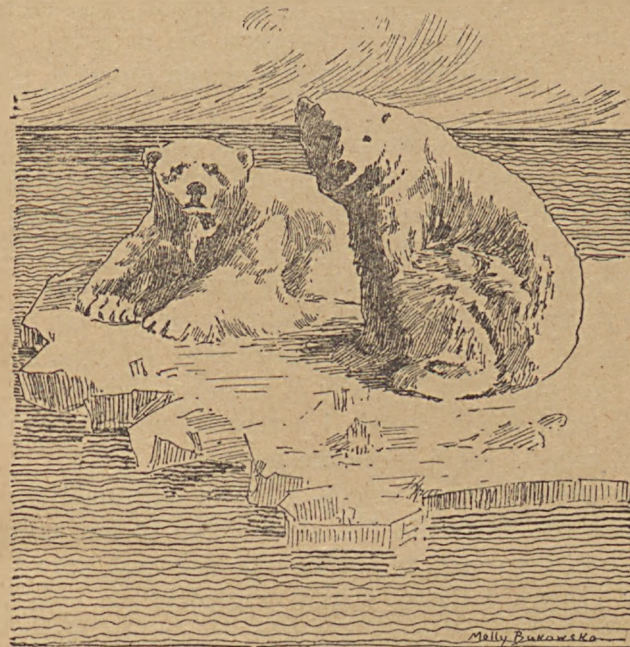
Baśka przysłała na świat odrazu w pięknym futerku białym, z pyszczkiem pełnym śpiczastych zębów, zdrowych i mocnych, jak u młodego psa; zaś w łapach, zakończonych niedołącznemi jeszcze pazurami, przyniosła właściwą swemu gatunkowi, wrodzoną doskonałą umiejętność bytowania w żywiole wodnym, na wzór ptactwa morskiego, które posiada sprawność pływacką w upletwionych nogach od chwili wyklucia się z jajka.

Tegoż jeszcze dnia wypadło matce i córce puścić się wplaw przez ponure, rozbałwanione wielkim wiatrem morze, aby się dostać na najbliższy ląd.

Zmusił je do tego wypadek, mający wszelkie znamiona katastrofy żeglarskiej. Oto tratwa lodowa, na której płynęły, nadwierzona nieustannym szturmem fal, rozpekła się niespodziewanie na kilka kawałków, niezdatnych wskutek pomniejszenia tonażu do nie-

dźwiedziej nawigacji. A dokonało się to z trzaskiem, przypominającym wiwatowy strzał armaty średniego kalibru.

Rozbitkinie, zanurzone nagle po same dziurki nosów w pieniające się odchlisko słonej wody, musiały niezwłocznie, bez dłuższych namysłów wybierać między dwoma najbliższymi punktami oparcia, jakie im w nowej sytuacji pozostawały. Pierwszy znajdował się o 250 mil morskich na lądzie stałym, drugi tuż pod niemi wprawdzie, o 3000 stóp tylko, ale na dnie oceanu. Wybrały drogę dłuższą.



Potęga wiatru rosła, wydmuchując z wodnej otchłani nieskończone łańcuchy wysokich fal. Olbrzymie bałwany o strzelistych, załamanych grzbietach toczyły się jeden po drugim na kształt lewżanów, przewracających się wśród ciężkiego pluskania z boku na bok. Ryczało morze, ryczała wniebogłosy stara niedźwiedzica, borykająca się z nawałą. Baśka, uczipiona ze wszystkich sił do kosmatego uda matki, zamknąwszy szczelnie swe szczenięce jeszcze, napółosleple oczki, płynęła, niby łódka, holowana przez statek. Na progu życia poznała, co to jest wielki strach.

Jeszcze po tem epickiem exodus nie zeszedł tydzień czasu, a już rozpoczęła się edukacja Baśki.

Cała nauka polegała na praktycznym poznaniu dwu umiejętności: myślistwa i sztuki pływackiej.

Jakkolwiek tak szczupły zakres wiedzy z ludzkiego punktu wi-

dzenia może się zdawać czemś bardzo łatwym do osiągnięcia, nie należy zapominać, że każdy z dwu działów nauki niedźwiedziej rozgałęzia się zkolei na tyle różnych »przedmiotów«, ile ich się wykłada w gimnazjum klasycznym z uniwersytetem łącznie. Nadto istota ludzka pomimo najświetniejszego ukończenia tych klasycznych uczelni, byleby tylko uzyskała odpowiedni dyplom, może być przez całe życie najklasyczniejszym bałwanem, a jednak posiędzie szacunek bliźnich i uściele sobie żywot aksamitny, podczas gdy niedźwiedź polarny swoje dwa działy wystudjować musi rzetelnie, aby właśnie w swem środowisku za bałwana nie uchodzić, bohy stałe puchnął z głodu, i zjadłyby go łagodne cielęta morskie, a mewy zadziobały żywcem.

Baśka, podobnie jak wielu sławnych ludzi w dzieciństwie, nie wykazywała w początkach edukacji ani wybitnych zdolności, ani tem bardziej zbytniego zapału do nauki. Sprawiała raczej wrażenie istoty nad wiek nierozwiniętej, ospalej, a do tego mocno krnąbrnej. Niedźwiedzica-matka nie szczędziła jej przeto upomnień wielce dotkliwych, wymierzanych doraźnie łapą rodzicielską. Od takiego upomnienia, któreby pogruchotało najtęższą ławę szkolną, leciały z Baśki kłaki, i rozlegał się kwik, jakby ją ze skóry obdzierano. Ale przecie miało to swój dobry skutek, i uczennica pod okiem roztropnej nauczycielki zaczęła robić widoczne postępy.

Nie upłynęło trzech miesięcy, a Baśka najzupełniej poprawnie umiała sztukę podchodzenia fok. A niełatwa to jest rzecz podchodzenie fok, jeśli się zważy, że niedźwiedź biały jest wprawdzie biały, ale nos ma czarny. I Baśka w tym względzie nie była wyjątkiem wśród swych siostrzyc i braci. Od stóp do czubka głowy puszyście biała, niby chodzący stóg waty, nie różniła się barwą od dziewiczych śniegów, wkrąg rozpostartych w wieczną pustynię, ale jej nossek wyglądał tak, jakby przed chwilą wyjęła go z pełnego kałamarka.

Gdyby nie czarny nos, tamecznym niedźwiedziom nicby nie brakowało do zupełnego szczęścia. W kraju, gdzie dobry Bóg całutki świat wytapetował na biało, nos o barwie czarnej jest w życiu dużą zawadą. Foka głupie to wprawdzie i głuche bydlę, ale widzi dobrze i czarnego punktu, który się ku niej ostrożnie posuwa, bardzo nie lubi i zaraz daje nura do morza, gdzie jest panią sytuacji, gdyż pływa lepiej od swych białych tępicielei.

Dlatego to podchodzenie fok u niedźwiedzi białych jest kunsztem nieładą. Gdy kudłaty myśliwy zbliży się do swej ofiary na kilkadziesiąt stóp (a robi to kołując, z miną z głupia-frant, jakby go foki całego świata nic nie obchodziły, ba! jakby o istnieniu ich

nigdy nie słyszał), dalej poczyna się czołgać na trzech łapach, a czwartą nos zasłania sobie chytrze. Te ostatnie kilkadziesiąt stóp przepelża w parę, czasami w kilka godzin czasu, aż przysunie się na odległość, którą przesadza paroma skokami. Dopiero wtedy może być pewien, że mu łup nie ujdzie.

Z tych powodów zdobycie umiejętności zasłaniania nosa na łowach jest w gromadzie niedźwiedziej niejako tem, czem matura szkolna w społeczeństwie ludzkim: kończy się szczeniakiem, zaczyna się niedźwiedź.

Pod wpływem częstych »upomnień« matki, Baśka tę umiejętność osiągnęła w stopniu dostatecznym. A ponieważ tę wiedzę wpajano w nią bardzo gorliwie, poczuła w końcu wielki wstyd, że ma wogóle nos, i poczytywała to sobie za jawną sprośność, której należy się wstydić nadewszystko.

Warto było zobaczyć Baśkę na ćwiczeniach łowieckich, gdy pod okiem macierzyńskim czołgała się do zabitej uprzednio foki, zasłaniając szczerlnie swój czarny nossek. Robiła to gestem białej łapki tak wdzięcznym i wstydlivym, jaki się widzi tylko na obrazie.

W owym czasie jeszcze większe postępy poczyniła Baśka w sztuce pływackiej. Na tem polu przewyższyła wkrótce wszystką rówieśną sobie młodzież. Cudny to był widok ujrzeć ją, zażywającą kąpieli.

Szkoła pływania mieściła się w małej zatoce, którą tworzył ocean Lodowaty, wrzynając się w łąd rozległym półksiężycem zielonej wody.

Pochyły brzeg, cały w śniegu, otaczał szmaragdową zatokę jakoby szerokim srebrnym sierpem. Wylot ku morzu zagrodzony był potężnym murem lodozwałów, podobnych do ruin fantastycznej fortecy, przed wiekami postawionej z gór marmurowych i jakiegoś przezroczyściego kamienia.

W obrębie tych kilku mil niezamarzłej wody odbywały się pływackie popisy kilkudziesięciorga niedźwiedziąt obojej płci.

Maciory patrzyły na widowisko, rozsiadłszy się na brzegu, jak matrony na kanapie. Młodociane pociechy używały tymczasem kąpieli, parszkając jak tabun żrebaków, rycząc jak stado cieląt i czyniąc zgielkliwy kwik a chrząkanie, na podobieństwo owych dwóch tysięcy nierogacizny, o których stoi w Piśmie, że »z wielkim pędem wpadły z przykra do morza«.

W gromadzie kąpiących się niedźwiedziąt Baśka wyróżniała się zręcznością i wdziękiem. Nikt nie nurkował tak, jak ona. Gdy mając na grzbiecie kilka stóp przezroczej jak dym wody, przesywała sobą wodne głębie, rzekłbyś — pocisk, zrobiony z wielkiej

głowy cukru, idzie na dno kamieniem. W chwilę już potem kołysała się łagodnie na powierzchni zatoki, nakształt bałwana, ulepionego ze śniegu przez igrające dzieci. Albo płynęła wielkimi zygzakami, sterując z łatwym wdziękiem, niby biały łabędź po stawie.

Nikt też tak, jak ona, nie potrafił »robić chryzantemy«.

»Robienie chryzantemy« w sztuce pływackiej u niedźwiedzi polarnych jest tak samo szczytem umiejętności, jak zasłanianie łapą nosa — w myślístwie.

Sztuka polega na tem, żeby złożyć wszystkie cztery łapy do kupy, wielki palec do wielkiego palca, zgiąć grzbiet w pałak i, oddawszy się całkowicie wartowi prądu morskiego, płynąć bez najmniejszego ruchu z wytkniętymi nad wodą nozdrzami. Takie ułożenie ciała daje doskonałą równowagę i pozwala płynąć bez najmniejszego wysiłku po kilka dni z rzędu.

Setki mil można w ten sposób przebywać z łatwością, trzeba tylko dobrze orjentować się, którędy jaki prąd płynie, gdyż prądy, jak wiadomo, krzyżują się w oceanie, niby linje tramwajowe w dużym mieście.

Niedźwiedź, podróżujący z łapami razem złożonemi, z grzbietem, w pałak zgiętym, gdy łagodna woda jego długą sierść rozczesze i porozdziela na niezliczone, jakby wciąż powiewające pukle, podobny jest do rozczochranego kwiatu białej chryzantemy, oderwanej od lodygi i płynącej bezdrożami. Ponieważ nie wiem, jak takie pływackie clou nazywa się w języku niedźwiedzim, nazywam je poetycznie »robieniem chryzantemy«.

Wypluskawszy się dowoli w zimnej jak lód wodzie, Baśka wynurzała się z nadbrzeżnej piany nieskazitelnie biała i ponętna, niby Wenus tamtych krain. Siadała w kucki na śniegu, przytem dymiała z mokrego futra w mroźne powietrze kłębamii pary, niby pęknięty piec kaflowy. Siedząc tak i parując, oddawała się marzeniom.

Marzyła, jak marzy dziecko ludzkie, zanim pierwszy raz poczuje, że czuje, i pomyśli, że myśli.

Czasami w jej marzeniach bezosobistych, powolnych, jak tętno natury podbiegunowej, powstawał obraz, którego nie rozumiała, wspaniała, jak rozbrzask zorzy borealnej.

Wzruszenia przedziwne podnosiły się z dna jej duszy, niby owe pęcherze powietrza, które z dna poruszonej wody rosną na powierzchni sznurami jakoby szklanych paciorków, niżących się na niewidzialną nitkę. Czuła wówczas, że coś lechcze jej gardziel, coś laskocze nozdrza. Więc poczyniała kichać po kilkanaście, po kilkadziesiąt razy, raz po raz.

Baśka, jak się tylko wzruszyła, rozpoczynała zaraz kichać.

Brano jej to za złe. Kichanie wydawało się gromadzie niedźwiedziej dziką nieobyczajnością, jak wogóle wszystko, co nie było w zgodzie ze zwyczajami, uświęconemi wśród niedźwiedzi od dnia założenia północnego bieguna. Baśka od zwyczajów odbiegała, gdyż w przeciwieństwie do rówieśnic była skłonna do silnych wzruszeń bez powodu, a w następstwie tego do kichania.

Wynikły stąd poważne zatargi z otoczeniem, a zwłaszcza ze starą niedźwiedzicą, która, chcąc Baškę od nieobyczajnego zachowania oduczyć, nie szczędziła bolesnych razów łapą, uzbrojoną w pazury, zdolne jednym ciosem oskalpować lwa.

Rozterka rosła. Baśka czuła się coraz gorzej, coraz więcej obco wśród swoich. Poczęły w niej kielkować instynkty, odziedziczone po ojcu. Nie mogła się oprzeć dziedzicznej tęsknocie do czegoś, co nawet w języku ludzkim nazwane być nie może.

Na schyłku jednego z parugodzinnych dni podbiegunowych, gdy nad zatoką zachodziło słońce, Baśka stała na brzegu, ciałem podawszy się naprzód, z wyciągniętą szyją i podniesioną głową patrzyła na zachód w krwawe i fioletowe łuny. Lodowce, odgradzające zatokę od pełnego morza, kwitły kolorowym blaskiem, jakoby pokryte wiszącymi grzędami hiacyntów. Woda wyglądała jak jeden wielki ogon pawi, po którym niezliczone iskierki mrowiły się i podskakiwały, nakształt brylantowych pchelek.

Było tak pięknie i smętnie, i wzruszająco, że Baśka zaczęła kichać, jak z baterji.

Poczem rzuciła się wplaw ku dalekim lodowcom. Płynęła do słońca. Nim zaszło, była na pełnym morzu.

Natknęła się wkrótce na silny prąd. Zrobiła więc »chryzantemę« i ułożyła się do snu. Żadna moc nie zdołałaby jej teraz zawrócić z drogi.

Zniknęły brzegi. Samotny, wspaniały ocean leżał dokoła, jak okiem rzucić, i kołysał welnę swoich fal. Gwiazdy odbijały się w ruchomej głębinie srebrnemi taśmami.

Zapadła głucha noc.

Eugenjusz Małaczewski (1896—1922).

Objaśnienia: *Tonaż*, u, ogólna suma tonn, którą zawierają okręty jakiejś floty. Tonna, jednostka wagi ładunków okrętowych; jednostka objętości = 1,44 metra sześciennego. Tonna angielska = 1015 kilogramom = 66 pudom i 2 funtom. Tonna francuska = 1000 kilogramom = 61 pudom i 2 funtom. — *Nawigacja*, ji (łac.), żegluga. — *Kaliber*, bru, wielkość. — *Rozbitkni*, i, rodz. żeński od rozbitek. — *Odchlisko*, a, strpolsk. = odchłań, otchłań. — *Le-wjatan*, a, olbrzymia ryba bajeczna, potwór morski. — *Holować*, ciągnąć statek pod wodę za pomocą linek. — *Epicki* (z greck.) tu jakby wyjęty z wielkiej, pełnej przygód opowieści o bohaterach. — *Exodus* (z greck.) = wyjście

(w greckim teatrze wyjście chóru ze sceny). Tu w znaczeniu: wejście w życie, początek. — *Edukacja, i*, wychowywanie i kształcenie. — *Dyplom, u*, tu świadectwo. — *Polarny, biegunowy, podbiegunowy*. — *Ciełę morskie*, foka pospolita, rodzaj zwierząt ssących z rzędu pletwonogich; chód mają utrudniony, czolągający, kształt podługowaty, do rybiego zbliżony, głowę podobną do psiej z sutemi wąsami; żyją gromadnie, najobficiej w morzach przybiegunowych. — *Krnqbrny*, nieposłuszny, uparty. — *Kunszt, u*, sztuka. — *Sprośność, i*, niecnota, bezwstyd. — *Lodozwał, u*, kupa brył lodowych, spartych o siebie. — *Z przykra* strp. przykro, gwałtownie, prosto z góry, nieszczęśliwie. — *Chryzantema, y*, (chrysanthemum), jastruń, złocień, pochodzący z Chin i Japonji, o ozdobnych dużych, dziwacznych nieraz kształtach, rozmaitej barwy. — *Wart, u*, prąd po linii krzywej, bieg, pęd. — *Clou, (fr.)* dosł. gwóźdź, przenośnie: rzecz najciekawsza, najbardziej niezwykła. — *Wenus*, grecka Afrodyta, bogini piękności, zrodzona z piany morskiej. — *Nizać*, nawlekać. — *Oskalpować* (z fr.) zdzierać z głowy skórę razem z włosami.

KOŃ UŁAŃSKI.

Osobny rozdział muszę poświęcić wam, przyjaciele-konie, których wysiłek towarzyszy wiernie ułanowi przez wszystkie czas kampanji i postojów. Jeżeli jest w jakim czynie naszym coś z wizji rycerskiej i niepokonanego męstwa, to niemała zasługa przypada za to bezwarunkowo koniowi. Jego przeżycia traktowaćby należało łącznie z naszymi, i to byłaby dopiero prawdziwa epopeja jazdy. Tysiące sytuacji, a niemniej przytem uczuć, odcieni i stanów duszy końskiej, — tysiąc bogatych strof.

To nie żarty.

Macie atak na ostre. Szarża rusza z początku ciężko, kłusem. Nagle zgrzytnęła broń, wyrwana z pochew, aż rozbłysło. Konie przysiadły na zadach i poszły półgalopem, rwanego, lby w ganaszach, uszy postawione na czuj. Jednocześnie manewr w pysku nieustanny — wyciąganie munsztuka. Czujesz w dłoni lewej ten napór, koń do ciebie mówi, chce pędu. Ostry krzyk komendy — puszczasz cugle. Koń momentalnie zmalął; szyja wyciągnęła się, uszy padły wtył stulone. Wiatr świszczę. W chrapach gra. Szwadron, niby apokaliptyczna bestja, kotłuje po błoni naprzód z jazgotem i wrzaskiem, miga, — poleciał... Wywiad w dzień... Koń idzie zlekka na zadzie, uszy wysunięte nieco wprzód, wsłuchane. Stąpa miękko. Czasami cicho parsknie i poruszy łbem. Oczy śledzą bystro przestrzeń.

Wywiad w nocy... Stęp ostrożny, jakby czający się. Łeb co chwila wysuwa się w ciemność. Uszy postawione prosto, drgają raz po raz. Oddechu nie słycać. Hałas cichy, jaki może powstać, wywołany bywa skrzypieniem i pobrząkiem rynsztunku. Co pewien czas koń przystaje i tajemniczo wciąga nozdrzami powietrze. Zdaje się, że węszy i słucha.

Ostrzelali cię. Koń zawinął na miejscu i w skok.

Powracasz z oddziałem. Jedziecie ławą na posterunek nieprzyjacielski. Kule brzęczą, gwizdzą i śpiewają jak owady. Stęp powolny, ale niby na paradzie. Koń mocno zebrany, szyja w pion, rozdęte nozdrza posapują ostro, odważnie. Łeb drga równo z mgnieniem oka.

Czyż te efekty zewnętrzne nie kryją całych scen, przeżywanymi samoistnie przez konia. A dochodzi do tego jeszcze to, co koń odczuwa wspólnie z jeźdźcem. Niepojęty bowiem kontakt łączy ich obu zawsze i stale.

Wczoraj np. oblatywał cię tchórz. Koń szedł niespokojnie i niepewnie. Bojaźń myliła jego krok, łeb rzucał to w lewo, to w prawo,



po skórze przebiegało drżenie. Dzisiaj jesteś mężny jak Zawisza, pragniesz spotkania. Koń idzie, podobny do stalowej sprężyny, zapatrzonej w słuch i baczne oczy.

Powiecie może, że to wszystko złudzenie i naciąganie. Jak to się jednak dzieje, że koń bojowy odróżnia marsz bojowy od zwykłego przemarszu z kwatery na kwaterę? Dlaczego na przejażdżce i na patrolu nie zachowuje się jednakowo? Kto mu podszeptął, że teraz ścigamy wroga i następujemy, a teraz cofamy się i bronimy? Bo czemu raz jest pewny siebie i wesoły, a kiedy indziej smutny, choć mu równie, jak przedtem, niczego nie brakuje. Stanowczo, koń ułański ma swoje myśli i spostrzeżenia, któremi się posługuje w wielce urozmaiconem, acz niepewnem życiu, miłuje jeźdźca i pomaga mu z własnej a nieprzymuszonej woli. Słowem, poważny udział konia w czynach naszych jest niezaprzeczalny.

Nie mówię, naturalnie, o gatunku, który trafia się w wojsku rzadko i który zasługuje ze wszechmiar na obelżywą nazwę bydlęcia. Głupi, krnąbrny i zły, stacza on bezustannie walki ze swym opiekunem. W stajni, kiedy ten najpoczuwiej w świecie wlecze buchniętą gdzieś wiązkę siana, niewdzięcznik, uprzedzając łaskę, grzebnie go kopytem. Czyszczony starannie zgrzebłem, osobliwie w najdrażliwszym miejscu, pod brzuchem, nie omieszka schwytać zębami za czapkę, mało zważając, że wyrzywa z nią garść włosów. Najdotkliwiej zaś daje się we znaki w szeregu na mustrze. Kiedy skomenderują baczność, on właśnie zaczyna się kręcić. Wściekły, że psujesz spokojny szyk, oraz klnąc w duszy najordynarniej, dojedziesz go chyłkiem w bok ostrogą. Ale skarcony zamiast się uspokoić, wpada w gniew, miota się, wywołuje zamieszanie, syki sąsiadów, poczem triumfalnie, mimo twego przeciwdziałania, wycofuje się tyłem z pierwszego rzędu na drugi, rozbijając pluton ostatecznie.

Takich koni jest zresztą zbyt mało, aby się dłużej nad nimi zastanawiać. Ogół, mający niesłychane zalety, stanowi przewagę i cierpliwością a dobrocią okupuje stokrotnie przewiny nielicznych wyjątków.

Stosunek, jaki łączy ułana z koniem, zasługuje na miano rzeczywiście wyjątkowego. Nie wiem, w której kategorii ukochań można go umieścić. Kocham przecież dziewczynę, kocham przyjaciela i — kocham konia. Kocham naprawdę. Widziałem żołnierzy bardzo wytrzymałych i poważnych, których zasępiła niejednokrotnie śmierć kolegów: płakali serdecznie nad zabitym czworonożnym towarzyszem broni. Znam osiwiałego oficera, który chorował z żalu po stracie konia. Rzecz zupełnie zrozumiała, gdyż sentyment koński w ułanach jest uczuciem głębokim i szczerem, godnym porównania z miłością. Twierdzę nawet, że nie co innego, jeno ów sentyment właśnie — miłość do konia — odgrywa rolę zalotnicy, przyciągającej ludzi do służby w kawalerji, gdzie wytrzymują zmęczenie, trud i ciężką pracę w stajni. Wytrzymują dzielnie na chwałę sobie i ojczyźnie.

Szczególniej na kwaterze występuje na jaw owa utajona więź sympatji między ułanem a koniem. W długim codziennym spóżyściu obie strony niepostrzeżenie oddziałują na siebie tak, że stanowią jedną całość co do charakteru i nawet wyglądu. Pewne ruchy i gesty człowieka przejmują koń, i odwrotnie — człowiek nabiera manier końskich. Jest coś naprawdę komicznego w tem rzucającem się na pierwszy rzut oka podobieństwie, nie we wszystkim, ma się rozumieć, ale w pewnych tylko rzeczach, w linji i w jakimś trudnym do określenia czynie.

Nie można już tego powiedzieć o koniach oficerskich. Są one zazwyczaj i piękniejsze, i lepsze, nigdy jednak nie posiadają tego, co tamte, »człowieczeństwa«, tych podobieństw ułańskich i odruchów, które niewątpliwie wytwarza stałe obcowanie. Spędzamy razem czas w stajni i na pastwisku, męczymy się, narzekamy na słotę, upaja nas piękny dzień, zwyciężamy, uciekamy — zawsze z nim, nierozłączni aż do śmierci. Co więcej: rozmawiamy, t. zn. zapytujemy konia i sami sobie za niego odpowiadamy, a nie zdziwilibyśmy się bynajmniej, gdyby koń zechciał wypowiedzieć się słowami.

Czasy kampanji nad Styrem i Stochlodem były dla końskiej części szwadronu najgorsze. Dużo roboty — mało strawy. Jeszcze w linji — mogliśmy temu zaradzić, rekwirując ziarno i siano, gdzie się jeno dało. Ile to było pociechy, gdy taki poważny doktor praw wnikał do zamkniętej stodoły chłopskiej przez podstrzesze i wyciągał stamtąd wiązki koniczyny i siana dla swego ulubieńca. Bardzo subtelna w innych rzeczach etyka nasza tutaj głuchła i ślepa zupełnie, albowiem prawdą jest najsmutniejszą, że łatwiej znieść głód samemu, niż mieć głodnego konia. Zresztą nie wolno mieć głodnego konia pod grozą grzechu.

Możecie sobie zatem wyobrazić rozpacz naszą w Majdanie, gdzie obroki były bardzo liche, a czasami nie było ich wcale. Mówiło się, że, zamiast jeść, konie »czytają gazety«. Dokarmialiśmy je wtedy chlebem żołnierskim i ziemniakami, zapewnialiśmy wzajemian sto innych przyjemności, jak wzorowo urządzone stajnie, powietrze, słońce, dwukrotne w ciągu dnia czyszczenie i t. p. Taka z tego, mówiąc nawiasem, była korzyść, jakbysь mając apetyt na dobry obiad, dobrze się umył. Okoliczne wsie objadła szarańcza wojsk, nie mieliśmy więc skąd czerpać. Dopiero wczesne trawy wiosenne uratowały sytuację i przynajmniej oszukały pierwszy głód. Później już trzymaliśmy konie prawie całymi dniami na łąkach, a na noc zadawaliśmy im nowe porcje nakoszonego uprzednio siana.

Naogół osiłą życia ułańskiego na kwaterach są konie, i zawsze starania przy nich były większe, niż przy ludziach. Lepsze stodoły wybieraliśmy na stajnie, gorsze na mieszkania. Nieraz podczas mrozu, gdy wypadł zły nocleg, ułan grubszą derką okrywał konia, a cieńszą siebie. Troskliwość posuwali niektórzy do rozrzewniającej przesady. Ułan I-go plutonu, Onio Baliński, zabraniał hałasować przy stajni. »Nie krzyczcie tam, — wołał — bo moja Dumka śpi«. I nawet ten komizm ma swoje źródło w szczerym sentymencie duszy żołnierskiej, znajdującej wyraźny oddźwięk w zwierzęciu. Zauważcie, jaką złośliwą i jednocześnie trochę zawstydzoną minę ma koń, kiedy ułan najzwyczajniej spadnie. Ale gdy go zmiecie śmierć z sio-

dła, spojrzycie: rozwiana grzywa, w oszalałych oczach strach. Tętent rozpaczliwego galopu budzi chyba echo w czyjemś dalekiem, niewiedzącem sercu...

Jakże cię nie kochać, koniu wierny!

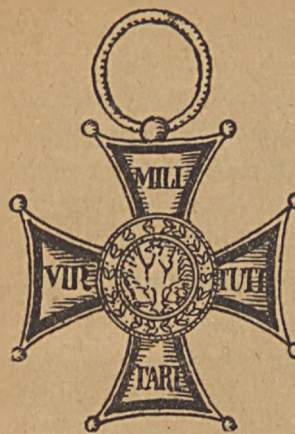
Wacław Budzyński.

Objaśnienia: *Kampanja*, i, wyprawa wojenna, działania wojenne. — *Wizja*, i, widzenie w wyobraźni, zjawisko wyobraźni. — *Atak na ostre*, natarcie na nieprzyjaciela lancą, szablą. — *Szarża*, y, natarcie konnicy. — *Ganasze*, y, (fr.) boki szczęk u konia; w *ganaszach* = mocno ściągnięte. — *Postawione na czuj*, czujnie nastawione. — *Apokaliptyczna bestja*, potwór, jeden z opisywanych w Objawieniach św. Jana Apostoła: »I ukazał się drugi znak na niebie, a oto smok wielki rydzy (rudy, czerwono-żółty), mający siedm głów i rogów dziesięć, a na głowach jego siedm koron. A ogon jego ciągnął trzecią część gwiazd niebieskich i zrzucił je na ziemię« (rozd. XII). »I widziałem bestję, wychodzącą z morza, mającą siedm głów i rogów dziesięć, a na rogach jej dziesięć koron, a na głowach jej imiona (wyrazy) bluźnierstwa. A bestja, którąm widział, podobna była rysiowi, a nogi jej jako niedźwiedzie, a gęba jej jako gęba lwowa« (XIII). Przekład z XVI w. ks. Jakóba Wujka (1540—1597). — *Szwadron*, u, oddział jazdy ze 120 do 150 koni. — *Kotłować*, zbierać się. — *Jazgot*, u, przeraźliwe dźwięki, krzyki, wrzawa. — *Ostrzelać*, skierować szereg strzałów w jedno miejsce. — *Mocno zebrany*, skupiony w sobie. — *Zawisza z Garbowa*, herbu Sulima Czarny (od czarnej zbroi), słynny z odwagi i rycerskości, żył w w. XV. Walczył rycersko najpierw w obcej służbie, następnie był dzielnie pod Grunwaldem Krzyżaków, posłował od Jagielly, wreszcie udał się z cesarzem niemieckim, Zygmuntem Luksemburskim, na wyprawę przeciw Turkom, i gdy cesarz, przerażony potęgą turecką, cofnął się, nasz rycerz sam rzucił się na nieprzyjaciela, został wzięty do niewoli i zamordowany. — *Buchnięty*, żarg, ukradziony. — *Zgrzebło*, a, metalowe narzędzie do czyszczenia koni, podobne do szczotki. — *Pluton*, u, część szwadronu, składająca się z 20 do 40 ludzi. — *Kategoria*, ji, rodzaj. — *Sentyment*, u, uczucie, żywione względem kogoś. — *Zalotnica*, y, istota, starająca się podobać, pociągnąć, przynęcić. — *Rekwirować*, zabierać urzędowo. — *Doktor praw*, ten, kto po ukończeniu uniwersytetu otrzymał wyższy stopień za pracę naukową. — *Podstrzesze*, a, miejsce pod strzechą, poddasze, góra. — *Majdan*, wieś w głuchym borze niedaleko Stochodu, dopływu Prypeci. — Ilustracja: »Wierny konik« J. Kossaka.

POCHWAŁA PIECHOTY.

Nie w pysze galowych mundurów,
rabatów, lampasów i sznurów
do słodkich zaprawia się szarż;
lecz płowa, jak ściernisk szarota,
przez puszcze, przez piachy, przez błota
bojowy prowadzi swój marsz

— piechota!



Dla innych oklasków wiwaty
i spojrzeń dziewczęcych bławaty —
zwyćzcom któż byłby nie rad?
A w polu, gdzie w drutów pazury
salw biją armatnich wichury,
tam — w piersi swe biorą kul grad
— piechury.

W okopy, pod ziemię zaparta,
zbiedzona, zbłocona, obdarta,
jej dolę z łat poznasz i dziur;
drapieźna, jak krwawa tęsknota,
co spotka na drodze — druzgota,
co wydrze — to trzyma, jak mur
— piechota!

Gdzie bój się przewala szalony,
pryskają pod ogniem szwadrony,
i grzęzną armaty wśród błot;
tam — wtędy szlak znacząc z purpury,
przez ogień — i dymy — i chmury
w zwycięski rzucają się lot
— piechury.

Tak w trudach i żmudach żywota
z dnia na dzień się w szturmach szamota
i w ciągły ze śmiercią gna tan,
aż kiedyś z bojowisk pokota
legenda się krwawa wymota,
i błysnie w wawrzynach swych ran
— piechota!

Rajmund Bergel.

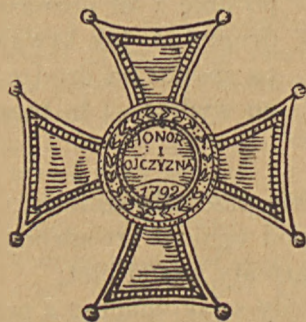
Objaśnienia: *Galowy*, odświętny. — *Żmuda*, y, strata czasu, gdy robotą się nie udaje; ślota. — *Pokotem*, ławą, rzuconem na ziemię, leżącym na ziemi mnóstwem. Z *bojowisk pokota* przen. = z leżących trupem na pobożowiskach zastępów piechoty.

KRWAWY SPADEK.

A to jest krwawy spadek wasz
I krwią pisane ku wam słowa:
Trzymajcie ziemi onej straż,
Gdy przejdzie zamieć piorunowa...

Nie dajcie szarpać ziemi łona,
 Gdy krwią dziś świeżą poświęcona!...
 Zaś którzy wyszli z pośród was
 I krew oddali swą serdeczną,
 Niech będą wartą wam słoneczną
 Po wszystkim czas — po wszystkim czas —
 I niechaj granic polskiej ziemi
 Duchami strzegą płomiennemi!...

Józef Mączka. Legjonowo 1916 r. (zm. 1918).



Objaśnienia do ilustracji: Rysunek na str. 357 przedstawia wielkości naturalnej prawą, na str. 358 lewą stronę współczesnego orderu wojskowego »Virtuti militari«, przywróconego ustawą z d. 1 sierpnia 1919 r. Order metalowy z prawej strony czarno-omaljowany z obramieniem złotem, w środku tarcza złota, orzeł biały, wieniec zielony. Lewa strona złota, wieniec zielony. Order nosi się na wstędze niebieskiej z czarnymi po obu stronach prążkami. Krzyż V. M. jest nagrodą czynów wybitnego męstwa w boju, połączonych z poświęceniem się dla dobra ojczyzny. Do posiadania orderu przywiązana jest pensja roczna, tytuł Kawalera Orderu, awans (podniesienie) na wyższy stopień wojskowy, prawo do honorów ze strony wojskowych równych stopni, orderu nie posiadających, pierwszeństwo przy nadziale i t. d. Posiadacze orderu V. M. tworzą braterski zespół pod nazwą »Zgromadzenia Kawalerów Orderu V. M.« z Kanclerzem orderu i Kapitułą na czele. Kapitułę tworzy 12 najstarszych Kawalerów Orderu, Kanclerzem jest przewodniczący Kapituły. Dniem święta orderu V. M. jest dzień 3 maja, jako rocznica wiekopomnej Konstytucji 1791, wśród której obrońców powstała myśl stworzenia tego orderu. Order V. M. dzieli się na pięć klas. Pierwszą stanowi »Wielki Krzyż« czyli powiększony, na wstędze szerokiej, biegnącej przez prawe ramię na lewy bok. Obok wstęgi na lewej piersi nosi się gwiazdę orderową. Drugą klasę stanowi: »Krzyż Komandorski« do noszenia na szyi, trzecią — »Krzyż Kawalerski«, czwartą — »Krzyż Złoty«, piątą — »Krzyż Srebrny«.

MOGIŁA BOHATERA.

Tam na górze rośnie kwiecie,
 gdzie stał ułan na pikiecie...
 Tam na górze śród gęstwiny
 dzikie róże i jaśminy
 rozkwitają...

Czasem zdala
 wicher z zachodniej krainy
 przyleci i pozapala
 rumieńcem różane kwiaty,
 że zapłoną jak rubiny...
 A jaśminy z łęku zbledną
 i będą pytać o jedno:
 »Skąd lecisz, gończe skrzydlaty,
 zali z Polski?«

Czasem zdala
 przyfrunie wędrowny ptak
 i zasiądzie na mogile...
 Czasem tęczowe motyle
 obsiędą różany krzak.
 A kiedy z polskiej krainy
 wicher przyniesie złe wieści —
 jeżeli piosnka ptaszyny
 bezmierną wzbierze rozpaczą
 i zmieni się w hymn boleści —
 wówczas dzikie róże płaczą,
 i płaczą śnieżne jaśminy...
 Milkną wtedy wichru jęki,

ptak przerywa przerażony
 smutne tony swej piosenki,
 i dziwi się cały świat:
 »Czemu stąd odeszła radość?
 Czemu się gęstwiny mroczą?
 Czemu płacze każdy kwiat?
 Te róże krwią dzisiaj broczą,
 te jaśminy mają błądność
 trupów...«

A gdy wiatru wiew
 radośnie z zachodu wieje,
 zielenią się liście drzew,
 słodko brzmi ptaszęcy śpiew,
 wszystko szczęściem promie-
 [nieje...
 Wiatr łagodny, wiatr pogodny
 wiarą i nadzieją wzbiera...
 pięści zielone gęstwiny
 i, strząsając kwiaty z drzew,
 sypie róże i jaśminy
 na mogiłę bohatera...

Juljan Ejsmond.

Objaśnienia: Pierwsze dwa wiersze są zmienionym początkiem znanej piosnki Franciszka Kowalskiego (1799—1862). »Tam na błoniu błyszczy kwiecie, stoi ułan na wiedzie...« — *Wideta, pikieta, y*, (z franc.) żołnierz konny, lub mały oddział żołnierzy, stojący na czatach.

CZEŚĆ V.

SZCZĘŚLIWE LUDY.

Szczęśliwe ludy, gdy im w górze świeci
Wolnej ojczyzny widoma potęga,
Co, darząc blaskiem najuboższe dzieci,
W podziemia nędzy i boleści sięga.

Szczęśliwe kraje, gdzie pokoleń praca
Nie idzie wniwecz wśród gromów i burzy,
Lecz gdzie czyn wszelki ojczyznę wzbogaca,
I gdzie myśl każda jej triumfom służy.

Szczęśliwe ludy i szczęśliwe kraje,
Gdzie genjusz wodza, bohatera męstwo
I żywot, który w ofierze oddaje,
Wielkim ideom zapewnia zwycięstwo.

Tam nawet nędzarz, którego w proch zetrze
Zawziętość losu, głowę wznosi śmiało,
Gdyż, w pierś wciągając rodzinne powietrze,
Oddycha szczęściem narodu i chwałą.

Tam są szczęśliwi, co w niedoli mogą
Śnić, że ich dzieciom losy się uśmiechną,
I ze spokojem patrzeć w przyszłość błogą,
I o pomyślność oprzeć się powszechną.

Adam Asnyk (1838—1897).

FRANCJA I POLSKA.

Legenda mówi, że gdyby cienie poległych synów Francji za tej wojny straszliwej przechodzić poczęły ciągłym szeregiem, żołnierskimi czwórkami, w marszu pospiesznym poprzez jakąkolwiek

miejscowość ziemi, to te armje umarłych, legje duchów kroczyłyby nieprzerwanie przez dni czternaście i czternaście nocy.

Serce ludzkie drży wobec tej rewji straszliwej i z głębi swojej wypycha na usta okrzyk:

— Wieczna chwała poległym!

W nich duch ludzkości całej, przeszłej i przyszłej, poznaje się w samym sobie, widzi się w najgłębszej swojej istocie, w jestestwie swoim, w niedoli swej i w sławie.

Oszczerstwem bohaterskiego czynu armji poległych jest twierdzenie tych, którzy rozgłaszają, że to wola bogaczy, skryte dążenia piastunów władzy do rozpostarcia imperjalistycznej państwa potęgi, że jedynie żądza zaboru dla wyzysku cudzej ziemi i cudzej pracy otwarła przed temi wojskami żywych jamę mogiły.

Te wojska poginęły nie na ziemi cudzej, lecz na ziemi ojczystej, którą naszedł, zniszczył, zdeptał, stratował i spalił zewnętrzny wróg. Trupy ich krwawym pasem przecięły wszystkie drogi i ścieżki, prowadzące do miasta Paryża, stolicy kultury ziemskiej — nieprzebytemi zasiekami legły przy każdej skibie i w każdej brózdzie napadniętej ojczyzny, — pierścieniem nie do złamania okrążyły góry min, miasta-stosy ofiarne, — Arras, Reims, Soissons, Verdun — zawałyły doliny Chemins De Dames i zaciśniętymi pięściami objęły każde drzewo w lesie Argonów.

Z dalekiej ziemi, której sama nazwa zapomniana została przez ludy wolne, wznosi się teraz ten okrzyk miljonowych rzesz ku wiecznej chwale poległych.

Albowiem oni leżą w ziemi nietylko za wolność, za honor i za przyszłe szczęście Francji, lecz pogrzebani są za wskrzeszenie z martwych, za honor i przyszłe szczęście Polski.

Oreź obronny z zastygającej ich dłoni przypadł do ręki, która aż dotąd schła w kajdanach tyranów.

Dźwignięta jest na nowo sława wielkiego polskiego narodu. Podniesiona jest nad szerokimi ziemiami chorągiew sprawiedliwości. Obudzone jest do życia, nowego czynu dobro tam wszędzie, gdzie przemoc niedolę bezlitosną, zlorzeczenie i zemstę przez półtorasta lat zasiewała.

Wielkie prace o niezmiernym zakresie, nieprzeliczone zabiegi cywilizacji rozwiną się w jałowych dotąd pustkowiach.

Wnętrze głuchej ziemi zahuczy teraz od uderzeń młotów i oskardów, a skarby bezcenne potężna praca wyrzuci na powierzchnię z martwego łona głazów, by odrodzić i wzbogacić stare miasta, nieme i głuche, by podźwignąć wsie i osiedla.

Schnąć będą od wielkich człowieka poczynań odwieczne błota, i w rolę urodzajną przemieniać się piaski bezpłodne.

W pracownice niestrudzone przedzierzną się dzikie lechickie rzeki, dźwigając węgiel, a świst lokomotywy, przodownicy postępu, roztrącać się będzie o skalne urwiska gór, przesywać wicher Bałtyku, płoszyć sen głuchy głębokich lasów i zakłócać ciszę zaniedbanych pól.

Nad wszystkimi rolami, które posiadzie wydziedziczeniec, nabywca ich w ciągu stuleci za cenę krwi i znoju, nad zagonami, które umiejętność uprawy fizycznym trudem milionów, rozlegnie się pieśń szczęśliwa człowieka, wyswobodzonego z ucisku.

Zniknie słomiana strzecha jego schronienia i zgnily barłóg legowiska, spłonie pospołu z niewolą zaraza, nędza i ciemnota. Wyniesiony zostanie dla synów wolności dom, godny obywatela. Wielka, nieustająca i nigdy nieskończona przemiana ze złego na lepsze dzieć się będzie wciąż w oczach świata na tej ziemi, którą lud polski przed niezmiernością wieków obsiadł, a teraz na wieki wieków wydiera wrogowi.

Na straży tego dzieła, które jest zyskiem świata i dobrem kultury, do obrony granic wolnego kraju i do obrony polskiej pracy, wiecznie nowe skarby tworzącej, stać będzie armja młodzieńców i mężów, przenigdy niezwyciężona.

Polska przez sto pięćdziesiąt lat w lochu swojej niewoli dowiadywała się, czem jest wolność i czem jest niewola.

Teraz już wolności swej nie odda.

Strumieniami żywej krwi i strzępami, wydartymi z żywego ciała, osiągnęła ścisłą wiadomość, kim jest Niemiec, jaka jest jego wola, jego dusza zbiorowa, jego prawo, słowo jego przysięgi i jego honor.

Odtąd — nie pójdzie już Niemiec na wschód.

Zostanie w granicy swojej, którą z Polski żywego ciała wyszarpał, w domu swym, na swoich drogach i własną rolę uprawiać musi.

Nie pójdzie już Niemiec na zachód.

Nie będzie już na jawie śnił, jak to weszło w nałóg jego filozoficznego myślenia, o przrzucaniu ludów z wolnej ojczyzny ich na obce ziemie, które on im wyznaczy — o wytępieniu plemion »mniej wartościowych« i o przyswajaniu sobie plonów, wydartych przyrodzie przez krwawą pracę, dla nasycenia i napojenia narodu, uznanego przezeń za dobro świata jedyne. Będzie już odtąd dotrzymywał słowa przysięgi.

Łzami wymyje i krwią, z rany płynącą, zamaże hasło, wryte

na jego bojowej tarczy; — »siła idzie przed prawem« — i hasło: — »wyniszczyć«.

Musi uznać za swoje słowo Twojego herbu, o Bojownico Wolności! — »prawo człowieka i obywatela«.

Polska nie pożąda ani jednej piędzi ziemi niemieckiej. Wyciągnie ona braterską dłoń do nowego Niemiec świata pracy i pierwsza uczci wielkie odrodzenie ich w duchu, jako ludu równego z równymi i wolnego z wolnymi.

Lecz na rubieży starej ziemi, która przez wieków tyle oparła się tyranów teutońskich przemocy i zdradzie, a zachowała naddziadów mowę, od ucisku świętą, ustawi niezłomny mur z piersi polskich żołnierzy.

W piersiach tych zamieszka na zawsze pamięć wielkiej armji zabitych Francuzów, braci z pod Château-Thierry.

W piersiach tych żyć będziesz wiecznie, o nieśmiertelna, przednia legjo człowieczeństwa, odrodzonego w duchu, nad którą rosna murawy i kwiaty, łzami matek polewane.

O Francjo! Zaufaj wdzięczności, męstwu i honorowi Polaków...

Stefan Żeromski.

Objaśnienia: *Cienie poległych synów Francji*. Ogółem straty armji francuskiej w tej strasznej wojnie wynoszą: 1,393.000 wojskowych i 60.000 ludności cywilnej; rannych niezdolnych do pracy około 2,000.000. Zniszczeniu uległo 400 francuskich miast i wsi, 60.000 domów i budynków szkolnych, 20.000 fabryk. — *Rewja*, i (z Ir.) przegląd. — *Jestestwo*, a, istność, rdzeń, treść istoty. — *Oszczęrstwo*, a, zjadliwa obmowa, bezczelne, niesłuszne oskarżenie. — *Imperjalistyczny*, panujący, dążący do panowania. — *Arras* (czyt. Aráss), główne miasto francuskiego departamentu Pas-de-Calais (czyt. Padekalé) na północy Francji, na prawym brzegu rzeki Skarpy, pamiętne z zawziętych, bohaterskich walk Francuzów i Anglików z wojskami niemieckimi i austriackimi w wojnie 1914—1918 r. Podobnie miasto *Reims* (czyt. Ress), jedno z najstarszych, najpiękniejszych miast Francji, leżące w departamencie Marny. Cudowną katedrę z XIII wieku Niemcy zburzyli wystrzałami armatnimi. — *Soissons* (czyt. Suasa) starożytne miasto w depart. Aisne (czyt. En) nad rzeką Aisne; w okolicach Soissons obie armje najzawzięciej zmagaly się przez długi czas. — *Verdun* (czyt. Werdę) miasto i twierdza w depart. Mozy nad rzeką Mozą. Wszystkie próby zdobycia ze strony wrogów, podejmowane przemożnymi siłami od lutego do grudnia 1916 r. rozbiły się o bohaterski opór obrońców. Miasto otrzymało od prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej Krzyż Legji Honorowej. — *Chemins de Dames* (czy. Szme de Dam) wzgórze w okolicach Soissons, słynne z krwawych, długotrwałych walk w czasie wojny 1914—1918. — *Argony*, las Argoński, leśna, górzysta okolica we Francji północno-wschodniej, rozciągająca się od Marny do Mozy po obu stronach rzeki Aire (czyt. Er) niedaleko Verdun. Z Lotaryngji do Szampanji prowadzi tu mnóstwo wąwozów, uważanych w historii wojen za Termopile francuskie. Głośne z krwawych walk ostatniej wojny. — *Prawo człowieka i obywatela*. »Dekla-

racja (z łac. = Ogłoszenie) praw człowieka i obywatela, uchwalona przez francuskie Zgromadzenie Narodowe Ustawodawcze, zwane inaczej Konstytuanta, 4 sierpnia 1789. W 17 artykułach Deklaracja głosiła wolność i równość praw wszystkich ludzi, prawo do oporu przeciw uciskowi, oddawała najwyższą władzę nie królowi, lecz narodowi, wprowadzała tolerancję religijną, dawała swobodę wypowiedzenia myśli i przekonań, zastrzegała nienaruszalność własności. — *Rubież*, y. granice, kraniec. — *Château-Thierry* (czyt. Szató-Tjeri). Miasto nad Marną na wschód od Paryża w dep. Aisne. Stoczono tu wiele zwyciężonych walk.

O, WISŁO, WISŁO!

O, Wisło, Wisło!

Żywa pieśni ludu polskiego, nigdy nie przerwana wieści o tem, co się dokonało za dni, które leżą w zamierzchłej dali czasów, i wieczny pozwie ku przyszłości bez końca!

Podniosło się nad wszystkimi twemi wodami, gdziekolwiek brzmi polska mowa, jedno westchnienie i wpoprzek rozdzielonych krain, jako żywiący wiatr, przepływa.

Przed tysiącami lat złożył szczęśliwy los u wezłowania Wisły, tam, gdzie się jej splawność zaczyna, w Śląsko-Krakowskiem Zagłębiu skarby węgla, których przez pół tysiąca lat nie wyczerpie najbardziej wyteżona i najbardziej obfita praca całego plemienia.

Pożąda pracy polski lud.

Jego pot przez tysiąc lat przepoił powierzchnię ziemi i przesiąkł aż do skarbu w głębinie.

Polskiego ludu to skarb.

Węgiel, sól, nafta.

Ujmię nareszcie brzegi wiślane plemię, w jedno zrosnięte.

Obwaruje je wreszcie niezłomneŃmi tamami, zabezpieczy na zawsze zlotodajne niziny, wielkimi pracami wymiecie nierówności dna, rozległe mielizny, brózdy i wzgórze, fałdy i jamy ze stromemi ścianami, studnie kilkusetnietowej głębinie, wywiercone przez nagłe wiry.

Powiększy i unormuje głębokość żeglowną, ułatwi ruch lodów. Zaginie w Wiśle odwieczna, bezpłodna łacha i odwieczny, rokroczny zator — czterokrotna w roku powódź, samopas i niewolniczo, niszczyielsko i obłędnie chodząca masa wód.

Podjęte znowu zostanie dzieło Wielkiego Kazimierza.

Ugną się swawolne nurty pod setkami tysięcy skut i komięg, bez przerwy, dzień i noc, darmo i szybko wiozących węgiel do Warszawy i Gdańska.

Przyszłe życie Polski otrzyma za cenę pracy plemienia dwie

potęgi: beźmiar węgla, dostawiony do miast i wsi przez rzekę, posłusznie pracującą w ciągu stuleci.

Rozrosną się od tysięcy fabryk stare grody: — Kraków, Sandomierz, Warszawa, Płock, Toruń, Gdańsk.

Nienastarczona a niewyczerpana masa węglowa narzuci pracę pokoleniom, wyżywi i z bogaci prowincje.

Stanie Warszawa na linii skrzyżowania kolei z Londynu do Kalkuty, z Paryża do Władywostoku, z Gdańska do Triestu.

W obrębie miasta, w jego łonie olbrzymiem leżeć będzie czcigodne pole wolskie i czcigodne pole grochowskie, cytadela, szkoła marzeń o Polsce wolnej, i Wilanów, pamiątka po wodzu, który uczył wspierać po polsku sąsiada w niedoli.

U bram miasta znajdzie się czcigodne pole raszyńskie i czcigodne pole wawerskie.

Na placu Saskim, tam gdzie Wilczek i Śląski rzucali w twarz tyranowi moskiewskiemu najprawowitsze wyzwanie na pojedynek, przeszywając swe nieulekłe serce rycerskie szpadami w obronie honoru swego i narodu — wolny lud straci dzwonicę, która Polsce wieczną niewolę wydzwaniać miała, i zetnie złote kopuły cerkwi, które jej w oczy wieczną sromotą przyświecać miały.

Kadłub cerkiewny, dzieło artyzmu, zdobiony cennymi Wasniecowa freskami, zostać powinien, gdyż nie popełnia Polak barbarzyństwa.

Na znak skwitowania i wyrównania rachunków ten kadłub zawrze w sobie cywilny skarb narodu.

Tam, pod strażą żołnierską, a na oczach pokoleń, spocząć powinien szczerbiec Chrobrego i korona, odebrana z Petersburga, serce Kościuszki, przyniesione z Rapperswilu, buława Czarnieckiego, którą pod Łowiczem w roku 1806 Jan Henryk Dąbrowski otrzymał, sztandary z pod Byczyny, z pod Wiednia, z pod Raclawic, z pod Raszyna, z pod Stoczka, z pod Małogoszcza, — rękawica Żółkiewskiego, szable wodzów i postronki, na których zawisł Traugutt z towarzyszami.

Stefan Żeromski.

Objaśnienia: *Pozew*, zwu, wezwanie, wołanie. — *Wezłowie*, a, oparcie dla głowy, wsparcie nad głowę. — *Unormować*, uregulować, uporządkować według pewnej metody. — *Łacha*, y, odnoga rzeki, boczne koryto rzeki, oddzielające się od głównego. — *Zator* u, zamknięcie, zawalenie drogi przez kry lodowe, kamienie, piach. — *Tama*, y, budowla wodna do wstrzymania lub skierowania nurtu albo do utrzymania wody na pewnym poziomie. — *Dzieło Kazimierza*. Ruch handlowy odbywał się w dawnych czasach po drogach wodnych. Powodowany troską o rozwój handlu Kazimierz Wielki (1333—1370) pobudował nad Wisłą szereg istniejących do dziś śpichrzów zbożo-

wych. — *Komięga*, i, statek wodny, bezmasztowy, czworoboczny do spławu zboża na rzece. Załoga od 9 do 12 ludzi. — *Szkuta*, y, największy ongi statek żaglowy rzeczny w kształcie łodzi do spławiania zboża, z załogą od 16 do 20 ludzi. — *Kalkuta* w Indjach Wschodnich na lewym brzegu Hugly, odnogi Gangesu, ognisko handlu Indyj Wschodnich z Anglią, najważniejsze miasto handlowe w Indjach. — *Władywostok*, port na Syberji nad morzem Japońskim. Krańcowa stacja kolei Syberyjskiej. — *Triest*, duży port nad Adryatykiem, prowadzący ogromny handel morski, szczególnie z Wschodem. Przed wojną 1914—18 należał do Austrii, obecnie do Włoch. — *W jego łonie olbrzymiem*. *Lono*, a, brzuch, żywot, wnętrzości i pierś, tu przenośnie: w jego wnętrzu, zrosniętym olbrzymio. — *Pole wolskie*. Na gruncie Woli w 1831 r. wznosiły się fortyfikacje Nr. 56, obejmujące kościół i cmentarz rowem i okopami wysokości 12 stóp. Bronił ich w czasie oblężenia Warszawy stary żołnierz, któremu w wyprawie 1812 r. kula urwała nogę, gen. Sowiński, na czele 1300 żołnierzy zamiast niezbędnych 4000. 6 września Rosjanie przemożnymi siłami zajęli redutę Nr. 54, broniącą dostępu do fortyfikacyj (zwycięzców z resztkami obrońców i redutą miał wysadzić w potwierzę jej wódz, porucznik Ordon), potem szaniec Nr. 57, a wreszcie fortyfikację Woli. Bohaterska obrona zakończyła się śmiercią wodza. — *Pole grochowskie*. Wielki i Mały Grochów, dwie wsi po obu stronach szosy na południo-wschód od Pragi. W słynnej bitwie 24—25 lutego 1831 r. Polacy zajmowali tu obszerną, pełną moczarów i bagnisk równinę, z jednej strony otoczoną Wisłą i jej łachami, z drugiej lasem. Prawe skrzydło opierało się o bagna, lewe przechodziło ku północy przez lasy olszowy ku Kawęczynowi. Ten las, historyczna Olszynka, pozycję czołową, klucz do równiny przed Pragą, czterokrotnie wydzierali wojska polskie przemożnemu nieprzyjacielowi. Krwawa bitwa, pełna wielkich, bohaterskich momentów ze strony nielicznych wojsk polskich, zakończyła się ich cofnięciem się na Pragę i do Warszawy. Polacy pod dowództwem gen. Chłopickiego stracili około 7000 ludzi, Rosjanie pod wodzą Dybicza obliczali straty na 9400. — *Cytadela*. Po upadku powstania 1831 roku Mikołaj I-szy (1825—1855) zaprojektował wybudowanie warownej fortecy w stolicy, cytadeli (z włos.). Stała ona r. 1834 w podmiejskiej dzielnicy Żoliborz (fr. Joli-bord = piękny brzeg), przypierającej do Wisły, na gruntach wywłaszczonych (między innymi na gruntach szkoły Pijarów). W 1835 r. Mikołaj mówił do przedstawicieli społeczeństwa polskiego w Łazienkach: »Wzniosłem tu cytadelę Aleksandrowską; oświadczam wam, że przy najmniejszym zaburzeniu każę miasto bombardować. Zburzę Warszawę i z pewnością nie ją odbuduję«. Cytadela była zarazem więzieniem, miejscem męczarni i traceniu bojowników narodu i wolności przez lat 80. Tu w X pawilonie od 19 maja do dnia śmierci 5 sierpnia przebywał w celi Nr. 20 nieśmiertelnej pamięci Naczelnik Rządu Narodowego 1863 r., Romuald Traugutt, tu przebywali jego bohaterscy towarzysze: Rafał Krajewski, Roman Żuliński, Józef Toczyski, Jan Jeziorański. W 1901 r. w tym samym X pawilonie więziony był przyszły Naczelnik Państwa Polskiego, Józef Piłsudski. W rękach Niemców Cytadela została, czem była: pełną wojska fortecą, zagrażającą miastu, i więzieniem »przestępców« politycznych. Po rozbrojeniu Niemców (listopad 1918 r.) Cytadelę zajęło wojsko polskie, a naczelnie władze państwowe otoczyły staranną opieką pamiątki narodowe, szczególnie słynny pawilon X. — *Wilanów*, a (Villa nuova = nowa wieś), wieś o milę od Warszawy, nabyta w 1677 przez Jana Sobieskiego, który z pomocą włoskich artystów i rzenieśników wznosił tu pałac w stylu (na wzór) wło-

skim z dwoma skrzydłami i otoczył go ogrodem ze wspaniałymi szpalerami, do których sadzenia własnymi rękami dopomagał. Tu zmarł 17 czerwca 1696 r. Drogą spadku po kądzieli (po kobietach) przeszedł Wilanów wreszcie do rodziny Branickich. — *Pole rasyńskie* pod wsią 11 wiorst na południe od Warszawy odległa, pamiętne krwawą bitwą 19 kwietnia 1809 r. pomiędzy wojskami austriackimi a wojskami Księstwa Warszawskiego pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego. Wojsko polskie plac boju utrzymało. — *Pole wawerskie*. *Wawer*, wra, wieś pod Pragę na południo-wschód od Grochowa, pamiętna bitwą 19 i 20 lutego 1831 r., poprzedzającą bitwę pod Grochowem. — *Plac Saski*, dawny dziedziniec przed pałacem saskim. Pałac zbudował w 1724 r. król August II-gi Sas na miejscu nabytych zburzonych budowli. W r. 1837 rząd rosyjski sprzedał pałac Janowi Skwarcowi, który całą budowlę rozebrał i wystawił nową w 1842. Do pałacu przytykał ogród Saski, urządony w guście francuskim, na miejscu ulic, pałacyków, dworów, zakupionych przez Augusta II. Ogród otwarto w 1727 r., w roku 1817 przerobiono go. Na placu Saskim odbywały się przeglądy wojska. Tu w grudniu 1801 r. i styczniu 1807 oglądał wojsko francusko-polskie Napoleon, tu przedstawiał mu swych synów dzielny dowódca ludu Warszawy z r. 1794, majster szewski, Jan Kiliński, tu później katował żołnierzy wielki książę Konstanty. Aby uniknąć dzikich wybryków księcia, generałowie, jak Dąbrowski, Chłopicki i inni, usuwali się z wojska, oficerowie, jak Wilczek i Ślaski, znieważeni, by nie zabić krzywdziela i nie wystawić ojczyzny na zemstę ciemnieców, pozbawiali się życia. — *Dzwonnica*, najwyższa w Warszawie, zbudowana obok cerkwi na Placu Saskim; rozebrana w 1921 r. Ogromny Sobór, cerkiew katedralna, w stylu rosyjsko-bizantyjskim, krzycząco różnym od całego otoczenia, rozpoczęto budować na placu w 1894 r. — *Kadłub*, a, ciało, gmach. — *Wasnieców*, wybitny malarz rosyjski. — *Fresk*, u (z wł.) obraz, malowany w pewien sposób bezpośrednio na ścianie, suficie, wogóle na świeżym tynku. — *Szczerbiec Chrobrego*. Miecz króla Bolesława Chrobrego (982—1025), według podania mający szczerbę od uderzenia w złotą bramę Kijowa w czasie wyprawy na Ruś 1018 r. Wraz z koroną zginął ze skarbcu katedry krakowskiej w XIII czy XIV stuleciu, sprawiono więc nowe insygnia (z łac. oznaki, godła), koronę, miecz, naturalnie bez szczerby, nadano mu nazwę miecza i korony Chrobrego, lecz i te przepadły z końcem XVIII wieku. Kto je zabrał, gdzie zostały ukryte, różne są zdania, między innymi i takie, że znajdują się w klasztorze kapucynów we Włodzimierzu na Wołyniu. Jedynie włócznia Chrobrego dochowała się w skarbcu katedry krakowskiej. Miecz »Chrobrego« z XIV w. odnalazł się w XIX w. w Ermitażu petersburskim, wspaniałym gmachu, zawierającym bibliotekę i cenne zbiory sztuki. — *Serce Kościuszki*. Kościuszko zmarł w Solurze w Szwajcarii 15 paźdz. 1817 r. Nabalsamowane ciało przewieziono do Krakowa i złożono w grobach Katedry na Wawelu. Serce przewieziono w 1895 r. do Rapperswilu. — *Rapperswil*, miasto w szwajcarskim kantonie St. Gallen na wschodnim brzegu jeziora Zurich; tu w starożytnym zamku, wynajętym do r. 1970, hr. Władysław Broel-Plater założył w r. 1870 Muzeum Narodowe Polskie, będące własnością narodową, a mające skupiać pamiątki przeszłości narodowej i dawać obraz życia współczesnego Polski. — *Stefan Czarniecki* (1599—1655), jeden z najznakomitszych wojowników polskich, walczący z Kozaczyzną, Szwedami, Siedmiogrodzianami, przed śmiercią otrzymał buławę hetmańską. — *Łowicz*, miasto powiatowe w woj. warszawskim. — *Jan Henryk Dąbrowski* (1755—1818) na wezwanie Napoleona, który obiecywał

odbudowanie Polski, gotując się do wojny z Rosją po pogromie Prus pod Jeną, przybył z Włoch do Berlina, objął z woli cesarza naczelny kierunek powstania polskiego, 3 listop. 1806 r. ogłosił odezwę do narodu, wzywającą pod broń, a 30 grudnia tegoż roku zgromadził w Łowiczu około 30,000 pospolitego ruszenia, w tem 19,000 wyćwiczonego żołnierza; brał udział w całej kampanji i ranny został pod Tczewem, Frydlandem (14 czerwca 1807), gdzie Francuzi zadali stanowczą klęskę Rosjanom. — *Byczyzna* na Śląsku, pamiętna bitwą, stoczoną 24 stycznia 1588 r. przez Jana Zamojskiego z kandydatem do korony polskiej po królu Stefanie, arcyksięciem austriackim, Maksymiljanem, który, pobity na głowę, został wzięty do niewoli. — *Stoczek*, osada nad rzeczką Stoczkiem w woj. lubelskim, powiecie łukowskim, pamiętna świetnym zwycięstwem gen. Dwernickiego nad wojskiem rosyjskiem gen. Geismara. — *Malogoszcz, a.* osada w woj. kieleckim, powiecie jędrzejewskim. Tu 24 lutego 1863 r. trzytysięczny oddział powstańczy pod dowództwem Langiewicza, Czachowskiego, Jeziorańskiego stoczył krwawą bitwę z wojskiem rosyjskiem Dobrowolskiego, Gołubiewa, Czengierego. Langiewicz opuścił miasto, bronione do ostatka, mając 200 zabitych i 500 rannych. — *Dionizy Czachowski*, były żołnierz 1831 r., stoczył chlubnie 30 przeszło bitew i potyczek, jeden z najdzielniejszych dowódców powstania, zginął na polu bitwy. — *Antoni Jeziorański*, należał również do dzielniejszych dowódców i organizatorów powstania; zmarł we Lwowie. — *Marjan Melchjor Langiewicz*, porucznik artylerji w wojsku pruskim, walczył pod Garibaldim, w powstaniu dowodził w Sandomierskiem, na chwilę wysunął się na naczelne miejsce, lecz już 19 marca po 10-dniowej swej dyktaturze wyszedł do Galicji, przebył dwa lata w więzieniu austriackim, poczem osiadł w Turcji. Zmarł w Konstantynopolu 1887 r.

Z PAMIĘTNIKA POLSKIEGO LEKARZA OKRĘTOWEGO.

Ziścił się na jawie sen mojego dzieciństwa: morze polskie jest wolne. Ustała wielka wojna, o którą się modlił Mickiewicz; na paktach pokoju położono podpisy uroczyste narodów, a wśród nich polskiego i niemieckiego; na brzegach pomorskich opadł sztandar Germanji, a na jego miejscu powiewa wskrzeszona bandera mojej niepodległej Ojczyzny. Konie polskich jeźdźców kopytami dotknęły fal polskiego morza; wódz polski rzucił złoty pierścień w jego głębie— symbol ponownych zaślubin polskiej ziemi z polskim morzem.

Wszak to polski admirał wezwał mnie. I oto postać moja przyoblekła się w mundur polskiego marynarza; na moich rękawach lśnią z angielska złote naszyca, połyskujące w polskim słońcu; na mojej polskiej czapce srebrzy się mój orzeł w złotym otoku, i salutuje mi polski marynarz o jasnych oczach. Bóg, który przez 20 lat wiódł mnie po oceanach świata i ochronił w bitwach i burzach, teraz roztworzył przede mną błękitny polskiego morza i polskiego nieba.

W słoneczny dzień staję w szumnym wietrze na złotych pia-

skach, skąpanych w toni wód i czytam w niej, jak w cudownej księdze przeszłości i przyszłości.

Nagle, o morze, rzucasz na mnie fale
I deszczem pereł całujesz iskrzącym
Twarz moją, w której dawne stygną żale;
O morze, czynisz mnie szczęsnym i drżącym.

Księga morza ma wspaniałe karty, pełne barw i ruchu.

W letnich świtach budzi się morze sznierzem fal. Blado-różowa mglistość wschodu zaczerwieni się purpurą obłoków, strzeli z toni wód złocisty dysk, i ukaże się słońce, płonące w odwiecznych przestworzach, nieśmiertelne życiodajne słońce, które śle jasne swe gońce srebrnymi grzbietami fal ku ziemi.

Rozpala się majestat dnia na całym kręgu kuli ziemskiej. Na wielkie łona oceanów, na tytaniczne załomy gór, na bezkres łądów i na ogromy puszczy, na skalne zbocza wysp odludnych, na senne piaski Sahary, na stepy i prerje nieskończone, na pola biegunów, skrzące się wiecznymi lodami — schodzą zorze, rozblaski i żary słońca, które świeci morzom całego świata.

W ciche, marzące wieczory na widnokręgach zachodu ciemnieją szafiry niebios, gdy słońce kładzie królewską głowę na pierś morza, aby nazajutrz znowu wstać z falnego łoża wód i słać ku ziemi nowe zorze. Tak co dnia przechodzi nad morzem słońce, wciąż idące w wieczną dal.

Ze wszystkich krańców ziemi wieje ku morzu duch tęsknoty, płynie srebrnymi obłokami ku jego brzegom poszum wichrów z wielkich grzbietów górskich, a z łąnów kwitnących balsam i westchnienia kwiatów. I z miast ogromnych lecą ustawicznie głosy życia ludzkiego ku morzu.

A gdy słońce zasnują stalowo-szare kłęby chmur, i nad światem zawiśnie niskie niebo, nabrzmiałe łzami bezustannych deszczów, morze otuli się w bezgraniczną szatę smutku, i wtedy dusza ludzka marzy znowu o powrocie gorejącego w przestworzach słońca.

W ponurych dniach zimy pluszcze morze czarno-szaremi grzbietami fal o piaski i skały — morze surowe, niespokojne pod wielkimi zwałami chmur ciężkich jak ołów. Ale i wtedy morze mówi o swoich tajniach niezgłębionych.

I błysnie znowu słońce, a na morze spłynie triumfalna jasność wiosennego nieba i płomienny żar lata.

W upalnych tchnieniach wiatrów zerwie się nagle burza, wspinała w swej grozie, gdy w grzmocie piorunów i w ogniu błyskawic toczą się ku brzegom rozszalałe hufy olbrzymich gór wodnych

i z przeciągłym szumem rozbijają się o ziemię. Aż przyjdzie znowu cudowna cisza w szacie promienistej, w uśmiechach pogodnego słońca, potem nastanie kojące milczenie nocy. Noc roztoczy nad żeglarzem ciemny szafir tajemniczych eterów, gdzie w bezdenności wieków płoną gwiazdy i konstelacje nieznanych światów, i płynie wielki srebrny księżyc, przeglądający się w morzach sennego świata.

Od brzegów morskich wiodą żeglarza szlaki morskie na nieskończone przestrzenie globu: ku dalekim, czarownym lądom, pełnym przepychu natury, i ku wielkim pustyniom biegunowym, gdzie świecą zorze polarne. Wiodą te szlaki morskie na bezmierne ogromy oceanu Spokojnego, na płaszczyzny Atlantyku i na niezbadane fale antypodów.

Szlaki morskie prowadzą żeglarza w krainy wielkich ludów, i wtedy widzą jego oczy ich życie wytężone i hartowne, ich kulturę, ich bogactwo, ich potęgę.

Dla tych, co posiadli morze, jest ono nieustającą drogą życia: w słonecznej radości letniego dnia, w mroku zimowej nocy, w gniewnym szumie burz.

Bierze tę drogę życia w posiadanie każdy wytrwały i odważny, kto może powiedzieć o sobie:

Jestem płonący czynem duch,
Co zna słoneczny szlak wędrowny,
Drogi narodów, życia ruch
I toni morskiej nurt żeglowny...

Karta morza, cudowna, tajemnicza i bezkresna rozwarła się znowu przed Polską. W słonecznym promieniu przychodzą odbłyśki dawnych kart morza polskiego, już zapomnianych; oto dziś poruszył je w dali morskiej wiew letniego rana, i zeszyły z nich duchy polskich żeglarzy, kiedyś płynących śmiało na swoich statkach drewnianych do mroźnej Grenlandji i na ciepłe morze, a teraz radośnie lecących na opalowych obłokach do brzegu zmartwychwstałej Ojczyzny i muskających niewidzialną dłońią jej piękną banderę, która powiewa na wzgórzach pomorskich.

Z głębi dawnych wieków wieje nieuchwytna i tajemnicza pamięć, która nie umiera, lecz zapada w przestrzenie wód i w bezdenność nieba, aby wrócić, gdy ją przywoła dusza Ojczyzny, obudzonej po długich latach niewolnego uśpienia, gdy przyjdzie duch odrodzenia, tem większy, im głębszy był sen jej wiernych synów.

Z błękitnej toni morza powstaje pamięć przeszłości: dawne pokolenia żeglarzy o orlich oczach, ich wytrwałe żony o silnych sercach, ich dzieci o śmiałych ruchach. Pamięć wskrzesza te po-

stacie i czyni je żyjącymi, a morze mówi ich głosami i szeleści żaglami ich niewidzialnych okrętów.

Karty morza polskiego roztwierać będzie przyszłość, którą nakreśli Stwórca, czyniący od początków bytu w dziejach narodów swą wolę, która pozwala im kwitnąć w pracy i rosnąć w niezmierną potęgę, która niesprawiedliwe triumfy obala w grozie nieszczęść i przez cierpienia prowadzi ludy do chwały odrodzeń, a w mrokach beznadziejności czyni cuda życia.

Nie cud-że to, że widzę przed sobą łuk brzegu polskiego od Oksywji do Orłowej, ku któremu toczą się spienione grzbiety fal,



FOT. J. WOLYŃSKI.

idące z dalekich oceanów; że wodnemi szlakami odpłyną teraz statki polskie na wielkie drogi narodów dokoła wszystkich lądów kuli ziemskiej — do Ameryki, Indyj, Chin, Japonji, Australji, że stamtąd przyplyną ku Polsce statki obce, ładowne towarami, że flaga polska odtąd może powiewać wolna we wszystkich portach wszystkich krajów?

I nie cud-że to, że na polskiem morzu kołyszą się już małe wojenne okręty mojej Rzeczypospolitej, że od nich pędzą do brzegu zwinne szalupy z oficerami mojej marynarki, którym powierzono honor mojego narodu?

I nie cud-że to, że oni przemawiają do mnie radośnie w je-

zyku mojej umiłowanej matki, która nauczyła mnie modlić się w nim do mojego Boga?

Boże, dziękuję Ci za cud Twego miłosierdzia wielkiego, jak to morze, które rozwarłeś przed moim narodem i przede mną po tylu cierpieniach!

Wiem, że potrzeba długich lat pracy i wytrwałości, aby naród mój umocnił na tym brzegu swoje panowanie. Wierzę w twoje niespożyte siły, Ojczyzno moja, wierzę, że ukochasz swoje morze wielką miłością, która tworzy życie nieustanne; ukochasz czynem, który tworzy ruch statków; ukochasz poświęceniem, które hartuje żeglarza; ukochasz wiedzą, która rodzi postęp techniki; ukochasz bohaterstwem, które broni od przemocy.

Rozstąpiły się więc zastępy sił obcych, które przed wiekami zwarły się na tej ziemi pomorskiej, aby ją oderwać od ciebie, Polsko. Wróciła ta ziemia do swej wielkiej macierzy, i oddychasz teraz, Polsko, tym wolnym dostępem do morza, które jest wielkim światem wszystkich narodów.

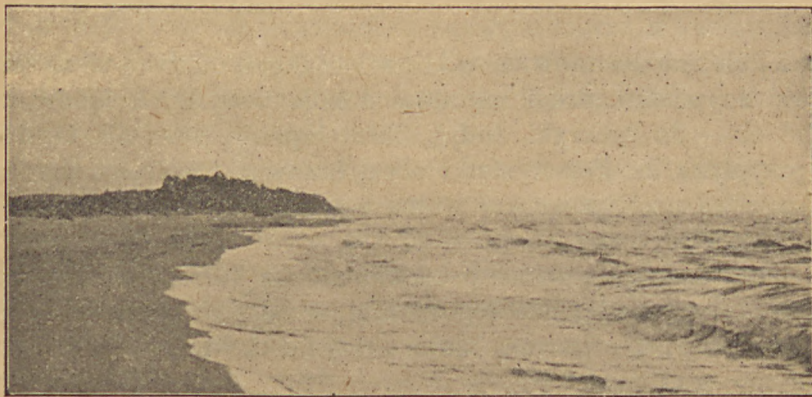
Nie zawrą się nigdy zastępy sił wrogich nad polskiem morzem, jeżeli będziesz zawsze czuwała, Polsko!

Wy, którzy czytacie te karty, zaufajcie mym słowom, albowiem widziałem wszystkie morza i wszystkie narody morskie i wiem, że morze jest darem Boga, którego strzeże duch narodów całym napięciem energii i myśli.

Tak małe wyspy Albjonu i Nipponu stały się przez morze potęgami świata; małe narody nadmorskie zdobyły sobie dobrobyt, wielkie kraje utraciły dawną chwałę, gdy ich duch żeglarski osłabł.

Ojczyzno moja, pamiętaj zawsze o polskim morzu!

Dr. Florjan Hlasko (zm. 1921).



FOT. ZDZISŁAW MARCINKOWSKI.

Objaśnienia: *Wojna*. Zawieszenie broni podpisano 11 listopada 1918. — *Pakty, ów* (z łac.) umowy, układy. — *Traktat* (układ między państwami) pokoju między mocarstwami sprzymierzonymi i skojarzonymi i Niemcami, podpisany w Wersalu dnia 28 czerwca 1919 r. — *Bandera, y*. Widomą oznaką przynależności statku do danego państwa jest chorągiew, nazywana banderą. Wywieszają się ona na tyle statku. Kiedy statek stoi na kotwicy, wywieszają się ją na specjalnym drzewcu; o ile statek jest w podróży, banderę zaciągają się na linę, idącą z tyłu wielkiego masztu tak, aby była podniesiona do $\frac{1}{3}$ wysokości tego masztu. Banderę wywieszają się zazwyczaj od 8 rano do zachodu słońca; zaciąganie i spuszczenie odbywa się na statkach wojennych ze specjalną ceremonią. Banderą służy nadto do oddawania honorów, okazania żałoby (opuszczanie do połowy), poddania się (spuszczanie zupełne). Banderą dzisiejsza polska wojenna jest biało-czerwona z wycięciem i ma białego orła na czerwonej tarczy, umieszczonej pośrodku białego pasa; dziób, szpony, korona orła są złote. Banderą handlowa nie ma wycięcia. — *Konie polskich jeźdźców i t. d.* 10 lutego 1920 r. generał Józef Haller na czele wojsk, reprezentujących armię polską, w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej a na mocy traktatu Wersalskiego objął w posiadanie brzeg morski w Pucku. Historycznemu temu aktowi towarzyszyła rycerska uroczystość, wódz bowiem wjechał konno w wody Bałtyku i rzucił na znak zaślubin Polski w fale morskie pierścień złoty. Na maszcie, wbitym u brzegu, wleciała bandera polska, a salwa armatnia zwiastowała, że Polska gotowa zbrojnie strzec odzyskanej swej posiadłości. — *Admiral, a*, naczelną wódz floty, dowódca marynarki. — *Dysk, u*, krąg. — *Antypody, ów* (z gr.), nazwa dwóch punktów ziemi, przypadających na krańcach jednej jej średnicy. Mieszkańcy ich są antypodami t. j. przeciwnożnami. — *Duchy polskich żeglarzy i t. d.* Joannes Scolnus, domniemany Jan z Kolna, odkrył, jeśli wierzyć kronikarzowi, Labrador, kraj Baffina i cieśninę Hudsonską. Podróż ta przypadła na rok 1476. Krzysztof Arciszewski (1592—1656) w 1623 opuścił kraj, wstąpił do armii holenderskiej, w 1629 wziął udział w wyprawie przeciw Hiszpanom w Brazylii, w 1639 odbył drugą wyprawę do Brazylii, w 1645 r. wrócił do ojczyzny, gdzie został generałem artylerji, bronił Lwowa (1648), umacniał Zbaraż, Zborów. W XIX stuleciu występuje już cały zastęp podróżników, cieszących się sławą europejską, jak Paweł Edmund Strzelecki (1796—1873), badacz Ameryki, Oceanji (wysp Milanezji, Polinezji, Mikronezji, Nowej Zelandji na oceanie Wielkim), Indyj Wschodnich, Australji; jak Warszawianin, Jan Stanisław Kubary, powstaniec 1863 r., spędzający 27 lat na wyspach Oceanji, i wielu, wielu innych. — *Oksywie*, starop. osada w zatoce Puckiej z kościołem, najstarszym na kaszubskim brzegu i jednym z najpiękniejszych w Polsce cmentarzy. Na przylądku latarnia morska. — *Orłowa*, na brzegu na południe od Oksywia. — *Albjon, u*, nazwa nadana Wielkiej Brytanji przez starożytnych Greków. — *Nippon, u*, największa z wysp Japonji, cała Japonja w języku krajowców nazywa się również Nippon, t. j. wschód. — *Florjan Hlasko*, ur. w woj. połockim, studjował przyrodę i medycynę w Petersburgu, Pradze, Paryżu. Odbywał służbę w marynarce rosyjskiej na oceanie Spokojnym, wodach Kameczatki, Sachalinu, Japonji, Chin, na Bałtyku, morzu Śródziemnym, krańcach Afryki. W wolnej Polsce, zawsze o niej myślący, do niej tęskniący, został lekarzem szkoły morskiej w Tczewie (w woj. pomorskim na lewym brzegu Wisły, o cztery mile od Gdańska). Wyjątek podany z jego książki p. t. »Morzami ku Polsce«. — *Ilustracja*: herb miasta Pucka; lew na łosiosiu, jednej z najsmaczniejszych i najcenniejszych ryb, poławianych na wy-

brzeżu, którego dobrobyt i życie związane są ściśle z rybołówstwem. Miasto założył nad zatoką Pucką morza Bałtyckiego Bogusław Pomorski, syn Sambora, w połowie XII w. Miało ono zamek mocny, zdobyty przez Duńczyków



w 1464 po sześciu miesiącach oblężenia; za Zygmunta Augusta Puck i Gdańsk były portami wojennymi floty polskiej z 18 okrętów pod dowództwem Tomasa Sierpinka. Władysław IV na nowo umocnił Puck, założył tu zbrojownię i port wzmocnił. Później miasto podupadło.

ZAŚLUBINY MORZA.

(10/II—1920).



FOT. J. WOLYŃSKI.

Morze, bądź pozdrowione! W twych białych pian wieniec,
W twe bursztynowe łono, skryte pod fal grzywą,
Złoty pierścień zaślubin rzucił oblubieniec,
Na znak serdecznych uczuć wierności ogniwo.

W dział biciu, w szczękach broni, w serc mnogich łomotach
Potrzykroć białe orły do twych wód przypadły,
I marząc o dalekich niespętanych lotach,
U brzegów chmurą skrzydeł na straży usiadły.

Morze! W zwycięski uścisk wziął cię triumfator,
Aż z twych bełtów rumieńców wytrysnęła zorza,
A dzwony całej Polski, grmiąc Veni Creator,
Powtarzały przysięgę: »Nie oddamy morza!«

Rajmund Bergel.

Objaśnienia: *Bursztynowe łono*, chowające bursztyn, minerał z rządu żywic, pochodzenia organicznego z dawnej sosny, koloru żółtego z różnymi odcieniami, przezroczysty lub przeświecający. — *Bełty, ów*, bełkoczące, zmieszane, szumiące fale.

Objaśnienia do »Hymnu«: Śpiewanie hymnu »Veni Creator Spiritus« przepisuje Kościół katolicki głównie przy t. zw. konsekracjach (poświęceniach) osób i rzeczy (np. przy udzielaniu kapłaństwa, biskupstwa, przy poświęcaniu nowego kościoła, przy sakramencie małżeństwa, przy ważniejszych czynnościach kościelno-społecznych). W brewjarzu (zbiorze codziennych modlitw księży) rzymskim mieści się ten hymn w niesporach oraz w tereji czyli w modłach, przypadających na dzisiejszą godzinę poranną dziewiątą podczas całej oktawy Zielonych Świątek. Autorstwo tekstu łacińskiego przypisywano twórcy wielu pięknych hymnów kościelnych, św. Ambrożemu (340—397), według dzisiejszych badań autorem ma być uczonec benedyktyn, Magnentius Irabanus Maurus (zm. 856 r.), który tu wzorował się na hymnie ambrożyjskim »Veni Redemptor gentium = Przyjdź, Odkupicielu ludzkości«. Tekst łaciński z przekładem dosłownym brzmi, jak następuje:

Veni, Creator Spiritus,
Mentes tuorum visita,
Imple superna gratia
Quae tu creasti, pectora.

Qui diceris Paraclitus
Altissimi donum Dei
Fons vivus, ignis, caritas
Et spiritalis unctio.

Tu septiformis munere,
Digitus paternae dexteræ
Tu rite promissum Patris
Sermone ditans guttura.

Accende lumen sensibus
Infunde amorem cordibus,
Infirma nostri corporis
Virtute firmans perpeti.

Hostem repellas longius
Pacemque dones protinus:

Przybądź, Stworzycielu Duchu,
Umysły twoich (wybranych) nawiedź,
Napełnij najwyższą łaską
Serca, któreś stworzył.

Który nazywasz się Pocieszycielem,
Darem najwyższego Boga,
Źródłem żywym, ogniem, miłością,
I duchowem namaszczeniem.

Ty siedmioraki w darach,
Palec ojcowskiej prawicy,
Ty uroczysta obietnico ojca,
Mową wzbogacający usta.

Zapal światło zmysłom,
Wlej miłość w serca,
Słabości naszego ciała
Wzmacniając cnotą ciągłą.

Wroga odpędź dalej,
I pokój daj wnet,

Ductore sic te praevio Abyśmy za wskazówką Twojego przewodnictwa
Vitemus omne noxium. Unikali wszelkiej szkody.

Per te sciamus da Patrem, Daj, niech przez Ciebie znamy Ojca,
Noscamus atque Filium, Niech poznamy także Syna
Teque utriusque Spiritum I w Ciebie, obydwu Ducha,
Credamus omni tempore. Niech wierzymy w każdym czasie.

Deo Patri sit gloria, Bogu Ojcu niech będzie chwała,
Et Filio, qui a mortuis I Synowi, który z martwych powstał,
Surrexit, ac Paraclito I Tobie, świętemu Duchowi,
In saeculorum saecula. Amen. Na wieki wieków. Amen.

Przybądź i t. d. Znakiem gorącości tej prośby jest klęczenie chóru podczas śpiewania tej zwrotki. — *Nazwy Ducha św.* w drugiej i trzeciej strofie, wyjęte z Pisma św., a więc: *Pocieszyciel* (Paracletus łac. z greck.), właściwie przywołany na pomoc, adwokat, pomocnik, obrońca, pośrednik, doradca, a stąd i pocieszyciel. (Ewang. według Jana XIV, 16, 26; XV, 26). — *Dar Boży* (Dzieje Apostolskie I, 8; II, 38). — *Źródło żywe wód* (Objawienie św. Jana, VII, 17). — *Ogień* (Stary Test. Księgi Exodus czyli II, Mojżeszowe III, 2; Ew. według Łukasza XII 49—50). — *Miłość Boża* (List Pawła Ap. do Rzymian V, 5). — *Duchowe namaszczenie* (List Pawła Ap. do Efezów I, 13). — *Siedmioraki w darach*, dawca siedmiu łask (Stary Test. Proroctwo Izajaszowe XI, 2, 3). Izajasz wylicza wszystkie dary: »I odpocznie na nim Duch Pański, duch mądrości i rozumu, duch rady i mocy, duch umiejętności i bogobojności (pobożności). I napelni go duch bojaźni Bożej«. — *Palec prawicy ojcowskiej*. (Exodus XXXI. 18. Księgi V Mojżeszowe (Deuteronomium) IX, 10. — *Uroczysta obietnica Ojca*, dokł. obietnica, dana według wszelkich wymagań formalnych (Dzieje Ap. II, 33). — *Wzbogacający mowę*. Ew. według Mateusza X, 19; według Marka XIII, 11; według Łukasza XII, 11, 52: »A gdy was będą wodzić do bóżnic i do urzędów i zwierzchności (dla imienia i nauki Jezusowej), nie frasujcie się, jako albo cobyście odpowiedzieć (na swoją obronę) albo mówić mieli. Bo Duch Święty nauczy was onejże godziny, co wam potrzeba mówić«. Od Ducha św. pochodzi wszelkie Boże natchnienie i siła religijnych przekonań. — W trzech ostatnich zwrotkach mieszczą się prośby o dary w dziedzinie cnót moralnych: opromienienie zmysłów, wlanie do serc miłości, pokrzepienie słabego ciała, odpędzenie wroga duszy i użyczenie rychłego pokoju, kierownictwo Boskie dla uniknięcia czynników szkodliwych i dar w dziedzinie cnót teologicznych: wlanie wiary w Tróję św. — *Bogu Ojcu i t. d.* Do sześciu strof Hymnu Kościół dołączył siódmą, t. zw. doksologję, zawierającą uwielbienie poszczególnych osób Trójcy św. — *Orędzie*, a. uroczyste oświadczenie, oznajmienie, ogłoszenie. — *Gołębica*, zgodnie z tekstem ewangelij: »A gdy był Jezus ochrzczony, wnet wystąpił z wody. A oto się otworzyły jemu niebiosa, i (Jan) widział Ducha Bożego, zstępującego jako gołębicę i przychodzącego nań«. (Mat. III, 16). »I dał świadectwo Jan, mówiąc: »Iżem widział Ducha, zstępującego z nieba, jako gołębicę z nieba, i został na nim. A jam go nie znał; ale który mię posłał chrzcić wodą, ten mi powiedział: Na którego ujrysz Ducha zstępującego i na nim zostawającego, ten jest, który chrzci Duchem Świętym«. (Jan I, 32, 33). — *Biesiada dusz*. Biesiada, uczta radosna, tu przen. radosne obcowanie, przyjmowanie pokarmu duchowego, sam pokarm duchowy. — *Trok*, u, powrozy, pęta. — *Mocen*, mocny. — *Zwól*, pozwól.

HYMN VENI CREATOR.

Narodu śpiew
Ducha Świętego
wezwanie
czyli
w sejmowem kole
w świątyni świętych
w katedrze
w gromadzie gminy
w zborze pracujących
w hufie żołnierzy
w domu
w zagrodzie rękodzielnika
wedworze, w pałacu, w zamku
w chatokolu
jak rzek strumienie
od poników gór
po wód roztocze
we wicherze, w promieniu, w gromie
w orce
przyziaren siejbie
jak mowa sięga
Orędzie:

Zstąp Gołębica, Twórczy Duch,
byś myśli godne wzbudził w nas,
ku Tobie wznosim wzrok i słuch,
spólnie żyjący, wzrosli wraz.

Który się zwiesz Biesiadą dusz,
Wszchemogącego Boży dar,
płomieniem duszom piętno włóż,
przez czułość serc, zdroj żywy, żar.

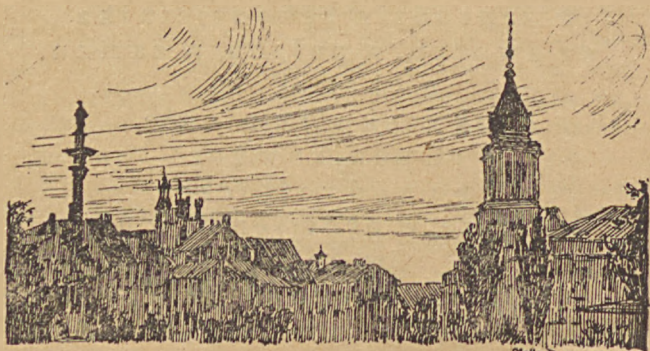
Zbrój nas we siedem darów łask,
Prawicą Ojca ojce wskrzesz,
w Obrzędzie roztoz wieszczy blask,
we Słońce dusze w lot Twój bierz.

Zestąp Światłości w zmysłów mrok,
dobądź serc naszych zapał z łon,
by człowiek przemógł cielska trok
i mocen wzniósł się w męski ton.

Odwołaj wroga z naszych dróg;
w pokoju pokój zbawczy nam
powiedziesz nas, Wieszczący Bóg,
przejdziemy cało złość i kłam.

Zwól przez Cię w Tobie Ojca znać,
zwól, by był przez Cię poznany Syn,
zwól w Tobie Światłość świata dać,
zwól z wiarą wieków podjąć Czyn.

Stanisław Wyspiański (1869—1907).



SPIS RZECZY.

WSTĘP.

Książka	Str. 3
-------------------	-----------

CZĘŚĆ I.

W polu	5
Niegdyś	5
Śpiew harfiarza pogańskiego	8
O Wandzie	8
Obława nad Prądnikiem	12
Co mówią nazwy geograficzne	15
Ociec Nędza.	20
Przysłowia	26
Jak św. Franciszek otrzymał radę od św. Klary i św. Sylwestra	27
Z »Złotej legendy« błogosławionego Jakóba de Voragine	30
Barwa polska i orzeł polski	31
Godło Polski	35
Władysław Łokietek	36
O dawnych rękopisach	38
Anno Domini	42
Ksieni	43
Ex-libris	44
Nazwy stopni pokrewieństwa i powinowactwa w dawnej Polsce	45
Proch strzelniczy i pierwsze armaty we Lwowie	49
Władysława Jagiełły dyplom reformacji uniwersytetu	52
Dawny ratusz	54
Rajca	56
Patrycjuszka	56
Tragedja krakowska	57
Nie odrazu Kraków...	64
Z dziejów przemysłu polskiego w wieku XVI	64
Przysłowia	69
List Kopernika	71
Pochwała wsi	74
Trefna powieść	75
O doktorze Hiszpanie	76
Z »Apoftegmatów«	77
Na most warszawski	77

	Str.
Dowcip rzymski	78
O Rzymie	78
Pieśń	79
List Seneki	80
Z listów Plinjusza Młodszego do Tacyta	82
Wybuch Wezuwjusza w 1794 r.	88
Ateny po Salaminie	94
Pobudka bojowa	103
Dwa listy hetmana Stanisława Żółkiewskiego	107
Śmierć Żółkiewskiego	109
Na kasztelu	113
Przysłowia	114
Rodzina polska	114
List króla Jana do królowej Marji Kazimiery	116
Grzeczność polska	124
Przysłowia	126
Wizyta kasztelanica	126
Podczaszyc	129
Orzeł i żóraw	130
Pałac kazimierowski	131
Gawęda o bocianie	133
Przysłowia	134
Pieśń konfederatów barskich	135
Pieśń konfederacka	136
Wigilja w dworku szlacheckim	137
Kolęda mazurska gospodarska	140
Kulig	141
Kulig w Sandomierskiem	144
Przysłowia	145
O polonezie	145
Polonez	150
Trzeci rozbiór	151

CZĘŚĆ II.

Trzy pająki i mucha	153
Legjoniści nad jeziorem Trzynieńskim	155
Pieśń legjonów polskich we Włoszech	162
Rok 1812	164
Pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego	169
Na śprowadzenie prochów Napoleona	171
Trębacz miejski	174
List z Noskowa	176
Z miłosierdzia	184
Przysłowia	185
U Fukiera	185
18 grudnia 1830 roku w Kamieńcu	187
Kulik	195
Pożegnanie	199
Pieśń ludowa	199

	Str.
Dziadunio	200
Piękność miast	201
Petersburg	206
Pomnik Piotra Wielkiego	207
Zaćmienie słońca	211
O modlitwie	214
Modlitwa pielgrzyma	217
Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy	218
Prośba	219
Jak Eliza Orzeszkowa ocaliła Romualda Traugutta	219
Samotna sosna	223

CZĘŚĆ III.

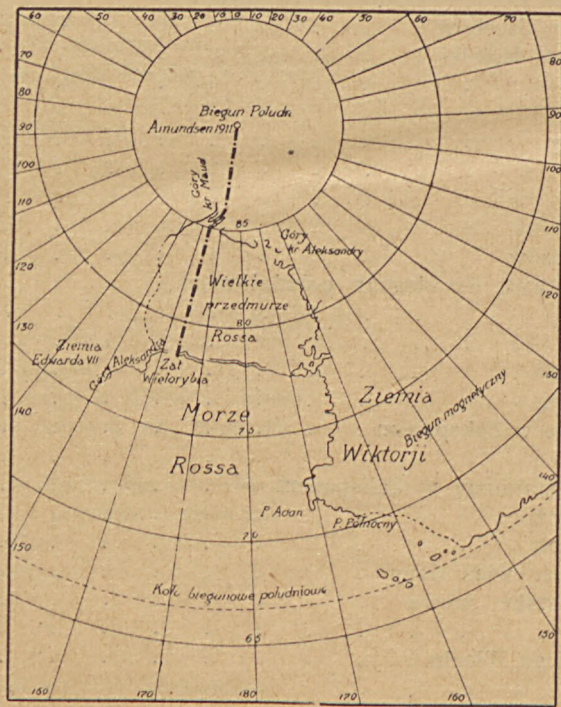
Skowronek	225
Krakowiak	227
Do łańców	229
Do łańców	230
Wspomnienie z Marymontu	235
Cienie	237
Błogosławieni	238
Pieśń litewskich borów	239
Pod piorunami	241
W dzień złożenia zwłok Mickiewicza na Wawelu	244
List Matejki do Czechów	244
Na śmierć Jana Matejki	248
Brat Albert	250
Sonet	254
Wzgórze i góry	262
Santa-ana-wind	263
Zamarła oaza	267
Burza na Atlantyku	268
W kraju Czukezów	272
Zwycięska wyprawa do bieguna południowego	284
Trzebaby	289
Przysłowia	290
W kopalni węgla	290
W noc wigilijną	296
Boże Narodzenie w Zakopanem	297
Tatry	300
Wiatr halny styczniowy w Zakopanem	300
Wyjście w góry	303
Ranek w górach	311
Proszta, a będzie wam dany	312
Kaszubsko-pomorska mowa	315
Akt miłości	316
Przysięga młodego Włocha	316
1812—1912	318
Z »Fragmentów wiosennych«	319
Duch narodu	320
Rota	323

CZEŚĆ IV.

Nasi idą	Str. 325
O dworku...	325
Ordynans	327
Starym szlakiem	336
Fanfary pierwszego pułku piechoty legionów	337
Na dalekim cmentarzu	340
Z dziejów Bałki murmańskiej	346
Koń ułański	352
Pochwała piechoty	356
Krwawy spadek	357
Mogiła bohatera	358

CZEŚĆ V.

Szczęśliwe ludy	360
Francja i Polska	360
O Wisło, Wisło!	364
Z pamiętnika polskiego lekarza okrętowego	368
Zaślubiny morza	374
Hymn Veni Creator	377



DROGA WYPRAWY AMUNDSENA
(do str. 284).

SKOROWIDZ AUTORÓW.

- Amicis Edmund — M. Konopnicka 316 — 317.
 Andrzejowski Antoni 137 — 140.
 Asnyk Adam 244, 254, 267 — 268, 311 — 312, 360.
 Bandrowski-Kaden Juljusz 327 — 336.
 Baranowski Ignacy 64 — 71.
 Bergel Rajmund 325, 356—357, 374—375.
 Bersohn Mathias 38 — 42.
 Birkenmajer Ludwik 71 — 74,
 Budzyński Wacław 352 — 356.
 Chmiel Adam 31 — 35.
 Chołoniewski Antoni 250 — 254.
 Czubek Jan 103 — 106.
 Dębicki Zdzisław 5, 42 — 43, 113 — 114, 185 — 187, 200 — 201, 223 — 224, 318 — 319.
 Dobrowolski Antoni B. 35 — 36, 284 — 289.
 Dygasiński Adolf 12 — 15, 225 — 227.
 Ejsmond Juljan 358 — 359.
 Fredro Aleksander 130 — 131, 289—290.
 Gomulicki Wiktor 44.
 Górnicki Łukasz 75 — 76, 78.
 Hłasko Florjan 368 — 374.
 Jakób de Voragine 30 — 31.
 Jaworski Franciszek 49—51, 54—56.
 Kaden Juljusz 327 — 336.
 Kasproicz Jan 237—238, 296 — 297.
 Kaszewski Kazimierz 82 — 88.
 Kochanowski Jan 8 — 12, 74 — 75, 76—77, 77, 77—78, 78—79, 79—80.
 Kolberg Oskar 141 — 144.
 Kondratowicz Ludwik 133 — 134.
 Konopnicka Marja 151—152, 248—250, 319 — 320, 323 — 324.
 Kopernik Mikołaj 71 — 74.
 Koziorowski Karol 88 — 94.
 Krasicki Ignacy 126 — 129.
 Krasiński Zygmunt 218 — 219.
 Krzyżanowski Stanisław 52 — 54.
 Kwiatki św. Franciszka 27 — 30.
 Lange Antoni 64.
 Ligocki Edward 187 — 195.
 Ludowe utwory bezimienne 140—141, 199 — 200, 312 — 315.
 Łoś Jan 45 — 49.
 Łoziński Władysław 114—116, 124 — 126.
 Majkowski Aleksander 315 — 316.
 Małaczewski-Korwin Eugenjusz 340—346, 346 — 352.
 Matejko Jan 244 — 248.
 Matlakowski Władysław 297 — 299, 300 — 302.
 Mączka Józef 336 — 337, 337 — 340, 357—358.
 Mickiewicz Adam 129—130, 150—151, 164 — 169, 206 — 207, 207 — 211, 217 — 218.
 Morawski Kazimierz 214 — 217.
 Neumayr — Koziorowski K. 88 — 94.
 Niemcewicz Juljan Ursyn 36 — 38, 153 — 155, 169 — 171,
 Nitsch Kazimierz 131 — 133.
 Nowicki Franciszek 300.
 Nusbaum Henryk 219 — 223.
 Or-ot (Oppman Artur) 56, 56 — 57.

Orzeszkowa Eliza 211—214, 227—229,
262—263, 316.

Papée Fryderyk 57—64.

Plinusz Młodszy 82—88.

Pol Wincenty 199, 229—230.

Prus Bolesław 235—237.

Przysłowia 26, 69, 114, 126, 134, 145,
185, 290.

Relidzyński Józef 325—327.

Romanowski Mieczysław 8, 219.

Rozwadowski Jan 15—20.

Rydel Lucjan 94—103.

Seneka — A. Sz. 80—82.

Sienkiewicz Henryk 155—161, 238,
263—267, 268—272.

Sieroszewski Wacław 272—283.

Słowacki Juliusz 135, 171—174,
195—199.

Sobieski Jan 116—124.

Staff Leopold 27—30, 30—31.

Sygietyński Antoni 184—185.

Tetmajer-Przerwa Kazimierz 303—
311.

Tomkowicz Stanisław 201—205.

Tyrtajos — J. Czubek 103—106.

Weyssenhof Józef 239—244.

Wieniawski Julian 174—176, 230—235.

Wilkoński August 176—184.

Witkiewicz Stanisław 20—26, 320—
323.

Wybicki Józef 162—164.

Wyspiański Stanisław 255—262,
377—378.

Zabojecka Marja 3.

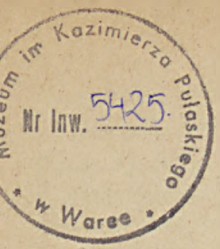
Zawistowska Kazimiera 43—44.

Żeromski Stefan 5—7, 109—113,
144—145, 290—296, 361—364,
364—368.

Żółkiewski Stanisław 107—109.

Żukowski O. M. 145—150.

S. tala



SN

ZBOR STANLEYA NAJA

ISS #

1988.001.033.1.1.2

